

Doris Mortman

Dziewuczyna znikąd

PROLOG.

Miami, 1978.

Lśniąca, biała crown victoria wytoczyła się statecznie, mijając tłum zgromadzony wokół budynku sądu ostatniego dnia procesu. Dwa fordyskie eskorty, pierwszy przed nią, drugi z tyłu, także zwolniły. Miejscowi policjanci utworzyli wokół budynku szczelny kordon. Rozmieszczeni na dachach pobliskich budynków, wyposażeni w wysokiej klasy broń automatyczną funkcjonariusze z oddziału do zadań specjalnych - paramilitarnej komórki biura szeryfa federalnego - pełnili straż. Wykonany na zamówienie sedan i eskortujące go auto stanęły. W górze unosił się rządowy helikopter.

Pięciu inspektorów, przydzielonych do ochrony, których oczy zakrywały przeciwsłoneczne „lustrzanki”, z wymierzoną w tłum bronią automatyczną, by zniechęcić każdego, komu przyszedłoby do głowy podbiec do konwojowanego samochodu, zajęło ustalone miejsca. Otwarto tylne drzwiczki wozu i ukazał się w nich szeryf Samuel Bates, który powiódł wzrokiem po ludziach stojących najbliżej i pochylił się, by pomóc wysiąść kobiecie będącej obiektem powszechnego zainteresowania.

Cynthia Stanton zadrżała, gdy jej stopy dotknęły chodnika, zdołała się jednak opanować i nikt poza szeryfem Batesem niczego nie zauważył. Powitały ją przychylne okrzyki: „Dobierz się im do tyłka!”. Tłum zdawał się wołać jednym głosem, wyrażając to samo przekonanie: „Jesteśmy z tobą!” i „Zuch kobieta!”. W napięciu oczekiwano na jakiś jej gest, uśmiech, choćby skinienie głową, ale do Cynthii jak gdyby nic nie dochodziło. Wpatrywała się chwilę w szerokie kamienne schody przed sobą, i tylko raz nogi pod nią zadrżały, gdy z okrzyków wybił się samotny pojedynczy głos: „Pozdrów Kena!”.

Cynthia zeszywniała i pobladła, lecz twardo ruszyła w górę.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoił się Bates. Patrzył przed siebie, starając się, by ów ziejący nienawiścią drań nie dostrzegł, jakie wrażenie wywarły jego słowa.

- Nie, nic nie jest w porządku - szepnęła Cynthia niepewnym głosem, z trudem opanowując gniew, żal i strach - zbyt długo jednak czekałam i zbyt wiele poświęciłam, by przejmować się byle śmieciem. Zależy mi tylko na usłyszeniu wyroku. - Jej oczy zwilgotniały,

patrzyła jednak dumnie przed siebie. - Chcę sprawiedliwości - powiedziała cicho - dla Kena.

Ken, starszy brat Cynthii, wyższy rangą oficer DEA pracujący jako tajny agent, został zabity przed kilkoma miesiącami, krótko po tym, jak Cynthia zgodziła się wystąpić w charakterze głównego świadka oskarżenia w procesie grupy podejrzanej o pranie brudnych pieniędzy dla kolumbijskich gangów handlu kokainą. Jej nazwiska nie podała żadna gazeta ani stacja telewizyjna; nie zostało, nawet przypadkiem, ujawnione przez żadną z zaangażowanych w sprawę instytucji - a jednak skądś dowiedziano się, kim jest. Zabójstwo Kena miała odczytać jako ostrzeżenie.

Morderstwo spowodowało skutek odwrotny od zamierzonego - zamiast zastraszyć Cynthię, wywołało w niej furję. Wielu ludzi, zwłaszcza rodzina, gorąco ją namawiało, by nie zeznawała i pozwoliła władzom radzić sobie bez jej udziału. Gdy dwóch kolejnych agentów DEA - jeden działający w wytwórni kokainy w Cali, w Kolumbii, i drugi, rozpracowujący od wewnątrz siatkę dystrybutorów w Nowym Jorku, znaleziono martwych, naciski, żeby zrezygnowała, jeszcze się wzmogły, ale równocześnie wzrosło oburzenie Cynthii.

Pod koniec lat siedemdziesiątych południowa Floryda była centrum, rozwijającego się dopiero w Ameryce, handlu narkotykami, a Miami stanowiło punkt przelotowy dla towaru z Kolumbii. Władze USA skupiły swe wysiłki na walce z narkotykami w hrabstwie Dade. Grupa do zadań specjalnych, w której działał Ken, brała udział w zakrojonej na wielką skalę operacji prowadzonej przez Ministerstwo Skarbu, DEA i Biuro Prokuratora Federalnego. Działania te kosztowały wiele istnień ludzkich i niejednemu zrujnowały życie niejednej rodziny.

Jak to bywa w wypadku gangsterskich historii, prasa maksymalnie eksploatowała temat. Operacja „Dzień Prania” zdominowała wiadomości na wiele miesięcy, a Cynthia Stanton stała się bohaterką narodową i... głównym celem ataku przestępców. Małżeństwo Cynthii i Lionela Bairdów powszechnie uważano za idealne - oboje przystojni i inteligentni, z dyplomami renomowanego uniwersytetu w Ivy, pewnie kroczyli drogą do sukcesu. Ale ich związek nie okazał się szczęśliwy. Po narodzinach córki Eriki wzajemna namiętność nieco ostygła i ukazały się dzielące partnerów różnice. Cynthia pragnęła pogodzić życie rodzinne z pracą, dla

Lionela kariera i ambicje zawodowe stale walczyły o pierwsze miejsce z małżeństwem i rodziną. Praca zawsze brała górę. Gdy pani Baird odkryła, że mąż spędza wolny czas z córką szefa, wystąpiła o rozwód i całkowitą opiekę nad czteroletnią córką. Opuściła Nathanson & Spelling i objęła wysokie stanowisko w Hudson National Bank, a gdy jej matka zachorowała, Cynthia wystąpiła do sądu o zgodę na zabranie córeczki do Miami, by móc zamieszkać bliżej rodziców. Lionel zdążył ożenić się już z Nan Nathanson i nie protestował przeciw orzeczeniu sędziego, że Erica będzie lepiej na Florydzie z matką. Nowa żona nie okazywała zainteresowania jego dzieckiem. Sąd przyznał ojcu prawo do częstych odwiedzin i Lionel z początku korzystał z niego z nabożnym wręcz przejęciem. Ale praca zawodowa i działalność Nan Nathanson na niwie towarzyskiej zajmowały mu mnóstwo czasu, odwiedzał więc małą coraz rzadziej. Wprawdzie rozmawiał z córką niemal codziennie, jednak często zdarzało się, że odwoływał wspólny weekend. Musiał przecież brać udział w przyjęciach, kolacjach z klientami, tańcach w klubie, a nieobecność na polu golfowym była nie do pomyślenia. „Rozumiesz mnie, kochanie, prawda?” - stało się jego mantrą. Stanowisko wicedyrektora działu kredytów w filii Hudson National Bank w Miami pozwoliło Cynthii na kupno niewielkiego wprawdzie, lecz pięknie położonego domu w nowym osiedlu w północnej części miasta, niecałą godzinę jazdy od miejsca pracy i dziesięć minut od luksusowego apartamentu starszych państwa Stantonów. Matka Cynthii doszła już do siebie po walce z nowotworem - i w chwili obecnej ona i jej mąż, ojciec Cynthii, cieszyli się dobrym zdrowiem. Erica uczęszczała do dobrej szkoły i miała wielu przyjaciół. W pobliżu domu znajdował się park, gdzie mogła biegać ze swoim psem, Checkersem, i olbrzymia plaża, świetne miejsce do zabaw. Dziadków widywała niemal codziennie, wujek Ken często przyjeżdżał w odwiedziny.

Latem babcia i dziadek zabierali ją do muzeów albo na koncerty w Miami i Palm Beech lub na plażę, gdzie szukała muszelek, i na obiady do restauracji „Stone Crabs u Joego”. Wujek Ken chodził z dziewczynką do kina, a raz, gdy poprosiła, by pokazał jej miejsce, w którym pracuje, zaprowadził Ericę do zawsze tętniącego gorączkowym życiem posterunku policji w Miami Metro, uważając, że dla siostrzenicy wizyta ta będzie bardziej ekscytująca niż odwiedziny w spokojniejszym biurze agencji antynarkotykowej.

Atmosfera posterunku spodobała się Erice tak bardzo, że dziewczynka zadeklarowała chęć pójscia w ślady wuja i wstąpienia, gdy dorośnie, do policji.

Przez trzy lata życie Cynthii płynęło wygodnie, spokojnym rytmem, w dużej mierze dzięki obecności Kena. Choć siostra i brat nieraz żartowali sobie z ich obecnego kawalerskiego stanu, cieszyli się z odzyskanej zażyłości. W dzieciństwie byli sobie bardzo bliscy, teraz owo uczucie wróciło. Stan ducha Cynthii oscylował między strachem spowodowanym niebezpieczną pracą brata a fascynacją; prosiła go, by opowiadał jak najwięcej o swej działalności w DEA. Ken był tak samo ciekawy sytuacji w banku.

Tu sprawy miały się nieźle; do Hudson National nieprzerwanym strumieniem płynęły spore sumy; zresztą dotyczyło to niemal każdego banku południowej Florydy. Choć gwałtowny przyrost aktywów powinien cieszyć bankowców, Cynthia wyczuwała wśród pracowników dziwną do wytłumaczenia atmosferę jakiejś podskórnej nerwowości. Z początku przypisywała ów stan zakorzenionemu w tym środowisku przeświadczeniu, że po każdym wzlocie następuje okres dekonjunkury, potem wszakże odezwał się w jej głowie dzwonek alarmowy. Podczas jednej z rutynowych kontroli odkryła, że olbrzymie sumy regularnie pojawiają się na tych samych kontach i szybko z nich wypływają. Gotówkę, którą wpłacano do oddziału w Miami mnóstwem banknotów o małych nominałach, po kilku dniach przekazywano telegraficznie do banków w Panamie lub Szwajcarii, a dalsza kontrola ujawniła, że owe konta założono na fikcyjne nazwiska. Być może zadziałał tu wpływ Kena, który uczulił siostrę na narastający w Miami handel narkotykami. Cynthia szybko skojarzyła zjawisko finansowego boomu w banku z narkotykami i na własną rękę rozpoczęła metodyczne śledztwo. Zaczęła od sprawdzania, czy operacje prowadzone na tych nadzwyczaj „ruchliwych” kontach są zgodne z ustawą bankową o zachowaniu tajności. Aby umożliwić wytropienie przypadków prania brudnych pieniędzy, wprowadzono obowiązek zgłaszania wszelkich transakcji gotówkowych na sumy większe niż dziesięć tysięcy dolarów, przeprowadzonych przez tę samą osobę tego samego dnia. Wyniki kontroli zaszokowały Cynthię: wiele z transakcji dokonanych na badanych kontach umknęło ewidencji, ponieważ wysokość depozytów ograniczono do dziewięciu tysięcy, by nie przekroczyć kwoty podlegającej rejestracji; na niektóre

konta wszakże przyjmowano gotówkę bez żadnych ograniczeń. Banknoty dostarczano do banku w pudłach na buty, papierowych torbach czy nawet w walizkach, a dwóch urzędników, stale zajmujących się przyjmowaniem owych „łupów”, zdawało się nie pamiętać o obowiązku rejestracji.

W jej własnym dziale czeki na olbrzymie kwoty wypisywano osobom niespełniającym warunków kredytowych, przyjmując jako zabezpieczenie skradzione lub sfałszowane papiery wartościowe.

Po latach pracy w Nathanson & Spelling Cynthia wiedziała, że większość wewnętrznych kradzieży dotyczyło blankietów owych papierów, orientowała się też, że było to bardzo łatwe. Sprawca mógł bez trudu przykryć certyfikat gazetą, schować w teczce czy kieszeni i wyjść z banku, nie zwracając na siebie czyjejkolwiek uwagi. Gdy już stwierdzono zaginięcie tych dokumentów, domy maklerskie wciągały je na jedną z „gorących list” skradzionych papierów wartościowych, sporządzanych w centrum informacji o przestępstwach, Interpolu i w instytucjach zajmujących się ich legalizacją. Niestety, większość z owych dokumentów, zamieniona już w tym czasie na gotówkę, była nie do wytropienia. Najwyraźniej, poza innymi niedociągnięciami, kilku kolegów Cynthii zaniechało sprawdzania „gorącej listy”, ponieważ jako poręczenie całej serii wątpliwych pożyczek przyjęto partię papierów wartościowych, opiewających na kilkaset tysięcy dolarów. Według centrum informacji właśnie te certyfikaty skradziono wcześniej w Nathanson & Spelling.

Przez kilka dni Cynthia zastanawiała się, jak postąpić. Przypuszczając, że natknęła się na wielce podejrzaną machinację, zwróciła się do Kena.

- Jedynym sposobem na zwycięstwo w walce z kartelami narkotykowymi - powiedział - jest zatrzymanie strumienia brudnych pieniędzy wypływających z kraju. Jeżeli sprawimy, że przepływ gotówki stanie się równie ryzykowny jak sam handel narkotykami, będziemy mogli w znacznym stopniu ograniczyć działalność przestępców.

Cynthia jednak przed przedstawieniem sprawy w DEA chciała upewnić się o słuszności owych podejrzeń.

- Nie zamierzam nikomu rujnować życia na podstawie li tylko przypuszczeń - oświadczyła.

Ken pomógł jej w tej sprawie, dyskretnie sprawdzając stan zadłużenia pracowników Nathanson & Spelling. Wielu z tych, którzy przywłaszczyli sobie papiery wartościowe, było winnych znaczne sumy bookmacherom czy lichwiarzom; dłużnicy stawali się łatwym łupem dla organizacji przestępczych, które groźbami zmuszały tych ludzi do przestępstw w zamian za darowanie należności. Na liście podejrzanych znalazło się kilku urzędników banku, w tym jeden księgowy, a także prawnik, wszyscy z ujemnym stanem kont. Dwóch miało obciążone hipoteki domów i niespłacony kredyt wzięty na zakup samochodów, a także wisiała nad nimi groźba procesów sądowych ze strony firm rewindykujących długi.

Po zestawieniu owych informacji z bazą danych nowojorskiej policji ujawniono, że pewien zatrzymany przez tamtejsze służby lichwiarz, udzielający krótkoterminowych pożyczek, miał na liście dłużników nazwisko pewnego pechowego hazardzisty, który najwyraźniej stracił kontrolę nad swoim „hobby”. W czasie pracy w Nathanson & Spelling Cynthia nie zetknęła się z tym człowiekiem, ale i tak nie chciała oskarżać go bez ostatecznego dowodu. Pod wpływem impulsu zadzwoniła do Lionela i zapytała, czy wiadomo mu coś o papierach Nathanson & Spelling znajdujących się na „gorącej liście”.

- Tylko tyle, że zostały skradzione, co zgodnie z przepisami zgłoszono. Dlaczego pytasz?

- Bo wypłynęły jako zabezpieczenie przy bardzo podejrzanych pożyczkach.

- A więc przeszły już przez ręce pasera. Czego ode mnie oczekujesz? Cynthia nie spodobał się ton jego głosu - był oschły i niemal defensywny.

- Myślałam, że to cię zainteresuje - odparowała. - Forsa z narkotyków prana na taką skalę! Właśnie zaczyna się dochodzenie. Gdy pojawiła się nazwa Nathanson & Spelling, sądziłam, że wyświadczę ci przysługę informacjami na ten temat, zwłaszcza że według krążącej plotki twoje nazwisko znajdzie się niedługo w nazwie firmy.

W ciągu ostatnich lat Lionel przeprowadził znaczną ilość korzystnych interesów w Nathanson & Spelling, toteż jego protektor i teść, Maurice Nathanson, postanowił nie tylko awansować zięcia na naczelnego dyrektora, lecz także umieścić jego nazwisko w nazwie firmy w charakterze trzeciego wspólnika. Cynthia przypomniła

sobie, jaką wesołość wywołała w niej wiadomość, że Lionel nalega na wprowadzenie opłaty za ponadstandardowe usługi bankowe. Gdy postawił na swoim, uświadomiła sobie, jakie ma wpływy.

- Dziękuję ci za troskę - odrzekł jej były mąż - ale jeżeli nawet ktoś nas okrada, to gdzie tu nasza wina?

- Prawo może jednak widzieć tę sprawę inaczej - zauważyła Cynthia. - Nieświadomość nie jest najlepszą obroną przy zarzucie o współuczestnictwo w przestępstwie.

- Co, u diabła, sugerujesz?

- Że złodziej, czy złodzieje, mogą znajdować się wśród waszych pracowników.

- To śmieszne! - wybuchnął. Zastanawiała się, ile mu powiedzieć.

- Czasem, gdy ktoś popadnie w tarapaty, w desperacji dopuszcza się czynów, o których normalnie nawet by nie pomyślał.

Zapadło długie milczenie, wreszcie Lionel odezwał się ostrożnie:

- Przypuszczam, że chcesz, abym ci kogoś sprawdził.

- Właśnie tak.

Cynthia modliła się w duchu, by ambicja nie wzięła góry nad pryncypialnością jej byłego męża. Zamiast pytać o jedno nazwisko, podała całą listę, potem dodała jeszcze kilka. Serce w niej zamartało, gdy Lionel zaczął bronić pracownika, o którego właśnie jej chodziło.

- Jak mogłaś o nim pomyśleć? - pytał z oburzeniem.

- Zgadza się, że to miły człowiek - odpowiedziała z nadzieją, że Lionel nie pamięta, iż ów pracownik przyszedł do Nathanson & Spelling już po jej odejściu - ale podobno znalazł się w nieliczych tarapatach finansowych.

- Nieprawda - oświadczył, mocniej akcentując słowo, niż wymagała tego sytuacja. - Gdy ostatnio z nim rozmawiałem, planował właśnie zabranie żony na wakacje do Europy. O co, do licha, tu chodzi?

Ostrożnie tłumaczyła, że istnieje możliwość, iż właśnie ten człowiek ukradł papiery wartościowe, o których wspominała, i może być powiązany z ludźmi mającymi związek z kolumbijskim kartelem narkotykowym.

- Och, na Boga, Cynthio, chyba słońce Florydy zmaćło ci umysł! Wygląda mi na to, że każdy, kto mieszka w Miami lub okolicy, wszędzie widzi powiązania z kolumbijskimi gangsterami.

Zignorowała jego sarkazm.

- Nie uważam cię za naiwnego, Lionelu, ale jest coś, nad czym powinieneś się zastanowić. Nathanson & Spelling ma kontakty z wieloma szwajcarskimi bankami, a niektóre z nich podejrzewa się o prowadzenie interesów z największymi syndykatami handlu narkotykami. Na twoim miejscu zainteresowałabym się, czy któryś z twoich ludzi nie przyjmuje wielkich wpłat gotówką lub też czekami bankowymi mającymi pokrycie w dużej ilości papierów wartościowych.

- A ja na twoim miejscu, Cynthia, nie wtykałbym nosa w nie swoje sprawy! Zaczął oskarżać ją o zmyślanie całej historii tylko po to, by przysporzyć mu kłopotów, zarzucał, że wciąż jest zła z powodu ich rozstania, zazdrosna o jego nową żonę, no i o to, że on zostanie trzecim wspólnikiem firmy. Cynthia odłożyła słuchawkę.

Gdy powtórzyła Kenowi rozmowę z Lionelem - po odpowiednim zredagowaniu urojonych oskarżeń byłego męża - brat doprowadził do ponownej kontroli sytuacji finansowej podejrzanego. Niespodziewanie okazało się, że jakimś cudem ów człowiek nie ma już żadnych długów - posiada za to pokaźne fundusze na koncie w swoim banku i może sobie pozwolić na zabranie żony na drugi miesiąc miodowy do Szwajcarii.

Ken sugerował, że teraz Cynthia powinna przekazać zdobyte informacje do biura prokuratora federalnego, lecz ona wciąż się wahała.

- Z chwilą gdy tak postąpię, mogę pożegnać się z karierą zawodową - oznajmiła bratu. - Czy ktokolwiek chciałby mieć u siebie pracownika, który z każdym podejrzeniem biegnie do prokuratora?

Jako agent, który trafił właśnie na kogoś zamieszanego w handel narkotykami, Ken nie był zadowolony z decyzji Cynthii, ale jako brat musiał się z nią zgodzić. Nalegał więc na rozwiązanie kompromisowe: przed wyjazdem w związku z kolejnym śledztwem zarządzi ścisły nadzór DEA nad niektórymi urzędnikami banku, Cynthia ma tylko mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

- Gdybyś natrafiła na coś, co mogłoby doprowadzić do aresztowania - powiedział, wręczając jej kartkę z nazwiskiem osoby, z którą miała się kontaktować podczas jego nieobecności - gdybyśmy przyłapali któregoś z nich na gorącym uczynku, na bezpośrednim

kontakcie z ludźmi powiązаныmi z kartelem, obeszlibyśmy się bez ciebie i twoich akt.

Trzy miesiące później Cynthia zupełnie przypadkiem podsłuchiwała w banku rozmowę o mającym nastąpić tego dnia spotkaniu jednego z urzędników z Jaimem Bastido. Według znanego jej pracownika DEA, Bastido stanowił pierwsze ogniwo w łańcuchu osób odpowiadających za pranie pieniędzy dla kartelu rodziny Espinosa. Natychmiast zawiadomiła grupę nadzorującą. Agenci poszli za podejrzanym urzędnikiem na parking, gdzie doszło do spotkania. Gangster zjawił się wraz z dwoma kurierami. W chwili gdy wielka czerwona walizka przechodziła z rąk do rąk, ludzie z DEA aresztowali całą grupę. W kieszeniach Bastida znaleziono dwa tysiące dolarów, pod przednim siedzeniem jego samochodu dwadzieścia pięć tysięcy, a w aktówce czeki bankowe na sumę czterystu dwudziestu sześciu tysięcy. Spodziewano się, że w walizce będzie jeszcze więcej gotówki, liczone także na skradzione blankiety, tymczasem znajdowało się tam pięćdziesiąt kilogramów kokainy. Od tej chwili życie Cynthii zmieniło się na zawsze. Prowadzone od prawie roku dochodzenie pchnęło ją na drogę bez odwrotu. Materiały zebrane o trzech pracownikach banku Hudson National niezbicie dowiodły, że ludzie ci, nie rejestrując skradzionych papierów wartościowych, poważnie naruszyli obowiązującą ustawę bankową, a nawet jeżeli zgłaszali zaginięcie certyfikatów, to podawali nieprawdziwe dane. W zamian za przyjmowanie olbrzymich, nielegalnych wpłat otrzymywali pokaźne gratyfikacje, do tego dochodził jeszcze procent od sum transakcji, z którymi wiązało się wystawianie bankowych czeków na fikcyjne nazwiska. Jednym słowem przyjmowali świadectwa, o których wiedzieli, że zostały skradzione, a później ułatwiali telegraficzny transfer milionów dolarów do banków za granicą. Cynthia uważała, że zgromadziła materiał dowodowy wystarczający do skazania winnych, jednak prokurator oświadczył, że nie obejdzie się bez jej wystąpienia w sądzie. Wtedy uświadomiła sobie nagle, jak mocno zaangażowała się w dochodzenie, zupełnie lekceważąc jego ewentualne skutki. Do pewnego momentu sądziła, że może najzwyczajniej przekazać władzom informacje i usunąć się w cień. Prokuratorzy uświadomili jej, że to niemożliwe. Całymi tygodniami rozpaczliwie myślała o tym, jak się wyplątać, i żałowała, iż dopuściła, by chęć walki o sprawiedliwość wzięła w niej górę nad zdrowym rozsądkiem.

Następnie wspomniała Kena; od miesięcy nie miała z nim kontaktu - zapewne brat wykonywał swoje zadanie, więc ona też powinna zrobić to, co nakazywało jej sumienie. A poza tym uważała, że im szybciej sprawa się skończy, tym prędzej Ken wróci do domu i ich życie potoczy się jak dawniej.

Zgodziła się wystąpić w charakterze głównego świadka i wtedy okazało się, że jej obecność jest niezbędna aż na dwóch rozprawach, a nie na jednej. Władze szeroko zarzuciły sieć - w Miami Cynthia miała zeznawać przeciwko swym kolegom z Hudson, wspierając oskarżenie Bastida i jego kolumbijskich szefów, w Nowym Jorku zaś wystąpić przeciwko urzędnikom z Nathanson & Spelling, a także kilku mafiosom rozprawdzającym kolumbijskie „złoto”. By uspokoić własne sumienia, prokuratorzy ostrzegli ją przed konsekwencjami: ludzie, przeciwko którym wystąpi, nie zwykli zapominać, a im bardziej teraz utrudni przestępcom życie, tym lepsza stanie się ich pamięć.

Cynthia była przekonana, że zrozumiała. Potem zaś morze wyrzuciło na plażę w Keys podziurawione kulami ciało brata i wtedy uświadomiła sobie, na jakie niebezpieczeństwo naraziła życie swoje i najbliższych.

Podczas pogrzebu Kena wśród żałobników znalazł się pewien dziwny człowiek. Cynthii przemknęło przez głowę, że to emisariusz kartelu Espinosa, ale szybko odpędziła tę przerażającą myśl. Zbyt wielu policjantów nadzorowało uroczystość żałobną, poza tym krótko obcięte włosy, okulary przeciwsłoneczne i granatowy garnitur wskazywały raczej na pracownika instytucji rządowej. Pewnie to jakiś kolega Kena z DEA. Potem, już u niej w domu, Dan Connor błysnął srebrną odznaką i przedstawił się jako wyższy funkcjonariusz biura szeryfa federalnego, czym zaskoczył Cynthię całkowicie. Jak większość ludzi, kojarzyła określenie „szeryf z łapaniem przestępców na pograniczu”.

Connor, najwyraźniej przyzwyczajony do takiej opinii panującej wśród cywilów, wyjaśnił, że biuro szeryfa jest odpowiedzialne z wszystkie federalne rozprawy sądowe, i to już od dwustu lat.

Przede wszystkim on i jego zastępcy mają obowiązek zapewnić podczas procesu bezpieczeństwo Cynthii, Erice i państwu Stantonom. Odpowiadają też za bezpieczne dotarcie Cynthii na rozprawę i z powrotem do domu.

- Tutaj, w Miami - powiedział - pracownicy naszego okręgu przetransportują panią służbowym pojazdem, w Nowym Jorku dostanie pani do ochrony kilku inspektorów.

Skinęła głową, choć nie bardzo docierały do niej te słowa. Oszołomiona wydarzeniami dnia pragnęła jak najszybciej zamknąć drzwi za szeryfem Connorem, by mogła pozostać sama ze swym smutkiem. Dopiero gdy usłyszała o przeprowadzce jej i Eriki do bezpiecznego miejsca, zaczęła słuchać uważnie.

- Możliwie jak najszybciej musimy zabrać was ze strefy zagrożenia - powiedział bez ogródek mężczyzna.

- Nie zamierzam się nigdzie przeprowadzać, a moja córka zostanie ze mną!

- Jest pani głównym świadkiem oskarżenia, czyli, mówiąc wprost, osobą narażoną na wielkie niebezpieczeństwo. Potrzebuje pani ochrony, śmierć brata powinna to uzmysłwić. - W jego głosie nie usłyszała współczucia.

- Śmierć brata uprzytomniła mi raczej, że powinnam zrobić wszystko, by nie być waszym świadkiem - ostro odparowała Cynthia, jednak Dan Connor zachował spokój.

- Już za późno, wiedzą o pani. Nie ma najmniejszego znaczenia, co pani teraz zrobi, czy będzie zeznawać, czy nie.

Logika tych słów i rzeczowy ton mówiącego poraziły Cynthię; wiedziała, że ma rację. Wybór został już dokonany - teraz musiała ponieść konsekwencje swej decyzji.

Przez następne kilka tygodni często spotykała się z szeryfem Connorem, czasem w obecności rodziców, czasem sam na sam. Rozmowy, niektóre o nader burzliwym przebiegu, dotyczyły najlepszego sposobu chronienia jej i jej rodziny.

Oczywiście znowu wynikła kwestia przeprowadzki na stałe.

- Biuro szeryfa prowadzi federalny program ochrony świadków - powiedział Connor i bynajmniej nie zaskoczyła go negatywna reakcja, z jaką się spotkał. Przerwał i czekał, aż Cynthia ochłonie i skończy swą gwałtowną tyradę. Zamiast próbować ją przekonywać, zaskoczył ją tłumaczeniem, jak poważną sprawą są przenosiny. - Wprawdzie nasze biuro podejmuje wszelkie środki konieczne do ochrony danej osoby - ostrzegł - jednak pani bezpieczeństwo zależy przede wszystkim od zastosowania się do naszych wskazówek. A więc możemy was ochronić tylko wtedy, jeżeli pani sama tego zechce.

Cynthia była rozsądną kobietą. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęłaby dla siebie, córki czy rodziców, to los Kena.

- Zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji - powiedziała, wyraźnie walcząc ze sobą - ale jakoś nie mogę pogodzić się z myślą o zniknięciu, tak zwyczajnie, z powierzchni ziemi.

- Zapewniam panią, pani Stanton, że nie ma w tym nic zwyczajnego. W każdym razie nalegam, by pozwoliła pani na doprowadzenie sprawy do końca. Należy podjąć tę niezwykle istotną decyzję, i to możliwie jak najszybciej. Cynthia westchnęła ciężko. Nie znosiła, gdy poruszał kwestię czasu. Zdawało jej się wtedy, że wielki zegar zawisł tuż nad jej głową. Z każdą sekundą, z każdym ruchem wskazówek tarcza się obniżała, rozszerzając ciemną plamę cienia, zamazując życie Cynthii i ją całą.

- Dobrze - szepnęła, niezdolna do wydobycia z siebie głosu, jakby bała się, że samo omawianie tematu spowoduje jej natychmiastowe zniknięcie - niech tak będzie.

Następnego dnia agent miejscowego biura federalnego przyprowadził do jej domu psychologa, co dało początek wielu wizytom. Przez kilka kolejnych tygodni jej, Ericie i państwu Stantonom zadawano setki pytań, nieraz bardzo osobistych, począwszy od seksualnych skłonności i potrzeb Cynthii do kwestii, czy dziewczynka moczy się w łóżku. Głównym tematem pozostały jednak relacje: matka - córka, wnuczka - dziadkowie, ojciec - córka.

Cynthia zapytała, czy rodzice mogą wziąć udział w programie ochrony razem z nią; obawiała się, co będzie, jeżeli zostaną pozbawieni zaraz po Kenie córki i wnuczki. W kwestii przeprowadzki starszych państwa szeryf Connor nie chciał składać żadnych wiążących deklaracji, lecz obiecał, że Cynthia i Erica będą mogły utrzymywać z nimi kontakt, przekazując korespondencję przez zaufane osoby. Czasem będą także mogli porozmawiać ze sobą przez zabezpieczoną przed podsłuchem linię. Trochę to Cynthię pocieszyło.

Gdy padły już wszystkie pytania i uzyskano niezbędne informacje, dane zostały opracowane w biurze operacyjnym wydziału kryminalnego Departamentu Sprawiedliwości. Wynik zaskoczył Cynthię.

- Po analizie wszystkich okoliczności oraz sporządzeniu sylwetek psychologicznych pani rodziców uznano, że da się ich w wystarczający sposób chronić na miejscu - oznajmił Connor.

Spodziewał się, że Cynthia poczuje ulgę na wieść, iż jej rodzice unikną przeprowadzki, i zaskoczyła go jej reakcja.

- Ken opowiadał mi o przemocy panującej w świecie handlarzy narkotyków, mówił, że ci dranie postępują według jakiegoś chorego systemu, nie tylko niszcząc świadków, ale także ich rodziny. - Z trudem powstrzymała wybuch emocji. - Zabili już Kena; nie potrafiłabym żyć ze świadomością, że przyczyniłam się także do śmierci rodziców.

Dan Connor również chciał tego uniknąć. Jednakże do jego obowiązków należało przekonanie tej kobiety, że podjęto najlepszą dla niej decyzję.

- Cynthio, przeniesienie twoich rodziców w inne miejsce jest możliwe i chcę, byś o tym wiedziała. Ale musisz przyjąć do wiadomości, że psycholog nie zaleca ich przeprowadzki dokładnie z powodów, o których wspomniałaś. Śmierć Kena, a teraz twój udział w sprawie zachwiały ich równowagę psychiczną. Przenosiny mogłyby być dla nich zbyt dużym wstrząsem. Dostosowanie się do nowych warunków życia i całkowita zmiana tożsamości są ogromnie ciężkie dla osób w tym wieku, zwłaszcza przy ich obecnym stanie ducha.

- Pomogłabym im - prosiła, z trudem powstrzymując łzy, ze wszystkich sił starając się sprawiać wrażenie osoby twardej i opanowanej. - Proszę, gdyby przeze mnie coś im się przytrafiło...

- Uważamy, że ci, którzy mogliby mścić się na tobie, zostawią twoich rodziców w spokoju, ponieważ - na jego twarzy niespodziewanie pojawił się rumieniec zażenowania - z powodu podeszłego wieku obojga ich śmierć, chociaż by cię zasmuciła, jednak nie zniszczyła, jak śmierć własnej córki.

Cynthia poczuła się, jakby ktoś wstrzyknął jej do żył lodowatą wodę. Przez dłuższy czas w milczeniu patrzyła przed siebie.

- Jeżeli rodzice mają pozostać na Florydzie, wyjadę sama. Ricki może przenieść się do Nowego Jorku, do ojca.

Dan Connor drgnął. Rozpacz tej kobiety, tak wyraźna i głęboka, ścisnęła wprost za serce. Potrząsnął tylko głową, wolał uniknąć bolesnych słów.

- Lionel kocha Ericę i zrobi wszystko, by ją chronić.

- Jestem tego pewien, Cynthio, ale nie ma możliwości psychicznych ani fizycznych do zapewnienia dziewczynce bezpieczeństwa.

Przez chwilę czuł się, jakby wręczył jej łopatę i zażądał, by kopała dla córki grób.

- Lionel jest jej ojcem - szepnęła tak cicho, że z trudem rozróżniał słowa. - Nie mogę prosić Eriki, by wyrzuciła go z pamięci.
- Po policzkach Cynthii spływały łzy. - Nie zrobiła przecież nic złego.

Jej płacz mocno poruszył Dana. Pracował w tym zawodzie od dwudziestu lat, w ciągu ośmiu ostatnich, odkąd ustanowiono program ochrony świadków, a także jakiś czas przedtem, nadzorował przeprowadzkę przynajmniej setki osób, w większości kryminalistów sypiących współników dla uniknięcia więzienia. Prawie żaden nie wzbudził w nim cienia współczucia. Cynthia to co innego: ta kobieta w niczym nie zawiniła.

- Często zdarza się, że organizujemy spotkania dziecka z którymś z rodziców nieobjętych programem i czuwamy nad bezpieczeństwem wszystkich - powiedział Dan, podsuwając jej wyjście z sytuacji.

Cynthia otarła oczy grzbietem dłoni i słuchała z uwagą. Zdążyła poznać go już na tyle, by wiedzieć, który pomysł uważa za dobry, a który nie, wyczuwała także, co by jej radził, ale wiedziała, że decyzja należy do niej samej.

- Jakie byłyby minusy takiego rozwiązania?

- Bezpieczeństwo Eriki zależeć będzie od tego, czy zdołamy przekonać wszystkich o jej śmierci. Z całym szacunkiem, Lionel Baird wydaje mi się w gorącej wodzie kąpany i uważam, że nie potrafiłby utrzymać języka za zębami. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Cynthia się roześmiała.

- Trafiłeś w sedno! Bates pozwolił jej na ową chwilę rozbawienia.

- A więc postanowione: tylko wy dwie zostaniecie objęte programem ochrony świadków.

W jednej sekundzie uśmiech zniknął z twarzy Cynthii; zrozumiała, na co się godzi.

- Jak to wpłynie na życie mojej córki?

Podziwiał tę kobietę - nie spytała, co będzie z nią samą; owo pytanie dręczyło go od dłuższego czasu.

- Może porozmawiasz z doktor Felder, ona lepiej wyjaśni ci wszystko. Pani psycholog okazała Cynthii wiele współczucia, lecz postawiła sprawę uczciwe.

- Udział w programie ochrony świadków - mówiła - to psychiczny kataklizm, pociąga za sobą cywilną śmierć i narodziny na nowo. - By zapewnić ci bezpieczeństwo - tłumaczyła - program pozbawi cię wszystkiego, co cię określa emocjonalnie. Musisz zerwać kontakty z krewnymi i przyjaciółmi, zrezygnować z pozycji, jaką zdobyłaś w społeczeństwie, zadowolenia z zawodu, z dochodów, zapewniających wygodne życie. Zostaniesz przeniesiona w całkiem nowe otoczenie i będziesz musiała znaleźć w nim własne miejsce, unikając zwracania na siebie uwagi. A co najgorsze, zostanie ci odebrane imię i nazwisko, oraz wszystko. do czego się przywiązałaś, a co mogłoby narazić cię na niebezpieczeństwo.

- Na przykład zwierzę domowe? - zapytała Cynthia, myśląc o ukochanym cocker - spanielu Eriki, Checkersie.

- Niestety.

W ciągu pięciu lat współpracy z biurem szeryfa Hannah Felder udzielała porad wielu kandydatom do programu ochrony, żaden jednak nie zrobił na niej takiego wrażenia jak Cynthia Stanton. Tym razem to nie jakiś nic nie wart kryminalista, ratujący się przed więzieniem. Ta kobieta z rozpaczą myślała, jak nauczyć swoje dziecko kłamać - po dziewięciu latach przekonywania go o potrzebie mówienia prawdy. Jak powiedzieć córce, że musi zrezygnować nie tylko z przyjaciół, dziadków i ojca, ale nawet z imienia, ze swej tożsamości, z miejsca na ziemi. Dziecko o otwartej, szczerzej i przyjacielskiej naturze będzie musiało nauczyć się skrytości i zamknąć w sobie.

- Chciałabym przedstawić ci receptę na uporanie się z sytuacją tak złożoną jak ta, którą napotkasz, ale czarodziejska pigułka, Cynthia, nie istnieje. Mam dla ciebie zbyt wiele szacunku, by cię okłamywać. Najlepsza rada, jakiej wam mogę udzielić, to ta, byś przekonała córkę, żeby cię we wszystkim naśladowała. Jeżeli ty sobie poradzisz, Erica też się uda. To dociekliwa dziewczynka, która zada ci mnóstwo pytań. Staraj się jej nie okłamywać, chociaż czasami prawda boli. Wy dwie powinnyście być wobec siebie szczerze, skoro szczerść wobec reszty świata jest niemożliwa. Unikając prawdy w relacjach z Ericą, pozwolisz, by rozdzieliła was atmosfera tajemnicy i wzajemnej nieufności. Cynthia długo i głęboko zastanawiała się nad słowami doktor Felder, wiele także myślała o jej uwagach dotyczących kwestii Lionela.

- Nic nie usprawiedliwia decyzji odebrania Ericie ojca - powiedziała w końcu.

- Ale nie możesz także, dla uspokojenia wyrzutów sumienia, narazić jej na niebezpieczeństwo.

- On jest bogaty i wpływowy, i chociaż nasze małżeństwo się rozpadło, muszę przyznać, że kocha Ericę i by ją chronić, oddałby własne życie.

- Może i tak, ale czyjego żona również?

Nan. Nan Nathanson Baird urosła nagle do nader istotnego elementu rozważań o przyszłości Eriki. Cynthia wprawdzie nie potrafiła wyobrazić sobie, by tamta z rozmysłem naraziła życie dziewczynki, ale Nan nie jest matką Eriki i mogłaby nie zrozumieć konieczności zachowania milczenia.

Minął pewien czas, nim przygotowano dokładny plan działania, a potem jeszcze przekonano Cynthię, że program ochrony świadków jest dla niej jedynym wyjściem z sytuacji. W końcu przyznała rację Connorowi: choć Erica boleśnie przeżyje rozstanie z ojcem, jest to dla wszystkich jedyne rozwiązanie. Raz podjąwszy decyzję, Cynthia nie oglądała się wstecz i nie wahała. Podpisała stosowny dokument, określający prawa i obowiązki uczestnika programu: nie może wrócić do strefy zagrożenia, z której zostanie zabrana, ani też, bez specjalnego zezwolenia spotykać się z osobami ze swej przeszłości, a w nowym środowisku nie wolno jej wspominać o sprawach mogących wzbudzić podejrzenia. Jeżeli zaś nie podporządkuje się tym zasadom, spowoduje przerwanie programu.

- Zostaniesz przeniesiona ze strefy zagrożenia, daleko, do miejsca, w którym zdołamy zapewnić ci bezpieczeństwo - wyjaśniał Dan. - Utracisz wszelkie materialne oznaki własnej tożsamości: metrykę urodzenia, prawo jazdy, kartę ubezpieczeniową, etc. Zaopatrzymy cię w nowe dokumenty i będziesz pod stałą opieką naszego agenta. Pomożemy ci znaleźć pracę, dom i, co najważniejsze, nową tożsamość.

- A co będzie ze mną? - spytała Cynthia. - Z moją obecną tożsamością i tym, co z takim wysiłkiem osiągnęłam, co z moim życiem?

- Tak naprawdę - powiedział łagodnie - zostaniesz wymazana.

Pod koniec dnia trzech pracowników Hudson National Bank: drugiego zastępcę dyrektora działu kredytów, urzędnika

odpowiedzialnego za ich udzielanie i głównego kasjera skazano za wypranie ponad dziewięćdziesięciu milionów dolarów. Jaimego Bastido i dwóch jego ludzi także uznano za winnych przedstawionych im zarzutów. I tak jak członkowie mafii i urzędnik banku Nathanson & Spelling skazani w Nowym Jorku, wszyscy oskarżeni w Miami otrzymali wyroki długoletniego więzienia. Gdy na sali sądowej rozległy się okrzyki na cześć głównego świadka i szeryfa Batesa, a przy wyjściu otoczyła ich gromada reporterów, zamiast spodziewanego uczucia triumfu Cynthia poczuła tylko strach. A jeżeli któryś z nich pracuje dla kartelu? Ta myśl nurtowała ją ciągle, bez przerwy, od początku procesu. Nie mogła doczekać się końca sprawy. Po odburknięciu po raz dwudziesty „bez komentarza”, zasłaniając się przed natarczywym błyskiem fleszów, pozwoliła, by Sam Bates wziął ją pod ramię i poprowadził ciemnym korytarzem. Wyszli bocznymi drzwiami, od tłumu odgradził ich szczelny kordon policji.

Crown victoria i wozy eskorty ruszyły spod budynku sądu. Po chwili z pobliskiego parkingu wytoczyło się i pojechało w ślad za nimi niepozornie wyglądające auto. Reportera, który akurat stał przy swoim samochodzie, uderzyło coś dziwnego: ciemny pojazd nie miał tablic rejestracyjnych! W jednej chwili wraz z kamerzystą wskoczyli do wozu i popędzili za tamtymi. Samochody wyjechały z centrum miasta niczym bezładny kondukt pogrzebowy i skierowały się w stronę domu Cynthii w północnym Miami. Tam, na Palmetto Drive, crown victoria się zatrzymała. Pierwszy rządowy wóz skręcił w Ibis Lane i zaparkował przy bocznej ścianie domu, ostatni sedan eskorty stanął w poprzek ulicy, blokując przejazd. Auto bez tablic zatrzymało się uliczkę dalej. Reporter wjechał w zaułek i ustawił się na podjeździe do sąsiedniego domu w nadziei, że będzie świadkiem jakiegoś niezwykłego wydarzenia. Oczy wszystkich siedzących w samochodach ludzi skierowały się na dom.

Szeryf Bates towarzyszył Cynthii do samych drzwi, otworzył je i zawołał coś do ochrony. Po kilku sekundach policjant pilnujący domu wpuścił Sama i Cynthię do środka. Minęło kilka minut. Bates ukazał się w drzwiach i z uwagą obserwował, jak człowiek z firmy zajmującej się czyszczeniem basenów idzie chodnikiem na tyły posesji, wsiada do swojej ciężarówki i odjeżdża. Po upewnieniu się, że wszystko w porządku, szeryf wrócił do samochodu. Crown victoria

ruszyła, a za nią eskorta. Trzeci samochód obstawy został w bocznej uliczce.

Niespodziewanie auto bez tablic z piskiem opon skierowało się w stronę domu Cynthii. Boczna szyba opadła nagle i w oknie ukazała I się rura przypominająca lufę armatnią. Rozległ się huk i nastąpiła straszliwa eksplozja. Dom stanął w płomieniach. Samochód ruszył dalej, wypluł drugi śmiertelny ładunek prosto w auto obstawy i pędem odjechał, zostawiając za sobą zniszczenie.

Tego wieczora reporter, który był świadkiem zdarzenia, przemawiał do widzów w całym kraju, stojąc przed wypalonymi ruinami domu Cynthii.

- ...niecałe trzy godziny po zakończeniu procesu, gdy jej słowa do; prowadziły do skazania sześciu osób zamieszanych w pranie pieniędzy kolumbijskiego kartelu narkotykowego, Cynthia Stanton, jej dziewięcioletnia córka Erica i dwaj ochraniający je inspektorzy zostali zamordowani. Ich śmierć stanowi krwawy finał operacji „Dzień Prania”. Detektywi pracujący przy sprawie zachowują milczenie, ale, jak dowiedzieliśmy się z zaufanego źródła, DEA uważa, że zlecenie na tę zbrodnię wydał kartel rodziny Espinosa. Lokalne władze, przypominając, że pani Stanton zeznawała także na procesie w Nowym Jorku, w którym skazano na więzienie ponad tuzin osób, obarczają winą mafię. Cynthia Stanton, dobra samarytanka i przykładna obywatelka, stanęła po stronie sprawiedliwości, za co zapłaciła własnym życiem, a także brata i córki. Cynthia i Erica oglądały wiadomości w rządowym hangarze znajdującym się na tyłach międzynarodowego lotniska w Miami. Matka, patrząc, jak jej dom staje w płomieniach, płakała. Z oczu córki wзираła pustka.

Dan Connor wyłączył telewizor. Było ważne, aby jego podopieczne obejrzały ten reportaż. Powinny się dowiedzieć, że biuro szeryfa dotrzymało słowa: obie są teraz martwe niemal dla wszystkich. I choć kartel Espinosy i mafia wiedzą - - każde z osobna - że nie miały nic wspólnego z zamachem, żadna z tych organizacji nie może mieć pewności, czy nie jest on dziełem konkurencji. Pomimo że Connor pragnął, by Cynthia i Erica jak najszybciej znalazły się w samolocie, nie poganiał ich. Potrzebowały trochę czasu, by pożegnać się z przeszłością. Cynthia starała się dodać córce otuchy.

- To wszystko stało się na niby. Tam nikogo nie było, nikt, kochanie, nie ucierpiał.

Erica kiwnęła głową, ale jej oczy jakby przykleiły się do pociemniałego ekranu. Twarz miała bladą i tak pozbawioną wyrazu, że Cynthia obawiała się, czy dziecko nie jest w szoku.

- Co z Checkersem? - Dziewczynka zamknęła oczy. Cynthia nie była pewna, czy córka zatrzymała pod powiekami przerażające obrazy sprzed kilku minut, czy też wspomnienia chwil spędzonych na zabawach z ukochanym cocker - spanielem.

- Jest bezpieczny. Poprosiliśmy Anę o zajęcie się nim, nie pamiętasz? - Na wspomnienie Any Colon dolna warga dziewczynki drgnęła. Były serdecznymi przyjaciółkami od dnia, w którym Erica i Cynthia wprowadziły się do domu po drugiej stronie ulicy. - Ana na pewno zaopiekuje się nim jak należy, Ricki. Bates przerwał tę rozmowę:

- Przykro mi, ale pilot już czeka, musimy iść. - Otworzył drzwi i poprowadził je na pas startowy.

Dan Connor objął Cynthię.

- Życzę wam szczęścia - powiedział i mocno ją uściśnął. Patrzyli, jak Erica, ociągając się, razem z Samem wchodzi po schodkach i znika we wnętrzu samolotu.

- Nic jej nie będzie. Trochę to potrwa, ale wierz mi, poradzi sobie.

- Mam taką nadzieję - odrzekła Cynthia.

- Na pewno. - Uśmiechnął się do niej. - Przecież ma ciebie.

- A ja? - Po raz pierwszy wyglądała na naprawdę przestraszoną.

- Masz mnie - odpowiedział Dan, idąc za nią do schodków, przy których czekał Sam. - Masz córkę. I Sama.

Po ostatnich słowach pożegnań Cynthia szybko wbiegła na schodki, jak gdyby w obawie, że jeszcze chwila, a nie będzie w stanie wyjechać. Już na pokładzie starała się, aby jej twarz przybrała wyraz odwagi. Uplłynęła dobra godzina, zanim Erica się odezwała:

- Dokąd jedziemy?

Cynthia, Dan i Sam Bates spędzili całe godziny na tłumaczeniu dziewczynce, na czym polega istota programu ochrony świadków, omawiali też powody, dla których Cynthia zdecydowała, że obie muszą niktować. Śmierć Kena z całą ostrością uświadomiła wszystkim zagrożenie. Chociaż Erica nie chciała nic mówić na ten temat, doktor Felder wyjaśniła Cynthii, że szok, jakiego doznała dziewczynka, przekona ją o potrzebie pozostawania w ukryciu. Miały przecież za

sobą długie miesiące obecności policjantów w ich domu - kompromis wypracowany przez Dana i Cynthię. (By nie zakłócać życia obu przeprowadzką do bezpiecznej kryjówki, agenci chronili ich na miejscu). Bo jak powiedział Dan swym zwierzchnikom, niedługo i tak będą musiały zostawić ten dom i swoje obecne życie.

- Do małego domku gdzieś bardzo daleko - pośpiesznie odpowiedziała Cynthia - tam, gdzie będziemy bezpieczne.

- Czy tatuś wie, że nic nam się nie stało?

Cynthia sądziła, że nie pozostało już nic więcej, co mogło złamać jej serce. Myliła się jednak.

- Tak, kochanie, wie, że jesteśmy bezpieczne.

- Wysłałaś mu zdjęcia? Nie chcę, by o nas zapomniał.

Cynthia i Erica zapakowały do pudełka swe ulubione zdjęcia, a Dan obiecał oddać je Lionelowi na mszy żałobnej - rodzice Cynthii nie zgodzili się na uroczysty pogrzeb córki i wnuczki. Powie mu, że zdjęcia, przechowywane w metalowej kasetce, ocalały.

- Tatuś nie mógłby o tobie zapomnieć, Ricki, za bardzo cię kocha. Pamiętaj o tym. Mała apatycznie skinęła głową.

- Będę za nim tęskniła - szepnęła głosem pełnym żalu. Przez długą chwilę w kabinie panowało przykre milczenie.

- Jak będziemy się teraz nazywały? - zapytała Erica, z wysiłkiem starając się zachowywać jak „duża dziewczynka”.

- Ja muszę zmienić wszystko, ale szeryf Dan powiedział, że ty, jeże - li chcesz, możesz zachować imię i zostać Ericą jakąś tam. - Cynthia uśmiechnęła się, pragnąc, by sztywna procedura zmiany nazwiska wyglądała jak gra. Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę, a potem z powagą popatrzyła na matkę.

- Jesteśmy razem, mamusiu, tworzymy zespół, prawda, sama tak mówiłaś. - Cynthia skinęła głową, ze wzruszenia nie mogła znaleźć słów. - Jeżeli ty zmieniasz imię, ja też.

Decyzja zapadła i teraz Erica mogła spokojnie zająć się oglądaniem chmur za oknem. Akurat wyglądały jaśniej, wydawały się łatwiejsze do rozproszenia niż te ciężkie w kabinie.

- Czy będziemy musiały ukrywać się do końca życia? - spytała po chwili. Cynthia nie umiała jej odpowiedzieć i spojrzała pytająco na ich towarzysza. Sam Bates wiedział, że chociaż kilku winnych wylądowało za kratkami, inni przestępcy, zamieszani w tę sprawę, pozostali na wolności. Jedni przeczekają burzę, ginąc w

anonimowości, szczęśliwi, że ich udział, duży czy nie, nie wyszedł na jaw i wykręcili się od federalnego więzienia; drudzy wszakże, chociaż nadal w ukryciu - nie poniechają zemsty.

Pewnie miną lata, nim będą mogły - o ile kiedykolwiek to nastąpi - wyjść z ukrycia, nim Biuro uzna, że nic im nie grozi. Cynthia popatrzyła na Sama z nadzieją. A on wiedział, że w tej chwili - zwłaszcza przy małym dziecku, nawet najdrobniejsze odstępstwo od założeń programu ochrony mogłoby kosztować je życie.

- Tak - odpowiedział Erice stanowczym tonem - ty i twoja matka będziecie musiały się ukrywać do końca życia.

Nowy Jork. Dwadzieścia lat później.

W nogach niezastłanego łóżka leżała młoda kobieta. Jej nagie, okaleczone ciało spoczywało w nieskromnej pozycji, na wznak. Rozsunięte szeroko nogi odsłaniały anatomiczne sekrety, ale w owej pozycji trudno byłoby doszukać się zaproszenia. Jeszcze niezakrzepła krew utworzyła ciemną kałużę pod pachwiną dziewczyny, plamiła uda. Tuzin głębokich, okrutnych cięć zadanych ostrym narzędziem szpeciło skórę. Długie, jasne włosy wciśnięto w usta ofiary. Jedna pierś przechylała się w lewo, drugą w bestialski sposób odcięto. Pokój wydawał się tonąć we krwi; rozmazana na ścianach, pościeli, meblach i dywanie tworzyła ohydne wzory. Rozbite klosze lamp i wywrócone krzesła świadczyły o stoczonych tutaj walce. W mieszkaniu świeciły się wszystkie światła, a z głośników umieszczonych w szafce w salonie rozbrzmiewała w obscenicznym akompaniamencie „Walkiria” Wagnera.

Umundurowani policjanci pilnujący miejsca zbrodni przekazali informację o wydarzeniu detektywom z wydziału kryminalnego z dziewiątego posterunku, po czym wyszli do holu uspokoić sąsiadów. Po przybyciu na miejsce ekipy z CSU* jej członkowie wraz z detektywami k Jeden - Dziewięć rozpoczęli rutynowe oględziny miejsca zbrodni. Z rękami w kieszeniach albo założonymi z tyłu zbadali całe mieszkanie uważając, by nie pozostawić własnych śladów ani nie zmienić położenia żadnego przedmiotu. Gdy już wszyscy obejrzeli dokładnie miejsce zdarzenia, detektywi rozpoczęli rozmowy z sąsiadami denatki, by uzyskać podstawowe informacje, a w tym czasie zespół ekspertów przystąpił do żmudnego zajęcia - zabezpieczania dowodów.

Śledczy z biura lekarza sądowego przyglądał się, jak młodszy detektyw z ekipy szkicuje rozkład salonu. Specjalista z CSU, nadzorujący sprawę, stał w drzwiach sypialni i rejestrował w pamięci wygląd pomieszczenia, które miało właśnie zostać sfotografowane.

Amanda Maxwell, wysoka i smukła w granatowym płaszczu, z lśnącymi kasztanowatymi włosami schludnie wsuniętymi pod baseballową czapkę nowojorskiej policji, weszła do mieszkania i od razu przystąpiła do pracy. Zaczęła od ogólnych ujęć z bliska i z daleka; te pozwolą później detektywom oraz prawnikom obydwu stron wyobrazić sobie rozmieszczenie zebranych dowodów. Po zakończeniu serii zdjęć, ogólnych i szczegółowych, przystanęła i zastanawiała się chwilę nad całościowym ujęciem miejsca zdarzenia, po czym ułożyła na podłodze kwadratową planszę o boku ponad pół metra, mającą dać pojęcie o wielkości pomieszczenia. Następnie weszła na mały taborecik - należący do wyposażenia, jakie nosiła w torbie ze sprzętem - i skierowała lampę błyskową w górę, aby światło odbiło się od sufitu. W końcu popatrzyła na ofiarę.

Przyjaciele Amandy nie potrafili zrozumieć, jak można zajmować się taką pracą; pytali, czy nigdy nie miewa mdłości, czy nie zdarza jej się zemdleć lub zapłakać na widok tak okrutnego efektu ludzkich poczynań. Nadaremnie próbowała tłumaczyć, że obiektyw daje dystans. Przebywała na miejscu zbrodni, ale równocześnie jakby obok. Ciało, niezależnie od stanu, w jakim się znajdowało, było już tylko przedmiotem, miejsce zbrodni tłem, a jej aparat narzędziem służącym do zbierania dowodów. Choć cywile nie mogli tego zrozumieć, praca w policji wymagała inteligencji, instynktu, umiejętności obiektywnego spojrzenia i wytrwałości. Tutaj nie było miejsca dla emocji; te tylko zaciemniały obraz. Koledzy przyglądali się, jak Amanda fotografuje ofiarę i jej otoczenie. Uchwyciła także planszę, aby ułatwić technikom przygotowanie szkicu we właściwej skali. Po skończeniu podstawowych czynności zaczęła pracochłonne dokumentowanie, klatka za klatką, miejsca zbrodni. Najpierw obfotografowała ciało, począwszy od głowy, potem, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, do prawego ramienia, a następnie skierowała się do stóp i wreszcie do lewej ręki. Robiła zdjęcia ze wszystkich stron, aż w końcu przyszła kolej na rany. To okazało się najtrudniejsze. Trzeba było nie lada samozaparcia, by stanąć twarzą w twarz z niehumanoidalnym wręcz okrucieństwem, i upływ czasu nic tu nie zmienił.

Amanda uważała, że to dlatego, iż metody przemocy ciągle są udoskonalane, a sprawcy owych czynów stają się coraz bardziej pomysłowi. Każdego dnia pojawiało się tyle nowej broni trucizn, nowych, coraz wymyślniejszych sposobów zadawania cierpień ludzkiemu ciału. Na szczęście niewielu zwykłych szarych obywateli musi się stykać z gwałtowną śmiercią. A z biegiem czasu, dzięki litościwej pamięci, obrazy kojarzone ze zgonem, nawet te najbardziej wstrząsające i bolesne, bledną i pozostaje niejasne wspomnienie nieruchomego, milczącego kształtu spoczywającego w schludnym łóżku lub wyłożonej jedwabiem trumnie. Ci, którzy spotykają się ze śmiercią każdego dnia, wiedzą, że to znacznie bardziej skomplikowane zjawisko i o wiele paskudniejsze. Śmierć to obrzydliwa woń i obraza dla oczu, to brutalne wtargnięcie w prywatność, gwałt i przemoc; pozbawia iluzji o wrodzonej dobroci człowieka - zło czai się nawet w najlepszym z nas. I Wszystkie ruchy Amandy świadczyły o jej doświadczeniu. Teraz uniosła aparat do oczu i robiła ujęcia pod każdym możliwym kątem, utrwałała każdy fragment powierzchni, nie pomijając najmniejszych szczegółów, jak pokrywający nocny stolik kurz, jakieś śmieci, źle odłożona słuchawka telefonu. Po każdym zdjęciu robiła przerwę, by je dokładnie opisać: „Ujęcie 4, 325 E, 78., mieszkanie nr 20A, sypialnia od ściany południowej, ofiara z góry. Ujęcie 17, 325 E, 78., mieszkanie nr 20A. zbliżenie - genitalia ofiary. Ujęcie 45, 325E, 78., mieszkanie nr 20A. brzuch ofiary, filtr ultrafioletowy. Ujęcie 52, 325 E, 78., mieszkanie nr 20A, łazienka obok sypialni, plamy krwi: podłoga, sedes, umywalka, zasłona prysznic, obiektyw szerokokątny". Pracowała szybko i metodycznie, robiła ujęcia z różnych miejsc i sporządzała notatki. Zmieniając obiektywy i filtry, fotografowała przyciski stereo, jedzenie w lodówce, a wreszcie zionące pustką miejsce, gdzie powinna się znajdować prawa pierś kobiety, i w końcu samą pierś, którą znaleziono ciśniętą do muszli klozetowej niczym zużyty papier. Gdy skończyła, ekipa medycyny sądowej zabrała ciało, zaznaczywszy uprzednio kredą jego kontury, a Amanda zaczęła pracę jakby od początku. Powtarzała zdjęcia, mając obok siebie obrysowany kształt, bez nerwowej atmosfery, jaka zawsze towarzyszyła obecności ciała, i robiąc dla pewności po dwie fotografie tego samego miejsca.

- Hej, Max! - rzucił zniecierpliwiony Pete Doyle. Skończył szkice pozostałych pomieszczeń, zrobił pomiary i chciał teraz

popracować w sypialni oraz przyległej do niej łazience, lecz nie mógł zacząć, dopóki dziewczyna nie skończyła. - Może zdążysz jeszcze w tym stuleciu!

Amanda nie przejmowała się i dalej spokojnie robiła swoje. Skończyła film, przerzuciła notatki i rozejrzała się jeszcze raz - dla pewności, czy niczego nie pominęła.

- Jedynym obiektem, jakiego nie sfotografowałaś, jestem ja - zauważył Pete. - A zdążyła mi już urosnąć broda!

- To świetnie, zakryje ci twarz! - żartobliwie uszczypnęła go w policzek, przechodząc.

Pete chwycił za daszek jej baseballowej czapki i odwrócił ją w drugą stronę.

- Jak już to nosisz, wkładaj, do cholery, jak należy, wyglądasz jak fanka Metsów!

Dziewczyna potrząsnęła głową i popatrzyła na niego z politowaniem.

- Daj spokój, Pete, i tak nie uda ci się zaciągnąć mnie do łóżka. Śledczy z biura lekarza sądowego i trzeci detektyw z CSU, który przyszedł zastąpić Amandę, wybuchnęli śmiechem. Niczym nieposkromione dzikie żądze Pete'a stanowiły stały temat dowcipów wśród pracowników ekipy. Ten dobiegający już czterdziestki mężczyzna jak mógł starał się o utrzymanie reputacji niezwykłego uwodziciela, którą z takim wysiłkiem sobie stworzył. Zbliżająca się do trzydziestki Amanda już pierwszego dnia pracy dała wszystkim jasno do zrozumienia, że nie umawia się z kolegami z wydziału.

- Trzymaj, Max. - Harry Benson z CSU wręczył jej kartkę z zapisanym adresem. - Porucznik chce, żebyś poszła do Jeden - Siedem. Jest tam Cleland. Ma niezłą jatkę i chce cię z aparatem.

Choć wszyscy w CSU zostali jednakowo przeszkoleni w robieniu zdjęć i zbieraniu śladów, Amandę uważano za najlepszego fotografa ekipy. Niejednokrotnie wzywano ją do spraw, przy których prowadzący detektyw uważał, że fotografie nie tylko pomogą w śledztwie, lecz także ułatwią skazanie zbrodniarza.

- No to cześć, chłopcy! - pożegnała się, pakując sprzęt. Przerzuciła pasek wypchanej torby przez ramię, złapała drugą i ruszyła do drzwi.

- Zobaczymy się w „chacie”, Max - odpowiedział Harry i wziął się do pracy. Do nylonowej torby włożył zakrwawione figi ofiary. - I nie martw się, jak skończymy, ukoimy złamane serce Pete'a kilkoma piwami.

Amanda obrzuciła czterdziestoletniego playboya krytycznym spojrzeniem.

- Rzeczywiście, to ciało potrzebuje jeszcze kilku piw!

- Kocham cię, dziecino - rzucił Pete i zasalutował jej, wciągając brzuch.

- Ja ciebie też! - Amanda roześmiała się i dłonią przesłała mu pocałunek. Gabinet Waltera Clarke'a wyglądał jak wypucowana gablotka. Nikt nie znalazłby tu jednej drobin kurzu, odłamanego grafitu od ołówka czy też zbędnego skrawka papieru. Szyby oddzielające przełożonego nowojorskiej CSU od jego detektywów lśniły. Meble zawsze sprawiały wrażenie dopiero co odświeżonych, i nigdy ich nie przestawiano. Nawet po zebraniach z udziałem licznych grona pracowników krzesła znajdowały się na swoim miejscu, jakby Clarke przybił je do podłogi - niektórzy właśnie tak uważali. Był człowiekiem nade wszystko ceniącym porządek. „Porządek w domu to porządek pod czaszką” - mawiał. Niektórzy sądzili, że właśnie tej filozofii zawdzięczał karierę i to że był takim dobrym oficerem, inni zaś uważali go za niezdolnego zrzędcę.

Zbliżając się do gabinetu Clarke'a Amanda dostrzegła przez szklaną szybę, że szef ma gości - dwóch śledczych z posterunku, od rana zajmujących się sprawą morderstwa, oraz prywatnego detektywa, którego spotkała już wcześniej. Rozbawił ją ten widok: w sanctum sanctorum, jak powszechnie nazywano klitkę porucznika, siedział rozwalony na krześle osobnik z kilkudniowym zarostem, w rozchełstanej koszuli i skórzanej kurtce. Zazwyczaj każdy po przekroczeniu świętych wrót mimo woli prężył się, poprawiał krawat i prezentował dziarski wygląd na baczność”. Clarke zauważył przybyłą i kiwnięciem dłoni zaprosił dziewczynę do środka.

- Masz coś, Max? - spytał, z zaciekawieniem spoglądając na grubą teczkę, którą ścisnęła pod pachą.

Amanda popatrzyła na rozpartego na krześle faceta. Nie zamierzała mówić o policyjnych sprawach w obecności kogoś obcego.

- To Jake Fowler - wyjaśnił Walter, odgadując przyczynę jej milczenia - jest prywatnym detektywem, śledził ofiarę.

Tamten zagryzł wargi, słysząc pełen łaskawości ton Clarke'a. Wiedział, że technicy i policjanci z komisariatu nie znoszą, gdy do sprawy włącza się ktoś z zewnątrz, i choć tolerują prywatnych detektywów, nie przepadają za nimi.

- Vivian Wyland była bogatą pannicą z Północnej Karoliny, trochę szaloną, i miała problemy z alkoholem - wyjaśnił Amandzie.

Spojrzenie jego intensywnie błękitnych oczu wręcz paraliżowało. Choć sprawiał wrażenie faceta na luzie, dziewczyna wyczuwała, że to tylko poza, mająca zmylić przeciwnika. Przez chwilę taksowali się nawzajem wzrokiem.

- Rodzice stracili z nią kontakt i przypuszczali, że mogło jej się przytrafić coś złego. I mieli rację.

- Wstępne raporty toksykologiczne potwierdzają ów problem alkoholowy - odezwał się Caleb Green, detektyw prowadzący sprawę.

- Miała wręcz niebotyczny poziom alkoholu we krwi. Widziano ją w kowbojskim barze przy Wschodniej Trzydziestej, mamy świadka. To taka sobie buda, gdzie czasem wymyślą coś zabawnego i wtedy od razu staje się szykowna.

Partner Greena, Mickey Moran, wybałuszył oczy. Był to chłopak z Queens, który ożenił się ze szkolną miłością, przed wstąpieniem do policji odbył służbę w marynarce wojennej, regularnie odwiedzał rodziców, piwo pił z butelki, z okazji świąt narodowych wywieszał amerykańską flagę i czuł się dumny z tego, że uważano go za „swojego chłopca”. I nie rozumiał wyrażen typu „szykowny”.

- Może zabójca to jakiś bywalec tego lokalu - podsunęła Amanda. Otworzyła teczkę, wyjęła kilka powiększonych fotografii i rozłożyła je przed Walterem. Detektywi przysunęli się do biurka, by lepiej widzieć, co przedstawiają. Tylko Fowler nie ruszył się z miejsca. Jego wzrok wędrował od zdjęć do kobiety, która je zrobiła, i trudno byłoby powiedzieć, co bardziej go fascynuje.

Amanda wskazała na niewyraźny zarys prostokąta w centrum miejsca, które określiła jako „dolna część brzucha”.

- Ponieważ okoliczności sprawy wskazują na gwałt, zrobiłam kilka ujęć przez filtr ultrafioletowy; dzięki temu można uzyskać obraz słabo widocznych śladów. A to - przesunęła palcem po krawędzi prostokąta - wygląda na odcisk sprzączki paska, z westernowym motywem - dorzuciła z sarkazmem.

- Musiał pieprzyć jak szalony, by pozostawić taki ślad - mruknął Caleb. Mickey otworzył notes i przerzucił swoje zapiski.

- Według jednego ze świadków dziewczyna wyszła z Hitching Post około trzeciej nad ranem, uwieszona na ramieniu jakiegoś muskularnego faceta, mniej więcej trzydziestoletniego.

- Jak był ubrany? - zainteresował się Jake. - Wall Street? Bridge and Tunnel? Moran chrząknął.

- Daj spokój, Fowler, co mógł mieć na sobie, garnitur z kamizelką i melonik? Był w dżinsach i kowbojskich butach, jak cała reszta tych przebierańców. Amanda z trudem powstrzymała uśmiech. Micky zaledwie tolerował prywatnych detektywów, a to, że nie obrzucił intruza obelgami, świadczyło o okazywanym, wprawdzie niechętnie, jednak szacunku.

- Dobra robota - pochwalił Caleb. studiując zdjęcie - schowamy je na specjalną okazję.

Fotografia stanowiła mocny dowód. Nie tylko umożliwiła identyfikację zabójcy, lecz także mogła poruszyć ławę przysięgłych. A ostatnią rzeczą, jakiej pragnęli zebrani w gabinecie było, aby podejrzany przeczytał o tym śladzie w gazetach i pozbył się sprzączki.

- Chcesz jedno, Walter? - spytała Amanda, wkładając zdjęcia z powrotem do teczki.

- Nie, Caleb i Mickey pracują nad sprawą. I nie pokazuj tych odbitek innym, im mniej osób o nich wie, tym lepiej.

- A co ze mną? - Jake wyciągnął rękę.

Amanda popatrzyła na szefa; potrzęsnał głową, a potem oparł się o biurko i zbliżył twarz do Fowlera. Zmrużył oczy i ściągnął wargi w wąską linię.

- Jeżeli usłyszę na ulicy choćby jeden szept na ten temat, umocysz dupę, Jake, i możesz pożegnać się z licencją. Zrozumiano?

Fowler gwałtownie podniósł się z krzesła i wzruszył ramionami. Podszedł do drzwi. I - Przecież staram się pomóc.

- Pewnie! - parsknął wzgardliwie Mickey. - Nie dzwoń do nas, my się z tobą skontaktujemy.

- Kiedy tylko zechcesz, wielki człowieku - rzucił Jake i wyszedł. Walter patrzył za nim z uśmiechem.

- Może ktoś mi powie, o co tu chodzi - dopytywała się Amanda, wyraźnie zbита z tropu.

- Jake to kowboj - powiedział Caleb, w pełni świadomy ironii zawartej w tym określeniu - lubi działać na własną rękę. Wpada galopem w sam środek problemu, narobi niezłego bigosu, a potem znika z miasta.

- Trudno by było go nakłonić do zagrania w drużynie - dorzucił Mickey.

- Jest wyjątkowo rozgarnięty, uparty niemal do przesady, a przy tym nieprawdopodobnie uczciwy, no i czarujący... jak zechce - podsumował Walter. Zaintrygowana Max patrzyła to na jednego, to drugiego.

- Ale...?

- Dla tego człowieka nie ma nic świętego, on nie przestrzega żadnych zasad - stwierdził Caleb. Na twarzy Waltera pojawił się chytry wyraz.

- I właśnie dlatego jest jednym z najlepszych prywatnych detektywów w mieście! Amanda, z kluczami w dłoni, podbiegła po stopniach do drzwi kamienicy z piaskowca w West Side, w której mieszkała. Otworzyła, wybrała listy ze swojej przegródki w skrzynce i ruszyła na trzecie piętro do swego mieszkania. Miała za sobą długi dzień. Z chęcią poleżałaby w wannie, lecz pozostało jej tylko trochę czasu na szybki prysznic. Z poprzeczki nad kabiną ściągnęła trzy pary suszących się rajstop, odkręciła kran i pobiegła do salonu. Rozbierała się, odsłuchując wiadomości z automatycznej sekretarki.

Otworzyła szafę w sypialni. Którą z „małych czarnych” powinna włożyć dzisiaj wieczorem? Ostatnio tak często bywała na eleganckich obiadach, że sukienki zaczynały się powtarzać. Do niedawna jej życie towarzyskie nie wymagało strojów klasy „Voque'a” - tych samych ubrań, w jakich chodziła do pracy - spodni, swetrów, podkoszulków i kurtek - używała na każdą okazję. Ostatnie miesiące jednak przyniosły zmianę. Zamknęła oczy, wybrała sukienkę na chybił trafił i powiesiła na drzwiach łazienki, by wilgoć usunęła zagniecenia. Prysznic był dla Amandy czymś więcej niż chwilą wytchnienia; pod koniec każdego dnia musiała splukać z siebie zapachy, jakie do niej przyłgnęły - perfumy pomagały niewiele, a jednorazowe namydlenie ciała nie wystarczało. Ohydne wonie wciskały się we włosy, pozostawały głęboko w skórze. Amanda usuwała je - miała takie wrażenie - z każdym oddechem. Trochę pomagały miętowe pastylki, które miała

schowane w ciemni i ssała przez większą część dnia, a włosy myła lekko aromatyzowanym szamponem cytrynowym.

Na szczęście sięgające ramion proste, dobrze ostrzyżone, lśniące pasma nie wymagały długotrwałego suszenia na szczotce. Mocnego makijażu nie lubiła i prawdę mówiąc, nie potrzebowała. Cerę miała czystą i gładką, toteż podkład nakładała raczej z nawyku - wystarczało trochę jasnego różu na policzkach - a duże piwne oczy na wieczór podkreślała tuszem i cieniami. Najbardziej lubiła swoje usta o pełnych wargach - i choć uwielbiała je malować, wystarczały jej cztery szminki: brunatna, w kolorze czerwonego wina, różowobrazowa i jeszcze jedna, lilaróż. Tego wieczora postanowiła użyć pomadki koloru wina. Włożyła sukienkę - z czarnego dżerseju, e stójką pod szyją, z długimi rękawami - a do tego zamszowe pantofle. W uszach miała kolczyki z perłami, na przegubie ręki błyszczał złoty zegarek, do którego wciąż nie mogła się przyzwycząić. Pomimo protestów Amandy on uparł się, by dać jej taki prezent urodzinowy, więc, by sprawić mu przyjemność, wkładała zegarek, ilekroć mieli się spotkać. Zeszła po schodach i ruszyła w stronę skrzyżowania Osiemdziesiątej Dziewiątej i Columbus. Zatrzymała taksówkę.

- Do „Pierre'a" proszę, róg Sześćdziesiątej i Piątej.

Gdy ruszali, rozejrzała się, czy nikt jej nie obserwuje. Miała niejasne wrażenie, że mężczyzna stojący pod markizą restauracji odwrócił się i patrzy za nimi. Amanda szybko otworzyła puderniczkę i uniosła lusterko do oczu, by sprawdzić, czy nieznajomy ją śledzi. Było ciemno, a w dodatku mężczyzna stał w cieniu. Przypadek? Może czeka na przyjaciela albo na taksówkę, może po prostu schronił się przed chłodem. A może ma ją odszukać.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem. Amanda wysiadła, szybko podeszła do wejścia i ruszyła przez hol do wind. W kabinie była sama. Nacisnęła guzik numer cztery, a potem dwanaście. Winda zatrzymała się na czwartym piętrze i dziewczyna wysiadła. Odczekała kilka minut, a potem inną windą zjechała na parter. Stąd mogła wyjść na Sześćdziesiątą, biegnącą wzdłuż bocznej ściany hotelu. Zaczekała, aż portier przywoła taksówkę, i osłaniając dłońią twarz przed podmuchami zimnego wiatru, pośpiesznie wsiadła do samochodu. - Do „Tavern" w Green! - Bacznym spojrzeniem obrzuciła ulicę. Tym razem nie zobaczyła nikogo, kto mógł się nią interesować.

Na parkingu tej popularnej wśród turystów restauracji szybko prze - siadła się do połyskującej czernią limuzyny.

- Dobry wieczór, panno Maxwell.

- Dobry wieczór, Thompson. Dokąd dzisiaj?

„La Cremaillere” była uroczą wiejską gospodą na granicy Nowego Jorku i Connecticut. Bywali tu już wcześniej, Amanda nie musiała więc podawać swojego nazwiska. Robert, właściciel, powitał ją serdecznie i zaraz poprowadził do stolika we frontowej sali, w pobliżu kominka.

Dżentelmen, z którym miała się spotkać, wstał i patrzył, gdy szła w jego stronę. Był to nobliwie wyglądający szpakowaty mężczyzna o tej „wypolerowanej”, typowej dla bogaczy powierzchowności. Uścisnął Amandę serdecznie i troskliwie podsunął krzesło. Kelner napełnił winem stojący przed nią kieliszek. Upiła łyk, z aprobatą kiwnęła głową i uniosła lampkę w stronę swego towarzysza.

- Jak zawsze wspaniale.

- Jesteś pewna?

- Naturalnie, wyborne.

- Miałaś po drodze jakieś kłopoty?

- Najmniejszych. - Ta troskliwość ją rozczerzyła - zachowywał się, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że na nowo pojawiła się w jego życiu.

- Wyglądasz cudownie. - Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i uścisnął.

- I dziękuję, że włożyłaś ten zegarek, chociaż go nie znosisz. Roześmiała się z zakłopotaniem.

- Ależ nie, tylko... jest niezupełnie w moim stylu.

- A jaki jest ten twój styl?

Amanda obrzuciła spojrzeniem jego drogi włoski garnitur, szytą na zamówienie koszulę, jedwabny krawat, masywne złote spinki przy mankietach i zadbane paznokcie. Instynktownie popatrzyła na własne ręce, bez śladu manicure i poza owym zegarkiem pozbawione wszelkiej biżuterii. Czarna sukienka, której zakup spowodował poważny uszczerbek na koncie pracownicy policji, nie kosztowała pewnie tyle co jego woda kolońska.

- Prosty, bez ozdób, skromny, najczęściej policyjny ubiór.

- Kobieta tak niezwykła jak ty nie powinna unikać biżuterii.

- Doskonale się bez niej obchodzę, w kosztownościach czułabym się trochę nieswojo.

- Polubiłabyś ładne rzeczy - powiedział łagodnie, starając się zbytnio nie naciskać.

- Być może, ale akurat w tym momencie mojego życia nie bardzo widzę się obwieszona złotem i w futrze.

- To dałoby się zmienić, wiesz przecież, powinnaś tylko poważnie zastanowić się nad propozycją pracy w mojej firmie.

- Myślałam o tym - przyznała.

- Naprawdę?

Ściągnęła usta. Był przekonany, że Amanda przyjmie jego ofertę i taka myśl najwyraźniej sprawiła mu przyjemność.

- Wiem, trudno ci w to uwierzyć - powiedziała, żałując, że go rozczaruje - aleja lubię to, co robię.

- Nie proszę, żebyś rzuciła fotografowanie, twoje zdjęcia naprawdę robią wrażenie. Ale ta cała policyjna robota... - Skrzywił się z niesmakiem.

Amanda uśmiechnęła się smutno. Nie mogła potępiać go za to, że uważa jej pracę za wyjątkowo odpychającą. Czemu miałoby mu się podobać to, że ona spędza dużą część życia obok zwłok.

- Ale jeszcze nie zrezygnowałam ostatecznie z twojej propozycji. Czytam materiały, które od ciebie dostałam, przeglądam też część „Timesa” poświęconą biznesowi.

- I? - Niecierpliwił się trochę.

- Jestem tym wszystkim zainteresowana - przyznała ostrożnie - ale bez przesady.

- A więc muszę jeszcze popracować, aby cię przekonać.

- Nie naciskaj za mocno, dobrze? - Pochyliła się i pogłaskała go po policzku. Przytrzymał jej dłoń. - Teraz raczej zajęłabym się naszymi wzajemnymi relacjami.

- Jak sobie życzysz - powiedział głosem ochryłym ze wzruszenia. Jeżeli potrzebowała czasu, dostanie go, ile zapragnie, i był wdzięczny za to, że znowu go miał. A jeżeli nawet Amanda nie zmieni zdania, uszanuje jej decyzję i nie zachowa się jak wobec innych; nie zlekceważy jej niepokojów ani osobistych pragnień, nie odrzuci zastrzeżeń jako nieistotnych. Wiedział, że bywa arogancki, wymagający i egoistyczny, a ludzi traktował z obraźliwą niecierpliwością, bo jak wielu, którzy odnieśli oszałamiający sukces, miał przekonanie o wyższości własnych sądów nad opiniami i

uczuciami innych. Ale ta młoda kobieta to nie owi wszyscy „inni”; on jest Lionelem Bairdem, Amanda zaś jego córką.

Do jego życia wróciła przed sześcioma miesiącami, w sierpniu, w parną, środową noc. Siedział w barze w „Four Seasons”, popijał zmrożoną wódkę i czekał na żonę, Pamelę Richardson Baird, z którą właśnie się rozwodził. Dochodziła siódma. Byli umówieni na szóstą trzydzieści, postanowił więc zostać jeszcze kilka minut. Nagle na stołku obok usiadła młoda kobieta.

- Przykro mi, ale na kogoś czekam - oznajmił chłodno.

- Wiem.

- No więc prosiłbym...

- Chciałabym, żeby się pan ze mną przespacerował - poprosiła cicho. Wyglądała na zdenerwowaną, ale i zdecydowaną. Zaniepokoił się; był powszechnie znany, jego nazwisko się liczyło, a w tym mieście nie brakowało najrozmaitszych maniaków. Mogła należeć do jakiejś agresywnej grupy „dobroczyńców”, która akurat jego uznała za złoczyńcę miesiąca, albo też była elegancką prostytutką, w nietuzinkowy sposób zaczepiającą klienta.

- Jeżeli pani natychmiast nie odejdzie - warknął - dam znak mojemu ochroniarzowi, a ten wyprowadzi panią z lokalu. Zapewniam, że nie będzie to przyjemne.

Ani drgnęła. Położyła przed nim świeżo ściętą różową kamelię. Lionel zmrużył oczy. Po kilku sekundach przyplłynęło wspomnienie: różową kamelię kupił tylko raz w życiu - swojej córce... podczas jej ostatniego pobytu w Nowym Jorku.

- Kim, u diabła, jesteś? I czego chcesz?

- Powiem... na zewnątrz.

- Nigdzie się nie ruszam bez mojego ochroniarza. Wzruszyła ramionami.

- Świetnie, pójdzie za nami albo przodem. Byle nie obok. Ogarnięty ciekawością, i pod wrażeniem, że w najmniejszym stopniu jej nie onieśmiał, zapłacił rachunek i dał znak Brunonowi, by szedł za nimi, postępując dokładnie tak, jak życzyła sobie ta młoda kobieta. Opuścili restaurację; czujny, zwalisty Bruno podążył kilka kroków za nimi; skręcili w prawo, a potem jeszcze raz w prawo na Park Avenue. W letniej sukience opinającej zgrabne ciało, z włosami poruszanymi delikatnym wieczornym wiaterkiem, dziewczyna zupełnie nie

wyglądała na terrorystkę. Ale, pomyślał Lionel, niebezpieczeństwo nie musi kryć się za brzydką twarzą.

- No to przystąpmy do rzeczy, dobrze? Jestem umówiony.

- Już nie - odrzekła - to ja dzwoniłam i powiedziałam twojemu służącemu, że pani Baird prosi o spotkanie. Lionel przystanął i popatrzył na nią badawczo.

- Kim jesteś? - powtórzył pytanie.

- Dam ci kilka wskazówek - oznajmiła tajemniczo. - Ale chodźmy dalej, nie chciałabym, by ktoś nas usłyszał.

Szli wolno Park Avenue, a ona wspominała sprawy, o jakich mogła wiedzieć tylko jego córka; mówiła o chwilach, które spędzili jedynie we dwoje, dniu, w którym zabrał ją na mecz Jankeśów i niemal złapali skiksowaną piłkę; kiedy uczył ją, jak omijać kamienie w stawie w Central Parku i gdy w Miami zabrała go na szkolne pokazy.

- Chciałam, by moi koledzy zobaczyli, że naprawdę mam ojca - powiedziała cicho młoda kobieta.

Lionel wolno zwrócił ku niej twarz. Pozostał czujny, lecz teraz nieznajoma absorbowwała całą jego uwagę.

- Kupiłeś mi różową kamelię, bo uważałeś ten kwiat za najlepszy do mojej sukienki. To było w dniu, gdy po raz pierwszy zabrałeś mnie na balet, na „Jezioro łabędzie”.

Lionel chwycił ją za ramię. Z emocji cały drżał. Wpił wzrok w jej źrenice.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Wiem, bo tam byłam - odrzekła spokojnie. - Jestem twoją córką Ricki. Z niedowierzaniem pokręcił głową, oczy zabłyśły mu gniewem.

- O co tu chodzi? To jakiś okrutny żart! Moja córka nie żyje! Słyszając podniesiony głos szefa, Bruno ruszył w ich stronę.

- Każ mu się trzymać z daleka - zażądała.

- Jak śmiesz dyktować mi, co mam robić!

Patrzył na nią z wściekłością, twarz mu poczerwieniała; malowały się teraz na niej arogancja i upór. W głębi serca czuł jednak drżenie - i to nie dlatego, by uważał, że ta dziewczyna w jakikolwiek sposób mu zagraża. Coś się w nim budziło: jakby igła delikatnie drażniła skórę sięgała coraz głębiej i głębiej, do miejsca, o którego istnieniu dawno zapomniał, a które, jak sądził, było martwe od lat.

- Nie zamierzam cię obrabować ani zranić - powiedziała. - Każ mu się cofnąć! Lionel zawahał się, lecz uniósł dłoń, by powstrzymać potężnie zbudowanego mężczyznę.

- Dziękuję.

- Mów dalej! - warknął.

Sięgnęła do torebki, wyjęła małą zabawkę i podała mu - był to wagonik kolejki elektrycznej. Lionel gwałtownie wciągnął powietrze. Kupił córce ten drobiazg w sklepie F.A.O Schwarza, miała wtedy ze cztery lata. Wcześniej rozmawiali o tym, skąd się biorą imiona. Powiedział małej, że nazwano ją Ericą po jego matce, Frederice. Gdy zapytała, po kim on nosi imię, wyjaśnił: „Po pociągach”. Nie zrozumiała, więc zabrał ją do wielkiego sklepu z zabawkami i zaprowadził do kolekcji kolejek elektrycznych - na każdej widniała nazwa „Lionel”. Potem nalegał, by wybrała sobie wagonik - wskazała na ten - mały, czerwony wagonik brekowego.

- Zabroniono mi cokolwiek zabierać - kontynuowała kobieta podająca się za Ricki - ale uprosiłam mamę, by wszyła mi ten wagonik w poduszkę. Miałam go ze sobą przez te wszystkie lata.

Lionel pieszczotliwie pogłaskał zabawkę, starając się zachować obojętną minę. Ale gdy popatrzył na dziewczynę ponownie, jego twarz była szara z emocji.

- Muszę się napić - powiedział ochryplym głosem - i musimy porozmawiać. Wrócili do „Four Seasons” i zajęli stolik w najodleglejszym kącie sali gier.

- Dlaczego? - zapytał, kiedy wzmocnił się już kieliszkiem wódki - dlaczego pozwoliłyście, abym uwierzył w waszą śmierć?

- Tylko w ten sposób mama i ja mogłyśmy zapewnić sobie bezpieczeństwo. Milczał, najwyraźniej starając się oswoić z wrażeniem, jakie zrobiło na nim jej przyjście, a także ze świadomością, iż nie został wtajemniczony w ową ważną decyzję o zniknięciu żony i córki.

- Czy twoja matka sądziła, że cię nie kochałem i nie będę za wami tęsknił? - spytał.

Amanda widziała, jak bardzo czuje się dotknięty, i zagubiony. Rozumiała go, ale przecież wtedy decyzja nie należała do niej. Nie wątpiła w słuszność postępowania matki - nie po tym, co razem przeszły.

- Wiadomość o śmierci twojej i mamy całkiem mnie rozkleiła - przyznał otwarcie. To żal zniszczył jego drugie małżeństwo. Nan nie mogła zrozumieć tak długiej żałoby, nie potrafiła wyobrazić sobie ogromu rozpaczony Lionela, zwłaszcza po utracie Cynthii. Pomimo rozwodu nadal uważał byłą żonę i córeczkę za swą prawdziwą rodzinę. Cynthia na zawsze pozostała miłością jego życia; decyzję o rozwodzie podjęła ona, nie on. Małżeństwo z Nan było konsekwencją ambicji Lionela. Jak mógł sobie wtedy wyobrażać, że gdy tylko osiągnie status starszego wspólnika w Nathanson & Spelling, Nan odejdzie, on zaś pogodzi się z Cynthią. a wtedy obie wrócą i życie potoczy się poprzednim torem?! W jednej chwili, która wstrząsnęła nim do głębi, jego marzenia przysnęły.

- Nigdy nie mogłem się pogodzić z waszym odejściem. Córka sięgnęła przez stolik i dotknęła dłoni Lionela.

- Ja też za tobą tęskniłam, każdego dnia.

W ciągu następnego miesiąca często się spotykali. Lionel chciał poznać każdy szczegół z życia Amandy od dnia ich rozstania. Wyjaśniła mu, na czym polegał program ochrony świadka, opowiadała jak razem z matką przenosiły się z miejsca na miejsce, by w końcu, jako Beth i Amanda Maxwell, zamieszkać na północnym zachodzie - jedynym ich kontaktem z przeszłością stały się listy do i od Stantonów - a także o szeryfie, którego z czasem zaczęła nazywać wujkiem Samem. Nie chciała zdradzić jego nazwiska, nazwisk i imion, jakich wtedy używały oraz nazw miast, w których mieszkały, nim osiadły w Waszyngtonie, ani też czym zajmuje się Cynthia i gdzie obecnie mieszka.

Lionel uznał to za brak zaufania i wyrzucał jej, że nie powiedziały mu prawdy; wujek Sam, kimkolwiek jest, mylił się: on, ojciec, zachowałby tajemnicę, choćby poddawano go nie wiedzieć jakim naciskom.

Przy innej okazji Lionel, delikatnie wypytując Amandę, dowiedział się, że w ciągu owych lat wujek Sam i Beth zakochali się w sobie. Ku własnemu zaskoczeniu poczuł ukłucie zazdrości. I Powstrzymał się od pytań, co jego córka myśli o związku matki z mężczyzną, który je ochraniał, czy wcześniej Beth była związana z kimś jeszcze i czy Sam został wybrany, bo był pod ręką, zapytał natomiast o życie miłosne dziewczyny. E - Nie istnieje - odpowiedziała obojętnie.

- Dlaczegoż to?

- Zanim się kogoś pokocha, trzeba mu zaufać, a ja, co możesz sobie wyobrazić, nie jestem w tym najlepsza.

Lionel roześmiał się z gorzką ironią, i przyznał jej rację. On sam wykluczył zaufanie ze swego zasobu uczuć przed dwudziestu laty, gdy zobaczył na ekranie telewizora, jak dom w Miami staje w płomieniach, pochłaniających życie kobiety i dziewięcioletniego dziecka, którym, jak utrzymywano, zapewniono bezpieczeństwo.

- Ani ja - przyznał - i pewnie dlatego wkrótce rozwiodę się po raz trzeci.

- Tym razem przynajmniej nie zostaniesz sam - zauważyła Amanda z uśmiechem.

- Na szczęście odzyskałem moją Ricki i życie znów nabrało barw! W jednej chwili jej uśmiechniętą twarz wykrzywił gniew.

- Tyle razy mówiłam, żebyś nazywał mnie Amanda, nie Ricki! Rozumiem twoje przyzwyczajenia, ale zmień je, w przeciwnym razie możesz sprawić, że obydwie zginiemy! - Lionel już miał powiedzieć, że jej obawy są przesadne, powstrzymała go jednak. - Oni tu krążą - stwierdziła z głębokim przekonaniem - i wciąż nas szukają.

Owładnęły nim poczucie winy i wstyd. Nie mógł pogodzić się z myślą, że życie jego córki i byłej żony upływa w cieniu stałego zagrożenia, gdyż nie potrafił sobie wyobrazić podobnej egzystencji. Podświadomie uczeplił się wersji pozytywnej: opuściły Miami, wyjechały do innego miasta, gdzie żyły szczęśliwie i bezpiecznie. Amanda wszakże przekonała go, że wcale tak nie było.

- Jak myślisz, dlaczego nalegam, by nasze kontakty utrzymać w tajemnicy, abyśmy spotykali się w miejscach takich jak to, dlaczego ciągle się upewniam, czy nikt nas nie śledzi? To nie zabawa, Lionelu, oni wciąż czyhają na życie moje i Beth. Mówiła niskim głosem, z jej słów wiało grozą.

- Czy ty... i Beth macie powody, by przypuszczać, że się o was dowiedzieli? - zapytał.

Amanda milczała. Lionel mógł odczytać jej wahanie za nieufność, uświadomił sobie jednak, że to instynktowna reakcja, wynik wieloletniego zagrożenia. Ale zabolalo.

- Zabili dziadziusia Stantona.

- Zginął w wypadku samochodowym - sprostował łagodnie. Nie chciał się z nią sprzeczać, lecz przecież przeglądał policyjny raport.

Był na pogrzebie, pocieszał teściową. - Babcia Stanton mówiła, że stracił panowanie nad kierownicą.

- Bo przecięli przewody hamulcowe.

Lionel czuł się wstrząśnięty jej chłodną reakcją. Nie przemawiała przez Amandę obsesyjna podejrzliwość, tylko dogłębna znajomość faktów.

- Ten tak zwany wypadek wydarzył się dwa lata po rozprawie. Rodzina Espinosa nie miała pewności, czy rzeczywiście zginęliśmy w wybuchu i na wypadek, gdybyśmy żyły, w ten sposób chciano przesłać nam wiadomość: „Ta śmierć nie jest przypadkowa”.

- Jak to się stało, że taka historia nie trafiła do gazet?

- Babcia i dziadek znajdowali się pod luźną ochroną. Gdy szef miejscowej policji dowiedział się, kto zginął, zabezpieczył samochód i natychmiast porozumiał się z biurem szeryfa. Stamtąd przysłano własnych mechaników do zbadania wraku. - W oczach Amandy błysnął gniew. - Dranie nie bawili się w subtelności, po prostu przecięli linki. - Zacisnęła z wściekłości zęby na przejaw takiej arogancji.

- Biuro przekazało do prasy spreparowane sprawozdanie mechaników: „Przed wypadkiem samochód nie posiadał usterek. Opóźniona reakcja kierowcy, wynikła z jego podeszłego wieku, w znacznym stopniu przyczyniła się do utraty panowania nad kierownicą i uderzenia samochodem o murek oddzielający przeciwne pasy ruchu”. Koniec historii. Pamiętaj, mówimy o południowej Florydzie, tam takie rzeczy są na porządku dziennym.

- Czy babcia знаła prawdę? Amanda potrząsnęła głową.

- To by ją jeszcze bardziej przeraziło, a i tak była wystraszona. - Kilka oderwanych myśli połączyło się w jej głowie i od razu wszystko pojęła. - Zabrałeś ją do Arizony i pomagałeś jej aż do śmierci, prawda?

- Eleanor była wspaniałą kobietą. Nie chciałem, by stała się więźniem we własnym mieszkaniu, a to właśnie zaczynało jej grozić. Charles, ty, twoja matka i Ken zniknęliście z jej życia. Nie miała o kogo się troszczyć, nie miała żadnego zajęcia. Po prostu pomogłem jej urządzić się w nowym miejscu.

- Spodobało jej się tam - powiedziała Amanda w zadumie - dziękuję ci. Lionel uśmiechnął się lekko.

- Proszę bardzo. - Uznanie dla jego dobrego uczynku, jakże nieczęste, mile go polechtało. - Byłaś na pogrzebie Charlesa? - zapytał zaniepokojony faktem, że stała tam gdzieś z Cynthia, a on ich nie dostrzegł.

- Nie, wujek Sam uważał to za zbyt niebezpieczne. - Amanda zmarszczyła czoło.

- Zresztą po raz kolejny zostałyśmy przeniesione.

- Wiem, jak mocno Cynthia była związana z ojcem - powiedział Lionel. Nie potrafił stłumić goryczy na myśl o przeznaczeniu... i wujku Samie, pozbawiającym go podobnej relacji z córką. - Twoją matkę musiało boleśnie zranić to, że nie mogła pożegnać Charlesa.

- Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Amanda drgnęła, ukrywając jednak prawdziwe uczucia pod nieprzeniknioną maską, która od lat stała się jej drugą twarzą. Wydawało się, że rozważa, czy postępuje roztropnie, wyjawiając ojcu szczegóły z przeszłości.

- Gdy babcia Stanton umarła, mama uparła się, że pojedziemy na jej pogrzeb. Wujek Sam przyprowadził nawet kilku swych przełożonych, by wybili jej z głowy ten pomysł.

Sytuacja wcale nie była śmieszna, jednak Lionel uśmiechnął się, gdy wyobraził sobie pokój pełen wyższych urzędników federalnych, starających się odwieść podopieczną od wzięcia udziału w żałobnej ceremonii. Cynthia Stanton, jaką znał, nie dałaby się przekonać do rezygnacji z raz podjętego postanowienia, jeżeli uważała, że ma rację; a gdy jeszcze chodziło o rodzinę, stawała się niewzruszona niczym skała. Amanda uświadomiła sobie powód wesołości ojca i też się uśmiechnęła, lecz tylko na chwilę.

- Poleciałyśmy do Miami dzień przed pogrzebem, kilka godzin po tym, jak ciało babci przewieziono z Phoenix. Biuro zatroszczyło się o samochód z tablicami z Południowej Karoliny i letnie, turystyczne ubrania dla nas. Zamieszkałyśmy w marnym motelu na przedmieściach Fort Lauderdale. Towarzyszył nam wujek Sam. Kilku jego kolegów z Miami pojechało wcześniej upewnić się, czy miejsce jest „czyste”. W motelu wpisałyśmy się do książki i czekałyśmy do zmroku. Potem pojechałyśmy do miasta, do domu pogrzebowego, gdzie miałyśmy pozostać pół godziny.

W jej głosie, niższym teraz o oktawę, dało się słyszeć napięcie. Lionel cierpiał, gdy na twarzy córki odbijały się przeżycia tamtych chwil.

- Było późno, wokoło panowała cisza. Alarm został wyłączony, drzwi, tak jak wcześniej ustalono, zastaliśmy uchylone. W panujących ciemnościach musieliśmy używać latarek i choć sytuacja niezupełnie odpowiadała naszym wyobrażeniom, spędziłyśmy z mamą chwilę przy zmarłej. Na straży stanęli wujek Sam i ten drugi inspektor.

- Zanim wyszliśmy, wujek Sam włączył alarm, a potem zamknął za nami drzwi. Gdy znaleźliśmy się niedaleko od samochodu, zabrzmiał potężny huk i uderzyła w nas fala gorącego powietrza. - Amanda przymknęła oczy, jej twarz wykrzywił grymas.

- To była bomba zapalająca. Ten drugi agent zasłonił mamę, mnie przycisnął do ziemi własnym ciałem wujek Sam. Uderzyłam o chodnik tak mocno, że złamałam nos i szczękę. Padając, usłyszałam jeszcze krzyk wujka, żebyśmy się nie podnosiły, i straciłam przytomność. Obudziłam się w szpitalu Jackson Memoriał. Moją twarzą zajął się chirurg plastyczny.

Lionel nie widział córki przez dwadzieścia lat i teraz przyglądał jej się dokładnie. Jako dziecko była uderzająco podobna do matki, po nim odziedziczyła jedynie dołek w brodzie; sprawiło mu przyjemność, że chirurg zadbał o pozostawienie tej cechy. Ze zdziwieniem dostrzegł, że gdyby nie operacja, dziewczyna zapewne stałaby się kopią Cynthii. Co za ironia, pomyślał, nieudany atak ludzi Espinosy ochronił Amandę.

- A Cynthia? - zapytał, zastanawiając się, czy również jej wygląd zmieniono tak bardzo, by utrudnić rozpoznanie.

- Doznała oparzeń drugiego stopnia, tak jak wujek Sam. Ale już nic im nie jest.

- Kto rzucił bombę? I skąd, u diabła, wiedział, gdzie i kiedy będziecie?

- Ktokolwiek to zrobił, oddalił się, nim nadszedła pomoc. A skąd wiedział? - wzruszyła ramionami. - żaden plan nie jest w stu procentach pewny.

- Czy ujęto zamachowca i przesłuchano go?

- I tak, i nie. Dwa dni po tym wydarzeniu przy trasie I - 70 znaleziono spalone ciało. Badania laboratoryjne wykazały, że

mężczyzna zginął od takiej samej bomby zapalającej, jaka wybuchła obok nas.

- Nie wywiązał się ze swego zadania, więc go zabili - spekulował Lionel.

- Pewnie masz rację. - Amanda uświadomiła sobie nagle, że pierwszy raz w życiu zwierza się komuś innemu niż matka czy wujek Sam. Było to dziwne, ale przyjemne uczucie. - Sądzymy, że Espinosa pojął, iż w przypadku dziadziusia przechytrzył sam siebie. Nasza nieobecność na pogrzebie nie musiała znaczyć, że jesteśmy martwe, zaczęli więc na śmierć babci. Gdy umarła, umieścili kogoś na lotnisku w Phoenix, by się dowiedzieć, dokąd wysyłają ciało. Potem postawili kogoś przed domem pogrzebowym i czekali. Byli gotowi. Lionel ujął dłoń córki. Odczuwał dotkliwy ból na myśl, ile okropności przeszła w ciągu swego młodego życia i, co gorsza, które jeszcze ją czekają.

- Wiedzą, że żyjesz. - Na samą myśl o tym zbladł. Amanda skinęła głową.

- Od tamtego wydarzenia minęło trzynaście lat. Przenoszono nas kilka razy, zanim w końcu osiadliśmy w Waszyngtonie. Wujek Sam został na kilka lat oddelegowany do innej części kraju. Ale masz rację, oni wiedzą.

- Znają obecne miejsce zamieszkania twoje i matki?

- Nie - odrzekła przejmująco spokojnie - w przeciwnym razie byłybyśmy już martwe.

- Więc co zrobimy?

Amanda spojrzała na ojca i przyszło jej do głowy, że pojawianie się na nowo w jego życiu było okrucieństwem. Na twarzy Lionela malował się niepokój. Jak dobrze byłoby móc za przyciśnięciem niewidzialnego guzika zniknąć i wrócić mu życie takie, jakie wiódł, zanim go odnalazła. Niestety, taka możliwość nie istniała.

- Zrobimy to, co oni - powiedziała - będziemy obserwować i czekać cierpliwie. Amanda zaprzyjaźniła się z aparatem fotograficznym mając trzynaście lat, a związek ten, jak większość spraw w jej życiu, powstał z konieczności. Ona i Beth już od ponad roku mieszkały w miasteczku niedaleko Spokane w stanie Waszyngton. Był to najdłuższy okres, jaki od wyjazdu z Miami spędziły w jednym miejscu, ale nie czuły się tu najlepiej. Cztery lata bezustannej ucieczki pozbawiły je poczucia bezpieczeństwa.

Wszystko, co zapewnia życiu stabilność: dom, rodzina, znajome środowisko - zniknęło wraz z ich prawdziwą tożsamością. Przed przystąpieniem do programu ochrony świadka Amanda i Beth były towarzyskie, otwarte, ufne. Tułaczka sprawiła, że zamknęły się w sobie i skryły pod szczelną skorupą, oddzielającą je od każdego, kto próbowałby się zbliżyć. Dla otoczenia starały się pozostać miłe i każda miała własny krąg znajomych - Beth w swojej nowej pracy jako wykładowczyni matematyki w niewielkim college'u, Amanda zaś pośród szkolnych koleżanek - nigdy jednak nie zbliżyły się do nikogo; z nikim nie wymieniały myśli i wciąż miały się na baczności, by jakimś przypadkowym słowem nie ujawnić przeszłości. Uważały też, by żadna znajomość nie przerodziła się w przyjaźń.

I nic dziwnego! Przecież całkiem niewinne wydarzenie mogło stać się przyczyną nieszczęścia. W jednym mieście Beth z pośpiechu odruchowo podpisała czek imieniem Cynthia. Gdzieś indziej Amanda oświadczyła na lekcji w czwartej klasie, że kiedyś mieszkała w okolicy, w której nigdy nie pada śnieg. Jeszcze gdzie indziej ktoś znalazł kwit wystawiony przez warsztat naprawy rowerów w Portland, ich poprzednim miejscu zamieszkania. Za każdym razem przenoszono je i zaopatrywano w nowe dokumenty. Po śmierci Stantonów i kolejnych zamachach nie chciano ryzykować.

Beth nadal uważała, że zgłaszając sprawę i zeznając w sądzie postąpiła właściwie, jednak wciąż dręczyło ją poczucie winy. Przez nią zginął ojciec i wraz z córką zostały skazane na życie w samotności, pozbawiono je wszystkiego co bliskie, zmuszono do przebywania wśród ludzi, z którymi pod żadnym pozorem nie mogły nawiązać bliższego kontaktu. Każdego dnia, każdej minuty musiały udawać kogoś innego.

Beth wystarczająco trudno było demonstrować na co dzień pogodną twarz, ale gdy obserwowała próby Amandy odnalezienia się w nowej sytuacji bez zwracania na siebie uwagi, czuła w sercu dotkliwy ból. Okrucieństwem wydawało jej się zmuszanie dziecka, by utrzymywało w tajemnicy nawet swe prawdziwe imię. W ich życiu dochodziło do wielu stresujących incydentów i nawet najzwyczajsze zdarzenia rodziły wątpliwości. Czy Beth powinna poprosić agentów biura, by zasięgnęli informacji o kimś, kto zaprosił ją na kolację? Czy wykłady dla większej grupy studentów nie stanowią nadmiernego ryzyka? Czy można pozwolić Amandzie na udział w szkolnych

zajęciach pozalekcyjnych? Zapraszać do domu koleżanki? Czy zwrócić na siebie uwagę, jeżeli będą miały psa? Tysiące cisnących się do głowy pytań. I ani jednej prostej odpowiedzi. Każda sprawa wymagała omówienia, nawet tak niewinna jak zaproszenie na przyjęcie z przenocowaniem w domu koleżanki. Gdy Amandę zaproszono na urodzinową noc do Betsey Frye, odruchowo odmówiła. Betsey była dla niej bardzo miła i spędzały razem wiele czasu, ale Amanda stroniła od wszelkich towarzyskich zgromadzeń, zwłaszcza takich, na których bawiono się w popularną wśród młodzieży grę w „szczeróść”, wymagającą zwierzeń. O czym mogłaby opowiedzieć? Całe jej życie stanowiło tajemnicę. Beth rozumiała to, lecz nie mogła znieść myśli, że jej córka spędzi jeszcze jedną noc w domu sama, podczas gdy koleżanki będą łąsować kupione w supermarkecie przysmaki, chichotać i zachwycać się jakimś idolem nastolatek.

Postanowiła pozwolić Amandzie na choć trochę normalności. Poleciała jej przyjąć zaproszenie i przekonała, że wszystko będzie dobrze. By dodać córce pewności siebie, przez dwa weekendy przed przyjęciem do późnej nocy przeprowadzały próby. Otoczone chipsami, serowymi ciasteczkami, batonikami i innymi słodyczami, rozmawiały, dopóki nie zmorzyło ich zmęczenie. Przerabiały każdą możliwą do przewidzenia kwestię i zadawały pytania, nawet najintymniejsze, jakie mogły paść na przyjęciu. Potem wymyślały możliwe do przełknięcia historyjki o tym, kim są, skąd pochodzą, dlaczego Amanda nie ma ojca ani dziadków, ukochanego zwierzaka czy też albumu z fotografiami. To ostatnie szczególnie zaniepokoiło dziewczynkę.

- A jeżeli ktoś zrobi mi zdjęcie?

Beth skinęła głową, rozumiejąc, że to ważny problem.

- A może ty zajmiesz się fotografowaniem? W ten sposób będziesz mogła kontrolować rozwój wypadków, co więcej, znajdziesz się w centrum zainteresowania, chociaż...

- Niezły pomysł. - Oczy Amandy zabłyśły, jej wargi ułożyły się w pełnym nadziei uśmiechu.

Następnego dnia udały się do Spokane i kupiły mały automatyczny aparat. Sprzedawca udzielił dziewczynce kilku podstawowych wskazówek, dołożył broszurkę o fotografowaniu i kilka rolek filmu, i życzył dobrej zabawy. Nim minęła pierwsza godzina przyjęcia, stało się tak, jak przewidywała Beth. Jej córka nie

tylko odniosła towarzyski sukces, zwłaszcza gdy już rozdała koleżankom zdjęcia, ale równocześnie pokochała uwiecznianie innych na błonie filmowej.

Amanda Maxwell znalazła wreszcie idealnego towarzysza: jeżeli zachowa ostrożność, aparat na pewno jej nie zdradzi. A gdy znów trzeba będzie się przenieść, może wziąć go ze sobą.

Wystawy zwykle odbywały się w soboty, w Socho. Od pewnego czasu także urządzano je w Chelsea. Wszystko zaczęło się po tym, jak młody handlarz dziełami sztuki, Matthew Marks, właściciel niezłe prosperującej galerii przy Madison Avenue, postanowił poszukać odpowiedniego pomieszczenia do wystawiania wielkich płócien i monumentalnych rzeźb. Nie znalazł wystarczająco dużej powierzchni w Socho. powziął więc odważną decyzję: wyremontował bezpański garaż przy Zachodniej Dwudziestej Drugiej. Przestrzegano go, że nikt nie przyjdzie do Chelsea, gdyż jest to podła okolica, która w dodatku za bardzo kojarzy się z barami odwiedzanymi przez facetów w skórzanych kurtkach i prostytutki. Marks jednak nie zrezygnował i po kilku miesiącach nastąpiło otwarcie galerii, a występ Ellswortha Kelly'ego przyciągnął z tysiąc osób.

Owej soboty Amanda pojechała do Chelsea na wystawę Philipa Lorki DiCiorcia. Mroźne powietrze i zimny wiatr przeniknęły ją do szpiku kości. Opatulona szalem po sam nos wysiadła z taksówki i, zafascynowana widokiem potężnego Hudsonu przystrojonego płatami lodowej kry, zawróciła w stronę rzeki. Wydobyła spod płaszcza aparat fotograficzny i podniosła go do oczu. Powoli ustawiała obiektyw, aż zniknęły Jersey Palisades i wybrzeże Chelsea, by wyeliminować z kadru wszelkie obiekty pozwalające na identyfikację miejsca. Teraz przed oczyma miała plamę ciemnej wody, na której unosiły się grube, podobne do wierzchołków gór lodowych kształty; ostry kontrast bieli i czerni tworzył złudny nastrój spokoju. Poruszona tak niezwykłą scenerią, zrobiła kilka ujęć.

Właśnie miała schować aparat z powrotem pod płaszczy, gdy po drugiej stronie ulicy zauważyła przycupniętą przy ścianie jakiegoś budynku budę z kartonów i wysypującą się z niej górę szmat, pod którymi leżał, jak przypuszczała, jeden z armii bezdomnych miasta Nowy Jork. Obok stał wózek, zabrany pewnie z supermarketu, wypełniony po brzegi rzeczami nienależącymi już do żadnego miejsca ani osoby. Amandę przyciągnęła niczym magnes atmosfera

samotności i anonimowości tego miejsca; uwieczniła je, starała się zachowywać jak najciszej, jakby w obawie, że trzask migawki zakłóci sen mieszkańca kartonowej budy. Przez ostatnie lata zgromadziła imponującą kolekcję zdjęć z życia ulicy - ponurych obrazków, jak je nazywała, uwieczniających na ulicach i w zaułkach wielu miast egzystencję ludzi zepchniętych poza nawias. Zatrzymywała ich w kadrze we śnie, żebrzących, rozmawiających na ławce w parku, zalewających robaka w ciemnych zakątkach. Z szacunku dla niewesołego losu tych biedaków robiła zdjęcia z pewnej odległości, używając obiektywu, który pozwalał nie naruszać niczyjej prywatności, nie zawstydział ich ani nie straszył. Intrygowali ją, bo czuła się jedną z nich. Nie żyła w nędzy, lecz podobnie jak tamtych niewiele ją łączyło z resztą zadowolonego z siebie społeczeństwa. Do galerii dotarła w dość ponurym nastroju i w dodatku całkiem przemarznięta. Upchnęła nauszniki w kieszeni płaszcza wraz z rękawiczkami i szalikiem i weszła do środka. Zazwyczaj lubiła gubić się wśród artystycznych ekscentryków, łowiąc strzępy rozmów o najnowszych zdarzeniach, ale teraz tłum szczelnie wypełniający pomieszczenia galerii wydał jej się nagle rozkołysanym, złowrogo szumiącym rojem. Wycofała się w najspokojniejszy kąt, gdzie bez zakłóceń mogła podziwiać fotografie autorstwa DiCorcii.

Z jego pracami czuła duchową więź, bo DiCorcia podobnie jak ona dostrzegał patos zwyczajnych wydarzeń. Wystawione zdjęcia przedstawiały przechodniów na ulicach wielkich metropolii, ludzi uchwyconych Przez wścibski obiektyw. Oto mężczyzna w czarnym słomkowym kapeluszu, z papierosem w ustach, idzie ulicą jakiegoś włoskiego miasta.

Wzrok utkwiony w obiektywie z pełną nieufnością ciekawością zdaje się pytać: „Na co się gapisz?”. Ponure fotografie Amandy rzetelnie oddawały prawdę o warunkach ludzkiej egzystencji zdradzających duchowe wyalienowanie, ale autorce udało się utrzymać pełen szacunku dystans między aparatem a duszą. Zdjęcia DiCorcii, bardziej konfrontacyjne i robione na zasadzie ukrytej kamery, ukazywały najintymniejsze przeżycia modeli. Artysta w magiczny sposób tworzył ze zwykłych fotografii katalog codzienności.

Amanda zastanawiała się właśnie nad techniką oświetlenia stosowaną przez autora, gdy właściciel galerii, Lloyd Franks,

pochwycił jej wzrok, pomachał do niej i przekazał gestem, że chce z nią pomówić. Skinęła mu głową i uśmiechnęła się na pozór swobodnie, choć ze zdenerwowania poczuła w żołądku ucisk. Kilka miesięcy wcześniej Annie, jej przyjaciółka, zachęciła Amandę do pokazania Lloydowi zdjęć. Zrobiła to, a teraz chciał włączyć kilka do planowanej grupowej wystawy. Na początku cała sprawa wydała jej się niewinna, ale teraz nie była już tego pewna. Co mi strzeliło do głowy? - pomyślała. Chodziło przede wszystkim o pieniądze. Annie skusiła Amandę przypomnieniem o popularności, jaką ostatnio cieszyła się fotografia. Sprzedając swe prace, mogła uzyskać sporo pieniędzy. Wziąwszy pod uwagę wysokość jej pensji, Amanda z trudem zrezygnowałaby z okazji zarobienia kilku dodatkowych dolarów. No i jej ambicje. Przecież uważała własne prace za równie dobre, a w niektórych przypadkach nawet lepsze od wielu tych, którzy znaleźli się na fotograficznym szczycie.

Amanda spędziła jednak większość życia ukryta za aparatem, jak ognia wystrzegając się eksponowania własnej osoby. Okazane przez Lloyda zainteresowanie w pierwszej chwili oszołomiło ją i bez zastanowienia przyjęła jego propozycję. Później, gdy na zimno rozpatrzyła sytuację, nalegała, by jej prace określono jako anonimowe, do czego pretekstem miały być jej powiązania z policją. Prawdę mówiąc miała nadzieję, że Lloyd, zniechęcony takim zachowaniem a la primadonna, odprawi ją krótkim: „Dziękuję, nie”. Zaskoczył Amandę zupełnie, uznając jej sugestię za genialne posunięcie reklamowe.

- Coś takiego spowoduje niezły szum - zarechotał. - To jak polityczne romansidło z kluczem, o wyborach 1992. Autor został uznany za spryciarza roku. Amanda wyobraziła sobie reakcję Annie na wiadomość o przyjęciu zdjęć na wystawę i uśmiechnęła się lekko. Tamta z pewnością wyrazi własne zdanie głośno i dobitnie, mocno przy tym gestykulując, pośpieszy z gratulacjami przerywanymi częstym: „A nie mówiłam?”. Przyjaciółka nie pomijała żadnej okazji do wyeksponowania swej mocnej osobowości.

Poznały się w kostnicy, gdzie Amanda fotografowała przebieg sekcji, Annie Hart natomiast prowadziła jakieś obserwacje, o czym zdążyła powiedzieć, nim żołądek odmówił jej posłuszeństwa. Gdy już doprowadziła się do porządku, a rumieńce znów zagościły na jej policzkach, wyjaśniła, że pracuje jako charakteryzatorka na planie

mydlanej opery i przyszła do kostnicy, by zobaczyć, jak wygląda prawdziwy trup. Z wdzięczności za okazane przez Amandę zrozumienie uparła się, by zaprosić ją na kolację - innego wieczora, oczywiście. Amanda długo się wykręcała, ale Annie była uparta. Zagroziła, że usiądzie na schodach przed jej domem lub przy biurku w komisariacie przy Jamaica Avenue w Queens, gdzie Amanda pracowała. Kolacja wydała się lepszym rozwiązaniem. Od tamtego czasu minął prawie rok.

- Bella signorina. Nie sądziłem, że to możliwe, jesteś tak samo piękna w zimie jak w lecie.

Ramiona Amandy zeszywniały; nie znosiła, gdy ktoś zbliżał się niej znienacka, za plecami, jednak gdy jej pamięć połączyła ów głos z konkretną osobą, odezwały się ciepłe wspomnienia.

- Tyler Grayson! - Na jej ustach pojawił się pełen zaskoczenia uśmiech. Jego piaskowego koloru włosy nie były teraz takie długie jak tamtego lata; nosił wąsy i bokobrody, a ubranie, jakie miał na sobie bardziej pasowało w city niż na wsi, lecz poznałaby go wszędzie.

- We własnej osobie. - Pochylił się ku Amandzie, delikatnie wziął ją za ramiona i ucałował w obydwie policzki. - Poznałem cię, jak tylko weszłaś, no bo któż inny nosiłby nikona w charakterze naszyjnika!

Roześmiała się z zakłopotaniem.

- Wciąż wspaniale wyglądasz - bladoszare oczy patrzyły z aprobatą - choć w kwestii biżuterii twój gust nie zmienił się na lepsze w ciągu tych pięciu lat. Jej policzki pokrył gwałtowny rumieniec.

- Ty także się nie zmieniłeś, jesteś bezwzględny i czarujący jak zawsze.

- Powinienem się obrazić - odpowiedział z udaną powagą - rozważę to później; w każdym razie miło wiedzieć, że wciąż uważasz mnie za czarującego.

- Nieustannie. - Amanda dostosowała się do jego tonu. - W końcu gdyby nie ten twój nieodparty urok, zostałabym wysadzona z Pendolino i pozostawiona na łaskę losu w ostępach Toskanii.

- Egads. Na los gorszy od śmierci - dodał i oboje zagłębili się we wspomnieniach. - A tak przy okazji, jak tu dotarłaś? - Jego oczy błysnęły łobuzersko.

- Wzięłam taksówkę - odrzekła z uśmiechem.

- Roztropne posunięcie.

- Jak widzisz - dodała - w ciągu tych pięciu lat nauczyłam się paru rzeczy. Spotkali się we Włoszech, w pociągu. Amanda wybierała się do Florencji, ale w rozgardiaszu panującym na dworcu w Rzymie wsiadła do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku. Gdy jakąś godzinę przed Neapolem zorientowała się w pomyłce, pełen życzliwego zrozumienia konduktor zajrzał w swój rozkład jazdy i poradził, by wysiadła na najbliższej stacji, a wtedy zdąży wrócić do Rzymu na czas, by złapać Pen - dolino, włoski ekspres. Miała od razu wsiąść do pociągu i dopiero potem, już po znalezieniu miejsca, zatroszczyć się o dopłatę. Jednak okazało się, że to nie takie łatwe.

Bez przygód dojechała do Rzymu, odszukała peron, z którego odjeżdżał Pendolino i znalazła wolne miejsce. Ale wnet odkryła, że wsiadła do wagonu pierwszej klasy, gdzie obowiązuje rezerwacja, i że nie każdy konduktor jest równie miły jak Giancarlo. Wprawdzie żaden pasażer nie upomniał się o jej miejsce, ale wkrótce pojawił się kontroler, który zażądał biletu. Amanda próbowała wytłumaczyć, co jej się przytrafiło, tym razem jednak nie miała do czynienia z zadowolonym z życia i ze swej pracy życzliwym człowiekiem. I chociaż nie rozumiała ani słowa z jego przemówienia, gniewny ton nie pozostawiał wątpliwości - konduktor nie zamierzał się z nią cackać. Najwyraźniej zależało mu tylko, by jak najprędzej przejść przez wagony, posprawdzać bilety i mieć przykry obowiązek z głowy.

Tyler, siedzący naprzeciwko Amandy, obserwował incydent z zainteresowaniem, i gdy atmosfera zaczynała robić się już niemiła, zaproponował swoją pomoc, co pechowa podróżniczka przyjęła z wdzięcznością. Mówił płynnie po włosku i bez trudu udobruchał konduktora. Wynegocjował najprostsze rozwiązanie: w imię przyjaźni włosko - amerykańskiej tamten zapomniał o nieplanowanej wycieczce dziewczyny do Neapolu - w końcu pomyłkowej - i obciąży pasażerkę tylko różnicą w cenie biletu drugiej klasy zwykłego pociągu z Rzymu do Florencji i pierwszej w Pendolino.

Resztę czasu spędzili, dowcipkując na temat przydługiej podróży Amandy, na rozmowie o uprzejmych nieznajomych, o niebezpieczeństwach czyhających na turystę z Ameryki zwiedzającego Europę, i o niekończących się rozkoszach, jakich dostarczają włoskie potrawy i wina. Gdy dojechali do Florencji, Tyler od razu zaprosił Amandę na kolację. Przyjęła propozycję i nie rozstawali się przez następne trzy tygodnie. Do obecnej chwili

uważała tamtą historię za najbardziej romantyczną przygodę swego życia. I - Jadłaś już lunch? - spytał, przerywając wspomnienia.

- Jeszcze nie.

- W „Empire Finer” nie mają riboletta - uprzedził - ani czerwonego wina w dzbanach.

Amanda ściągnęła usta i z namysłem postukała palcem w brodę.

- A czy zupę podają tam gorącą?

- Aż parzy.

- Chleb mają świeży?

- Pieczony dzisiaj rano.

Z udaną powagą skinęła głową i wzięła go pod ramię. Po chwili jednak nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- No to na co czekamy!

Tamtego lata zarówno Tyler Grayson jak Amanda Maxwell wyjechali do Włoch, by uciec od wspomnień i dojść do siebie po przykrych przejściach. Tyler leczył złamane serce i próbował podreperować zdruzgotane ego. Chciał zebrać siły przed podjęciem pracy u Wolfa i Simonsa, w czołowej nowojorskiej firmie maklerskiej. Pracował bardzo ciężko, aby otrzymać tę posadę - według byłej narzeczonej wręcz szaleńczo. Liczył na to, że dama jego serca wykaże zrozumienie dla długich wieczorów, a nawet weekendów spędzanych w biurze zamiast w Hamptons. Sądził, że cenila ich związek nie mniej niż on - pomylił się jednak.

Amanda przechodziła załamanie nerwowe po tragicznych przejściach w pracy, a i życie, jakie wiodła od lat, w końcu ją wyczerpało. Wyprawa do Europy miała jej pomóc w uporządkowaniu myśli, uspokojeniu duszy, zregenerowaniu ciała. Po ukończeniu szkoły średniej Amanda razem z Beth przeniosły się do Los Angeles, skąd córka miała bliżej na uczelnię, a matka do Sama, teraz szefa rejonu XII. Amanda po zaliczeniu trzech semestrów rzuciła studia i raz po raz zmieniała posadę, szukając zajęcia, które by jej odpowiadało. Zaczęła od laboratorium w studiu filmowym, ale szybko znudziła ją praca technika. Potem została asystentką jednego z bardziej znanych fotografów w świecie mody w LA, lecz zniechęcił ją kapryśny sposób bycia rozpieszczonych modelek. Po kilku miesiącach daremnych poszukiwań postanowiła zająć się tym, o czym marzyła od ukończenia siódmego roku życia: wstąpiła do akademii policyjnej. Sam Bates uważał, że dziewczyna doskonale nadaje się do tego

zawodu. Beth była przeciwnego zdania. Intuicja mówiła jej, że zauroczenie córki policyjną profesją wynika z więzi uczuciowych łączących ją niegdyś z wujem Kenem, wzmocnionych jeszcze jego śmiercią - a ciągła obecność Sama w ich życiu utwierdziła przekonanie Amandy o szlachetności zawodu związanego z egzekwowaniem prawa. Ale to Beth identyfikowała ciało brata, Beth została wykorzystana przez władze, które bardziej zainteresowały się doprowadzeniem sprawy do końca niż jej życiowymi perturbacjami. To ona toczyła wieczne walki z biurem szeryfa o dotrzymanie obietnic dotyczących domu i pracy. Beth straciła brata i ojca, musiała zrezygnować z kariery zawodowej, posiadania przyjaciół, możliwości powtórnego wyjścia za mąż i urodzenia następnych dzieci - wszystko w imię prawa. Nie chciała utracić córki.

Tak więc matka wyraziła na głos swe obiekcje; Amanda słuchała z uwagą, jednak nie dała się przekonać.

- Jak się okaże, że to zawód nie dla mnie, zrezygnuję, ale muszę sama się dowiedzieć.

Zaczęła pracę jako zwykła policjantka, ale marzyła o złotej odznace detektywa. Jednak pewnego słonecznego popołudnia w South Central Los Angeles owe ambicje uległy gwałtownej weryfikacji. W czasie rutynowego patrolu ona i jej partner przypadkowo znaleźli się w centrum masakry. Na trawniku przed niewielkim domem stały zaparkowane dwa samochody, a czterech mężczyzn uzbrojonych w AK - 47 strzelało seriami w stronę budynku. Partner Amandy, Roger przez megafon wezwał przestępców do przerwania ognia, kończąc regulaminową formułą - ostrzeżeniem. Oboje wiedzieli, że w ten sposób nie powstrzymają bandytów, ale taka była procedura. Amanda przez telefon wezwała wsparcie, a potem przestrzeliła opony obydwu samochodów.

Prawie natychmiast przed budynkiem zatrzymało się z piskiem hamulców kilka biało - czarnych radiowozów. Wypadli z nich uzbrojeni policjanci i rzucili się w pogoń za uciekającymi gangsterami. Amanda i Roger dołączyli do pościgu. Przebiegając obok domu, Amanda usłyszała płacz dziecka. Zatrzymała się za ledwie na moment, lecz ta chwila wahania okazała się dla nich fatalna w skutkach: jeden z bandytów musiał ukrywać się wewnątrz, bo nagle w oknie ukazała się lufa karabinu. Amanda usłyszała głos Rogera

wołającego, by padła na ziemię, i jeszcze kilka wystrzałów, a potem ogarnęła ją cisza.

Operowano ją osiem godzin. Miała szczęście, reagując natychmiast na ostrzeżenie; jej partner, zanim został ranny, zdołał oddać kilka strzałów. Zdaniem lekarzy mogło trochę potrwać, nim Amanda dojdzie do siebie - miała poważny wewnętrzny krwotok - ale jej życiu nie groziło niebezpieczeństwo. Rana lewego płuca zagoi się i tylko przy dużym wysiłku mogły pojawić się trudności z oddychaniem. żaden inny organ nie został uszkodzony.

Roger stracił oko. Zginęła kobieta i jej czworo dzieci w wieku od trzech miesięcy do sześciu lat oraz dwóch nastoletnich członków gangu. Dwóch innych złapano i mieli stanąć przed sądem pod zarzutem morderstwa, pozostali trzej uciekli.

W szpitalnym łóżku Amanda miała dość czasu na przemyślenie swego dotychczasowego życia. Doszła do zaskakującego wniosku: przez tyle lat wciąż oglądała się za siebie, wystraszona byle cieniem, gdyż wciąż spodziewała się kuli wystrzelonej przez zabójcę wynajętego przez kartel Espinosy czy gangstera z Nowego Jorku, a tymczasem zranił ją ktoś, kto zupełnie nie wiedział, kim ona jest. Ten przypadkowy atak jasno uwidoczniał dziewczynie, że nieszczęście czyha na każdym kroku i nie powinna igrać z losem. Gdy już wróciła do zdrowia, postanowiła wyjechać - a raczej uciec - na wyprawę fotograficzną.

- Potrzebuję czasu na spokojne przemyślenie wszystkiego - zakomunikowała matce.

- Dokąd się wybierasz? - chciała wiedzieć Beth. Córka wzruszyła ramionami.

- Gdzieś, gdzie będę mogła się odprężyć i zastanowić nad własnym życiem. Ujęła w zziębnięte dłonie miseczkę z zupą. Tyler podparł głowę rękami i przyglądał się Amandzie z uśmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała.

- Nie mogę uwierzyć, że w kilkunastomilionowym mieście nie tylko wpadamy na siebie, ale w dodatku ty nie jesteś jeszcze mężatką z dwójką dzieci.

- Daleko mi do tego.

Roześmiała się także, widząc wyraz ulgi na jego twarzy. Tyler był jej pierwszą miłością, od tamtej pory z nikim nie związała się równie mocno. Zastanawiała się, czy także on pozostał wolny.

- Wciąż jesteś policjantką? - wymówił to słowo ostrożnie, jakby samo jego brzmienie mogło spowodować aresztowanie.

- Jestem detektywem w CSU. Zajmuję się fotograficznym dokumentowaniem miejsca przestępstwa.

Tyler uniósł ręce i potrząsnął głową, jakby mówiła zbyt szybko, by mógł zrozumieć.

- A cóż to, u diabła, takiego? I kiedy przeniosłaś się do Nowego Jorku? - Miało to oznaczać: „I czemu do mnie nie zadzwoniłaś?”.

Domyśliła się tego pytania, lecz nie odpowiedziała. Spotkali się w chwili, gdy decydowały się ich dalsze losy. Obydwoje znaleźli się na rozstajach. Kochali się namiętnie, ale każde z nich stało właśnie na zakręcie, miało podjąć ważną życiową decyzję i żadne nie było gotowe na coś więcej niż przelotny romans. Gdy się spotkali, oboje głęboko zranieni, świat każdego z nich leżał w gruzach, jednak w chwili rozstania na stadionie wiedzieli, że odzyskali poczucie bezpieczeństwa i pewności wynikającej z przeżycia czegoś wyjątkowego.

- Przeniosłam się kilka lat temu - wyjaśniła - ale byłam zbyt zajęta nauką, aby kontaktować się z kimkolwiek.

Tak naprawdę przyjechała do Nowego Jorku wkrótce po powrocie z Włoch. Zastanawiała się nawet, czy nie spróbować odnaleźć Tylera, jednak w jej planach na najbliższe pięć lat nie było miejsca na długotrwały romans. Zbyt by ją rozpraszał. Patrząc na matkę widziała, jak trudno odnaleźć się w nowej pracy i nowym środowisku.

Sprawy dodatkowo komplikował fakt, że Nowy Jork leżał w rejonie zagrożenia, czyli okolicy, której zdaniem biura szeryfa należało unikać; Miami znajdowało się na drugim miejscu listy: „Nigdy nie będziesz mogła wrócić do domu”. Upierając się przy zamieszkaniu w strefie zagrożenia, Amanda traciła prawo do ochrony. Nie oznaczało to, że opuściła ją świadomość niebezpieczeństwa, lecz chciała wreszcie zacząć żyć własnym życiem. Przyrzekła matce i wujkowi Batesowi zachować ostrożność. Nie zdradzi miejsca pobytu Beth, nie wyjawi niczego, co powinna zachować w tajemnicy. Postanowiła zająć się tym, o czym od dawna marzyła.

- Otrzymałam dyplom szkoły prawniczej Johna Jaya, a potem zrobiłam magisterium z kryminalistyki w specjalności fotografowania śladów na miejscu przestępstwa.

- Wciąż jesteś najoryginalniejszą kobietą, jaką poznałem - zauważył Tyler ze śmiechem.

- O co ci chodzi?

- Większość dziewczyn tak ładnych jak ty spędza dni w eleganckich biurach albo na zakupach w ekskluzywnych sklepach, wieczory zaś w wytwornych barach czy modnych restauracjach. Nigdy nie zdarza im się zapomnieć o manicure. Pomieszczenia komisariatu czy kostnicę uważają za część scenografii seriali telewizyjnych, a słowo „zwłoki” rzadko pada z ich ust. Ty natomiast jesteś cudowną istotą, choć nie odwiedzasz salonów kosmetycznych Bergdorfa, Bendela czy Trixie. Po co ci to zresztą, skoro spędzasz całe dni, a pewnie i noce, deptając po strugach krwi - kto wie, co się dostaje pod twoje paznokcie - i fotografując martwe ciała. Nie potrafię tego zrozumieć!

- Uwielbiam fotografowanie - odrzekła po prostu. Wiedziała, że nie zdoła znaleźć argumentów ukazujących jej pracę w jaśniejszych barwach.

- Fotografowanie Ponte Vecchio o zachodzie słońca - to rozumiem, ale podziurawionych kulami zwłok, bladym świtem, tego już nie.

Amanda roześmiała się; wspomnienia powróciły znowu.

- Zachody słońca we Florencji były cudowne, pamiętasz?

Przymknęła powieki, przywołując tamten obraz: złote promienie południowego, palącego słońca zmieniają barwę na pomarańczową w cieniach nasuwających się na piętnastowieczne dachy z terakoty. Wiezorami, nad Arno, podziwiali kres dnia. Znowu poczuła na twarzy ciepło tamtych słonecznych promieni i ramię Tylera mocno obejmujące ją w pasie. Otworzyła oczy i dostrzegła, że on także wędruje uliczkami Florencji.

- Wtedy wszystko było takie cudowne - powiedział cicho, wpatrzony w jej oczy. Amanda zamieszała łyżką zupę.

- Wciąż mam naszyjnik, który mi wtedy kupiłeś. Kiwnął głową.

- To miłe.

I znowu ogarnęły ich wspomnienia. Drugiego wieczora zawędrowali na Ponte Santa Trinita i popatrzyli w dół rzeki, na Ponte Vecchio, jedyny wśród średniowiecznych mostów Florencji niezbombardowany w czasie drugiej wojny światowej.

- Jaki piękny! - Amanda westchnęła i sięgnęła po aparat.

- Wzniesiono go w 1345 roku, ale pod koniec piętnastego wieku rzeźnicy, garbarze i kowale, mający tu swe siedziby, zostali wygnani przez księcia jakiegoś tam z powodu zgiełku, który czynili. No i dlatego, że z rzeki, używanej przez nich jako rynsztoka, bił trudny do wytrzymania smród. Tak więc warsztaty odnowiono i wydzierżawiono złotnikom.

Oczy Amandy błyszcząły, co wywołało uśmiech Tylera. Niewiele kobiet potrafiłoby się oprzeć pięknu florenckiej biżuterii, nie udało się także tej, w rybaczkach i podkoszulku, z plecakiem zamiast torebki. Wziął ją pod ramię i poprowadził ku najstarszej części mostu, gdzie rozgorączkowana niczym dziecko na magicznym pokazie z zachwytem oglądała każdą wystawę i kramik. Oczarowały ją zwłaszcza filigranowe naszyjniki.

- Przypominają złotą pajęczynę - szepnęła zafascynowana. Ostatniego wieczora podarował jej cieniutki łańcuszek misternej roboty. Prosił, by wspominała go za każdym razem, gdy włoży to złote cacko na szyję. I tak też było.

- Wróciłaś tam kiedyś? - spytał.

- Bez osobistego przewodnika? Nie wiedziałabym, gdzie się znajduję i na co patrzę. A ty? Pokręcił głową.

- Bez ciebie, zmuszającej mnie do zobaczenia więcej, niż mogą zarejestrować oczy? To nie byłoby to samo.

Grayson, fanatyk historii, chętnie dzielił się z Amandą swą wiedzą. Cokolwiek oglądali, gdziekolwiek się znaleźli, czy to na ulicach, po których spacerował niegdyś Michał Anioł, czy też w Galerii Uffizi, podziwiając jej skarby, zachwycając się posągiem Dawida czy architektoniczną świetnością kopuły Brunelleschiego, Tyler opowiadał historie, bez których owe wędrówki straciłyby wiele. Amanda dokładała swój dar wnikliwego spojrzenia. Uczyła towarzysza, jak patrzeć na piękne przedmioty i odnajdywać urok - czy to budynku, obrazu, słonecznej plamy światła na rzece, czy kolorów uwięzionych w kieliszku z winem.

- Poza tym jest praca; nie mam czasu na takie podróże.

- Pewnie już zostałeś królem Wall Street. Uśmiechnął się z dumą.

- Jeszcze nie. Akurat teraz ze wszystkich sił staram się, by mianowano mnie następcą tronu w Baird, Nathanson & Spelling. Lata praktyki pozwoliły Amandzie zachować obojętny wyraz twarzy.

- Pamiętam, że przymierzałeś się do pracy u Wolfe'a... i coś tam jeszcze.

- Pracowałem tam, ale po roku sam Lionel Baird zaproponował mi stanowisko wicedyrektora w swojej firmie.

- Wysoko zaszedłeś...

- Nie dość...

W głosie Tylera zabrzmiała znajoma, gniewna nuta. We Włoszech, opisując atmosferę panującą na Wall Street, mówił tym samym, pełnym agresji tonem. Gdy zwróciła mu na to uwagę, tłumaczył, że świat finansów przypomina arenę, na której walczą gladiatorzy, dopóki słabszy nie wyzionie ducha. Uznała porównanie za przesadne, a wtedy żywo zaprotestował:

- Sama ambicja nie wystarczy. Ani talent. Niezbędna jest pasja, całkowite oddanie i skoncentrowanie się na jednej sprawie, najważniejszej.

Amanda, wychowana w przekonaniu, że to ambicja pozwala widzieć sprawy szerzej, nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można być niewolniczo podporządkowanym jednemu celowi.

- Pracuję nad tym. - Uśmiechał się, lecz jego oczy pozostały chłodne.

- Nad czym?

- Chcę zostać następcą Lionela Bairda.

- Jak mi wiadomo, Baird jest najlepszy z najlepszych. Tyler skinął głową.

- Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale wiesz, to zimny drań. Udało jej się przywołać na twarz wyraz zaskoczenia. Lionel sam mówił, że opinia o nim jako o wyjątkowym potworze jest całkowicie trafna.

- Nie osiąga się bogactwa i władzy, zachowując się jak harcerzyk, ale temu facetowi sprawiałoby zapewne przyjemność obrywanie skrzydełek motylom. Amanda drgnęła. Bolało, gdy o jej ojcu mówiono takie rzeczy.

- Nieraz widziałem, jak niszczy gości, którzy wcześniej wypruwali sobie dla niego flaki. - Oczy Tylera dziwnie posmutniały. - Choćby dać z siebie wszystko, i tak to nie wystarczy.

- Dlaczego więc wciąż tam tkwisz?

- Dobre pytanie. - Przez chwilę sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. - Odpowiedź brzmi: bo Baird, Nathanson & Spelling to

najlepszy show w mieście. Czuję się tam szyczą i obojętne, co myślę o Lionelu Bairdzie, nie byłoby sensu odchodzić stamtąd. Zwłaszcza że on za kilka lat zamierza się wycofać.

- Masz dobre miejsce w kolejce do sukcesji po królu?

- Teoretycznie mam spore szansę na stanowisko wiceprezesa, lecz w praktyce niewiele to znaczy. Jak znam Lionela, zmusi nas do rywalizacji. Zwycięży ten, kto ściągnie do firmy najwięcej kasy.

- Nie gniewaj się - powiedziała z namysłem Amanda - ale to ma sens.

- Niekoniecznie. - Tyler popatrzył na nią, uświadamiając sobie, że wyraża się niejasno. - Wcale nie uważam, by należało dawać coś za darmo. Prawdziwe zasługi powinny jednak zostać nagrodzone, a nie wydaje mi się, by Lionelowi Bairdowi można było ufać pod tym względem.

- Nie lubisz go - stwierdziła.

- Nie za bardzo.

- Dlaczego? - Zastanawiał się chwilę nad doborem słów. - Ten człowiek uważa się za zwolnionego od przestrzegania jakichkolwiek zasad.

Przez ostatnie kilka miesięcy Lionel wręcz wychodził z siebie, by choć trochę wynagrodzić jej tamte lata, gdy osobiste ambicje przesłaniały mu ojcowskie obowiązki. Amanda nie po raz pierwszy jednak słyszała o ojcu taką opinię - podobne słowa padły z ust matki.

- Czy to oznacza, że rezygnujesz z udziału w wyścigach? Oczy Graysona pociemniały.

- Wykluczone! Gdybym się teraz wycofał, nigdy i nigdzie nie dostałabym drugiej szansy; wszyscy bacznie nas obserwują. Chcę czy nie, muszę grać według jego reguł.

Amanda wzruszyła ramionami.

- Życie niekoniecznie musi być czarne albo białe. I nie zawsze można wybierać. W kącikach ust Tylera ukazał się ledwo widoczny, dziwny uśmiech.

- To niesłychanie dojrzała wypowiedź. - Ujął jej dłoń. - Skąd jesteś taka mądra?

- Mnie nie pozostawiono wyboru... - szepnęła.

Pamela Richardson Baird przeglądała próbki kopert i papieru listowego z taką uwagą, jakby badała szkiełka z preparatem DNA. Po głębszym zastanowieniu zdecydowała się na prosty, a zarazem

wyrazisty krój czcionki, z pewnością bardziej odpowiedni dla żony senatora USA od dużych, drukowanych liter symbolizujących jej małżeństwo z Lionelem Bairdem czy udziwnionych zakrętasów z czasów pierwszego związku. Zapisała w notatniku, że ma zadzwonić do ekspedientki w „John L. Strong” przy Madison, zajmującej się jej zakupami, i polecić zamówienie ozdobnych kartek na zapiski, papeterii z tłoczonymi inicjałami - papieru i kopert - oraz wizytówek. Po dalszym namyśle zaczęła rozważać, jakim znakiem je opatrzyć, orłem czy jakimś innym symbolem Ameryki. Uśmiechnęła się: jak cudownie mieć na wysyłanych listach coś tak imponującego! Jej znajome stosowały najrozmaitsze symbole: fanatyczka gry w golfa umieściła kij, przyjaciółka o imieniu Lily kwiat lilii, inna, która kiedyś aż półtorej godziny zajmowała się projektowaniem mody, igłę z nitką. Co za brak oryginalności - Pamela uśmiechnęła się drwiąco - żadna z nich nie wymyśliła nic, co mogłoby konkurować z amerykańskim orłem czy flagą.

Kobiety zazwyczaj wstydzą się częstotliwości, z jaką zmieniają mężów, Pamela przeciwnie, uważała, że jak długo każde następne małżeństwo przynosiło jej więcej korzyści, zasługiwała na gratulacje, w żadnym wypadku zaś na słowa potępienia. Związek z Johnem Chisolmem to z pewnością zmiana na lepsze. Lionel Baird był bogaty, ale John także. Wpływy Lionela, choć rozległe, dotyczyły głównie świata finansów, John natomiast jako senator z Nowego Jorku posiadał praktycznie nieograniczone możliwości. John był towarzyski, co dawało mu punkt przewagi nad Lionelem, którego z wielkim trudem udawało się namówić do wzięcia udziału w imprezach charytatywnych czy oficjalnych kolacjach; a przecież należało się pokazywać i spotykać z właściwymi ludźmi. Na czole Pameli ukazała się zmarszczka. Lionel był o wiele lepszym kochankiem, John jednak rekompensował braki w tej dziedzinie nieskazitelną galanterią. No i John najprawdopodobniej pozostanie jej wierny, czego nigdy nie mogła oczekiwać od Lionela.

Może zamawianie papeterii jest przedwcześnie? Ta myśl ją otrzeźwiła. Nie tylko nie wyznaczyli jeszcze daty ślubu, lecz Pamela wciąż nie miała rozwodu. Wprawdzie nie chciała sprawiać wrażenia, że jej do tego spieszo, ale im wcześniej zajmie się drobiazgami związanymi z prowadzeniem nowego domu, tym płynniej nastąpi zmiana.

To właśnie uwaga, jaką poświęcała szczegółom, tak mocno pociągała Johna. Potrzebował kobiety, która podołałaby trudnemu zadaniu troszczenia się o mężczyznę piastującego wysokie stanowisko, takiej, która umiałaby zadbać o ich życie towarzyskie, kobiety zgadzającej się na rezygnację z własnych ambicji. Pamela czyniła to wszystko dla Lionela, otrzymując w zamian niewiele. John nie tylko doceniał jej wysiłki, ale jeszcze zachęcał, komplementując doskonały gust i umiejętność nawiązywania oraz podtrzymywania właściwych znajomości. Pamela westchnęła. Kiedyś mężczyźni, zachwyceni jej ciałem i temperamentem, tracili głowę. Ogarnięci podziwem dla jasnych włosów i zielonych oczu, wpadali w poetycki nastrój. Dotyk jej warg podniecał. Teraz chwalili sposób, w jaki przyozdabiała stół i wiązała wokół szyi szal.

Jakże ciężko się starzeć! Męczyły ją rozmaite dolegliwości związane z wiekiem, coraz trudniej przychodziło zachowywać urodę bez pomocy fryzjerów, trenerów, zaufanych ekspedientek i chirurgów plastycznych. Takie zainteresowanie własnym wyglądem można by uznać za przejaw infantylności, ale w pewnych kręgach atrakcyjność fizyczna liczyła się nade wszystko. Kobiety z jej środowiska miały obowiązek bywania na wytwornych lunchach, ubrane w stroje od najlepszych projektantów mody, uczestniczenia w zebraniach komitetów charytatywnych i pracach społecznych. Nie obsługiwały wprawdzie, jak te młodsze, imprez w domach aukcyjnych czy pokazów mody, lecz i tak musiały ciężko pracować. Ich zadaniem było nawiązywanie i podtrzymywanie kontaktów z żonami ważnych figur na szachownicy władzy - ze świata finansów czy polityki. Praca okazywała się łatwa, jeżeli panie się lubiły. Pamela przetrwałaby zresztą niejedną męczący lunch czy niekończącą się partię brydża, byle tylko nie zaryzykować utraty choćby jednego nazwiska z wizytownika Lionela.

O ileż bardziej lubiła popołudnia w „Mayfair Hotel”, z czasów gdy ona i Lionel zakochali się w sobie. On jadł z kumplami obiad w „Le Cirque”, a potem z nią, w pokoju obok, tracił zbędne kalorie. Dwa, trzy, a nawet cztery razy w tygodniu spotykali się w luksusowym apartamencie i kochali z taką intensywnością, że ledwo mogli potem stać na nogach. Wieczorem, na kolacji z innymi parami, ostentacyjnie zachowywali wobec siebie taki dystans, że wielu wątpiło, czy kiedykolwiek byli ze sobą bliżej. Pamela usłyszała nawet,

jak ktoś zastanawiał się, czy widziano, by się dotykali. Gdybyż osoby te mogły zobaczyć ich później, w apartamencie Pameli czy w miejskiej rezydencji Lionela! Poznali się na przyjęciu w jego domu w mieście. Przyszła tam z mężczyzną, który chciał wypromować swą firmę i miał nadzieję uczynić to dzięki kontaktom z Baird, Nathanson & Spelling. Gdy zostali sobie przedstawieni, Lionel utkwiał w niej wzrok i wpatrywał się tak intensywnie, jakby zamierzał stopić ją żarem spojrzenia. Towarzysz Pameli prawił gospodarzowi uprzejmości, ten kiwał głową i uśmiechał się, lecz nie odrywał oczu od jej twarzy. Mężczyźni omówili interesy, a Lionel ani myślał stracić jej z pola widzenia. Wymienili zaledwie kilka zdawkowych uwag, jednak gdy jej towarzysz zbierał się do wyjścia, Pamela pod pierwszym lepszym pretekstem pozbyła się go i nie czekając na zaproszenie Lionela, odszukała drogę do jego sypialni, zrzuciła ubranie i czekała. Przyszedł dziesięć minut później.

Niewielu by w to uwierzyło, ale Pamela nie nalegała na małżeństwo. Od początku zaliczyła Lionela do tych mężczyzn, których namiętność rozpala się tym mocniej, im mniej krępuje ich więzów. Instynktownie czuła, że wiedząc, iż w każdej chwili może odejść, zawsze do niej wróci. Jednak po kilku latach, przekonana, że nic już nie jest w stanie ostudzić jego namiętności, napomknęła Lionelowi, iż powinien się oświadczyć. Gdy nie zareagował, postawiła ultimatum: albo zalegalizują związek, albo poszuka sobie kogoś innego. Zachował się wobec niej uczciwie, przyznał, że uczyniła go bardzo szczęśliwym i nie wyobraża sobie życia bez niej, przypomniał jednak, że rozwiódł się już dwa razy, i nie chciał, by taki kres miało także ich małżeństwo.

- Z niektórymi osobami nie warto ryzykować ślubu - przestrzegali - lepiej niech wszystko pozostanie jak dotychczas.

Nie przekonał jej. Wierzyła, że gdy na trwałe wejdzie w życie kochanka, Lionel zauważy, że stanowią dobraną parę. Jakaż była głupia!

Oczy Pameli przysłoniły łzy gniewu i żalu. Lionel często powtarzał, że życie polega na ciągłym dokonywaniu wyborów i każdy musi ponosić konsekwencje własnych decyzji; w taki oto sposób obwinał ją o zniszczenie tego związku. Nie poczuwała się jednak do winy. To nie ona stała się pełna rezerwy i chłodna, to nie ona opuściła małżeńskie łóżko. Choć w swym życiu potrafiłaby znaleźć kilka

poważnych błędów, winę za rozkład ich małżeństwa przypisywała niewierności partnera.

Jej pierwszy związek należało uznać za pomyłkę młodości. Wyszła za mąż w wieku dwudziestu lat, bo Harrison Walton był bogatym, przystojnym blondynem o ostrych rysach i towarzyskim wzięciu, no i dlatego, że postępowały tak wszystkie młode kobiety, pragnące ugruntować swoją pozycję. Harrison Walton okazał się nędznikiem z upodobaniem do perwersyjnego seksu, skorym do gwałtownych czynów. Rozwiedli się jakieś półtora roku po ślubie, po tym jak pobił Pamelę tak ciężko, że nie tylko poroniła, ale pozostała bezpłodna. Jej przyszłe małżeństwo z Johnem Chisolmem stanowiło efekt wyrozumowanej decyzji kobiety w średnim wieku. Ten majątny, piastujący wysokie stanowisko mężczyzna pragnął fizycznego związku, ale nie stawiał Pameli w tym względzie przesadnych wymagań, ona zaś nie spodziewała się po nim romantycznych uniesień. Nawiązali „uładzony” romans, bardziej przypominający partnerski układ niż burzę namiętności. Ona będzie żoną posiadającą wyrafinowany gust i mocną pozycję towarzyską, on zawiedzie ją na sam szczyt. Po dokonaniu ustaleń majątkowych z jego poprzednikiem, z Johnem stworzą związek idealny. Ale miłością życia Pameli pozostał Lionel Baird. W małżeństwo z nim weszła bez kalkulacji, bez rozpatrywania plusów i minusów. Wzbudził w niej tak mocne emocje, przesłaniające wszystko inne, że nie miała najmniejszych wątpliwości. Był mężczyzną jej marzeń i nawet teraz o nim śniła. Lionel sprawiał, że jej serce zaczynało bić żywiej, kochała go do szaleństwa. I dlatego teraz tak go nienawidziła.

Nie odwzajemnił jej miłości.

Pamela powinna była zaproponować kolację w domu. W restauracji nie mogli spokojnie zamienić zdania, bo zaraz ktoś podchodził do stolika, by porozmawiać z senatorem. I jakby to nie wystarczyło, by zepsuć im wieczór, po każdym jej pytaniu dotyczącym wesela John okazywał zniecierpliwienie. Gdy spytała, co myśli o złotych kranach w kształcie orła w łazience, wściekł się w końcu.

- Nie zamierzam rozprawiać o ręcznikach, służbie czy wyposażeniu toalety, dopóki twój rozwód nie zostanie sfinalizowany! Rozumiesz, Pameló?

- Nie musisz tak wrzeszczeć - syknęła, zastanawiając się, czy ktoś przy stoliku obok słyszał słowa jej towarzysza. - Oczywiście, rozumiem. Staralam się nakłonić Lionela do podpisania dokumentów, ale on... cóż, on to on.

- Nie obchodzi mnie, jaki jest, natomiast zależy mi na opinii wyborców, których zdaniem senatorowi nie wypada spotykać się z kobietą uwikłaną w niezbyt elegancki rozwód. A więc zrób co trzeba, by skończyć z tym raz na zawsze!

- Nie ma nic nieeleganckiego w moim rozwodzie, John, może poza tym, że pieprzymy się w twoim biurze, w twoim mieszkaniu, na tylnym siedzeniu twojej limuzyny - w każdym miejscu, jakie uznasz za stosowne do okazania swej męskości. - Niezależnie od pragnień, a miała ich wiele, Pamela nie zamierzała pozwolić komukolwiek na podobne traktowanie, ten czas dawno minął. - Nie zrezygnuję z udziałów w Baird, Nathanson & Spelling tylko dlatego, by zadowolić twoich wyborców. Muszę myśleć o własnej przyszłości.

- Twoja przyszłość to zostanie następną panią Johnową Chisolm - odparł z takim naciskiem, że Pamela przygryzła wargi.

- Czy mam zapytać ostatnią panią Johnową Chisolm, jak została zabezpieczona?

- Biorąc pod uwagę, że Pamela jak mogła starała się zastąpić Emily Chisolm w łóżku Johna, ta uwaga była niestosowna. Jako że w istocie Chisolm nie okazał się specjalnie hojny wobec eks - małżonki, Pamela nie miała powodu przypuszczać, że jeżeli się rozstaną - a jej dzieje dowiodły, jak zmienny bywa los - John będzie dla niej szczodry. W jej wieku nie mogła sobie pozwolić na rozejście się z Lionelem bez stosownego zabezpieczenia.

Wyczuwając zbliżającą się burzę, John pośpiesznie zmienił ton i starał się udobruchać narzeczoną.

- Przepraszam, kochanie - ujął jej dłoń - nie chciałem cię zdenerwować, po prostu jestem mocno wzburzony.

- Z jakiego powodu? - Nie zamierzała tak łatwo dać się przeprosić, ale też nie widziała sensu w kontynuowaniu kłótni. I - Martwię się o wybory. Wybory stanowiły magiczne słowo, mające przypomnieć Pameli o znaczeniu stanowiska senatora, podstawy władzy, której oboje tak Pragnęli. Jeżeli ona chce czerpać korzyści z jego kariery, musi się trochę natrudzić. Oboje zdawali sobie sprawę, że zapowiada się ciężka walka. Mieszkańcy Nowego Jorku nie

uważali Chisolma za „swojego”, za kogoś kto wykazuje zrozumienie dla ich problemów, lecz za wysoko ustosunkowanego „bramina”, bardziej zainteresowanego członkostwem w tym ekskluzywnym, utrzymywanym przez podatników klubie zwanym Senatem Stanów Zjednoczonych niż dbaniem o sprawy nowojorczyków na szczeblu władzy federalnej. Doradcy, nie czekając, aż któryś z konkurentów podda ich szefa druzgocącej krytyce, po zapoznaniu się z wynikami badań opinii publicznej rozpaczliwie szukali dobrego hasła dla jego kampanii.

- Nie znaleźli niczego, co mogłoby przyciągnąć głosy - jęknął John. - A przy naszych obywatelach, bezustannie bijących się w piersi, z ustami pełnymi sloganów o moralności i wartości rodziny, nie mogę sobie pozwolić, by nasz romans znalazł się w centrum uwagi. Wprawdzie amerykańskie społeczeństwo nie jest już takie surowe jak niegdyś w ocenie nieżonatych czy rozwiedzionych urzędników państwowych, nie znaczy to jednak, by podatnikom się podobało, że ich senator pokazuje się z kobietą wciąż jeszcze zamężną - uśmiechnął się serdecznie - niezależnie od tego, jaka jest czarująca.

Pamela z wdziękiem przyjęła komplement, choć wiedziała, że to przeprosiny za nieokrzesane zachowanie. Pozwoliła mu dalej rozwodzić się nad trudnościami związanymi z kampanią wyborczą w czasach, gdy większość wyborców, zniechęcona cynizmem władzy nie znosi polityków, nie ufa rządowi i nie wierzy obietnicom nikogo, kto mówi: „Gdy zostanę wybrany...”.

- A może przyjąłbyś za główny cel walkę z narkotykami? - powiedziała to cicho, by jej nie słyszano.

John zmarszczył brwi. Nie od razu zrozumiał, o co chodzi, ale z zainteresowaniem nadstawił uszu.

- Mów dalej.

- W tym stanie - ciągnęła Pamela - poza pięcioma okręgami wyborczymi Nowego Jorku jest kilka większych miast jak Buffalo, Syracuse, Albany, Rochester. W każdym z nich narkotyki i ciągnąca za nimi zbrodnia sprawiają, że życie staje się nie do wytrzymania. Podobnie w dzielnicach podmiejskich, gdzie dawniej narkotyki nie stanowiły problemu. Sprawa ta w istotny sposób wpływa na warunki egzystencji mieszkańców. Zajmij się tym zagadnieniem, a przyjmą cię jak rycerza - - krzyżowca. John z powątpiewaniem potrząsnął głową.

- Już próbowano. Dole wytoczył to hasło w walce z Clintonem - i nie zyskało prawie żadnego odzewu. Obywatele nie wierzą, by rząd był w stanie postawić tamę strumieniowi narkotyków zalewających ulice.

- To dlatego, że rząd jest tworem abstrakcyjnym i zawsze, zależnie od orientacji wyborcy, zostaje uznany za winnego albo zbawcę. Spróbuj skierować kampanię przeciwko mniejszej rybce, bardziej konkretnej, czemuś, co nie przekracza wyobraźni szarego człowieka.

- Na przykład?

Pamela przysunęła się bliżej.

- Bankom i domom maklerskim odmawiającym klasie średniej kredytów na zakup domu i pożyczek na rozwój małych firm.

John patrzył na nią oszołomiony. Miała rację, przeciętny Amerykanin nienawidził banków i z nieufnością spoglądał na Wall Street.

- Narkotyki to wielkie pieniądze - ciągnęła kochanka - inwestowane i prane przez najbardziej szacowne finansowe instytucje tego kraju, zbijające olbrzymie fortuny bez oglądania się na stronę moralną operacji. Ale przy każdej sugestii na temat legalizacji handlu narkotykami, co w znacznym stopniu ograniczałoby dochody handlarzy, właśnie finansiści najgłośniej krzyczą o wciskaniu narkotyków dzieciom. A nawet w tej chwili jakieś dziecko umiera po zażyciu narkotyków...

John zastanawiał się nad jej słowami.

- Mam wielu zwolenników w kręgach finansowych - myślał na głos - nie byliby szczęśliwi, gdyby właśnie ich przedstawić jako „złych chłopców

- Nawykli do tego. - Pamela roześmiała się beztrąsko. - Myślę, że noszą ten przydomek z dumą jak odznaczenie wyróżniające ich spośród plebsu tego świata.

- Jednak...

- Nie sugeruję, byś wyłączył ich obciążył winą, to by nie przeszło. Ale ludzie uwierzą, że banki tworzą potężne lobby, mogące odwieść rząd od podjęcia poważnych kroków przeciwko sprowadzaniu narkotyków. - Poczekała, aż te słowa zapadną mu w pamięć i po chwili ciągnęła: - Twoi wyborcy wiedzą, że jesteś człowiekiem majątnym. Jeżeli więc teraz zwrócisz się przeciwko tym,

którzy uczynili cię bogatym, zyskasz opinię niezłomnego bohatera. A to jedyne, za czym tęskni współczesny Amerykanin.

- Może masz rację... - Chisolm nie potrafił ukryć zaskoczenia, że właśnie Pamela odkryła mu to, czego jego doradcy nie umieli znaleźć: cel wokół którego mógł zbudować wiarygodną kampanię.

Widząc jego zdumienie, poczuła się dotknięta, lecz milczała. Teraz ma inny cel niż przekonywanie Johna o swych zaletach.

- Poza tym - dodała - jeżeli zasugerujesz, że Wall Street niewiele obchodzi Main Street, finansiści pierwsi przyłączą się do twojej kampanii.

- Choćby dlatego, by zapobiec przedstawieniu ich w niekorzystnym świetle - powiedział John, sądząc, że myślą o tym samym, Pamela jednak poprawiła go pośpiesznie:

Bo oczyszczenie tego kraju z narkotyków to wzniosły cel, godny zwycięzcy, i każdy chce się znaleźć po właściwej stronie. Zwłaszcza ci, którzy będą cię potrzebować.

Po raz pierwszy od początku ich znajomości John popatrzył na kochankę z niekłamanym uznaniem.

- Jesteś niesamowita, Pamela Richardson Baird! Gdybym nie poprosił cię wcześniej o rękę, uczyniłbym to teraz.

- Dziękuję, kochanie, jesteś słodki. Uniósł jej dłoń do warg.

- Chcę mieć cię przy sobie, Pamela. Co zrobimy, byś wreszcie dostała ten rozwód?

Lekko wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Próbowałam porozmawiać z Lionelem, ale wiesz, jaki jest uparty. Trudno nakłonić go do kompromisu.

- Już ja się postaram. - John zgrzytnął zębami. On i Lionel Baird nie znosili się od zawsze i Pameli bez trudu udało się rozpalić gniew w narzeczonym. - Jestem przewodniczącym senackiej komisji do spraw finansów i akurat rozpatrujemy ustawę istotną dla Bairda. Uwierz mi, że nie tylko da ci wszystko, czego zechcesz, ale w dodatku zrobi to natychmiast!

Pamela czule pogładziła go po policzku. W duchu śpiewała z radości. Ten wieczór nie zapowiadał się obiecująco, ale z pewnością skończy się znakomicie. John nie tylko chciał przycisnąć Lionela, najwyraźniej zamierzał także uczynić z powiązań kręgów finansowych ze światem handlarzy narkotyków podstawowy temat

kampanii przed wyścigiem do senatu. Już ona dopilnuje, żeby stało się głośno o Lionelu Bairdzie!

John nie miał pojęcia, że Pamela toczy własną kampanię, opartą wyłącznie na chęci zemsty.

John Chisolm szczerze nienawidził Lionela Bairda. Odkąd pamiętał, tamten zawsze stał mu na drodze i torpedował każde przedsięwzięcie. Gdy John jako młody człowiek zaczynał pracę w Paine Webber, on i Lionel konkurowali w walce o przyciągnięcie do firmy klientów. Potem stali się rywalami w staraniach o rękę Nan Nathanson... i poparcie jej wpływowego ojca Maurice'a. Gdy John opuścił Wall Street i zwrócił swe zainteresowanie w stronę Izby Reprezentantów, Lionel poparł jego przeciwnika i ten wygrał. Dwa lata później John ponownie stanął w szranki, tym razem lepiej przygotowany i wyraźnie pokonał kandydata Bairda. Przy okazji każdej kampanii Lionel jak mógł utrudniał życie Johnowi; jeżeli nawet nie popierał jego przeciwnika, starał się podważyć wiarygodność Chisolma. Za każdym razem, gdy Lionela wzywano przed senacką komisję do spraw finansów, rozpoczynał się „Lionel and John show”, a każdy z przeciwników starał się zadać cios poniżej pasa jako pierwszy. Chisolm nie pamiętał już przyczyny ich wzajemnej niechęci, lecz po latach jedno stało się pewne: serdecznie się nie znosili.

John energicznym krokiem szedł korytarzem w Baird, Nathanson & Spelling, towarzyszyli mu dwaj asystenci. Kroczył pewnie, ze zdecydowaną miną. Zatrzymał się przed drzwiami gabinetu prezesa Bairda tylko chwilę, by sekretarka, Fredda MacDougall, miała czas zapowiedzieć przybycie gościa. Nie czekając na zaproszenie, senator wszedł do środka, zatrzasnął drzwi i podszedł do biurka Lionela. Gospodarz uniósł rękę i spojrzał na zegarek, a potem na gościa.

- Jak zwykle punktualny, to twoja najbardziej charakterystyczna cecha, senatorze.

Po drodze Chisolm starał się przygotować na podobne zaczepki. Teraz zacisnął pięści, z trudem powstrzymując się od rąbnienia wroga w szczękę. Nie czekając na zaproszenie, usiadł.

Lionel splótł dłonie, łokcie oparł na masywnym, wyłożonym skórą biurku. Pochylił się z miną, jakby nie bardzo wiedział, o co chodzi gościowi.

- Co mogę dla ciebie zrobić, senatorze? - spytał, jakby spodziewał się, że John poprosi go o przysługę.

- Daj Pameli rozwód.

Baird uniósł ramiona w geście bezradności.

- To nie zależy ode mnie, John. Z nieznanego mi powodu Pamela zachowuje się, jakby chciała przeciągnąć sprawę. Czy coś się między wami popsuło?

- Zostaw te bzdury, Lionel, to ty kręcisz! Najpewniej dla samej Przyjemności znęcania się nad nią.

- Wręcz przeciwnie. Mówiąc bez ogródek, twoja przyszła żona próbuje wyciągnąć ode mnie, ile się tylko da.

Senator chrząknął z niesmakiem.

- Tylko ty mogłeś nazwać próbę zawarcia przyzwoitej umowy naciąganiem.

- Oczywiście, dla ciebie to przyzwoity kontrakt, bo nie ty płacisz! Chisolm załamał ręce w geście rozpacz.

- Na litość boską, ta kobieta spędziła z tobą prawie dziesięć lat! Warunki zaproponowane przez ciebie i twoich prawników są nie tylko obraźliwe, lecz wręcz bezlitosne.

- Nie uważała tak, podpisując intercyzę.

- Zrobiła to bez konsultacji z adwokatem. - John odsunął krzesło, wstał, oparł dłonie na biurku i pochylił się w stronę Lionela. - Wierzyła, że postąpisz uczciwie, a tyją wykorzystasteś!

Baird parsknął śmiechem.

- Chyba można by powiedzieć to o nas obu, nie sądzisz? Senator sięgnął przez biurko i złapał przeciwnika za koszulę pod szyją.

- Nie waż się mówić o Pameli w ten sposób! - Pchnął Lionela z powrotem na krzesło.

Ten cofnął się, umykając przed gniewem Chisolma.

- Słuchaj no, postąpiłem tak, jak zrobiłby na moim miejscu każdy facet dysponujący znacznym majątkiem, łącznie z tobą. Najnormalniej w świecie zabezpieczyłem się po prostu.

John pokręcił głową i wykrzywił się z niesmakiem.

- Zachowujesz się jak odrzucony kochanek, Lionelu, a w tej roli nie czujesz się najlepiej.

Chisolm dostrzegł, że ostatnia uwaga trafiła przeciwnika - właśnie tego się spodziewał. W tej dziedzinie niewiele się różnili; nie miało

znaczenia, jak wiele razy Lionel zdradził Pamelę; ona jednak, romansując z innym, zraniła jego męską dumę.

- O co ci chodzi, John? Nie sądzę, byś potrzebował jej pieniędzy. czemu więc tak nalegasz na sfinalizowanie rozwodu?

- Po prostu chcemy się pobrać, czy tak trudno ci w to uwierzyć? Baird prychnął.

- To. w co wierzę, nie dotyczy ciebie. A mnie ani trochę nie obchodzi, czego ty chcesz. Zamierzam dopilnować, by Pamela dotzymała warunków umowy, jaką podpisała. Jeżeli przeszkodzi ci to w planach...

Senator pozwolił, by na twarzy Lionela zagościł wyraz triumfu, i wtedy wymierzył cios.

- A przy okazji, jest jeszcze jeden powód tej wizyty. Ponieważ znamy się tak długo, pomyślałem, że najuprzejmiej z mojej strony będzie, jeżeli przekażę ci wiadomość osobiście: prace nad ustawą, na której tak ci zależy, zabraniającą wielkim bankom sprzedawania akcji i kupowania domów maklerskich, zostały wstrzymane. Oczy Bairda rozbłyły wściekłością.

- Jak śmiesz! - Ze złości aż podskoczył. - To ważna ustawa! Zaczynałeś jako broker i dobrze wiesz, co się dzieje. Banki rozrastają się, stają się zbyt potężne i chciwe. Jeżeli nie przeciwstawimy się ich zakusom, połkną, co się da, monopolizując cały rynek finansów.

- Daj spokój, Lionelu, odkąd to obchodzi cię jeszcze ktoś poza tobą?

- Nie możesz tego zrobić! Chisolm roześmiał się z dumą.

- Ależ mogę, jestem przewodniczącym komisji, a to moja partia ma w niej większość głosów. Jeżeli zechcę, by ustawa przeszła, tak się stanie, jeżeli postanowię ją zablokować - powiedział wstając z krzesła - już po niej. Senator odwrócił się i poszedł w stronę drzwi, jego każdy gest wyrażał pewność siebie i pogardę dla adwersarza.

- To nie mieści się w głowie! - wykrzyknął jego przeciwnik. - Grozisz wstrzymaniem ważnej ustawy, by zmusić mnie do zapłacenia twojej przyjaciółce wysokiej odprawy?

- Nie grożę. - Głos tamtego porażał spokojem. - Zapytałem tylko, jak przebiegają wasze pertraktacje, a potem dostarczyłem ci informacji o sprawie, którą obaj jesteśmy zainteresowani.

- Moim kolegom to się nie spodoba - ostrzegł go Lionel. Senator odwrócił się i zmierzył przeciwnika wściekłym spojrzeniem.

- Zupełnie nie obchodzi mnie to, co podoba się tobie i twoim przyjaciółom ze Street - odparł drwiąco - natomiast liczę się z opinią amerykańskich obywateli. Jeżeli ci to nie odpowiada, twoje zmartwienie!

Fredda MacDougall zerwała białą wstążkę z niebieskiego pudełeczka i ciekawa, co też znajdzie w środku, zanurzyła dłonie w bibułce. Nie co dzień dostawała prezent kupiony u Tiffany'ego, a na dobry gust Pameli mogła liczyć. W małym, błękitnym woreczku znalazła śliczne serduszko z emalii i srebra.

- Bardzo ci dziękuję. - Zachwycona, przypięła broszkę do sukienki. Jak miło ze strony Pameli, że pamięta o ulubionym kształcie noszonej Przez mnie biżuterii, pomyślała. — Jakie śliczne, ale naprawdę, nie powinnaś...

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Była żona szefa Freddy dostosowała się do warunków gry. Obie wiedziały, że prezenty i zaproszenia na wytworne lunche w mieszkaniu Pameli przy Park Avenue są zapłatą za informacje o Lionelu. Służąca podała sałatkę z homara, ponownie napełniła kieliszki winem i odeszła równie bezszelestnie, jak się pojawiła. Pani domu wolałaby wprost zapytać o reakcję byłego męża na wizytę senatora Chisolma, a po otrzymaniu odpowiedzi wypchnąć zgorzkniałą starą pannę za drzwi, ale musiała zachowywać pozory. Już dawno temu, na samym początku romansu z Lionelem, Pamela wyczuła, że przyjaźń z tą kobietą, znającą wszystkie tajemnice swego szefa, może okazać się bezcenna. Choć Lionel nic nie zauważał, jego nowa przyjaciółka zorientowała się od razu, że Fredda jest zakochana w swym pracodawcy - bez wzajemności - zrobiła więc wszystko, by się do niej zbliżyć. Sekretarka była kobietą wysoką, mocno zbudowaną, cerę miała kredowobiałą i ciemne, kręcone włosy, które przy swoim wzroście mogłaby nosić znacznie dłuższe. W pospolitej twarzy wyróżniały się bławatkowego koloru oczy - gdyby nie one, można by uznać Fredde za kobietę nieatrakcyjną, wręcz brzydką. Ta czterdziestoletnia panna, jedyne dziecko dawno zmarłych rodziców, miała niewiele przyjaciół, i jeszcze mniej romantycznych wspomnień do rozpamiętywania w samotne wieczory. Pamela pozyskała jej sympatię, udając, że obydwie są w podobnym położeniu: dwie kobiety bez pamięci zakochane w Lionelu Bairdzie, mężczyźnie o niesłychanie trudnym charakterze, wszakże nieodparcie czarującym.

W ciągu następnych lat okazywana Freddzie sympatia i liczne prezenty sownie się Pameli opłacały: sekretarka okazała się nieocenionym źródłem informacji. Początkowo zgodnie użalały się nad mocnym postanowieniem Lionela, by pozostać wolnym, jakby obie miały szansę i niech lepsza zwycięży. Po ślubie szefa z Pamela Fredda, by pokazać, że dobrze zniosła klęskę, przekazywała nowej pani Baird informacje o wszystkim, co można było uznać za nielojalność Lionela wobec żony.

Nie ulegało wątpliwości, że tamta, wiedząc o sprawach, o których Pamela nie miała pojęcia, czuła się pewniej - to ona, nie pani Baird, była najważniejszą kobietą w życiu Lionela. I w pewnym sensie miała rację. Ufał jej we wszystkim, od takich drobiazgów jak troska, by zawsze otrzymywał swe ulubione jedzenie, po wyręczanie go w rutynowych, biurowych obowiązkach, gdy wybierał się na „niezaplanowany lunch”.

Wiedziała, jakiego rozmiaru buty nosi, znała markę ulubionych piłek golfowych szefa, odczytywała z jego twarzy, kiedy miał wybuchnąć gniewem, z wyrazu oczu, gdy kłamał. A że na własnej skórze boleśnie poświadczyła, jak potrafi być bezlitosny, nie miała żadnych wyrzutów sumienia, dzieląc się swą wiedzą z inną kobietą, która kochała go i przez niego cierpiała.

- John mówił, że ślicznie wyglądałaś... - zaczęła Pamela. Fredda się zaczerwieniła.

- Nie sądzę, by senator zauważył...

- Błękitny kolor twojej sukni wydawał mu się wyjątkowo twarzowy przy twoich ślicznych oczach. - Pamela nalegała, by John zwrócił uwagę na kolor stroju Freddy. - Są wyjątkowe, chyba wiesz. - Z uśmiechem sączyła wino. Tamta też upiła łyk.

- Senator był wściekły - przyznała.

- Naprawdę?

- Maszerował korytarzem z energią nacierającego Pattona. - Jej jasne oczy wypełniło owo wspomnienie. - I nie zabawił u pana Bairda zbyt długo.

- Jak wyglądał, gdy od niego wychodził? Jej rozmówczyni zamyśliła się, przyłożywszy palec do nieumalowanych warg.

- Jakby zrzucił z siebie ciężar.

- A Lionel?

- Pan Baird nie miał zbyt zadowolonej miny. - Sekretarka pokręciła głową i wróciła do jedzenia. Przesunęła na talerzu listek sałaty. - Są jak płonąca zapałka i otwarta puszką nafty. Nawet na chwilę nie można zostawić ich razem, bo to grozi wybuchem.

Pamela skinęła głową. Fredda właśnie potwierdziła słowa Johna, że udało mu się wyprowadzić z równowagi zazwyczaj niewzruszonego Lionela Bairda.

- Oni się nienawidzą.

- Obaj są trudni, ale to częsta cecha mężczyzn nawykłych do rządzenia, nie sądzisz? - zauważyła Pamela, jakby były przyjaciółkami, wymieniającymi opinie o bliskich im osobach.

- Masz rację - przyznała tamta. Otarła usta, jakby zupełny brak doświadczenia w tej kwestii chciała ukryć pod adamaszkową serwetką.

Choć igranie z Fredda pozornie wyglądało na okrucieństwo, Pamela traktowała tę grę jak część składową ich układu. Sekretarka dostarczała Pameli informacji, ta obdarowywała ją pięknymi prezentami. Od czasu do czasu Pamela wytykała „przyjaciółce” brak towarzyskiego doświadczenia, tamta zaś rewanżowała się informacjami o wybrykach Lionela. Choć opowieści zawsze były pełne udanego współczucia, jakby Fredda cierpiała, mówiąc o nieprzyjemnych sprawach, wyraz jej oczu zdradzał, że ranienie Pameli sprawia jej przyjemność.

- Nie wiem, o co się kłócili - odrzekła z chytrą miną - ale mam nadzieję, że senator nie powiedział niczego, czego można by użyć przeciwko niemu. Pamela pytająco popatrzyła na swą towarzyszkę.

- Lionel nagrywa swoje rozmowy. Pani domu z trudem zachowała spokój; John nie byłby zachwycony taką wiadomością.

- Od kiedy?

- Od tragicznej śmierci jego pierwszej żony i córki - wyjaśniła Fredda ze szczerym współczuciem.

Pamela wyglądała na zaskoczoną tą rewelacją.

- Zakładając, że winne są nowojorska mafia lub kartel narkotykowy, pan Baird obawiał się, że może się stać następnym celem.

- To ma sens - przyznała gospodyni. Choć niechętnie, nie potrafiła powstrzymać się od współczucia.

- Opętała go taka obsesja, że nie tylko zatrudnił ochroniarzy i kazał zamontować najprzeróżniejsze urządzenia alarmowe, lecz prócz tego w biurze i w domu w mieście zainstalował sprzęt do nagrywania, a nawet filmowania swych rozmówców.

- O niczym nie wiedziałam. - Pamela wyglądała na zaskoczoną; zastanawiała się, co jeszcze mógł filmować jej były mąż. - I co robi z taśmami?

- Niszczy albo gromadzi w swoim archiwum.

- Znajac Lionela, jestem przekonana, że całymi wieczorami upaja się uwiecznionymi na taśmie dowodami swej przewagi. Pewnie sam sobie urządza owacje na stojąco. - W głosie byłej pani Baird brzmiał sarkazm.

- Wieczory wypełnia mu co innego - zauważyła Fredda.

- Naprawdę? - Gospodyni nie kryła zaciekawienia. - Kto tym razem?

- Nie znasz jej.

Pamela odetchnęła z ulgą. Kilkakrotnie przelotne zainteresowanie Lionela wzbudziła kobieta z ich kręgu znajomych. Nawet Fredde oburzał podobny brak dyskrecji.

- Pan Baird przedstawił ją jako eksperta w dziedzinie fotografii artystycznej. Rzeczywiście, podczas ostatniego pobytu w miejskiej rezydencji Bairdów Pamela zwróciła uwagę na dużych rozmiarów fotografię, jaką były mąż zawiesił na ścianie.

- Jest młoda - dodała sekretarka. Pamela uniosła brwi.

- Bardzo?

- Pod trzydziestkę lub zaraz po.

- Miałby za swoje, gdyby dostał ataku serca w najmniej odpowiednim momencie. Długo to już się ciągnie?

- Przynajmniej od sześciu miesięcy.

Zazwyczaj romanse Lionela nie trwały długo; różnorodność najwyraźniej stała się siłą napędową jego życia emocjonalnego. Sześć miesięcy to już niemal zapowiedź oświadczeń!

- Jak ona wygląda?

- Widziałam ją tylko raz, gdy z wielką pompą oprowadzał ją po biurze. Jest wysoka i szczupła, ma rudawe włosy i brązowe oczy. - Zamilkła, zastanawiając się nad doborem słów. - Uderzyło mnie, że jest taka zwyczajna, zupełnie w innym typie niż te, jakie zazwyczaj pociągały pana Bairda. Bardziej przeciętna od zwykłej pani Smith,

choć jemu to najwyraźniej nie przeszkadza. Odkąd ją poznał, stał się pogodny i wciąż się uśmiecha.

- Jak się nazywa? Sekretarka zmarszczyła brwi.

- Przedstawił ją jako Max. Nie podał nazwiska ani pełnego imienia, tylko Max. Pamela strzeliła palcami. - Uważaj na nią, dobrze, moja kochana? Coś tu nie gra.

- Masz rację, coś tu nie tak - przyznała tamta, bezskutecznie usiłując ukryć sarkazm. - W końcu dlaczego tak dynamiczny mężczyzna jak pan Baird miałby zawracać sobie głowę piękną, rozgarniętą, młodą dziewczyną, która przywróciła mu śmiech, jeżeli może mieć takie dwa wysuszone stare pudła jak my?

Jej rozmówczyni drgnęła, a Fredda roześmiała się tylko. Prawda bywa bolesna, pomyślała.

Amanda wbiła wzrok w tarczę i raz za razem naciskała spust glocka kaliber 9 milimetrów. W uszach dźwięczały jej słowa instruktora z akademii policyjnej, który powtarzał, by strzelając, nadmiernie nie koncentrować się na celu - „odpowiadasz tylko na zagrożenie”.

Szybko przeładowała pistolet, zmrużyła oczy i wystrzelała następny magazynek.

Jej dłonie drżały, gdy opuściła broń i zsuwała z uszu słuchawki, pozostawiając je na szyi niczym szalik. Nacisnęła przycisk przybliżający papierowy cel i patrzyła na posiekaną kulami sylwetkę. Zadowolona uśmiechnęła się: wszystkie kule trafiły w cel.

- Nie dałaś temu biedakowi żadnej szansy! - usłyszała zza pleców. Z palcem na spuście pistoletu, odwróciła się gwałtownie. Jake Fowler uniósł ręce, jakby się poddawał.

- Daj spokój! - zawołał, cofając się szybko. - To wyraz podziwu, a nie zaproszenie do pojedynku.

Amanda przez chwilę stała nieruchomo, potem schowała broń do kabury.

- Nie znoszę, gdy ktoś mnie zaskakuje.

- Nie zapomnę o tym, jeśli przyjdzie mi chęć urzędowania dla ciebie urodzinowego przyjęcia.

Poirytowana odwróciła się i zaczęła pakować sprzęt.

- A przy okazji zawodowych spraw, tamtego dnia byłaś bardzo przekonująca, pani detektyw - nie rezygnował Jake. Twarz Amandy pozostała obojętna. - Przyparłaś do muru tego drania.

- I to sprawiło ci satysfakcję?

- Żebyś wiedziała - mówił pogodnym głosem, choć w jego oczach czaił się cień smutku. - Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż zapuszkowanie winnego, któremu się wydaje, że morderstwo ujdzie mu płazem.

Sprawa, którą przypomniał Jake, przysporzyła wielu trudności policjantom dwudziestej dzielnicy oraz ekspertom z jednostki zajmującej się badaniem miejsca przestępstwa. Trzy lata temu, po kłótni z przyjacielem, zaginęła młoda kobieta. Do Nowego Jorku przybyła rok wcześniej ze Środkowego Zachodu i zaczęła pracować jako recepcjonistka w małej agencji reklamowej. Według informacji uzyskanych od współlokatorki nie miała wielu znajomych ani żadnej bliższej rodziny. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna padła ofiarą zabójstwa, a jako sprawcę typowano jej przyjaciela. Jednak nie mając ciała, prokuratura nie mogła wnieść oskarżenia.

Jakiś czas temu pies spacerowicza idącego wąskim pasem zieleni między West Side a Hudson River wygrzebał z ziemi kości, które zdaniem właściciela nie wyglądały na zwierzęce. Wezwani na miejsce policjanci wykopali cały ludzki szkielet. Choć wiele dowodów wskazywało, że to kości zaginionej, nie można było ustalić jej grupy krwi ani uzyskać danych o użębieniu, ani zdjęć rentgenowskich. Dysponowano jedynie kilkoma fotografiami poszukiwanej kobiety, dostarczonymi przez jej współlokatorkę. Amanda zidentyfikowała ofiarę, stosując metodę elektronicznego nakładania fotografii twarzy na kości znalezionej czaszki. Doświadczenie powtórzono ze zdjęciami czterdziestu innych kobiet w podobnym co zaginiona wieku i o podobnej budowie ciała, lecz w żadnym wypadku nie uzyskano równie doskonałego rezultatu.

- Gdybym był obrońcą, zdruzgotałbym was, dowodząc niedoskonałości metody.

- Och, naprawdę?

- Oczywiście - powiedział z pewnością kogoś, kto wierzy, iż niewielu ludzi, jeżeli ktokolwiek w ogóle, może się z nim zmierzyć. - Czterdzieści kobiet to niewiele w porównaniu z liczbą mieszkańek Manhattanu, nie mówiąc już o czterech pozostałych dzielnicach.

- Tych kobiet nie wybrano przypadkowo - zaprotestowała Amanda, równie pewna swych racji. - Reprezentowały wszystkie

możliwe wielkości i kształty czaszki osób o podobnym co ofiara wyglądzie i w takim samym wieku.

Jake przymrużył oczy, jakby rozważał, czy dalej prowadzić wojnę na słowa, czy zaproponować rozejm.

- Rozmawiałem później z przewodniczącym ławy przysięgłych - chwilowo wybrał zawieszenie broni - według niego twoje argumenty zadecydowały.

- Na szczęście przysięgli nie mieli twoich zastrzeżeń - mruknęła. Mężczyzna z uśmiechem pokręcił głową.

- Hej, odłóż broń! Snułem tylko hipotetyczne rozważania.

W czasie rozprawy Amanda dostrzegła Jake'a w tylnym rzędzie sali akurat wtedy, gdy zajmowała miejsce dla świadka, i zastanawiała się, co go łączy ze sprawą.

- Co tam robiłeś? - spytała.

- Wezwano mnie na świadka w wyjątkowo paskudnym rozwodzie. Na szczęście strony postanowiły zrezygnować z publicznego prania brudów i doszły do porozumienia, stąd miałem trochę wolnego czasu. Byłem w budynku, dowiedziałem się o tamtej sprawie i o tym, że zeznajesz jako ekspert, więc pomyślałem: co mi szkodzi posłuchać, lepsze to niż wracać do papierkowej roboty.

- Miło mi, że się nie rozczarowałaś - odrzekła zbierając się do wyjścia.

- To przede wszystkim twoja zasługa. - Gdy Amanda nie podtrzymała rozmowy, Jake poszedł za nią do szatni. - Słuchaj, zrobiło się późno, może zawrzemy pokój przy filiżance kawy lub czymkolwiek innym?

- Ja nie...

- Kieliszku wina, butelce szampana? Kawiorze? Otwierała właśnie drzwi do żeńskiej części szatni, gdy stanął przed nią.

- Tak naprawdę to umieram z głodu i te małe czarne jajeczka do mnie również nie przemawiają. Może by więc Big Maca, albo koszerne - go hot doga? Albo kawałek pizzy, jak myślisz? - Nie dawał za wygraną: jego błękitne oczy błyszczały uwodzicielsko.

- Pizza - skapitulowała i weszła do szatni. - Za dwadzieścia minut.

- Piętnaście! - Wsunął za nią głowę. - Zajmę miejsce i złożę zamówienie.

- Jak chcesz! - Wypchnęła go, zamknęła drzwi i rozbawiona weszła pod prysznic. Gdyby poproszono Amandę o określenie własnej osoby jednym słowem, odpowiedziałaby: „paranoiczka”. Oto teraz, mając w perspektywie spędzenie miłego wieczoru z przystojnym, a gdy się postarał wręcz czarującym mężczyzną o uwodzicielskim uśmiechu, zamiast cieszyć się z okazywanego jej zainteresowania, zachodziła w głowę, dlaczego taki zajęty łaps spędza wolne popołudnie w zatęchłej sali sądowej, i czy aby tylko przypadkiem znalazł się na strzelnicy o tej samej porze. Znowu odezwał się „syndrom programu ochrony świadka”.

W ten sposób określała chorobę, na którą, jak przypuszczała, zapadają wszyscy objęci tym programem. Był to mechanizm obronny, zmuszający normalnych skądinąd ludzi do tłumienia emocji i unikania nawet najbardziej niewinnych kontaktów. Nie mieć przyjaciół. Nie mieć kochanków. Nie mieć komplikacji - w skrócie: syndrom programu ochrony świadka.

Przysłuchując się, jak Jake żartuje z kelnerem, Amanda przypomniawszy sobie niedawne pytanie Lionela o jej życie miłosne. Powiedziała mu o krótkiej przygodzie we Włoszech, przyznała się do innych, przelotnych romansów. Gdy oświadczyła, że nie jest w tej chwili z nikim związana, ojciec skarcił ją za niemądre skazywanie się na samotność. Chcąc uniknąć dłuższego kazania, powiedziała mu o syndromie programu ochrony świadka. Roześmiał się, lecz zaraz spoważniał.

- Mieszkasz w Nowym Jorku i jesteś poza programem już od sześciu lat - przypomniał. - W każdej innej dziedzinie życia idziesz do przodu. Jak zawsze, gdy omawiała z ojcem swoje romanse - a raczej ich brak - podniosła kwestię zaufania. Dotychczas spotykała się ze zrozumieniem, ale tym razem powiedział:

- Zaufałaś mi, bo dotarło do ciebie, jak bardzo cię kocham. - Kiwnęła głową; miał rację. - Jeżeli odważysz się otworzyć na uczucie, pewnego dnia pokocha cię ktoś jeszcze.

Słowa ojca rozbrzmiewały Amandzie w głowie, gdy przyglądała się siedzącemu naprzeciw niej mężczyźnie. Patrzyła, jak oceniał wino. Upił odrobinę i nim przełknął, przytrzymał je na języku, a potem wygłosił opinię o delikatności trunku. Amandzie przypomniał się Tyler i Wiochy i znowu zadumała się nad owym szczęśliwym zbiegiem okoliczności, który przyczynił się do ich ponownego spotkania. Miło

byłoby znów poczuć się kochaną, przyznała w duchu. Najtrudniej jednak odsunąć od siebie nieufność.

- Jestem miłośnikiem Upper West Side - dobiegły ją słowa Jake'a.

- Tutaj masz Central Park, Columbus Avenue, a kilka przecznic dalej Centrum Lincolna. W pewnym sensie to wszystko, co najlepsze, nie sądzisz? - Nie odpowiadała. Jake postukał widelcem o blat stolika.

- Halo! - Wreszcie wyrwał ją z zadumy. - Mieszkasz gdzieś tutaj?

- Skąd wiesz? - Ostrość własnego głosu zaskoczyła ją; zadziałał refleks. Fowler pokręcił głową i popatrzył na Amandę z uśmiechem.

- Jezu, nie wygląda, by miało nam łatwo pójść!

- Nie rozumiem?!

Przysunął się bliżej, jego twarz dzieliło od niej kilka centymetrów. Wzrok mu złagodniał, na policzkach ukazały się uwodzicielskie dołeczki.

- Jestem prywatnym detektywem, oficerze Maxwell. Spotkałem dziewczynę do rzeczy, to ją sprawdzam. Masz coś przeciw temu?

- Zależy, do czego się dokopiesz.

- No to popatrzmy. - Rozparł się wygodnie na krześle, ramiona skrzyżował na piersi. - Ukończyłaś Johna Jaya summa cum laude. Na wypadek, gdyby miała ci nie wystarczyć odznaka detektywa, zrobiłaś magisterium z medycyny sądowej.

- Jestem pojętną studentką. - Amanda wzruszyła ramionami; Jake roześmiał się na taki przejaw skromności.

- Nie zamierzałaś pokonywać wszystkich szczebli od samego dołu, co to, to nie. Żadnego patrolowania i wlepiania mandatów. Zaczęłaś od brygady kryminalnej i od razu dostała ci się najpaskudniejsza ze wszystkich dzielnic. - Rozejrzał się wokoło, czy nikt ich nie słyszy i powiedział teatralnym szeptem: - Nie mów nikomu, że słyszałaś to ode mnie, ale podobno wysłali cię do Trzy - Dwa, aby cię sprawdzić.

- A czemu mieliby to robić? Jake potarł dłonią podbródek.

- Hmm, może dlatego, że jesteś dziewczyną, a w dodatku taką szykowną...

- Zostawmy to. - Amanda pozytywnie przeszła sprawdzian, oboje o tym wiedzieli. Nie tylko w rekordowo krótkim czasie zdobyła złotą odznakę, krążyła już plotka o jej awansie.

- Z tego, co słyszałem, byłaś jedną z bardziej agresywnych osób w jednostce. Jeśli kogoś podejrzewałaś, szłaś za nim, aż go dopadłaś. Zgadza się?

- Jak mi wiadomo, tropienie przestępców jest podstawą tego zawodu. Zaskoczył go jej refleks.

- Nie bądź taka skromna. Według moich źródeł, za każdym razem gdy dokonałaś zatrzymania, istniał wystarczający materiał dowodowy do wniesienia oskarżenia i do skazania podejrzanego - jeżeli tylko prokuratura nie pokpiła sprawy. Nic dziwnego, że Wally Clarke wziął cię do CSU. Jesteś naprawdę niezła.

- Może już dość, robi się nudnawo - przerwała ostro Amanda. Nie lubiła, gdy poddawano badaniom jej osobę. - Wydajesz się wielkim miłośnikiem biografii. Może opowiesz jak to się stało, że postanowiłaś zostać Dickiem Tręcym?

- Bo garnitur Clarence'a Darrowa na mnie nie pasował.

- Co ma oznaczać, że nie podobało ci się występowanie przed ławą przysięgłych... Brzęknął nożem o kieliszek.

- Proszę przenieść tej pani jeszcze kawałek pizzy.

- Ani okruszyny więcej - zaprotestowała i odsunęła talerz. - I nie zmieniaj tematu.

Błękitne oczy obrzuciły ją badawczym, pełnym aprobaty spojrzeniem. Amanda ani drgnęła.

- Zaczynałem w biurze prokuratora w Departamencie Sprawiedliwości - powiedział w końcu - ale zmęczyła mnie ta cała biurokracja.

- A potem, jak już skończyłeś z wymiarem sprawiedliwości?

- Ale ciągniesz mnie za język!

- Także jestem detektywem, zapomniałeś?

- Punkt dla ciebie. - Zachichotał. Podobało mu się, że dziewczyna ani myśli dać za wygraną. - Po przygodzie z Departamentem Sprawiedliwości zahaczyłem się w „Timesie” jako reporter od spraw kryminalnych.

I Najwyraźniej tam też ci się zbytnio nie podobało.

- Znów trafiłaś. - Zakołysał kieliszkiem wypełnionym chianti, a potem wypił wino do końca. - A tak naprawdę, nie pasowałem tam, bo nie lubię, jak mi dyktują, co mam robić.

- Słyszałam...

Kącki ust Jake'a powędrowały w górę w ledwo widocznym uśmiechu. Zainteresowanie Amandy sprawiało mu przyjemność, tym bardziej że dziewczyna w ogóle z tym się nie kryła.

- Zabrało mi trochę czasu - ciągnął - nim się zorientowałem, że jeżeli zostanę swoim własnym szefem, nie będę musiał nosić garniturów.

- Zauważyłam. - Zmierzyła wzrokiem jego kurtkę, sweter i podniszczone dżinsy.

- Czy u szefa Fowlera obowiązują jakiegokolwiek zasady?

- Owszem, ale dotyczą wyłącznie pracowników. - Ubawiło go zdziwienie w jej oczach. - Sądziłaś, że działam jak Philip Marlowe? Jednoosobowa firma, załatana sekretarka, pełne petów popielniczki, nędzny gabinet za oszklonymi drzwiami, ze słabym oświetleniem, rozklekotaną maszyną do pisania, staromodnym telefonem i butelką whisky w szufladzie biurka. - Amanda roześmiała się, gdyż dokładnie tak wyobrażała sobie jego biuro. - Cóż, moja sekretarka z pewnością ma mnóstwo roboty, ale poza tym nic się nie zgadza.

- No to zdradź mi, jak naprawdę wygląda twoja praktyka.

- Nieźle dochody, biuro w samym centrum, przy Piątej Alei. Sześciu śledczych na pełnym etacie, dwunastu pracuje z doskoku, dwie sekretarki i recepcjonistka, która także prowadzi księgowość... - zamilkł. Amanda nie mogła pozbyć się wrażenia, że Jake stara się ją ocenić. - I do tego jest moją matką. Zamurowało ją ze zdumienia. Jake wzruszył ramionami, jakby opisaną sytuację uważał za całkowicie normalną.

- Jest jedną z najbardziej rozgarniętych kobiet, jakie znam. Tylko jej mogę z całym spokojem powierzyć moje pieniądze, do tego nigdy nie gdera, gdy jakiś czek nie wpłynie na czas.

Miłość i podziw, jakimi Jake darzył matkę, wręcz z niego promieniowały, co ujęło Amandę. Powiedziała mu o tym. W odpowiedzi tylko coś mruknął i mówił dalej. W myślach przyznała mu za to punkt.

- Fowler and Company zajmuje się głównie zwyczajnymi przypadkami jak rozwody, poszukiwanie zaginionych osób. Moją specjalnością są sprawy umorzone przez policję.

- Fowler and Company - powtórzyła Amanda, analizując usłyszane wiadomości - to z pewnością coś więcej niż zwykła agencja...

- Nie daj ponieść się wyobraźni - przerwał - daleko nam do Pinkertona.

- Ale też niewiele przypominać Sama Spade'a.

- Zacząłem podobnie, ale ku swemu żalowi odkryłem, że nie mogę wszystkiemu podołać. A ponieważ jestem człowiekiem typu „zrób to sam”, zatrudniałem pracowników, gdy zmuszały mnie okoliczności. Napełnił ponownie kieliszki i upił łyk. - Niech cię nie zmyli adres w centrum czy wizytówka. Chłopcy ze znaczkiem powiedzieliby ci, że wciąż jestem takim samym psem jak wtedy, gdy pracowałem w Departamencie Sprawiedliwości. Dalej nie lubię „niegrzecznych chłopców” i gdy tylko przytrafi się okazja, aby któregoś przyskrzynieć, wykorzystuję ją.

Amandę zaintrygował ten mężczyzna; wyczuwała, że powoduje nim coś więcej niż tylko ambicja. I najwyraźniej dorównywał jej w zatajaniu prawdy. Nie ukrywał „jak, gdzie i co”, ale najwyraźniej unikał odpowiedzi na pytanie „dlaczego”. - Czemu zostałaś gliną? - zmienił temat, jakby czytał w jej myślach.

- Filmy kryminalne, puzzle, i fotografia - odpowiedziała po chwili namysłu.

- Punkt dla ciebie, zupełnie zabiłaś mnie z tropu.

- Zawsze fascynowało mnie rozwiązywanie kryminalnych zagadek, bo każda jest w istocie układanką, a ja uwielbiam zagadki. - Jak większość informacji dotyczących jej życiorysu, ta odpowiedź została wcześniej przygotowana. - A także, jak pewnie się domyśliłeś, bardzo lubię robić zdjęcia. Więc wybór dziedziny związanej z fotografowaniem miejsca przestępstwa nie powinien cię dziwić.

- Ja też lubiłem policyjne filmy - przyznał. - Nawet takie starocie jak „Dragnet” i „Hawaii Five - O”. Jednak moim ulubieńcem pozostał Magnum.

- No pewnie - odrzekła Amanda - on nigdy nie nosił garniturów. Jake wciągnął powietrze, jak gdyby usłyszał niesłychanie odkrywczą opinię.

- Nie myślałem o tym w ten sposób, ale masz rację. Nic dziwnego, że Selleck został moim idolem. A ty lubisz stare filmy?

- Uwielbiam, zwłaszcza te z Carym Grantem. - Jake jęknął. - I z Fredem Astaire'em.

Chwycił się za serce.

- Max! Dobijasz mnie.

- Wybacz - powiedziała ze śmiechem - najwyraźniej pociągają mnie eleganccy mężczyźni.

- Czy to twój sposób dania mi kosza?

- Cóż... elegancki nie jest dokładnie tym słowem, jakim bym cię określiła - ciągnęła przekornie - no i nie zaproponowałeś szampana i kawioru.

- Nieprawda - odrzekł z chytrą miną - pizza to twój wybór.

- Moja wina.

- Wiesz co... - zaczął, dając znak kelnerowi - następnym razem włożę garnitur, a ty sukienkę. Spędzimy elegancki wieczór.

Amanda uniosła brwi. - Spędzimy?

- Ależ tak. - Wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę drzwi. - Pójdziemy do mnie i każemy dostarczyć kolację. Włączę na stereo muzykę klasyczną, będą świece i serwetki, a zamiast wpychać jedzenie do ust palcami, użyjemy noży i widelców. Bardziej elegancki wieczór trudno sobie wyobrazić!

- Pizza, skórzana kurtka i poczucie humoru. Facet mi się podoba, z tego co o nim słyszę. - Annie cieniutkim pędzelkiem namalowała prawie niewidzialną kreskę na powiekach Amandy. Potem ukryła pod warstwą bieli brwi przyjaciółki i zastąpiła je wyrysowanymi ołówkiem półksiężycami. - No i jak, spotkasz się z nim jeszcze?

- Nie wiem i akurat w tej chwili jest mi to zupełnie obojętne.

- Dobrze już, dobrze, uspokój się, bo drga mi ręka.

Po umalowaniu oczu Amandy, Annie zanurzyła duży puszek do pudru w puszcze z mąką i pokryła nią twarz przyjaciółki. Następnie nałożyła róż na policzki i pędzelkiem rozprowadziła perłowy puder po skórze w głębokim wycięciu narzuconej na ramiona pelerynki. Jeszcze trochę mąki pojawiło się na dekolcie i szyi Amandy, a na wargach różowy błyszczak i nieco cienia wzdłuż linii nosa. Annie cofnęła się o krok i podziwiała swoje dzieło.

- Chyba wszystko. Włożymy jeszcze perukę...

Amanda nałożyła białą perukę i nasunęła na czoło kilka loczków. Resztę włosów Annie skrzyła w gruby pęk i opuściła je na prawe ramię przyjaciółki, nagie nad skandalicznie wydekoltowanym peniuarem, związanym pod piersiami szyfonową, morelowego koloru wstążką.

- Na tle tych zasłon, pośród tych wszystkich puchatych poduszek nie rozpoznałby cię sam Boucher - zauważyła Annie. Amanda poprawiła stanik, unosząc piersi jak najwyżej.

Nastawiła aparat i położyła się na pokrytych seledynowym adamaszkiem poduszkach, wspierając się plecami o stojące z tyłu, dobrze zamaskowane krzesło; w ręce trzymała oprawione w ozdobną, złotą ramkę lustro. Uniosła brodę, ściągnęła wargi w serduszek, jakiego nie powstydziliby się Madame Pompadour i, gdy Annie dała jej znak głową, że wszystko w porządku, zwolniła migawkę pilotem zdalnego sterowania.

Znajdowały się na poddaszu Annie w Socho, w części służącej za studio fotograficzne, i pracowały nad ostatnią fotografią z serii „Lustrzane odbicia”, na którą składały się portrety osób - żyjących współcześnie i w przeszłości - uchwyconych w chwili przeglądania się w lustrze. Jedne ukazywały postacie znane z historii, jak ten, który akurat odtwarzały, pędzla Francois Bouchera, inne, jak portret Elvisa Presleya, poprawiającego pas na swym słynnym białym kombinezonie - zdjęcie, które Amanda i Annie opracowały dwa tygodnie wcześniej - sławne osobistości naszych czasów.

Amandzie przyszedł ten pomysł do głowy krótko po poznaniu Annie, gdy usłyszała, że nowa przyjaciółka pracuje w teatrze. Dotychczas sama zajmowała się przygotowaniem obiektów do swych zdjęć i robiła to od lat. Ale jej czarno - białe fotografie, formatu osiem na dziesięć, przypominały te, jakie przeciętna rodzina stawiała na pianinie czy półce. Były to zdjęcia nieznanymi, sprawiających wrażenie kogoś bliskiego - mogły przedstawiać każdego.

Z pomocą Annie Amanda zajęła się odtwarzaniem klasycznych portretów, w pełnych kolorach i w dużym formacie, pędzla takich malarzy jak Boucher, Ingres, Reynolds i inni, a także dzieł współczesnych mistrzów fotografii jak Herb Ritts, Richard Avelon, Annie Leibovitz i ich kolegów. Wybierała portret - kobiety albo mężczyzny - wypożyczała odpowiedni strój, przygotowywała właściwe tło, po czym oddawała się w ręce Annie i jej skrzynki z różem i farbami. Rezultat okazał się oszałamiający. Fotografie uderzająco przypominały oryginał; niektóre nawet osiągały zawrotną cenę. A że wszyscy mamy jakiś słaby punkt, każda postać posiadała widoczną skazę. W wersji Amandy portretu Madonny z Dzieciątkiem, Madonna - piosenkarka, ubrana w kostium Evity - trzymała dziecko w

pozie takiej jak na pierwowzorze, ale pierś, którą ssało maleństwo, wymodelowano z tworzywa. Nad obfitymi bokobrodami osiemnastowiecznego angielskiego szlachcica wznosiło się czoło zrobione z gumy. A choć kapelusz typu „fedora” i uśmiech oddano idealnie, nos Jimmiego Durante, - odtworzonego przez Amandę, wyraźnie został zrobiony z mieszanki kitu i ciasta. Po zakończeniu zdjęć zabrały się do sprzątanego poddasza, a potem Amanda wzięła prysznic i zmieniła ubranie. Przygotowały lekką kolację - sałatkę, chleb, makaron i wino - i zasiadły do niej na poduszkach przy szerokim, niskim drewnianym stole.

- Żeby nie zapomnieć: jesteś fantastyczną charakterizatorką! - Amanda uniosła kieliszek w stronę Annie.

Tamta odpowiedziała skinieniem głowy i w ukłonie rozłożyła ramiona.

- Dziękuję ci, moja publiczności - powiedziała uroczyście. - Może pewnego dnia będziesz mogła się pochwalić, że znałaś mnie, zanim...

Amanda przyglądała się przyjaciółce z uwagą, na jej ustach ukazał się pełen nadziei uśmiech.

- Dostałaś propozycję z filmu?

- Nie, ale... - Annie zawiesiła głos - rozmawiałam już z pewnymi osobami o stworzeniu mojej własnej linii kosmetyków.

- Wspaniały pomysł! - Wybuchła niekłamany entuzjazmem. - Opowiedz mi o wszystkim.

- Tak naprawdę nie bardzo jest o czym. To stało się wtedy, gdy bohaterka mydlanej opery, przy której pracuję, znalazła się w świecie stworzonym przez jej własną wyobraźnię. - Annie wzniosła oczy ku niebu i zaczęła machać rękami, jakby ją również ogarnęło szaleństwo. - Wydaje jej się, że żyje w innej epoce. Oczywiście, gdy ją tam przenosimy, mam pełne ręce roboty.

- Coś podobnego jak przy naszych zdjęciach.

- Popularność tej historii przeszła wszelkie oczekiwania. I od razu zauważono moją pracę. Moje nazwisko stało się nagle znane i gwiazdy z innych widowisk tego typu zaczęły zwracać się do mnie z prośbą o konsultacje z makijażu. Zgodziłam się, bo co mi zależało.

- No pewnie! - Amanda poczuła, jak udziela jej się entuzjazm Annie.

- Ale na tym się nie skończyło. W Nowym Jorku i okolicy robi się mnóstwo filmów, więc mój agent uznał, że to najlepszy moment, by wkręcić mnie do któregoś z nich. Tak więc zaczęłam się przy jednym z niskobudżetowych filmów. Pracowałam z kilkoma wielkimi gwiazdami w „Emmys”, więc o mnie usłyszano, do tego doszły artykuły w „W”, „Allure” i...

- Zostałaś charakteryzatorką gwiazd!

- Nie całkiem... - ostudziła ją Annie - ale uznanie, jakie zdobyły kosmetyki takich marek jak Bobbie Brown, Lorac i Nars sprawiło, że chętnie zatrudnia się specjalistów od makijażu przy tworzeniu nowych linii. Myślę, że nazwę swoją Hart Linę. Co o tym sądzisz?

- Fantastycznie, poczyniłaś już jakieś kroki?

- Nie mogę ruszyć z miejsca, dopóki nie zdobędę pieniędzy. Wiem, co i jak powinnam reklamować, ale potrzebuję sponsora.

- Banki?

Annie potrząsnęła głową.

- Odpada, wymagają zabezpieczenia. Rozejrzyj się - powiodła ręką wokoło - nie mam tu nic, co przyjęto by jako zastaw.

- Może jakaś duża firma kosmetyczna?

- Jak chcesz dać im swoje nazwisko i pomysły za darmo, nie będą z tobą nawet rozmawiać. Jak zaczynasz odbierać im klientów i zysk, robią wszystko, by cię wykupić, widzisz sama...

- Chciałabym móc ci pomóc - powiedziała Amanda.

- Wiem. - Przyjaciółka uśmiechnęła się serdecznie. - Trzymaj za mnie kciuki, miej oczy i uszy otwarte. - Ponownie napełniła kieliszek Anandy i dołała sobie wina. - A jak już o tym mowa - zrobiła filuterną minę - jak ten Jake zaprosi cię znowu, idź, dziewczyno.

- Wiesz, co najbardziej mi się w tobie podoba? - Amanda zachichotała. - Myślałam, że zakończyłyśmy rozmowę na jego temat już trzy godziny temu.

- Naprawdę? - Duże, ciemne oczy Annie zrobiły się jeszcze większe.

- Mogłabyś przestać?

- Jak się przekroczy trzydziestkę, nie można pozwolić sobie na wypuszczenie z rąk takiego faceta!

Amanda poczuła ucisk w żołądku. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek powiedziała tamtej, ile ma lat.

- Dlaczego sądzisz, że mam właśnie tyle?

- Bo jesteśmy rówieśnikami. Urodziny obchodziłaś w styczniu, a moje wypadają w sierpniu.

Amanda pogrzebała w pamięci. Rzadko komukolwiek mówiła, w jakim jest wieku, i poza jednym przyjęciem, gdy skończyła szesnaście lat, wydanym tylko dlatego, żeby jego brak nie wzbudził podejrzeń, nigdy nie zdradziła daty swych urodzin. Czyżby popełniła błąd? Tak dobrze czuła się w towarzystwie tej dziewczyny, że się wygadała?

- Gdybym wiedziała, że ten temat wyprowadzi cię z równowagi, nie poruszałabym go. - Przyjaciółka wyglądała na zakłopotaną.

- Nie o to chodzi - odrzekła Amanda. Za wszelką cenę chciała zmienić temat.

- No to o co? Nie chcesz rozmawiać o tym nowym facecie? - Annie pod stołem trąciła ją kolanem. - Bronisz swego terytorium?

Amanda chciała jak najprędzej zapomnieć o swych podejrzeniach. Roześmiała się

- Z Annie dopiero byłaby rywalka! Wzrostu trochę ponad metr sześćdziesiąt, zgrabna, skóra koloru kości słoniowej. Krótko obcięte, proste, czarne włosy zaczesywała za uszy - poza jednym zabłąkanym kosmykiem, któremu pozwalała opadać na policzek. Pełne wargi lubiła mocno pociągnąć błyszczkiem. Hołdowała wielkomiejskiej modzie - od stóp do głów czerń, niekiedy tylko złamana jakimś drobiazgiem w odcieniu czekoladowego brązu lub ciemnego granatu, a czasem bielą T - shirtu.

- Nie mam żadnych planów wobec Jake'a Fowlera - oświadczyła stanowczo. - Nie wiem nawet, czy mi się podoba. Jest zadziorny, chwilami nieco arogancki, i wścibski.

- Najwyraźniej zrobił na tobie wrażenie - zauważyła Annie ze śmiechem.

- Być może - przyznała Amanda - ale nawet jeżeli tak, nie jest jedynym mężczyzną, który się koło mnie kręci.

Przyjaciółka dokończyła jeść makaron.

- Zgadza się - powiedziała popijając wino - jest jeszcze „Pan w garniturze”.

- Nazywa się Tyler Grayson.

- Proszę o wybaczenie, milady, wyleciało mi z pamięci.

- Jest bardzo miły, Annie.

- Wiem, przeżyłaś z nim wspaniałe chwile. - Oparła się wygodniej, wyciągnęła przed siebie nogi i popijając wino, patrzyła na

przyjaciółkę. - No i jeszcze ten starszy mężczyzna, z którym umawiasz się w tajemnicy...

Amanda zbladła; nigdy nie wspomniała Annie o Lionelu, tego była pewna.

- O czym ty mówisz? - Serce waliło jej jak młotem.

- Od miesięcy spotykasz się z kimś. Gdyby był pełnym wigoru młodzikiem, pochwaliłabyś się, pokazałabyś zdjęcia, przedstawiła nas sobie. Ty natomiast zadajesz się z jakimś anonimowym elegantem, który zabiera cię do miejsc, gdzie dobrze widziana jest „mała czarna”. Ponieważ kiedyś przez to przeszłam, myślę, że „Tajemniczy pan” zabiera cię do najdroższych lokali - stąd owe wytworne stroje. Po drugie - jest żonaty i nosi znane nazwisko. Po trzecie, tylko ktoś starszy, kto nie musi godzinami siedzieć biurze, aby wykazać się przed szefem, może tak często z tobą wychodzić jak ten twój Romeo, zgadza się?

- Niezupełnie. - Amanda starała się mówić obojętnym tonem, Lecz zaniepokoiło ją, że przyjaciółka znalazła się tak blisko prawdy. Musi bardziej uważać z Lionelem.

- Nie zamierzasz mnie oświecić? - Annie popatrzyła jej prosto w oczy, z nadzieją, że może tym razem uda się nakłonić koleżankę do zwierzeń. Ale Amanda zatrzasnęła drzwi jak zawsze, gdy Annie zbliżała się do tych z napisem „prywatne”.

- Nie - zabrzmiało z tak dobrze znanym jej spokojem.

Annie podciągnęła kolana pod brodę. Amanda emanowała chłodem wręcz namacalnym.

- Może zmienimy temat?

- Świetny pomysł. Annie uniosła kieliszek.

- Wypijmy za powodzenie wystawy w galerii Franka Lloyda. - uśmiechnęła się serdecznie. - Jestem z ciebie dumna, Max. Daleko zaszłaś.

Trąciły się lampkami. Amanda udawała spokojną, lecz po głowie krążyły jej szalone myśli. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, zaczynała podejrzewać, że Annie Hart nie jest tą osobą, za którą się podaje Nagle zaniepokoiły ją sprawy, które dotychczas po prostu notowała w pamięci. Jak choćby znalezienie w mieszkaniu Annie, w koszu na czasopisma, egzemplarzy „Miami Herald”. Annie twierdziła, że do filmu, przy którym pracuje, kręcono scenę w tamtej okolicy, chciała więc poznać realia. Ale przecież, myślała dalej, przyjaciółka -

o wyraźnie latynoskiej urodzie - została adoptowana. Czyżby nie mieszkała całe życie w Nowym Jorku, jak twierdziła? Czy jest krewną kogoś z kartelu Espinosy? A ich pierwsze spotkanie? Jakże dziwne - poznać kogoś w kostnicy i zabiegać o kontynuowanie tej znajomości! Przecież to Annie wymusiła następne spotkanie, a potem trzecie i czwarte... Amanda nigdy nie przejawiała inicjatywy. Może to część planu, a ta kobieta ma zwabić ją w pułapkę? Nie, obruszyła się Amanda.

Chyba oszalałam, pomyślała.

- Muszę iść. - Wstała i po chwili już jej nie było. Ani słowa przeprosin czy wyjaśnień.

Annie została sama. By odzyskać równowagę ducha, zabrała się do sprzątania naczyń. Wyrzucała sobie nieostrożność. Żartobliwe wypominanie przyjaciółce starszego przyjaciela to jedno - próba wydobycia z niej potwierdzenia swych podejrzeń stanowiła ryzyko - ale wyrwanie się z datą jej urodzin to już poważna wpadka. I cokolwiek było przyczyną: wino, atmosfera spokoju czy świadomość, że nie została rozpoznana, owo coś sprawiło, że znów popełniła błąd.

Jeszcze tylko trzeba, byś zwróciła się do niej Ricki, pomyślała Annie z niesmakiem.

Ktoś za nią był; Amanda zorientowała się wkrótce po opuszczeniu poddasza. Przyśpieszyła kroku. Chcąc mieć wolne ręce, aby w razie potrzeby móc sięgnąć po broń, przesunęła plecak z lewego ramienia do tyłu. Wsłuchana w odgłos kroków za plecami zastanawiała się, czy ów ktoś rzeczywiście za nią idzie.

Pośpiesznie ruszyła w stronę stacji przy Houston z nadzieją, że peron będzie pusty. Gdy pociąg nadjechał, szybko wsiadła. Z zadowoleniem stwierdziła, że miejsce, o które jej chodziło, tuż obok drzwi między wagonami, jest wolne.

Oparta plecami o ścianę uważnie patrzyła, czy nie dostrzeże gdzieś napastnika. Ale kimkolwiek był, miał dość doświadczenia, by zachować należyłą odległość. W pewnej chwili wydało jej się, że ktoś wysiadł i zaraz wszedł do innego wagonu. Jazda z Houston do Osiemdziesiątej Szóstej ciągnęła się w nieskończoność, w wagonie Amandy nikt poza nią nie przejechał całej trasy.

Jako detektyw nowojorskiej policji przeszła przeszkolenie, jak bronić się przed czyhającymi na ulicach niebezpieczeństwami. Ale tym razem ten, kto ją śledził, z pewnością nie był młodocianym

złodziejaskiem, polującym na jej portmonetkę, ani zboczeńcem, gotowym zgwałcić, byle tylko zaspokoić chęć dominacji nad kobietą. Jeżeli wybrano ją za cel, strzał odda doświadczony morderca na usługach mafii. A to już nie przelewki.

Wyszła ze stacji metra na Broadwayu i zaczęła iść, oddalając się od centrum, w stronę Osiemdziesiątej Dziewiątej. Już po chwili usłyszała kroki idącego za nią człowieka, który starał się poruszać w jej rytmie. Dostrzegła sklepik spożywczy i weszła do środka. Udawała, że przygląda się artykułom na półkach, ale nie spuszczała wzroku z drzwi wejściowych. Gdy upewniła się, że nikt za nią nie wszedł, kupiła butelkę soku, by w razie potrzeby stłuc ją i użyć wyszczerbionego szkła jako broni. Po wyjściu na ulicę Amanda nie słyszała już kroków, lecz niejasna świadomość czyjejs obecności za plecami pozostała.

W domu sprawdziła okna i zamek w drzwiach. Choć za paskiem miała trzydziestkęósemkę, z pudełka wyciągnęła dziewiątkę i załadowała magazynek. Zapaliła światło w sypialni, ze specjalnie zaprojektowanego schowka pod łóżkiem wyciągnęła remingtona kaliber dwanaście, naładowała karabin, potem zabezpieczyła go i oparła o ścianę między łóżkiem a nocnym stolikiem. Wróciła do saloniku. Przez szparę w drewnianych żaluzjach ostrożnie wyjrzała na słabo oświetloną ulicę. Przez chwilę nic się nie działo. Nagle z cienia wyłoniła się samotna postać, energicznym krokiem doszła do rogu ulicy i skręciła. Zanim nieznajomy zniknął, padło na niego światło ulicznej lampy. Zobaczyła blask, jak gdyby światło odbiło się od kurtki wykonanej ze sztucznego tworzywa lub jedwabiu. Albo skóry.

Minęła północ, a Amanda wciąż nie mogła zasnąć. W ciemnościach leżała na łóżku całkiem ubrana i wpatrzona w sufit czekała na telefon od Sama Batesa. Aparat stał z jednej strony łóżka, z drugiej leżała dziewiątka. Trzydziestkęósemkę odłożyła już wcześniej, ale karabin miała pod ręką. Usiłowała zachować spokój, jednak czekanie na Sama, który musiał dotrzeć do budki telefonicznej w centrum Los Angeles, okazało się trudne.

Chociaż dwa razy dziennie sprawdzała mieszkanie w poszukiwaniu podsłuchu, Sam nalegał, by podczas rozmowy przynajmniej jedno z nich korzystało z ogólnie dostępnej linii.

Pomyślała o telefonie do Lionela, lecz szybko odrzuciła ten pomysł. Choć starał się bardzo, nie dostrzegał powagi sytuacji.

Wysłałby po nią Thompsona i sprowadził do swego domu w mieście. Staralby się ją uspokoić i wysłuchał z zainteresowaniem opowieści, jednak jej domysły potraktowałby jako zachętę do własnego działania, a takie wyjście było nie do przyjęcia. Poderwał ją dzwonek telefonu.

- Wujek Sam?

- We własnej osobie. Jego spokojny głos podziałał na Amandę kojąco.

- Dzięki za tak szybki kontakt - powiedziała zastanawiając się, czy przypadkiem to jej nocne wołanie o pomoc nie okaże się przesadzone. - Mam nadzieję, że cię nie zaniepokoiłam, to nic takiego.

- O co chodzi, Amando, wydarzyło się coś niezwykłego?

Wstała się i włączyła światło; ciemności już jej nie chroniły. Sądziła, że swym telefonem zaskoczyła Sama, lecz w jego głosie nie usłyszała zdziwienia. Brzmiał w nim wyłącznie niepokój.

- Za długo żyję w napięciu - powiedziała zdenerwowanym głosem - ale chyba ktoś mnie śledził. Zrobiłam się okropnie nieufna, w stosunku do wszystkich i wszystkiego.

- Reagujesz jak zwykle prawidłowo, Amando, musisz zachowywać wzmożoną ostrożność.

Głos, który jeszcze przed chwilą uspokajał, teraz potęgował obawy. Zamiast zapewniać o bezpieczeństwie, alarmował.

- Czy wydarzyło się coś, o czym powinnam wiedzieć? - Gdy Sam nie odpowiedział od razu, poczuła chłód, jakby arktyczny wiatr wpadł do jej sypialni. - Czy u mamy wszystko w porządku?

- Tak, czuje się dobrze. Ale musimy uważać, bo Jaime Bastido dwa tygodnie temu został zwolniony z więzienia.

Amandę przeszedł dreszcz. Jej oczy instynktownie przeszukiwały pokój, palce ścisnęły glocka.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Spodziewaliśmy się, że pójdzie w ślady swoich koleśków i natychmiast opuści kraj.

- Kiedy tamtych zwolniono i dlaczego nikt mnie nie uprzedził? - W głosie Amandy zabrzmiała nuta gniewu.

- Jakies pięć lat temu. - Sam przycisnął ucho do słuchawki, by zorientować się, czy dziewczyna jest bardzo zaniepokojona, ale na taką odległość niewiele mógł odgadnąć z jej tonu. - Obaj wrócili do Cali. Otrzymaliśmy informację, że zostali zabici krótko po wylądowaniu na kolumbijskiej ziemi.

- A Jaime? - spytała Amanda podniesionym głosem. - Czy on także postanowił zaryzykować i wrócił do ojczyzny? Milczenie Sama przerażało ją i złościło.

- Bastido zniknął.

- I ani tobie, ani matce nie przyszło do głowy, by mi o tym wspomnieć! - Wstała z łóżka i nerwowym krokiem przemierzała pokój; każdy jej gest wyrażał niezadowolenie. - Kiedy zamierzaliście mnie zawiadomić, dopiero wtedy, gdy ten drań mnie zastrzelił? Jestem tu wystawiona na pełny widok, zapomniałeś, Sam? - wycodziła przez zęby. Próbował coś tłumaczyć, była jednak zbyt wściekła, by go słuchać.

- Rozumiem, że przyjeżdżając do Nowego Jorku straciłam prawo do ochrony, ale jak głupia sądziłam, iż ci na mnie zależy i mogę na ciebie liczyć.

- Słuchaj, Amando - w głosie Sama brzmiała stanowczość - śledzimy Bastida od jego wyjścia z Joliet. Pojechał do Miami, po tygodniu pojawił się w San Diego; dwa dni temu straciliśmy go z oczu. Przypuszczamy, że przedostał się do Meksyku.

- Ale równie dobrze mógł wsiąść do pociągu jadącego do Nowego Jorku.

- Sprawdziliśmy dworce i lotniska. - Jego głos nie brzmiał zbyt pewnie i Sam wiedział o tym. Spróbował zatrzeć to wrażenie: - Zadzwoń do biura, przydzielę ci kogoś do ochrony.

- Nie rób tego - odpowiedziała cichym, lecz stanowczym tonem - potrafię o siebie - zadbać.

- Nie powinnaś być teraz sama.

- Ale rzeczywistość tak właśnie wygląda.

Amandzie nieczęsto zdarzało się ulegać się emocjom, jednak przywiązanie brzmiące w głosie Sama oraz narastające poczucie zagrożenia spowodowały, że w jej oczach ukazały się łzy. Samotna, świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, nie powstrzymywała ich.

- Nic ci nie jest? - spytał Bates.

- Czuję się świetnie. - Otarła oczy i pośpiesznie opanowała się, co było efektem wielu lat samokontroli. Jeżeli przeszłość nauczyła ją czegokolwiek, to właśnie tego: dystans wobec własnych słabości to najlepszy pancerz ochronny. - Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Służby biura w całym kraju zostały postawione w stan pogotowia. Nie jesteśmy pewni, czy Bastido przekroczył granicę, - ale na wszelki wypadek uruchomiliśmy naszych agentów w Meksyku. Nie martw się, kochanie. Gdy tylko gdzieś się pojawi, zaraz będziemy wiedzieć i powiadomimy cię natychmiast, obiecuję.

Po tej rozmowie Amanda długo nie mogła zasnąć. Po co miałyby śnić horror, skoro na jawie znalazła się w samym środku koszmaru.

Kapitan zapowiedział, że ich samolot jest trzeci w kolejce do startu i za kilka minut odlatuje do Chicago. Amanda sprawdziła zapięcie pasa bezpieczeństwa, włączyła lampkę nad głową i by się odprężyć, otworzyła „Morning Telegraph”. Żołądek podszedł jej do gardła, jakby samolot wpadł w powietrzną dziurę, na widok nagłówka krzyżącego: „Senator oskarża meksykańskie kartele narkotykowe o pranie brudnych pieniędzy”. W artykule zacytowano słowa senatora Johna Chisolma: „Meksykańskie kartele narkotykowe piorą pieniądze w amerykańskich bankach na skalę nie mniejszą niż organizacje kolumbijskie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Co gorsza - ciągnął Chisolm - otrzymują pożyczki, za które wykupują firmy prowadzące interesy po obu stronach granicy. To oburzające, by ciężarówki nabyte za amerykańskie dolary przewoziły heroinę i kokainę przez nasze granice, na ulice naszych miast”.

W artykule pisano dalej, że wielu członków Kongresu uważa, iż należy potępić rząd meksykański za obronę handlarzy narkotyków przed wymiarem sprawiedliwości. Autorka, Hallie Brendel, twierdziła, że kilka jej źródeł, nalegających na zachowanie anonimowości, wyraziło opinię, iż hipokryzją byłoby potępienie Meksyku, jeżeli nasz rząd także chroni kręgi finansowe, które czerpią olbrzymie zyski ze sprzedaży narkotyków.

„Choć większość z wymienionych odrzuca podobne zarzuty - głosił artykuł - senator John Chisolm, republikanin z Nowego Jorku, odważnie występuje przed szereg i obiecuje wszczęcie wszechstronnego dochodzenia”. Amanda przebiegła wzrokiem pozostałą część artykułu, a gdy dotarła do ostatniego zdania, zatrzymała się na słowach Chisolma: „Lepiej już teraz oczyścimy nasze ulice, zanim doczekamy się następnych «marnych porządków», jak miało to miejsce po «Dniu Prania». I wiercie mi nie chcemy tego. Koszt liczony zarówno dolarami jak i w ludzkim życiu jest o wiele większy, niż ktokolwiek z nas jest gotów ponieść”.

Oczy dziewczyny przysłoniła mgła. Niektórzy z nas już zapłacili więcej, niż na nich przypada.

Na innym lotnisku Lionel Baird w poczekalni pierwszej klasy czekał na wezwanie do wejścia do samolotu do Detroit. On także zainteresował się artykułem Hallie Brendel, choć nie zareagował nawet w połowie tak gwałtownie jak Amanda. Odezwała się cyniczna jego natury i całą sprawę odbierał jako wstęp do kampanii wyborczej Johna Chisolma.

- Drań potrzebował chwytliwego hasła - zamruczał do siebie pod nosem - zupełnie jak aligator, będzie pożerał swoich.

- Przepraszam, czy przypadkiem nie leci pan 555?

Lionel uniósł wzrok. Pewnie wyglądał, jak gdyby nie zrozumiał, bo kobieta powtórzyła pytanie, powoli, zapewne biorąc go za trzęsącego się idiotę, który stracił poczucie czasu.

- Na tablicy ukazało się ostatnie wezwanie - artykułowała wyraźnie kolejne słowa.

Odpowiedziałyby chętnie, że nie musi zwracać uwagi na napisy wyświetlające się na tablicy jak inni pasażerowie w poczekalni, gdyż nie przywykł do respektowania wezwań, ostatnich lub innych. Pilot jego prywatnego samolotu podrywał maszynę w powietrze na żądanie szefa. Chciał powiedzieć, że minęło co najmniej piętnaście lat, odkąd po raz ostatni leciał publicznymi liniami i bynajmniej nie tęskni za tym doświadczeniem. A przede wszystkim uświadomić pracownicy lotniska, że mimo podeszłego wieku zachował całkowitą kontrolę nad swym ciałem, jak również intelektem i nieczęsto, a raczej nigdy nie zdarza mu się pleść od rzeczy. Mając jednak w pamięci ostrzeżenia Amandy w kwestii zwracania na siebie uwagi, podziękował uprzejmie, podniósł walizeczkę i ruszył pośpiesznie w stronę wyjścia do samolotu.

Na pokładzie zapomniał o irytacji i zamyślił się nad powodem swej podróży: zadzwonił do niego Sam Bates z prośbą, by Lionel spotkał się z Amanda, Beth i nim w bezpiecznym miejscu. Według tamtego człowieka zaistniała sytuacja wymagająca wzmocnienia środków ostrożności. Lionel zgodził się bez wahania, choć koniecznie chciał znać szczegóły - Sam z ociąganiem poinformował go, że Jaime Bastido się ukrywa. W FBI i biurze szeryfa uważano, iż przestępca ten uciekł do Meksyku, by zaproponować swe usługi nowym królom biznesu narkotykowego.

Według zapewnień Sama obydwie agencje były przygotowane do wzmożonej ochrony Amandy i Beth. Istniała także możliwość przydzielenia kogoś Lionelowi.

- Jeżeli Jaime i jego przyjaciele wiedzą, kim jest Amanda, wiedzą także, kim pan jest - oznajmił bez ogródek szeryf. - Pańska funkcja, znane w całym kraju nazwisko i zainteresowanie mediów czynią z pana łatwy cel.

Lionel podziękował Samowi za troskę, ale z oferty ochrony nie skorzystał. Miał własny rozbudowany system zabezpieczeń. Bates przestrzegał go przed bagatelizowaniem ryzyka.

- Biuro nie ma zwyczaju chronić czyjegoś mienia lub też bronić domu przed najściem. Proponujemy pomoc tylko w wypadku uzasadnionych przypuszczeń, że zagrożone jest ludzkie życie.

Lionel podziękował raz jeszcze, lecz natychmiast ze spokojem mu wypomniął, że to wskutek polityki biura szeryfa przez dwadzieścia lat żył w przekonaniu, iż żona i córka zginęły rozerwane na strzępy podczas eksplozji w Miami.

- Moje nazwisko z pewnością widnieje na niejednej liście... - oświadczył sucho. - Już od wielu lat pieniądze wyznaczają na mej piersi widoczny z daleka cel.

Tamtego wieczora, wmieszani w tłum bywalców pizzerii Rudy'ego w Closter w New Jersey, Lionel i Amanda omawiali wiadomość otrzymaną od Batesa.

- Dziękuję, że się zgodziłeś - Amanda poczuła ulgę, gdy Lionel przystał na spotkanie w Madison w Wisconsin - i bez protestów zastosował się do wskazówek wujka.

Skinął głową, jakby przyszło mu to łatwo. Jednak oboje wiedzieli, ile go kosztowało podporządkowanie się wyznaczonym przez Sama regułom. Zamiast polecieć z córką prosto do Madison własnym gulstreamem - co uważał za bezpieczniejsze i lepsze - podróżuje na północny zachód via Detroit. Amanda natomiast miała dotrzeć na miejsce przez Chicago. Bates i Beth polecą z Los Angeles do Milwaukee, a stamtąd pojedą samochodem na spotkanie pozostałych.

- Tak naprawdę nie przywiązuję wagi do drobiazgów, Amando. - Pociągnął łyk wina i wykrzywił usta. Knajpa Rudy'ego słynęła z dobrej pizzy, ale podawane tampino gorgio... - Możesz wierzyć lub nie, potrafię zachowywać się jak przeciętny obywatel. - Zwrócił jej uwagę na sąsiednie stoliki, przy których wieloosobowe rodziny

zajadały się makaronem i pizzą, jakby organizacja konsumencka takie właśnie dania krzyknęła czymś nadzwyczajnym. - Zależy mi natomiast na twoim bezpieczeństwie, a mówiąc szczerze, nie jestem przekonany o skuteczności działań przedstawicieli władzy.

Wściekł się na wiadomość, że nikt nie uprzedził Amandy o zwolnieniu Bastida z więzienia. Wyznaczenie agenta, który dyskretnie jej strzegł, nie zmniejszyło gniewu Bairda. O obecny stan rzeczy obwinał Batesa, system, biuro szeryfa, policję oraz wszelkie instytucje, jakie tylko przyszły mu do głowy. Gdy przedstawił córce zamiar wynajęcia dla niej ochroniarza, ta zareagowała szybko i z całą stanowczością.

- Wykluczone! Pogrążysz mnie do reszty!

- O co ci chodzi?

- Jeżeli ci, którzy mnie szukają, odkryli, kim naprawdę jestem, wiedzą, jak wyglądam, gdzie mieszkam i pracuję, a także kim są moi przyjaciele... - przerwała. Zaczekała, aż do Lionela dotrze sens jej słów. - Z drugiej strony, ja nie mam pojęcia, kim oni są, ilu wynajęto ludzi, skąd nadejdą ani czego chcą. - Bezradnie wzruszyła ramionami i rozejrzała się po tłumie zebranych przy stolikach. - Przecież mogliby siedzieć tutaj, obok mnie, a połapałabym się, gdy byłoby już za późno.

Miała rację, zabójcy niczym się nie wyróżniają. Przyczajeni w anonimowości, obserwują cierpliwie i wybierają moment, kiedy mogą bezkarnie uderzyć i oddalić się z miejsca zbrodni. Myśl o tym sprawiła, że Lionel oblał się zimnym potem.

- I nie sądzę, że twoi ochroniarze są nie do kupienia! - Dostrzegła w oczach ojca niedowierzanie i poczuła strach. Uprzywilejowana pozycja wytworzyła wokół niego bańkę iluzorycznego bezpieczeństwa, którą z łatwością można było zdmuchnąć za pomocą kuszącej obietnicy czy pieniędzy. By go przekonać, dodała:

- Nie ma znaczenia, ile im płacisz. Ktoś inny zaoferuje więcej, a wtedy cię wystawią. - Przechyliła się przez stół, by nikt poza Lionelem nie usłyszał jej słów. Patrzyła na niego z czułością, ale mówiła stanowczym tonem. - Nie chcę cię straszyć, życie jednak nauczyło mnie ostrożności. Niewielu ludziom można ufać bez zastrzeżeń. Ja mam dwie: ciebie i Beth. - Popatrzył na nią pytająco. Wiedziała, o czym pomyślał. - To właśnie wujek Sam uświadomił mi, że dopóki ktoś nie jest tak mocno związany ze mną, by jego życie w

równym stopniu stało się zagrożone, nie mogę mu ufać. Dotyczy to także jego.

Lionel poczuł się mały i niewiele znaczący wobec odwagi córki. On szalał, zaciskał pięści, dużo obiecywał, ale tak naprawdę czuł się bezsilny - Amanda zachowała chłodną, trzeźwą ocenę sytuacji. W jej postawie nie było nic z fanfaronady, żadnego „świetnie sobie poradzę”. Pewnie dlatego, pomyślał Lionel, że większość życia spędziła w świadomości, iż tylko w niewielkim stopniu może wpływać na bieg wydarzeń.

- No więc co zamierzasz? - spytał, pełen podziwu dla jej spokoju.

- Jakie podejmiesz kroki, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo?

- Skorzystam z tego, co jest mi dostępne: z akt policyjnych oraz mojego detektywistycznego nosa. I czasu.

Lionel nie zrozumiał.

- Biorącym udział w nagonce sprawia przyjemność jak najdłuższe dręczenie miotającej się bezsilnie ofiary. Moim zadaniem będzie rozszyfrowanie ich metody - wskazówki, jakie znajdę, i dany nam czas wykorzystam na dotarcie do przestępców.

- Czego konkretnie szukasz? Rysy Amandy stężały.

- Tych, którym sprawi największą przyjemność ujrzenie mnie i matki na marach.

- Wielki Boże! - Lionel nie krył zdenerwowania. Mogłaby go uspokoić, ale uważała, że powinien sobie uświadomić, jak realne jest niebezpieczeństwo.

- Zeznania mamy zmieniły życie wielu osób - powiedziała. - Federalni uważają Bastida za największe dla nas zagrożenie, aleja nie do końca jestem o tym przekonana. Dla chłopców z kartelu aresztowanie i więzienie to nic nadzwyczajnego, po prostu ryzyko zawodowe. Ale czy to samo dotyczy urzędników Hudson National Bank? Albo tego człowieka z Nathanson & Spelling? Czy też rodzin członków mafii? To nie byli bossowie, dysponujący milionami dolarów, którzy odkładają w zagranicznych bankach forsy na starość. To faceci z niewielkimi pieniędzmi, podejmujący wielkie ryzyko. Gdy moja matka ich wydała, stracili wszystko. Przeraza mnie myśl o tych ludziach. Nienawidzą nas. I chcą zemsty.

W czasie lotu do Detroit Lionel wciąż powracał myślami do tej rozmowy, analizował każde zdanie, roztrząsał każdy aspekt. Wszystko pokrywała mgła tajemnicy, nie miał żadnych sprecyzowanych

podejrzeń; nic, czego można by się uchwycić. Tylko na każdym kroku „jeżeli” i „być może” - słowa, których nie znosił.

Zatrwożony, starał się przygotować rozsądny plan działania - jak w interesach. Odsuwał na bok emocje, rozważał plusy i minusy, uwzględniał czynniki zewnętrzne i prawdopodobieństwo zaistnienia nieprzewidzianego. Świadom, że ten typ okoliczności umyka z jego pola widzenia, puszczał wodze fantazji jak nigdy dotąd.

Jednak gdy samolot wylądował, Baird musiał przyznać ze smutkiem, że wciąż szuka sensownego rozwiązania. Takiego jednak nie znał - Wszak Amanda na samym początku powiedziała: najbardziej oczywiste zagrożenie okaże się najmniej prawdopodobne, a podejrzany którego najtrudniej ujawnić, okaże się najgroźniejszy.

W Wisconsin wiosna zachowywała się jak rozkapryszona primadonna. Choć zaczynał się kwiecień, zamarznęty śnieg nadal krył brzegi dwóch dużych jezior leżących w centrum stolicy Środkowego Zachodu. Ostre wiatry znad Kanady wciąż zbijały temperaturę poniżej zera, przeganiając z ulic każdego przechodnia, poza kilkoma wyjątkowo odpornymi osobnikami i grupkami studentów udających się do biblioteki, akademika, siedziby związku czy do „Kollege Komer” - baru znanego powszechnie jako KK.

Lionel wyjechał wypożyczonym samochodem z podjazdu przed Edgewater Hotel na Wisconsin Avenue, skręcił w lewo w East Gorham i skierował się na północ. Zgodnie z planem mieli spotkać się w domu wynajętym przez Sama nad jeziorem Mendota, w weekendowej chacie biznesmena z Chicago, który od czasu do czasu użyczał jej na potrzeby biura szeryfa. Amanda zatrzymała się w pensjonacie położonym nad jeziorem Monona i miała pojawić się na miejscu spotkania około czwartej. Lionelowi polecono dotrzeć tam o piątej.

Gdy jechał drogami oplatającymi olbrzymie jezioro, serce biło mu szybciej niż zwykle. Denerwował się z wielu powodów, należały do nich plan ochrony Amandy - z czym, jak przypuszczał, wystąpi biuro szeryfa, spotkanie z Samem Batesem, a co więcej, perspektywa ujrzenia kobiety, o której nie potrafił myśleć inaczej niż jako o Cynthia Baird.

Próżność, a także niezwykła dla Lionela niepewność sprawiły, że popatrzył w lusterko. Pomimo ukończonych sześćdziesięciu lat wciąż był przystojnym mężczyzną, chociaż skóra na szyi trochę mu obwisła,

a czupryna posiwała i przeredziła się nieco. Na czole widniały zmarszczki, a pod oczami opuchnięcia, ale wyraźny, dołek w brodzie, a la Kirk Douglas - który Amanda, choć w delikatniejszym stopniu po nim odziedziczyła - wciąż przydawał mu zawiadackiego wdzięku. Oczy, wprawdzie lekko zapadnięte, wciąż rzucały pełne ciekawości spojrzenia. Intelktualnie pozostawał sprawny, a ciało nadal pozwalało mu korzystać z uciech życia.

Zaklął pod nosem. Według słów Amandy jego eks - żona i szeryf są kochankami; to dręczyło Lionela bardziej, niż chciałby się przed sobą przyznać. Uniósł stopę z pedału gazu, by zwolnić i trochę ochłonać. Teraz trzeba skupić się na własnym bezpieczeństwie, pomyślał, zapomnieć o zazdrości, o wszystkim, co rozprasza uwagę. Pragnął bez reszty poświęcić się wypełnieniu instrukcji, jakie otrzymał, jednak cień zazdrości pozostał...

Dlaczego, zastanawiał się Lionel, związek Beth z szeryfem Batesem do tego stopnia wyprowadza go z równowagi? W końcu rozeszli się przed dwudziestoma pięcioma laty - i to z jego winy, chociaż Cynthia podjęła decyzję. Czyżby w swym egocentryzmie zasklepił się do tego stopnia, by oczekiwać od kobiety wierności „aż po grób”? Być może, Czy dlatego, że Beth Maxwell znalazła się znowu w jego życiu w chwili, gdy opuszcza je Pamela Baird? Raczej nieprawdopodobne. Na Pameli przestało mu zależeć już dawno temu, a na brak kobiecego towarzystwa nigdy nie narzekał.

A może dlatego, że Cynthia Baird wykreśliła go z życia własnego i ich córki, nawet nie siląc się choćby na telefon. Batesa spotkała później, a jednak to do niego zwróciła się o radę, do jego wskazówek się zastosowała. Lionel był przecież jej eks - mężem, a także ojcem ich dziecka, więc dlaczego jego uczucia się nie liczyły?

Ściemniło się nagle. Jadący za nim pojazd włączył światła. Lionel się opanował. Przed chwilą, wykazując całkowity brak ostrożności, pozwolił sobie na wspomnienia i nie zwracał uwagi na to, co dzieje się wokół. Od jak dawna podąża za nim ten samochód? Czy go śledzą, czy też jest to tylko jakiś człowiek śpieszący tą drogą do domu? Lionel nie wiedział i wyrzucał sobie brak czujności - musi bardziej uważać. Pośpiesznie włączył długie światła. Jadący za nim wóz zmniejszył dystans; Lionel dodał gazu. Popatrzył w boczne lusterko, rozpoznał markę auta i tablice rejestracyjne z Illinois. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął długopis i już notował numery, gdy

tamten niespodziewanie skręcił w boczną drogę. Przez następne pół mili Lionel w napięciu obserwował, czy auto nie pojawi się znowu.

Jakąś milę później, tuż za Mapie Bluff, zaczęły się zakręty. Lionel zmrużył oczy i skupił się na prowadzeniu. Po przejechaniu kolejnego zakrętu dostrzegł wybiegający daleko w jezioro cypel. Zaraz dotrze na miejsce - cypel był znakiem rozpoznawczym.

Otrząsnął się ze wspomnień i czekał na nieoczekiwane. Znaki na tabliczkach zaprowadziły go do dużego białego domu wzniesionego nad urwiskiem opadającym do jeziora Mendota. Podjeżdżając od tyłu na parking, gdzie, jak go poinstruowano, miał zostawić samochód, zauważył z zazdrosnym zachwytem, że chociaż dom należał do jakiegoś osiedla zbudowano go z dala od innych.

Przeszedł na front budynku, wzniesionego w stylu neoklasycyżnym - w równym stopniu podziwiając jego architekturę, jak ogród, przy którego urządzaniu uwzględniono tutejsze ostre zimy. Na trawniku rosły sosny i zimozielonowce. Pod płatami śniegu, po prawej stronie, od zachodu, Lionel zauważył coś, co wyglądało na klomby kwiatowe. Większy ogród rozciągał się na południe, latem dostarczając zapewne obfitych ilości jarzyn. Wprawdzie całe swe dorosłe życie Lionel spędził w Nowym Jorku, to wychował się przecież na przedmieściach Connecticut przy matce, która miała talent ogrodniczy.

Zadzwoił i czekał, przypuszczając, że już wiedzą o jego przyjeździe. Po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach, gdy zastanawiał się już, czy przypadkiem samochodem z Illinois nie jechał morderca, któremu niepostrzeżenie udało się go wyprzedzić i teraz, ukryty w krzakach, czyha, by go zastrzelić, Amanda otworzyła drzwi. Lionel miał nadzieję, że uczucie ulgi nie było zbyt widoczne na jego twarzy.

- Witamy w Fort Maxwell - zażartowała, ściskając gościa serdecznie i zaprowadziła go do salonu.

Był to przytulny pokój - piękne okienne ramy, karnisze i obudowę kominka wykonano z jasnego drewna. Błada zieleń ścian sprawiała ożywiające wrażenie w szarym zimowym świetle, a w blasku letniego słońca zapewne aż oślepiła. Wnętrze, ozdobione chodnikami miejscowego wyrobu, z drewnianymi stołami w rustykalnym stylu i prostymi, białymi fotelami, wręcz emanowało przyjazną atmosferą, potęgowaną jeszcze akcentami sztuki ludowej i przytulnym ciepłem

bijącym od płomieni z olbrzymiego paleniska. Tu i ówdzie Lionel dostrzegł kwiaty w porcelanowych wazonach - z pewnością ułożyła je Beth. Gdy ją poznał, na jej biurku stała mała porcelanowa czarka z kwiatami; każdego poniedziałku Cynthia przynosiła nowy bukiet. Pewnego poniedziałkowego ranka Lionel zostawił jej wiązaną fiołków. Do wstążki przyczepił kartkę z napisem: „Mam nadzieję, że rozjaśni Twój dzień. Rozjaśnisz mój, przyjmując zaproszenie na kolację”. Zawsze twierdziła, że była to najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek dla niej zrobił. Spoglądając wstecz, musiał przyznać jej rację.

- Witaj, Lionelu!

Stała przy kominku, wysoka i szczupła w spodniach z szarej flaneli i jasnoniebieskim swetrze. Włosy nosiła teraz krótko obcięte, z grzywką opadającą łagodnie na czoło, z boków zaczesywała je luźno na uszy. Były wciąż w odcieniu kasztanów, bardziej rude niż brązowe, lecz jak przypuszczał Lionel, kolor ów zawdzięczała raczej farbie niż matce naturze. Niewiele różniła się od Cynthii, jaką zapamiętał, jednak zaskakiwała spokojem. Spodziewał się ujrzyć spłoszonego ptaka, słabą kobietkę, potrzebującą wsparcia męskiego ramienia i słów pociechy. Być może takiej właśnie Beth oczekiwał. Tymczasem stojąca przed nim kobieta wyglądała na swobodną i opanowaną.

- Witaj... Beth!

Amanda uśmiechnęła się; wiedziała, z jaką niechęcią ojciec odniósł się do zmiany ich imion.

Lionel zauważył krótką wymianę spojrzeń między matką a córką. Prawdopodobnie Beth zakładała, że on uprze się i nazwie ją Cynthią. Punkt dla niego.

- Dzięki za przybycie - powiedziała Beth i podeszła do niego.

Lionel poczuł się niezręcznie, niepewny, co powiedzieć i jak się zachować. Nie mógł zacząć: „Przyjechałem tu z radością”, bo przyczyny jego wizyty nie miały nic wspólnego z czymkolwiek, co choć trochę przypominało takie uczucie. Beth nie zaprosiła go na herbatę czy kolację. W istocie wcale go nie zapraszała, spotkanie zaaranżował Bates. Przed wieloma laty rozstawali się mocno skłóceni. Musiała wyczuć owo skrępowanie, bo nie czekając na gest zachęty z jego strony, pocałowała Lionela w policzek i serdecznie uściśnęła. Z uwagą popatrzyła mu w oczy.

- Wciąż jesteś najbardziej eleganckim mężczyzną, jakiego znam.

Amandę zaskoczyło określenie wybrane przez matkę: eleganci. Tego właśnie słowa sama użyła, mówiąc Jake'owi, co pociąga ją w mężczyznę. Zastanawiała się, czy elegancja znajduje się na pierwszym miejscu jej listy preferencji, bo tak zawsze postrzegany był mężczyzna najboleśniej nieobecny w jej życiu. I to właśnie puste miejsce chciała wypełnić.

- A ty, Beth Maxwell, wciąż jesteś najbardziej seksowną analityczką finansową, jaką kiedykolwiek znałem - odrzekł Lionel.

Amanda drgnęła. Czyż Jake nie nazwał jej jedną z najbardziej „rozgarniętych kobiet”?

- A ja jestem szeryf Bates - rozległ się dźwięczny głos.

Lionel i Beth znieruchomieli niczym przyłapani na psocie dzieci. Odwrócili się w stronę stojącego w drzwiach Sama. Jego wysoka, mocno zbudowana postać zasłaniała je niemal w całości. Beth przeszła przez pokój i dosłownie wciągnęła mężczyznę do środka, Lionel zmierzył go wzrokiem, jakby szykował się do pojedynku. Rzucająca się w oczy fizyczna sprawność Batesa, i malująca się na jego twarzy stanowczość budziły szacunek. Wizerunku przedstawiciela prawa dopełniały wy - krochmalona biała koszula, czarne niczym smoła, sznurowane buty, ciemnogrnatowe spodnie, a czerwone szelki zbytnio kłuły w oczy, aby uznać, że włożono je przypadkowo. Znak rozpoznawczy, pomyślał Lionel, oznaka rangi czy część umundurowania? Marynarka wojenna nosi czerwone berety. Czyżby w biurze istniał korpus szeryfów, określany jako Czerwone Szelki?

- Miło mi pana poznać. - Lionel wyciągnął rękę.

Mężczyźni przywitali się, wymienili uprzejmości, wreszcie zmierzyli się wzrokiem.

Amanda obserwowała, jak matka, ojciec i wujek Sam poruszali się niczym w jakimś rytualnym tańcu. Choć zachowywali się z przesadną uprzejmością, co chwila się przepaszając, ich sztuczne ruchy świadczyły o wewnętrznym napięciu. Beth, najwyraźniej uczuciowo rozdarta między obydwojema mężczyznami, przenosiła ciężar ciała z nogi na nogę. Szczerze rada z ujrzenia eks - męża, pragnęła swobodnie z nim porozmawiać, lecz nie chcąc urazić Sama, lawirowała, by nie poświęcić więcej uwagi jednemu z nich.

Z początku Baird, jak przystało na gościa, próbował trzymać się na uboczu; słuchał rad, uprzejmie odpowiadał na pytania. Długo

jednak nie wytrzymał i już po chwili wrócił do własnego stylu - prezesa zarządu, który kieruje zebraniem, próbując narzucić program odpowiadający przede wszystkim jego własnym potrzebom, w tym momencie skupionym wokół kwestii odbudowania związków z rodziną.

Bates czuł się nieswojo i to nie tylko dlatego, że kobieta, którą kochał, flirtowała z innym mężczyzną. Choć spotkanie miało wszelkie cechy towarzyskiego, prawdziwym jego celem była ocena zagrożeń, na jakie każde z nich mogło zostać narażone w ciągu najbliższych miesięcy i wskazanie właściwego sposobu reagowania na niebezpieczeństwo. Powierzono mu zadanie uczynienia wszystkiego co możliwe, by chronić tych troje. Teraz zastanawiał się, czy potrafi się wywiązać z tego obowiązku.

Gdy dotarła do niego wiadomość o zwolnieniu Bastida, zadzwonił do Dana Connora, obecnie szefa biura szeryfa. Przyznał mu się do emocjonalnego związku łączącego go z Beth i Amanda i zapytał, czy nie powinien zrezygnować z prowadzenia tej sprawy. Sam nie był pierwszym funkcjonariuszem ochrony - ani ostatnim - który związał się uczuciowo ze swą podopieczną, ale obydwaj rozumieli, że należy zastanowić się, jak powinien dalej postępować. W końcu szef zgodził się, by Bates nadal wykonywał swe zadanie, gdyż wierzył, że jego uczucia bardziej tu pomogą, niż zaszkodzą. Amanda zaproponowała, by usiedli. Ku swemu zaskoczeniu ujrzała, że matka zajmuje miejsce obok ojca. By odwrócić uwagę Batesa, który najwyraźniej czuł się nieswojo, poprosiła, by nalał wszystkim wina, a sama poszła do kuchni, skąd wróciła z tacą pełną przekąsek. Gdy już usiadła wygodnie na kanapie, Beth zapytała o Annie:

- Jak jej się wiedzie, czy wciąż razem pracujecie przy tych portretach? Jakże to dziwne, że właśnie teraz padło imię Annie, pomyślała Amanda. W ciągu ostatnich kilku dni męczyły ją wątpliwości dotyczące przyjaciółki i Jake'a. Czyżby oceniła ich niewłaściwie i wyciągnęła pochopne wnioski? Może zadziałał nadmiernie czuły system alarmowy, jaki ona i Beth wykształciły w sobie przez te wszystkie lata. Amanda była zbyt ostrożna, by tak od razu pozbyć się podejrzeń, lecz słowa Sama o ochronie wiele jej ułatwiły.

- Jest wspaniała - rzuciła z nadzieją, że jej entuzjazm nie zabrzmiał sztucznie - stoi u progu sukcesu.

Beth uśmiechnęła się; nigdy nie spotkała Annie, Amanda jednak często mówiła o swej przyjaciółce - zawsze ciepło i serdecznie. Spytała o szczegóły.

- Chce wylansować kosmetyki Annie Hart. W ostatnich miesiącach została królową makijażu na planie seriali i teraz coraz to inne gwiazdy filmowe wpadają do niej po poradę podczas pobytu w Nowym Jorku.

- Mam nadzieję, że uda jej się zrealizować te plany - powiedziała Beth. - Z tego co mówiłaś, Annie jest utalentowana, obdarzona mocną osobowością i sprytem, a to ma znaczenie w biznesie.

- Zgadza się - przytaknęła Amanda.

- Czy to nie ona przedstawiła cię Lloydowi Franksowi? - zainteresował się Lionel.

Sam zmrużył oczy. Nie znosił opowieści o ludziach, których nazwiska nic mu nie mówiły. W jego branży obcy zawsze mógł oznaczać zagrożenie.

- Llyod Franks - kto to taki?

Amanda opowiedziała im o galerii i zbliżającej się wystawie.

- Otwarcie nastąpi za dwa tygodnie. Chciałabym, żebyście wszyscy przyszli.

- Chyba nie występujesz pod swoim nazwiskiem! - Bates aż podskoczył na kanapie. - I nie pokazujesz prac, które mogłyby zdradzić, gdzie mieszkaliście ty i Beth ani...

- Nie! Nie! Nie! - Amanda uniosła dłonie, jakby powstrzymywała napierający tłum. - W katalogu figuruję jako „Anonim”. Poza tym nie wybieram się na otwarcie i... - nie kryła już wzburzenia - ...nie jestem idiotką, potrafię o siebie zadbać.

Sam z trudem powstrzymał cisnące mu się na usta słowa.

Lionel zauważył jego wzburzenie - i się nie zdziwił. Widział, jak szeryf ze zdenerwowania pociera dłonie. Po raz pierwszy zrozumiał, w jakiej trudnej sytuacji znalazł się Sam Bates. Ten człowiek darzył Beth i Amandę głębokim uczuciem. Jako urzędnika federalnego obowiązywała go obietnica chronienia ich obu i miał cały sztab ludzi do dyspozycji. Jako mężczyzna czuł to samo co Baird: gołymi rękami zabiłby każdego, kto spróbowałby skrzywdzić te kobiety.

- Czy twoja przyjaciółka znalazła kogoś, kto jej pomoże? - Lionel zmienił temat, by dać Batesowi czas na ochłonięcie.

- Jeszcze nie. - Amanda obrzuciła ojca badawczym spojrzeniem.
- Jesteś zainteresowany?

Wzruszył ramionami.

- Być może, niech do mnie przyjdzie, to porozmawiamy. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Uświadomiła sobie, jak bardzo jej zależy, by pomóc przyjaciółce. A Annie, według wszelkich kryteriów, była nią. Podczas ich krótkiej znajomości uczyniła dla Amandy więcej niż ona dla tamtej. Nagle ogarnęło ją poczucie winy: od owego wieczora na poddaszu Annie telefonowała już wiele razy, a ona nie znalazła czasu na oddzwonienie. Miała nadzieję, że jej obsesyjna podejrzliwość nie spowodowała szkód nie do naprawienia.

- Zaraz po powrocie umówię was - obiecała.

Sam natychmiast zaprotestował, z całą gwałtownością.

- To nie jest odpowiednia pora na afiszowanie się znajomością z ojcem - warknął. - Dopóki nie wiem, gdzie znajduje się Bastido i jego kolesie, im mniej osób zna twoje powiązania, tym lepiej.

Lionel pomyślał, iż może coś jeszcze niepokoi szeryfa: Bates od początku nie uważał za właściwe, by Amanda nawiązywała kontakt z ojcem. Czyżby sądził, że ze względów bezpieczeństwa Beth powinna być pozwolona mu uważać córkę za zmarłą? A może ten „szeryf bez skazy” przywykł do traktowania Amandy jako swojej własności, którą niechętnie się dzielił?

Lionela ogarnęła wściekłość, ale opanował się szybko. Później, gdy to wszystko się skończy, będzie miał dość czasu na uporanie się z Samem Batesem.

- Tylko nas troje będzie o tym wiedzieć: Annie, Lionel i ja. - Amanda postanowiła stawić Samowi czoło, dobitnie dając mu do zrozumienia, że przemyślała konsekwencje, przeanalizowała sytuację i podjęła decyzję. I wręcz czuła się urażona zarzutem, iż postępuje lekkomyślnie. - Ja tylko przedstawię ich sobie. Lionel to doświadczony biznesmen, umie zachować dyskrecję. A jeżeli uważasz, że zwariowałam albo jestem naiwna, to sprawdź Annie... jeżeli jeszcze tego nie zrobiłeś.

Sam zacisnął szczęki tak mocno, że Amanda usłyszała zgrzytanie jego zębów. Nie pierwszy raz mu się przeciwstawiła, lecz tym razem stało się to w obecności mężczyzny, którego, jak wiedziała, uważał za rywala. Może jestem niemądra, pomyślała, teraz jednak zależało jej

bardziej na zrobieniu czegoś dla przyjaciółki niż na własnym bezpieczeństwie.

- I oczywiście zamierzam jakoś jej wyjaśnić, skąd policjantka o tak niskim stopniu zna potężnego prezesa Bairda. - Nie przyjmowała krytyki zawartej w spojrzeniu Sama, zwróciła się ku miłości przepełniającej oczy

Lionela.

Ten uśmiechnął się lekko.

- Najlepiej powiedz jej prawdę: jestem jednym z twoich licznych wielbicieli. Przeszli do jadalni i dalsza rozmowa potoczyła się w tym samym męczącym stylu: lekko, niby o niczym, wciąż jednak z tkwiącym w kolejnych słowach złowieszczym podtekstem. Gdy Beth i Lionel nie wspominali przeszłości, a matka i córka przestawały wypytywać się wzajemnie, Baird zaczynał zarzucać Sama pytaniami o Bastida, o to, jak potoczyły się losy skazanych w procesie w Nowym Jorku i co uczyniono, by ich odszukać.

- Wszystko, co w naszej mocy - tłumaczył Sam, daremnie usiłując ukryć irytację. Nie znosił, żeby przypierano go do muru, zwłaszcza wtedy, gdy robił to ktoś nie tylko nie podsuwający rozwiązania, ale mogący w przyszłości stać się sprawcą licznych kłopotów. - Jeżeli uważasz, że nie jesteśmy w stanie zapewnić im bezpieczeństwa, pozostało tylko jedno wyjście - przekonaj Beth do następnej przeprowadzki, a Amandę. by na powrót schroniła się pod opiekuńcze skrzydła programu ochrony świadka.

- Nie ma mowy! - Obie kobiety zareagowały gwałtownie, obrzucając Lionela nieprzychylnymi spojrzeniami, jakby już je o to poprosił. - Więcej tego nie zniosę - oświadczyła Beth stanowczo - nie mam siły na zaczynanie wszystkiego od początku.

- Ani ja! - poparła matkę Amanda. - Wszystko, tylko nie kolejna zmiana tożsamości!

Lionel w duchu gratulował Batesowi. Wystarczyło wspomnieć o programie i już zdobył punkt.

- Nie rozumiesz, jak to jest. - Oczy Beth posmutniały. - Ciągłe w drodze. Za każdym razem nowa praca, nowe mieszkanie. Te niekończące się próby wejścia w nową społeczność, poznanie jednej czy dwóch osób, którym można by zaufać na tyle, by pójść z nimi do kina czy zaprosić je na kolację. Wysilek, jaki trzeba włożyć w odgrywanie nowej roli.

- Musiałabym zrezygnować z pracy w policji. - Amanda wpatrywała się w ścianę, jakby oglądała toczącą się tam grę, niewidoczną dla pozostałych, i dostrzegła przyszłość, której nikt nie umiał przewidzieć. - Wszystko, co z takim wysiłkiem osiągnęłam w ciągu ostatnich lat, zostałyby przekreślone. W trzydziestym roku życia jeszcze raz nie miałabym żadnej przeszłości.

Do pokoju wdarła się samotność i pozostała z nimi niczym zadowolony gość. Beth i Amanda nie przyjęły intruza serdecznie, ale też jego pojawienie się ich nie zaskoczyło. Nieodłączna towarzyszka życia obu; jej obecność wydawała się czymś normalnym. To właśnie postawa żony i córki wstrząsnęła Lionelem do głębi. Beth ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nie - zwróciła się do wszystkich i do nikogo konkretnie - nigdy więcej. Matka i córka popatrzyły na siebie, ich spojrzenia spotkały się i zespoliły, broniąc obu mężczyznom dostępu do głęboko ukrytych wspomnień. Nie padły żadne słowa, milczenie jednak zdradzało, przez co musiały obie przejść, ile wysiłku kosztowało je, by przeżyć, ile jeszcze zdołają znieść.

- Musiałabym opuścić Nowy Jork - powiedziała Amanda - zostawić przyjaciół, tych niewielu, jakich mam - zwróciła się w stronę Lionela - a także i ciebie.

- Nie sugerowałem, by którakolwiek z was przeprowadzała się, zmieniała nazwisko czy postąpiła wbrew własnej woli - odezwał się Lionel, powstrzymując chęć pogrążenia Batesa; nic by to nie dało, a bez alternatywnego planu wyszedłby na człowieka małego. - Tylko się martwię. - Ujął dłoń Amandy i przytrzymał, równocześnie szukając wzrokiem oczu Beth. Ze wszystkich sił pragnął, by zrozumiała, jak bardzo się o nie troszczy. - Chcę, żebyście były bezpieczne.

- Wiem, Lionelu - odrzekła - i doceniam twoją troskę. Tylko... no cóż, przechodziłyśmy już przez to i...

- I więcej nie chcemy - dokończyła Amanda i obie popatrzyły na niego stanowczym wzrokiem.

- Ja też nie - przyznał. Sam wyczuł, że tych troje chciałoby spędzić chwilę tylko ze sobą.

- Beth nadal jest objęta programem i ochroną biura. - Spojrzał Lionelowi prosto w oczy. - Wiem, co możesz sobie pomyśleć, ale moje uczucia nigdy nie naraziły jej na niebezpieczeństwo i nigdy do

tego nie dojdzie. Nie tylko wypełniam swój obowiązek; Beth jest również miłością mojego życia. Wierz mi, Lionelu, nie pozwolę jej skrzywdzić! - powiedział i wyszedł z pokoju. Twarz Bairda nie zdradzała żadnych uczuć, jednak niepokój i obawa prawie dorównywały zazdrości.

- Nie zniósłbym, gdybyście znowu zniknęły z mojego życia - przerwał pełną napięcia ciszę. - Już przez to raz przechodziłem, wystarczy. - W jego oczach błyszczały miłość i ból.

- Przykro mi, Lionelu - wyszeptała ze skrucą Beth. Trudno było spokojnie patrzeć na jego cierpienie ze świadomością, że ona sama przyczyniła się do tego bólu; nie mogła pozostać ślepa na miłość w jego oczach. - Uważałam, że tak będzie dla nas bezpieczniej.

- Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. - Wiedział, że mówi prawdę, - Ale przeszłości nie da się zmienić. Musimy zatroszczyć się o teraźniejszość i pomyśleć o przyszłości. - Beth podziękowała mu uśmiechem.

- Lionel odwzajemnił go i dodał: - Chcę wam pomóc.

- Sama twoja obecność tutaj jest wielką pomocą.

Amanda już miała włączyć się do rozmowy, lecz ojciec sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał. Wyraz jego twarzy zmieniał się gwałtownie i smutek zastąpiło zamyślenie. Popatrzył na Beth, a potem na Amandę i znów na Beth.

- Gdy urodziła się Amanda, założyłem dwa fundusze powiernicze: jeden dla niej, drugi dla ciebie. Gdy obie... zginęłyście... nie zlikwidowałem ich, nie mogłem się na to zdobyć. - Głośno przełknął ślinę. - W głębi serca wciąż chciałem wierzyć, że żyjecie i jeżeli te pieniądze pozostaną, powrócicie. - Wymuszony uśmiech pojawił się na jego twarzy. - i najwyraźniej zadziało... Beth zagryzła wargi. Nie potrafiła powstrzymać łez. Przez te wszystkie lata często zastanawiała się, czy Lionel ją wspomina, czy jest mu smutno, czy kiedykolwiek odczuł jej brak. Teraz wiedziała.

- Te pieniądze są wasze, kiedy tylko będą wam potrzebne... - Nie spuszczał wzroku z Beth. - Jest ich dość, by starczyło na dostatnie życie.

- Jakie to miłe, tatusiu. - Amanda wstała z krzesła, podeszła do Lionela i pocałowała go w policzek.

Nie miał odwagi na nią spojrzeć, tylko pogłaskał ją po twarzy, nie podnosząc głowy. Nigdy wcześniej córka nie odezwała się do niego w ten sposób. Beth wpadła w zadumę.

- O co chodzi? - Baird przestraszył się, że powiedział coś niewłaściwego. - Chciałem, żebyście o tym wiedziały...

- ...na wszelki wypadek - dokończyła Beth. - i na wszelki wypadek, muszę cię zapytać: na jakie nazwiska są te konta?

- Cynthia Stanton Baird i Erica Baird. Po raz kolejny tego wieczora matka i córka wymieniły spojrzenia.

- Nic z tego - oświadczyła Amanda, kompletnie zaskakując ojca.

- Dlaczego?

- Bo Cynthia i Erica Baird już nie istnieją. Beth pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- Nie mamy metryk urodzenia ani praw jazdy czy kart ubezpieczeniowych ani niczego, czego mogliby chcieć od nas w banku. Nie pozostały żadne dokumenty na te nazwiska. - Sięgnęła przez stół i położyła rękę na jego dłoni. - Tamte dwie nie istnieją, Lionelu.

- No to przeniosę te pieniądze na Beth i Amandę Maxwell - odrzekł szybko, roztrzęsionym głosem. Amanda wyjaśniła, że nie może tego uczynić.

- Odsłoniłbyś nas.

Baird jęknął i potarł skronie. Napięcie przyprawiło go o ból głowy.

- Ma ktoś ochotę na kawę? - Sam powrócił do stołu z dzbankiem parującego płynu. Beth i Amanda oddaliły się, by dać Lionelowi czas na rozważenie sprawy. Gdy wróciły, wciąż siedział zamyślony.

- A jeżeli bez wzbudzania podejrzeń, nie pozostawiając śladów przeniósłbym fundusze gdzie indziej? - rozmyślał na głos. - East Gorham Associates, prezes Samuel Bates.

Sam był zafascynowany taką przemyślnością finansisty, pochlebiało mu również okazane zaufanie, zaprotestował jednak:

- Ode mnie można trafić zarówno do Beth, jak i do Amandy.

- Wiem. - Lionel uniósł palec i pokiwał nim z dumną miną. - Wreszcie zaczynam rozumieć.

- Tak...?

- Ten cały program. Wiele warstw, jedna na drugiej, by utrzymać chronioną osobę jak najdalej od zagrożenia. - Potarł brodę; tamci troje

coś mówili, ale Baird, pogrążony we własnych myślach, nie słuchał. Wreszcie zwrócił się do Batesa: - Czy mogę ci ufać, że wykonasz wszystko, jak należy?

- Naturalnie.

- Byłem tego pewien. - Tymi słowami były mąż Beth zawarł z Samem pokój. - Jutro rano zadzwonię do mojego osobistego adwokata, któremu bez wahania powierzyłbym życie własne i - popatrzył na Beth i Amandę - wasze. Polecę mu sporządzić stosowne dokumenty tworzące fundusz East Gorham Associates, z Samem Batesem jako prezesem, i przeleją tam pieniądze. W taki oto sposób unikniemy wymieniania waszych nazwisk. - Teraz zwracał się wyłącznie do szeryfa. - Potem poproszę, byś podpisał osobny dokument, w którym potwierdzisz, że działasz w imieniu Beth i Amandy i nie rościsz sobie praw do tych pieniędzy. Jednak gdyby któraś, Beth lub Amanda, potrzebowała gotówki, jako ich przedstawiciel możesz sprzedać część udziałów. W przypadku mojej śmierci przekazesz im całą kwotę. Oczywiście, za swoje usługi dostaniesz wynagrodzenie. - Popatrzył po twarzach osób zebranych przy stole. - Czy odpowiada wam takie rozwiązanie?

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny, Lionelu - powiedziała Beth, zażenowana hojnością eks - męża. Ten zmrużył oczy, wdzięczny jej za pochwałę. - Czy to jest zgodne z surowymi zasadami biura?

- Będę musiał powiadomić mojego przełożonego, ale takie załatwienie sprawy wydaje mi się najlepsze - odrzekł Sam.

- A ty, Ricki - Lionelowi wyrwało się prawdziwe imię córki - czy masz jakieś zastrzeżenia?

Już myślał że Amanda zamierza go skarcić za nieostrożność, lecz tylko się roześmiała.

- Pytasz, czy widzę coś niestosownego w planie pozostawienia mi fortuny? Odpowiedź brzmi: nie. Czy mam jakiegokolwiek zastrzeżenia? - Patrzył na nią wyczekująco. - Nie, najmniejszych.

Późnym wieczorem szeryf wycofał się do swego pokoju, pozostawiając Bairdów samych. Około jedenastej odezwał się jego telefon komórkowy. Bates zareagował natychmiast. Tylko dwie osoby znały ten numer. - Sam?

Poznał jej głos i serce w nim zamarto. W sprawach zawodowych szło mu łatwiej, ta jednak była osobista.

- Jestem tu, kochanie - odezwał się cicho, by jego słowa nie dotarły do niepowołanych uszu. - Co się dzieje? - Jej słaby głos drżał. Szeryf zamknął oczy i nagle ujrzał ją przed sobą. - Powiedz mi wszystko.

- Źle ze mną, Sam, potrzebuję cię. Natychmiast!

- Nie mogę teraz przyjechać - odrzekł nienawidząc siebie za te słowa - za dużo tu się teraz dzieje.

- Tu także. - W jej głosie gniew utonął we łzach, co brzmiało, jakby dławiła się słowami. Sam poczuł w piersi ból.

- Wiesz, że chciałbym być przy tobie - przerwał, zbierając siły, by odmówić - ale nie mogę. Zapadła pełna napięcia cisza.

- Kocham cię - zapewnił. - Wiesz, że dla ciebie uczyniłbym naprawdę wszystko.

- Ale nie możesz - ucięła szorstko. - Nie martw się, Sam, rozumiem. Zawsze rozumiałam. Jesteś przedstawicielem prawa, twoja praca przede wszystkim. Gdyby stała przed nim i strzelała doń z pistoletu, zamiast czynić wyrzuty, nie robiłby uników i przyjął na siebie wszystkie kule. Zasłużył na ten gniew i brak zaufania.

W jej śmiechu zabrzmiał smutek, który ranił mocniej niż płacz.

- Przyjadę do ciebie za kilka tygodni - obiecał. - Tymczasem musisz zrobić to, co jest konieczne.

- Teraz moja kolej powiedzieć, że nie mogę. - Wyobraził sobie jej ból, gdy zdecydowała się prosić o to, czego jej zabrakło. - Nie stać mnie.

Sam pomyślał o Lionelu i pieniądzach z funduszków. Pomyślał także o kobiecie po drugiej stronie: o tym, ile dla niego znaczyła i co był jej winien.

- Nie musisz martwić się o pieniądze - rzucił podniesionym tonem.

- Jak to?

- Teraz to nieważne. Najważniejsze, że trafił mi się niezły mająteczek, którym zamierzam podzielić się z tobą.

- Ale w jaki sposób udało ci się tak nagle wzbogacić?

Sam obejrzał się, by zobaczyć, czy nikt go nie podsłuchuje.

- Powiedzmy, że dwadzieścia lat temu uczyniłem pewną korzystną inwestycję. - Skrzywił się, jakby przekroczył granicę, którą dotąd uważał za nieprzekraczalną. Chciał wierzyć, iż okoliczności nie pozostawiły mu wyboru. - Właśnie wypaliła i to w wielkim stylu!

Amanda wróciła z Wisconsin w dziwnie optymistycznym nastroju. Wprawdzie teraz powinna czuć się spięta i nieustannie mieć się na baczności - po części tak i było - jednak przyjemność, jaką dało jej spotkanie z obojgiem rodziców, przesłoniła inne uczucia. Rozmawiali o zwykłych, codziennych wydarzeniach, śmiali się, żartowali razem. Lionelowi udało się nawet zdobyć poparcie Beth, gdy perswadował córcę, by więcej czasu poświęcała rozrywkom.

- Powinna mieć w życiu to, co inne młode kobiety - oświadczył z przejściem tonem godnym głowy rodziny, jakby on i Beth nigdy się nie rozwiedli, nie wspominając już o dwudziestoletniej rozłące - męża, dzieci. Nie chciałybyś zostać babcią? - zapalał się w miarę mówienia.

- Byłoby cudownie! - przyznała Beth.

Wybuchnęła beztróskim śmiechem, lecz jej oczy pozostały zamysłone. Lionel tkwił w świecie fantazji, rozważał „co mogło być”, a ona rozumiała aż za dobrze, jakie to niebezpieczne. Marzył o wnuku, o rozpoczęciu wszystkiego od nowa, o zostaniu prawdziwym ojcem. Znając go, Beth wiedziała, że w myślach już kupuje zabawki dla dziecka, planuje chodzenie do muzeów i parków, a może nawet zastanawia się nad wyborem college'u godnego dziedzica Bairdów. Nie chciała rozwiewać jego złudzeń, ale ta historia nie mogła potoczyć się według scenariusza, jaki sobie wymyślił. Program ochrony świadka to nie bajka z happy en - dem; to walka o przeżycie i znośne warunki egzystencji. Lionel nie miał nawet najmniejszej szansy na pierwszą wizytę przyszłego zięcia ani na odgrywanie roli ojca na weselu Amandy i poprowadzenie jej do ołtarza; nie mógł również marzyć o chwaleniu się wnukami przed przyjaciółmi.

Nie ma potrzeby sprowadzania go na ziemię, myślała, jeżeli Amanda się zakocha, będzie dość czasu na dokładne omówienie sytuacji.

- Cóż, nie doczekamy się wnuków, jeżeli ta wspaniała młoda kobieta nie zacznie wreszcie chodzić na randki. - Lionel wyraźnie się niepokoił.

- Nie mam czasu - broniła się Amanda.

- To go znajdź - oświadczył tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

- Tak jest - zasalutowała. - Zadanie zrozumiałam. Polowanie na męża rozpocznie się natychmiast po powrocie do bazy.

Lionel oddał jej salut.

- Dopilnuj, by tak się stało - odrzekł stanowczo, rozkoszując się tą chwilą bliskości. - Twoja matka jakoś zdołała powstrzymać działanie czasu, lecz ja z każdą upływającą minutą czuję się starszy. Jeżeli się nie pośpieszysz, do ołtarza będziesz mnie wiozła na wózku.

Spojrzenia, jakie wymienili, zaintrygowały Beth. Wiedziała, że często się widują, i dopóki Amanda zachowywała ostrożność, ona nie miała nic przeciwko kontaktom eks - męża z córką, poczuła się jednak dziwnie na myśl, że tych dwoje zbliżyło się na tyle, by rozumieć się bez słów, i że Amanda zwierza się Lionelowi ze spraw, które przed nią trzyma w tajemnicy.

- Poznała kogoś, ale nie chce o nim mówić.

- Skrzywienie zawodowe. - Beth wzruszyła ramionami. Nie widziała nic złego w tym, że Amanda nie lubi mówić o sprawach osobistych.

- Prawda, zapomniałem. - Baird potrząsnął głową. - Za każdym razem, gdy mi się wydaje, że wreszcie zaczynam coś rozumieć, przekonuję się, że to nie takie proste.

- Potrzeba wielu lat doświadczeń, by życie w dwóch światach stało się drugą naturą - rzuciła Amanda lekko. Nie żartowała jednak.

- Robisz uniki - naciskała Beth.

- Niech będzie! Poznałam kogoś przy okazji przydzielonej mi sprawy - bystry, przystojny, około trzydziestu pięciu lat; prowadzi własną firmę. Jest bardzo arogancki - wyzywająco spojrzała na ojca - ale ogromnie miły dla swojej matki.

- Istny ideał! - zauważył Lionel.

W tym momencie Sam, który dotąd dyskretnie trzymał się z boku, by pozwolić Bairdom na swobodną rozmowę, wtrącił pytanie:

- Co to za firma?

- Jest prywatnym detektywem. - Amanda niespokojnie poruszyła się na krześle. Lionel nie był zachwycony, a sądząc po minach tamtych dwojga, rewelacje Amandy nie zostały przez nich najlepiej przyjęte, zastosował się jednak do wskazówek Beth i przesłuchanie zostawił fachowcowi.

- Czy ten detektyw na jakieś nazwisko?

- Jake Fowler.

- Jak go poznałaś? - Bates sprawiał wrażenie, jakby wrzucał dane do komputera. - Pracował przy sprawie, którą mi przydzielono. -

Amanda z nadzieją cedziła słowo po słowie. Po co ta indagacja? W końcu Jake to nie miłość jej życia i nie zamierzała wiązać żadnych planów z jego osobą. To tylko facet, z którym poszła na pizzę - nikt więcej. Rzuciła ojcu wściekłe spojrzenie - że też musiał drążyć ten temat! - Spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo. Wierście mi, porucznik Clarke nie jest swatką ani nie pracuje dla Bastida. Moglibyśmy mówić o czymś innym?

Sam przestał naciskać, ale Baird dałby głowę, że Jake Fowler zostanie na wszystkie strony prześwietlony, i prawdę mówiąc, on sam nie miał nic przeciw temu. Korciło go, by zapytać o drugiego mężczyznę, o którym wspominała Amanda. Wiedział, że spędziła z tamtym romantyczne chwile we Florencji i natknęła się nań ostatnio w Nowym Jorku - jednak na widok spiętej twarzy córki postanowił wstrzymać się od dalszych indagacji.

- Jeżeli już opowiedziałas nam wszystko o tych swoich supermanach - sprytnie zmienił temat - porozmawiajmy o mężczyźnie w życiu twojej matki. - Skrzyżował ręce na piersi i zwrócił się do Sama: - Kolej na pana, szeryfie Bates. Jestem pewien, że pan wie o mnie wszystko, łącznie z rozmiarem bielizny, jaką noszę. Wypadałoby więc wyrównać szansę!

Przy pożegnaniu czuli się już całkiem swobodnie. Sam i Lionel wprawdzie nie zostali wielkimi przyjaciółmi, ale gdy tylko potrafili zapomnieć o zazdrości, darzyli się szacunkiem i zaufaniem, a nawet, w umiarkowanym stopniu, czuli dla siebie podziw. Osiągnęli także zgodność stanowisk w najistotniejszej sprawie: Sam zapewni bezpieczeństwo Beth i Amandzie, Lionel zaś zabezpieczy je finansowo.

Dla Amandy obserwowanie obydwu mężczyzn razem okazało się zdumiewającym doświadczeniem, zwłaszcza gdy współzawodniczyli o zdobycie uwagi Beth. Nic jednak nie mogło równać się radości z oglądania obojga rodziców w tym samym miejscu i czasie - i w dodatku najwyraźniej byli oni w doskonałej komitywie. Nie stało się tak od razu - musieli przerzucić most nad dzielącą ich przepaścią i udało im się to uczynić, do takiego stopnia, że Amanda przez chwilę oddała się marzeniom typowym dla dzieci rodziców, którzy się rozstali: pewnego dnia one i tatuś znów będą razem.

Jednak mimo marzeń Lionela o weselu i wnukach, na razie musiała odłożyć na bok wszelkie próby znalezienia sobie męża. Po

powrocie na Manhattan od razu dostały jej się podwójne dyżury, od drugiej po południu do ósmej następnego ranka, co utrudniało - choć tego nie wykluczało - umawianie się na randki. Tyler Grayson okazał daleko posuniętą wyrozumiałość. Zadzwoił i zaprosił Amandę na kolację, a gdy mu wyjaśniła sytuację, natychmiast zaproponował inną porę.

- O dwunastej w „Water Club”? - Czując wahanie dziewczyny, szybko się poprawił: - Może o jedenastej trzydzieści? Będziemy mieli dość czasu, byś mogła złapać taksówkę i ruszyć tam, dokąd zavezwą cię te twoje „błękitne upiory”.

Zdawało mu się, że słyszy w głosie Amandy uśmiech, gdy przyjęła zaproszenie.

- Jedenasta trzydzieści bardzo mi odpowiada. Obowiązuje elegancki strój czy też mogę zjawić się w czarnej pelerynie i policyjnej czapce?

- Cokolwiek włożysz, i tak będziesz wyglądała cudownie. - Dźwięczny baryton Graysona budził wspomnienia wspólnie spędzonych chwil; fala gorąca załała policzki dziewczyny.

- No to na razie. - Odłożyła słuchawkę.

Jak było do przewidzenia, Tyler wybrał restaurację niezwykłą, położoną w uroczym miejscu nad brzegiem rzeki i odgradzoną autostradą od przytłaczającej ogromem architektury Manhattanu. Odizolowana od zatłoczonego miasta, zdawała unosić się na wodnym trakcie rozdzielającym dwie dzielnice. East River to wprawdzie nie Arno, a zgromadzony tu w porze lunchu tłum bywalców o nieskazitelnych fryzurach i w świetnie skrojonych ubraniach znacznie odbiegał wyglądem od gromady młodych ludzi w podkoszulkach i sandałach, przycupniętych we florenckiej trattorii nad miską pasta efagioli, ale wysiłek mężczyzny, by odtworzyć, choć w niewielkiej części, czar tamtych chwil, nie przeszedł niezauważony. Gdy Amandę prowadzono do zarezerwowanego stolika, w zacisznym kąciku przy oknie, uśmiechała się do siebie. Choćby wszystko wokół zmieniło się w ciągu ostatnich lat, Tyler, jak zawsze, zaskakiwał. Po części fascynowała ją w nim właśnie ta szczególna umiejętność doboru właściwych gestów i słów w każdej sytuacji. Zawsze umiał zachować się tak, jak wymagała chwila - i to bez przygotowania, w przeciwieństwie do starannie wyćwiczonych manier Amandy. Uważała, iż ten dar zawdzięczał pochodzeniu, ale i nauce w szkołach

takich jak Nartmouth i Wharton. Gdy zapytała go wprost, jak mu się udaje sprawiać wrażenie, że wszystko osiąga bez najmniejszego wysiłku, Tyler potwierdził jej przypuszczenia. Wprawdzie z początku upierał się, że to tylko pozory i nic nie jest takie łatwe, ale nim zdążyła zaprotestować, skapitulował.

- Rzeczywiście, nie mylisz się co do tego, gdzie i czego się nauczyłem - Nie ma lepszego miejsca niż Ivy League, by nabrać dobrych manier. I masz rację, Amando, co do znaczenia pochodzenia.

Jak sobie przypomniała, wyraz twarzy Tylera nie świadczył wówczas o przyływie miłych wspomnień; dziwny uśmiech mężczyzny zmienił się nagle w nieprzyjemny grymas, a usta zacisnęły w wąską linię, jak gdyby mówiły o dawnych ciężkich czasach i twardej szkole życia.

Z początku reakcja Graysona zaniepokoiła Amandę, jednak jeszcze tego samego wieczora dziewczyna postanowiła nie martwić się tym wszystkim - z Tylerem przecież nic nigdy nie było jednoznaczne, a każde dotyczące go stwierdzenie miało swój podtekst. Zresztą oboje ukrywali własne tajemnice.

Czekając na nadejście Tylera, obserwowała promienie słońca tańczące po wodzie, które połyskiwały na zmarszczkach i falach pozostawionych przez przepływające łodzie i barki. Jak przystało na początek wiosny, słońce rzucało błękitnoszary cień - jakby pozostałość zimy - a potem nagle, z upływem dnia, oblewało świat ciepłym dla oka i w dotyku żółtym kolorem jaskrów. Mały ptaszek sfrunął z góry i przycupnął na pobliskim słupku. Amanda skrzyżowała palce i przez utworzoną kratkę patrzyła na odpoczywającego wróbla. Tyler podszedł do stolika tak cicho, jakby nie chciał jej niepokoić.

- Chyba mi nie powiesz, że przyszedłeś tu bez aparatu fotograficznego. Pochylił się i musnął wargami policzek dziewczyny, a potem delikatnie położył dłonie na jej ramionach. Zwróciła ku niemu wzrok. Szare oczy mężczyzny patrzyły na nią przez długie, jasne rzęsy. Bliskość, w jakiej się znaleźli, wprost prosiła o pocałunek.

- Skłamałabym twierdząc, że nigdzie się bez niego nie ruszam - przyznała, nieco wyprowadzona z równowagi bliskością Tylera - zostawiłam w szatni, z resztą zawodowego wyposażenia.

- Masz na myśli broń? - Wydawał się przerażony pomysłem oddania szatniarce płaszcza z pistoletem w kieszeni. Amanda roześmiała się na widok jego miny.

- O nie, z najważniejszym się nie rozstaję.

- Sam już nie wiem, co o tym myśleć: czy to dobrze czy źle. - Siadając, wypatrzył przy jej pasku skórzaną kaburę i przyciśniętą do boku czarną kolbę.

- Ani jedno, ani drugie - odparła. Teraz, gdy dzieliła ich większa odległość, czuła się swobodniej. - Po prostu tak już jest.

- Chcesz powiedzieć, że powinienem się przyzwycząić?

- Właśnie.

- W porządku - odrzekł rozbawiony - da się zrobić.

Pojawił się kelner i zapytał, czy mają ochotę na cocktail. Tyler zamówił kieliszek białego wina, ona zadowolona się szklanką wody. Kelner skinął głową, podał im karty i oddalił się po zamówione napoje.

Amanda, która, jak przypuszczał Tyler, nie nawykła do odwiedzania tego typu lokali, z zainteresowaniem przyglądała się zagłębionym w rozmowie gościom, którzy wymieniali uwagi scenicznym szeptem. Wyraźnie bawiła ją panująca tu atmosfera szumiącego ula.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Tyler wykorzystał ich milczenie, by lepiej jej się przyjrzeć. Jak na kogoś, kto wypierał się jakichkolwiek związków z takimi marnościami świata, jak modne stroje, Amanda wyglądała bardzo stylowo w lekkim swetrze z czarnej wełny, czarnych spodniach o zaprasowanych kantach i ciemnoniebieskim zakiecie. Dla dziewczyny tak pięknej i pełnej naturalnej gracji metki nie miały znaczenia.

- Podoba ci się tutaj?

- Jeszcze jak! - zachwyciła się. - Dzień też jest cudowny. Czyżbyś to ty zamówił tak błękitne niebo i wspaniałe słońce?

- Owszem - przyznał skromnie. - Ale tylko dla ciebie. Gdybym jadł obiad z kimś innym, wystarczyłaby mi normalna kwietniowa pogoda: chmury, trochę słońca i trochę deszczu.

Jej wargi, pomalowane brązowoczerwoną kredką w kolorze doskonale uzupełniającym odcień lśniących włosów, rozchyliły się w pełnym uznania uśmiechu.

- Dziękuję, że zadałeś sobie tyle trudu, aby nasze spotkanie było czymś wyjątkowym. Jak gdyby wróciły tamte chwile, gdy wszystko wydawało się tak cudownie proste. Tak - powtórzyła, nie spuszczać zeń wzroku - cudownie proste.

- By pogłębić ów nastrój, mogę mówić do ciebie po włosku. - Sięgnął przez stół i splótł jej palce ze swoimi.

- Jest jedenasta trzydzieści - przypomniała - przyszliśmy na lunch. na ustach Tylera ukazał się leniwy uśmiech.

- Jeżeli dobrze pamiętam, jedzenie to nie jedyne zajęcie, jakiemu oddawaliśmy się o jedenastej trzydzieści.

- Czy interesuje państwa, co mamy specjalnego? - rozległ się głos kelnera. - A może życzą sobie państwo więcej czasu, na... przestudiowanie menu? - Ja już wiem, co tu jest specjalnego - szepnął Tyler, nie okazując zażenowania.

- Jeszcze chwileczkę. - Amanda uwolniła dłoń z uścisku i popatrzyła w kartę. Minione lata nauczyły ją, że jedynym sposobem, aby zapanować nad losem, który przypadł jej w udziale, jest przeciwstawić się ze wszystkich sił wpływowi, jaki program ochrony świadka wywierał na ich życie. O tak, powtarzała sobie, program to coś wyjątkowo destruktywnego, lecz przecież wszystkim dzieciom zdarzają się nieprzyjemne sytuacje. Rodzice się rozwodzą, umierają krewni, przyjaciele z sąsiedztwa wyprowadzają się na drugi koniec kraju. A jednak, jak zawsze w podobnych chwilach, zastanawiała się, jaką to kobietą stała się pod wpływem owego programu ochrony. Dorastanie w ciężkich warunkach uczyniło ją na tyle silną, by mogła zostać jednym z lepszych detektywów nowojorskiej policji, wystarczająco twardą, by na co dzień obcować z najgorszą stroną ludzkiej natury i nie dać się złamać. W romantycznych okolicznościach wszakże traciła równowagę psychiczną i nie czuła się swobodnie pod palącym spojrzeniem męskich oczu - ani też bezpiecznie w zetknięciu się z namiętnością. A co gorsza, nie potrafiła uwierzyć, że ktoś mógłby jej powiedzieć „kocham cię” bez ukrytych intencji.

Tyler, nie chcąc pogłębiać zażenowania Amandy, skinął na kelnera, złożył zamówienie i zmienił temat rozmowy.

- Widziałem się z Lloydem Franksem. Jest podekscytowany twoim udziałem w zbliżającej się wystawie. Twierdzi, że te portrety to prawdziwa sensacja. Coś a la Cindy Sherman, tyle że bez atmosfery smutku. Amanda rozpromieniła się z zadowolenia. To właśnie Cindy Sherman, artystka - fotografik zawsze wykorzystująca własną osobę jako temat swych prac, dostarczyła jej inspiracji. Amanda miała piętnaście lat, gdy po raz pierwszy ujrzała zdjęcia tamtej w Muzeum

Sztuki w Seattle. Seria czarno - białych fotografii, każda jakby podobna do innych, a jednak cudownie nowa. Uświadomiła sobie wtedy, że nie tylko każde ze zdjęć przypomina scenę ze starego filmu z lat pięćdziesiątych, ale wszystkie przedstawiają tę samą postać - ich autorkę.

Doznała wtedy olśnienia. Robiła przecież podobne rzeczy, chociaż decydowały o tym inne względy. Na widok prac Cindy Sherman Amanda poczuła się, jakby otrzymała przyzwolenie na dalsze eksperymenty, bez konieczności tłumaczenia, dlaczego nie uwiecznia na swych fotografiach przyjaciół.

- To komplement - odpowiedziała skromnie.

- Lloyd uważa, że masz talent. - Zaczerwieniła się i Tyler znów poczuł się zaskoczony dysproporcją między tym, co robiła, a kim była. - Czy zbyt dużą zuchwałością z mojej strony będzie prośba o to, bym mógł towarzyszyć ci na wernisażu?

- Byłabym zaszczycona - odpowiedziała ze szczerym żalem - ale nie mogę pójść, akurat wypadł mój dyżur.

Pokręcił głową. Czuł, że za mocno naciska, jednak...

- Nie można by go przełożyć?

- Dałoby się, ale teraz, po ostatnich cięciach budżetowych, jesteśmy przeciążeni robotą, a pracowników mamy za mało, no i powinnam zachować anonimowość.

Odkąd Samowi nie spodobało się to publiczne wystawianie fotografii, bezustannie błyskało jej w głowie żółte, ostrzegawcze światełko. W przeciwieństwie do tego, w co wierzy większość artystów przed zbliżającą się wystawą, Amanda uważała, że im mniej osób zawiadomi, tym lepiej. Odmówiła Franksowi dostarczenia listy adresów przyjaciół i kolegów nie dlatego, by miała wielu tych pierwszych lub by wzbudziła zainteresowanie sporej liczby drugich. Odrzuciła też sugestie Lloyd'a, by się ujawniła, podając tę samą wymówkę, co teraz Tylerowi: ma pozostać w cieniu - nie chce tego zmieniać.

- Amando Maxwell, czy masz pojęcie, jak trudno się do ciebie zalecać? - odezwał się Tyler, wyraźnie rozdrażniony.

- Czyżbyś próbował? - odparła z zadowoleniem. Gwałtownym ruchem uniósł ręce, a potem sięgnął po jej dłoń.

- Czy próbuję! - Roześmiał się, lecz zaraz spoważniał i utkwiał wzrok w oczach dziewczyny, jakby chciał siłą zatrzymać jej

spojrzenie. Po chwili przemówił głosem pełnym emocji: - Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę. - Opuścił wzrok, jak gdyby przyglądając się ich splecionym dłoniom. - Tak chciało przeznaczenie
- Wróciłaś do mojego życia i to w samą porę.

Wydawało się wprost nieprawdopodobne, by ktoś noszący tak elegancki garnitur mógł zachowywać się aż tak niepewnie.

- Znalazłem się na rozstajach - wyjaśnił miękko. - Niełatwo przychodzi mi to przyznać, lecz akurat teraz potrzebuję kogoś bliskiego, kto byłby przy mnie, gdy odnajdę właściwą drogę.

Amanda chętnie zapewniłaby Tylera o swej przyjaźni i gotowości wsparcia, jakkolwiek decyzję podejmie, wiedziała jednak, że to najgorszy moment, by ten mężczyzna znów wkroczył w jej życie. Ona także na swej drodze, dotarła do punktu, gdy nie mogła już nikogo prosić, by jej towarzyszył; nikomu też nie pozwoliłaby zbliżyć się do siebie.

Wyjąkała niewyraźnie odpowiedź, która zdawała się zadowalać Tylera, ale zanim się odezwał, ich uwagę zwróciła rozmowa przy sąsiednim stoliku.

- Chisolm jeszcze pożałuje! - zagrzemiał męski głos.

- Cóż on sobie wyobraża! Sądzi, że to szary obywatel finansuje jego kampanię? - odezwał się drugi.

Trzeci mężczyzna prychnął pogardliwie:

- A wydawało się, że ten facet zna zasady gry. Nie kasa się ręki, która karmi.

- John Chisolm stosuje się tylko do tych reguł, które mu odpowiadają i, jak wierzy, są dlań korzystne.

Ten głos, jakby znajomy, sprawił, że Amandę przeszedł dreszcz.

- Zastanówmy się: czy nam dopiekl? Odpowiedź brzmi: jak diabli. Chciałbym teraz wiedzieć, czy odpłacimy mu pięknym za nadobne, czy tylko spokojnie zaczekamy...

Amanda z chęcią by go nie słuchała, ale było to niemożliwe. Skierowała oczy w stronę mówiącego jak przyciągana magnesem. Lionel musnął wzrokiem jej twarz i szybko powrócił spojrzeniem do towarzyszących mu mężczyzn. Grayson, także zainteresowany owym znajomym głosem, skinął Bairdowi głową. Lionel poznał go, popatrzył na Amandę, po czym skoncentrował uwagę na towarzystwie przy własnym stoliku. Dłonie dziewczyny zwilgotniały.

- To właśnie nasz sławny Lionel Baird - szepnął Tyler.

- Tak? - Także ściszyła głos. - Nie wygląda na człowieka gwałtownego. - Lecz na kogoś posiadającego ogromną władzę, gdy siedzi przy stoliku na sześć osób i najwyraźniej przewodzi temu zgromadzeniu wielkich z Wall Street, pomyślała, głośno zaś dodała: - Wydaje się spięty.

- Trafiłaś w sedno! - zaśmiał się Tyler.

- Czym są tak poruszeni?

- Z pewnością wiesz, kto to senator Chisolm?

- Oczywiście. - Amanda kiwnęła głową. - Czy to nie on występował ostatnio w wiadomościach?

- Właśnie. - Sądząc po jego minie, Tyler podzielał niepochlebną opinię Lionela o przeciwniku. - Żeby podkreślić swoją kampanię wyborczą, postanowił wszcząć dochodzenie w sprawie powiązań sfer finansowych ze światkiem handlarzy narkotyków.

- A coś takiego istnieje?

Tyler uniósł brwi i przesunął palcem po brodzie.

- Pranie brudnych pieniędzy to trzecie co do wielkości imperium po handlu walutą i przemyśle naftowym. A większość tej forsy pochodzi z handlu narkotykami.

- Nie miałam pojęcia - skłamała.

- Jak większość obywateli. Wierz mi, żyjemy w epoce narkoekonomii, która uczyniła z handlarzy narkotyków najbardziej wpływową grupę „zawodową” w świecie. Co więcej, zbijane przez nich majątki osiągnęły tak monstrualne rozmiary, że większość krajów Trzeciego Świata padłaby, gdyby nie zyski z narkotyków. W jego ostrym tonie zabrzmiały nutki fanatyzmu. - Mnie także nie podoba się „pokazowe” dochodzenie Chisolma, nie mniej niż im - wskazał głową na stolik Lionela - ale akurat oni nie mają prawa pierwsi rzucić kamieniem. Niemal siedemdziesiąt procent zysków z handlu narkotykami na świecie przechodzi przez amerykański i europejski system bankowy. Około stu bilionów dolarów rocznie! Ci faceci zbijają fortuny na narkotykach i wściekają się na Chisolma, bo mówi o tym głośno.

- A ty, Tyler, dlaczego się tak gorączkujesz? W końcu pracujesz dla firmy Baird, Nathanson & Spelling. Jak oni zyskują, ty też korzystasz.

- Ale za jaką cenę! Narkotyki wywołały paskudną wojnę, która pochłonęła mnóstwo niewinnych ofiar. - Opuścił wzrok i ściszył głos.

- Łącznie z kimś bardzo mi bliskim. - Przez chwilę nie patrzył na Amandę. - Dla tych tam bonzów to tylko skutek uboczny, dla mnie zaś sprawa bardzo osobista.

Amanda zapragnęła wykrzyknąć: dla mnie też, straciłam wujka, ojca, dziadków, wolność, tożsamość! Zanim wszakże zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwał się brzęczyk.

- Strasznie mi przykro, muszę lecieć - odezwała się z żalem. - Kilka ulic stąd coś się wydarzyło. - Wstała, by odejść i ze zdziwieniem zobaczyła, że Grayson także podnosi się z miejsca.

- Mam tutaj otwarty rachunek, zajmą się należnością. Chcę się upewnić, że złapałaś taksówkę.

Oczarowana galanterią swego towarzysza, pocałowała go w policzek. Śpieszyła przecież na miejsce jakiejś makabrycznej zbrodni, a Ty - traktował ją jak księżniczkę, zbyt delikatną, by sama wezwała taksówkę - Była nim zachwycona.

- Jesteś niezrównany!

- Nie mylisz się - odrzekł, prowadząc ją między stolikami zatłoczonej sali. Ledwo zdążyła usiąść na tylnym siedzeniu auta, odezwał się jej telefon komórkowy.

- Co robisz w towarzystwie Tylera Graysona? - Obcesowy ton Lionela zaniepokoił Amandę.

- Jadłam z nim lunch. - Nie kryła irytacji. - Sądziłam, że będziesz zachwycony, jest idealnym kandydatem na męża. Powinieneś o tym wiedzieć, przecież wybrałeś go na swego ewentualnego następcę.

- Przepraszam, kochanie - wycofywał się ojciec - nie mam prawa dyktować ci, z kim masz się spotykać i jak postępować.

Przeprosiny były tak obce człowiekowi, którego zdążyła już poznać, że Amanda się zaniepokoiła.

- Co się stało? Czemu tak się przejąłeś?

- Sam nie wiem - przyznał. - Może dlatego, że jest związany z naszą firmą.

- Jeżeli to cię uspokoi, poznałam go kilka lat temu, jeszcze zanim zaczął u ciebie pracować.

- We Włoszech? To ten, którego spotkałaś w pociągu?

- Ten sam. Taksówka skręciła w Pierwszą Aleję.

- Możemy dokończyć rozmowę później? - Amanda zapłaciła kierowcy i otworzyła drzwi. - Muszę lecieć.

- Bądź ostrożna - powiedział na pożegnanie Lionel - Kocham cię!

- Ja ciebie też. - Uśmiechnęła się, schowała telefon do torebki i wysiadła. Żółta policyjna taśma odgradzała fragment chodnika przed apteką, na którym młody chłopiec, mający nie więcej niż trzynaście lat, leżał w kałuży krwi. Dziewczyna schyliła się i przeszła pod taśmą.

- Amanda Maxwell - powiedziała, błyskając odznaką policjantowi w mundurze - CSU. Przy drzwiach apteki powitał ją Cleland Jones.

- Mam nadzieję, że nie oderwano cię od lunchu. To wygląda paskudnie.

- Niewiele zjadłam.

Weszli do środka i zaczęli od rutynowego obejrzenia pomieszczeń. Był to niewielki sklep, z tych, co to konkurują z drogeryjnymi supermarketami zatrudniając sprzedawców. Drewno obramowujące ustawione pod ścianami witryny czyniło atmosferę wnętrza ciepłą i miłą. Sprzedawano tu kartki z pozdrowieniami na wszelkie okazje, eleganckie drobiazgi niezbędne w podróży, była też gablotka ze specyfikami do pielęgnacji włosów. Pomiędzy szafkami zastawionymi butelkami z balsamem i innymi środkami do pielęgnacji ciała leżały zwłoki kobiety kilka razy postrzelonej w klatkę piersiową - w ręce wciąż zaciskała słoiczek kremu nawilżającego. Ciało drugiej znaleziono na podłodze przed kontuarem z kasą. W kałuży krwi obok zwłok mokła recepta na antybiotyk dla dziecka.

- Macie narzędzie zbrodni? - spytała Amanda, ogarnięta falą mdłości. Cleland skinął głową.

- Strzelba z obciętą lufą, znaleźliśmy ją na podłodze niedaleko kontuaru. Napastnik pewnie ją upuścił, gdy właściciel strzelił do niego z broni, którą trzymał schowaną na półce pod kasą.

- Co się z nim stało?

- Wylądował na sali operacyjnej, nieźle oberwał.

Słowa Clelanda zdawały się potwierdzać olbrzymie plamy krwi rozprysniętej na szklanej przegrodzie oddzielającej kontuar farmaceutyczny od kasy. Smugi pociemniałej już czerwieni ciągnęły się w dół, aż do podłogi. Krwawe ślady odcisniętych dłoni obrazowały smutną historię człowieka, który próbując się ratować, sięgnął po broń, gdy bandyta już do niego celował. Kilka stojących w pobliżu kontuaru regałów przewróciło się na podłogę; buteleczki z olejkami do opalania i odżywkami do włosów leżały bezładnie wokoło.

Po prawej stronie, w najdalszym zakątku pomieszczenia, Amanda zauważyła krwawe ślady obutych stóp, prowadzące od miejsca przy którym postrzelono właściciela. Buty dużego rozmiaru, o gumowych podeszwach, prawdopodobnie trampki.

- Czy właściciel wspominał o drugim napastniku? - spytała, wskazując Clelandowi ślady.

Potrząsnął głową. Amanda zwróciła się do jednego z detektywów z brygady kryminalnej.

- Czy ktoś zauważył drugiego bandytę lub jakiegoś wystraszonego klienta wybiegającego tylnym wyjściem?

- Jeszcze nie skończyliśmy przesłuchiwać świadków. - Kolega także zainteresował się śladami. - Oczywiście, zapytamy o to, dzięki, Max. Obydwaj detektywi z kryminalnego opuścili sklep, a Cleland poszedł rozmawiać z technikami, którzy właśnie przybyli na miejsce. Amanda wyjęła aparat i zabrała się do roboty. Jeszcze nie skończyła ogólnego ujęcia, gdy nad odciskami butów, na futrynie drzwi do magazynu, zauważyła ciemną smugę. Po dokładniejszym badaniu doszła do wniosku, że ktoś, wychodząc na zewnątrz, oparł tu dłoń. Popatrzyła w dół - czerwone kropelki utworzyły przerywaną linię, wskazując drogę, jaką przebył uciekinier. Krew była stosunkowo świeża - na myśl o tym Amanda zadrżała.

Gdy ona i Tyler flirtowali podczas lunchu w „Water Club”, ktoś wdarł się tutaj z zamiarem rabunku. Właściciel stawiał opór. Padły strzały i po kilku chwilach wewnątrz apteki przypominało pobojowisko. Kilkunastoletni chłopiec, niemal dziecko, leżał na chodniku martwy. Jego współnik, zapewne inny nastolatek, przekonany, że broń czyni go niepokonanym, prawdopodobnie umierał teraz gdzieś w pobliżu, w piwnicy lub zaułku. Dwie gospodynie domowe, robiące akurat tutaj zakupy, zginęły zupełnie przypadkowo i bez sensu. A mężczyzna, który nie chciał oddać swych ciężko zarobionych pieniędzy ulicznym łobuzom, walczył o życie na stole operacyjnym.

Z właściwą sobie dokładnością fotografowała miejsce zbrodni. Dzień przestał być piękny, jaki się wydawał jeszcze przed godziną.

Zazwyczaj, jeżeli Amanda nie miała występować w charakterze świadka, a któryś element sprawy nie wydawał się na tyle istotny, by nauczyć ją czegoś nowego, nie interesowała się wynikami autopsji. Władze Nowego Jorku, w przeciwieństwie do administracji niektórych innych miast, nie wymagały obecności fotografa z ekipy

do zabezpieczania śladów przy przeprowadzaniu sekcji, a nawet pracy nie pozwalał Amandzie na szkolenia z własnej woli. Jednak przestępcy z apteki zainteresowali ją. Ich młody wiek - dwanaście i czternaście lat - nie był niczym nadzwyczajnym, gdyż w Nowym Jorku przestępczość młodocianych jest codzienną rzeczywistością. Materiał dowodowy wykazał zupełne nieliczenie się z ludzkim życiem, ale to także nie mogło już nikogo zadziwić. Amanda nie potrafiłaby powiedzieć, co tak zainteresowało ją w całej sprawie, coś jednak sprawiło, że poprosiła o kopię raportu koronera.

Jak przypuszczała, drugiego bandytę znaleziono jeszcze tego samego wieczora, w alejce, trzy przecznice od sklepu. Został postrzelony, choć nie śmiertelnie, co skłoniło lekarza do przypuszczenia, że zgon nastąpił z innych przyczyn. Sekcja nic nie wykazała, wiele natomiast wy. jaśnił test toksykologiczny. Przed śmiercią obaj chłopcy wdychali kokainę. Młodszy, ten z chodnika, miał jej tylko tyle, by wpaść w euforię zmarł od rany postrzałowej w klatkę piersiową. Jego kolega natomiast przyjął o wiele więcej narkotyku, co pozwalało wnioskować, że brał go regularnie. W dawce znajdowała się także pewna ilość propainy.

Czytając sprawozdanie z sekcji, Amanda poczuła na plecach gęsią skórę. To w ciągu ostatnich kilku miesięcy dziesiąta już śmierć nastolatka po zażyciu kokainy wymieszanej z PCP. Według specjalisty od narkotyków, mieli do czynienia z nową, napływającą z Meksyku, nadzwyczaj mocno działającą odmianą. Dawała piorunujący efekt, więc była bardzo poszukiwana na rynku, przez co i zyskowna - lecz stosowana w dużych ilościach, zabijała.

Używając ostatniej sprawy jako pretekstu, Amanda zaczęła własne poszukiwania. Rozpytywała znajomych z innych posterunków, czy słyszeli o nowym specyfiku. Odpowiedzi zmroziły jej krew w żyłach. Był to ostatnio bardzo popularny środek, rozchwytywany zwłaszcza przez kokainistów, których wzrastająca zależność od narkotyku wymagała coraz silniejszego odurzacza. Zabójcza mieszanka, nazywana propainą przez tych, którzy jej używali, sprawiała, że narkomani stawali się niezwykle agresywni i ogarniało ich przekonanie, iż posiadli nadludzką moc. Co więcej, narkotyk ten, wywołując owo wrażenie nadnaturalnych możliwości, nieuchronnie prowadził do przemocy. Jak stwierdził jej kolega rozpracowujący

narkotykowe środowisko: „Propaina stanie się końcem naszej egzystencji”.

- Nie tylko wydział będzie miał do czynienia ze zbrodniami popełnianymi przez zdesperowanych ćpunów - mówił z głębokim przekonaniem - ale wzmożą się wojny ulicznych gangów o kontrolę nad obszarami dystrybucji. Teraz rywalizuje ze sobą kilka starych rodzin mafijnych i wyjątkowo paskudny gang latynoski z korzeniami w Los Angeles. Latynosi domagają się kontroli nad rynkiem, powołując się na więzy krwi z dostawcą - dużym, świetnie zorganizowanym, potężnym kartelem meksykańskim. Meksykanie to Kolumbijczycy lat dziewięćdziesiątych - tłumaczył znajomy Amandy. - To oni porcjują i wysyłają narkotyki. Przerzucają to zabójcze gówno przez granicę każdym możliwym kanałem i dostarczają na nasze ulice. My tu kręcimy się w miejscu, zbieramy martwe ciała, a oni siedzą sobie daleko i pływają się w forsie.

- Który z nich jest najważniejszy? - zapytała Amanda. Wzruszył ramionami.

- W tym momencie miasto jest do wzięcia. Dwie mafie bawią się i rozrywają się nawzajem na strzępy, walcząc o przejęcie kontroli nad biznesem. W wolnym czasie zmagają się, każda rodzin z osobna, z chłopcami z Blanca Muerte. - A kto rządzi na południe od granicy? - Fama głosi, że Meksykanie wynajęli bandę weteranów, by nadać prawie rozpęd.

- Wyglądał na znużonego i jakby zrezygnowanego, świadomy, że znajduje się po stronie z góry skazanej na przegraną w tej odwiecznej wojnie. Policja, Departament Sprawiedliwości oraz DEA do końca nie złożą broni, ale każdy wiedział, że choć gracze i taktyka ulegają zmianie, zasada pozostaje ta sama: jak długo jest popyt, podaż nie zmaleje. - Nasi informatorzy z Juarez donoszą, że prowadząc kursy zarządzania interesem kokainowym, można się tam nieźle obłowić.

Amanda starała się nie okazywać, jak bardzo jest poruszona.

- O których to kolumbijskich baronach rozmawiamy? Jest ich tak wielu.

- To prawda, ale tu chodzi o najważniejszych i najgorszych - o ludzi z kręgu Espinosy.

- Sądziłam, że jeszcze w latach osiemdziesiątych zostali starci z powierzchni ziemi.

- Tak samo uważano w wydziale. Wszyscy myśleliśmy, że po tym, jak Raoul Espinosa został zastrzelony we własnym ogrodzie, więcej już o nich wszystkich nie usłyszymy, ale najwyraźniej jego ludziom znudziło się odgrywanie pomniejszych ról u siebie w Kolumbii i zdecydowali się ruszyć do boju. Według informatorów, jakieś pięć lat temu pojawili się w Juarez. – Oparł nogi na biurku, przeczesał palcami czuprynę i gniewnie zacisnął zęby. - Jak mawiał mój człowiek, Miś Jogi: - „To deja vu, wciąż na nowo i na nowo”. Zbiry z rodzin Espinosa i Saviano znowu przelewają krew na ulicach Nowego Jorku.

Amanda nie potrafiłaby sobie przypomnieć, jak skończyła się ich rozmowa, co robiła przez resztę dnia ani jak wróciła do domu. Otworzyła kluczem bramę, weszła do środka i natychmiast przycisnęła się plecami do ściany przedsionka: obłana potem, z przerażeniem oczekiwała na atak. Oddychała ciężko, w głowie jej huczało. Gdy pierwsza fala paniki opadła, dziewczyna wyciągnęła pistolet i ruszyła schodami, wciąż starając się trzymać jak najbliżej ściany. Każdy podest zdawał się kryć zasadzkę. Szła powoli, spokojnie, nasłuchując najmniejszego szelestu, szurnięcia stopą, skrzypnięcia deski podłogi - czegokolwiek, co mogłoby wskazać na obecność wroga. Gdy w końcu dotarła na miejsce, weszła do mieszkania z bronią gotową do strzału. Upewniwszy się że nikt nie wdarł się do środka, zaryglowała drzwi, pozamykała okna i schowała broń do kabury. W łazience zwymiotowała.

Godzinę później atak strachu minął. Trochę uspokojona, zadzwoniła do wuja Sama do Los Angeles.

- Mamy kłopot - oznajmiła.

Jaime Bastido przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. Obrzęk w okolicy nosa i wokół podbródka był już prawie niewidoczny. Zmrużył oczy i podszedł bliżej, by dokładniej przyjrzeć się swej przerzedzonej, siwej czuprynie i obwisłej skórze podbródka. Chirurg plastyczny chciał zlikwidować mięsiste fałdy, lecz Jaime się sprzeciwił: gładka szyja u mężczyzny w jego wieku zwracałaby uwagę. Odwrócił się plecami do lustra i z kieszonkowym lusterkiem w dłoni przesuwając głowę to w prawo, to w lewo, marszcząc brwi na widok bladych, cienkich blizn na karku, biegnących wzdłuż linii włosów. Lekarz zapewniał, że po kilku miesiącach owe ślady znikną, ale Jaime zamierzał wrócić do USA już za parę dni. Zaczesał włosy i popatrzył

raz jeszcze - bliźny stały się teraz praktycznie niewidoczne. Uśmiechnął się z zadowoleniem - dwa rzędy świeżo ozdobionych koronkami zębów błysnęły do niego z lustra.

Odłożył lusterko i spojrzął na zegarek - ponury mars zastąpił pogodny wyraz twarzy. Za niecałą godzinę spotka się z Pablem Contrerasem w „Dos Amigos”, kawiarni z widokiem na port w Acapulco. Podczas lunchu dokonają wymiany: dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za amerykański paszport, prawo jazdy wydane w Nowym Jorku i bilet na dzisiejszy popołudniowy samolot, odlatujący z Acapulco na lotnisko Kennedy'ego; wszystkie dokumenty na nazwisko Angel Rodrigues. Jaime jednak nie zamierzał opuszczać Meksyku tego popołudnia.

Chociaż Contreras cieszył się opinią dyskretnego, Bastido wychował się w środowisku, w którym synowie nie ufają własnym matkom, nie wspominając już o dostarczycielach fałszywych dokumentów. Jak tylko dokonają wymiany, Jaime pojedzie taksówką na lotnisko, lecz nigdzie nie poleci. Dla zmylenia przeciwnika - na pewno będzie miał „ogon” - wejdzie do głównego terminalu i posiedzi tam, aż szpicel da spokój i odejdzie. Bastido zaś pojedzie taksówką do agencji wynajmu samochodów i tam wypożyczy auto, którym wróci do Mexico City. Następnego ranka wsiądzie do samolotu lecącego do Denver, gdzie znów zatrzyma się na jedną noc. Stąd poleci do Dallas i przesiądzie się na inny samolot, którym dostanie się na miejsce przeznaczenia - Newark Airport. Jeżeli nawet bracia Espinosa wynajęli zabójcę - co wydawało niemal się pewne - Bastido i tak zrobi wszystko, by dokończyć to, co zaplanował.

Jaime zamierzał raz na zawsze skończyć z ułatwianiem życia tym niewdzięcznikom! Poszedł do więzienia dla ich ojca i zachował milczenie by ochronić cały kartel. Mógł zgodzić się na układ z władzami, wiele razy zwracano się do niego z propozycją skrócenia wyroku w zamian za nazwiska, daty, dowody. Jaime nie wsypał jednak nikogo. Był lojalny wobec patronów, bo wierzył, że wierność zostanie mu hojnie wynagrodzona. Jakim okazał się głupcem! Po wyjściu z więzienia udał się do Juarez, oczekując, że młodzi Espinosa powitają go z otwartymi ramionami. W końcu sami prosili, by dołączył do ich nowej organizacji! Słali do więzienia kurierów i grypsy, błagając, by po wyjściu przybył do Juarez i na nowo podjął pracę finansowego doradcy kartelu. W zamian za talent i

doświadczenie Bastida obiecywali mu wysoką pozycję w organizacji i pensję, niezwykłą nawet według ich standardów. Cóż, wnet okazało się, jak bardzo kłamali. Zamiast powitać Jaime - go serdecznie, potraktowali go jak byle łacha, kogoś, kto gna na każde zawołanie i komu nie ma potrzeby okazywać wdzięczności ani szacunku. Dotknięty do żywego, Bastido wpadł we wściekłość. Nawet sowita pensja nie mogła zmyć zniewagi! Był nikim - szeregowym pracownikiem bez prawa głosu. Miał zajmować się rachunkami i kontami szefów w Meksyku, Kolumbii, Szwajcarii, Houston i Nowym Jorku, a przede wszystkim uczyć ich, jak bezkarnie pracować pieniądze w legalnych instytucjach. Meksykanie, powiedziano mu, są zbyt niedoświadczeni i chciwi, by zajmować się olbrzymimi zyskami z przemytu narkotyków do Ameryki. Przekonywali, że mają do niego zaufanie, lecz nie kryli, co się z nim stanie, gdy zawiedzie.

Nie przejął się i po kilku tygodniach dał nogę. Był za stary i zbyt zmęczony, by służyć rodzinie Espinosa jako chłopiec na posyłki. Uważał, że zasługuje na szacunek należny starszyźnie, a gdy mu go nie okazano, często i głośno wyrażał swoje żale. W odpowiedzi tamci zagrozili Jaimemu, że przekażą go władzom amerykańskim - przekraczając granicę i kontaktując się ze znanymi przestępcami, naruszył warunki zwolnienia.

Groźby owe zrobiłyby może wrażenie na kimś słabszym, ale nie na Jaimem. Zbyt wiele lat spędził w amerykańskich więzieniach, by dać się zastraszyć smarkaczom, którym wydawało się, że mogą rządzić imperium używając ojcowskiego bata. Nędzni uzurpatorzy! Ktoś inny dałby się złamać, lecz nie Bastido.

Niezadowolony z faktu, że ściągnięto go do Juarez fałszywymi obietnicami i potraktowano z rażącym brakiem szacunku, stał się mściwy. Nie zareagował jednak od razu: jak gdyby nigdy nic przychodził do pracy, wykonywał swe zadania, spełniał wszystkie polecenia szefów i przez cały czas planował zemstę. Więzienie nauczyło go dwóch rzeczy: wspólny wróg jednoczy, a cierpliwość, zwłaszcza przy planowaniu batalii, to prawdziwa cnota. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma dość siły, by otwarcie wstąpić na ścieżkę wojenną. Zasięg takiej operacji byłby olbrzymi, a Jaime nigdy nie uważał się za generała. Był biznesmenem i bardziej pociągało go przejęcie kontroli nad kartelem. A dla potomków Espinosy gorsze od kuli stanie się

życie ze świadomością, że zostali pozbawieni należnego im dziedzictwa i przechytrzeni przez zwykłego księgowego.

Pewność siebie Jaimego wynikała z faktu, iż nawiązał w Stanach doskonałe kontakty - z ludźmi, którzy wiedzieli, co to duma i lojalność i rozumieli, że najwyższe funkcje w organizacji nie mogą przechodzić z ojca na syna, li tylko w drodze dziedziczenia, bez poddawania kandydatów odpowiednim sprawdzianom.

Jaime wiedział, że zostanie zweryfikowany i nie miał nic przeciwko temu. Bardziej był skłonny oddać przysługę przyjacielowi niż pracować dla tych, którzy stali się jego wrogami.

Tak więc Jaime Bastido, wyposażony w nową twarz, z przyświecającym mu nowym celem, wsiadł do lecącego do Stanów samolotu meksykańskich linii lotniczych. Gdy maszyna uniosła się w powietrze, Jaime zamknął oczy i od razu zasnął. Należał mu się odpoczynek, niedługo będzie musiał bezustannie mieć się na baczności.

No i pozostały mu rachunki do wyrównania.

Dziesiątego stycznia 1977 roku, podczas szalejącej burzy, ojciec Jake'a Fowlera, Archie, wyszedł z domu do pracy i nigdy nie wrócił. Matka Jake'a, Grace, zawiadomiła policję, ale mimo wielotygodniowego śledztwa nie znaleziono ani ciała, ani nic, co mogłoby tłumaczyć zniknięcie męża.

W pierwszych dniach maja na złomowisku w Hoboken, w New Jersey, znaleziono jego samochód, beżową limuzynę marki Dodge Dart, rocznik 1969. W bagażniku leżało zmasakrowane ciało w mocno zaawansowanym rozkładzie, z dziurą w czaszce od kuli, prawdopodobnie wystrzelonej z dwudziestkidwójki. Lekarz sądowy stwierdził, iż to ciało mężczyzny o wzroście, wadze i w wieku Archiego Fowlera. Po przebadaniu włókien zebranych z podłogi bagażnika stwierdzono, iż mogą pochodzić z granatowego wełnianego ubrania, które Archie miał na sobie w dniu zniknięcia. Znaleziono także, upchnięte pod tablicą rozdzielczą, buty firmy Johnson & Murphy, takie same, jakie sprzedano Fowlerowi. Brakowało wszakże narzędzia zbrodni. W samochodzie nie było żadnych odcisków palców, poza należącymi do Archiego. Z ust ofiary usunięto wszystkie zęby, nie można więc było porównać uzębienia nieboszczyka z informacjami dostarczonymi przez dentystę.

Rodzina nie mogła otrząsnąć się z szoku. Nikt nie potrafił wyobrazić sobie powodu, dla którego ktoś mógłby chcieć zamordować tego miłego, zawsze uśmiechniętego i skorego do żartów mężczyznę, lubianego przez sąsiadów, który nigdy nie ociągał się z wypisaniem czeku i zawsze był gotowy śpieszyć bliźnim z pomocą. Czyżby padł ofiarą przypadkowego rabunku? Zdaniem policji chodziło o coś innego.

Archie wraz bratem prowadził prywatną firmę w Brooklynie. W czasie przesłuchania kilku z nich przypomniało sobie o pewnych nieścisłościach w prowadzonych przez Archiego księgach: nieuwzględnienie jakiegoś wpływu, źle zaksięgowany depozyt. Gdyby ktoś zadał sobie nieco trudu i dodał dwa plus dwa, Archie mógłby zostać oskarżony o nierzetelność, ale trudno byłoby w jego postępowaniu doszukać się powodu do morderstwa.

Policja pogrzebała trochę głębiej i odkryła, że Archie prowadził na boku interes, o którym ani żona, ani brat nic nie wiedzieli: księgowość kilku firm należących do przestępczej rodziny Saviano. I, według biegłego sądowego, oskubał ich na tyle, by uzbierać sobie niezły kapitał. I ściągnąć na siebie śmierć.

Choć wydawało się to najbardziej prawdopodobnym scenariuszem, istniała też możliwość, że Archie zwiął z forszą z miasta, a w jego grobie leży ktoś inny. Policja wielokrotnie przesłuchiwała matkę Jake'a na tę okoliczność, w mieszkaniu poszukiwano zaginionej gotówki, rodzinę zaś indagowano o inwestycje Archiego i jego konta bankowe. Pytano też o jego małżeństwo, życie erotyczne, o to, dokąd i z kim wychodził wieczorami, gdy mówił, że pracuje. Przesłuchano też brata Archiego, Angusa, który był głęboko rozgoryczony upokorzeniem, jakiego doznała rodzina, a także wściekły z powodu wystawienia na szwank jego zawodowej reputacji. Wypytywano nawet Jake'a i jego młodszą siostrę, Jocelyn. Nie dowiedziano się niczego więcej i nikomu nie udało się odszukać brakujących pieniędzy, a lekarze z wydziału medycyny sądowej nie mieli pewności, czy ciało w kostnicy to rzeczywiście Archie Fowler. Chcąc nie chcąc, zamknięto niewyjaśnioną sprawę. Po miesiącach błędzenia po omacku i bezustannego gubienia się w ślepych zaułkach, wreszcie pozwolono Archiemu spocząć w spokoju i wszyscy odetchnęli z ulgą.

Wszyscy - oprócz czternastoletniego Jake'a, który nie tylko nie chciał uwierzyć w śmierć ojca, lecz nie przyjmował także do

wiadomości, że Archie mógł jakimś niegodnym czynem zasłużyć na tak haniebną śmierć. Uważał, że zbyt wiele szczegółów sprawy budzi wątpliwości. W jaki sposób samochód Archiego dostał się do Hoboken i dlaczego tak długo trwało, nim auto odnaleziono? Jeżeli tata kradł pieniądze przez wiele lat, to gdzie je ukrył? Dlaczego nie było książeczek czekowych ani klucza od sejfu? Czy ojciec oszedł sam? Jeżeli nie, to dlaczego nie natrafiono na żaden ślad romansu? A jeżeli znalezione ciało to nie Archie, kim w takim razie był zmarły i jak trafił do bagażnika? Jeśli zaś są to zwłoki Archiego, skąd pewność, że zgładziła go mafia, dlaczego nie specjaliści od periodontii czy proktologii, których pieniądze zagarnął Fowler? Albo Angus. To przecież właśnie on skorzystał na śmierci brata. Poza możliwością przejęcia wszystkich klientów i stu procent zysku z firmy, pozostała polisa ubezpieczeniowa - rozpoczynając działalność, bracia wzajemnie ubezpieczyli się na życie i po śmierci Archiego Angus otrzymał dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Angus to karierowicz - burczał Jake. - Może potrzebował forsy z ubezpieczenia na kupno tej swojej drugiej żonie nowego cadillaca albo następnego futra z norek.

Gdy Grace próbowała bronić szwagra, Jake przypomniał jej, że ojciec nie dopilnował terminu, gdy należało wznović jego osobiste ubezpieczenie i tylko polisa na firmę zostanie wypłacona, właśnie wujowi Angusowi.

- On świetnie wie, że jesteśmy zrujnowani - oświadczył z pogardą. - Czy zaproponował pomoc? Nie. Pytał chociaż, czy czegoś nam nie brakuje? Założę się, że nie. Czy chcę jeszcze oglądać jego tłustą gębę? Po stokroć nie!

Po jakimś czasie Grace i Jocelyn przestały słuchać niekończących się teorii Jake'a, co i za czyją przyczyną mogło przydarzyć się Archiemu. Jocelyn miała dwanaście lat i była zbyt pochłonięta doznaną stratą, by wraz z bratem dalej walczyć o sprawy, które przecież i tak nie mogły wrócić jej ojca. Grace natomiast zmagala się z poważniejszymi kłopotami. Zamiast wypłaty z ubezpieczenia, dochodów z akcji czy solidnego konta, odziedziczyła po mężu plik niezapłaconych rachunków i nawyki życia na poziomie, jakiego nie mogła zapewnić im trojgu z pensji nauczycielki. Bez dotychczasowych dochodów przyszłość nie rysowała się zbyt różowo. Gdy Jake nalegał, by matka wyjaśniła mu, czemu bez sprzeciwu

przyjmuje policyjną wersję wydarzeń, z trudem powstrzymała się od wykrzyczenia wszystkich swych żalów, iż Archie bardzo ją zawiódł - jako mąż, ojciec, brat, partner i przyjaciel.

Rozumiała jednak, jak trudno byłoby synowi przyjąć do wiadomości fakt, że ojciec mógł zrobić to, co sugerowała policja. Udawała, że dzieli oburzenie chłopca na samą myśl o podejrzeniu Archiego, iż mógł okradać ludzi, którzy mu zaufali i, co gorsza, pracować dla mafii. Ale policja odnalazła księgi potwierdzające owe przypuszczenia. A Saviano demonstracyjnie przysłał na pogrzeb mnóstwo kwiatów.

- Czy nam się podoba, czy nie - orzekła Grace - to ma sens. Jake zarzucił jej pójdzie po linii najmniejszego oporu. Zaprotestowała z nietypową dla niej gwałtownością:

- O nie, w śmierci twego ojca nie ma nic prostego, ale jeżeli mam żyć dalej - a tak trzeba - musimy dać sobie ze wszystkim tym spokój. Jake nigdy nie przestał walczyć, chyba po części dlatego, że znałam wsparcie w babce. Clara Fowler także nie zamierzała pogodzić się z teorią, iż syn opuścił ten świat tak przedwcześnie i w niechlubny sposób. Uznała wątpliwości wnuka za uzasadnione, głównie dlatego, że nie mogła uwierzyć, by jej ukochany Archie mógł pozostawić matkę nieutuloną w żalu, ani zrozumieć okropności, o jakie został oskarżony. I nie obchodziło jej przypuszczenie, iż mógł okradać rodzinę Saviano, gangsterzy zasługiwali na to, co ich spotkało. Szokowały ją opowieści o rzekomym romansie syna i o tym, że oszukiwał brata oraz sąsiadów. Przez całe lata Clara i Jake zgodnie twierdzili, iż wszyscy oprócz nich są w błędzie. Odchodzili w odległy kąt pokoju, by poszeptać o czymś, co przeczytali lub usłyszeli i uznali za możliwe. Usiłowali przekonać innych, lecz Grace nawet nie chciała słuchać, nie mówiąc o przywiązywaniu jakiegokolwiek wagi do owych spekulacji. Wszakże przy pewnej okazji, babka i wnuk nie dali się zbyć. Clara i jej trzy przyjaciółki wybrały się w rejs na Karaiby. Gdy statek zacumował w Arubie, zeszły razem na ląd z zamiarem spędzenia całego dnia na zakupach. Clara przysięgała później, że chodząc po bazarze, zobaczyła Archiego. Gdy go zawołała, odwrócił się i przez dłuższą chwilę na siebie patrzyli. Potem mężczyzna pośpiesznie ruszył w jedną z uliczek i skręcił w zaułek. Gdy kobieta tam dotarła, już go nie było. Clara poszła na policję i opowiedziała całą historię. Błagała o pomoc w odnalezieniu syna. Kazano jej

wypełnić formularz dotyczący osoby zaginionej, ale, jak przypuszczał Jake, wrzucono ów papier do kosza, gdy tylko rozległa się syrena odpływającego statku. Przez lata „widzenie Clary”, jak je potem nazywano, stało się częścią legendy Archiego, głównie dlatego, że jego matka uchodziła za osobę rozsądną i nie ulegała porywom wyobraźni. Jak większość imigrantów była realistką i nieraz zarzucano jej, że nie widzi nic poza tym, co ma tuż przed nosem. Gdy Clara upierała się, że na targu widziała Archiego, niektórzy uważali, że po prostu ulega marzeniom wnuka. Jake. twierdzili. to młody człowiek do tego stopnia opętany chęcią rehabilitacji ojca, że swym szaleństwem zaraził rozsądną zazwyczaj babkę.

Inni, wiedząc, że Clara widzi rzeczy takimi jakie są, łącznie z ludzkimi słabościami, nie byli tacy skorzy do potraktowania jej „widzenia jako złudzeń starej kobiety. Może jej syn żyje. Może miał powody do odejścia. Może był chory i zniknął, by oszczędzić rodzinie kłopotów.

Może małżeństwo Fowlerów nie funkcjonowało tak dobrze, jak twierdziła Grace. Może... może... może...

Clara, która zaczęła karmić się owymi „może”, wracała do Aruby co roku, do samej śmierci. Nad grobem Jake powiedział, że babka zmarła z powodu złamanego serca. Zdaniem Grace Clare wyczerpała pogoń za ułudą przez niekończący się labirynt uliczek i ślepych zaułków. Jednak gdy zęgnęła teściową i po raz ostatni patrzyła na jej zniszczoną życiem twarz, zaczęła się zastanawiać kim był ten, kto, gdy Clara zawołała, zareagował na imię Archiego. I dlaczego ów ktoś uciekł. Trzy tygodnie minęły, nim Jake, zgodnie z obietnicą, zaprosił Amandę na wieczór do swego apartamentu. I to nie dlatego, by nie próbował wcześniej. Gdy zadzwonił do niej zaraz po ich pierwszym spotkaniu, nie było jej w mieście. Zostawił wiadomość na sekretarce, lecz przez kilka dni się mijali. Gdy wreszcie udało mu się zastać dziewczynę i powtórzył zaproszenie, wydawała się skłonna je przyjąć, jednak w końcu odmówiła. W bieżącym tygodniu miała służbę od drugiej po południu do ósmej rano, z początkiem następnego dostała sprawę wymagającą dodatkowych godzin pracy, innym razem znowu była zajęta. Wreszcie sama zadzwoniła.

- Może spotkamy się dzisiaj wieczorem?

- Jeżeli tylko masz czas, jestem gotowy! - Jake się ucieszył, bo prawdę mówiąc podejrzewał, że Max go zbywa. - O siódmej?

- Mam wystąpić w sukience?

- Oczywiście! Obiecałem ci wytworny wieczór, nie pamiętasz?

- Tak, ale...

- Poza tym - mówił tonem, jakby wyznawał jakiś głęboko skrywany grzech - jestem mężczyzną, który zwraca uwagę przede wszystkim na nogi. - Tak?

- I choć nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby powiedzieć, że nie wyglądasz cudownie w spodniach, istnieją przedstawiciele męskiego gatunku preferujący kobiece łydki odkryte. Niestety, należę właśnie do nich. Amanda roześmiała się cicho, myśląc, że Jake zawsze wie, jak do niej trafić.

- No to do siódmej. - Odwiesiła słuchawkę. Dzwonek u drzwi Jake'a rozległ się o szóstej.

- Czyżby ściągnęły cię wysyłane przeze mnie sygnały? - mruknął spodziewając się ujrzeć Amandę. W drzwiach jednak stała jego była przyjaciółka, Hallie Brendel.

Wysoka blondynka, w mocno obcisłych czarnych getrach, w długim, luźnym swetrze, roześmiała się na widok fartuszka.

- Miłosna randka i obiad, czyż nie tak? - Minęła gospodarza i we - szła do środka, szukając wzrokiem śladów stałej kobiecej obecności.

- Nie wejdziesz? - rzucił Jake ironicznie, nadal trzymając rękę na klamce, z twarzą zwróconą w stronę holu, gdzie stała jeszcze przed chwilą. - Jak miło, że wpadłaś. - Zamknął drzwi, odwrócił się i patrzył, jak Hallie rozsiada się na kanapie.

- Zapomniałeś dodać: „miło cię widzieć”.

Z pewną siebie miną ułożyła ramię na oparciu sofy, nie ukrywając, że ma prawo czuć się tu swobodnie. Byli ze sobą ponad trzy lata. Zirytowana niechęcią Jake'a do zalegalizowania ich związku, często objawiała głośno swoje niezadowolenie, czym tylko przyspieszyła decyzję partnera o rozstaniu.

- Może innym razem. - Nawet nie próbował ukryć zniecierpliwienia.

- Powinam była zadzwonić, ale sądziłam, że nasza wcześniejsza... bliskość... daje mi pewne przywileje.

- To prawda - odrzekł, ignorując jej prowokacyjną pozę - miałaś je, ale teraz, jeśli pozwolisz... - Wskazał ręką na drzwi. Tym razem Hallie zignorowała jego gest.

- Tak naprawdę, to przyszłam w interesach. - Fowler, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, patrzył na nią nieufnie. - Poleciłam cię senatorowi Chisolmowi. - Słyszac dźwięk triumfu w głosie dziewczyny, Jake omal się nie roześmiał.

- Jako kogo?

- Po naszym wywiadzie - wiesz, dostałam wyłączność - rozmawialiśmy sobie z senatorem i akurat wspomniał, że chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o swym konkurencie. Powiedziałam, że zajmujesz się takimi sprawami. Jest zainteresowany. Sądziłam, że się ucieszysz.

Wzruszyła ramionami. Pasma jedwabistych, jasnych włosów opadło jej na czoło. Odsunęła je wolno palcami, przeciągając tę chwilę w nieskończoność. Wiedziała, że gdy podnosi ramię, sweter opina jej się na piersiach. Jake był pewien, że wielokrotnie ćwiczyła ów ruch przed lustrem, ale i tak rozkoszował się widokiem, jaki miał przed sobą: uwodzicielskie ciało, zielone, kocie oczy, pełne, namiętne usta. Zapomniał już, jak bardzo pociągająca jest Hallie. W telewizji i na fotografiach wyglądała kanciasto, jakby jej gładka blada skóra koloru kości słoniowej opinała bryłę marmuru, a nie delikatne ciało.

- Fowler and Company zawsze chętnie widzi nowych klientów. Dziękuj? za rekomendację. - Skinął lekko głową. Był jej wdzięczny za przysługę ale doświadczenie mówiło mu, że za tym przyjacielskim gestem kryje się jakiś cel.

- Zadzwoń do mnie, czyja mam się z nim skontaktować?

- Prawdę mówiąc, obiecałam zorganizować wam spotkanie przy lunchu. - Hallie demonstracyjnie zmieniła ułożenie nóg i obciągnęła sweter. Uśmiechnęła się chytrze. - Założyłam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Jake nie lubił, gdy spotkania z przyszłymi klientami odbywały się w obecności osób trzecich. Prywatne dochodzenia miały większą szansę na sukces, jeżeli pozostawały poufne. Zmarszczył brwi.

- Kto jeszcze będzie na tym lunchu oprócz senatora i mnie? Hallie wyglądała teraz na urażoną, ale zaraz przyjęła obronną pozę

- czego się zresztą spodziewał. Jak na kobietę bez wątplenia piękną, inteligentną i nieźle ustawioną na drodze do kariery dziennikarskiej, miała więcej kompleksów niż par butów - które były jej drugą słabością, tuż po wybujałej ambicji.

- Jeżeli chcesz, przedstawię was sobie i odejdę. - Wstała, wyraźnie dotknięta.

- Nie zamierzam popsuć wam spotkania. - Zarzuciła torbę na ramię i ruszyła do drzwi.

Jake przytrzymał ją za rękę.

- Przepraszam, Hallie, nie chciałem, aby to tak zabrzmiało. Po prostu...

- Spieszno ci dokończyć ten twój obiad dla dwojga, rozumiem i przepraszam za najście. - Ruszyła do drzwi, z twarzą ściągniętą w maskę ukrywającą emocje. Jake widział tę jej minę setki razy - gdy zapomniał oddzwonić lub nie pochwalił jej wyglądu lub nie chciał odgadnąć aktualnych potrzeb: pociechy, pochwały czy miłości. Hallie nie umiała radzić sobie z najdrobniejszym nawet przejawem odmowy czy krytyki, nawet jeżeli ta ostatnia wynikała z dobrych intencji. Wada ta zrujnowała większość jej osobistych kontaktów i utrudniła pracę w „New York Timesie”. W pełni rozumiejąc, że zajęcie redaktora polega na korygowaniu dzieła innych, reagowała emocjonalnie, odbierając jak policzek każde podkreślenie w swym tekście. W końcu owa narcystyczna osobowość spowodowała, że Hallie została zwolniona z gazety. No i odszedł od niej Jake.

- Obiad sam się właściwie gotuje - starał się ułagodzić gościa.

Swym egocentryzmem doprowadzała Jake'a do szaleństwa, ale zawsze potrafiła wzbudzić w nim współczucie. Wziął ją za rękę i zaprowadził z powrotem do salonu, spełniając jej oczekiwania - zdawał sobie z tego sprawę, ale cóż: Jake Fowler był jak zawsze miły!

- Nie widzieliśmy się tak długo. Mów, co u ciebie nowego. Dziewczyna przez chwilę wydymała usta.

- Pewnie wiesz... pracuję teraz w „Morning Telegraph”. - Jake skinął głową. Czytał kilka artykułów Hallie. - Jaka to ulga pracować w gazecie, w której dają trochę miejsca na tekst poza tytułem.

Znów zadarła nos i wciągnęła powietrze, jakby chciała dać do zrozumienia, że praca w „Timesie” była straszną nudą, a „Telegraph” pozwala wkroczyć na drogę prowadzącą prosto do Pulitzera. To dobra, codzienna gazeta, o przyzwoitym nakładzie i wzrastającej popularności, ale daleko jej do „New York Timesa”, pomyślał Jake.

- Co to za sprawa z tym dochodzeniem Chisolma? - spytał. - Jest tam coś poza działającą na wyborców historyjką o narkotykach?

Hallie skwitowała jego cynizm uniesieniem brwi.

- Nie oceniaj innych tak pochopnie, Jake. Senator jest głęboko zaangażowany w tę sprawę i robi, co może, by przerwać napływ narkotyków. Zaczął od środowiska finansistów, bo uważa, że to właśnie oni utrudniają uchwalenie skutecznych ustaw.

Recytowała jakby wyuczoną na pamięć mowę, żywcem wziętą z przemówień Chisolma. Jake zastanawiał się, co też senator obiecał Hallie za tak pełne poświęcenia dziennikarskie poparcie.

- Hej! - zawołał, chcąc ją udobruchać - może on ma rację. Cherchez les dolce, jak zawsze mówią.

Hallie wstała, zmrożona.

- Jak zawsze jesteś skory do żartów i krytyki! I lekceważenia. Nikt nie dorówna wysokim standardom Jake'a Fowlera, prawda?

Potrząsnął głową z irytacją.

- Tego nie powiedziałem, Hallie, jeszcze pamiętam własne słowa! Ten gość chce zostać wybrany ponownie. Połowa tego, czym karmią nas politycy, nie jest całkowitą prawdą, a ta druga to nie stuprocentowe kłamstwo! Przecież sama dobrze o tym wiesz.

Hallie doszła do drzwi. Zanim się odwróciła, jej twarz przybrała spokojną, pełną godności minę.

- Gdy się spotkacie, sam będziesz mógł się przekonać o szczerości senatora. Zadzwoń i powiem ci kiedy.

Odeszła, nim zdążył zaprotestować - oboje wiedzieli zresztą, że nie miał takiego zamiaru.

Hallie tak mocno rozpamiętywała afront, jaki ją spotkał, że nie zwróciła uwagi na dziewczynę wchodzącą po schodach, dopóki na siebie nie wpały. Ledwo się o siebie otarły, lecz obie stanęły na chwilę i cichym „przepraszam”, obrzuciły się taksującym, właściwym kobietom spojrzeniem i ruszyły dalej. Hallie zeszła kilka schodów, przystanęła i zerknęła za siebie. Założyła, że to gość Jake'a i chciała obejrzeć tę, którą uznała za rywalkę.

Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. I to nie wygląd dziewczyny wyprowadził Hallie z równowagi. Obie były wysokie i świetnie zbudowane. Dwie kobiety o dobrze ostrzyżonych włosach, perfekcyjnie umalowane. Hallie przyznała sobie punkt z elegancji - mogłaby się założyć, że ani jedna część garderoby tej rudej nie pochodzi z markowej firmy. Jednak Pani Bezimienna miała coś, czego Hallie brakowało i czego rozpaczliwie pragnęła, lecz nie była w stanie kupić, pożyczyć czy też się nauczyć: dziewczyna zmierzająca do

mieszkania Jake'a miała minę osoby, która nie tylko wie, kim jest, ale i akceptuje to. Hallie natychmiast poczuła do niej niechęć.

Apartament Jake'a zaskoczył Amandę. Choć niewiele większy od jej mieszkania, miał jednak zdecydowanie cieplejszą atmosferę. W pokoju dziennym zachęcały do odpoczynku meble otaczające duży, najwyraźniej używany kominek; na drugim końcu, odgradzona ścianką, kryła się niewielka kuchenka. Pomieszczenia przedzielały dwa wysokie okna, zakryte białymi zasłonami do samej podłogi. Pod oknami ustawiono proste, żelazne słupki na kwiaty, na każdym znajdowała się donica z cudownymi, białymi orchideami. Amanda nigdy by nie przypuszczała, że Jake Fowler może hodować rośliny wymagające tyle zachodu. Nie wyobrażała też sobie, że zobaczy tu świece i fotografie, a tych wokół nie brakowało.

- Oszukałeś mnie! - Z oburzeniem wskazała na jego czarną jedwabną koszulę i czarne spodnie. - Mówiłeś, że mam włożyć sukienkę, a ty ubierzesz się w garnitur.

- Powiedziałem też, że zamówimy pizzę. - Uśmiechnął się czarująco - Skłamałem.

Spojrzała na połyskujący za jego plecami okrągły drewniany stół, na którym zapewne mieli jeść obiad. Wokół stało kilka krzeseł, gdzieś z głębi mieszkania dochodziły dźwięki nastrojowej muzyki, ale nie dostrzegła żadnych nakryć ani kwiatów, nic, co zapowiadałoby posiłek. Może zjedzą poza domem? Niespodziewanie jednak pokój wypełniły smakowite zapachy.

- Gotujesz? - spytała zaskoczona.

- Gotujemy - poprawił ją i poprowadził do kuchenki, na której coś bulgotało w dwóch olbrzymich garnkach. - Gdy studiowałem prawo, mieszkałem w jednym pokoju z chłopakiem, którego rodzice mieli trattorię w Rzymie - wyjaśniał, podając Amandzie drewnianą łyżkę o długiej ręczce. Wskazał na duży gar i polecił jej mieszać zawartość. - Specjalność Saleppichich. Wiem, że będziesz chciała przyrządzić to sobie kiedyś w domu, ale - wyciągnął przed siebie rękę, jakby broniąc się przed nachalnymi prośbami - ten przepis to sekret, przysięgłem dochować tajemnicy aż po grób. Uniosła brwi, podejmując wyzwanie.

- Jeżeli ten specjał smakuje tak dobrze, jak pachnie... - rzuciła obojętnie - chyba da się załatwić. Jake ściągnął wargi i zmarszczył czoło, jakby poczuł się nie na żarty zagrożony.

- Zapomniałem, że znajdę się w jednej kuchni z kobietą uzbrojoną po zęby! - Zanim się zorientowała, sięgnął pod jej żakiet i przesunął dłońmi z góry na dół, od pach po biodra. Skończył przeszukanie i z trudem zachowując powagę oświadczył: - Tylko sprawdzałem.

- Jest w torebce - odpowiedziała, nie spuszczać oka ani z łyżki, ani z Jake'a.

- Moją spluwę chowam w komodzie w sypialni. A teraz, gdy już ustaliliśmy, gdzie trzymamy broń, pozwolisz, że wezmę twój żakiet? - Wyciągnął rękę. Amanda odłożyła łyżkę, wysunęła ramiona z rękawów marynarki i podała ją swemu gospodarzowi, który aż gwizdnął z zachwytu. Dziewczyna miała na sobie „małą czarną”, tę najbardziej seksowną, z czarnego dżerseju, odsłaniającą jedno ramię. Choć nie przyznałaby się nawet przed sobą, tego wieczora chciała wyglądać jak najlepiej. Sądząc po minie Jake'a, udało jej się to całkowicie.

- Wyglądasz wręcz odłotowo. - Nie krył podziwu i powędrował wzrokiem w dół. - Tak jak przypuszczałem, nogi macie wystrzałowe, detektywie Max.

- Mogłeś zapytać, powiedziałabym ci sama.

- Wiem. Ale zobaczyc to co innego niż uwierzyć na słowo.

Amanda z uśmiechem patrzyła, jak Jake unosi pokrywkę i bada za - wartość garnka. Zamieszał gęsty czerwony sos. Naczynie, które miała pod opieką, zawierało jakąś gęstą, jednolitą, żółtą masę.

- Kukurydzianka. - Zamieszał drugą łyżką i oświadczył, że danie powinno jeszcze postać na ogniu. - Nie przestawaj mieszać.

Posłusznie zastosowała się do polecenia, a on w tym czasie otworzył butelkę wina. Nalał trochę do kieliszka, popatrzył pod światło, wziął do ust; zanim przełknął, przez chwilę zatrzymał płyn na języku. Błogi uśmiech rozjaśnił mu twarz - dokonał właściwego wyboru. Podał Amandzie kieliszek wypełniony chenin blanc i zachęcił do skosztowania. Było wspaniałe.

- Nic nie rozumiem, Fowler - kucharz, koneser win, orchidee, Chopin, jesteś dziś pełen niespodzianek. - Skrzywiła się, jakby spojrzała w przyszłość i zobaczyła coś okropnego. - Chyba nie zamierzasz śpiewać?

- Musiałabyś bardzo prosić.

- Nie licz na to - uprzedziła go ze śmiechem.

Mieszając jedzenie w garnkach, rozmawiali. Jake wypytywał Amandę, co robi w wolnym czasie, po pracy. Opowiedziała mu o swych ulubionych zajęciach, a także, w chwili słabości, o zbliżającej się wystawie. Zainteresował się i obiecał przyjść na otwarcie, a gdy wyjaśniła, że jej tam nie będzie, nie wycofał się już.

- Mogę iść sam - oświadczył z udaną urazą.

Amanda uśmiechnęła się, bo przez chwilę wyobrażała sobie Jake'a i Tylera Graysona, stojących ramię przy ramieniu przed którymś z jej portretów. Różnili się jeden od drugiego wręcz w szekspirowskim stylu, zarówno fizycznie jak i temperamentem. Co ją tak w nich pociągało? Czy coś łączyło tych obu mężczyzn, czy też może każdy wyzwał w niej inne cechy? Z rozmyślań wybił ją głos Jake'a.

- Czyżby to mieszanie wprawiło cię w hipnotyczny trans? - Delikatnie wyjął jej łyżkę z dłoni.

- Zamyśliłam się trochę.

- Może czas, abym zaśpiewał? Amanda cofnęła się, demonstracyjnie okazując przerażenie.

- Proszę, wszystko tylko nie to!

- Teraz nie podchodź, kobieto.

Ze zdumieniem patrzyła, jak Jake unosi garnek z kuchenki, zbliża się z nim do stołu, przechyla i wylewa na drewniany blat coś o konsystencji ciasta.

- Co robisz? - zawołała wystraszona. Nie zauważyła, że powierzchnię stołu pokrywa specjalnie przygotowana deska.

Uśmiechnął się, i dalej, w milczeniu, oblewał drewnianą powierzchnię złocistą masą, która rozlewała się, rozszerzała, i nagle, cudownym sposobem, zastygła centymetry od krawędzi. Amanda przypatrywała się, oszołomiona, a tymczasem Jake wypełnił puste miejsce, które zostawił pośrodku, zawartością drugiego garnka: mieszaniną duszonej wołowiny, cielęciny i mięsa z jagnięcia, w gęstym sosie pomidorowym. Przy stole ustawił jeszcze stoliczek na zakąski, na nim miseczki z zieloną sałatą, kieliszki na wino, serwetki i sztucce. Podsunął Amandzie krzesło, napełnił kieliszek chianti reserve i wreszcie, tonem pełnym dumy, oznajmił:

- To, piękna pani, jest właśnie polenta podawana we Włoszech. Mangia!

Patrzyła na swego gospodarza oszołomiona.

- Bardzo chciałabym jeść, ale nie wiem jak.

- Zaczynasz od środka - tłumaczył, biorąc do ręki łyżkę i widelec. - Nałóż trochę mięsa, dodaj polenty i rozkoszuj się smakiem, najmiłsza, rozkoszuj! Amanda poczuła się niczym trzyletnie dziecko, któremu po raz pierwszy kazano jeść zupełnie nową potrawę. Kilka razy ponawiała próby, i gdy wreszcie poradziła sobie, doświadczyła uczucia wręcz satysfakcji. Nie potrafiłaby powiedzieć, kiedy ostatnio jedzenie sprawiło jej tyle przyjemności. I nie kryła swego zadowolenia przed kucharzem.

- Cieszę się - powiedział szczerze. - Chciałem, by nasz wieczór był wyjątkowy.

- I jest - odrzekła, usiłując zapanować nad burzą emocji - naprawdę. W coraz przyjemniejszym nastroju popijali wino, wzajemnie wypytując się o interesujące ich szczegóły. Okazało się, że łączy ich dużo więcej niż ulubione kryminały i stare filmy. Oboje lubili muzykę klasyczną, występy komików, niektóre przedstawienia off Broadway, góry bardziej niż nadmorskie plaże, zakupy na wyprzedazach, i prele bez żadnych dodatków. Obydwoje też ćwiczyli jogę i szkolili się w sztuce samoobrony. Amanda miała czarny pas w tae kwan do, Jake w karate; wołała baseball, on zaś futbol, ale oboje uwielbiali koszykówkę, zwłaszcza w wykonaniu Knicksów. Jake lubił od czasu do czasu potańczyć w klubach, ona wołała jeździć na nartach. Jego jedyne doświadczenie narciarskie było tak kompromitujące, że poprzysiągł sobie nigdy więcej nie zbliżać do stoku, ale w drodze wyjątku zgodził się spróbować jeszcze raz. Warunek: Amanda w zamian pójdzie z nim na tańce.

Po skończonym posiłku poskładali naczynia i Jake zaproponował, . przenieśli się na kanapę. Wcześniej rozpalili w kominku. Amanda, . i c jo łazienki, zatrzymała się w niewielkim korytarzu oddzielającym salonik od sypialni: ściany zapełniały tu szkice ołówkiem. Niektóre wydawały się karykaturami, inne wyglądały na zwykłe portrety. Była pewna że co najmniej dwa wyszły spod ręki policyjnego portrecisty.

Postanowiła zapytać o nie gospodarza, ale gdy wróciła do salonu, krzątał się przy syczącym ekspresie do kawy, więc zajęła się starymi fotografiami stojącymi na kominku.

- Kto to? - spytała, wskazując na grupę dwojga dorosłych i dwójki dzieci, najwyraźniej pozujących do zdjęcia.

Nie odpowiedział od razu. Skupił uwagę na zawartości tacy, którą przyniósł z kuchni. Na środku stolika postawił biscotti, butelkę wino - to, w którym mieli zanurzać ciasteczka, i dwa kieliszki. Podał dwie filiżanki cappuccino z cynamonem i czekoladą, podsunął Amandzie cukierniczkę z cukrem w kostki. Widząc, że Jake zwleka z odpowiedzią, udała całkowicie pochłoniętą rytuałem jedzenia biszkoptów moczonych w winie i pozwalając słodkiej papce rozplątać się w ustach czekała, co jej gospodarz powie, jeżeli w ogóle coś powie, o fotografiach.

- To była kiedyś rodzina Fowlerów. - Głos Jake'a pobrzmiwał goryczą. Wstał i położył zdjęcia na stole. - Oto mój ojciec, Archie, a to matka, Grace. To jest moja siostra, Jocelyn, a ten przystojniak to ja - starał się mówić lekkim tonem, lecz minę miał niepewną, a oczy zamglone. Uśmiechnęła się z łagodnością, którą go wzruszyła.

- Byłeś cudowny, nie ulega wątpliwości. - Popatrzyła na zdjęcie ponownie. Jake nigdy się nie dowie, jak bardzo zazdrościła mu takich chwil jak ta, uchwycona na fotografii. - Pochodzisz z miłej rodziny. Jake skinął głową.

- To prawda, kiedyś... Widziała, jak trudno mu mówić o przeszłości i domyślała się przyczyny.

- Twój ojciec umarł?

Później, wspominając ten wieczór doszedł do wniosku, że to bliskość Amandy, zapach jej ciała zmieszany z winem i wonią drewna tłącego się na kominku wprawiły go w tak niezwykły dla niego, sentymentalny nastrój. Przez następne kilka godzin opowiadał jej o sobie, o swoim ojcu i szczegółach zniknięcia Archiego, zwłokach w bagażniku samochodu, o niechęci Grace do odrzucenia policyjnej wersji zaginięcia męża i przeżyciu Clary.

- Nie uwierzę, że ludzie tak po prostu znikają z powierzchni ziemi - Wyznał Amandzie, że nigdy nie przestał wątpić w prawdziwość opowieści babki, która wielokrotnie przysięgała, iż zobaczyła syna idącego ulicą na karaibskiej wyspie. Amanda także uznała tę historię za prawdopodobną.

- Sądzisz, że on żyje?

Jake wzruszył ramionami i upił łyk cappuccino. Wpatrywał się w płomień migoczące na kominku, jakby chciał powiedzieć: mądry znajdzie tu coś, nad czym można się zastanowić, głupi, nie zważając na oczywiste niebezpieczeństwo, wsadzi rękę do ognia.

- Czy coś łączy sprawę twojego ojca z galerią portretów w korytarzyku? - spytała ostrożnie.

- Chciałaś powiedzieć, że mój hol przypomina biuro osób zaginionych? - Uśmiechnął się lekko. - Tak i nie. Jeden z tych rysunków jest dziełem policyjnego portrecisty. Został wykonany podczas przesłuchania świadka, który mógł widzieć mojego ojca. - Amanda nie okazywała zaskoczenia. - Zaraz po zniknięciu ojca odbywaliśmy w rodzinnym kręgu gwałtowne i, jak mi się wtedy wydawało, dziwaczne rozmowy, ale po latach uświadomiłem sobie, że właśnie tamte, prowadzone pod wpływem wzburzonych emocji dyskusje wpłynęły na moją fascynację obrazami i... odnajdywaniem zaginionych osób.

- Nigdy nie uważałem, by ten rysunek właściwie oddawał wygląd ojca. Moja matka twierdziła, że podobieństwo zostało uchwycone idealnie, babcia, przeciwnie, skłonna była przyznać rację mnie. Angus zarzucał portreciście zbytne złagodzenie rysów Archiego, siostra zaś uznała portret za diaboliczny. - Jake zachichotał, jak ktoś, kto nagle coś sobie uświadamia i chce, by otoczenie domyśliło się, o co chodzi. - Uderzyło mnie, że rysunek, chociaż zawsze ten sam, zmienia się w zależności od tego, kto na niego patrzy. Każde z nas widziało ojca inaczej, coś jakby: „prawda tkwi w oczach patrzącego”. W każdym razie zaintrygowało mnie to, jak postrzegamy naszych najbliższych, i zacząłem kolekcjonować rysunki twarzy. Niektóre przedstawiają osoby mi znane, inne ukazują się sławne osobistości, jeszcze inne to portrety ludzi zaginionych, do których odnalezienia zostałem wynajęty.

- Odnalazłeś ich?

- Wszystkich prócz ojca.

Az całego serca zapragnęła okazać mu współczucie. Zawsze wiedziała, że jej ojciec żyje, ale przecież, gdy miała czternaście lat, jej nadzieje na zobaczenie Lionela przedstawiały się równie mizernie jak nadzieje Jake'a na odnalezienie Archiego.

Jakby wyczuwając, że oddaliła się gdzieś, w samotność, łagodnym gestem położył jej dłoń na ramieniu. Gładził jedwabistą skórę dziewczyny, opowiadając o pustce, jaką pozostawił w jego sercu zaginiony ojciec

- Odkąd ukończyłem czternaście lat, żyłem w przekonaniu, że Archie Fowler kręci się po tym świecie i ma się całkiem dobrze.

Spaceruje gdzieś po plaży w okropnym, turkusowo - różowym cabana, popijając pina colada. Patrzył na Amandę, nie próbując ukryć wzruszenia. Nie należał do mężczyzn, którzy łatwo okazują innym zaufanie, teraz jednak zapragnął podzielić się z nią swą słabością i sprawić, by ukoła jego smutek.

- Prawdopodobnie w którymś momencie zrozumiałem, iż jeżeli się poddam i uwierzę, że to jego ciało znaleziono wtedy w samochodzie, będzie to z mojej strony nie tylko przejaw krańcowej nielojalności, ale także coś w rodzaju porzucenia, grzech nie do darowania; w końcu - mówił teraz jakby do siebie - dobry syn nie zostawia ojca.

Amanda poczuła wzbierające pod powiekami łzy. Czy dobra córka opuszcza ojca? Czy dobra córka pozwoliłaby ojcu żyć w przekonaniu, że wraz z matką zginęły podczas tamtego wybuchu?

Jake zauważył, że oczy dziewczyny zwilgotniały i zareagował natychmiast. Palcami pościierał wilgotne krople z jej policzków, delikatnie dotknął warg. Wstrzymała oddech i zapragnęła dobrze zapamiętać słodycz tej chwili.

- Przepraszam, Max, nie chciałem cię zasmucić. Mam nadzieję, że nie zepsułem naszej randki.

Niewiele brakowało, aby się roześmiała - to przecież jeden z najbardziej intymnych wieczorów, jakie spędziła z mężczyzną.

- Nie mógłbyś - oświadczyła - w skali jeden do dziesięciu zasługuje na jedenaście. Mówię szczerze, było cudownie. Kierowany odruchem, ujął dłońmi twarz dziewczyny i pocałował ją w usta.

- Mam nadzieję, że nie liczysz na to, iż słodkimi słówkami wyprosisz u mnie przepis na polentę. Niczego nie wskórasz, zawsze dotrzymuję słowa.

- Cóż, chyba nie masz mi za złe, że próbowałam? - zażartowała. Pocałował ją znowu, objął ciasno ramionami, i wtedy zrozumiała, że nadszedł czas na decyzję: albo odejdzie, albo zostanie z Jakiem na noc. - Muszę iść. - Z niechęcią oderwała się od niego, by wstać z kanapy.

- Odprowadzę cię. - Podał jej zakiet, wyjął z szafy broń.

- Nie trzeba, to tylko kilka ulic stąd - zaprotestowała, zaskoczona własną reakcją na dotyk jego rąk, gdy pomagał jej się ubrać.

- Przeciwnie! - Zarzucił płaszcz, zdmuchnął świece i otworzył drzwi. - Jak cię odprowadzę, dostanę całusa na dobranoc. -

Roześmiała się i razem ruszyli schodami w dół. - Hej! - zawołał. - Grace Fowler wychowała sprytnego dzieciaka!

Annie, nieprzytomna ze zdenerwowania, próbowała doprowadzić siebie i mieszkanie do jakiegoś takiego porządku. Wrzuciła do szafy jeszcze jedną parę butów i pochyliła się, sięgając po następne. Co ją opętało, by wspomnieć Amandzie o firmie kosmetycznej! Jak zwykle bezmyślnie zwierzyła się przyjaciółce ze swych marzeń i teraz dostanie za swoje! - za jakieś dwadzieścia minut zjawi się tu Lionel Baird.

Od zeszłego tygodnia, gdy Max zatelefonowała z wiadomością, że Lionel może być zainteresowany udzieleniem jej finansowego wsparcia, Annie żyła jak we śnie. Wprawdzie znajomość przyjaciółki z wszechmocnym panem Bairdem nie zaskoczyła jej - dawno podejrzewała, że to on jest owym starszym mężczyzną w życiu Amandy, nigdy jednak nie przyszłoby jej do głowy, że tamta wspomni znanemu finansiście o jej zainteresowaniu biznesem kosmetycznym, nie mówiąc już o zdumiewającej, z jego strony, propozycji spotkania.

Według pierwotnego planu miały obie pójść do biura Lionela Bairda, potem jednak Amandzie wyznaczono dodatkowy dyżur i Annie musiała radzić sobie sama. Wolałaby spotkać się z Wielkim Człowiekiem na jego terenie, ale cóż, okazało się, że decyzja nie należy do niej: wczesnym rankiem, przed kilkoma godzinami, sekretarka Bairda powiadomiła ją telefonicznie, iż szef życzy sobie zmiany miejsca spotkania i sam pofatyguje się do mieszkania Annie. Wiadomość podziałała na dziewczynę niczym wystrzał startera - ruszyła do biegu. Kręciła się po mieszkaniu, bez powodzenia starając się nieco je uporządkować, przymierzała, jedną pod drugiej, kolejne wersje garderoby, ale wciąż nie mogła zdecydować się, w czym wystąpi. Elegancki, czarny kostium na wszystkie okazje, który wkładała udając się do ekskluzywnych restauracji, na spotkania w sprawach zawodowych... i pogrzeby, wyglądałby doskonale w biurze Baird, Nathanson & Spelling, ale nie nadawał się do noszenia w domu.

W końcu włożyła jedyną niepomiętą bluzkę, jaka jej pozostała wrzuciła porzrzuconą resztę ubrań do szafy i zamknęła drzwi. Krytycznym wzrokiem zlustrowała mieszkanie, ustawiła równo powysuwane krzesła i pobiegła do łazienki, by raz jeszcze sprawdzić

swój makijaż - w końcu to w tej dziedzinie miała zamiar startować, nie mogła więc pozwolić sobie na zaniedbany wygląd.

Na dźwięk dzwonka przebiegła jej przez głowę myśl, by udać, że wyszła z domu. Na szczęście, z następnym oddechem wrócił zdrowy rozsądek. Nacisnęła przycisk domofonu i nerwowo czekała, aż winda zatrzyma się przy drzwiach mieszkania. Widziała zdjęcia Lionela Bairda w magazynie „Forbes”, w „Timesie” i w rozmaitych tygodnikach, ale gdy stanął w drzwiach, z wrażenia straciła całą odwagę. Nie spodziewała się kogoś aż tak nieprawdopodobnie wysokiego, tak potężnie zbudowanego i takiego przystojnego. I działającego na nią aż tak onieśmielająco!

- Mogę wejść? - spytał cicho.

Twarz dziewczyny, zwykle koloru kości słoniowej, okryła się purpurą. Ledwie udało jej się wydukać jakieś słowa - zdeprymowana - czuła, iż zachowuje się niczym wieśniaczka w obecności króla, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Oczywiście, proszę mi wybaczyć... proszę wejść... proszę usiąść. Pośpiesznie wprowadziła gościa do kącika, funkcjonującego jako dzienna część mieszkania, po drodze próbując patrzeć na nie oczami przybyłego. Nigdy wcześniej nie przyjmowała nikogo aż tak ważnego, trudno więc było jej znaleźć właściwą perspektywę. Wpadali tu przyjaciele, aktorzy i najrozmaitsi artyści, ludzie utrzymujący się z dochodów ani zbyt regularnych, ani nadmiernie wysokich. Niewielu z odwiedzających mieszkało w centrum, a jeżeli nawet, to w tanich, ciasnych kłitkach lub w zachodnich dzielnicach. Nawet w przybliżeniu nie potrafiła wyobrazić sobie luksusu, do jakiego z pewnością nawykł ktoś taki jak Lionel Baird. Zamiast iść za nią, zatrzymał się w drzwiach. Nie rozglądał się, tylko starał wyczuć atmosferę, określić całość. Gdy wreszcie wszedł do środka, poruszał się w tempie dostosowanym do rytmu spojrzeń, jakimi obrzucał pomieszczenie. Zamiast patrzeć wokół siebie, zatrzymywał wzrok na konkretnych zestawach i pojedynczych przedmiotach - prosty drewniany stolik cocktailowy zdawał się centralnym punktem przestrzeni przeznaczonej do siedzenia, dwa podniszczone, stylowe krzesła tuliły się do autentycznej kanapy biedermeier. Na blacie zrobionej na antyk komody stały, w artystycznym nieładzie, ze dwa tuziny lichtarzy, każdym tkwiła świeczka o różnym stopniu zużycia. Z kąta, w którym Amanda i Annie opracowywały portrety, wylaniało się

mini podium, a na nim widoczne były rozmaite akcesoria: florencki, trzyczęściowy parawan; olbrzymia grecka urna; donica z palmą; krzesło w stylu Ludwika XIV, z połączanym oparciem; sterta olbrzymich, obitych adamaszkiem pufów; zwoje bogato tkanego brokatu i aksamity wykończone gęstymi frędzlami. Bele płótna, każda z luźno, jakby żartobliwie, zwisającymi próbkami, przypominały oparty o ścianę wielki bukiet. Obok dumnie prężył pierś krawiecki manekin, okryty modnymi szmatkami. Po drugiej stronie zaś, pod olbrzymich rozmiarów lustrem, jakby przeniesionym z baru na Dzikim Zachodzie, królował ogromny stół, zajęty stojakami na peruki. Każdy demonstrował starannie uczesaną fryzurę, nad twarzą wyczarowaną ze stosu słoików, garnuszków, tubek i szczotek wypełniających pozostałą część blatu. Przed owym kosmetycznym bufetem umieszczono dwa stołki, na których Annie sadzała swych klientów do charakteryzacji. Z tyłu, na drewnianym, wiktoriańskim wieszaku do kapeluszy umieszczono nakrycia głowy we wszystkich możliwych stylach, od czegoś a la Maria Antonina, obficie zdobnego w pióra, do baseballowej czapki z napisem oznajmiającym bez żenady: Nic z tego, bez szans.

- Ma pani urocze mieszkanie - odezwał się Lionel zajmując krzesło.

Nie uważała wprawdzie, by określenie, jakiego użył, najbardziej odpowiadało rzeczywistości, ale z wdziękiem przyjęła komplement i zaproponowała drinka: whisky, wino, ewentualnie kawę, wodę sodową - z gazem lub bez, herbatę - gorącą lub mrożoną, dietetyczną wodę mineralną... Lionel zauważył chłodzącą się butelkę wina i przerwał tę wyliczankę.

- Otworzyć? - zaproponował. Poważnie obawiał się, że roztrzęsione ręce gospodyni mogą nie podolać zadaniu.

- Godzinę temu można by mnie określić jako „zdenerwowaną” - oświadczyła, opadając na stojący naprzeciw niego fotel. - Teraz chyba osiągam stan uważany za „odchodzenie od zmysłów”. Powie mi pan, gdy całkiem stracę głowę, dobrze?

- Naturalnie.

Nalał wina do kieliszków i zachęcił Annie, by wypiała. Usłuchała, on zaś przyglądał się badawczo kobiecie, która, jak twierdziła jego córka, jest w Nowym Jorku jej najbliższą przyjaciółką. Musiał przyznać Amandzie, a także Beth, rację - tej młodej damie nie

brakowało fizycznej atrakcyjności ani żywego usposobienia. Najwyraźniej była zapaloną kolekcjonerką, i choć finansowe możliwości miała zapewne ograniczone, przedmioty zgromadzone w mieszkaniu świadczyły o zaskakująco wy - rafinowanym guście. A i jej osobisty styl uznał za pociągający, choć pewnie przypuszczała, że ktoś taki jak on lekceważy wszystko, na czym nie ma podpisu znanych projektantów mody. Czarne elastyczne spodnie, mokasyny z czarnej skóry i biała, męska koszula z odwiniętymi mankietami i postawionym kołnierzykiem dodawały tej dziewczynie szyku i... pewności siebie.

- No więc, jak zostaje się specjalistą od makijażu?

Powędrował spojrzeniem na cocktailowy stolik i ze zdumieniem patrzył na wręcz oszalamiający zbiór przycisków do papieru, przedstawiających części twarzy: mosiężne wargi i oczy, marmurowe usta o różnych kształtach, ze dwa nosy, a nawet gliniane ucho.

- Nic łatwiejszego. Zaczęłam się malować mając pięć lat i do dziś nie przestałam. - Roześmiała się na wspomnienie tamtego dnia. - Odkryłam szufladkę, w której moja matka trzymała przybory do makijażu i uznałam, że jest pełna kolorowych czarów, magicznych ołówków i tubek, najwyraźniej do zabawy - użyłam ich więc zgodnie z przeznaczeniem. Wysmarowałam się od stóp do głów, a także zlew, ścianę i koc na moim łóżku. Oczywiście uważałam, że i ja, i zapaćkane przedmioty wyglądamy cudownie. Niestety, rodzice byli innego zdania. - Znów się roześmiała.

Lionelowi spodobał się jej śmiech: perlisty, żywy i szczery, bez nutki fałszu czy rezerwy. Jeżeli Annie miała choćby niewielki wpływ na jego córkę, życzyłby sobie, aby nauczyła Amandę śmiać się tak swobodnie.

- I pewnie została pani skarcona za ten dziecięcy wybuch kreatywności.

- Powiedzmy, że artystyczny gust innych nie był tak dalece rozwinięty jak moje odczucie.

- Przeszła pani jakieś formalne zawodowe szkolenie, czy też doszła metodą prób i błędów do perfekcji?

- Jedno i drugie. Mam dyplom wyższej uczelni ze sztuk plastycznych, w dziedzinie charakteryzacji, a po przybyciu do Nowego Jorku udało mi się dostać pracę przy kilku pokazach na Broadwayu i terminowałam u mistrzów. W wolnym czasie, a miałam

go mnóstwo, zajmowałam się makijażem w rozmaitych firmowych stoiskach z kosmetyka - potem dostałam pracę przy serialach telewizyjnych, a kilka z nich nagrodzono „Emmami”, co ostatecznie zaowocowało moją wielką popularnością. Chciałabym więc wykorzystać tę nieoczekiwaną sławę. - Uśmiechnęła się szeroko. - To pokrótce wszystko, czy gotowy pan...

- Nie tak szybko - przerwał jej dość ostro - to, co właśnie usłyszałem, ta wyuczona historia pani zatrudnienia, jest interesująca, lecz zbyt powierzchowna. Osobiste rekomendacje Amandy Maxwell mają owszem, znaczenie, ale przecież rozpatrujemy sfinansowanie niemałego przedsięwzięcia. Annie nie potrafiła ukryć zmieszania.

- Nie chciałam... wiem, zabrzmiało to infantylnie, ale... no cóż, ja... Lionel sięgnął do kieszeni i podał jej urzędowo wyglądający formularz.

- Zechce to pani wypełnić.

W milczeniu kiwnęła głową. Nie tak miała wyglądać ich rozmowa. Opuściła wzrok, umykając przed, jak jej się zdawało, krytycznym spojrzeniem i zaczęła przeglądać niekończącą się listę pytań. Gdzie chodziła do szkoły? Jak nazywa się bank, z którego usług korzysta? Czy kiedykolwiek zaciągała pożyczkę? Jeżeli tak, czy ma jeszcze raty do spłacenia? Poprzedni pracodawcy? Jak długo pracowała w każdym z miejsc, czy kiedykolwiek prowadziła własną firmę? Jeżeli to aktualne, to jakie są zyski lub straty, jeżeli nie, podać przyczynę. Od kogo można uzyskać zawodową opinię? Kto wystawi świadectwo o jej charakterze? Czy rodzice jeszcze żyją?

Serce Annie waliło jak młotem. Już wcześniej zdarzało jej się popełniać błędy, ale tym razem przeszła samą siebie! Co sobie wyobrażała? Że ktoś taki jak Lionel Baird wejdzie tu, zachwyci się wymyślonym przez nią odcieniem szminki i wyjmie z portfela czek na cztery miliony? Nie sprawdzając jej przeszłości ani sytuacji finansowej? O czym ja myślałam! - prawie słyszała własny krzyk.

- Jestem artystką, specjalistką od makijażu, a nie korporacją, panie Baird - próbowała zepchnąć gościa do defensywy, a przy tym nie dać po sobie poznać dopiero co poniesionej klęski. - Nie mam żadnego zabezpieczenia, nie potrafię podać „historii moich finansów”, do diabła, czasami zastanawiam się nad moim IQ! - Uśmiechnęła się niepewnie. Mężczyzna milczał i patrzył na nią wyczekująco, wzięła więc głębszy oddech i brnęła dalej. - Moja sytuacja materialna nie robi

wrażenia, to oczywiste. Ale przecież mam świetne pomysły, talent i dobre rozeznanie klientów. Te właśnie rzeczy powinien pan rozpatrzyć oraz dane określające moje kwalifikacje. Te, które powiedzą panu, jak ciężko potrafię pracować, by urzeczywistnić swoje pomysły, a tym samym sprawić, by pańska inwestycja okazała się opłacalna. Owszem, pan jest geniuszem w sprawach finansów i umie pan lepiej niż inni sprawić, by firma dawała najwyższe zyski, ale przy całym należnym szacunku, nie ma pan najmniejszego pojęcia o mojej dziedzinie. Co do mnie, jestem przekonana że wyprodukuję doskonały towar, poradzę sobie z marketingiem i po. trafię zachęcić klientki do kupna moich wytworów. Dlaczego? Bo moje kosmetyki promują naturalny, młodzieńczy wygląd, o którym marzą wszystkie kobiety bez względu na wiek. I wie pan co, panie Baird? Dla większości kobiet, bogatych i biednych, z miasta czy przedmieść, dopiero wkraczających w dorosłość, i tych tuż przed menopauzą, ładny wygląd jest sprawą najważniejszą.

Miała nadzieję, że nie zauważył, jak bardzo jest zdenerwowana, i że nie roześmieje jej się prosto w twarz. Nie zrobił tego, ale też nie wypowiedział ani słowa zachęty. Uparł się natomiast przy formularzach.

- Jestem całkowicie świadom pani kwalifikacji, panno Hart. Gdyby było inaczej, nie zawracałbym sobie głowy przychodzeniem tutaj. Teraz jednak, mimo jakże przekonujących argumentów, muszę uzyskać podstawowe informacje. Z pewnością zna pani numer swego ubezpieczenia, a także nazwiska i adresy byłych pracodawców. - Annie poczułaby się lepiej, gdyby ten człowiek mówił mniej oficjalnym tonem, ale Lionel pozostał oficjalny, oschły, rzeczowy. Wskazał na papiery, które trzymała w ręce. - Proszę wypełnić je tak dokładnie, jak pani potrafi.

W uszach dziewczyny te słowa zabrzmiały niczym wyrok: Lionel Baird zaraz odejdzie. Prawdopodobnie uprzejmie poprosi o przysłanie swych papierów pocztą. Ze względu na znajomość Annie z Amandą odczeka pewien czas, a potem zadzwoni, by powiedzieć: „dziękuję, ale nie skorzystamy”. Wstała, by odprowadzić gościa do drzwi, on jednak, wygodnie rozparty na krześle, z obojętną miną popijał wino. Gdy spojrzała nań pytająco, uśmiechnął się lekko.

- Zakładam, że nie zabierze to pani zbyt wiele czasu, więc poczekam.

Tego wieczora Amanda zamierzała zjeść z Lionelem obiad w jego domu w mieście. Ponieważ kończyła dyżur o ósmej, postanowiła iść do ojca prosto z pracy. W szatni wzięła prysznic, przebrała się w dżinsy, podkoszulek, obszerny sweter, który skutecznie maskował jej kobiece kształty, i włożyła na wierzch skórzany płaszcz, mogący równie dobrze należeć do mężczyzny. By zwiększyć jeszcze wrażenie „bezpłciowości”, taksówce wepchnęła włosy pod czapkę i postawiła kołnierz. Wysiadła trzy przecznice od rezydencji Bairda, przed dużym budynkiem na Trzeciej Alei - Na wypadek gdyby ktoś ją śledził, weszła do środka i zapytała portiera o pierwsze lepsze nazwisko. Zwlekała tak długo, jak się da - jo bez zwracania na siebie uwagi, potem zaś, klucząc uliczkami, ruszyła do domu Lionela. Zadzwoiła do drzwi dla służby i cierpliwie czekała, aż Thompson wpuści ją do środka.

- Choć raz chciałabym wejść tu frontowymi drzwiami - poskarżyła się, ściskając ojca na powitanie.

- Już wkrótce, kochanie. - Przytulił ją i ściszył głos. - Niedługo Jaime Bastido i pozostali zostaną schwytani, koszmar się skończy i znów staniemy się ojcem i córką.

Wypuścił ją z objęć i delikatnie pogłaskał po policzku, a potem żartobliwie pociągnął za ucho. Ten gest z przeszłości przypominał Amandzie, że cuda się zdarzają, że oto znów się odnaleźli. Gdyby tylko mogła uwierzyć w jeszcze jeden cud!

Zjedli obiad w bibliotece, gdzie czuli się swobodniej i bliżej siebie niż w nobliwej jadalni na dole. Pokój, wyłożony szlachetnym mahoniem, z półkami pełnymi książek w skórzanej oprawie, meblami w odcieniu głębokiej zieleni, tchnął atmosferą spokoju i zachęcał do kontemplacji.

Amanda z przyjemnością przyjęła propozycję napicia się wina. Opadła na fotel przy kominku i bez pośpiechu rozkoszowała się świeżością chłodnego sauvignon blanc. Lionel z uśmiechem patrzył, jak córka odpoczywa ze stopami opartymi na otomanie i najwyraźniej dochodzi do siebie. Z początku jego świat i styl były jej obce, czuła się nieswojo zarówno w rezydencji, jak i w cenionych przez niego miejscach. Przypomniawszy sobie, jaka wydawała się wtedy spięta: nie potrafiła roześmiać się swobodnie, bez refleksji, czy to wypada. Dzięki Bogu, tamte dni minęły!

- Zapytałbym, jaki miałaś dzień, ale mogę sobie wyobrazić, że okropny. Amanda drgnęła. Jedno z wezwań pochodziło z mieszkania, w którym znaleziono maleństwo zmalretowane przez przyjaciela matki. Mężczyzna, nafaszerowany propainą, zbił trzymiesięczne niemowlę, bo płacz dziecka przeszkadzał mu, gdy próbował odbywać stosunek z jego matką. Oczywiście bicie tylko wzmogło krzyki maleństwa, a wtedy rozwścieczony narkoman wrzucił je do gara z gotującą wodą. Matka, będąca też pod wpływem narkotyku, wystraszyła się i uciekła. Policję wezwał zaalarmowany awanturą sąsiad. Gdy pomoc nadeszła, kochanka nie było już w mieszkaniu, a dziecko nie żyło. Teraz Amanda próbowała znieczulić się winem.

- Nie skończyliśmy rozmowy o Tylerze Graysonie - zmieniła temat - Dlaczego moje pójście z nim na lunch tak cię poruszyło?

- Sam nie wiem - wyznał. - Może to zazdrość. - Ojciec uśmiechnął się, ale Amanda wyczuwała, że coś przed nią ukrywa. - Zapomnijmy o wczorajszym lunchu i zajmijmy się dzisiejszym obiadem. - Zapraszającym gestem wskazał na stół w drugim końcu pokoju. - No i chcę opowiedzieć ci o moim dniu. Nie obfitował w dramatyczne wydarzenia jak twój, ale z pewnością był bardzo interesujący.

Przy skromnym, lecz wyśmienitym posiłku składającym się z łososia z grilla i jarzyn gotowanych na parze omawiali spotkanie Lionela z Annie Hart.

- Szczerze mówiąc, twój instynkt zadziałał prawidłowo, coś tu jest nie w porządku - wyznał po chwili wahania. - Sam miał rację, upierając się przy sprawdzeniu jej.

Amanda w zamyśleniu przesuwiała kawałeczki jedzenia po talerzu. Miała nadzieję, że ojciec uzna, iż opętana syndromem programu ochrony świadka myliła się, a Annie Hart jest poza wszelkim podejrzeniem. Zgoda, by sprawdzano Annie poprzez kanały FBI, wydawała się jawną zdradą. Amanda nie miała wielu bliskich osób, i z wielkim żalem przerwałaby ich przyjacielski związek, jednak ważniejsza niż wszystkie inne potrzeba chronienia się była już jej drugą naturą. Lionel nie zwykł reagować pochopnie, ale dopóki nie zostanie ustalone ponad wszelką wątpliwość, że Annie nie zagraża jego córce, nie dbał o zranione uczucia tamtej.

- Sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej.

- Nic dziwnego, ojczy, działasz na bliźnich onieśmielająco - Amanda próbowała bronić przyjaciółki.

- Być może, ale naprawdę zaczęła się trząść dopiero wtedy, gdy wręczyłem jej formularze. Do tego momentu nie wyglądała na specjalnie przejętą. Zachowywała się swobodnie, trajkotała jak najęta. Przez chwilę milczał. - Wiesz, im dłużej się zastanawiam, tym bardziej uderza mnie myśl, że do tak niezaprzeczalnie bystrej dziewczyny jakoś dziwnie nie przystaje owo naiwne przekonanie, że ktoś sfinansuje całkiem niemałe przedsięwzięcie bez wzięcia pomysłodawcy pod lupę. - Po chwili uśmiechnął się, jakby ucieszyła go nowa myśl. - Zresztą może to i dobrze.

- Co masz na myśli?

Osoba na usługach mafii spodziewałaby się szczegółowego sprawdzenia i byłaby dobrze przygotowana.

- Może to ja postrzegam każdą sprawę w niewłaściwych proporcjach? Może Annie jest po prostu wspaniałą dziewczyną o dużym talencie, zdecydowaną urzeczywistnić własne marzenia?

- Cóż, oboje byśmy sobie tego życzyli, ale sprawdzić ją trzeba, wtedy będziemy spać spokojniej. - Lionel poklepał Amandę po ręce, jakby przypominając, że to twarda konieczność. - Mogę tylko powiedzieć, że jeśli twoja przyjaciółka okaże się w porządku, zamierzam sfinansować jej plany. Wbrew temu, co mi wytknęła, w pełni doceniam talent i motywację.

Amanda poczuła ucisk w gardle, jej oczy zwilgotniały.

- Dziękuję - szepnęła tylko.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Nie była to zdawkowa odpowiedź, choć nie sądził, by Amanda potrafiła w pełni ocenić, ile daje mu radości.

Od chwili gdy ponownie znalazła się w jego życiu, przesłoniła całość dotychczasowej egzystencji Lionela. Czasami wydawało mu się, że nie może już oddychać, nie myśląc o córce, nie wyobrażając jej sobie i nie zastanawiając się, gdzie przebywa i co robi. Szczęście, jakie mu przyniosła, wypełniało go młodzięcym entuzjazmem, wręcz uskrzydlało. Marzył o obsypaniu jej bogactwem, a powstrzymywanie się od urzeczywistnienia tego zamiaru wymagało wysiłku wręcz herkulesowego. Powściągliwość była mu zazwyczaj obca, jednak rozumiał, że otaczając córkę luksusem, zaspokoiłby tylko własną potrzebę dawania, gdyż Amanda najwyraźniej nie

należała do tych, którym posiadanie zapewnia szczęście. Marzyła tylko o spokoju, poczuciu bezpieczeństwa, swobodzie, o życiu bez ciągłych obaw i podejrzeń - o czymś, czego nawet on nie mógł jej ofiarować.

- Wszystko w porządku? - Milczenie ojca zaniepokoiło dziewczynę - dostrzegła, że jego oczy zwilgotniały.

- W najlepszym - zapewnił ją skwapliwie z uśmiechem - naprawdę. Z ulgą kiwnęła głową. Ona też rozmyślała o Annie i, niestety, miała więcej wątpliwości od ojca.

- Wzbudziła moje podejrzania wspominając o tobie, i wydawało mi się że wie zbyt wiele na twój temat, choć pozornie nie zna bliższych szczegółów. Niezależnie od tego, czy ma powiązania z Bastidem lub z nowojorskiej mafii, czy jej dopytywanie się o ciebie to zwykły zbieg okoliczności, uświadomiłam sobie, że staliśmy się nieostrożni, póki sprawa nie zostanie wyjaśniona, nie możemy się widywać.

- O nie! - Ojciec energicznie potrząsnął głową i uderzył pięścią w stół. - Nie pozwolę, by moje życie zdominowały cienie.

Dopiero teraz zauważyli stojącego w drzwiach Thompsona. Lionel krzyknął na niego ostro, aż stary lokaj poczerwieniał.

- Bardzo przepraszam, myślałem, że może państwo czegoś jeszcze sobie życzą. Amanda zastanawiała się, jak długo stał w drzwiach i ile usłyszał.

- Gdy czegoś potrzebuję, Thompson, to dzwonię. - Na widok nie-zwykłego poruszenia pracodawcy służący wycofał się pośpiesznie.

- Czy powinnam się tym martwić? - spytała, nie kryjąc niepokoju. Przetarł oczy, jakby chciał oddalić ogarniający całą głowę ból.

- Nie, nie sędzę - odpowiedział cicho, ze znużoną miną.

- Jak długo u ciebie pracuje?

- Dwadzieścia trzy lata - obliczył szybko. - Jest lojalny, Amando, Wiem, według ciebie każdego można kupić i nikt tu nie stanowi wyjątku, sędzę jednak, że Thompson jest lepszy od innych.

Miała nadzieję, iż ojciec się nie myli.

- Ilu masz ochroniarzy? - spytała, nieco zmieniając temat.

- Jest ich trzech: Bruno Vi tale, Al Reflin i Tony Kalandra. Bruno i Tony są u mnie od pięciu lat, na dobre i na złe, Al wprowadzie

przyszedł niedawno, jednak to eks - policjant, został dokładnie sprawdzony.

Uspokojona Amanda kiwnęła aprobowująco głową, Lionel nie miał jednakże wątpliwości, że wszyscy trzej mężczyźni raz jeszcze zostaną wzięci pod lupę.

- Wiem, niełatwo się z tym pogodzić - zniżyła głos na wypadek, gdyby Thompson czy ktoś inny kręcił się w holu, w pobliżu drzwi biblioteki - ale musisz zrozumieć, że tamci potrafią przekupić lub zastraszyć każdego i nie cofną się przed niczym. To bez znaczenia, że bezpośrednio nie miałeś związku z całą sprawą - jesteś byłym mężem Cynthii i pracowałeś wtedy w Nathanson & Spelling. Nie zapominaj o tym, bo oni pamiętają.

Lionel odwrócił wzrok, aby ukryć przed Amanda malujące się w jego oczach poczucie winy. Nie zapomniał o swoim małżeństwie. Ani o tym, co wydarzyło się w Nathanson & Spelling. Ani o swych związkach z tamtą sprawą.

- Kupiłem broń - oznajmił. Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na ojca, czekając na dalsze rewelacje. - Rzeczywiście, zazwyczaj w kwestii bezpieczeństwa polegamy na ochroniarzach, ale postanowiłem posłuchać twojej rady i nauczyć się bronić samemu.

- I jak ci idzie? - To znaczy...?

- Bierzesz lekcje posługiwania się bronią palną?

Przed kimś innym Lionel udawałby może, że jest zbyt skromny, by chwalić się osiągnięciami strzeleckimi, lecz córka zbyt wiele o nim wiedziała. Przecząco pokręcił głową.

- Co kupiłeś? - Starła się zachować obojętność i powstrzymać od krytyki, ale cała jej postawa wyrażała dezaprobatę.

- Dwudziestkędwójkę.

- Tę zabawkę na sobotni wieczór? - Patrzyła z niedowierzaniem.

- Czy wiesz, jak blisko przestępcy musiałbyś się znaleźć, by zrobić mu krzywdę?

- Wiem, wiem. Ale posłuchaj, jeżeli zostałbym nagle zaatakowany przez któregoś z ochroniarzy, to choćbym miał w kieszeni armatę, i tak byłbym bez szans. Zginąłbym, nie zdążywszy nawet sięgnąć po broń. Natomiast jeżeli napastnikiem jest ktoś obcy, wystarczy, żebym oddał jeden strzał, a moi ludzie zajmą się resztą.

Ojciec miał rację, ale Amanda nie zamierzała ustąpić.

- Wolalabym cię nauczyć, jak używać chiefa smith & wesson. Chief to trzydziestkaósemka, z jakby zadartą lufą, popularna wśród policjantów po służbie. Wprawdzie większość nowojorskich detektywów, łącznie z Amanda, wołała kaliber 9 milimetrów, półautomatyczną broń policyjną, chief jednak był wygodny, poręczny i łatwy do ukrycia. Amanda nosiła go zazwyczaj w kaburze na pasie, ale ów widok sprawiał, że Lionel czuł się nieswojo, więc tego wieczora pozostawiła broń w torebce na kanapie. Teraz wyjęła małe, śmiercionośne narzędzie ze stalową lufą i drewnianą, gładką kolbą.

- To coś dla ciebie - powiedziała kładąc chiefa na stole, przed Lionelem. - Można go bez trudu ukryć, a potrafi ocalić życie.

- Mam już coś takiego - przypomniał sobie, całkowicie zaskakując Amandę. - Dostałem go przed laty w prezencie. Znasz jednak moją Wersję do broni palnej - upchnąłem gdzieś ten rewolwer i postarałem się o nim zapomnieć.

- Możesz mi go pokazać?

Wstał i podszedł do biurka. Z zamkniętej na klucz szuflady wyciągnął starego smitha & wessona i położył na stole. Amanda popatrzyła z aprobatą. Prawdziwe cacko, z uchwytem inkrustowanym złotem.

W przeciwieństwie do nowoczesnej broni, jak choćby służbowego ty, automatu Amandy, ten rewolwer należał do innych, z nostalgią wspominanych czasów, gdy broń pojawiała się jedynie w westernach typu „zły kontra dobry”, a nie w tytułach codziennych gazet.

- Kto zadał sobie tyle trudu? - spytała, obracając rewolwer w dłoni i podziwiając ręczną robotę.

Po obu stronach kolby widniały inicjały ojca wyryte w złocie i wspaniale ozdobione wzorem przypominającym herb - w stylu Bata Master sona czy Billa Hickoka lub któregoś z bohaterów pionierskiej przeszłości Ameryki, niezbyt jednak pasującym do Lionela Bairda.

- Człowiek, który mi go podarował, kochał się w broni. Dzięki przeprowadzonej przeze mnie operacji finansowej stał się bardzo bogaty i chciał ofiarować mi wyjątkowy prezent. Jako prawdziwy syn Teksasu wybrał rewolwer. Inkrustacja jest dziełem najlepszego rytownika w kraju - spojrzał na Amandę, by zobaczyć jej reakcję -

falszerza odsiadującego piętnastoletni wyrok. Obydwoje roześmieli się, rozbawieni.

Amanda odbezpieczyła broń i obróciła bębenek. Ktoś, pewnie Thompson, zadbał o regularne oliwienie i czyszczenie śmiercionośnego narzędzia. Zważyła rewolwer w dłoni - jej trzydziestkaósemka miała kolbę z plastiku, była więc lżejsza. Ta tutaj miała natomiast dłuższą tradycyjną lufę. Amanda uniosła broń, skierowała w bok od Lionela i zmrużyła oko nad muszką.

- Masz do niego naboje? - zapytała. Wzruszył tylko ramionami.

- Nie wiedziałbym nawet, jakie - przyznał się lekkim tonem.

- Zdobędę je dla ciebie - obiecała, wciąż oglądając rewolwer. - Weź go do ręki. - Pokazała ojcu, jak należy trzymać broń. - Musisz p uchwycić wysoko, między kciuk a palec wskazujący, wtedy ręka leży równo z lufą i łatwiej jest mierzyć. - Lionel skinął głową, ale wydawał się spięty. - Nie kładź palca na spuście, tylko obok, a nie będzie wypadku

Z miną wyrażającą najwyższą niechęć, jakby Amanda podawała mu coś obrzydliwego, Lionel wziął swój rewolwer do ręki.

- Zawsze jesteś uzbrojona? - spytał, by ukryć zażenowanie z powodu własnej nieudolności, lecz także najwyraźniej niechętnie widząc obok siebie to, czego tak nie lubił.

- O tak, w myśl zasad regulaminu. Są pewne wyjątki, ale na pewno każdy policjant z Nowego Jorku, w mundurze czy w cywilu, zawsze nosi broń. - I oba trzymasz w domu?

- Mam jeszcze dwunastomilimetrowego remingtona. Lionel pobladł nagle.

- Dziwne - powiedział, odkładając rewolwer - myślałem, że postulanie się bronią jest instynktowne i jako mężczyzna, od razu będę wiedział, co z nią robić. Nie mówiąc o ekscytacji siłą, którą daje taki mały przedmiot. Tymczasem czuję się niepewnie.

- I bardzo dobrze. - Amanda schowała swego chiefa do torebki. - Broń może spowodować czyjąś śmierć, wystarczy nieznaczny ruch palcem - Jeżeli nie wiesz, jak się z nią obchodzić, mógłbyś zabić kogoś przypadkowo albo też sam się zranić. I właśnie dlatego razem spędzimy trochę czasu na strzelnicy. W końcu - uśmiechnęła się zachęcająco - wiedza to potęga. Lionel odpowiedział córce uśmiechem, zaraz jednak westchnął.

- Zmieniłaś moje życie w wielu dziedzinach, droga Amando, w każdej na lepsze. W tej sprawie może okazać się inaczej.

- Rozumiem i szanuję twoje wątpliwości; przecież prawie każdego dnia mam do czynienia ze zniszczeniem, jakie czyni broń. Nie zamierzam zrobić z ciebie rewolwerowca z Wall Street, lecz trzymając coś takiego w domu, Lionelu, powinieneś umieć się z tym obchodzić.

- W porządku. Ale wierz mi - ojciec miał nadal powątpiewającą minę - mogę spędzić i sto godzin na strzelnicy, a i tak nie przyzwyczaję się do strzelania.

O szóstej Lloyd Franks zaczął już się obawiać, czy przypadkiem cztery spacerujące po sali kobiety nie będą jedynymi zwiedzającymi wystawę. Z wybiciem ósmej jednak w Chelsea pojawił się taki tłum amatorów nowinek artystycznych, że Lloyd ze strachem myślał, czy dla wszystkich starczy wina i... miejsca. W galerii pojawiły się nowojorskie znakomitości, a zaprezentowane prace zostały sprzedane co do jednej.

Fotografie wzbudziły zachwyt - Lloyd Franks miał wyjątkową zdolność odkrywania talentów - lecz tym razem nie wysoki poziom prac czy zachęcające do inwestycji nazwiska artystów przyciągały kupujących - to eksponaty zdawały się wydzielać mesmeryczne fluidy. Każda fotografia prezentowała postać - jedną, jedną, przyciągającą uwagę kostiumem, dekoracją, pełną zadumy miną. Zestawione razem tworzyły mozaikę społecznych mitów i indywidualnych cech ludzkich; prowokowały oglądającego do zastanawiania się nad własną psychę, niepokoiły intymnymi pytaniami, na jakie odpowiadamy każdy z osobna jedynie w samotności. Od frontu, po jednej stronie pierwszej salki, fotograficy o liczących się nazwiskach, jak Sophie Calle, Nan Goldin i Cindy Sherman prezentowali cykl „Kim jestem”. Po drugiej rozwieszono prace debiutantów. Jak Lloyd przypuszczał, cztery „Lustrzane odbicia” Anonima budziły największe zainteresowanie. Fotografie te, podobnie jak prace sławnych artystów, były wysokiej klasy autoportretami. Różnica leżała w sposobie ujęcia: zdjęcia Anonima jakby wyłaniały się z mgły zadumy - natomiast sztywne, wyraźnie zarysowane „Portrety historyczne” Cindy Sherman zdawały się, wskutek żartobliwego potraktowania przez autorkę muzealnych arcydzieł, podawać w wątpliwość autorytet starych mistrzów, a

„szczerze do bólu" ujęcia Nan Goldin zwracały się do widza z pytaniem: „Czy odważysz się potępić mnie i życie, jakie wiodę, nie próbując się zastanowić nad samym sobą?"

Kobiety na portretach Anonima patrzyły na swe odbicie w lustrze jak na kogoś zupełnie obcego. Twarze, obie zamglone, pytały jakby: „Która z nas jest odbiciem, która istotą z krwi i kości, która mirażem, a która rzeczywistością?". Fotografie łączyło jedno: kobieta na każdym zdjęć - i prawdopodobnie także autorka - najwyraźniej marzyły, by wreszcie móc być sobą i nikim innym.

Zafascynowany Fowler wpatrywał się w prace Amandy. Nie oczekiwał dzieł tak wysokiej klasy, a przede wszystkim tak doskonale oddających osobowość artystki. To prawda, że dziewczyna, ta z krwi i kości, wydawała mu się niezwykle tajemnicza, lecz składał to na karb jej profesji. Detektywi zazwyczaj reagowali nieufnie na wszelkie próby zbliżenia i odgradzali się od reszty ludzi pancierzem skrytości. Ale portrety ukazywały kobietę chorą na chroniczny brak zaufania, zdecydowaną na zawsze pozostać enigmatyczną i zagadkową w świecie nieznoszącym sekretów oraz domagającym się otwartości. I choć najwyraźniej kamuflaż własnego ja stanowił ukryty motyw wystawy, Jake podejrzewał, że powodem, dla którego przed pracami Amandy gromadziły się największe tłumy, było coś innego.

Jej bohaterki pochodziły z epoki, w której kobiety uważano za niezwykle delikatne, a chociaż strój i akcesoria, w jakie je wyposażono, pozwalały zachować ów mit, tamte damy nie sprawiały wrażenia istot słabych i wymagających opieki. Przeciwnie, tchnęły, choć subtelnie, pewnością siebie, dając do zrozumienia, że potrafią same o siebie zadbać, a rycerz na białym koniu nie jest im potrzebny. By wyjść cało z opresji, użyją maski, wybiegów, wykrętów i wszelkich kobiecych sztuczek. Nic dziwnego, że tyle kobiet zachwyca się tymi zdjęciami, pomyślał Jake. Przypuszczał, że czują duchową więź z bohaterkami Amandy. Większość z nich posiada władzę, a jednak też ucieka się do stroju i makijażu, by stworzyć jak najlepszy wizerunek własnej osoby. Im także udaje się przetrwać dzięki sprytnym pomysłom.

Jake rozumiał przesłanie zdjęć Amandy - ukryć się za wykreowanym przez siebie obrazem własnej osoby. Czynił to przecież każdego dnia, jak zapewne większość ze zgromadzonych na wystawie osób. Byli tacy jak ich odbicie w lustrze, wizerunek na

wynos, dla innych. To, co pozostało w nich autentycznego, niczym nieprzysłonięta dusza, ukazywało się tylko za bezpiecznie pozamykanymi drzwiami. Jake, ten na zewnątrz, zuchwały, pewny siebie prywatny detektyw to silny mężczyzna, który nigdy i niczego się nie obawiał. Lęk przed od. rzuceniem i brakiem miłości ukrywał bowiem głęboko. Tamtego wieczora, gdy Amanda przyszła do niego na obiad, opowiedział jej o sobie znacznie więcej, niż zamierzał, tymczasem ona milczała, nie odsłoniwszy nawet rąbka własnej tajemnicy. Zgodzili się, że przeszłość to prolog terażniejszości, ale omawiali to w kontekście jego życia i zniknięcia Archiego. Dziewczyna z powodzeniem unikała mówienia o istocie ukrytej za policyjną odznaką, nie wspominając słowem o latach, które ukształtowały ją jako kobietę.

Zainteresowanie Jake'a detektywem Amanda Maxwell wzrosło jeszcze bardziej, gdy wszedł do drugiego pomieszczenia galerii. Ze środkowej ściany na wchodzących patrzyło z pół tuzina fotografii, a wszystkie przedstawiały sceny z życia, nazwane, jakże adekwatnie: „Bez nadziei”. Wisiały bez ram, doskonale oddając ponure wrażenie ludzkiej izolacji. Jake, od dawna przekonany, że wie, czym jest życie na ulicy, teraz, przed tymi fotograficznymi dokumentami uświadomił sobie, jak bardzo rysunek kreślony rozumem różni się od obrazu namalowanego uczuciem - przez Amandę.

Stał ogarnięty dotkliwym smutkiem, żalem za straconym życiem tych istot „Bez nadziei”, myśląc, jakie mogło ono być i czego owi ludzie nie dokonali. Przesuwał wzrokiem od jednej fotografii do drugiej, coraz mocniej podekscytowany, zaniepokojony dręczącym uczuciem, że rozpoznaje kogoś. Jego praca polegała na odnajdywaniu zaginionych ludzi, ale zawsze ktoś zlecał mu to zadanie. Bohaterów zdjęć Amandy nie szukał nikt. Dla nich nie pozostało nadziei - niekochani przez bliskich, zapomniani przez sąsiadów, odrzuceni przez społeczeństwo. Nieznani, bez twarzy, nędznie wegetowali w zapomnianych przez Boga i ludzi miejscach. Fotografie w perfekcyjny sposób niosły przesłanie: gdyby nawet ci ludzie patrzyli prosto w oko kamery, i tak pozostałoby anonimowi. Bez nadziei...

Jake poczuł dreszcz, gdy nagle z przerażeniem uświadomił sobie, iż jego ojciec mógł zostać jednym z nich. Przez chwilę stał z opuszczoną głową, pogrążony w smutku.

- Zaczynałam się obawiać, że nigdy nie odnajdę cię w tym tłumie. - Obok stała Hallie Brendel, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, w pozie wyrażającej niezadowolenie. - Przyszło ci chociaż do głowy nas poszukać?

- Szczerze mówiąc, nie. - Jake nie ukrywał irytacji.

Senator Chisolm czeka w tamtej sali. - Ton dziennikarki sugerował że Jake powinien był zauważyć ich przybycie. - Jeszcze chwilę. - Z wielką niechęcią dał się oderwać od zdjęć Amandy - Musisz sprawiać tyle trudności? - Starła się mówić cicho. - Próbowałam umówić was na lunch, ale wciąż byłeś zajęty. - Uniosła oczy w udanym zdumieniu. - Jakby senator USA nie miał nic lepszego do roboty, niż czekać, aż Jake Fowler znajdzie dla niego trochę wolnego czasu. Prosiłam, byś wpadł na cocktail, ale nie. ty musiałś pójść na wystawę. Przekonałam więc senatora i panią Baird, aby tu się z tobą spotkali - Czekają już ze dwadzieścia minut. Gdzie, u diabła, się podziewałeś? - Wydawało się, że Hallie zaraz tupnie nogą.

- No dobrze, już dobrze. - Zrezygnowany, Jake przeciskał się za nią do pierwszej sali, gdzie John Chisolm i Pamela Baird, wymieniając uściski dłoni, rozmawiali przyjaźnie z przechodzącymi osobami. Zbliżając się, Jake obserwował oboje. Senator, z miną pewną siebie, właściwą tylko ludziom, którzy na co dzień mają wokół siebie bogactwo i władzę, zdawał się i przy tej okazji oczekiwać publicznej aprobaty lub deklaracji poparcia. Pani Baird zaś wyglądała na mniej zadowoloną i nie tak pewną swego prawa do bycia w centrum uwagi. Pragnęła tego gorąco i Jake nie miał wątpliwości, że ta kobieta zrobi wszystko, by nie dać się odsunąć na bok, ale wyraźny w jej spojrzeniu niepokój pozwalał przypuszczać, iż w głębi duszy czuje się zagrożona.

- Przepraszam. - Hallie ciągle odsuwała kogoś ze swej drogi. - Senatorze Chisolm, pani Baird, - to jest Jake Fowler.

Panowie uścisnęli sobie dłonie i zaczęli omawiać zlecenie dla Jake'a, a gdy się okazało, że nie mogą porozmawiać w spokoju, wyszli na zewnątrz. Hallie pragnęła im towarzyszyć, nie mogła jednak zostawić Pameli Baird samej. Niestety, jej wyczucie chwili, a może dobre maniere, nie zostały odwzajemnione. Gdy tylko przeszły do drugiej sali, Pamela dostrzegła Lionela i, nie tłumacząc się, zostawiła reporterkę samą.

- Czego chcesz, Pamelu? - Lionel nawet nie zadał sobie trudu, by się odwrócić. Rozpoznał żonę po zapachu perfum.

- Chcę wiedzieć, kiedy wreszcie podpiszesz dokumenty.

- Te fotografie są niesamowite.

Nie odrywał oczu od zdjęć Amandy. Zachwyciły go, zwłaszcza jedno - młoda dziewczyna drzemiąca na materacu w jakimś brudnym zaułku. Nie potrafił wyobrazić sobie, jak to jest, gdy się całkowicie zależy od natury - ludzi i przyrody. Amanda najwyraźniej potrafiła się w ową sytuację i to sprawiło mu ból.

- Bardzo prowokacyjne - przyznała Pamela, po raz pierwszy zwracając uwagę na zdjęcia. Dostrzegła w nich coś znajomego, ale nie chciało jej się teraz szukać w pamięci, gdzie mogła widzieć je wcześniej. - zadałam ci pytanie, Lionelu, więc bądź tak dobry i udziel mi odpowiedzi

Obrzucił ją spojrzeniem tak chłodnym, że mogłoby zmrozić otaczające ich powietrze.

- Podpiszę te dokumenty, gdy zostaną sformułowane tak, jak sobie życzę.

- Jesteś bez serca.

- A ty nie znasz miary. Podpisałaś w każdym punkcie prawomocną umowę przedślubną. Teraz zorientowałaś się nagle, że zrobiłaś zły interes, więc chcesz ją renegotjować, ale nic z tego. Dla mnie, a z pewnością i dla sądu, byłaś całkowicie przy zdrowych zmysłach, akceptując wtedy ów kontrakt, i on obowiązuje.

Pamela poczerwieniała z urazy. Zaczęła protestować, aż Lionel stracił cierpliwość.

- To nie mnie spieszno do ponownego małżeństwa - zauważył. - Pomyśl o tym następnym razem, gdy przyjdzie ci do głowy dręczyć mnie nieustającymi żądaniem. Odwrócił się tyłem, nie pozostawiając Pameli wątpliwości: nawet gdyby krzyczała mu prosto do ucha, nie zareagowałby. Urażona, zebrała resztki godności, z udaną nonszalancją odrzuciła głowę w tył i odeszła. Na widok Hallie rozciągnęła wargi w uśmiechu. Może nie uda jej się wyrównać rachunków z Lionelem w sądzie, załatwi go jednak w oczach opinii publicznej. Annie obserwowała ich wszystkich z boku. Zastanawiała się nad przyjściem na wystawę - ryzykowała spotkanie twarzą w twarz z Lionelem Bairdem - i zdecydowała, że nie może jej tam zabraknąć. W końcu miała udział w przygotowaniu tego wieczora. No i przecież

to prace jej przyjaciółki wystawiano, a Amanda starała się coś dla niej zrobić. To nie wina Amandy, że Annie nie przygotowała się do tamtego spotkania. Po owej nieszczęsnej wizycie Lionela Bairda widziały się wiele razy. ale poza zdawkowym: Jak poszło? I co o nim sądzisz? - niewiele o tej sprawie rozmawiały. Obie jak gdyby zawarły niepisaną umowę: zostawiają temat, dopóki nie będą miały czegoś konkretnego do przedyskutowania. Minęło dziesięć dni i nie było żadnego słowa, żadnego znaku od Lionela Bairda

Gdy zauważyła go w tłumie, schowała się w grupie, która, jak wie - działa Annie, nie mogła wzbudzić zainteresowania potentata finansowego. Był zbyt poważną osobistością, by przyglądać się ubranym na czarno młodym ludziom z tatuażem i kolczykami wpiętymi w różne części twarzy. Schowana za nimi, obserwowała wielkiego Lionela Bairda. patrzyła, jak zatrzymuje się przed każdą fotografią Amandy, pełen pokory i podziwu, jakby stał przed świętą ikoną, a nie fotograficznym komentarzem do tragedii samotności.

Choć uważała go za mężczyznę niezbyt zachęcającego do bliższej znajomości, cieszyła się, że Amanda spotkała tego człowieka na swej drodze. Jego bogactwo mogło nie tylko spełniać czyjeś marzenia, ale także, do pewnego stopnia, przegonić upiory. A sądząc po dziwnym ostatnio zachowaniu przyjaciółki, koszmary nawiedzały ją często. I mimo ich nieudanego spotkania, oraz prawdopodobieństwa, że potentat giełdowy odrzuci jej prośbę o poparcie, Lionel Baird - człowiek zupełnie inny niż wszyscy, których znała, zaintrygował ją. Sama Annie pochodziła ze skromnego środowiska i zdawała sobie sprawę z tego, że jej wyobrażenia o życiu na wyższych szczeblach drabiny społecznej pełne są stereotypów. Interesowało ją, czy ktoś taki jak pan Baird chodzi do kina, czy tylko bierze udział w głośnych wydarzeniach kulturalnych. I czy ogląda komedie w telewizji, czy ogranicza się jedynie do strony z gazetą. Czy jest namiętny, czy kocha się pełen rezerwy, czy jest otwarty, czy też skrywa swe prawdziwe uczucia.

Nie po raz pierwszy Annie czuła wyrzuty z powodu własnej nieuczciwości i postanawiała wyznać prawdę. Wiedziała, że musi zapłacić za to, co zrobiła, ale chyba nie będzie jej gorzej niż teraz. A może, pomyślała z nadzieją, prawda sprawi, że wreszcie poczuje się swobodniej. Cóż, nie dowie się, dopóki nie spróbuje.

Lionel dostrzegł Annie, gdy tylko weszła do galerii i Lloyd Franks Podszedł do niej z wylewnym powitaniem. Widział, jak rozgląda się i znika w tłumie przybyszów z Village. Pewnie sądziła, że znajdzie wśród nich dobrą kryjówkę. Ale nic z tego, jej towarzysze przedstawiali sobą obraz wystudiowanego znużenia, Annie natomiast, i to mu się w niej najbardziej podobało, najwyraźniej nie знаła znaczenia słowa „nudny”. Biły od niej entuzjazm i niezaspokojona ciekawość oraz nieustanna potrzeba otaczania się przedmiotami i ludźmi, którzy ją uszczęśliwiali. Nie spodobała mu się tylko pewna nikła fałszywa nutka, jakieś nieokreślone przeczucie, że ta dziewczyna kłamie. Z ulgą przyjął wiadomość informacji, na które czekał, wkrótce nadejdą, jednak myśl, że jedyna przyjaciółka Amandy mogłaby okazać się jej ukrytym wrogiem, napępiała go wielkim niepokojem. W życiu często miewał do czynienia z wilkami w owczej skórze, ale oszuści nastawiali tylko na pozycję i majątek Lionela, chcieli go widzieć nic nieznaczącym i biednym, a niekoniecznie martwym. Nagle poczuł, że nie może oddychać tym samym powietrzem co Annie Hart. Odwrócił się i ruszył do drugiej sali, gdzie podszedł do niego Tyler Grayson.

- Lionelu - powiedział, wyciągając dłoń na powitanie - nie spodziewałem się ujrzeć tutaj ciebie.

Lionel przywitał się i pamiętając, że jego córce zależy na tym mężczyźnie, uśmiechnął się przyjaźnie.

- Lubię zaskakiwać. Prawdę mówiąc, jestem fanem fotografii już od kilku lat. A ty?

- Trudno czuć się inaczej na widok tak doskonałych prac - odrzekł Tyler. Wskazał na „Lustrzane odbicia” Amandy. - Niesamowite, nie sądzisz?

Baird skinął głową, powstrzymując chęć wyrażenia zachwytu dla talentu artysty. Zapytał Tylera, jak według niego wypadają zdjęcia Anonima w porównaniu z pracami Cindy Sherman i zachęcał młodego człowieka do mówienia, by móc przyjrzeć mu się bliżej. Status ojca był dla Lionela czymś całkowicie nowym, niełatwo więc szło mu w sprawach, jakie inni ojcowie, mający bliski, nieprzerwany kontakt z córkami, rozwiązywali bez trudu, kierowani instynktem. Ponieważ jednak kochał Amandę, nic, co jej dotyczyło, nie mogło być dlań zbyt trudne.

Chociaż miał pewne wątpliwości dotyczące Tylera Graysona, starał się zapomnieć o wszystkim, co dotyczyło ich zawodowych relacji, i patrzeć na niego jak ojciec na adoratora córki. Ten młody mężczyzna - przystojny, świetnie ubrany i pełen subtelnego uroku, dżentelmen w każdym calu - sprawiał wrażenie niemal chodzącej doskonałości, może poza brakiem poczucia humoru, i niewątpliwie zasługiwał na miano atrakcyjnego. Gdyby Lionel mógł rozważać wyłącznie ogólnie postrzegane cechy', uznałby kandydaturę Tylera za bardziej niż do przyjęcia. Ale Lionel znał inny wizerunek wspaniałego Graysona. Wiedział o jego wybujałej ambicji i skłonności do koncentracji na jednym tylko celu, a to po doświadczeniach własnego życia, uznał za minus. Wiedział także, że Tyler potrafi okazać niczym nieusprawiedliwiony upór, wszelką krytykę przyjmuje jako osobistą zniewagę - kolejny minus ocenie Lionela. Ten młody człowiek był zdolny, Baird musiał mu to przyznać, jednak wybitna inteligencja nie gwarantowała mu spokojnego życia. Wystarczy, że ktoś sprzeciwi się Graysonowi i to w słusznej sprawie. Nawet wielki prezes Baird, zazwyczaj upierający się przy swoim potrafił czasami przyznać do błędu. Ze dwa razy poszli razem na lunch, gdy Lionel chciał lepiej poznać Tylera, mając nadzieję, że jeśli się do siebie zbliżą, będą mogli sprawniej współdziałać. Nic z tego! Tyler okazał się wyjątkowo skryty i z największą niechęcią mówił o czymkolwiek poza sprawami firmy. Lionel nie dawał za wygraną, ale Gray - son ucinał wszelkie pozazawodowe wątki, jak rodzina, przyjaciele, życie towarzyskie czy hobby, dając jasno do zrozumienia swemu szefowi, że jest tylko pracownikiem, a nie kimś, kto w przyszłości mógłby zostać kolegą czy przyjacielem. Jeżeli ukrywał jakieś błędy młodości, wstydził się rodzinnych powiązań, czy próbował dowieść określonych racji nie - akceptującemu go ojcu, kochance, która go porzuciła, czy też światu w ogóle - było to wyłącznie jego sprawą i jego problemem. Byle nie miało wpływu na pracę i osiągnięcia zawodowe - bo wtedy i tylko wtedy życie prywatne podwładnego dotyczyłoby także Lionela Bairda.

- A przy okazji, z kim jadłeś lunch w „Water Club”? - spytał Lionel z nadzieją, że pytanie zabrzmiało całkiem niewinnie. - Śliczna dziewczyna! Młody człowiek zawahał się; najwyraźniej skrytość walczyła w nim z potrzebą dowartościowania się w oczach

pracodawcy. Lionel sam nie potrafiłby powiedzieć, jaką wolałby otrzymać odpowiedź.

- Tak się składa - zaczął Tyler powoli - że to właśnie ona zrobiła te niesamowite fotografie. Niestety pragnie pozostać anonimowa, więc nie mogę ci powiedzieć, kim jest.

- Naprawdę? - Lionel udał zdziwienie. Pogratulował w duchu Graysonowi znalezienia sposobu, by się pochwalić, nie zdradzając czyjegoś zaufania. - Cóż, następnym razem, gdy ją spotkasz, proszę, powiedz jej, że zdobyła jeszcze jednego adoratora.

- Nie omieszka. - Tyler, kryjąc zadowolenie pod maską obojętności, skinął głową. - Jeżeli pozwolisz, pójdę zobaczyć resztę wystawy. Do zobaczenia jutro. Kilka chwil później Lionel zauważył, jak jego pracownik opuszcza galerię. Brzęk otwieranej kasy tak głośno rozbrzmiewał w głowie Lloyda, & Franks obawiał się, iż ów hałas słychać we wszystkich pomieszczeniach wystawowych. Sprzedano komplet fotografii - trzy kupił Lionel Baird. Ponieważ wszechmocny pan Baird nigdy dotąd nie zaszczylił swą obecnością galerii, Franks chciał odnaleźć finansistę i wylewnie mu podziękować. Bogatych sponsorów nie spotyka się na co dzień!

- Zapomniałem zapytać, panie Baird, czy życzy pan sobie jakąś konkretną porę dostarczenia dzieł?

Każda między dziewiątą a piątą odpowiadała Lionelowi.

- By upewnić się, że wszystko jest jak należy, zamierzam dopilnować tego osobiście - ciągnął Lloyd. Oglądanie sławnych rezydencji było jego hobby. Słyszał o miejskim domu Lionela i nie mógł się doczekać, kiedy go zobaczy. Lionel pogardzał przesadną uniżonością, ale Lloyda polubił, więc powstrzymał się od ostrej odpowiedzi. Wskazał na jedno ze zdjęć Amandy, z serii „Bez nadziei”.

- Sprzedane czy zarezerwowane?

Fotografia wzruszała, przedstawiając bezdomnego, zwróconego plecami do aparatu. Głowę schylał pod ciężarem losu. Ubrany w podarty płaszcz i pognieciony kapelusz typu fedora, niósł skórzaną teczkę, wyszukując sobie drogę wśród pustych puszek i butelek po alkoholu. Biznesmen, którego dni dawno minęły. Kiedyś szczęście go opuściło, prawdopodobnie bezpowrotnie, jednak była odeń nakazująca szacunek godność. „Dzięki miłosiernemu Bogu” - głosił podpis pod fotografią.

- Sprzedana! - rozległ się męski głos.

Lionel odwrócił się i ujrzał młodego człowieka, w typowym stroju a la Chelsea - czarne na czarnym - w tym przypadku ze skóry i wełny.

Lloyd Franks nerwowo pokręcił głową, starając się oszacować poziom irytacji pana Bairda. Pośpiesznie dokonał prezentacji.

- Panie Baird, to Jake Fowler, dobry przyjaciel galerii i nabywca tego akurat zdjęcia z cyklu „Bez nadziei”. Jake, to pan Lionel Baird.

Obaj mężczyźni znali się już ze słyszenia i obaj tak samo próbowali to ukryć.

- Jake jest prywatnym detektywem, trochę dla mnie pracował - wyjaśnił Lloyd.

- Wspaniała robota, jeżeli już o tym mowa.

- Zwykle odebranie długu - wyjaśnił Jake.

Lionel wykrzywił usta w uśmiechu. Potrafił zrozumieć, dlaczego ten mężczyzna pociąga Amandę; to człowiek odważny, ale nie cwaniak.

- Czy to oznacza, że mogę się zbudzić któregoś ranka i zobaczyć pan kryjącego się w krzakach przed moim domem?

- Tylko wtedy, jeżeli nie spłaci pan należności.

- Jest pan kolekcjonerem, panie Fowler? Ten roześmiał się głośno.

- Ależ skąd! - odrzekł z całą swobodą, nie próbując zrobić na nikim wrażenia.

- Więc co skłoniło pana do kupna tej fotografii, jeżeli mogę spytać? - Lionel był ciekawy, czy detektyw wspomni o swej znajomości z Amandą.

Podobnie jak przedtem Tyler, Jake też się zawahał, jednak z zupełnie innych powodów. Starał się zawrzeć olbrzymie emocje w kilku przyjaznych słowach.

- Powiedzmy, że przyszedłem pod wpływem impulsu.

- Dobrze wyjaśnienie - przyznał Lionel. Nie uszedł jego uwagi cień zasnuwający oczy tamtego i nagłe zagryzienie warg. - Ten fotograf to z pewnością ktoś wielce wrażliwy, nie sądzi pan?

Jake przypatrywał się fotografii.

- Kimkolwiek jest, musiał sam tak żyć. Ukazuje specjalny rodzaj samotności, surowej i okrutnej. Nie można jej pojąć, jeżeli się jej nie doświadczyło. Fowler najwyraźniej wycofywał się w inny czas i

przestrzeń. Lionel domyślał się, dokąd, i żal mu się zrobiło, że sam do tego doprowadził.

Na szczęście ktoś pomachał do Jake'a i oderwał go od niedobrych myśli. Ale cóż, dłonią machała przystojna blondynka, stojąca obok Pameli Baird i Johna Chisolma. Lionelowi wydawało się, że uśmiech Fowlera stał się trochę wymuszony. Senator skinął głową w ich stronę. Twarz Pameli nie zmieniła wyrazu. Lionela zaciekało, kim jest owa blondynka i co robi obok jego żony i Chisolma, lecz nie zamierzał pytać Fowlera, zwłaszcza w obecności Lloyda Franksa. Odsunął się i zapytał właściciela galerii:

- Jak długo potrwa wystawa? - a potem przez kilka minut wypytywał o szczegóły dotyczące sprzedaży. Gdy blondynka, Pamela i Chisolm odeszli, zwrócił się do młodego detektywa: - Miło mi było pana poznać, Jake, życzę miłych chwil z fotografią.

- Nawzajem, panie Baird. - Jake uściśnął wyciągniętą dłoń finansisty. Patrzył za odchodzącym i podziwiał jego opanowanie. Spodziewał się pytania, skąd zna Pamelę Baird, dlaczego pozdrawiał senatora Chisolma i kim jest towarzysząca im blondynka, przecież Lionela na pewno zaciekał ten niecodzienny układ. A mężczyźni typu Bairda zazwyczaj nie pozwalają, by ich ciekawość pozostała niezaspokojona. Jeżeli chcą coś wiedzieć, zadają pytanie i oczekują odpowiedzi. Wielki człowiek jednak milczał, czym zaskoczył i zaciekał Fowlera.

Dyżur Amandy kończył się o drugiej nad ranem. Była to zła noc - jak zawsze, gdy ofiarami przestępstw padały dzieci. Tej nocy pracowała w trzech miejscach zbrodni. Kłótnia członków gangu spowodowała przypadkową śmierć, gdy zabłąkany pocisk wpadł przez okno i zabił śpiące w kołysce dziecko. Potem było zabójstwo połączone z samobójstwem: mężczyzna, wyprowadzony z równowagi rozpadem swego małżeństwa i romansem żony, wpadł do mieszkania z nabitym obrzynem i zastrzelił swą byłą, jej kochankę i trójkę dzieci, w wieku od sześciu miesięcy do czterech lat. Potem zaś sam się zastrzelił.

Najgorsza okazała się ostatnia zbrodnia: czterech nastolatków, pod wpływem dużej ilości propainy, dokonało satanicznego mordu na sześciolatku. Po zbiorowym gwałcie naszpikowali dzieciaka narkotykami, potem, w podziemiach pustego domu w East Village położyli go na zalanym moczem łóżku, wyłupili mu oczy, na piersi

wyrznęli brzytwą pentagram, na końcu zaś wysmarowali zmasakrowane ciało woskiem i krwią kurczaka. Lekarz sądowy miał dopiero ustalić przyczynę zgonu, ale sądząc po krwi zaschniętej wokół nosa i piany w okolicy ust, Amanda przypuszczała, że dziecku zaaplikowano tyle propainy, iż zmarło, nim zdołało poczuć ostrze. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że modli się, by tak właśnie było.

Tej nocy pracowała z Pete'em Doyle'em. Wchodząc do windy w gmachu komendy, milczeli oboje. Dość czasu spędzili już na obrzucaniu obelgami społeczeństwa, wychowującego dzieci zdolne do zrobienia czegoś tak strasznego innym dzieciom. Dla Pete'a noce takie jak ta były szczególnie trudne. Rozwiedziony, żył samotnie, ale powszechnie wiadano, że uwielbia nad życie dwójkę swoich dzieci. Amanda zastanawiała się, jak kochający ojciec mógł znieść to, co właśnie widzieli.

- Naszym zadaniem jest znalezienie dowodów pozwalających skazać łotrów, którzy to zrobili - powiedział z niezwykłą powagą. - Jeżeli wykonamy robotę jak należy, znikną z ulicy, zamknęci do klatki, tam - gdzie ich miejsce. - Popatrzył na Amandę oczami przypominającymi spojrzenie czujnego psa - uważnie i bezlitośnie. - Wtedy nie będą mieli szansy skrzywdzić moich dzieci.

Gdy wyszli z windy, ich nastrój oddawało ponure, ciemne światło korytarza. W ciszy budynku kroki obojga wzbudzały głuche echo. Amanda pograżyła się w myślach do tego stopnia, że prawie utraciła kontakt z rzeczywistością. Dopiero gdy Pete trącił ją w ramię, dostrzegła stojącego przy drzwiach Tylera.

- Pomyślałem sobie, że może będzie ci miło, jeśli odwiozę cię do domu - zwrócił się do Amandy, uprzejmie skinąwszy głową jej partnerowi.

- Świetny pomysł.

Jej głos brzmiał tak beznamiętnie, że Grayson zastanawiał się, czy nie żartowała. Nie wyglądała, na co prawdę mówiąc miał nadzieję, na zachwyconą jego przybyciem. Była znużona i jakaś taka wyblakła.

- Ciężka noc? - zapytał. Wymienili z Pete'em spojrzenia.

- Można by tak to ująć. - Lakoniczność odpowiedzi jeszcze pogłębiła wątpliwości Tylera co do słuszności jego decyzji.

- Nie chciałem wam przeszkadzać. Amanda przerwała napięcie, a serdeczny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Pete, to mój dobry znajomy, Tyler Grayson. - Tyler odwzajemnił uśmiech i poczuł się swobodniej. - Tyler, to mój ulubiony partner, Pete Doyle. Pete wyciągnął dłoń do przybyłego, patrząc spod oka na Amandę.

- Zawsze wiedziałem, że wariujesz na moim punkcie, Max. - Odwrócił się do Graysona i konspiracyjnym szeptem, jak „facet do faceta”, powiedział: - Ona się nie przyzna, ale w głębi serca - mocno uderzył się pięścią w pierś - ja to wiem.

- Szczęściarz z ciebie. - Tyler zaśmiał się, rozbawiony specyficznym poczuciem humoru partnera Amandy.

Wyszli razem z budynku, wymienili kilka uprzejmości i pożegnali się na ulicy. Pete ruszył w stronę parkingu, Tyler zaś poprowadził dziewczynę do czarnego bmw, zaparkowanego przy chodniku.

- Do jutra, Max. - Pete pomachał im na pożegnanie. - Miło było cię poznać, Tyler.

Usłyszała jakby kpinę w głosie Pete'a, wypowiadającego imię jej towarzysza - zbyt wyszukane dla Doyle'a, który wołał jednosylabowe jak Bob, Phil, Tom czy... Max.

- Właśnie skazałeś mnie na dwa tygodnie bezustannych docinków - oznajmiła, gdy Tyler otwierał przed nią drzwiczki.

- Wygląda na całkiem nieszkodliwego.

Dopóki nie jesteś jednym z łotrów, którzy według niego powinni zostać skreśleni z listy istot ludzkich, pomyślała. Nie mogła zapomnieć wyrazu twarzy Pete'a, gdy patrzył na małego chłopca, leżącego bez życia na brudnym materacu.

- Złapiemy drani, którzy to zrobili - syknął - odpowiedzą za to. Gdy sadowiła się na siedzeniu bmw, widziała jak Pete wyjeżdża swym ośmioletnim subaru. Mijając ich, popatrzył na Amandę, uniósł brwi, ściągnął wargi i wysunął zaczepnie brodę. „No, no!”, zdawał się mówić.

Zaśmiała się cicho. Dostanie jej się za to bmw!

Tyler włączył silnik, odwrócił się do dziewczyny i spojrzał jej w oczy.

- Prosto do domu? Może masz ochotę na kawę lub kieliszek wina? A może wolisz spędzić noc ze mną? - Patrzył czule, zapraszająco. - Jedna z powyższych propozycji albo też wszystkie?

- Nie chcę jechać do domu - odrzekła. - Wino brzmi rozkosznie i zachęcająco.

- Zamilkła, nie po to, by się z nim przekomarzać, lecz by nie poddać się nastrojowi intymności. Dziś jednak potrzebowała czegoś, co wróci jej radość życia i upewni, że na świecie oprócz brzydoty i okrucieństwa jest coś jeszcze.

- Podobnie noc z tobą - dodała. Pocałował ją czule, brodą musnął twarz.

- U ciebie czy u mnie?

- U ciebie - odpowiedziała szybko, automatycznie.

Amanda rzadko wpuszczała kogokolwiek do swego mieszkania - nauczyła się tego już jako dziecko. Sąsiad czy przyjaciel mógłby poczuć się na tyle swobodnie, by czegoś poszukać, gdzieś zajrzeć, zbyt dokładnie przypatrywać się zdjęciom i pamiątkom, które mogłyby ją zdradzić.

- Jesteś pewna? - Tylerowi zdawało się, że dojrzał wahanie w oczach dziewczyny, choć jej głos zabrzmiał pewnie.

- Całkowicie.

Uśmiechnął się, jakby usłyszał komplement. Amanda posmutniała. Wolałaby zwykle „u mnie lub u ciebie”, ale to było niemożliwe. Jak mogła mu powiedzieć: „chcę iść do ciebie, bo tak jest bezpieczniej”? Bo polują na mnie wynajęci mordercy i nie chcę, by cię widzieli, poznali twoje imię ani dowiedzieli się, że mi na tobie zależy. Wszystkiemu, co jest mi bliskie, grozi niebezpieczeństwo. Zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

- Mam w torbie zmianę bielizny, a wydaje mi się, że wina wybierasz lepiej ode mnie.

Tyler tylko się roześmiał. - No to jedziemy!

Okna mieszkania Graysona przy East End Avenue wychodziły na rzekę. Chociaż upierał się, że jest w najlepszym wypadku znośne, taka tam zwykła, nudnawa architektura lat sześćdziesiątych, trochę zmodernizowana przez projektanta, Amanda uznała je za wspaniałe. Zazdrościła mu przestrzeni; jej mieszkaniu świetnie odpowiadało określenie „kompakt”. Tutaj wprawdzie kształt przypominający literę L mógłby komuś kojarzyć się z pudełkiem, Tyler wszakże powiększył je optycznie, przekształcając w kąt do pracy, będący przedłużeniem powierzchni dziennej.

- Nie wydaję w domu proszonych kolacji - tłumaczył zlikwidowanie jadalni - chodzę wyłącznie na przyjęcia opłacane z funduszu reprezentacyjnego. Atmosferę tego pomieszczenia określały

przeważające w nim kolory - spokojny, blady brąz i czerń. Proste linie wygodnych kanap łagodziły, rzucone w artystycznym nieładzie, zamszowe poduszki. Pośrodku saloniku stały dwa fotele z bukowego drewna i trzciny, obite czarną skórą, dwa, na oko wygodne krzesła zapraszały do gabinetu. Jakiś cudowny, antyczny drobiazg i nowoczesna rzeźba podkreślały wystrój. Zgodnie osobistą mantrą Tylera: „wszystko pod kontrolą”, trudno by tu znaleźć niepotrzebne sprzęty czy tkaniny zbyt delikatne, by można mieć pewność, że nie zmienią narzuconej im formy.

Grayson zaprowadził Amandę do kuchni; i tu, podobnie jak w pozostałej części mieszkania, znajdowało się wszystko co trzeba - i nic poza tym. - W niższej szafce mieściła się wbudowana niewielka lodówka, w chłodziły się niej ze trzy tuziny butelek wina.

- Oto mój jedyny luksus - powiedział gospodarz, zdejmując butelkę z najwyższej półki. - Ponieważ zimne powietrze opada, białe dają na dół, a czerwone na górę. - Pokazał Amandzie wybrane brunello di mon telciono, wiedząc, że utrafił w jej gust.

Miał rację. Uśmiechnęła się radośnie, ale zaraz z żalem oświadczyła:

- Nie mogę wziąć do ust tego czarodziejskiego nektaru z winogron, dopóki nie wezmę prysznic, zgadzasz się?

- Oczywiście. - Objął ją w pasie i poprowadził do sypialni. - Potrzebujesz czegoś? Mydła, szamponu? Kogoś do umycia pleców?

- Długiego podkoszulka albo szlafroka.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Wyjął z szafy jedwabny szlafrok, kilka ręczników i parę kłapek. Potem zostawił ją samą.

Gdy wyszła z łazienki, rozebrany do podkoszulka, w jedwabnych spodniach od piżamy leżał wyciągnięty wygodnie na łóżku. W pokoju paliło się przyćmione światło, na stoliku stała butelka wina, dwie czarki przypominające baryłeczki i talerz z czymś, co wyglądało na prosciutto,

- Cudowna! - szepnął, do głębi poruszony widokiem Amandy. Mokre, nieulożone włosy zaczesala byle jak za uszy. Twarz bez makijażu błyszczała, jak reszta ciała, jaśniejąca spod cienkiego szlafroka. Tyler na moment jakby przeniósł się w czasie do ich pierwszego ranka we Florencji. Przyszła wtedy do niego także spod

prysznicą, niewytarta, zostawiając to jemu. Samo wspomnienie go podnieciło.

Musiała wyczuć jego nastrój, bo zanim położyła się na łóżku, ciaśniej otuliła się jedwabiem. Podsunął kilka poduszek i zachęcił, by się o nie oparła. Potem rozlał wino do czarek i podał jej jedną.

- Za nasze spotkanie! - wznosił toast.

Stuknęła się z nim szklanką i podziękowała uśmiechem, a potem pozwoliła, by aksamitny trunek spłynął jej po języku do gardła. Tyler podał jej kawałek zawiniętego w prosciutto melona. Wbiła weń zęby, delektując się smakiem szynki i dojrzałego, słodkiego owocu. Zamruczała z rozkoszy niczym w erotycznej ekstazie.

- To nie fair - zaprotestowała - wiesz, że nie potrafię oprzeć się mężczyźnie proponującemu wino i prosciutto.

- Na to liczyłem. - Nachylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Uśmiechali się, sącząc wino; wspominali wspólną przeszłość i zastanawiali się, co przyniesie przyszłość.

- Byłem dziś wieczorem w galerii u Lloyda — pochwalił się Tyler. Amanda skinęła głową, karmiąc go szynką. - Twoje zdjęcia są zachwycające - mówił, starając się opanować - i nie tylko ja tak uważałem.

- Naprawdę?

- Wszystkie, co do jednej fotografie Anonima zostały sprzedane i to w ciągu pierwszej godziny!

- Jestem pod wrażeniem.

- I powinnaś. - Odwinął kawałek cienko pokrojonej szynki i podał Amandzie. Jadła powoli, popijając ją winem i oblizując ze smakiem wargi. - Nawet Lionel Baird kupił twoje prace.

- Był tam? - Nie zaskoczyło jej to, ale ucieszyła się na wiadomość, że przyszedł.

- A także jego żona i jej nowy przyjaciel, senator John Chisolm - Wierz mi, naprawdę szkoda, że nikt nie sfotografował ich w chwili, gdy się zauważyli. Amanda roześmiała się, wyobrażając sobie Lionela i Chisolma razem, w samym środku zatłoczonego przybytku sztuki. Pamela musiała triumfować. Sądząc po tym, co mówił ojciec o ich małżeństwie i zerwaniu dziewczyna nie wierzyła, że jego żona cieszy się z rozvodu, choćby nie wiem z jakim zapałem demonstrowała publicznie miłość do senatora. Gdyby Lionel kiwnął małym palcem,

prawdopodobnie pobiłaby wszelkie rekordy szybkości, wracając do niego.

- A ktoś jeszcze, kogo znam? - Gdy uświadomiła sobie, że myśli o Jake'u Fowlerze, zawstydziała się na chwilę. Leżała naga w łóżku jednego mężczyzny i mogła pomyśleć o innym?

- Lloyd przedstawił mnie Annie Hart. - Tyler pokręcił głową. Chłodny uśmiech wywołany wspomnieniami ukazał się na jego wargach. - Jest twoją największą wielbicielką albo tylko tak mówi.

- Annie to dobra przyjaciółka - Amanda miała nadzieję, że Sam dostał już raport i że potwierdzi prawdę jej słów - właśnie ona przedstawiła mnie Lloydowi.

- Tak mi oboje powiedzieli.

Sącząc wino, patrzył na leżącą obok niego kobietę. Teraz wydawała się uosobieniem zadowolenia: mokre włosy, świeża, błyszcząca skóra, oczy na wpół przymknięte. Wcześniej tego wieczora poznał ją od innej strony; jej „Bez nadziei” - zagubieni biedacy, dryfujący bez możliwości znalezienia portu, tchnęli niechęcią do świata. Zrozumiał owo przesłanie, bo on także odbywał wyrok na wyspie samotności.

- Muszę zgodzić się z nimi w jednym. - Tyler pogrążył się w rozkosznym, miłosnym nastroju. - Jesteś niezwykle utalentowana, Amando Maxwell. Gdybyś przyszła, pławiłabyś się w falach uznania płynących przez galerię.

- Twój zachwyty mi wystarczy. - Pocałowała go wargami wciąż jeszcze wilgotnymi od wina. - dziękuję - szepnęła - tego dzisiaj potrzebowałam.

Gwałtowność, z jaką wziął ją w ramiona, podzielała na Amandę podniecająco. Była już wcześniej z tym mężczyzną; poznała dotyk jego rąk i ust, czuła go w sobie. Był kimś znajomym, a nie obcym, którego postępowanie musi analizować i przed którym musi się strzec. Tyler pocałował ją i bez wahania odwzajemniła pocałunek. Włożył dłonie pod jedwab szlafroka, a ona sama rozwiązała pasek; gdy zaś zdjął jedwab z jej ramion, podsunęła mu piersi. Opadł na nie z zachłannością, jak ktoś od dawna głodzony. Jęknęła cicho w odpowiedzi na dotyk jego zębów, muśnięcie warg, delikatne łaskotanie brody. Już dawno nikt nie pieścił jej w ten sposób. Samolub nie rozkoszowała się symfonią wzbudzonych przez Tylera uczuć, odpowiadając namiętnością na pasję kochanka. Wystarczył dotyk

palców języka czy warg tego mężczyzny, aby jej ciało zareagowało gwałtownie' jakby tysiące pojedynczych nerwów połączyło się w jeden, elektryzujący wszystko.

Usta Tylera powędrowały w górę, odnalazły wargi Amandy i wchłonęły je, podczas gdy dłonie wędrowały w odwrotnym kierunku, przy. ciągnęte gorącem narastającym między udami dziewczyny. Sięgnęła w stronę spodni Tylera, jakby chciała upewnić się, że jej pożąda. Pulsował podnieceniem; aż westchnęła, wyczuwając ogrom jego żądzy.

Z jękiem, pośpiesznie zrzucił z siebie resztę ubrania.

- Boże, jak mi ciebie brakowało! - szepnął, nim jego wargi zamknęły się na jej ustach.

Amanda zdawała sobie sprawę z tego, że powinna mu powiedzieć, jak jej dobrze, jakim wspaniałym jest kochankiem i jak cudownie znowu z nim być, nie odważyła się jednak, zbyt wzruszona, by zaryzykować choćby jedno nieprzemyślane słowo. Mogło prowadzić do następnych, a choć czuła się z Tylerem swobodniej niż z jakimkolwiek innym mężczyzną, dotyczyło to tylko jej ciała. Tyle mogła mu ofiarować - i nic więcej.

Leżał na niej, a ona, otaczając ramionami jego szyję, uniosła biodra, przyciskając się do jego ud. Napierała na niego namiętnie, rozniecając płomień, który zagrażał obojgu. I znowu, na wspomnienie przeszłości, poczuła niewypowiedzianą rozkosz. Poruszali się w tym samym, równym rytmie, stopniowo przyśpieszając, aż do crescendo. Gdy poczuła, jak wchodzi w nią, odegnała od siebie wszystkie myśli, poddając się bez reszty, biorąc, a także będąc braną, i płynęła wśród rozszalałej burzy namiętności.

Potem czuła się ogromnie zmęczona, a jednak dziwnie świeża. Zdążyła już zapomnieć, jak to jest być kobietą i Tyler pomógł jej stać się nią na powrót. Była mu za to wdzięczna. Pochyliła się i pocałowała go. Uśmiechnął się w milczeniu.

- Było wspaniale - powiedziała. Opuszkami palców pogłaskał ją po policzku.

- Ty jesteś wspaniała.

- Daleko mi do tego, po prostu odezwały się hormony. - Amanda w głębi duszy poczuła wstyd. Intymność nakazywała jej być uczciwą - Można by tak określić namiętność, jaką okazywała, ale nie ją samą.

- Być może. - Tyler wsparł się na łokciu. Wbił w nią wzrok i przez chwilę jego oczy patrzyły czujnie. - Zgadza się, nikt nie jest idealny, i życie trwa tak krótko. Powinniśmy jak skarb przechowywać w pamięci takie noce jak ta, przecież nie wiemy kiedy, i czy w ogóle, trafi nam się następna.

pochylił się i pocałował ją, jednak zapanował już inny nastrój, jakby nagle otworzyły się drzwi i zdmuchnięta świeczka zgasła. Amanda знаła to uczucie: do pokoju wtargnął duch. Pytanie, z czyjej przeszłości: jego, czyjej. Do siebie wróciła o siódmej rano. Weszła do mieszkania, sprawdziła, czy nic nie zostało poruszone, potem nacisnęła klawisz automatycznej sekretarki.

- To, czego mi o sobie nie powiedziałaś, zdradziły twoje fotografie. Ukazały mi twoją duszę - jest piękna. Wkrótce się spotkamy. Jake.

Amanda uśmiechnęła się, a dziewczęcy rumieniec oblał jej policzki. W drodze do łazienki stanęła przed lustrem. Kobieta patrząca na nią była kimś obcym, szczęśliwym, jej oczy wypełniał radosny blask, jaki może wywołać tylko uczucie. Ta to ma szczęście, pomyślała Amanda, młoda, ładna, niezamężna, mieszka i pracuje w Nowym Jorku. Wystawa jej fotografii spotkała się z aplauzem krytyki. I dwaj bardzo pociągający mężczyźni są nią zainteresowani. Z jednym właśnie spędziła fantastyczną noc, pełną namiętności, drugi pewnie chciałby otrzymać tę samą szansę.

Znów popatrzyła na twarz w lustrze. To, co różniło ją od niej, to wrażenie, że tamta jest taka... zwyczajna. Poczowała zazdrość, z całej siły zacisnęła oczy i rozpaczliwie zapragnęła zatrzymać uczucie normalności, przystosowania, szczęścia. W końcu poddała się, wiedząc, że jej wysiłki są daremne. Tyler miał rację. Powinna zachować w pamięci przeżycia ostatniej nocy. Bo nic nie trwa wiecznie - nie może.

Wszak życie nie jest doskonałe. A ona nie jest „zwyczajna”.

CHISOLM WYPOWIADA WOJNĘ WALL STREET. Hallie Brendel przemawiając do miejscowych notabli na Long Island, senator John Chisolm obiecał wydać bezpardonową walkę osobom odpowiedzialnym za sprowadzanie narkotyków do stanu Nowy Jork - niezależnie od tego, czy chodzą w łachmanach, czy noszą trzyczęściowe garnitury! Wzbudził aplauz tłumów, wzywając finansistów do publicznego wyjaśnienia roli, jaką odgrywają we

wspomaganiu narkotykowego biznesu. Winą za katastrofalne skutki narkotykowych wojen senator obarcza rząd, który nie robi nic, a w każdym razie niewiele, by urwać łeb hydrze, natomiast odpowiedzialnością za chroniczny brak efektywnych przepisów antynarkotykowych obciąża potężne i wpływowe lobby bankowców. Handlarze narkotyków nie liczą pieniędzy, oni je ważą - alarmował senator przerażony ilością gotówki, pranej w kręgach finansjery. Nadszedł czas, by ktoś obnażył tych, dla których osobisty zysk znaczy więcej niż dobro ogółu. Czas, by ktoś powiedział „nie” rekinom z Wall Street, a „tak” naszym dzieciom! By przybliżyć owo zagadnienie, senator przypomniał słuchaczom, jak to przed dwudziestoma laty zorganizowano tak zwany Dzień Prania, operację najwyższej rangi, przeprowadzoną wspólnie przez agencje rządowe, aby wyłapać winnych prania pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami. Działo się to w okresie, gdy narkotyki z Kolumbii płynęły do Miami niczym woda z kranu, a w całym kraju katastrofalnie rosła liczba zgonów na skutek uzależnienia. Społeczeństwo zareagowało gwałtownie, domagając się ochrony granic i bezwzględnego karania przestępców.

W odpowiedzi na żądania obywateli - a także, by dowieść, że operacja Dzień Prania zakończyła się sukcesem - władze doprowadziły do dwóch pokazowych procesów, jednego w Miami, drugiego zaś w Nowym Jorku - Ogółem skazano dziewiętnaście osób; osiemnaście albo już odbyło karę, albo też jeszcze odsiaduje wyrok. Cztery osoby zginęły w pożarze domu wywołanym wybuchem bomby, co niewątpliwie łączyło się z procesem w Miami byli to dwaj szeryfowie federalni, główny świadek rządowy, Cyntia Stanton Baird, i jej dziewięcioletnia córeczka, Erica. Jak na ironię - według informacji godnego zaufania źródła, pragnącego zachować anonimowość - Douglas Welch, pracownik Nathanson & Spelling, skazany za fałszowanie papierów wartościowych na rzecz przestępczej rodziny Saviano, w swym pierwszym zeznaniu oskarżył Lionela Bairda, byłego męża głównego świadka oskarżenia, o udział w praniu mafijnych pieniędzy w tym okresie. Utrzymywał też, że pan Baird wiedział o jego powiązaniach z mafią, ale przymykał na to oko. Pan Welch przypuszczał, że w zamian za ową wyrozumiałość pan Baird oczekiwał dyskrecji w związku z własną działalnością. Według zeznań Welcha Lionel Baird z całą świadomością zgodził się, by

handlarze heroiny wykorzystali jego pozycję w firmie. Zwrócili się do właśnie do niego, gdyż Nathanson & Spelling miał dostęp do międzynarodowych linii transferowych, a pan Baird, jako wyższy urzędnik banku, zajmował się przekazami opiewającymi na znaczne kwoty, wystawianymi przez klientów prowadzących interesy z bankami szwajcarskimi. Welch wyjaśnił schemat działania: szwajcarski bank składał zamówienie na pakiety papierów wartościowych na sto tysięcy dolarów - kwotę na tyle wysoką, by mogła wzbudzić podejrzenia - obiecując, że kurier zapłaci należność w dniu załatwienia sprawy. Określonego dnia kurier bankowy wręczał panu Bairdowi torbę pełną gotówki. Zamiast odmówić i zgłosić transakcję władzom, pan Baird wysyłał papiery wartościowe do Szwajcarii na podane konto bankowe, założone na nieistniejącą, zagraniczną firmę.

Prezes Lionel Baird, przesłuchiwany na okoliczność owych operacji, utrzymywał, że nigdy nic nie podejrzewał, gdyż wiele razy załatwiał sprawy z osobą, która się z nim kontaktowała, to znaczy z wicedyrektorem wymienionego banku. Jak zeznał przedstawicielom Departamentu Sprawiedliwości, najwyraźniej został oszukany. A ponieważ, poza zeznaniami Welcha, oczywistego złodzieja, który, jak utrzymywał jego zwierzchnik, po prostu próbował wytargować niższy wyrok, nie istniały żadne dowody zaprzeczające jego słowom, przeciw panu Bairdowi nie wniesiono oskarżenia.

Pan Welch został skazany, nie trafił jednak do więzienia, bo w dniu ogłoszenia wyroku popełnił samobójstwo.

Reakcja na artykuł z pierwszej strony „Morning Telegraph” przeszła wszelkie wyobrażenia. Urzędnicy z Wall Street, zwłaszcza ci, którzy pamiętali owe procesy, pochowali się za grubymi drzwiami gabinetów odmawiając wszelkich kontaktów z dziennikarzami. Nie udało się tak' że odnaleźć i zmusić do złożenia oświadczeń prawników z Departamentu Sprawiedliwości. Nikt z ludzi powiązanych, nawet luźno, z tamtymi sprawami, nie dał się namówić do oficjalnego wystąpienia. Oprócz oczywiście, senatora. John Chisolm pojawiał się wszędzie, zaprzeczając, jakoby to on dostarczył Hallie Brendel jakichkolwiek informacji na temat Lionela Bairda, jednak powiedział:

- Jeżeli został oszukany, miejmy nadzieję, że to doświadczenie czegoś go nauczyło.

- Czy oskarża pan Lionela Bairda o zajmowanie się w dalszym ciągu praniem brudnych pieniędzy? - zapytał jakiś reporter, starając się wywąchać następny soczysty wątek, który można by dodać do skądinąd zwykłej politycznej historii.

- Nie oskarżam nikogo - wycofywał się Chisolm - śmiem tylko twierdzić, że podejrzenie wygląda brak przepisów, które uniemożliwiałyby takie praktyki. A jak już przy tym jesteśmy: właśnie wszczęto dochodzenie w sprawie kilku firm z Wall Street. Baird, Nathanson & Spelling jest jedną z nich.

W swojej miejskiej rezydencji Lionel Baird szalał ze złości. Gdyby Hallie Brendel znalazła się teraz w zasięgu jego rąk, udusiłby ją bez chwili wahania. Opis tego, co zrobiłby z Johnem Chisolmem, nie nadawał się do druku. Musiał przyznać, że atak został świetnie przygotowany. W rewelacjach Chisolma znalazło się dość prawdy, by utrudnić Lionelowi obronę. W roku 1992 przeprowadzono działania, znane jako „Operacja Eldorado”, mające na celu oczyszczenie rynku papierów wartościowych i sprawdzenie, czy brokerzy świadomie nie inwestują brudnych pieniędzy. Z wypowiedzi Chisolma Lionel wywnioskował, iż „Eldorado” nadal funkcjonuje. Kilka lat wcześniej, dzięki takiej akcji ujawniono grupę winnych brokerów, z których dwóch działało w filii jego biura, w Panamie. Nie byli oni jednak, jak Chisolm bardzo starał się dać do zrozumienia, pracownikami banku Baird. Nathanson & Spelling. Choć Lionel był wściekły, że jego reputacja została złożona w ofierze na ołtarzu kampanii wyborczej przeciwnika, jednak inny aspekt tej historii zaniepokoił go znacznie poważniej. Żeby tak bezmyślnie odgrzebywać dawną sprawę! Jeżeli owej, tak zwanej reporterce, zależało na dokopaniu się do prawdziwej sensacji, dlaczego, nim ruszyła do boju nie pofatygowała się do Departamentu Sprawiedliwości, nie popytała w miejscowej policji czy DEA. Jeżeli nie jest kompletną idiotką, powinna wiedzieć, czym może zaowocować zwrócenie powszechnej uwagi na toczące się śledztwo - w najlepszym wypadku zamieszczeniem j utrudnieniem pracy, w najgorszym zaś nawet zbrodnią - i zginą niewinni - Za każdym razem, gdy Lionel patrzył na fotografię Cynthii i Eriki sprzed dwudziestu jeden lat, zamieszczoną w gazecie, przed oczami przesuwiał mu się obraz stojącego w płomieniach domu i na nowo przeżywał grozę tamtych chwil. Nawet świadomość, że nie było tam jego byłej żony i

córeczki, już mu nie pomagała. Groziło im niebezpieczeństwo równie poważne jak wtedy. A wszystko przez ten artykuł!

Zamknął się w sypialni i szalał niczym ranny niedźwiedź. Zaciskał zęby, wymachiwał rękami, obijał się o meble i ściany, jakby fizyczny ból mógł uspokoić gniew. Jakim sposobem udało się tej Brendel odgrzebać informacje o Welchu i tamtym transferze? Kto dał jej fotografię Cynthii z Ericą? W momencie gdy Lionelowi udało się zebrać myśli, uświadomił sobie, iż sprawozdania z tamtego procesu były przecież podawane do publicznej wiadomości, a zdjęcia Eriki i Cynthii ukazywały się wtedy w gazetach całego kraju. Brendel mogła je wydostać z pierwszego lepszego archiwum. Ale żeby znów je w to wciągać i nie pozwolić Welchowi, by spokojnie spoczywał w grobie! W końcu na ulicach jest dość narkotyków, aby Chisolm postawił na swoim, bez potrzeby odgrzewania starych sensacji jak „Dzień Prania”. Dlaczego ten drań nie prowadzi swej kampanii tu i teraz, zostawiwszy przeszłość w spokoju?

Lionel rozpaczliwie pragnął skontaktować się z Amandą - mogła jeszcze nie widzieć artykułu - przyrzekł jednak nigdy nie dzwonić do niej ze swojego telefonu. A że dom oblegały hordy dziennikarzy, nie mógł wymknąć się niezauważony i poszukać automatu. Nagle przypomniał sobie o numerze, który dostał od Sama Batesa na wypadek nagłej sytuacji. Nie miał wątpliwości, że właśnie nadeszła.

Gdy tylko szeryf się odezwał, Lionel przeczytał mu artykuł - nie mógł go przefaksować, bo pozostawiłby ślad - i reakcja rozmówcy upewniła go, że postąpił słusznie. Sam dopilnuje, by Amandę i Beth strzeżono teraz dzień i noc.

- Tobie również chciałbym kogoś przydzielić - powiedział Lionelowi. - Będzie się trzymał z daleka.

- Mam własną ochronę, ale dziękuję.... - Baird zamilkł na chwilę i zaraz mówił dalej: - Może tego nie widać, Bates, lecz naprawdę doceniam troskę, jaką okazujesz Beth i Amandzie. Wiem, że dajesz z siebie o wiele więcej, niż wymaga obowiązek i jestem ci ogromnie wdzięczny.

- Powiedziałem ci już w Wisconsin - odparł Sam po krótkiej chwili wahania - kocham te dwie kobiety i zrobiłbym wszystko, by ochronić je obie i wszystkich, którzy są im bliscy.

Przez chwilę rozmawiali o Bastidzie — władze były przekonane, że przebywa u braci Espinosa w Meksyku - i o skazanych

pracownikach Hudson National Bank. Zwolniono ich kilka lat wcześniej, Lionel wątpił jednak, czy ci ludzie kiedykolwiek zapomną o zemście.

- Inwigilowaliśmy ich jeszcze długo po zwolnieniu. Nie zauważyliśmy nic, co mogłoby wskazywać, że stanowią zagrożenie, ale po ostatnich wydarzeniach wznowiono obserwację. Jak dotąd, nie dostrzeżliśmy nic podejrzanego.

- Doskonale.

- Nie ciesz się za wcześnie, Lionelu, wciąż trzeba strzec się chłopców Saviana.

- Sądziłem, że Ray Saviano odsiaduje dożywocie w więzieniu Joliet - przypomniał sobie Lionel. - Zeznania Beth przygwoździły jego żołnierzy, ale ze skazaniem samego szefa nie miała nic wspólnego.

- Zgadza się, tyle że niektórzy członkowie organizacji, między nimi syn Raya, uważają, że tamten proces był związany z operacją „Dzień Prania” i poważnie osłabił rodzinę. Demonstracja siły prawa wystraszyła niższe kręgi.

- Tych, którzy potem wsypali Saviana?

- Zgadza się! Baird jęknął.

- Przypuszczam, że Ray junior zechce się mścić na Beth?

- Możliwe. Problem w tym, że mafie mają zawsze tyle podobnych spraw do załatwienia, iż trudno się połapać, która wendeta jest najpilniejsza.

- Wiadomo coś o Annie Hart? - Głos Lionela zabrzmiał głucho.

- Niestety, nic. To nie powinno tak długo trwać... - Sam sprawiał wrażenie roztargnionego.

- U was wszystko w porządku? Co z Beth? Niczego przede mną nie ukrywasz?

- Beth czuje się dobrze. Niczego przed tobą nie ukrywam.

- Coś cię dręczy, Bates, poznaję po twoim głosie.

- U mojej siostry wykryto raka jajników.

Sam, jak zawsze, starał się mówić obojętnym tonem, jednak nie zdołał całkowicie ukryć zdenerwowania. Lionel, do głębi poruszony, zaoferował pomoc.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytał szczerze zatroskany. - Jestem członkiem rad nadzorczych kilku wyśmienitych szpitali, zarówno tu jak i w Chicago. Mogę zapewnić jej opiekę najlepszych lekarzy tej specjalności.

- Chirurg, który przeprowadził operację, cieszy się doskonałą opinią - A szpital?

- Uchodzi za najlepszy w Seattle.

- Omawiano już dalsze leczenie?

- Co najmniej sześć miesięcy chemoterapii. Lionel zawahał się, myśląc gorączkowo, jakimi słowami wyrazić swą propozycję.

- Sam, jeżeli potrzebujesz pomocy finansowej, nie wahaj się, nie ma problemu, rozumiesz?

Chwilę trwało, nim tamten odpowiedział. Jego głos zabrzmiał dziwnie, jakby szeryf nagle nie mógł doczekać się końca rozmowy.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale sprawa została już załatwiona. Pośpiesznie zapewnił Lionela, że raport o Annie Hart zostanie mu wysłany pewnie już następnego dnia; oczywiście, przekaże Beth pozdrowienia; tak, wkrótce znów się skontaktują.

Jeszcze długo po odłożeniu słuchawki Lionel nie mógł przestać myśleć o nagłym zakończeniu rozmowy przez Sama. Chciałby złożyć zniecierpliwienie Batesa na karb obawy o chorą siostrę lub zażenowania, że Lionel proponuje mu jałmużnę, ale w głosie tamtego usłyszał nie tylko niepokój. Jeszcze jakby brawurę czy zranioną dumę. A może coś zupełnie innego? Nie umiał tego określić. Jakaś nutka zadźwięczała jednak fałszywie.

Pamela Baird nie czuła się równie wspaniale, od czasu gdy rozpoczęła kurację hormonalną. Widok fotografii Lionela na pierwszej stronie „Morning Telegraph”, pełnej niezawołowanych insynuacji na temat jego udziału w skandalicznej aferze prania pieniędzy, świadomość, że w tej chwili pewnie gorączkowo, przez telefon, omawia ze swoimi Prawnikami tekst oświadczenia, w którym zaprzeczy, jakoby w cokolwiek był zamieszany - wtedy i teraz - napawały ją niewypowiedzianą rozkoszą.

Radośnie uśmiechnięta popijała kawę. Kilka chwil wcześniej zadzwonił John. Po obrzuceniu jej pochwałami wyraził zdziwienie, że o niczym go nie uprzedziła.

- Sądziłam, że tak będzie najlepiej. W końcu, kochanie - zaszczebiotała - twoja wrogość wobec Lionela jest powszechnie znana. O wiele korzystniej wypadłeś jako autentycznie zaskoczony. Gdyby się wydało, że to ty dostarczyłeś informacji, prasa zignorowałaby zarzuty uznając je za przedwyborczą retorykę lub akcję zazdrosnego kochanka.

Przyznała, że udostępniła szczegóły Hallie, by stworzyć właściwy klimat i tło dla przesłania Johna. Jak się spodziewała, zaakceptował takie tłumaczenie, gdyż ego senatora domagało się wiary w jej absolutne oddanie. Prawda przedstawiała się następująco: głównym celem tej wojny był Lionel Baird. Jeśli cokolwiek przy okazji kapnie Johnowi - stanowi to tylko efekt uboczny. Pamela z niecierpliwością czekała na chwilę, gdy odbije sobie wszystkie krzywdy. Fredda MacDougall nie miała dobrego dnia. Telefony rozdzwoniły się jak oszalałe już o siódmej rano, gdy tylko otworzyła drzwi biura. Gdyby przed wyjściem z domu nie przyszło jej do głowy, aby podjąć dodatkowe środki ostrożności, z pewnością powitałby ją las mikrofonów wycelowanych w nią niczym karabiny.

Zawsze świetnie zorganizowana, wynajęła dwie dziewczyny z biura sekretarek, by odpowiadały na telefony do Lionela, w różnych miejscach na trzydziestym ósmym piętrze ustawiła czterech dodatkowych ochroniarzy, a sama zajęła pozycję przed gabinetem Bairda, wyczulona na wszystko, co działo się wokół. Gdy wreszcie Lionel przeszedł hol i minął jej biurko, już sam dźwięk jego kroków wystarczył, by zaczęła zachowywać się niczym cerber.

- Jak ci się udało wśliznąć niepostrzeżenie do budynku? - spytała, idąc za szefem do gabinetu.

- Jestem mistrzem w sztuce maskowania się - odrzekł i podał jej płaszcz. Tak naprawdę opuścił dom ukrytym korytarzem i wsiadł do samochodu. Skulił się na tylnym siedzeniu, co wyglądało, jakby szofer wyjeżdżał sam. Udali się do salonu Rolls - Royce'a na East Side i wjechali do warsztatu. Kierowca czekał, aż usuną drobną usterkę. W chwili gdy padł biedaka tłum reporterów, Lionel wychodził z salonu i kierował się do najbliższej stacji metra.

- Nikt mnie nie zauważył - cieszył się jak grające w chowanego dziecko - gdy wyszedłem ze stacji prosto do naszego wieżowca.

- To nie zabawa, Lionelu. - Fredda spiorunowała wzrokiem swego pracodawcę. - Te sępy nie zostawią cię w spokoju, dopóki nie dopną swego - Wyglądała na bardzo przejętą. Baird zawstydził się; nie powinien był żartować.

- Przepraszam, Freddo, masz rację, to z pewnością nie jest gra. Ta wredna reporterka, podpuszczona przez Chisolma, rozpoczęła polowanie na czarownice i akurat na mojej głowie dostrzegła czarny, spiczasty kapelusz.

- Co zrobimy? Lionel usiadł na krześle za biurkiem, oparł się wygodnie i uśmiechnął szeroko.

- Zwołamy konferencję prasową.

- Co takiego?!

- Jak już się siedzi na galopującym koniu, trzeba mocno ściągnąć wodze, żeby nie spaść.

Fredda zastanawiała się chwilę i, jak zawsze, nie mogła znaleźć słów podziwu dla swego szefa.

- Masz absolutną rację - ucieszyła się, czując się na powrót członkiem zwycięskiej drużyny. - Jak sądzisz, kto dostarczył tych wszystkich bzdur nadgorliwej pannie Brendel? Lionel pochylił się ku sekretarce i utkwiał wzrok w jej twarzy.

- Oboje wiemy, że jej godne zaufania, choć anonimowe źródło, to nikt inny tylko twoja przyjaciółka, a moja przyszła eks - żona. Fredda niespokojnie przeniosła ciężar swego dość potężnego ciała z nogi na nogę.

- Wiem, że się spotykacie - powiedział, nie spuszczać z niej oczu. - Spodziewałem się nielojalności ze strony Pameli, kobiety porzuconej, wszakże nie spodziewam się tego, Freddo, po tobie.

- Od czasu do czasu jemy razem lunch - wyznała potulnie. - To prawda, że wypytuje o ciebie, ale - dodała pośpiesznie - myślę, że wciąż cię kocha.

- Co jej opowiadasz?

- Nic, czego nie mogłaby znaleźć w kolumnach towarzyskich. - Wyraz jego twarzy nie zmienił się, odkąd zaczęli rozmowę. Niemożność zorientowania się, w jakim szef jest humorze, odebrał Freddzie resztę pewności siebie. - Nigdy nie omawiałabym z nią spraw zawodowym Ani niczego, co dotyczy Baird, Nathanson & Spelling. Mam nadzieję że pan o tym wie, proszę pana. - Od lat nie zwracała się do Lionela w ten sposób. Ta chwila wydawała się najlepsza, by powrócić do starych zwyczajów.

- A Douglas Welch? Rozmawiałaś o nim kiedykolwiek poza biurem? Sekretarka poczerwieniała. Zapomniała, że szef wiedział o jej krótkim romansie ze zmarłym panem Welchem. Taka biurowa miłostka która zaczęła się na bożonarodzeniowym przyjęciu i skończyła na długo przed lipcowym piknikiem. Fredda wiedziała, że Welch ma żonę, która, jak mówił, go nie rozumiała. Ona sama była wtedy zbyt niedoświadczona - i zbyt chętna - by rozpoznać ową starą

jak świat śpiewkę. Lionel Baird tak bardzo ją onieśmielał, że nie przywiązywała żadnej wagi do faktu, że została wybrana spośród stenotypistek i mianowana na požądane przez wiele innych pracownic stanowisko sekretarki dyrektora akurat w okresie dochodzeń „Dnia Prania”. Po skazaniu Douglasa i jego samobójstwie zastanawiała się nad tym zbiegiem okoliczności, ale ponieważ nie została zwolniona ani przesunięta na niższe stanowisko, uznała, iż otrzymała awans za zasługi, a niejako formę łapówki.

- W żadnym wypadku! - zareagowała oburzeniem. - Jak mogłeś tak pomyśleć!

- Zaatakowano moje dobre imię, Fredo, i zacząłem myśleć o wielu sprawach. - Patrzył na nią dalej, lecz jego spojrzenie stawało się jakby nieobecne. Gdy się odezwał, jego głos zadźwięczał głucho, jakby odbijał się w jakiejś bezdennej, ciemnej czeluści. - Łącznie z możliwością, że w chwili wyjątkowej słabości mogłem opowiedzieć Pameli o tym, co wydarzyło się w owym strasznym okresie mojego życia. - Zaciśnął zęby, najwyraźniej zmagając się ze spadającą nań lawiną uczuć. - W swej naiwności przyjąłem, że wszystko, co dotyczyło śmierci mojej pierwszej żony i córki, także dla innych pozostanie świętością.

- Znów spojrział na Fredę, ale tym razem w jego oczach płonął gniew. - Najwyraźniej się myliłem. Nie ma nic świętego na tym świecie. Freda czuła, jak żar jego wściekłości dopada ją przez pokój i otacza płomieniem. O gwałtowności Lionela krążyły legendy i nieraz miała okazję być świadkiem, jak winni jakiegoś niedopatrzenia padali ofiarą furii szefa, zazwyczaj jednak reagował tak gwałtownie na czyjąś bezmyślność, niewłaściwą obsługę, nieudolny sondaż rynku lub inne nieprofesjonalne zachowanie, kosztujące firmę Baird, Nathanson & Spelling utratę klienta. Nie zdarzyło jej się widzieć, by Lionela do tego stopnia zirytował jakiś artykuł w gazecie, nawet podający w wątpliwość jego dobre imię; przez te wszystkie lata był atakowany o wiele bardziej bezpardonowo niż tym razem i nigdy nie reagował z taką gwałtownością.

Wyszła z gabinetu i zajęła się organizacją konferencji prasowej, cały czas jednak zastanawiała się, czy wściekłość szefa wynikała z rywalizacji z senatorem Chisolmem, z ambiwalentnych uczuć do Pameli, czy też jeszcze czegoś. Niepokoiło ją to wszystko przez większą część poranka, bo znając Lionela tak dobrze, wiedziała, że

tylko sprawy dotyczące Cynthii Stanton i Eriki Baird mogły wywołać jego podobną reakcję. A przecież one nie żyły już od dwudziestu lat.

Nieprawdaż?

Sala konferencyjna na siódmym piętrze zapełniła się do ostatniego centymetra. Ponad stu korespondentów reprezentujących wszystkie media, od gazetek w supermarketach do trzech głównych stacji telewizyjnych, siedziało ramię przy ramieniu, z przygotowanymi notesami i magnetofonami. Z drugiego końca sali, zza podium, Lionel patrzył, jak Hallie Brendel wchodzi do pomieszczenia i dumnie kroczy między rzędami krzeseł, jakby zapowiadana trąbami heroldów. Odrzucając włosy w wystudiowanym geście nonszalancji, dotarła na centralne miejsce w pierwszym rzędzie, trzymane dla niej przez chłopaka z „Telegraphu”. Usadowiła się między reporterami z „New York Timesa” i „Washington Post”, jakby była im równa i to ważne miejsce po prostu jej się należało, potem zaś przywitała się z siedzącymi wokół, jakby pełniła honory domu, najwyraźniej pławiąc się w nagłej popularności. Nie ulegało wątpliwości, że ogromnie podniosło ją na duchu przekonanie, iż siłą, która zmusiła Goliata do wyjścia na arenę, jest właśnie ona. I ma rację, Pomyślał Lionel niechętnie. Gdyby nie jej artykuł, nie byłoby tej konferencji. Rozważał, czy nie spuścić z niej powietrza obojętnością, uznał jednak, że takim zachowaniem mógłby zwrócić zebranych dziennikarzy przeciwko sobie. Okazanie irytacji mogłoby zostać odebrane jako Przyznanie się do winy, on natomiast zamierzał zdusić w zarodku wszelkie spekulacje dotyczące operacji „Dzień Prania” i jej reperkusji. Zdecydowanym gestem dał znać, by zamknięto drzwi. Bez żadnej zapowiedzi jak burza wkroczył na scenę. Gdy zajmował miejsce na drewnianym podium, powitał go chór agresywnych okrzyków. Telewizyjne kamery patrzyły wyczekująco, lecz Lionel zachowywał imponujący spokój. Pozwolił, by przez chwilę robiono mu zdjęcia, a potem zaczął mówić. Leniwie obrzucił wzrokiem pełną salę; następnie zatrzymał spojrzenie i wbił oczyma stalowe ostrza, w Hallie Brendel.

- Zwołałem tę konferencję, bo nie pozwolę, by używano mego imienia do przysparzania sobie popularności - zaczął bez ogródek. - Nie zamierzam być chłopcem do bicia, by wspomóc reelekcyjną kampanię senatora Chisolma i nikomu nie ułatwię zrobienia moim kosztem kariery.

Ci, którzy znali Hallie, starali się dojrzeć jej reakcję. Dziennikarka siedziała wyprostowana, nie odwracając spojrzenia w bok, głowę trzymała dumnie, ale twarz jej poczerwieniała.

- W porannym wydaniu dzisiejszego „Telegraphu” pani Hallie Brendel insynuuje, że dwadzieścia lat temu popełniłem przestępstwo i zadałem sobie wiele trudu, by je ukryć. Sugeruje też, że moje wysiłki spowodowały śmierć cenionego pracownika firmy. Żadne z tych przypuszczeń nie jest prawdziwe. Powtórzę moje zeznania z tamtego okresu: Wierzyłem, że transakcja, której dotyczyło śledztwo, jest legalna. Prowadziłem interesy z owym szwajcarskim bankierem przy wielu okazjach i żadna z operacji nie pociągnęła za sobą prawnych konsekwencji. W żadnej także nie można było doszukać się ani śladu czegokolwiek niewłaściwego. Nie miałem więc powodu przypuszczać, że ta transakcja różni się od poprzednich. A ponieważ nie wiedziałem o przestępstwie, więc, co za tym idzie, niczego nie knułem, nie planowałem, nie ukrywałem.

Za każdym razem, gdy przerywał, robiono tak wiele zdjęć, że rozlegający się dźwięk przypominał inwazję owadów. Lionel, który świetnie się orientował, jak radzić sobie z mediami, dawał fotografom czas, dzięki czemu, gdy zaczynał mówić, przestawali fotografować.

- Douglas Welch popełnił przestępstwo. - Baird mówił pewnym głosem, przekonując zebranych, że jego słowa to święta prawda. - Ukradł setki tysięcy dolarów w papierach wartościowych z Nathanson & Spelling i przekazał je rodzinie Saviano, by spłacić swe hazardowe długi. Tak wyznał w sądzie i to pod przysięgą. Według panny Brendel, zdawałem sobie sprawę z zadłużenia pana Welcha, znałem jego związki ze światem zorganizowanej przestępczości i wiedziałem, jak zamierzał uregulować swe zobowiązania. Nic z tego nie jest prawdą. - Spojrzał na nią z góry, a twarz wykrzywił mu wyraz obrzydzenia. - Douglas Welch pracował w Nathanson & Spelling jako jeden z urzędników. Nie byliśmy kolegami, wymieniającymi co rano wiadomości, więc skąd mógłbym się orientować w jego sprawkach. Zналиśmy się jedynie powierzchownie, wiedziałem tylko tyle, że jest człowiekiem przyzwoitym, ma rodzinę i należycie wypełnia swe obowiązki w pracy. Nie wiedziałem o jego słabościach, toteż skąd mogłem znać jego kłopoty z Savianem. Mie zataiłem jego poczynania, bo nie miałem o nich pojęcia. Nie prosiłem go o dyskrecję, bo nie sądziłem, że cokolwiek jej wymaga. - Teraz jego głos przepełniała

gorycz. Jakby złamany gniewem, pochylił się lekko do przodu. - Najbardziej obrzydliwą z tych wszystkich godnych pogardy, bezczelnych, niemających nic wspólnego z dziennikarską rzetelnością insynuacji, wysuniętych w celu rozreklamowania własnej osoby, jest pomówienie mnie o usankcjonowanie, a nawet zachęcanie do prania pieniędzy pochodzących z narkotyków. Są to zarzuty żenujące i zbrodniczo okrutne. - Lionel przytrzymał się pulpitu i patrzył na tłum wzrokiem domagającym się całkowitej uwagi. Jego głos niósł się przez niewielki amfiteatr. - Dwadzieścia lat temu moja była żona uznała za swój obowiązek złożenie władzom raportu o tego właśnie rodzaju przestępczych poczynaniach. Okazała nadzwyczajną odwagę. Postąpiła tak, ponieważ handlarze narkotyków zamordowali jej brata. W końcu zabili i ją, i moją dziewięcioletnią córeczkę. Przez chwilę w sali panowała cisza, jakby ktoś nacisnął guzik kasujący każdy głos, wyłączający każdą kamerę, powstrzymujący każdy ołówkę i oddech. Oczy zebranych skupiły się na Lionelu; on stał przed nimi, nie kryjąc emocji. - Nie prąłem narkotykowych dolarów ani wtedy, ani teraz. - Spiorunował wzrokiem Hallie. - Pieniądze z narkotyków nie są brudne, panno Brendel, lecz zbrukane krwią niewinnych. - Wyduł wargi w grymasie obrzydzenia. - Pani i John Chisolm powinniście się wstydić swego postępowania. - Z tymi słowami zszedł ze sceny. Konferencja prasowa dobiegła końca.

Ray Saviano nigdy nie sądził, że dożyje dnia, gdy zgodzi się z każdym słowem Lionela Bairda. Oglądając jego wystąpienie, miał ochotę klaskać. Ten diabeł posługujący się słowami jak ze stali miał rację: Hallie Brendel ruszyła coś, co powinna była zostawić w spokoju. Nie tylko przypomniała nieprzyjemną historię, lecz także zwróciła uwagę na przedsięwzięcia rodziny Saviano, które należało pozostawić w cieniu. Ray nie przepadał za światłem reflektorów. Tytuły w gazetach, krzyczące o przestępczych rodzinach bogacących się na śmierci zatrutowanych narkotykami dzieci, robiły wrażenie nawet na najbardziej obojętnych obywatelach tego państwa. Społeczeństwo zwracało swój gniew przeciwko gliniarzom, których oskarżano o niedopełnienie obowiązków, co więcej, zaczynało domagać się odbierania odznak, a co gorsza, emerytur. Takie nastroje zaś zmuszały urzędników federalnych do podejmowania heroicznego wysiłków. Nagle pojawiało się mnóstwo kapusiów i agentów w cywilu; wnoszono oskarżenie po oskarżeniu, na informatorach wymuszano

zeznania. Wszystko to w znacznym stopniu utrudniało dystrybucję towaru. Zapewniano niekaralność tym na górze, wiedzącym dość, by oskarżyć innych, proponowano dożywotnią ochronę „cynglom”, którzy, wystraszeni, nie wahali się donosić na swych szefów. Ktoś musiał za to wszystko zapłacić odsiadką. Ray powinien to wiedzieć - w ten właśnie sposób on sam wylądował w Joliet.

Odsiadywał szósty rok dożywotniego wyroku i poza dwiema godzinami dziennie, gdy pozwalano mu wychodzić na spacer po więziennym dziedzińcu, resztę czasu spędzał w celi w bloku pojedynek. Umożliwiono mu oglądanie telewizji, gazet czytał, ile chciał, mógł też korzystać z telefonu i pozwalano mu na przyjmowanie wizyt, lecz pod nadzorem. Mimo zamknięcia nadal trzymał rękę na pulsie.

I dalej to on podejmował najważniejsze decyzje. Syn, Little Ray, prowadził bieżące interesy i biorąc pod uwagę jego ograniczoną inteligencję, spisywał się całkiem dobrze. To prawda, że swym aroganckim zachowaniem naraził się wielu ludziom i ostatnio miał poważne kłopoty w interesach. Ale jaki szef uniknął kryzysu, budując nowe imperium? Z pewnością i Lionel Baird w swoim czasie musiał radzić sobie z wieloma wrogami, tyle że tamci nie nosili bandan, złotych kolczyków czy tatuaży. Ani nie używali maczet i nie strzelali z uzi jak chłopcy z Blanca Muerte. No ale w końcu każdy ma swój styl. Tak jak Baird, Nathanson & Spelling rodzina Saviano była organizacją, która często stawała wobec finansowego i terytorialnego zagrożenia. Lionel rozwiązywał problem, emitując akcje i pokonując rywali operacjami finansowymi.

W przeszłości metody Big Raya były dość prymitywne, ale pomimo świadczących o czymś wręcz przeciwnym dowodów, jakie przedstawiono na procesie, on i inni donowicie złagodzili swe obyczaje. Nauczyli się różnić od siebie, zaczęli się specjalizować i rywalizować w cywilizowany sposób. Zabójstwo stało się środkiem ostatecznym. Wtedy do miasta wkroczyły gangi i naruszyły status quo. Gangi to oś innego niż rodziny. Łamanie prawa - to rzecz niezbędna przy prowadzeniu biznesu, ale gangi nie kierowały się żadną tradycją czy kodeksem postępowania również wobec swoich. Tamci potrafili zastrzelić wroga na oczach własnych matek, okradali sąsiadów, okłamywali przyjaciół - Przyjmowali każdego, kto chciał wstąpić w ich szeregi.

Niestety, gangi nie były jedynym problemem Saviana. Lukratywne kiedyś „zbieranie plonów”, haracze ściągane od śmieciarzy, przedsiębiorców budowlanych, od firm odzieżowych, z Fulton Fish Market i Javits Center, dające szybką gotówkę i umożliwiające „odbywanie stażu” przyszłym żołnierzom mafii, wymykało się spod kontroli. Wiele tradycyjnie należących do mafii źródeł dochodu - pornografia, prostytutka, hazard - także wysychało wskutek „kampanii oczyszczania”, przeprowadzonej przez nadmiernie gorliwego i zaskakująco skutecznego burmistrza. Z dniem gdy policja dostała wolną rękę, zyski zmniejszyły się znacznie. Mafia była w odwrocie.

Do problemu kurczenia się terytorium dołączyły kłopoty związane z wiekiem bossów. Pięćdziesięciosiedmioletni Ray był jednym z najmłodszych ojców chrzestnych. Jego koledzy na ogół zbliżali się do osiemdziesiątki. Przywódcy najważniejszych syndykatów zbrodni w Nowym Jorku albo umierali schorowani, albo siedzieli w więzieniu, albo współpracowali z władzami. A ich następcy okazali się niewiele wari. Nie łączyły ich już, jak ojców, wartości wyniesione ze Starego Świata. Zabrakło lojalności, z której Cosa Nostra Big Raya była taka dumna. I ludzie ci zdawali się cenić wyżej przemoc nad właściwym zarządzaniem.

Ray spędził swój dwugodzinny spacer na zastanawianiu się, co w dalszej przyszłości wyniknie z konferencji prasowej Lionela Bairda. Stacje na wszystkich kanałach przepowiadały ustanie wojen między gangami. Idioci! Wojny te zaczęły się już przed miesiącami, walczone jednak w bocznych uliczkach i zaułkach. Jeżeli media uważały, że takie wiadomości jak ta powstrzymają wrogów od wzajemnego mordowania się przemawiała przez nie naiwność. Takie wiadomości jedynie rozjuszą zabijaków i przyśpieszają wiele starć. Ta w zasadzie prywatna wojna znalazła się o krok od przeniesienia się na bulwary, gdzie mieszkają cywile. A gdy wśród ofiar znajdą się niewinni, policja rozpocznie ofensywę i zmusi rodziny do wycofania się lub walki do końca. Savianów nie stać było na jedno ani drugie; ich kufry znacznie się opróżniły. Dlatego właśnie Ray kazał synowi dogadać się z tymi przekłętymi Chicanos. Nie lubił robić interesów z obcymi, lecz narkotyki to jedna z niewielu dojnych krów, jakie im jeszcze pozostały, a dominacja na rynku propainy dostarczyłaby rodzinie dużej i szybkiej gotówki I nie zamierzał pozwolić, by zniweczono jego plany tylko dlatego, że jakaś reporterka z byle

pisemka ubzduriała sobie, iż ruszy drogą do kariery w orszaku zasuszonego senatora. Big Ray musi koniecznie zneutralizować efekt, jaki jej historyjki wywarły na społeczeństwie i jego sługach. Musi uderzyć szybko i mocno, bo już jutro na rynku może pojawić się nowy cud i propaina pozostanie tylko wspomnieniem.

Zanim wrócił do celi, przekupił strażnika i zadzwonił do Little Raya, by zorientować się, jak sprawy wyglądają.

- Nic dobrego - brzmiała odpowiedź syna. - Bracia Espinosa wpompowują propainę do Stanów szybciej niż rurociągiem płynie ropa. Chcą sprzedać jak najprędzej, za jak najwyższą cenę, unikając ingerencji władz. Jeżeli Saviano mają kłopoty, to Espinosa albo dogadają się z inną rodziną, albo dadzą wyłączność swoim compadre.

Po powrocie do celi Ray chodził w koło, rozważając różne możliwości. Jedną to trzymać się z daleka i pozwolić Bairdowi samemu załatwić tę Brendel. Upokorzył ją w obecności kolegów po fachu i widzów w całym kraju. Ale ta suka z własnej woli nie usunie się w cień. Kobiety takie jak ona rozkwitają, gdy się do nich powie: „Mów, co chcesz, tylko prawidłowo podaj moje nazwisko i dopilnuj, by fotografowano mój lepszy profil”.

Saviano pogardliwie pociągnął nosem. Dawniej takie artykuły przestałyby się ukazywać, bo ich autor natychmiast zostałby uciszony, w ten czy inny sposób. Oczywiście uderzenie wprost byłoby niezręcznym posunięciem - Baird za bardzo ściągnął publiczną uwagę na Hallie Brendel, by można zgładzić tę kobietę bez większych konsekwencji. Ale można wywlec na światło dzienne jakieś dawne grzeszki. Jeżeli jakimś cudem sama jest w porządku, z pewnością znajdzie się ktoś jej bliski, kto ma jakiś paskudny sekret, który należałoby ukryć za wszelką cenę.

Niestety, to, jak postąpią z Hallie Brendel, zależy od Little Raya, a nie da się przewidzieć, jak on to rozegra. Ten chłopak należy do nowej, egocentrycznej generacji, którą interesuje wyłącznie chwila obecna. On i jemu podobni odrzucili lojalność, szacunek i tradycję jako relikty minionej ery, zupełnie im obcej. Za dobrze im było, tym dzieciakom! Wychowali się w luksusach; samochód i gotówkę mieli na każde zawołanie. Jadali w najelegantszych lokalach i sypiali z kobietami z towarzystwa. Te młode ogiery nie musiały się poddawać sprawdzianowi jak Ray, strzelać komuś prosto w twarz, słuchać

rozkazów, nawet jeżeli oznaczało to pójście do więzienia. Wydaje im się, że są nietykalni - I dlaczego nie?

Napatrzyli się sami siebie na ekranach telewizorów i kin, więc łatwo im uwierzyć, że społeczeństwo zachwyca się mafiosami - Że są tak wspaniali, iż nie trafią do aresztu i nie spotka ich żadna krzywda. Ze nawet agenci rządowi czują przed nimi mores. Wydaje im się, że to, co widzą na ekranie, jest prawdziwym życiem.

Ale Big Ray wiedział lepiej. Prawdziwe życie to rozdzierająca ciało kula. To gdy leżysz na ulicy i patrzysz w niebo, a krew ci sika z dziury w głowie.

Prawdziwe życie - to nagła śmierć.

Albo gorzej: gnicie za murami więzienia.

Little Rayowi podobało się, że prasa rozrobiła tę historię - Big Ray słyszał to w głosie syna. Cóż może być bardziej ekscytującego niż wystąpienie przeciwko takim jak Lionel Baird i senator Stanów Zjednoczonych? To coś więcej niż zmagania z bandą cwaniaków z LA. Little Ray uważał, że jego gwiazda wschodzi. Wierzy, że im więcej artykułów ukaże się w „Telegraphie”, tym bardziej jego sława wzrośnie, tym bardziej ludzie zaczną się obawiać, by mafia nie rozpanoszyła się na ich osiedlach i tym szybciej jego imię znajdzie się w kronikach wojennych organizacji. Jak z zadowoleniem oznajmił ojcu, już teraz zwą go sztandarowym chłopcem mafijnej generacji X.

Co za bzdura! Little Ray był tak zadufany w sobie, że pozostawał głuchy na fakt, iż Hallie Brendel odtrąbiła właśnie sygnał, który wezwie do walki nowojorską policję, FBI i wszystkie inne agencje rządowe, co znacznie utrudni transfer zysków i doprowadzi do bankructwa rodziny Saviano, jak również odstraszy ludzi Espinosy. Little Ray może potrafi dokazywać na ulicach Małej Italii, lecz gdy nadejdzie chwila prawdziwej próby, nie będzie miał najmniejszego pojęcia, jak poprowadzić wojnę. Jeżeli bracia Espinosa ściągną całą swą armię, Little Ray, gorzej uzbrojony, z mniejszą liczbą żołnierzy, zostanie zepchnięty do defensywy. I najprawdopodobniej zginie.

Big Ray siedział na pryczy z twarzą ukrytą w dłoniach. Pomiedzy wykrzykiwanymi przechwałkami dosłyszał w głosie syna coś jeszcze bardziej niepokojącego: brak szacunku. Spodziewał się tego, miał jednak nadzieję, że owa chwila nadejdzie znacznie później. Siedział w więzieniu, bez żadnej szansy na zwolnienie. Wrogowie o tym wiedzieli, jego syn także. Fakt ten nie zachęcał do posłuszeństwa.

Wprawdzie mówili jeszcze o nim Dziarski Don i traktowali go z wielkim szacunkiem, ale tylko starsi; młoda generacja nie dbała o człowieka, któremu granice królestwa wyznaczały kraty.

Niemniej jednak Big Ray nie zmierzał patrzeć, jak dorobek całego jego życia zostaje zmarnowany, a imię rodziny zhańbione. Tak czy owak postanowił uratować synowi tyłek. Postara się zwrócić zainteresowanie wywołane artykułami tej Brendel w innym kierunku. Zadzwoi do kilku osób winnych mu przysługę, skontaktuje się z kolegami i spróbuje przekonać ich, że łącząc siły, mogą zneutralizować przeciwnika bez wywoływania krwawej łaźni.

Ale naprzód musi przemyśleć kilka spraw. Hallie Brendel ruszyła do ataku w imieniu Johna Chisolma, to było jasne i miało sens. Chciała upiec własną pieczeń, niosąc transparent z chwytliwym hasłem. Ale dlaczego Lionel Baird połknął haczyk? Kogo on reprezentuje?

Nieważne, pomyślał Ray, planując krok numer jeden w swojej grze. Jeżeli kłapiesz ustami w pobliżu wiszącego haczyka, jedno jest pewne: musisz się złapać.

O czwartej rano mężczyzna wracający do domu z nocnego dyżuru w szpitalu w Queens skręcił na rogu Osiemnastej i Lexington Avenue. Przystanął na widok stojącego przy chodniku samochodu z włączonymi światłami i otwartymi drzwiami. Choć pojazd wydawał się pusty, przechodzień zachował ostrożność. Może jakaś prostytutka obsługuje klienta, albo odchodzi tu właśnie wielka transakcja narkotykowa? Może trwa kłótnia małżeńska, a może szczeniaki bawią się w seks? Mniejsza o to, był zmęczony i nie zamierzał w nic się mieszać, bo jeszcze sam oberwie.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i trzymał się jak najbliżej budynków, zdała od światła lamp. Mijając samochód, zwolnił i zajrzał do środka. Na miejscu kierowcy zobaczył bezwładnie pochylone do przodu ciało. Jako pielęgniarz umiałby udzielić pierwszej pomocy, ale nawet bez dokładnego sprawdzania nie ulegało wątpliwości, że ma przed sobą trupa. Podeszedł bliżej i na tylnym siedzeniu zauważył jeszcze kogoś, także nie - dającego najmniejszych oznak życia. Biegiem zawrócił na Lexington Avenue i wezwał policję. Zanim na miejsce dotarła ekipa zabezpieczająca ślady, uliczkę zamknęto. Błyskały błękitnobiałe światła, zakłócając spokój, jaki powinien trwać w ostatnich godzinach nocy - choć w tak dużym mieście Me zdarzało

się to często. Samochód wydziału medycyny sądowej stał zaparkowany obok auta ofiar, plastikowe worki i nosze czekały na ładunek. Detektywi z posterunku Dwa - Pięć byli już na miejscu. Gdy Amanda i Pete Doyle zaczęli wstępne oględziny, funkcjonariusz, który dostał ową sprawę, wygłosił opinię, że to zwykła gangsterska egzekucja. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że miał rację. Górna część ciała kierowcy była lekko przechylona w bok, głowa stykała kierownicy, usta jakby zamarły w okrzyku zaskoczenia, że coś podobnego mogło się przydarzyć. Sądząc po tłustej plamie wokół rany wlotowej, zabójca strzelał z odległości nie większej niż ćwierć metra. Amanda jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, by wcześniej sprawca i ofiara prowadzili przyjazną pogawędkę.

Na tylnym siedzeniu, w prawym rogu, leżał skulony drugi mężczyzna. Gdyby nie dziura w czole, można by sądzić, że drzemie. Tak jak u kierowcy, nie widać było wyjściowej rany po kuli, co zdawało się potwierdzać wersję detektywa. Mafia często zabijała z ręcznej dwudziestki, a wystrzelony z niej pocisk nie ma dość siły, by przebić czaszkę na wylot - za to wskutek wewnętrznego rezonansu powoduje straszliwe zniszczenia w mózgu i krwotok wewnętrzny. Człowiek na tylnym siedzeniu został zastrzelony przez okno z prawej strony, z odległości większej niż kierowca, lecz był równie martwy. Przed sfotografowaniem ciała Amanda zrobiła ujęcie miejsca wokół samochodu. Wraz z Pete'em zbadali każdy centymetr w poszukiwaniu materiału dowodowego: łusek po nabojach, śladów krwi, strzępów ubrania, czegoś, co mogło wypaść z kieszeni zabójcy albo zostało przez nieuwagę zostawione. Teren okazał się irytująco czysty, i poza odciskiem buta, który zauważyła Max na cienkiej warstwie błota obok drzwi kierowcy, nie znaleźli niczego. Słabo zaznaczony, niewiele był wart, niemniej jednak wszystko, co zostanie znalezione na miejscu zbrodni, ma znaczenie, dopóki nie zostanie dowiedzione, że jest inaczej. Ustawiła aparat na statywie - i skierowała obiektyw w dół. Z torby z przyrządami wyciągnęła linijkę i położyła ją obok odcisku buta, oznaczając skalę. Zrobiła kilka ujęć z góry, potem zdjęła aparat z trójnoga i zrobiła serię zbliżeń. Odcisk spryskała czarną farbą do gruntowania, tworząc cień, co pozwoliło odróżnić wgłębienia od wypukłości. Gdy już utrwalała na kliszy spryskane miejsce pod każdym możliwym kątem i z każdej strony,

powoli obeszła samochód, szukając dalej. Doyle zabezpieczył ślad buta, by móc później wykonać szczegółową analizę.

Na znak Amandy, sygnalizującej zakończenie pierwszej fazy oględzin, ekipa z prosektorium zabrała zwłoki. Któryś z detektywów oznajmił, że pasażer to Vito Albanese, capo z okresu panowania Big Raya Saviano. Kierowcy nie zidentyfikowano.

Amanda przystąpiła do drugiej rundy zdjęć i dołączyła do Pete'a, żmudnie zbierającego wszelkie możliwe ślady. Poza próbkami krwi mieli niewiele. Znalazła strzęp materiału, zaczepiony obok klamki w drzwiach kierowcy. Być może ofiara próbowała się wydostać, by walczyć z napastnikiem albo uciec. Drzwi prawdopodobnie uderzyły mordercę, a ten gwałtownie odskoczył, by wycelować w kierowcę. Wkładając właśnie próbkę do woreczka z folii, gdy rozległ się znajomy głos: - Co taka miła dziewczyna robi w takim miejscu?

Odwrócili się oboje - Amanda i jej partner, który wewnątrz samochodu szukał odcisków palców.

- Mówisz do mnie, Fowler? - zawołał Pete.

- Bynajmniej. - Jake, uśmiechając się oblesnie, zajrzał do auta. - Ładniutki z ciebie chłopczyk, Doyle, ale nie w moim typie.

- A niech to! Sądziłem, że dzisiejszej nocy wyglądam szczególnie pociągająco. Jake potrząsnął głową.

- Można by cię określić na różne sposoby, człowieku, ale pociągający... - Wskazał na Amandę i uśmiechnął się ponownie. - Ona to co innego.

- To miejsce zbrodni. - Dziewczyna walczyła z zalewającym jej twarz rumieńcem. Popatrzyła na zegarek, następnie na Jake'a. - Piąta rano. Można spytać, co o tej porze robisz tak daleko od domu i biura?

- Mam przyjaciela w wydziale do zwalczania zorganizowanej przestępczości. Daje mi znać, gdy zapowiada się jakaś ruchawka w kręgu klanu Saviano.

Amanda zdążyła już zapomnieć o zainteresowaniu Jake'a ludźmi z tego kręgu. Co za ironia losu, pomyślała, łączy nas ta sama przestępcza rodzina. Zastanawiała się, ile punktów przyznałby im „Cosmopolitan” w jednym z tych swoich quizów: „W jakim stopniu się uzupełniacie?”.

- Mówił, że to wygląda na egzekucję.

Amanda nie była tego taka pewna. Wprawdzie owej teorii dowodziłyby strzały w głowę, jeden pocisk, brak broni, z której go

wystrzelono, oraz łusek, śladów czy też włosów - nie było nic, co mogłoby ułatwić identyfikację sprawców, ale mafijni zabójcy na ogół noszą buty o gładkich skórzanych podeszwach. Odcisk, który sfotografowała, prezentował natomiast wzór preferowany raczej przez członków gangu. Także włókno materiału przypominało lśniący syntetyk z krótkich kurtek, popularnych na ulicy.

- Jakież wstępne ustalenia? Wiosenne porządki mafii? A może to Latynosi włączyli się do zabawy?

- Wiesz, że nie wolno mi dzielić się żadnymi domysłami - odpowiedziała. - Aha. - Jake obrzucił wzrokiem okolicę, samochód, popatrzył na

otwarte drzwi. - Musieli znać zabójców - myślał głośno, wskazując na starannie zaparkowany samochód. - Zatrzymali się z własnej woli. Max i Pete doszli do tego samego wniosku.

- Myślę, że na kogoś czekali. Gdy ten ktoś się pojawił, kierowca otworzył drzwi, by podać towar lub odebrać worek z gotówką.

Amanda nie pomyślała o takim przebiegu wypadków, lecz teraz wydał jej się prawdopodobny.

- Tylko na kogo czekały te jeszcze ciepłe zwłoki? Na jakiegoś „Mr Biga” z innej rodziny? Albo na przedstawiciela najnowszych partnerów w biznesie klanu Saviano? - Twarz mu się ściągnęła, głos drżał, jakby Fowler walczył z naporem podsuwanych mu przez wyobraźnię możliwości. - Co za różnica! - rzucił, a Amanda pomyślała, że coś za bardzo mu wesoło. - W każdym razie miasto ma o dwóch drani mniej.

- Jeżeli nie sprawia ci to różnicy - sondowała delikatnie - to dlaczego o tak niehumanitarnej porze zrywasz się z łóżka i pojawiaasz na miejscu zbrodni? Czego szukasz, Jake, co masz nadzieję znaleźć?

Głęboko westchnął i wzruszył ramionami, przez chwilę nie umiając podać sensownego wytłumaczenia.

- Może to jakaś niezdrowa ciekawość lub podświadoma, patologiczna fascynacja popełnionymi przez gangi morderstwami? A może chore pragnienie zemsty? Wiesz, oko za oko. Tysiąc tamtych za mojego ojca. - Pustka w jego oczach wskazywała, że myślami powędrował w przeszłość, widział inne twarze i inne zbrodnie. - Kogoś zidentyfikowano? - zapytał, wracając do teraźniejszości.

- Uważają, że ten z tyłu to Vito Albanese.

Jake wysunął szczękę i zmrużył oczy. Odwrócił się od Amandy i zajął do samochodu, by popatrzeć na miejsce, gdzie krew tamtego poplamiała siedzenie. Dziewczyna była pewna, że słyszy, jak mruczał pod nosem: Doskonale! W milczeniu przyglądała się, jak z rękami w kieszeniach spoglądał na chodnik i tylko nerwowe przytupywanie prawej nogi zdradzało, jak mocno jest poruszony.

- To Albanese wtedy strzelał - powiedział wreszcie, wypluwając słowa, jakby parzyły mu język. - On był sprawcą morderstwa w samochodzie Archiego.

- Mówiłeś, że nigdy nie znaleziono zabójcy. Że sprawa twojego ojca pozostała niewyjaśniona.

- Oficjalnie. Ale kilka lat temu dostałem informację od naszej wtyczki w organizacji - wyjaśnił Jake. - Wygląda na to, że owo „zabójstwo z dodge darta” sprzed lat, jak je eufemistycznie nazwano, ustawiło Alabanese. Amanda zauważyła, że Jake zaciska i rozprostowuje pięści niczym bokser rozluźniający dłonie przed walką.

- Potrafisz to sobie wyobrazić? Ten pieprzony śmieć się przechwalał, kim to on jest! Jak łatwo mu przyszło dokonać ohydneho mafijnego rytuału inicjacji! - Wykrzywił wargi, jakby poczuł gorzki smak w ustach. - Cóż łatwiejszego?! Strzelasz do kogoś z zimną krwią, upychasz zwłoki do bagażnika i zostawiasz, by zgniły pod kupą żelastwa. Bingo! Już zdobyłeś pozycję w rodzinie. Amanda wzięła go za rękę.

- Jake - powiedziała łagodnie, choć z naciskiem: - Albanese nie żyje. Twojego ojca nie ma od dwudziestu lat. Czas dać sobie spokój z tą całą historią. Odskoczył od niej jak oparzony. Wyrwał dłoń, zbliżył twarz ku Amandzie i spiorunował ją wzrokiem.

- Żywy czy martwy... ci ludzie odebrali mi ojca. Możesz być pewna, że nigdy nie wybaczę i nie zapomnę. Przenigdy nie zamknę akt Archiego Fowlera. Odsunął się ze złością; potrzebował czasu i dystansu, by się uspokoić. Amanda już żałowała swych niedawnych słów. Nie tylko były nietaktowne, ale i nieszczerze. Ona nie zamknęła sprawy Saviana ani nie zamierzała tego zrobić. Jak więc mogła żądać od Jake'a czegoś, czego sama by nie uczyniła? Pete wyszedł z auta i zabrał się do zbierania sprzętu.

- Sądzę, że zrobiliśmy wszystko, co do nas należało, kochani - powiedział. - Poskładam manatki, zadzwonię na komisariat i zbadam sytuację. Kto wie, może będziemy mieli szczęście!

Amanda skinęła głową. Zostały im jeszcze trzy godziny dyżuru i noc dłużyła się okropnie. Max miała już serdecznie dość, ale teraz na chwilę zapomniała o zmęczeniu - powinna przeprosić Jake'a za swą gruboskórność.

- Wybacz - powiedziała, podchodząc do niego - przesadziłam.

- Aha - nie odwrócił się - ja też.

- Nie miałam prawa tak mówić. Zwłaszcza że na twoim miejscu czułabym to samo.

- Nie sądzę. - Gdy się odwracał, spodziewała się ujrzeć na jego twarzy gniew, zobaczyła jednak dziwną minę, jakby powstrzymywał się od śmiechu. - Na moim miejscu trzęsłabyś się ze zdenerwowania i - wędrował wzrokiem od jej stóp do swoich - prawdopodobnie czułabyś się trochę głupio.

Zaskoczył ją własny chichot, nie przypuszczała, że w tej chwili ma jeszcze poczucie humoru.

- O której wypuszczą cię z tego domu wariatów? - spytał Jake, już trochę spokojniejszy.

- O ósmej i ani chwili wcześniej.

- Ósma, świetnie. - Zdawał się dochodzić do siebie. Nie spuszczał z Amandy wzroku. - Co robisz dzisiaj po południu?

- Mam nadzieję, że będę spała.

- Potrzebujesz tylko kilku godzin.

- Może takim twardzielom jak ty wystarczy - zaprotestowała, demonstracyjnie podtrzymując palcami powieki - ale dziewczyna potrzebuje więcej snu, dla urody.

- Dla ciebie półtorej godziny. - Jake nie przyjmował do wiadomości, że sen był konieczny dla jej wyglądu jak krem dla suchej skóry. - No to jeśli już wyjaśniliśmy tę kwestię... Jakie masz plany na dzisiejsze popołudnie? Natarczywość detektywa rozbawiła Amandę. Gdyby tylko znalazła się w pobliżu tego mężczyzny, w głowie zaczynało jej szumieć, całkiem jakby elektryzował powietrze. Dodawał jej energii i równocześnie pozbawiał tchu.

- Nie wiem. Ale przypuszczam, że ty masz jakiś pomysł.

- Pewnie! Przyjdę po ciebie w południe. - Jęknęła; głowa chwiała jej się z boku na bok niczym wskazówka metronomu. - Wiesz, wyglądasz wspaniale, gdy jesteś taka bezradna. - Najwyraźniej zbyt nie przejmował się jej zmęczeniem. Jęknęła znowu. - No dobrze, dwunasta trzydzieści, ale najpóźniej - zgodził się łaskawie.

- Na co?

- „Co” nie ma znaczenia, bo „kto” to ja. - Gdy się uśmiechnął, na jego twarzy zobaczyła dołeczki. - I żadnego wydziwiania, tym razem wystarczą dzinsy i zwykły podkoszulek.

- Dobrze, dobrze, ostatnim razem obiecywałeś garnitur i co?

- To prawda, ale tym razem nie kłamię. - Położył dłoń na sercu, a potem uniósł dwa palce jak skaut składający uroczyste przyrzeczenie - Zmierzył Amandę wzrokiem od stóp do głów, od adidasów po koński ogon. - Poza lateksowymi rękawiczkami i mundurową kurtką, przyjdź jak stoisz, tak będzie najlepiej.

- A mogę wziąć prysznic, panie?

Pochylił się ku niej i pociągnął nosem. - Rzeczywiście, niespecjalnie przepadam za tym zapachem. - Nie lubisz eau de kostnica? - udawała zaskoczona takim brakiem gustu. - Spróbuję znaleźć coś innego.

Uśmiechnął się lekko z zadowoleniem, jakby na znak wspólnej tajemnicy - Teraz ty kłamiesz, przecież nie używasz perfum. Odwzajemniła ów uśmiech, zaskoczona, że zauważył tak intymny szczegół. Nie miała w domu nawet buteleczki wody kolońskiej. W jej zawodzie perfumy przeszkadzały, zabijały zapachy mogące okazać się ważnym śladem. Zresztą woń śmierci wdzierała się wszędzie i nic nie mogło z nią konkurować, przytłumić jej czy całkiem wyeliminować.

- Pożegnaj się, Fowler. - Pete otoczył Amandę ramieniem i poprowadził ją do samochodu. - Ja i moja dziewczyna musimy jechać. Po drugiej stronie miasta mamy następne zabójstwo. Jakiś facet najwyraźniej uważał, że żona zbyt głośno chrapie, bo rozbił jej głowę kijem baseballowym.

- Cudownie! - Ze skrzywioną miną zarzuciła na ramię torbę ze sprzętem.

- Dwunasta trzydzieści - przypomniał Jake. Gdy odjechali, Pete zachichotał.

- Naprzód ten Tyler, teraz Fowler. No to, Maxie, który sprawia, że tracisz... głowę? Nawet nie patrząc na partnera, widziała jego dwuznaczną minę.

- Nie jestem pewna. Tyler - specjalnie wymówiła jego imię poprawnie, nie naśladując skandowanego rytmu dziecięcych wierszyków, jak przed chwilą Pete - jest elegancki, mądry i

niesłychanie światowy. Trzy cechy, które dla ciebie pewnie brzmią jak nie z tego świata.

- A Jake? - Partner zignorował docinek.

- Jake ma dołeczki.

Przy następnym czerwonym świetle Pete odwrócił się do niej, a na jego twarzy malował się wyraz urażonej męskiej dumy.

- Ja też mam dołeczki - oświadczył z wyrzutem. Amanda uszczypnęła go w policzek.

- Zapewne, ale nie na twarzy. Dokładnie o dwunastej trzydzieści zadzwonił domofon.

- Zaraz schodzę. - Rozpoznała głos Jake'a.

Miała na sobie niemal dokładnie to samo, w czym widział ją przed kilkoma godzinami: biały podkoszulek i znoszone dżinsy. Adidasy wymieniła na mokasyny, policyjną kurtkę na blezer, a torbę ze sprzętem zastąpiła małym skórzanym plecakiem. Zrobiła też dyskretny makijaż

- Dokąd? - Z zadowoleniem zobaczyła, że tym razem nie kłamał nosił dżinsy, drelichową koszulę i granatowy podkoszulek, upchnięty za pasek.

- Brom.

Bez dalszych wyjaśnień poprowadził ją w stronę Osiemdziesiątej Szóstej, do stacji metra. Złapali pociąg C, wysiedli przy Sto Sześćdziesiątej Pierwszej, przed stadionem Jankesów.

- Jak mogłabyś, uważając się za mieszkankę Nowego Jorku, przegapić otwarcie sezonu rozgrywek z Bostonem? - Jake aż promieniował zadowoleniem.

- Chyba nie przeżyłabym tego - przyznała Amanda.

- No właśnie!

Gdy przepychali się przez tłum, trzymał ją pod ramię i Amanda poczuła rozkoszny dreszcz. Szli ciemnym korytarzem, minęli sklepy z pamiątkami, stoiska zjedzeniem i inne pomieszczenia, aż dotarli do szerokiego wyjścia, przez które dostrzegła jasne słońce i boisko baseballowe. Mieli miejsca na dole, w przednim rzędzie wzdłuż linii trzeciej bazy.

- Pilnuj jak własnego życia. - By podkreślić, że miejsce jest zajęte, rzucił na siedzenie plecak Amandy. - Idę po prowiant, wracam za chwilę. Zasalutowała z udaną powagą i zachichotała rozbawiona, Jake zaś pobiegł schodami w górę i zniknął jej z oczu. Czekał na

jego powrót, podziwiała „dom, który zbudował Ruth”*. Stadion był olbrzymi, mógł pomieścić około sześćdziesięciu tysięcy kibiców. Amanda lubiła ten sport i z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu zobaczy mecz na żywo.

W Waszyngtonie wraz z Beth mieszkały w pobliżu stadionu, ale gdy przeniosły się do Los Angeles, stadion Dodgersów wydawał jej się zbyt otwarty i za bardzo wyeksponowany. Beth obawiała się zwłaszcza sytuacji, w której nie będzie mogła szybko znaleźć schronienia ani opuścić swego miejsca. No i lękała się tłumu. Po przenosinach do Nowego Jorku Amanda, jeżeli tylko pozwalał jej czas, oglądała mecze w telewizji - Nigdy nie pomyślała jednak o pójściu na stadion. Teraz rozumiała, czemu ściągają tu takie tłumy.

Dzień wyjątkowo nadawał się do spędzenia go na świeżym powietrzu. Słońce stało wysoko na błękitnym kwietniowym niebie, grzejąc tłumy zgromadzone w tym koloseum. Soczystą, zieloną trawę przystrzyżono w kwadraty niezwykle dokładnie. Miejsca, w których wyznaczono linie, świeżo zagrabiono, bazy w rogach lśniły czystością. Stadion wydawał się terenem przygotowanym na piknik i w istocie tak było. Sprzedawcy w pasiastych koszulkach oferowali różnorodne smakołyki, począwszy od piwa, poprzez orzeszki ziemne, po olbrzymie hot dogi, reklamując swój towar głośno, z wyraźnym akcentem Bronku. Wokół Amandy wykrzykiwano zamówienia, a potem wychylano się z rzędów i łapano podawany prowiant, gromadząc zapasy na długie popołudnie. Nieznajomi ludzie wymieniali poglądy, zastanawiając się, jak potoczą się rozgrywki, martwili się o ramię miotacza czy średnią dokonań łapacza. Psioczyli na obojętność właściciela, na przebieg ostatniej konferencji prasowej menedżera lub chłodny w tonie telewizyjny komentarz. Fanatyczna lojalność fanów połączyła wszystkich, bez względu na wiek, rasę czy status ekonomiczny.. Atmosfera wspólnoty udzieliła się także Amandzie.

Jako jedna z niewielu kobiet w swym zawodzie była otoczona przez zagorzałych entuzjastów sportu. Nie podzielała ich miłości do futbolu czy hokeja - dla niej, jeżeli trzeba zasłaniać niemal każdy centymetr ciała, głowę chronić kaskiem, a twarz zakrywać maską, to nie sport, lecz zorganizowana przemoc, a tej miała dość w pracy. Uwielbiała jednak rozgrywki NBA i baseball - ten narodowy amerykański sport.

Pociągały ją te dwie dyscypliny, bo chociaż i tu praca zespołu wpływała na ostateczny wynik, wysiłki każdego z grających były nie mniej ważne i widoczne. Nie było maski, za którą miotacz mógłby ukryć rumieniec wstydu, gdy nie trafił do celu, a łapacz zażenowanie, gdy przepuścił lecącą piłkę. Na nogach nie masz ochraniaczy i nic nie zabezpiecza ciała przed ciosem niecelnie rzuconej piłki

- tak, jak na boisku koszykówki, gdzie padasz na twardą, niczym niewyścieloną powierzchnię. Gracz nie może ukryć swej słabości przed okiem widza, co Amanda uważała za przejaw wyjątkowej odwagi.

- Trzymaj! - Jake włożył jej na głowę całkiem nową czapkę, popularną wśród fanów Jankesów. Pochylił się, położył dłonie na daszku i delikatnie odginał, aż czapka uzyskała pożądaną kształt. Przez chwile zasłaniał twarz Amandy przed spojrzeciami sąsiadów. Potem z uśmiechem pochylił się i pocałował dziewczynę.

- Zaczynać! - krzyknął, ani na chwilę nie spuszczać z niej wzroku. Amanda odpowiedziała uśmiechem, z nadzieją, że nie zauważył narastającego w niej podniecenia.

Siedzący za nią mężczyzna z pokaźnych rozmiarów brzuchem, wylewającym się z przyciasnych dzinsów, powtórzył okrzyk Jake'a, apelując do niewidzialnych organizatorów.

- Zaczynać! - zachęcał siedzących w tym samym rzędzie kumpli do podjęcia wezwania.

Zareagowali chętnie i głośno. W ciągu kilku minut, jakby ci na górze natychmiast odpowiedzieli na życzenie fanów, z głośników popłynęła muzyka oraz informacja o rozstawieniu drużyn i Jankesi wkroczyli na boisko. Gdy przebrzmiał hymn, łapacz Bostończyków zajął stanowisko i rozpoczęła się walka. Amanda już nie pamiętała, kiedy ostatni raz przeżywała tyle radości. Okrzykami entuzjazmu zagrzewała graczy do walki, buczała, krzyczała na sędziów i spierała się z Jakim o słuszność decyzji gracza przy trzeciej bazie, jak również rozprawiała w świetnej komitywie z ludźmi, których nigdy wcześniej nie widziała. Śpiewała stadionowe piosenki, kiwała się wraz z innymi, klaskała z zapamiętaniem i podekscytowana tupiała nogą niczym dziecko. Zapomniała o wszelkich zasadach właściwego odżywiania i faszcerowała się cholesterolem, tłuszczem, cukrem, solą, dodatkami chemicznymi i garbnikami. Tylko na widok piwa zaprotestowała.

- Nie znoszę go - powiedziała wprost podczas siódmej rundy. Jake potrzęsął głową i cmoknął.

- Nie będę przed tobą ukrywał - powiedział ze szczerą miną - zamierzam napić cię alkoholem, aby zaraz po meczu zdobyć punkty dla siebie. Domyślasz się chyba, o co mi chodzi?

- No pewnie - odrzekła, z trudem powstrzymując uśmiech. Skrzywił się, jakby rozczarowany.

- No więc, jakie mam szansę?

- Pojąc mnie piwem? Prawie żadne.

- A co powiesz na butelkę dobrego wina? - Popatrzył na nią z nadzieją.

- Nie najgorsza propozycja.

Otoczył ją w pasie ramieniem i przyciągnął do siebie na tyle blisko, by móc pocałować.

- Nie mogę się już doczekać - szepnął.

Amanda, zaskoczona własną reakcją, odpowiedziała:

- Ja też.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi od mieszkania Fowlera, padli obie w ramiona, ogarnięci rozszalałym pragnieniem. Dotknięcie warg Jake'a rozpało Amandę niemal do białości niczym zagiew przyłożona do zakończeń nerwów. Namiętność, nagła i wręcz paraliżująca, sprawi - że tych dwoje nawet nie myślało o grze wstępnej. Język mężczyzny penetrował usta kobiety, jej ciało drżało z rozkoszy. Wsunęła palce w jego włosy, a on przywarł do niej mocno, pozwalając jej poznać siłę swego pożądania. Objęła go za szyję, a Jake, dłońmi oplatając jej kibić przyciągnął dziewczynę do siebie tak blisko, że oboje nie mogli oddychać.

Ciasno spleceni przesuwali się w kierunku sypialni. Jake, sięgając po drodze do kontaktów i klamek, wręcz wchłaniał wargami usta Amandy; porozpinała guziki jego koszuli, zsunęła mu ją z ramion; ściągnął z niej blezer, rozpiął pasek i zamek jej spodni. Po chwili ich drogę znaczyły rozrzucone na podłodze ubrania i buty. Teraz Jake, nie odrywając ust od warg dziewczyny, zaczął zdejmować z niej podkoszulek. Przywierali do siebie tak rozpaczliwie, jak gdyby pierwszy i ostatni raz mieli doznać tak gwałtownej rozkoszy, jakby w obawie, że pożądanie zniknie, gdy rozdziela się choćby na chwilę. Dotarli do sypialni i Jake niechętnie uwolnił się z ramion Amandy. Choć patrzył na nią z nieskrywaną żądzą, wahał się, pytając

wzrokiem, czy jest gotowa. Później zastanawiała się, czy właśnie nie w owej chwili zakochała się w tym mężczyźnie. Jake przyjął, że Amanda nie oddaje się łatwo, bo trudno jej przychodzi zdobyć się na zaufanie. Chciał, by wiedziała, zanim zaczną się kochać, że właśnie to słowo najlepiej określa ich wzajemny związek, a on, choć pożąda jej ciała, jeszcze bardziej pragnie, by mu uwierzyła. Bez wahania ściągnęła przez głowę podkoszulek i rzuciła go na stojące obok krzesło. Rozpięła stanik i przez cały czas patrząc Jake'owi w oczy, uwolniła piersi. Ciało miała gładkie, w odcieniu kości słoniowej, pełne i mocne. Wyciągnął ku niej ręce, ale go powstrzymała. Rozbieranie się było czymś więcej niż erotycznym obrzędem - stanowiło manifestację pewności siebie. Powoli zsunęła dzinsy i zdjęła majteczki. Zerwała z włosów opaskę i lśniące miedzią jedwabiste fale opadły jej na ramiona. Wreszcie, naga, pozbawiona jakiegokolwiek osłony, odwróciła się do niego.

Podszedł do niej nieśmiało, przepelniony wręcz nabożnym podziwem. Delikatnie położył ręce na jej ramionach, przesunął w dół, do dłoni - Zadrżała, napięte sutki aż ją zabołały. Wodził dłońmi po jej piersiach, całował je, jedną po drugiej. Amanda odchyliła głowę do tyłu, zapraszając, by kontynuował podróż warg - wyruszyły więc w górę przez usta, do ucha. Zatraciły się w wilgotności pod brodą; dłonie za' wróciły do piersi i pieściły je, aż słabła z pożądania. Drżącymi rękami rozpięła mu dzinsy i zsunęła je z bioder; delikatnie ujęła jego członek. Jake jęknął, błyskawicznie zrzucił z siebie resztki ubrania i uniósł Amandę w ramionach. Przez chwilę opuścił wzrok w dół, na trójkąt między jej udami.

- Cudowna! - Pełen zachwytu uśmiech rozjaśniał mu twarz.

Amanda odpowiedziała mu uśmiechem. Gdy kładł ją na łóżku, ustami przywarła do jego ust. Spodziewała się, że ogarnięty wybuchem szalonego pożądania weźmie ją natychmiast; on tymczasem pozwalał jej błądzić po morzu czułości. Do pograżonej w mroku sypialni dochodziło tylko światło z przedpokoju. Zasłony na oknach nie przepuszczały blasku dnia; Amanda nie chciała widzieć nic poza granicami określanymi przez łóżko - teraz cały jej świat, w którym ciało Jake'a było jedynym niezbadanym lądem. Teraz właśnie ten mężczyzna wyznaczał obszar jej egzystencji.

Wsparta na stercie poduszek, wdychała sandałowy zapach jego ciała i czuła się, jakby była gdzieś daleko w tajemniczej wschodniej

krainie, a nie w nowojorskiej kawalerce. Rozkoszowała się chłodem pościeli, gdy Jake delikatnie przesuwiał opuszkami palców po płaszczyznach, jakie znaczyły na jej ciele cienie. Niczym koniuszkami piór muskał jej skórę, kreśląc przerywane linie od jednej piersi do drugiej, w górę, do skroni i w dół, od pępka po ciemny trójkąt pomiędzy udami. Omijał najwrażliwsze miejsca, aż drżące z pożądania, ale i tak narastało w niej niewiarygodne napięcie, gorące i wilgotne. Ich wargi nie stykały się, tylko oczy chłoneły się nawzajem. Zapamiętali w zachwycie, czerpali rozkosz z bliskości swych ciał.

Gdy pragnienie stało się nie do zniesienia, miłosne tempo uległo przyśpieszeniu. Jake położył się na niej, wsunął dłoń pod jej biodra i uniósł ku swoim. Zafalowali w takt pieśni bez słów. Ich ciała poruszały się w gorącym rytmie jak w tańcu. Na chwilę odsunął się lekko, by mogli nawzajem się pieścić; ich podniecenie rosło aż do granic bólu. Wreszcie, nie mogąc już znieść rozdzielenia, wszedł w nią i połączyli się, oboje triumfujący w ostatecznym zjednoczeniu ciał i zmysłów.

Rozkosznie zmęczeni, leżeli przytuleni i żadne nie odczuwało potrzeby przykrycia własnej nagości. Jake trzymał w uścisku jej dłoń, splatając ze swymi drobne palce Amandy. Wtuliła twarz w jego ramię i cicho pomrukiwała.

- Jestem szczęśliwym człowiekiem - powiedział zwyczajnie.

Amanda uśmiechnęła się tylko. Na stadionie Jankesów czuła się szczęśliwa, później, gdy weszli do mieszkania, stan jej uczuć do tego stopnia przeszedł wszelkie oczekiwania, że nawet nie potrafiłaby go zdefiniować - zresztą osobiste zwierzenia nie leżały w jej naturze. Jake uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z góry.

- Nic nie mówisz. Mimo reputacji kochanka światowej klasy, jestem normalnym facetem, a co za tym idzie, czuję się zbyt niepewnie, by w takiej jak ta chwili poradzić sobie z milczeniem.

Pogłaskała go po policzku. Przytrzymał jej dłoń, uniósł do warg i pocałował po kolei wszystkie pięć palców.

- Proszę, powiedz mi, że po krainie czarów nie wędrowałem sam.

- Było cudownie - zapewniła go.

- Jednak słyszę jakieś „ale”. Nie znoszę tego.

- Znowu skłamałeś.

Przez chwilę miał zaskoczoną minę, lecz zaraz powiedział:

- Rzeczywiście, przyznaję się do winy.

Wyskoczył z łóżka i zniknął w holu, by zaraz wrócić z butelką wina i dwoma kieliszkami. Biodra owinał dużym ręcznikiem, drugi, który przewiesił przez ramię, rzucił Amandzie, gdy tylko uwolnił ręce. Zamiast nalać wina od razu, wszedł do łóżka.

- St. Emilion potrzebuje nieco czasu, by swobodnie pooddychać - powiedział i dotknął językiem zagłębienia między jej piersiami. - A prawdę mówiąc, ja też. Amanda musiała zagryźć usta, by nie usłyszał jęku pożądania. Nie należała do kobiet mogących wyliczać w nieskończoność swych kochanków, ale też nie była całkiem niedoświadczona. Już wcześniej mężczyźni podniecali i ją zaspokajali, jednak Jake Fowler rozbudził w niej coś więcej: uczucie, którego nie potrafiłaby określić. Zwłaszcza teraz, gdy nadzy, byli tak blisko, że aż parzyła ją własna wzburzona krew.

- Dzisiaj po południu, na meczu, byłaś cudowna - szepnął, lekko przygryzając koniuszek jej ucha. - Wiedziałem, że pod tym sztywnym mundurem nowojorskiej policjantki kryje się szalona fanka Jankesów, tylko marząca o tym, by wydostać się na wolność.

- Sprytny jesteś! - zamruczała. Drżała pod dotykiem dłoni kochanka, wsuwającej się pod ręcznik.

- No pewnie! - Czuła, jak pieszczące ją wargi rozchyła uśmiech. - Może wzniesiemy toast? - zaproponował.

- Jak wychodziliśmy, wynik nie wyglądał najlepiej - przypomniała Jake'owi, gdy podawał jej kieliszek.

- Nie mówiłem o oblewaniu zwycięstwa - powiedział, teraz nagle poważny - chcę, byśmy wypili za nas.

Słodkie uczucie, jakie ogarnęło Amandę, sprawiło, że nie mogła wy. krztusić słowa, Jake'owi jednak najwyraźniej nie przeszkadzało teraz jej milczenie. Z przyjemnością smakował mocne, czerwone wino i patrzył, jak upił łyk, walcząc z szalejącymi w niej emocjami. Gdy uznał, że minęło dość czasu, uniósł dłonią brodę dziewczyny, zwrócił ku sobie jej twarz i popatrzył prosto w oczy.

- Jesteś cudowną kobietą, Amando Maxwell, i chyba zakochuje się w tobie. - Widział, jak oczy jej ogromnieją, i leniwy uśmiech, który tak uwielbiała, zatańczył mu na wargach. - Wiem, takie słowa nie są rozważne, lecz w moim zawodzie nie mam czasu do stracenia. - Na jego twarzy miejsce uśmiechu zajęły walczące ze sobą uczucia miłości i smutku. - I nie chcę zmarnować ani sekundy z czasu, który mogę spędzić z tobą, Max.

Nawet nie próbowała ocierać łez płynących po policzkach - nie zawstydziły jej, przeciwnie, napawały zachwytem. Były rezultatem uczucia wyrażonego, przyjętego i odwzajemnionego.

- No to nie marnuj - powiedziała, oszołomiona swym oddaniem.

Wziął ją w ramiona i oprócz pożądania, jakie w niej wzniecił, poczuła coś więcej. Coś, co wydało jej się na tyle bliskie, by starczyło po to sięgnąć, ale jak myśl, która przebiega przez głowę, zniknęło, choć nigdy nie do końca, i znów się pojawiało, by umknąć na nowo.

Gdy wieczór przechodził w poranek, miłość przeplatała się ze snem, rozmową i cichą bliskością. Ale dopiero w kuchni, przy śniadaniu, gdy dyskutowali z ożywieniem, czy młodocianych przestępców lepiej wysyłać do domów poprawczych, czy zamykać w więzieniu, Amanda doznała olśnienia: to nieokreślone uczucie, ta dziwna, ulotna emocja, która pojawiała się razem z Jakiem - nigdy przy kimś innym - to dla niej coś naprawdę wyjątkowego: poczucie przynależności.

Po powrocie do swojego mieszkania Amanda miała wrażenie, jakby nie było jej w domu kilka tygodni, a nie zaledwie kilka godzin. Podświadomie wolałaby to pierwsze; czas spędzony z Jakiem był wyjątkowy. Niestety, proza życia ma to do siebie, że przerywa nawet najrozkoszniejszą idyllę - on musiał iść do biura. Gdy wspomniała, że akurat wypada jej wolny dzień, zaproponował, że też zrobi sobie wolne, lecz wybiła mu to z głowy. W końcu kiedyś powinna odrobić domowe zaległości. Najwyższa pora zrobić pranie, inaczej będzie musiała przyzwyczać się do chodzenia bez niczego pod spodem. Niespecjalnie ją zaskoczyło, że Jake uchwycił się tego pomysłu.

Ponieważ wychodząc z domu, nigdy nie zostawiała otwartych okien, owionęło ją zatechłe powietrze. Szybko rozsunęła zasłony, podniosła żaluzje i uchyliła okno, wpuszczając do saloniku złote światło wiosennego dnia. Gdy patrzyła, jak kolory i kształty mebli ożyły, oblane blaskiem słonecznych promieni, zastanawiała się, co pomyślałby Jake o jej mieszkaniu. Prawdopodobnie czułby się dobrze w tradycyjnie urządzonej sypialni. Choć większość mebli pochodziła z wyprzedaży, narzuty, niedrogie obicia oraz rzucone na kanapę i fotele poduszki przydawały pomieszczeniu ciepłego uroku. Nic tu do siebie nie pasowało, Przynajmniej według przyjętych kanonów, ale być może właśnie dlatego wnętrze miało niepowtarzalną atmosferę. Opasłe, puchate fotele w odcieniu poważnej zieleni

dotrzymywały towarzystwa dwuosobowej kanapce, przyozdobionej wstążkami i przyciągającej wzrok zuchwałym wzorem w duże, jaskrawożółte kwiaty. Stoły i lampy pełniły zdecydowanie użyteczną funkcję. Pochodziły z różnych okresów i tylko przypadek sprawił, że odpowiadały stylem pozostałemu meblom. Przeróżne Porcelanowe bibeloty zdobiły blaty stolików i półeczkę nad kominkiem.

Tu i ówdzie Amanda, gdy tylko sobie o tym przypomniała - najczęściej - po rozmowie z matką - wstawiała do wazonów świeże kwiaty. Znacznie częściej jednak szklane naczynia stały puste.

W sypialni, przy końcu korytarza, uniosła żaluzję i aż roześmiała się na myśl o Jake'u w tym pełnym jasnych kolorów, kobiecym gniazdku Pewnie przypuszczał, że ona mieszka w jakiejś norze o ciemnych, gołych ścianach, a tu zaskoczyłby go przytulny, ukwiecony kącik.

Ściany, zasłony, kapa, narzuta i fotel witały każdego przybysza per. kalem w kolorze różowego geranium. Blade odcienie dywaników wspólnie grały z kremową barwą tapet i gzymsów wokół sufitu. Kontrastu przy. dawało ciemne drewno komody i rozmaitych stoliczków. Haftowane poduszeczki, dywanik i kilka lamp wyszukanych na wyprzedazach za miastem oraz inne drobiazgi dodawały pokojowi wiktoriańskiego smaczku. Pełno tu było falbanek i koronek; kobiecy charakter pomieszczenia stanowił dokładne zaprzeczenie powszechnego wyobrażenia o Amandzie Maxwell. Ale ten pokój nie został zaprojektowany z myślą o detektywie pierwszego stopnia. Tu spełniły się marzenia dzieciństwa Amandy; tu mogłaby zamieszkać beztroska dziewczyna o solidnych rodzinnych korzeniach i mocnych związkach z lokalną społecznością; dziewczyna, która ma te same przyjaciółki od przedszkola po liceum, od zawsze zajmuje ten Sam pokój w tym samym domu i w tym samym mieście.

Było to także miejsce, gdzie kobieta, która spędziła cały czas dzieciństwo w drodze, mogła ludzić się, że wreszcie osiadła na stałe. Tu mogła gromadzić zbędne czasopisma i narzekać na zbyt mało miejsca w szafie. Mogła ukryć się między okładkami powieści i czuć się bezpieczna pod ulubionym pledem. I mogła tu żyć sama, lepiej znosząc samotność, bo pośród anonimowych drobiazgów znajdowały się skarby, które ona i matka zebrały podczas swych ciągłych podróży. Zdobywały je, prowadząc „grę w poszukiwanie”, wymyśloną przez Beth zaraz po ich pierwszej przeprowadzce. Przymusowy

wyjazd z Miami całkowicie wytrącił Amandę z równowagi. Gdy już po miesiącu znów musiały ruszyć dalej, Beth zaczęła obawiać się o psychiczną równowagę dziecka. Amanda zamknęła się w sobie, docierając niemal do początków katatonii. Cokolwiek Beth powiedziała, zrobiła czy zaproponowała, otrzymywała tę samą odpowiedź: Po co? Amanda nie chciała nazywać domem miejsc, w których mieszkały, nie używała nazw miast. Zawsze było to anonimowe miejsce.

Aby wyrwać z depresji córkę i dać jej choć trochę poczucia przynależności, Beth wymyśliła dla nich grę. Pozornym celem poszukiwań było wyszukiwanie drobiazgów nieposiadających cech, które mogłyby zdradzić ich pochodzenie. Prawdziwym celem Beth było zgromadzenie

przenośnych" wspomnień dla siebie i córki oraz przekonanie dziewczynki, że dom tworzą one same, a nie budynek, w którym mieszkają. co ważniejsze, chciała, by Amanda uwierzyła, że nadal ma pewną kontrolę nad własnym życiem, i że nie wszystko, co robią czy posiadają, wymaga aprobaty biura szeryfa. Na polowania wybierały się w weekendy. Przeszukiwały targi staroci, pchle targi na prowincji i sklepy, które dość swobodnie pojmowały określenie „antyki”. Ten czas matka i córka miały tylko dla siebie. Zaspokajały potrzebę posiadania czegokolwiek bez naruszania zasad programu ochrony świadka. Beth narzuciła zasadę kupowania tylko tego, co im się naprawdę podobało. Gust to sposób na określenie się, powtarzała Amandzie. Niezależnie od tego, gdzie mieszkają i jak się nazywają, pieczołowicie wybrane drobiazgi zawsze będą im przypominać, kim są - naprawdę. Z biegiem lat upolowane przedmioty stały się objawami triumfu nad wrogiem bez twarzy, który skazał ich na życie w samotności, w kraju zwanym „Nigdzie”.

Większość przedmiotów nabytych podczas „gry w poszukiwanie” pozostała w Kalifornii u Beth, ale gdy Amanda wprowadziła się do własnego mieszkania, zabrała ze sobą wszystko, co mogło jej się przydać. Na komodzie postawiła duże, owalne lustro w ramie z rzeźbionego drewna, które kupiły na garażowej wyprzedaży w Spokane. Po obydwu jego stronach ustawiła lichterze, jeden prosty, z mosiądzu, który Beth znalazła w ciągu ich krótkiego pobytu w Aberdeen w Południowej Dakocie, a drugi z błękitnej glinki - dziewczyna zakochała się w nim na pchlim targu pod Norfolk w

Nebrasce. Doniczkę z ceramiki, przywiezioną z wycieczki do Portland w Oregonie, postawiła na parapecie i hodowała w niej fiołek alpejski; stała tu też porcelanowa waza z galerii rzemiosła w Rapid City w Południowej Dakocie i ulubiony przez Amandę zestaw rysunków, przedstawiający małpki, który Beth kupiła jej jako prezent urodzinowy podczas podróży do Seattle.

Amanda zatrzymała się na chwilę w drzwiach swego królestwa, potem zaś uśmiechając do siebie wróciła do saloniku i wygodnie usadowiła się w jakby stworzonym do odpoczynku fotelu. Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że jej mieszkanie nie tylko cechuje bardzo osobisty styl - lecz jest także wyjątkowe. Nigdy nie wyobrażała tu sobie nikogo °Prócz siebie. Ci, na których jej zależało - Beth, wujek Sam, czy też Lionel - nie zaryzykowałiby odwiedzin, innych nie zaprosiłaby pod żadnym pozorem. Raz czy dwa była tu Annie, ale i ona zrozumiała, że m powinna wpadać niezapowiedziana.

Teraz jednak Amanda poczuła nieprzepartą chęć zaproszenia tutaj Jake'a - ugotowałyby dla niego obiad, dopełniła mieszkanie świeżym; kwiatami, zapachem wonnych świec i muzyką. Chciała kochać się z nim w swej różowobiałej sypialni i patrzeć na jego ciemną czuprynę na swej poduszce a la „słodkie sny”. Zapragnęła podać mu śniadanie do łóżka, na tacy z białej trzciny, razem z nim oglądać w telewizji mecz baseballowy albo w ciszy popijać wino przy kominku. Jak to możliwe że brała pod uwagę taką ewentualność, że odważyłaby się wpuścić go do swej samotni i uwierzyła, iż może tak postąpić, nie obawiając się zdemaskowania, odkrycia jej prawdziwej tożsamości. Być może prośby Lionela, by pozwoliła sobie na zaufanie i miłość, zaczęły wreszcie działać. Z myślą o ojcu chwyciła gazetę, ciekawa, czy Hallie Brendel ponowiła na niego atak. Niestety, nazwisko Lionela znów widniało na tytułowej stronie. BAIRD WYPRAŁ OSIEM MILIONÓW DOLARÓW CHISOLM POSIADA DOWODY!

Amanda czytała przerażona. Według autorki artykułu, ktoś dostarczył senatorowi Chisolmowi plik dokumentów bankowych poświadczających przelew ośmiu milionów dolarów na jedno konto, dokonany za pośrednictwem niewielkiej firmy handlowej Spairson, McShane & Partners. Nazwisko właściciela konta brzmiało: Alberto Delia Robbia. Człowiek ten podawał się za przedstawiciela Unitekusu, szwajcarskiej firmy handlującej surowcami, w istocie zaś był

członkiem sycylijskiego odłamu rodziny Saviano, znanym z wdzięku i sprytu, z jakim dokonywał prania pieniędzy. Delia Robbia otworzył konto w grudniu 1992 roku i w pierwszych miesiącach roku 1993 wyprał pięć milionów dolarów, a w ciągu trzech ostatnich następne trzy. Agenci federalni chcieli go przesłuchać, jednak Alberto zdążył wcześniej zniknąć. Firma Spairson, McShane & Partners okazała się filią banku Baird, Nathanson & Spelling. Urzędnikiem na kierowniczym stanowisku, wymienianym pośród pracowników obsługujących podejrzaną konto, był Lionel Baird.

Amanda mocno zacisnęła usta. Nienawidziła tej kampanii, mającej na celu obrzucenie błotem jej ojca, ale jeszcze bardziej obawiała się, by Hallie Brendel, kopiąc głębiej, nie dotarła do prawdy o tym, co stało się, a raczej nie stało przed dwudziestoma laty. Rozgniewana i zaniepokojona odrzuciła gazetę i poszła zadzwonić do Lionela. Sięgając po słuchawkę, zauważyła mrugające światełko automatycznej sekretarki. Odczytała trzy wiadomości.

- Jeżeli jesteś wolna dzisiaj wieczorem, zjedźmy razem kolację. - Lionel starał się mówić obojętnym głosem, lecz usłyszała pewną niepokojącą nutę.

Ojciec zachował się wspaniale, gdy przyszło mu podporządkować się zasadom wyznaczonym przez nią i wujka Sama, ostatnio jednak zauważyła u niego oznaki ukrywanego stresu. Amanda obawiała się, by wyprowadzony z równowagi, nie popełnił błędu, który mógłby drogo kosztować ich wszystkich.

Druga wiadomość pochodziła od Annie, która także mówiła nieco zdenerwowanym głosem.

- Hej, Max, to ja, Annie, musimy porozmawiać, ale to może poczekać. Chociaż nie, lepiej pogadajmy od razu, sama już nie wiem! Zadzwoń do mnie, nie zwlekaj, proszę.

Nim Amanda zdążyła spełnić prośbę przyjaciółki, usłyszała trzecią wiadomość:

- Panno Maxwell, tu kwiaciarnia z Columbus Avenue. Mamy zamówienie, które chcielibyśmy zrealizować. Proszę skontaktować się z nami, telefon 555 - 8932. Od kogo te kwiaty? Drżącymi palcami wybierała numer kwiaciarni. Gdy ktoś się odezwał z drugiej strony, zaczęła odmierzać czas, by, jeśli coś wyda jej się podejrzanym, przerwać połączenie i udaremnić namierzenie jej. Usłyszała męski

głos, ten sam, co na sekretarce, który, gdy się przedstawiła, wyraził chęć dostarczenia jej kwiatów. Spytała, kim jest wysyłający.

- Tyler Grayson - usłyszała w odpowiedzi, a uśmiech, którego nie potrafiła powstrzymać, mile połaskotał jej policzki i wargi.

- Mam na mieście sprawy do załatwienia - powiedziała, w duchu wyrzucając sobie nadmierną podejrzliwość - odbiorę te kwiaty w drodze do domu. Mężczyzna zaprotestował: bukiet jest sporych rozmiarów i może sprawić jej kłopot, ale Amanda nie dała się przekonać. Nie pozwalała na dostawy do domu. Oddzwoniła do Annie, jednak odpowiedziała tylko automatyczna sekretarka. Amanda obiecała zadzwonić ponownie. Potem wybrała numer komórki Lionela - telefon nie odpowiadał. Zmęczona tą telefoniczną grą w chowanego, postanowiła zająć się własnymi sprawami. Wzięła torbę z brudnymi rzeczami i proszek do prania i już miała wychodzić, gdy zadzwonił telefon.

- Wiesz, wygrali Jankesi. Głos Jake'a na nowo wzbudził w niej pożądanie; oblała ją fala gorąca.

- Hura! - zawołała i rozejrzała się wokół speszona, jakby ktoś mógł być świadkiem tak swobodnego zachowania.

- Aż trudno uwierzyć, że im się udało, choć opuścił ich taki wspaniały pomocnik. - Lekko kpiący ton głosu Fowlera brzmiał uwodzicielsko.

- Gdzie jesteś? - zapytała i usiadła w fotelu, tuląc poduszkę niczym omdlewająca z zachwytu nastolatka.

- W biurze. Zaprosiłbym cię tutaj, by nacieszyć się twym ciałem, ale przyszła moja matka, jesteśmy ze sobą blisko, jednak nie aż tak.

- Jesteś okropny!

- Wiem. To jedna z moich najbardziej czarujących cech. - Nastąpiła pełna oczekiwania chwila milczenia. - Wczorajszy dzień, noc i dzisiejszy poranek były niesamowite, Max. Ryzykując, że okażę się banalny, pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że ty czujesz to samo.

- To prawda. - Chętnie powiedziałaaby coś więcej, wyznała, jak bardzo podobał jej się w roli kochanka i jak cudownie czuje się jeszcze teraz, ale słodkie słówka nie przychodziły jej łatwo. Jake domyślał się tego, jednak nie ustępował.

- Tylko tyle? - zapytał z przesadnie zaakcentowanym niedowierzaniem. - To prawda? Wiesz, Maxwell, gdy idzie o lakoniczność, sam Jack Webb nie miałby przy tobie szans. Gołe fakty,

bez żadnych ozdobników, bez żadnej kwiecistości. Nic w rodzaju, jakim to cudownym kochankiem jest Jake Fowler lub: „nigdy jeszcze nie spotkałam mężczyzny tak namiętnego jak ty! Gdzie chowałeś się przez te wszystkie lata?” Łatwiej jej było obrócić wszystko w żart i przypuszczała, że on o tym wie.

- Bez żadnych upiększeń. Gołe fakty. Było cudownie. Ty byłeś cudowny. Dziesięć do czterech.

Roześmiał się i niemal widziała, jak wokół jego oczu ukazują się zmarszczki, a usta z obu stron ozdabiają owe słynne dołeczki.

- W porządku - odrzekł. - Chcesz grać trudną. Zobaczmy, czy ci zależy... - przerwał, jakby prowadził quiz i przeznaczył jej trzydzieści sekund na właściwą odpowiedź.

- Zależy mi - przyznała. - Świetnie. - Jego głos zdawał się obejmować ją i tulić. - Kiedy cię zobaczę? Czy dzisiaj wieczorem to za wcześnie? Poczula smutek. - Dzisiaj nie mogę ani też żadnego wieczora w tym tygodniu, gdyż mam nocną zmianę.

- Cóż, na szczęście, na drugie, imię nie dano mi Dracula, funkcjonuję równie dobrze w godzinach dziennych. Co byś powiedziała na jutrzejszy lunch?

- Brzmi zachęcająco.

- U mojej matki.

- Jeszcze lepiej, bardzo bym ją chciała poznać.

- Nie wierzysz, że ktoś może się do mnie przyznawać, prawda? Coś w tym rodzaju.

- Może o jedenastej? Grace zaczyna podawać o dwunastej, czy ktoś jest przy stole, czy nie.

- No to do zobaczenia.

Odkładając słuchawkę westchnęła, w ramionach nadal tuliła poduszkę. Co ja wyprawiam? - serce zabiło jej mocniej, odezwał się syndrom programu ochrony świadka. Zachowuje się jak rozmarzona uczennica, pozwalająca, by rządziły nią hormony. Za dużo się działo, i to nie wróżyło nic dobrego; nie pora teraz, by przestać mieć się na baczności. W obecnej sytuacji Amanda potrzebowała trzeźwej głowy i wzmożonej uwagi.

Odkąd jednak Jake Fowler wdarł się w jej życie, może mieć z tym kłopoty. Porwał ją na swą orbitę niczym potężne pole magnetyczne. I uwiódł nie tylko seksem - choć wysoko uplasowanym w skali Richtera, lecz także uczuciem bliskości, tak dla niej niezwykłym,

potęgującym jeszcze namiętność; i tym inteligentnym sposobem, w jaki rozmawiał z nią o jej pracy i fotografiach, dostrzegając, że w każdej ukazuje tak wiele samej siebie; i łatwością, z jaką odsłaniał przed nią własną przeszłość; i zaufaniem - a także delikatnością, z jaką próbował wejść w jej życie. Był arogancki, pewny siebie i działał według własnego kodeksu sprawiedliwości, ale jednak Amandę niesłychanie pociągała jego prostolinijność. Jakże mogłoby być inaczej? Bez wahania sięgnął w gąszcz otaczającej ją tajemnicy, nie zniechęcając się murem, który wzniosła wokół siebie. Innych mężczyzn onieśmielał jej sposób bycia. Jake najwyraźniej nie zamierzał rezygnować. Wzrok Amandy padł na adres kwaciarni i zaczerwieniła się nagle.

- Inni mężczyźni - mruknęła pod nosem, zaskoczona, że jej życie towarzyskie wyraża się nagle w liczbie mnogiej.

Jake był śmiały, ekscytujący i z pewnością zagarnął lwią część jej serca, ale to dopiero poranek po miłosnej nocy. Rano po nocy z Tylerem odczuwała pewne oczarowanie, lecz owo oszołomienie wkrótce zanikło. Czy obecne przeżycia także zbledną?

Nagle Amandzie wydawało się, że odrywa płatki ze stokrotki. Kocha go, nie kocha, kocha, nie kocha. Parsknęła śmiechem. Niedługo zacznie się zastanawiać, co lepiej będzie wyglądać: pani Tylerowa Grayson czy pani Jake'owa Fowler. Skarciła się w duchu za te myśli, ale roztrząsanie problemu, który z owych cudownych mężczyzn bardziej ją pociąga, stanowiło taki luksus, że pozwoliła sobie na to jeszcze przez chwilę.

Fizycznie obaj mocno na nią działali, choć musiała przyznać, że na Tylera nie reaguje tak gwałtownie jak na Jake'a. Intelktualnie tamten podbił ją swą znajomością historii i polityki oraz upodobaniem do kulturalnych wrażeń. Jake'a jednak nie można było nazwać ignorantem. Od swego rywala różnił się stosunkiem do sztuki i interpretacją wydarzeń. Grayson rozpatrywał twórczość artystyczną w szerszym kontekście, mając w pamięci perspektywę historyczną i dziedzictwo kulturowe. Jake niemal na wszystko patrzył bardzo wnikliwie i rozważał, co sprawiło, że dana osoba postąpiła tak, jak postąpiła. Czy dany fakt spowodował wpływ środowiska, czy też kompleks Edypa - dla Jake'a każde zjawisko miało swą określoną motywację, przeszłość traktował jako prolog chwili obecnej.

Emocjonalnie Amanda czuła się bardziej związana z Tylerem. Jake elektryzował ją, ale przecież zetknięcie dwóch przewodów równie dobrze mogło spowodować wybuch jak i przepływ energii. Tylera znała dłużej... I chyba lepiej mogła mu ufać. A Jake'owi?

Pozornie budził większe zaufanie. Wydawał się otwarty i prostolinijny, opowiadał o swej przeszłości, o uczuciach, jakie wywołało w nim zniknięcie ojca. Tyler był skryty i prawie o sobie nie mówił. Amanda wiedziała tylko, że jego ojciec umarł, gdy chłopiec chodził jeszcze do liceum. Wspomniał też, że matka zmarła ponad rok temu, ale nigdy nie podawał żadnych szczegółów, nie należał do ludzi, którym łatwo przychodzą zwierzenia. Potrafił uszanować milczenie bliźnich i tego samego oczekiwał od innych.

Amanda rozumiała go aż za dobrze. Doświadczenie nauczyło ją, że czasem lepiej - i to dla obydwu stron - pozostawić niektóre rzeczy niedopowiedziane. Raz wysłuchanego sekretu nie dało się już wyrzucie pamięci, a wyznania mogły spowodować zmiany trudne do przewidzenia, rzadko na lepsze, należało więc zachować ostrożność. Tyler nigdy nie próbował zaglądać w przeszłość Amandy. Szanował granice czyjejś prywatności i nie przekraczał ich - była to cecha bliższa jej osobowości niż serce na dłoni czy zuchwałe pokonywanie przeszkód, specjalność Jake'a Fowlera. Prędzej czy później ktoś taki jak on da się ponieść ciekawości i spróbuje przedostać się przez mur, którym się otoczyła. W końcu, miałyby argument nie do odparcia: jest wobec niej szczery, dlaczego więc ona nie może odwzajemnić się tym samym?

Amanda spojrzała na poduszkę, którą trzymała na kolanach, i wybuchnęła ironicznym śmiechem. Miesiąc temu Lionel prawie żądał, by znalazła sobie przyjaciela, teraz ma dwóch. Oczywiście wskutek ataku syndromu świadka, zamiast przyjąć to jako cud, zaczęła dzielić włos na czworo. Znow zadzwonił telefon, tym razem była to Beth.

- Cześć, kochanie, chciałam tylko zapytać, jak się czujesz.

Rozmawiały przez kilka minut o wszystkim i niczym. Beth, jak zwykle, dzwoniła z bezpiecznego aparatu z biura Sama. Amanda wcześniej sprawdziła swój telefon i nie znalazła podsłuchu, więc rozmawiała z matką swobodnie. Opowiedziała o nowych mężczyznach w swym życiu i zapytała ją o zdanie. Jak się spodziewała, matka uznała sytuację za cudowną, lecz także

niepokojącą. Amanda wyjaśniła, kim jest Tyler, jak go poznała i co o nim teraz myśli.

- Jest seksowny i czarujący... umie rozbawić i potrafi imponować. I - dodała, waząc słowa - myślę, że bezpieczny.

- A Jake?

Na dźwięk jego imienia Amanda zachichotała.

- Cudownie niebezpieczny! - wyznała, nie mogąc ukryć przeżywanego uczucia. - Nie wiem, jak to się dzieje, mamo, ale wyzwała we mnie całkowite oddanie. Przy nim czuję ciarki od koniuszków palców u nóg po korzonki włosów. - Usłyszała wypowiedziane przez siebie słowa, zawstydziała się i na chwilę zamilkła. - Na podobne uczucie nie powinnam chyba sobie pozwalać. Zwłaszcza teraz...

Beth poczuła w sercu ból. Czy kiedykolwiek potrafi przestać myśleć o tym, że złamała córce życie? Gdy Amanda była młodsza, Beth łatwiej mogła wyrównać jej tę krzywdę, spełniając życzenia dziewczynki. Nie rozstawały się ani na chwilę i mogła pocieszyć córeczkę wyjściem do kina czy lunaparku lub zaproponować następną partię ulubionej gry. Ale

Amanda dorosła i wyprowadziła się, a wtedy możliwości ucieszenia jej czymś i otaczania ciepłem zmały. Teraz Beth mogła przynajmniej zachęcić córkę do poddania się uczuciom. Tylko, jak zwykle, pojawiło się dręczące pytanie: za jaką cenę?

- Skąd wiedziałaś, że zakochałaś się w wujku Samie? - zapytała Amanda, zażenowana niczym nastolatka.

- Jakoś tak to do mnie przyszło - odrzekła Beth, przywołując wspomnienia. - Sam był czuły i opiekuńczy, a ja właśnie tego potrzebowałam.

- Czy przeżyłaś romans z kimś innym? Oczywiście, poza Lionelem.

- Nie, nie mogłam sobie pozwolić na zakochanie się w kimś obcym - powiedziała mama ze smutkiem, jakby żałowała niewykorzystanych szans i tego, że musiała sobie narzucić pewne granice.

- Czy Sam cię oczarował? - Amanda posmutniała na myśl, jak samotne musiało być życie jej matki. - Straciłaś głowę?

- Nie - Beth najwyraźniej rozpamiętywała inne czasy i innego mężczyznę - tanto przeżyłam wcześniej.

Amanda zarumieniła się; Beth mówiła o Lionelu.

- Więc skąd wiesz, czy go kochasz?

- Miłość posiada różne oblicza, Amando, nigdy nie jest taka sama. Nawet wtedy, gdy kochasz jednego mężczyznę. Uczucia zmieniają się z upływem czasu, zależnie od okoliczności.

Amanda nie umiała wyobrazić sobie matki z tęsknotą w oczach, gładzącej palcami starą fotografię pierwszego męża.

- Z Samem jest inaczej - ciągnęła Beth. - Bo ja jestem inna i mam inne potrzeby. Sam sprawia, że czuję się bezpieczna. Wie o sprawach, których nie zna nikt inny, z nim mogę być szczerą, zarówno fizycznie, jak i w słowach. - Nie wiem, czy w innym życiu wybrałabym Sama - dodała - ale w tym, tak.

Długo po odwieszeniu słuchawki Amanda rozmyślała o słowach Beth. Nie usłyszała od niej zbyt wiele, ale czuła, że matka raczej skłania się ku Tylerowi. Lepszy diabeł, którego się zna... i tak dalej. Zresztą dziewczyna podejrzewała, że gdyby Beth odważyła się na całkowitą szczerą, poradziłaby jej, by poczekała i nie wiązała się z nikim, do czasu aż Bastido zostanie ujęty i Sam zapewni jej, że niebezpieczeństwo minęło. Oczywiście miałyby rację. Każdy, nawet niechcący, może stać się zdrajcą. Ale Amanda tak długo żyła samotnie, że uczucie bliskości z drugim człowiekiem napełniało ją nieopisanym szczęściem. Słyszała niewypowiedziane słowa Beth, jak również bardzo dobitne ostrzeżenia Sama i nawet jej wewnętrzny, alarmowy głos radził, by nie oddawała się uczuciom. Jednak dusza jej się buntowała. Na co ma czekać? To nie jest odpowiednia pora, mówił głos, powtarzający echem słowa matki. To zawsze będzie nieodpowiednia pora - inny głos przedrzeźniał słowa ojca.

Stało się może tak dlatego, że Amanda nie wyspała się wystarczająco i zmysł ostrzegawczy w porę nie zadziałał. A może dlatego, że Jake zabrał ją na mecz baseballowy, czego nikt wcześniej nie uczynił. I miała dość samotnych powrotów do domu, i swej wiecznej podejrzliwości, nawet wtedy, gdy wytworny adorator przysyłał jej kwiaty. Postanowiła pójść za głosem serca. Jednego wszakże się nauczyła, obserwując, jak inni pławią się w rodzinnym cieple: miłość nie kieruje się żadnymi zasadami, nie przestrzega schematów i nie czeka, aż świat stanie się bezpieczny. Jeżeli pragniesz zaznać w życiu miłości, musisz decydować się szybko - bierzesz czy nie. Ale jeżeli jej nie zatrzymasz, może już nigdy nie powrócić. Gdy

Amanda w końcu zastała Lionela, wydał jej się w wyjątkowo złym humorze. Zamiast zgodzić się na zwykłe kroki ostrożności, nalegał, by zjedli u niej.

- Chcę wreszcie zobaczyć, jak mieszkasz - powiedział lekko zrzędlwym tonem. - i szczerze mówiąc, mam już powyżej uszu tego ciągłego ukrywania się przed szaleńcami, którzy mogą tkwić przy moich drzwiach. Nie zasługują aż na taką uwagę, jaką im poświęcamy. Amanda zaprotestowała, obiecał więc, że nie każe Thompsonowi wieźć się limuzyną.

- Nie będę zwracał na siebie uwagi - starał się ją uspokoić. Zaniepokoił ją ów przyływ brawury ojca i nie ukrywała tego. Zaprotestowała przeciwko jego brakowi rozsądku i rzuciła kilka sugestii, by podporządkował się niektórym wymogom programu ochrony, choćby tym wymagającym z jego strony minimalnego poświęcenia, ale w końcu nie miała siły spierać się dłużej i Lionel postawił na swoim. Przy jednym tylko się uparła: nie zamówią jedzenia w restauracji, lecz ona ugotuje coś sama, a ojciec przyniesie wino. Ledwie skończyli, rzuciła się w wir przygotowań.

Jednak dziesięć minut przed jego przybyciem wpadła w lekką panikę. Choć gościem na obiedzie miał być jej własny ojciec, ale to przecież ów niesłychanie bogaty Lionel Baird! Szybko, po raz kolejny, przebiegła w myślach listę dań - sałata, pieczony kurczak, brokuły na parze ziemniaki ubijane z czosnkiem. Zlustrowała wzrokiem swój strój. Wy' brała na tę okazję czarne gabardynowe spodnie i sweterek z białego kaszmiru, z krótkimi rękawami. W mieszkaniu nie pozostało już nic do odkurzenia; wielokrotnie polerowane szybki w drzwiach łączących salonik z kuchnią lśniły czystością. Jeszcze raz poprawiła poduszki, a potem zmieniła ułożenie tulipanów w wazonie obok kanapy i róż stojących w pucharku na małym stoliku. Wielki bukiet wiosennych kwiatów od Tylera pysznił się na stole przedzielającym wyplatane krzesła. Towarzyszący kwiatom bilecik ze słowami: „Tęsknię za Tobą. Tyler” Amanda schowała do szuflady komody. Zapaliła białe świece na stoliku cocktailowym i tę zapachową, roztaczającą delikatną woń, z obramowania kominka. Układała i przestawiała książki o sztuce, które trzymała na wyścielonym taboreciku przed kominkiem, martwiąc się, czy ojcu będzie wygodnie przy małym, okrągłym stole, którego zazwyczaj używała do obiadu.

Wreszcie się zjawił i po kilku pierwszych minutach Amanda zapomniała o niedawnych wątpliwościach. Okazał się cudownym gościem, a ona cieszyła się z tej wizyty. Przyniósł wino do obiadu, różowe kamelie, które ustawiła w pobliżu łóżka, i bukietik gardenii.

- Delikatne i śliczne jak twoja cera - powiedział, przypinając jej kwiaty do sweterka.

Miał na sobie swobodny, niezobowiązujący strój - sportową marynarkę, czarne spodnie i kaszmirowy pulower w kolorze kości słoniowej. Wesołym śmiechem powitali ten zbieg okoliczności.

Oprowadziła Lionela po mieszkaniu, a on nie skąpił pochwał, wypowiadając je bez cienia protekcjonalności czy oznak snobizmu. Wyraził zachwyt, że potrafiła stworzyć tak piękne wnętrze, rozporządzając niewielkimi środkami.

- Masz doskonały gust - oświadczył. Rozglądał się, aprobując każdy fragment mieszkania. - Można sobie wyobrazić, czego dokonałybyś, dysponując większym budżetem.

- Pewnie tak - zaśmiała się Amanda. Lionel w delikatny sposób na nowo poruszył kwestię jej pracy w Baird, Nathanson & Spelling.

Choć starała się zachować obojętny ton, podsuwając ojcu krzesło, promieniała dumą. Nalała im po lampce wina, a on powtórzył, że z łatwością zaadaptowałyby się w jego firmie. I że gdyby tylko zechciała spróbować, pokochałaby świat finansów. Amanda przytakiwała kiwnięciami głowy, mówiła „tak” w stosownych momentach, ale ostatecznie odrzuciła ofertę. Nie oczekiwał zgody, więc go nie zaskoczyła. Wzruszył tylko ramionami, wzniosł toast za zdrowie córki, upił łyk wina i z błogą miną rozsiadł się wygodnie. Na cocktailowym stoliku tuż przed nim stał koszyk z chlebem i pokrojoną bagietką oraz garnuszek napełniony ciemną, ziarnistą papką, którą Amanda nazwała „tapenade”; obok na marmurowej płytce leżały najrozmaitsze gatunki holenderskich serów. Baird nałożył na kromkę chrupiącego, francuskiego pieczywa oliwki, kawałki sardeli oraz pastę z kaparów i aż westchnął z zadowolenia, gdy poczuł na języku delikatny smak.

- A przy okazji - odezwał się - usiłowałem dodzwonić się do ciebie wczoraj po południu, wieczorem i dzisiaj rano. Gdzie byłaś? Sądziłem, że masz wolny dzień. Amanda się zaczerwieniła. Lionel oparł się wygodnie na kanapie i przez chwilę patrzył na córkę badawczo, wreszcie się uśmiechnął.

- Byłaś z facetem, który przysłał te kwiaty? - Wskazał głową na bukiet od Tylera.

- Nie - zaprzeczyła. Skąd u licha wiedział, że to prezent? - Z kimś innym.

- Pozwól, że zgadnę, kto przysłał kwiaty, a kim jest ten inny. - Amanda wyglądała tak cudownie z zażenowaną miną, że miał ochotę rozplakać ze szczęścia, zachwycony, iż może jej służyć ojcowską radą. - Wiem, chodzi o dwóch: Tylera Graysona i tego prywatnego detektywa, jak on się nazywa?

- Jake Fowler. Lionel nie musiał zbytnio się wysilać, Amanda miała prawdę wypisaną na twarzy.

- Najpewniej to Grayson przysłał kwiaty. Są eleganckie, drogie i odpowiednie, gdy dżentelmen zaleca się do damy.

Gdy tylko zaczynał mówić o Tylerze, w jego głosie pojawiała się nutka dezaprobaty. Amanda postanowiła wysondować, dlaczego.

- To z Fowlerem spędziłaś dzień, noc i poranek. - Lionel uśmiechnął się konspiracyjnie. - Spotkałem tego twojego zucha w galerii Lloyda Franksa. Owszem, przystojny, jeżeli podobają ci się wysocy bruneci z dołeczkami na twarzy.

Amanda westchnęła i z udanym zniecierpliwieniem pokręciła głową. Ojciec rozmawiał z nią, jakby była podlotkiem, jakby czas się cofnął. Jakże brakowało jej takich chwil w okresie dojrzewania! Tera choć było to spóźnione doświadczenie, uznała je za wielce przyjemne

- Rozmawiałeś z nim? - spytała. Popijała wino, obserwując Lionela znad brzegu kieliszka.

- Tak.

Cedził słowa, jakby się z nią drażnił, ale spodobała jej się owa gra więc poddała się narzuconym przez ojca regułom.

- Zrobił na tobie wrażenie?

- Owszem - odpowiedział. Skupił się teraz na smarowaniu tapenade następnego kawałka chleba. Jadł powoli, rozkoszując się zarówno przystawką, jak i tą chwilą. Gdy skończył, pochylił się i oparł ręce na udach. - Jest rozgarnięty i dociekliwy. Wprawdzie, jak sama mówiłaś nieco arogancki, ale dla mnie to zaleta. Amanda wyciągnęła kieliszek w jego stronę.

- Trafiłeś.

- I śmiały. ,

- Zakładam, że nie padł przed tobą na kolana.

- Bynajmniej! - roześmiał się Lionel. - Nie znalazłby tam dość miejsca. Wprost promieniała z zadowolenia.

- Tylko nie zaimponował mi doborem przyjaciół. - Lionel się zamyślił. - Widziałem, jak pomachał na pożegnanie odchodzącej trójcy: Johnowi Chisolmowi, Pameli i blondynce, której wtedy nie znałem.

- To była...

- Hallie Brendel. Amanda rozwiąła jego niepokój machnięciem dłoni.

- Jake był kiedyś reporterem, pewnie zna wiele ważnych osobistości.

- Wiesz, kupił jeden z tych twoich ponurych portretów. - Lionel wrócił do przyjemniejszego tematu. - Najwyraźniej fotografia wywarła na nim wrażenie. Fowler zachwycił się wszystkimi jej pracami, ale tym portretem, jak twierdził, dotknęła jakiejś struny w głębi jego duszy.

- Gdy był jeszcze chłopcem, jego ojciec zaginął i został uznany za zmarłego.

- Przez wszystkich oprócz syna.

- Właśnie.

- Podoba mi się! - Baird bez trudu potrafił zrozumieć kogoś, kto nie chciał przyjąć do wiadomości faktu przedwczesnej śmierci bliskiej osoby. - Czy mogę zaryzykować stwierdzenie, że jesteś trochę zauroczona tym Fowlerem?

Amanda skinęła głową, bez powodzenia próbując zachować po - Przy nim grają we mnie kuranty - przyznała. - A Grayson? - To kilka uderzeń dzwonów.

- Trzymaj się więc kurantów - poradził Lionel.

Amanda, po chwili wahania, zdając sobie sprawę, że być może nie powinna powtarzać rozmowy z Beth, wyznała:

- Mama dała mi do zrozumienia, że wybrałaby dla mnie raczej dzwony, gdyż sądzi, że są bezpieczniejsze od kurantów.

Ojciec najwyraźniej poczuł się dotknięty. Amanda rozumiała jego reakcję i znalazła w niej odpowiedź na swe wątpliwości: nawet po tylu latach Lionel pragnął, by Beth go kochała. Najwyraźniej kuranty przetrwały dłużej niż dźwięk dzwonów.

- Prawdopodobnie ma rację - odrzekł bez przekonania. Domyślała się, że nie chce występować przeciwko opinii Beth. - Może lepiej zostać przy bezpieczeństwie, niż potem żałować.

Amanda podeszła bliżej, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Naprawdę tak myślisz?

- Ani przez chwilę! - zawołał, zachwycony tym, że Amanda spodziewa się po nim szczerości. - Nie chciałbym, byś kiedykolwiek związała się z kimś tylko dlatego, że życie przy nim wydawałoby ci się bezpieczne. Chcę, byś doznała pełnej, namiętnej miłości, w całej jej krasie. - Pogłaskał ją po policzku i lekko uszczypnął w ucho. - Ale lepiej nie powtarzaj matce moich słów..

- Nie muszę, ona bez tego doskonale zna twoje myśli, już zapomniałeś? Lionel pomógł jej zebrać ze stołu naczynia po przystawkach i przynieść z kuchni duże talerze. Otworzył butelkę pinot noir, które przyniósł ze sobą, nalał do dwóch pękatych kieliszków i postawił je na stole. Usiedli. Amanda powróciła do ostatnich oskarżeń wysuniętych przez Hallie Brendel i senatora Chisolma.

- Są prawdziwe - przyznał Lionel - przynajmniej po części. Wyjaśnił, że Spairson, McShane & Partners to firma, którą Baird,

Nathanson & Spelling wykupili dziesięć lat wcześniej. Funkcjonowała jako oddzielna jednostka, należała wszakże do korporacji.

Giełda towarowa charakteryzuje się dużą zmiennością i wysokim ryzykiem. Zyski są olbrzymie, obroty szybkie, zwłaszcza że rynek ten nie podlega równie sztywnym zasadom jak inne.

- Niczego nie podejrzewałeś? - Amandę zaniepokoiło rosnące wzburzenie ojca. Wzruszył ramionami z irytacją.

- Nawet nie widziałem tego konta!

- Ale widnieje na nim twoje nazwisko, jako osoby odpowiedzialnej za zgodność dokonywanych operacji z obowiązującymi przepisami bankowymi.

- Mój podpis pojawia się na każdym dokumencie o takim znaczeniu lecz wcale to nie oznacza, że nadzoruję każdą transakcję. Człowiekiem odpowiedzialnym za wszystko z ramienia tamtej firmy był Roscoe Harding.

- Sądzisz, że prał?

Lionel znów wzruszył ramionami i zmarszczył brwi.

- Jak wiesz, wśród kierowników moich działów istnieje rywalizacja o następstwo po mnie. Nie sądzę, by Harding wiedział, że Delia Robbia to jeden z tamtych chłopców, ale na moich ludzi są wywierane naciski ze wszystkich stron. Kto wie, czego któryś z nich - a może i wszyscy - nie zrobiliby, by "pójść w górę"?

- Posłałby te materiały senatorowi? Lionel pokręcił głową.

- Działyby wtedy na własną szkodę. Poza tym Roscoe i ja odbyliśmy długą rozmowę - ton Lionela sugerował, że słowo „przesłuchanie” lepiej oddałoby charakter owej konwersacji - i albo z dnia na dzień zmienił się we wręcz patologicznego kłamcę, albo jego wyjaśnienia są prawdziwe. Uważa mianowicie, że ktoś z organizacji Saviano chciał, by te dokumenty dostały się do prasy.

- Ale dlaczego, czemu miałyby to służyć?

- Ja i moi koledzy z Wall Street wychodzimy na bardzo złych chłopców, co odciąga uwagę od Little Raya i jego bandy zbirów. - Lionel nerwowo stukał palcem w stół. - A może to zemsta Big Raya? Radar Amandy włączył się natychmiast.

- Mimo tych wszystkich bzdur, jakie pani Brendel wypisuje w swej szmacie, w mojej firmie dmucha się na zimne, jeśli chodzi o pranie brudnych pieniędzy. Wiemy, że wśród naszych klientów znajdują się figuranci, którzy użyczają swego nazwiska mafii czy kartelom, ale zabezpieczamy się najlepiej, jak umiemy. Powiedziałbym, że lepiej niż większość firm. - Popatrzył na córkę. - Moi zastępcy wiedzą, że zostaliby w jednej chwili zwolnieni, gdybym odkrył, że któryś z pracowników zajmuje się nielegalnymi operacjami. I to dotyczy każdego, od najwyższych rangą dyrektorów po szeregowego urzędnika. Wspomnienie dawnych błędów rzuciło na jego twarz cień.

- Po tym, jak rząd uznał walkę z praniem za priorytet i utworzył instrumenty kontroli, przejrzelśmy nasze akta i zamknęliśmy wszystkie podejrzane rachunki. Nie chcieliśmy przechodzić upokorzenia następnego procesu, więc oczyściliśmy dom ze śmieci. Big Ray stracił mnóstwo pieniędzy, co go niespecjalnie uszczęśliwiło. - Stukanie palca o blat stolika przyspieszyło swój rytm. - I nie zapominajmy, że wini twoją matkę za problemy rodziny i w rezultacie za swe uwięzienie.

Amanda poczuła się nieswojo na przypomnienie, że nawet po tylu latach skutki operacji „Dzień Prania” są nadal odczuwalne.

- Jeden z jego przybocznych został zastrzelony ostatniej nocy - powiedziała. - Sprawa została tak przeprowadzona, by zabójstwo wyglądało na typową egzekucję mafii, ale zdaje się, że to Latynosi włączyli się do zabawy. Chcą, by rodziny powyrzynały się nawzajem, a wtedy oni przejmą kontrolę nad dystrybucją narkotyków w Nowym Jorku.

- W tym kontekście słowa Hardinga brzmią logicznie.

- Zgadza się. Ale dlaczego prasa nie zainteresowała się tą historią?

- Bo jest świeższa i bardziej zgodna z duchem naszych czasów. - Lionel prychnął z niesmakiem. - Przesyt niekończącymi się gangsterskimi serialami znieczulił społeczeństwo do tego stopnia, że stało się niemal obojętne na przemoc. Jeżeli chodzi o zorganizowaną przestępczość, zmysły obywateli zostały stępione. Problemy mafii nie tylko zaczęły nudzić, ale pozornie nie mają żadnego związku z życiem codziennym przeciętnego człowieka. - Uniósł pucharek z winem. Przechylał go do tyłu i do przodu, obserwując jak kołysze się powierzchnia czerwonego płynu. - Wykrycie przestępców wśród „białych kołnierzyków” to historia o wiele bardziej interesująca - powiedział, nagle znużony. - Staliśmy się chłopcami do bicia, których każdy chce przyszpilić, aby skierować gniew obywateli na korporacyjną Amerykę. Wytoczcicie działa i strzelajcie! Niech zapłacą za kłopoty spowodowane ich własną chciwością. Zarabiają za dużo, zwalniają zbyt wielu. To zwyczajni złodzieje, tyle że w trzyczęściowych garniturach.

Argumenty ojca brzmiały przekonująco.

- Jak sądzisz, jak daleko posunie się Chisolm? Na karku Lionela ukazały się nabrzmiałe żyły.

- Dokąd tylko będzie mógł. Nie zapominaj, że prowadzi kampanię wyborczą. Potrzebuje przestrzeni.

- Dzisiaj po południu przeprowadziła ze mną wywiad w moim domu w mieście i szczerze mówiąc, była to strata czasu. Ona nie tylko nie potrafiłaby dojrzeć drzewa w lesie, lecz nawet nie zamierza ustalać prawdy.

- Myślałam, że to świetna reporterka od takich spraw.

- Zapewne, w jej własnym mniemaniu. - Potrząsnął głową. - Tak naprawdę jest manipulowana. I nawet jeżeli zdaje sobie z owego faktu sprawę, nie dba o to, bo nagłówki z moim nazwiskiem pracują na jej przyszłość.

- Czy wszystkie informacje dostaje od Chisolma?

- Większość. Ale niektóre pochodzą wprost od mojej, wybaczone wyrażenie, żony.

- Zapomniałem o Pameli! - westchnęła Amanda.

- Ja też chciałbym. - Baird roześmiał się sardonicznie. .

- No więc co zamierzasz? Siedzieć cicho i pozwolić, by senator i „Telegraph” obrzucali cię błotem?,

Lionel pochylił się nad stołem i poklepał ją po dłoni.

- To główna wiadomość dzisiejszego dnia, kochanie, i wkrótce przestanie być rewelacją. Jutro lub pojutrze coś nowego zepchnie mnie z tytułowej strony. Zaprzeczając tym wszystkim zarzutom, tylko przeciągnąłbym całą sprawę.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że pozwolą, by to wszystko ucichło.

- Nie od razu. Przede wszystkim postarają się przy okazji wyrwać jak najwięcej dla siebie. I dlatego Roscoe musi wystąpić z oświadczeniem, że nie miał pojęcia, iż pan Delia Robbia to gangster w przebraniu dyrektora. Amanda przesuwiała widelcem po talerzu kawałki jedzenia.

- Czy to Roscoe Harding był głównym kandydatem na posadę dyrektora w twojej firmie?

- Tak.

- A teraz?

- Ray Saviano właśnie wyeliminował biedaka z wyścigu. - Lionel się skrzywił.

- Czy w ten subtelny sposób pytasz mnie, czy ofiarodawca kwiatów przesunął się w górę?

- No więc, tak czy nie? - zapytała, nie przejmując się rumieńcem, który palił jej policzki.

Wydawało się, że ojciec przebiega w pamięci listę nazwisk.

- Dobrze - powiedział wreszcie - oto dossier pana Tylera Graysona. Jest jednym z najzdolniejszych młodych pracowników naszej firmy ganiały menedżer, pełen intuicji handlowiec i główny dostarczyciel paliwa.

Dzięki niemu na nasze konta wpłynęły miliony dolarów.

- A więc jakie masz zastrzeżenia?

Wyraz twarzy Lionela mówił, że sam nie rozumie przyczyn własnej rezerwy wobec

Graysona.

- Nie potrafię ich określić. Najprościej: cechy jego osobowości nie dorównują umiejętnościom zawodowym. A prawdę mówiąc, jako dyrektor wielkiego domu maklerskiego potrzebujesz jednego i drugiego.

- Odmówiłbyś mu tej posady...

- Tylko dlatego, że mnie drażni? - dokończył. - Nie sądzę. W końcu uprawiamy wielki biznes. Ale - powiedział z nieśmiałym uśmiechem - nie pytaj mnie, jakbym go przyjął w charakterze kandydata na męża mojej córki.

- Och, proszę! - Amanda podniosła się i zaczęła zbierać półmiski. Ojciec poszedł za nią do kuchni. Zauważyła, że posmutniał.

- Czy kiedykolwiek będą mógł poznać swego zięcia? - spytał. Odepchnęła falę grożących wybuchem emocji i zmusiła się do uśmiechu.

- Jak zostanę panną młodą, to nie tylko pozwolę L; - : przesłuchać mojego przyszłego, ale także poprowadzić mnie do ołtarza. Wtedy wmieszani w operację „Dzień Prania” przestępcy albo nie będą już żyli, albo zbyt szybko się zestarzeją, by sprawiać kłopot.

- Trzymam cię za słowo. - Pocałował ją w policzek.

- Mógłbyś pozbierać resztę naczyń, a ja zajmę się kawą. - Najwyraźniej chciała zmienić temat - Lionel rozumiał i nie protestował.

Zamknęła drzwi zmywarki, odwróciła się i wtedy ujrzała wycelowany w jej twarz obiektyw.

- Co robisz! - wykrzyknęła. - Przecież wiesz, że nie wolno!

- Ojej! - Cofnął się o krok i uniósł dłonie. - Amando, proszę, nie chciałem cię denerwować.

- Ale udało ci się i rozumiesz, dlaczego.

Ojciec przyznał się do błędu z miną małego chłopca przyłapanego na zlizywaniu lukru ze świeżo upieczonego ciasta.

- Takie rzeczy mi nie pomagają.

- Wiem. Tylko... tak bardzo chciałbym mieć twoje zdjęcie, czy to zbrodnia? - Wyraz twarzy Amandy nie zmienił się, lecz Lionel także nie zamierzał ustąpić.

- Wywołałam ten film w New Jersey, niedaleko moje - łoża klubu. Nie zostawię zdjęć na widoku, w bibliotece czy obok łóżka i wykorzystam jako kartki bożonarodzeniowej. Dobrze?

Drugi raz w ciągu tego dnia Amanda podjęła decyzję, której wolałaby nie żałować. Nagle poczuła się zmęczona ciągłym przymusem przepatrywania konsekwencji rzeczy, jakie dla zwykłych ludzi są codziennością.

- W porządku - zgodziła się, prawie doprowadzona do rozpacz - proszę tylko, zachowaj ostrożność.

Lionel objął ją ramieniem i zaprowadził do saloniku.

- Jeżeli tak się niepokoisz, wyrzucę całą rolkę. Całą rolkę!

- Co jeszcze na niej jest? Miał zakłopotaną minę.

- Zdjęcia, które zrobiłem tobie i matce podczas naszego spotkania w Wisconsin - pamiętasz?

Jak mogła zapomnieć! Wydawało się, że Bates eksploduje na widok Lionela z aparatem fotograficznym w dłoni.

- Przecież wujek zabrał ci ten film i zniszczył go. Lionel wzruszył ramionami.

- Zastosowałem niewielki trick.

- To znaczy?

- Zamieniłem rolki. Na tej, którą zniszczył Sam, były jakieś nieważne ujęcia. Oburzona Amanda obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Nie wolno ci robić czegoś takiego, Lionelu. Sam chce nas chronić, bo tego potrzebujemy. Myślałam, że zrozumiałeś.

- Wiem. - Wzniósł ręce w geście przyznania się do winy. - To samolubne i prawdopodobnie bardzo głupie. Ale błagam, zastosowałem się do wszystkich waszych zasad, przyjąłem wasze wskazówki. Nie możesz przyznać staremu człowiekowi choć jednego maleńkiego przywileju? Pozwól mi zatrzymać zdjęcia żony i córki. Wy dwie jesteście jedyną rodziną, jaką posiadam. Wycelował w samo jej serce i właściwie wybrał broń - rodzina, córka. Te dwa potężne słowa niczym kule dum - dum zrobiły wyrwę w fortecy. Potrzeba rodziny, bycia córką, przesłoniła resztę. Pragnienie przynależności zagłuszało strach, uniemożliwiając Amandzie odmowę.

Chociaż cichy głos w jej głowie wciąż powtarzał, że postąpiła źle.

Przez całą jazdę metrem do Brooklynu Amanda zdręzczała Jake'a pytaniami, chcąc, by jak najwięcej opowiedział jej o gościach zaproszonych na lunch. Denerwująco oszczędny w słowach, podał tylko kilka ogólnych informacji twierdząc, że nie ma się czym martwić, jeżeli chodzi o osoby, które pozna. Jego matka Grace, siostra Jocelyn i jej mąż Brad oraz ich dwoje dzieci, Barry i Brenda, w wieku ośmiu i sześciu lat, to osoby całkowicie pozbawione pretensjonalności, szczerze, prostolinijne i łatwo nawiązujące kontakty. Chciał zresztą, by wyrobiła sobie o nich opinię na podstawie własnego wrażenia. Wysiedli przy Siódmej Alei, w samym sercu Park Slope i przeszli dwie przecznice do domu Grace. Amanda uwielbiała tę część Brooklynu - zakątek całkiem wyjątkowy dzięki kombinacji wielkomiejskiego ożywienia z atmosferą życzliwej bezpośredniości właściwej przedmieściom. Na ulicach spotkać można było młodych rodziców z wózkami i starszymi dziećmi biegającymi przy nich, którzy kierowali się w stronę Prospect Park, by wykorzystać cudowny wybuch wczesnej wiosny. Staruszkowie, radośnie podążający na codzienny spacer po parku, pozdrawiali przyjaciół i machali do nieznanym. Przy stolikach w licznych kawiarenkach siedzieli jeden przy drugim uśmiechnięci ludzie i przyjaźnie wymieniali uwagi nad filiżanką kawy z bułeczką. Nic dziwnego, że Grace przeprowadziła się do tej dzielnicy z Manhattanu, a Jake wracał tu przy każdej okazji. Od razu po wejściu do mieszkania Grace, znajdującego się w kamienicy z brązowego piaskowca, Amanda miała wrażenie, że jest u siebie. Pokój dzienny, pomalowany na bladożółty kolor, zasłany olbrzymim, Przypominającym dawne dobre czasy dywanem, przypominał saloniki sprzed lat. Sufit wznosił się wysoko, przez olbrzymie okna z obsadzonej drzewami ulicy wpadały potoki światła. Z grubych, toczonych karniszy zwisały koralowej barwy zasłony. Nie brakło tu gipsowych gzysów drewnianej wykładziny ani bogato zdobionego marmurowego kominka - obok niego, w olbrzymim miedzianym koszu potężne kłody drewna cierpliwie czekały na powrót zimy. Meble, pokryte materiałem w kwieciste wzory - różne, ale świetnie ze sobą zgrane, wręcz zapraszały do swobodnej, towarzyskiej rozmowy. Tu i ówdzie leżały haftowane po - duszki, niektóre wyblakłe ze starości; wszędzie stały rodzinne fotografie, głównie wnuków, ale Amanda wypatrzyła też kilka zdjęć Jake'a i Jocelyn jako dzieci, a

także uśmiechniętej pary - Grace i Archiego. Po dokonaniu prezentacji przenieśli się do jadalni, gdzie każdy członek rodziny miał wyznaczone miejsce przy stole zastawionym talerzami szkłem i półmiskami z jedzeniem. Amanda usiadła na wolnym krześle między Jocelyn a Jakiem. Miał rację, wszyscy tu zachowywali się naturalnie. Choć była gościem, nie zwolniło jej to z kuchennych obowiązków. Grace bez najmniejszego wahania poprosiła ją o nalanie kawy - bezkofeinowej - i przyniesienie jajek. Nikt też nie próbował powstrzymać Brendy, gdy uparła się, że to „Manda” ma rozsmarować ser na jej bułeczce.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz, jeżeli w ogóle, znajdowała się w podobnym kręgu. Trzy pokolenia rodziny zebrały się wokół stołu w najwyraźniej powtarzanym rytuale. Poza pochłanianiem olbrzymich ilości jedzenia, była to pora, kiedy mogli wymieniać uwagi o swoich sprawach. Stracili Archiego, ale Grace nie zamierzała pozwolić, by utracili też kontakt ze sobą. Dzieci wędrowały tu i tam, robiąc sporo hałasu i zamieszania. Dorośli dzielili się wiadomościami i pomysłami, czasem się zapalali i gorąco, choć przyjaźnie, dyskutowali o wszystkim, począwszy od codziennych spraw - czy Barry może chodzić do szkoły w adidasach? - po polityczne aktualności. Uprzejmie zagadnęli Amandę o jej pracę, lecz nie dręczyli pytaniami o sprawy osobiste. Jeżeli oceniali jej kwalifikacje na członka rodu Fowlerów, czynili to nad wyraz dyskretnie.

Jake miał wspaniały kontakt z siostrzeńcem i siostrzenicą. Był ich przyjacielem i partnerem, ich opiekunem i obrońcą w starciach z nieprzyjaciółmi i rodzicami. Jocelyn i Brad z dobrotliwą tolerancją akceptowali jego rolę etatowego mistrza.

- Dzieci chcą mieć takiego kumpla, a Jake potrzebuje ich podziwu, zanim sam zostanie ojcem - wyjaśniała Jocelyn. Amanda, nie posiadająca żadnych wzorców, do których mogłaby odnieść swe wyobrażenie o prawidłowym funkcjonowaniu rodziny, podziwiała tę młodą kobietę hojne obdzielanie swym szczęściem brata, a jej męża za okazywanie dobrej woli. Z dziećmi poszło najłatwiej - zaakceptowały ją natychmiast. Oczywiście mogło to mieć coś wspólnego ze śmiesznymi ciasteczkami, które wcześniej kupiła w piekarni wraz z kawą dla Grace. I z aparatem fotograficznym, który przyniosła, pamiętając o własnym dzieciństwie. Ze dwa tuziny zdjęć, które zrobiła dzieciom pojedynczo, razem, z matką, ojcem, z obojgiem

rodziców naraz, z babcią, wujkiem, a w końcu z całą rodziną, przyśpieszyły z pewnością zawarcie przyjaźni. Pomimo nalegań sama jakoś wykręciła się od pozowania. Równie mile zaskoczyła dziewczynę łatwość, z jaką Fowlerowie włączyli ją w ten rodzinny rytuał. Grace przyjęła gościa tak, jakby obecność Amandy przy stole była czymś oczywistym. Jocelyn i Brad okazali trochę ciekawości, ale także powitali ją ciepło i serdecznie. Amandzie mignęła nawet w głowie myśl, że może Jake za każdym razem przyprowadza inną kobietę i rodzina nawykła do obcych przy stole - lub odwrotnie, było to tak wyjątkowe wydarzenie, że postanowili przyjaciółkę Jake'a traktować „w rękawiczkach”.

Tylko raz coś zazgrzytało, gdy Brad wspomniał o oglądanym wcześniej wywiadzie z Lionelem Bairdem. Amanda niespokojnie poruszyła się na krześle - ojciec zapomniał jej powiedzieć, że jego rozmowa z Hallie Brendel została nagrana. Pewnie nie chciał, by oglądała ten program. Według Brada dziennikarka zaczęła jak zwykle napastliwie: Czy to Lionel zmusił Roscoe Hardinga do rezygnacji? Nie, Harding zrezygnował z własnej woli. Czy zostanie oskarżony? O tym zdecydują władze. Czy Lionel znał prawdziwą rolę Delia Robbii? Oczywiście nie. Jak to możliwe? Czy jako prezes Baird, Nathanson & Spelling nie jest odpowiedzialny za wszystkie przeprowadzane przez firmę finansowe operacje?

- Myślałem, że ją uderzy - oznajmił Brad.

- Powinien - mruknęła Jocelyn, a w uszach Amandy zabrzmiało to tak, jakby kiedyś siostra Jake'a sama miała ochotę uderzyć dziennikarkę. Zastanawiała się, dlaczego i w jakich okolicznościach te kobiety się spotkały.

- Czy to nie on jest odpowiedzialny - dopytywała się Grace - to znaczy w ostatecznym rozrachunku?

- Teoretycznie tak - przyznał Jake - ale to olbrzymia firma, biznes przynoszący rocznie wielomilionowe zyski, i nie ma mowy, by jedna osoba wiedziała wszystko o każdym konczie. Taki zarzut nie wytrzymuje krytyki. Wyraźnie stracił humor i wydawał się czymś rozdrażniony. Popatrzył na Brada, Jocelyn i Grace, jakby prosił, by skończyli tę rozmowę ale tamci nic nie zauważyli.

- Baird zarzucił Chisolmowi, że stał się pionkiem w rękach mafii - powiedział Brad, unosząc brwi, jak gdyby bezczelność tego zarzutu

zdumiała go na nowo. Jake nie wytrzymał i mimo dręczącego go niepokoju, roześmiał się głośno.

- Chisolm musiał się nieźle ubawić!

Amanda zauważyła, że mówił tak, jakby nie było mu obce poczucie humoru senatora. Potem przypomniała sobie opowieść Lionela, jak to w galerii Franksa natknął się na Chisolma i Pamelę. Jake skinął ręką do stojącej obok nich blondynki, jak się później okazało, Hallie Brendel - i zastanawiała się, jak dobrze znał tę kobietę i o czym rozmawiał z senatorem oraz Pamelą. Nagle pożałowała, że nie poszła na otwarcie wystawy. Najwyraźniej działo się tam o wiele więcej, niż mogła się spodziewać.

- Niemożliwe! - zaprotestował szwagier Jake'a - ego Chisolma nieustannie domaga się komplementów. Ten człowiek nie zlekceważy obelgi.

Brad był prawnikiem, specjalistą w dziedzinie ochrony środowiska. Jako wspólnik w znanej firmie, posiadającej biura zarówno w Nowym Jorku jak i w Waszyngtonie, o politykę ocierał się na co dzień. Reprezentował stowarzyszenia czuwające, by wielkie korporacje nie niszczyły środowiska, miał także swój wkład w starania o ustanowienie odpowiednich regulacji prawnych. O wielu politykach słyszał niejedno, a jako nowojorczyk z pewnością musiał dobrze znać senatora Chisolma.

- Czy Baird poparł zarzuty jakimiś konkretami? - spytała Grace. Na stole pojawił się następny dzbanek kawy.

Brad zastanowił się chwilę.

- Zacytował oświadczenie Chisolma o dostarczeniu mu kompromitujących dokumentów i zastanawiał się, od kogo senator je otrzymał.

- Całkiem możliwe, że od informatora z mafii. - Amanda nie zamierzała włączać się do dyskusji, lecz już nie mogła wytrzymać. - Czy senator lub pani Brendel próbowali udowodnić któryś z podanych przez siebie faktów?

- Prawdziwy z ciebie obrońca uciśnionych - zauważył z uśmiechem Jake. Popatrzyła na niego z uwagą, ale zaraz odwróciła się do Brada.

- Powiedziałbym, że kręcili, jak mogli.

- Rzucanie słów na wiatr to specjalność Hallie - wtrąciła Jocelyn. Nie zwracała uwagi na gniewne spojrzenia, rzucane jej przez brata.

- Co jeszcze Baird miał w zanadrzu? - Jake poddał się, dołączając do pozostałych. Nie mógł ich powstrzymać, postanowił więc kontrolować rozmowę.

- Zaatakował „Telegraph” za zlekceważenie jakiejś gangsterskiej egzekucji. Według Bairda wypadek miał miejsce w piątek w nocy, a w sobotnim wydaniu gazety nie było żadnej wzmianki. Twierdzi, że mafia specjalnie podrzuca Chisolmowi i Brendel historyjki o nim, by trzymać media z daleka od naprawdę istotnych spraw, jak rosnąca ilość narkotyków i wojna o kontrolę nad ich dystrybucją.

Fowler popatrzył na Amandę. Spojrzenia, jakie między sobą wymienili, nie uszły uwagi reszty towarzystwa.

- No dobrze, o co chodzi? - spytał Brad. - Ten Baird ma rację?

- Myślę, że tak. - Amanda starała się zachować spokój. - Dostałam tę sprawę i jestem przekonana, że to część owej wojny.

- Między kim a kim? - zainteresowała się Grace.

Amanda wołała, aby odpowiedział Jake, on jednak milczał, wyjaśniła więc:

- Rodziną Saviano i gangiem Latynosów związanym z LA.

Wspomnienie nazwiska Saviano przy tym stole było świętokradztwem, jakiemu mogłoby tylko dorównać zaproszenie diabła do kościelnego chóru. Grace i Jocelyn drgnęły urażone, Brad zaś potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Och! Znowu oni!”. Tylko Jake, który w każdej minucie każdego dnia żył tą sprawą, nie zmienił wyrazu twarzy. Jego nienawiść do Saviana była niezmienna i wyjątkowa jak zapach własnego ciała.

- Spójrzcie, jak te wypadki zostały zgrane w czasie - Amanda mówiła dalej szybko, z nadzieją, że uda jej się skierować uwagę zebranych na inny tor. - Hallie Brendel w imieniu Johna Chisolma rozpoczyna serię artykułów atakujących Wall Street. Pan Baird odpowiada konferencją prasową, na której ta kobieta w najlepszym wypadku wychodzi na osobę nierzetelną, w najgorszym zaś na pozbawioną skrupułów karierowiczkę, co nie polepszy jej stosunków z senatorem. Nagle, nie wiadomo dlaczego, ktoś podsuwa autorce artykułu kopertę pełną wręcz parzącego materiału reporterskiego. Dziennikarka, nie zadając sobie trudu, by sprawdzić fakty, atakuje Bairda, a tymczasem handlarze narkotyków mordują się nawzajem, walcząc o zdobycie jak najlepszej pozycji przy rozprowadzaniu wśród dzieciaków propainy.

- Gdybym był Lionelem Bairdem - zauważył Jake z podziwem - obsadziłbym cię na stanowisku osoby odpowiedzialnej za kontakty z prasą.

- Rzeczywiście, trafiła. - Brad zmarszczył czoło. - A oprócz Chisolma i tej Brendel - ich motywy są oczywiste - kto jeszcze skorzystał na ataku na Bairda?

- Saviano. - Nazwisko to wyskoczyło z ust Grace tak gwałtownie, jakby się obawiała, by przesuwając się nad językiem, nie pozostawiło smaku gorzkości. Podczas gdy Brad, Grace i Jocelyn obrzucali inwektywami gangsterów odpowiedzialnych prawdopodobnie za śmierć Archiego, Jake wycofał się i ukrył w miejscu, które Amanda zaczynała już rozpoznawać jako jego mentalne schronienie. Przyszło mu do głowy coś nowego i potrzebował kilku chwil, by się zastanowić. Widać było, jak porządkuje myśli i fakty, a potem układa z nich kombinację podsuwającą nowe możliwości.

- A więc - przysunęła się bliżej, nie chcąc przeszkadzać innym - który element nie zgadza się z całością?

- Nie ulega wątpliwości, że to robota klanu Saviano - myślał na głos - tylko który Ray wydaje rozkazy? Młody jest na to za głupi, on nawet nie słyszał o słowie „subtelność”. To brutalny prymityw, łasy na sławę w mediach. Stać go na wszystko - mord, napady, rozbicie kilku głów, byle tylko trafić do wieczornych wiadomości. A przecież, jak sama powiedziałaś, ujawnienie owych wszystkich rewelacji zostało starannie zaplanowane, a ich cel był doskonale wybrany. To styl Big Raya.

- Sądysz, że próbuje odzyskać kontrolę nad swą armią? - zapytał Brad, który od dłuższej chwili przysłuchiwał się im z uwagą.

- Czemu nie? - Jake wzruszył ramionami. - Chyba niełatwo przyglądać się zza krat, jak syn - idiota marnotrawi dorobek całego twojego życia.

- Ale Big Ray siedzi już długo i raczej nie wyjdzie na wolność - zauważyła Amanda. - A lojalność bywa zmienna.

- Zgadza się, jednak Big Ray w czasie swego panowania zbierał worek przysług.

- Te papiery Delia Robbii nie wypłynęły tak sobie. - Brad kontynuował tok myśli szwagra.

- Rozpłynięcie się tego faceta też nie wygląda mi na przypadkowe - przyłączyła się do nich Jocelyn. - To pewnie jakaś zaległa przysługa. należny rewanż. T

- Dać dziewczynce ciasteczko! - Jake uśmiechnął się do siostry. - Sądzę, że Lionel Baird ma rację, Hallie Brendel jest narzędziem mafii - Powinno ci się to spodobać! - Zrobiła zadowoloną minę.

Jake spiorunował ją wzrokiem. Czyżby uważał, że go obraziła? A może nie podobało mu się, iż siostra znów krytykuje Hallie - o co mu chodzi? I właśnie w tym momencie Amanda przypomniała sobie efektowną blondynkę spotkaną na schodach domu Jake'a. Teraz wiedziała, dlaczego twarz Hallie wydała jej się znajoma, gdy zobaczyła dziennikarkę na konferencji prasowej u Lionela. Zastanowiła się nad niby przypadkowymi uwagami Jocelyn, dodała wyraźny niepokój Jake'a, spotkanie na schodach, sytuację w galerii Lloyd'a - i już była pewna: detektywa i pannę Brendel łączyło coś więcej niż tylko przelotna znajomość. Nagle poczuła się nieswojo. Jake musiał to wyczuć, bo zaproponował, aby wyszli. Na ulicy zapytała wprost - i Jake się nie wypierał.

- Tak, kiedyś Hallie i ja byliśmy parą. Jak już zdążyłaś się zorientować, ona raczej nie zdobyła aprobaty Fowlerów. Wszyscy byli zachwyceni, gdy się rozstaliśmy, zwłaszcza moja siostra. - Uśmiechnął się, widząc ulgę na twarzy Amandy. - Ciebie natomiast polubili.

- A ja ich - przyznała. Wziął ją pod ramię i ruszyli w stronę stacji metra.

- Jak mogłoby być inaczej? - wykrzyknął, zadowolony, że Hallie nie stanęła między nimi. - Są fantastyczni!

Amanda nie mogła się z nim nie zgodzić. Tak bardzo spodobały jej się serdeczne stosunki łączące tę rodzinę, że potem w ciągu całego dnia wciąż wyobrażała sobie, że jest mężatką, ma dzieci i rozkoszuje się niedzielnym posiłkiem z Beth, Samem, Lionelem i tym kimś, za kogo wyszła. Wciąż przymierzała ową sytuację niczym nowy płaszcz, patrząc czy jest jej do twarzy, czy czuje się w nim dobrze - i ani razu nie pomyślała o cenie.

Z zadowoleniem myślała także o tym, z jaką łatwością wtopiła się w inną rodzinę. Przez większość życia czuła się przecież jak schwytana w pułapkę którejś z fotografii Tiny Barney, ukazującej brak więzi emocjonalnych i rodzinne patologie - dwie cechy, które

uważała za łączące ją z tą artystką. Z drugiej strony czas spędzony z Fowlerami podział na nią przygnębiająco, bo przecież ich radość i bliskość były dla niej nieosiągalne. Każdy, z kim by się związała na stałe, natychmiast znalazłby się w niebezpieczeństwie, a jego bliscy również. I na Boga, jakże mogłaby mieć dzieci! Żadne dziecko nie powinno być skazane na takie życie, jakie przypadło w udziale Amandzie.

A jednak, myślała również, czy nie mam żadnego prawa do tego, Co poznałam dzisiaj? Czy naprawdę jestem skazana na wieczne podgląd nie przez szybkę? Gdy szli z Jakiem do metra, uświadomiła sobie, iż to właśnie dlatego ją pociągał, że przy nim wszystko wydawało się możliwe. Bo uczepił się tego, co inni uznali za nie do przyjęcia. Nie dbał o to, czy jest jedynym człowiekiem, który wierzy, że Archie żyje. Dopóki nie otrzyma dostatecznego dowodu, iż jest inaczej, nie zejdzie z obranego kursu, choćby szedł pod wiatr. Nie obchodziło go, że ktoś inny, sparaliżowany niemożnością, stanie w miejscu. Dla niego każdy dzień to początek. A jeżeli wieczór przynosił rozczarowanie, otuchy dodawała mu świadomość, iż wkrótce nadejdzie nowy poranek. Przy nim Amanda czuła, że ona też mogłaby tak żyć, gdyby odważyła się mieć nadzieję na rzeczy, które wcześniej wydawały jej się niemożliwe.

W pociągu na Manhattan odezwał się telefon komórkowy Jake'a i wezwano go do biura. Amandzie było to nawet na rękę, gdyż tej nocy miała dyżur, a wcześniej powinna odrobić trochę papierkowej roboty. Fowler wysiadł na swoim przystanku, ona zaś pojechała dalej, na West Side.

Po wyjściu ze stacji przy Osiemdziesiątej Szóstej zadzwoniła z budki telefonicznej do wujka Sama. Została tak wspaniale potraktowana przez Fowlerów, że postanowiła oddać im przysługę, jeżeli tylko będzie to możliwe.

- Biuro szeryfa federalnego.
- Proszę z Samem Batesem, mówi Amanda Maxwell.
- Szeryfa Batesa nie ma w mieście, panno Maxwell. Tu zastępca Steinmetz, w czym mogę pomóc?

Amanda rozmawiała z Steinmetzem na tyle często, by czuć się swobodnie. Był młody, przyjacielski i według Sama bardzo zdolny.

- Badam sprawę sprzed dwudziestu lat, chodzi o osobę zaginioną
- zaczęła.

- Uwielbiam tego typu łamigłówniki - oświadczył. Niemal widziała, jak młody zastępca oblizuje wargi. - Kto to?

- Facet o nazwisku Archie Fowler. Był księgowym z Brooklynu i miał chłopców Saviano wśród swoich klientów. Z tego, co dowiedziała się policja, dość swobodnie potraktował ich zasoby finansowe. Pewnego dnia zniknął. Po kilku tygodniach w bagażniku jego samochodu znaleziono zmasakrowane zwłoki, które wszakże nigdy nie zostały ze stuprocentową pewnością zidentyfikowane. Biegli sądowi byli przekonani, że to Archie, lecz kilkoro z członków rodziny nie zgadzało się z ich opinią - Parę lat po makabrycznym odkryciu i pogrzebie rzekomego Archiego jego matka twierdziła, że widziała syna na ulicy w Arabie. Nigdy więcej nie pojawił się jednak w Stanach. Jego syn, który jest prywatnym detektywem i działa w naszym mieście, nadal jednak uważa, że ojciec żyje. Rodzina Archiego to bardzo mili ludzie. Chciałabym móc pozwolić im żyć w spokoju, wyjaśniając tę sprawę w taki czy inny sposób.

- Jestem zaintrygowany - powiedział Carl. - Proszę o szczegóły, a już biorę się do roboty.

Amanda odpowiedziała na pytania najlepiej, jak umiała. Gdy już jednak odwiesiła słuchawkę, zaczęła się zastanawiać, czy postąpiła właściwie. A co będzie, jeżeli Archie okaże się martwy? Albo, co gorsza, prowadzi drugie życie, z inną kobietą i nową rodziną? Wiedziała, że muszę przejść przez ten most, pomyślała, zanim jeszcze do niego dotarłam. Skierowała się w stronę domu. Na rogu Osiemdziesiątej Dziewiątej przystanęła przy stoisku z gazetami i kupiła niedzielne wydanie „New York Timesa”. Już w chwili, gdy brała gazetę do ręki, uderzył w nią tytuł:

BAIRD RZUCA OBELGAMI, NAZYWA CHISOLMA PIONKIEM MAFII, A WELCHA TCHÓRZEM. Z pierwszych stron innych gazet krzyczały nagłówki o podobnej treści. Pośpiesznie przerzuciła „Timesa”.

W telewizyjnym wywiadzie przeprowadzonym dzisiaj rano przez Hallie Brendel Lionel Baird zarzucił senatorowi Chisolmowi, iż pozwala się wykorzystywać przez mafię. Według Bairda dokumenty dostarczone senatorowi, a następnie redakcji „Daily Telegraph” to część wyreżyserowanego planu, mającego na celu odciągnięcie uwagi mediów od krwawych porachunków gangów, rozgrywających się na ulicach naszego miasta.

Zamiast zająć się prawdziwymi przestępstwami - powiedział pan Baird, wyraźnie oskarżając pannę Brendel o dowolny dobór faktów - wspiera pani człowieka, który nie tylko jest wykorzystywany przez mafię, ale tak zdeteminowany chęcią wygrania wyborów, że zrobi i powie wszystko, by mnie zniszczyć. Na poparcie swoich słów pan Baird wytknął „Telegraphowi”, a także innym gazetom, potraktowanie podwójnego morderstwa z piątkowej nocy we Wschodnim Harlemie jako codziennego nowojorskiego wypadku i zatajenie informacji o stylu gangsterskiej egzekucji, w jakim uśmiercono ofiary. Według kogoś, kogo pan Baird nazwał wiarygodnym źródłem, nie chodzi tu o porachunki wewnątrzmafijne, tylko o wojnę prowadzoną przeciwko kilku rodzinom przez lokalny odłamek wyjątkowo brutalnych gangów rodem z Los Angeles. Celem tych ostatnich - jak twierdzi anonimowe źródło - jest przejęcie całej kontroli nad lukratywnym nowojorskim rynkiem narkotykowym oraz praw do dystrybucji najnowszej narkotykowej zabójcy, propainy, śmiertelnej mieszanki kokainy i CPC.

Gdy panna Brendel zapytała, czy historia przypadkiem się nie powtarza, pan Baird zarzucił jej i gazecie chęć poświęcenia dziennikarskiej rzetelności dla zwiększenia nakładu „Telegraphu”. Naciskany o porównanie złożonego przed łąty zeznania Douglasa Welcha, zawierającego oskarżenie pana Bairda o pranie pieniędzy królów narkotykowych, z podobnymi zarzutami, wysuwanymi ostatnio przez senatora Chisolma, pan Baird oświadczył: Douglas Welch i senator Chisolm rzeczywiście mają ze sobą coś wspólnego: obaj są kłamcami. Różnica polega na tym, że senator Chisolm przywykł do mijania się z prawdą i dlatego czuje się na tym gruncie swobodnie. Douglas Welch był niższym urzędnikiem, ze skłonnościami do hazardu, a skłamał, by bronić się przed postępowaniem karnym. Gdy nikt nie uwierzył w jego rewelacje, a on sam został przez sąd uznany za winnego, wybrał wyjście godne tchórze i odebrał sobie życie. Na górze, w mieszkaniu, Amanda włączyła telewizor i przeszukiwała kanały, co chwilę łapiąc wiadomości. Między golfem, koszykówką i baseballem wałkowano tę historię bez końca. Za każdym razem z nieco innym komentarzem, uwypuklano też inne wątki, ale podstawowa treść odpowiadała tytułowi w „Timesie”: Lionel nazwał Chisolma kłamcą, a zmarłego Douglasa Welcha tchórzem. Jeden z wywiadów przykuł wszakże

uwagę dziewczyny; w studiu siedziała Fredda MacDougall, uosobienie lojalności i dyskrecji. Zapytana o negatywną opinię wystawioną przez Lionela jej poprzedniemu pracodawcy potwierdziła, że Douglas Welch był nieuleczalnym hazardzistą i pozostawił olbrzymie długi.

- Skąd pani o tym wie? - zapytał dziennikarz.

- Miałam wtedy romans z panem Welchem. - Fredda nie mogła się powstrzymać. Jej wystąpienie, w stylu femme fatale, wydało się Amandzie żalodne. Zamknęła oczy, by nie widzieć ekranu.

- Więc pan Baird nie był w żaden sposób wplątany w kradzież świadectw udziałowych, jak to zeznał pan Welch na procesie?

Fredda ściągnęła wargi i głęboko westchnęła, aż zadrgały jej nozdrza.

- Absolutnie nie! Biedny Douglas po prostu próbował wypłatać się z paskudnej sytuacji. Popełnił fatalny błąd i wiedział, że przyjdzie mu za to odpokutować. Nie mógł wyjawić nazwisk swych mocodawców, więc uderzył w pana Bairda. Sekretarka zagryzła wargi, westchnęła i lekko potrząsnęła głową. Pewnie widziała podobną scenę w filmie z Bette Davis, przyszło Amandzie do głowy.

- Pan Baird w gniewie stawał się straszny, jednak nie mógłby zabić i Douglas o tym wiedział.

- Dlaczego nie ujawniła pani tego wcześniej? - Dobre pytanie, pomyślała Amanda.

- Chroniłam rodzinę Douglasa. - Fredda opuściła powieki niczym Susan Hayward w „Back Street”. - Miał żonę i syna, którzy go kochali. Proces... samobójstwo... Nie chciałam dodawać im bólu, wyjawiając nasz romans.

Amanda aż jęknęła. Ona robi z siebie idiotkę, a może i cel. Zadzwoił telefon. Amanda usiłowała wysłuchać wywiadu do końca, lecz głos Annie brzmiał natarczywie.

- Zaraz u ciebie będę. Musimy się zobaczyć jeszcze przed tym obiadem.

- Jakim obiadem? - Przyjaciółce udało się odciągnąć uwagę Max od telewizora. - Nie sprawdziłaś na sekretarce?

- Właśnie weszłam. - Dopiero teraz zauważyła mrugające czerwone światelko.

- Zadzwoił do mnie Lionel Baird. Chce spotkać się z nami na obiedzie. Amando, on w to wchodzi!

A więc Annie została sprawdzona i okazała się czysta, pomyślała Amanda z ulgą.

- Wspaniale! Ale - popatrzyła na zegarek - o północy zaczynam służbę.

- W porządku... świetnie... to dobrze. Nie, musimy porozmawiać! Już jadę. Odwiesiła słuchawkę, nim Amanda zdążyła zaprotestować. Czekając na przyjaciółkę, wysłuchiwała jeszcze wiadomości od Lionela. Jak zwykle, mówił lakonicznie, nie wymieniając żadnych nazwisk - na wypadek, gdyby ktoś włamał się do mieszkania. Zawiadamiał o spotkaniu o siódmej trzydzieści, w restauracji kilka przecznic od jego domu Zarezerwował osobną salkę.

Wyjmując naczynia ze zmywarki i odkładając talerze obiadowe z ubiegłego wieczora, Max rozmyślała o Annie: powinna być zadowolona, a jednak wydawała się zdenerwowana. Czyżby niepokoiła się tak wielkim przedsięwzięciem? Nie można mieć jej tego za złe, prowadzenie własnej firmy to duża odpowiedzialność, i gdyby spytano Amandę o zdanie, pewne jest, że nie chciałyby musieć rozliczać się z dochodów i strat przed Lionelem.

Rozległ się brzęczyk domofonu. Nacisnęła guzik zwalniający zamek w bramie i czekała, aż zobaczy Annie w wizjerze, wtedy otworzyła drzwi i... przestraszyła się na widok przyjaciółki: cienie pod oczami, twarz popielatoszara - nic, co mniej przypominałoby kobietę u progu sukcesu.

- Co ci jest?

Patrzyła, jak Annie przechodzi przez salonik i pada na krzesło. Splotła razem palce obu rąk, ale poruszała nimi niespokojnie. Amanda usiadła naprzeciw niej na kanapie i czekała. Wydawało jej się, że w ciele przyjaciółki tyka bomba, która lada chwila eksploduje.

- Muszę ci coś powiedzieć i to zaraz. - Wyglądała na kompletnie przybitą.

- Dobrze, wal. - Amanda usiłowała zachować lekki ton, choć w środku cała się trzęsła.

Tamta spojrzała jej prosto w oczy, splecione palce zamarły w bezruchu, każdy mięsień wydawał się napięty do ostateczności.

- Wiem, kim jesteś - szepnęła.

Bomba eksplodowała, ale w piersi Amandy. Serce zaczęło jej bić w szaleńczym tempie, lecz zachowywała obojętny wyraz twarzy.

- O czym ty mówisz?

- Jesteś Erica Baird.

Amanda tylko potrząsnęła głową; nie mogła wydobyć z siebie słowa ani oddychać.

- Wiem, bo ja jestem Ana, Ana Colon.

Uderzenia krwi przeniosły się wyżej, teraz huczało jej w głowie i Amanda nie była pewna, czy naprawdę słyszała słowa Annie, czy jej się tylko zdawało.

- Dałaś mi twojego psa, Checkersa - ciągnęła podając się za przyjaciółkę nieznajoma. - Zaopiekowałam się nim, Ricki, bo ty go kochałaś, a ja kochałam ciebie.

Amanda odpowiedziała pustym spojrzeniem. Wewnątrz niej wszystko się burzyło, jednak nadal milczała.

- Czy pamiętasz tamten dzień, kiedy szliśmy przez Washington Square Park i zobaczyłyśmy czarnego labradora z białym uchem? Pokazałam ci go i wspomniałam, że kiedyś miałam podobnego psa. Wzruszyłaś się, a gdy zapytałam, czemu, odpowiedziałaś wymijająco, że coś wpadło ci do oka.

Wyciągnęła dłoń, lecz Amanda odsunęła się szybko.

- Dobrze, wiem, że to nie jest przekonujące, są jednak inne szczegóły, które mógł znać i zapamiętać tylko ktoś, kto był z tobą naprawdę blisko. Jak choćby ten gest, gdy jesteś zdenerwowana: rozsuwasz palce, ściskasz je z powrotem i poruszasz nimi; albo jak nozdrza ci drgają, gdy jesteś wściekła. I ten twój zwyczaj podśpiewywania pod nosem, wszystkiego - melodii z radia, piosenek z filmów, z telewizji i reklam.

Amanda zmrużyła oczy i oparła się o kanapę. Demonstrowała niedowierzanie skrzyżowanymi ramionami i całym ciałem.

Annie pochyliła się do przodu.

- I nie zapominaj, moja stara przyjaciółko, że jestem specjalistką od makijażu. Minęło wiele lat, a w twoim prawym oku wciąż błyszczy ta sama pomarańczowa plamka. I mimo operacji plastycznej dawny mały dołeczek nie znikł z twojej brody.

Amanda odruchowo zsunęła włosy na niemal niewidoczne blizny, które, jak sądziła, ją zdradziły. Z przerażenia aż osłabła. Skąd ma wiedzieć, czy ta kobieta nie została podstawiona i nie otrzymała wszystkich informacji od jakiegoś zdrajcy z biura szeryfa czy kogoś, komu po latach śledzenia jej i Beth udało się dopasować fragmenty układanki? Beth! Czy nic jej nie grozi? Musi natychmiast powiadomić

wujka i dowiedzieć się, czy z matką wszystko w porządku. Ale Sama nie ma wściecie! Uświadomiła sobie nagle, że Lionel nie wspomniał nic o raporcie od Batesa. Dlaczego wpuściła tę kobietę do mieszkania? Czemu nie ma przy sobie broni?

- Coś ci się przyśniło - odzyskała w końcu głos - Erica Baird nie żyje od dwudziestu lat. Nie wiem, na co liczyłaś, wymyślając tę historyjkę, ale nic z tego! Tysiące kobiet może pochwalić się dołączkami w brodzie i pomarańczową plamką w oku.

- Ale te tysiące nie mają równocześnie maleńkiej muszki wewnątrz tego dołączka

- Annie wskazała na zagłębienie między piersiami Max - natomiast Erica Baird tak. - Twarz Amandy ani drgnęła, ale źrenice jej oczu poszerzyły się, sprawiając, że wyglądała na przestraszoną. Annie pośpiesznie ją uspokoiła. - Gdy polubiłyśmy się tak od razu, sądziłam że to fantastyczny zbieg okoliczności. Kiedy jednak naprawdę się zaprzyjaźniłyśmy, zaczęłam dostrzegać coraz więcej znajomych szczegółów i w końcu domyśliłam się prawdy. W dzieciństwie byliśmy przecież najlepszymi przyjaciółkami. Czy to nic ci nie mówi, Max? - Annie nie poddawała się i nie odwróciła wzroku, mimo wrogości malującej się w spoglądających na nią oczach niedawnej przyjaciółki.

- Wydaje mi się, jakbym podświadomie szukała cię przez cały ten czas. Choćbyś bardzo się starała mnie zniechęcić, wiem na pewno: Erica Baird żyje, ma się nie najgorzej i właśnie siedzi naprzeciw mnie!

- Oszczędź mi tego melodramatu - odezwała się w końcu Amanda pogardliwym tonem. - Nie chcę cię urazić, Annie, ale zbyt długo miałaś do czynienia z mydlanymi operami.

- Wystarczająco, by rozpoznać na pierwszy rzut oka szczęśliwe zakończenie. Amanda siedziała cicho, z nieustępliwą miną.

- Jeżeli mi pozwolisz - ciągnęła tamta łagodnie - wyjaśnię ci, skąd płynie moja pewność. Jak skończę, będziesz wiedziała, że możesz mi zaufać. Amanda wzdrygnęła się w duchu, ale nie wyprosiła Annie, ani nie próbowała powstrzymać jej słów.

- Tamtego okropnego dnia mama i ja obserwowałyśmy wasz dom, czekając, aż twoja matka wróci z sądu. Naraz podjechały trzy samochody. Jeden zatrzymał się na Palmetto Drive, przed domem, drugi tuż za nim. Trzeci skręcił za róg, zaparkował na Ibis Lane i

zablokował ulicę. Widziałyśmy, jak twoja mama i agent ochrony wchodzi do domu. Kilka chwil później z ogrodu wyszedł człowiek zajmujący się basenem i odjechał swoją ciężarówką. W tym samym czasie drugi mężczyzna wymknął się kuchennym wyjściem i wsiadł do samochodu, który stał w bocznej alejce, na podjeździe u Parkerów. - Oczy Annie zrobiły się ogromne, jakby znów widziała tamtą scenę. - Zaraz potem rozległ się okropny huk i twój dom zniknął w pomarańczowej kuli rozszalałego ognia. - Zadrżała i objęła się ramionami, jak pewnie zrobiła wtedy, gdy miała dziewięć lat i dom jej najlepszej przyjaciółki wyleciał w powietrze. - Z przerażenia byliśmy jak sparaliżowane, zupełnie nie wiedziałyśmy, co robić. Wzywać policję? Biec na pomoc? Wołać sąsiadów? Jednak, mimo że ze strachu straciłyśmy głowę, zapamiętałam mężczyznę, który jakby wypadł z tego dziwnie zaparkowanego samochodu. - Potarła czoło, przywołując w pamięci dawne obrazy. - Potem uświadomiłam sobie, że kierowca ustawił auto bokiem do waszych frontowych drzwi stroną pasażera na zewnątrz. W ten sposób ktoś obserwujący z Palmetto wasz dom, twoją matkę czy agentów ochrony, nie widziałby dokładnie co tam się dzieje. Aleja i mama patrzyłyśmy przez kuchenne okno, wychodzące na Ibis Lane.

- Przechyliła głowę na bok i zmrużyła oczy, jakby przesuwając się przed nią przeszłość. - Byłyśmy zbyt oszołomione, by dostrzec, jak ów mężczyzna wsiada do samochodu zaparkowanego obok Parkerów, mamie jednak wydawało się, że usłyszała trzaśnięcie drzwi. Pół godziny później samochód, który prowadził kawalkadę eskortującą twoją matkę na nasze przedmieście i zablokował ruch na Ibis Lane, także zniszczyła eksplozja. - Głośno przełknęła ślinę. - Nie wiem, w którym momencie popatrzyłyśmy w stronę domu Parkerów, ale wtedy samochód, który jeszcze przed chwilą stał na ich podjeździe, zniknął, jak wszystko. Po policzkach Amandy spływały łzy. Oczy Annie pozostały suche, lecz jej twarz pobladła wskutek przeżywanego na nowo szoku.

- W gazetach napisali, że znaleziono ciała Eriki i Cynthii Stanton. Poszłam z rodzicami na mszę żałobną, płakałam z twoją babcią i dziadkiem, patrząc na groby, w których rzekomo spoczywacie, nie mogłam jednak tak do końca uwierzyć, że nie żyjesz. Głównie z powodu Checkersa.

Wyglądała na tak zagubioną, jak pewnie wtedy, przed laty.

- Wieczorem przed ostatnim dniem procesu przyszedłaś do mnie i powiedziałaś, że mama zabiera cię do sądu. Prosiłaś, bym zajęła się psem. Zgodziłam się, kochałam Checkersa i nie miałam nic przeciwko spędzeniu z nim całego przedpołudnia, ale pamiętam, jak pomyślałam sobie, że to dziwne - miałaś wrócić nie tak późno, dlaczego więc nie zostawiłaś psa w domu jak zawsze, gdy wychodziłaś? Był takim sympatycznym zwierzakiem. Nie gryzł mebli, nie strącał doniczek, nie brudził. Miałam dwanaście lat, gdy zobaczyłam film o programie, ochrony świadka. Nagle wszystko zaczęło mieć sens. Ty i twoja matka nie zginęłyście podczas wybuchu, tylko zostałyście ukryte. Nie pozwoliliby ci wziąć ze sobą Checkersa, więc musiałaś zostawić go u mnie.

- Opiekowałaś się nim? - W głosie Amandy zabrzmiał dawny, niezapomniany ból.

- Przecież wiesz - odrzekła Annie cicho. Znów cofnęła się w przeszłość, myśli stały się obrazem, a potem rzeczywistością. - Ci dwaj, którzy wymknęli się z waszego domu, byli to agenci z biura. I także ci, którzy strzelili z bazooki w dom i trzeci samochód - Dopasowywała brakujące szczegóły. - Ty i twoja matka byłyście w czasie wybuchu gdzie indziej.

- Tego ranka wyjechałam z domu razem z mamą i przeczekałam dzień w bezpiecznym ukryciu, spotkałyśmy się dopiero na lotnisku - Amanda przerwała, jeszcze z przyzwyczajenia, jednak jej wątpliwości co do Annie Hart rozwiały się całkowicie, mogła już mówić szczerze. - Tym człowiekiem od czyszczenia basenów była moja matka.

- A Lionel Baird, którego przez chwilę uważałam za twojego kochanka, to twój ojciec.

Zrezygnowana Amanda kiwnęła głową. Patrzyła na kobietę, z którą przyjaźniły się od ponad roku i zobaczyła teraz całkiem wyraźnie tamtą małą dziewczynkę, przyjaciółkę sprzed wielu lat. Była zdumiona, że ktoś z tak rozwiniętym jak u niej zmysłem obserwacji mógł prze - oczyć podobieństwo: wielkie oczy, okrągłe i czarne jak kawa z ekspresu, włosy proste i ciemne jak lukrecja, biała jak wnętrze muszli cera. Ale prawdziwie charakterystyczną cechą i wtedy, i teraz były wargi: pełne i szerokie, jakby lekko opuchnięte od użądlenia pszczoły. Te same, które się do niej właśnie uśmiechały.

- To naprawdę ty? - spytała.

- A czy znajdziesz takich więcej? - Annie zeskoczyła z krzesła i serdecznie ją objęła.

Przez kilka minut trwały uściski, chichoty i wspomnienia. Annie przerwała jednak tę przyjemną chwilę.

- Robi się późno. Mamy się spotkać z Lionelem, a przedtem musimy porozmawiać.

- W porządku, zaczynaj.

- Słuchaj, Max, wcześniej czy później miałam ci się przyznać, bo nie mogłam znieść, że nie wiesz, kim jestem. A zrobiłam to dzisiaj, gdyż nie mogę pozwolić, by nasz interes doszedł do skutku.

- Dlaczego?

- Jeżeli Lionel mnie sprawdza, a nie mogę sobie wyobrazić, by tego zaniechał, na pewno się dowie, że jestem Anną Colon, najlepszą przyjaciółką Eriki Baird i jej sąsiadką z Miami. Jeżeli on potrafi poskładać fakty, do tego samego wniosku dojdą ci, przed którymi od lat się ukrywasz. To zbyt niebezpieczne. Amanda wtuliła się w oparcie kanapy, znów smutna, bo powrócił znany wróg - rzeczywistość.

- Chyba masz rację - jęknęła.

Wujek Sam z pewnością zebrał informacje o Annie - i to takie, że głowa boli. Ciekawe, pomyślała Amanda, czemu nie zadzwonił, by o nią zapytać. Spodziewać by się można, iż będzie wisiał na telefonie, gdy tylko ich powiązania wyjdą na jaw, skarci Amandę za lekkomyślność i że chce wiedzieć wszystko, o czym mu nie mówiła. Tymczasem nie miała odeń wiadomości już od kilku tygodni. Jak powiedział Carl, Sam wyjechał - Gdzie się podziewa? Czyjego nieobecność ma coś wspólnego z Bastidem albo rodziną Saviano? A może z Annie? Starła się opanować narastający niepokój, powtarzając sobie, że Sam przecież kontaktuje się z Lionelem i wieczorem pewnie poznają najświeższe wiadomości.

- Jak spotkamy się z Lionelem, omówimy tę sprawę - powiedziała, starając się uspokoić. - Nie pozwolę, by to szaleństwo, z jakim muszę się zmagać, zniszczyło twoją być może życiową szansę.

Annie zaprotestowała gwałtownie.

- Nie ma mowy, przyjaciółko. Dwadzieścia lat czekałam na nasze spotkanie. Jeżeli sądzisz, że pozwolę, by pomysł rozreklamowania mojego nazwiska w świecie milionowych interesów wziął górę nad naszą przyjaźnią, mylisz się bardzo!

Amanda się roześmiała; Annie - Ana - zawsze potrafiła ją rozbawić.

- Słuchaj - zaczęła mówić - Lionel jest bardzo mądry i coś wymyśli. - Przypomniała sobie o pieniądzach z funduszu powierniczego, na nazwisko Sama, a przeznaczonych dla niej i Beth.

- Nie wiem, czy powinnam, ale chciałabym zapytać, jak się ma twoja matka.

- Wszystko w porządku; jednak na tym koniec. Przyjaciółka kiwnęła głową. Amanda popatrzyła na nią z uwagą.

- Ja musiałam zmienić nazwisko, a dlaczego ty to zrobiłaś? Annie czuła smutek zasnuwający pokój niczym gęsta, szara mgła.

To nie było obojętne pytanie.

- W szkole średniej dzieciaki stwierdziły, że nie podoba im się moje imię - za dużo kubańskie - i zaczęły mówić do mnie „Annie”. Nie protestowałam, więc tak już zostało. A Hart? Cóż, przez jedną małą chwilę byłam mężatką.

- Kim?

- Mężatką. No wiesz: czy bierzesz sobie tego mężczyznę za męża... - Chwyciła się za żołądek, jakby samo wspomnienie przyprawiło ją o mdłości. - Nazywał się Jack Hart, taki pan Cały Gładki. Wielki samochód. Wielkie mięśnie. - Uniosła brwi. - Wielki... wszędzie. Cóż, zakochałam się! Jednej nocy upiliśmy się, uciekliśmy i wylądowaliśmy w Krainie Małżeństwa. Gdy minął kac, mój mąż też zniknął.

Amanda się roześmiała.

- Niezupełnie: dopóki śmierć nas nie rozłączy...

- No nie. W każdym razie wyruszyłam na podbój Nowego Jorku z kilkoma dolarami w kieszeni i nowym nazwiskiem. Brzmiało nie najgorzej, więc je zatrzymałam.

Z twarzy Amandy zniknął uśmiech.

- Nie przeszkadzała ci ta zmiana?

- Nic a nic. Jak sama wiesz, ja miałam wybór... - przerwała. - po - za tym jestem dzieckiem adoptowanym i starałam się nie przywiązywać za bardzo do nazwiska Colón, bo przecież nie z nim się urodziłam, tylko moi przybrani rodzice powiedzieli mi, że teraz tak się nazywam. Kocham ich szalenie, bo to jedyni rodzice, jakich znałam, i zawsze dla mnie nimi pozostaną. Urodził mnie jednak ktoś inny i dopóki się nie zgłosi, nie będę wiedziała, kim naprawdę jestem.

W dzieciństwie nigdy nie rozmawiały ze sobą o adopcji. Ta sprawa wydawała im się nie warta uwagi. Po latach najwyraźniej to się zmieniło.

- Moje nazwisko określało moją tożsamość - odezwała się Amanda. - Erica Stanton Baird - to mówiło, skąd pochodzę, do kogo należę i kim jestem. I nagle musiałam na zawsze przestać być sobą, stać się kimś innym. - Popatrzyła na Annie, a jej oczy pokryła wilgotna mgła. - Zanim skończyłam piętnaście lat, zmieniałam imię sześć razy.

- Jak ci się to udało?

- Trzymasz się z dala od innych. I uczysz się zachować tajemnicę. Jako dziewięciolatka Annie nie znosiła przebywać w domu sama i nie potrafiła zachować sekretu dłużej niż dzień, jeżeli w ogóle. Jej potrzeba dzielenia się wszystkim i przynależności do kogoś była jeszcze zbyt silna.

- Nie mogę sobie nawet wyobrazić twojej samotności - szepnęła. Wargi Amandy zadrżały.

- Nie potrafiłabyś.

Annie zdawała sobie sprawę, że to prawda. Ona dorastała w domu nieustająco pełnym krewnych i przyjaciół. Jej rodzice byli bezdzietni tak długo, że gdy się pojawiła, robili co tylko mogli, by zapełnić jej życie. Gdziekolwiek ją zabierali - do muzeów, na koncerty, do kina, czy też na wakacje, zawsze zapraszali także przyjaciółki dziewczynki, które często u niej nocowały - nie mówiąc już o wspaniałych przyjęciach urodzinowych i z okazji świąt. Nie przypominała sobie weekendu bez dodatkowego nakrycia przy obiedzie. W żaden sposób nie mogłaby sobie wyobrazić życia Amandy.

- Cudownie musiało być znów móc spotkać się z ojcem - zaczęła, niepewna, jak wiele Amanda zechce i może z nią omawiać.

Żeby się zebrać na odwagę i podejść do niego, potrzebowałam pięciu lat. - Amanda uśmiechnęła się na wspomnienie pierwsze - wieczora w „Four Seasons” i wszystkich innych od tamtej pory. - a je wiesz, tak się cieszę, że się na to zdobyłam! - Pomyślała o różowych kameliach w wazonie obok łóżka i o przyjemności zaproszenia Lionela na obiad. - Nie potrafię opisać, jaki jest wspaniały.

- Nie musisz mnie przekonywać, ten człowiek chciał opłacić Hart Line.

- Chce - poprawiła Amanda. Annie potrząsnęła głową.

- Słuchaj, ostatnią rzeczą, do jakiej bym dopuściła, jest naruszenie twojego bezpieczeństwa.

Amanda poczuła, że ze wzruszenia ściskają w gardle. Jak miło znów mieć przyjaciółkę, która się o nią niepokoi.

- Znam Lionela, rozpatrzy wszelkie aspekty i omówi wszystko z szeryfem. Wierz mi, mój ojciec nie zrobiłby niczego, co mogłoby narazić mnie lub jego. Restauracja przypominała małą gospodę na francuskiej prowincji. Stały tu meble z jasnego drewna, stoły nakryto perkalowymi obrusami w biało-niebieską kratkę. Krzesła o sztywnych, plecionych oparciach, wyściełane ozdobionymi falbanką poduszkami, stały przy każdym stole skromnie wyprostowane niczym ciotki - stare panny na kościelnej wyprzedazy. Miedziane naczynia i pękate gliniane figurki zwierząt umieszczono na obramowaniu olbrzymiego kominka pośrodku sali. Sufit zdobiły grubo ciosane belki, na ścianach nie pożałowano tynku. W efekcie całość przypominała olbrzymią kuchnię chłopską przeniesioną do Nowego Jorku ze wszystkim, nie wyłączając beczki z dojrzewającym winem, prosto z jakiejś farmy w Dordogne.

Amanda i Annie przybyły tu dokładnie o siódmej trzydzieści. Wejście do oddzielnej jadalni prowadziło przez krótki, mroczny korytarz, a potem schodami w górę; można było się tam dostać, nie będąc zauważonym i omijając główną salę. Maitre zaproponował im kieliszek krzepkiego bordeau, wybranego przez Lionela. Annie przyjęła propozycję z przyjemnością, Amanda odmówiła. Choć miała jeszcze przed sobą sporo czasu, nie lubiła pić przed dyżurem.

Minęło pół godziny, lecz Lionel się nie pokazywał. Kelner podał półmisek serów i pasztetów, Annie wypiła następny kieliszek wina, a Amanda poczuła niepokój: ojciec nie zwykł się spóźniać. O ósmej trzydzieści była już przekonana, że wydarzyło się coś złego

- Pójdę do jego domu - oświadczyła; odruchowo upewniła się, że broń tkwi w kaburze.

- Idę z tobą! - zaproponowała Annie.

- Nie, zostań tu na wypadek, gdyby się jeszcze pojawił. - Mówią to, przeszukiwała salkę. Sprawdziła, czy nie zainstalowano tu podsłuchu; wsuwała rękę pod półki, krzesła i stoły, wykręcała żarówki w lam - pach i oglądała gzymsy oraz framugi przy drzwiach i oknach.

- Mam złe przeczucia. - Przyciśnięta plecami do ściany, wyjrzała przez okno i zlustrowała wzrokiem ulicę. - Ale może dlatego, że

jestem głodna. - Zdała sobie nagle sprawę, że wprawiła Annie w zdenerwowanie. - To pewnie tylko moja zwykła obsesja, robię wielką sprawę z byle głupstwa. Mówił, że będzie pracował nad jakimiś dokumentami. Może po prostu stracił poczucie czasu lub zaszła jakaś pomyłka.

- Z pewnością - odrzekła Annie. Czowała, jak uczucie ciepła wywołane winem znika, a przytulne pomieszczenie ogarnia nieprzyjemny chłód. - Jestem przekonana, że nic się nie stało.

- Pokój jest czysty - oświadczyła Amanda. Zarzuciła plecak na ramię i ruszyła w stronę schodów. - Niedługo wrócę. Poradzisz sobie?

- Oczywiście - skłamała Annie.

Tak naprawdę była przerażona. Stała samotna pośrodku pokoju, otoczona niewidzialną siecią niebezpieczeństw i przyszło jej do głowy, że dziś wieczorem otworzyła drzwi do przerażającego świata tajemnic i ukrywanych tożsamości, do krainy niekończącej się wendety. Amanda przynajmniej знаła zasady owej gry, gdyż była doświadczonym jej uczestnikiem. Jej drugą naturą stało się rozglądanie wokół, zerkanie do ciemnych kątów i oglądanie się za siebie, a nawet sprawdzanie pod łóżkiem. Była policjantką, miała broń i nie zawahałaby się jej użyć. Annie nie tylko nie wiedziałaby, jak się bronić, ale nie miała także pojęcia, przed czym i przed kim.

Zaczęła myśleć o tym, w co się wpakowała. I jak, jeżeli to w ogóle możliwe, będzie mogła się wyplątać z tej sytuacji.

Chyba za długo jestem policjantką, myślała Amanda. Obcowanie na co dzień ze zbrodnią i całą jej ponurą otoczką wykształciło w niej nawyk podejrzliwego traktowania wszystkiego, co choćby w nieznacznym stopniu odbiegało od normalności. Na swą obronę mogłaby jedynie powiedzieć, że Lionel był wręcz denerwująco punktualny i w żaden sposób nie dało się wytłumaczyć dzisiejszego po - nadgodzinnego spóźnienia. Na rogu Madison i Siedemdziesiątej Siódmej skręciła, zbliżała się do domu ojca. Zwolniła, sięgnęła pod kurtkę, sprawdziła broń i z powrotem włożyła ją do kabury. Napięcie sprawiło, że czuła każdy nerw, każdy mięsień. Zlustrowała wzrokiem obydwie strony ulicy. Sprawdziła podesty schodów przed domami, okna, drzewa przed i za budynkami. Obejrzała uważnie nawet parę starszków idących pod rękę na spacer. Podchodziła powoli, drugą stroną ulicy, obserwując okna. W bibliotece i w jednej z sypialni na piątym piętrze świeciło się światło. Jak zwykle w niedzielę, większość

służby miała wychodne. Może Thompson, mieszkający w rezydencji, był w swoim pokoju, a może któryś z ochroniarzy Lionela odpoczywał w pomieszczeniu dla personelu. Niepewna, kto to, i czy powinien być w domu o tej porze, zadzwoniła z komórki pod prywatny numer Lionela. Wiedziała, że nie powinna - pozostawi ślad, po którym można będzie ją namierzyć - ale nie zamierzała wpadać w pułapkę, jeżeli mogła jej uniknąć. Telefon zadzwonił kilka razy, nim w końcu odezwała się automatyczna sekretarka. Amanda przerwała połączenie bez pozostawiania wiadomości. Szybko wystukała główny numer. Jeżeli Thompson jest w domu, zajęty czy nie, nie pozostawi telefonu bez odpowiedzi. Lionel mówił jej kiedyś, że gdyby kamerdynera obudzono w środku nocy, jego pierwsze słowa brzmiałyby: „Tu rezydencja Bairda”. Po dziesięciu sygnałach Amanda się rozłączyła - nikt nie odbierał.

Zastanawiała się nad anonimowym telefonem na policję, by koledzy z Jeden - Dziewięć sprawdzili dom, ale gdyby alarm okazał się fałszywy, czułaby się paskudnie. Niepotrzebne wezwanie to marnotrawię nie czasu, pieniędzy i ludzkiego wysiłku. Już chciała iść do frontowych drzwi i zadzwonić, ale przypomniała sobie, jak Lionel mówił o ukrytym wejściu do rezydencji. Dawny właściciel miał kochankę i zrobił ukryte drzwi, by mogli się spotykać, zachowując pełną dyskrecję. Amanda przywoływała w pamięci szczegóły. Wchodzi się do domu z przyziemia. W małym holu przed kuchnią znajdują się ukryte za boazerią drzwi na schody prowadzące do zamaskowanego wejścia do biblioteki. Lionel uważał, że na wszelki wypadek powinna wiedzieć o tym wejściu. Nadeszła pora, by je wykorzystać, pomyślała.

Zajrzała za żelazne ogrodzenie przy schodach do wejścia dla służby i z zadowoleniem zobaczyła, że w kuchni jest ciemno. Przygotowała swój uniwersalny klucz, z plecaka wyjęła parę lateksowych rękawiczek, odczekała moment i gdy na ulicy było pusto, nisko pochylona przebiegła na drugą stronę. Otworzyła furtkę i weszła za ogrodzenie. Czerwone światełko mrugające z niewielkiej płytki informowało, że alarm jest włączony. Na szczęście Lionel podał jej kod: 1669, łatwy do zapamiętania, bo oparty na dacie jej urodzenia: 16 stycznia 1969. Wystukała numery, otworzyła drzwi, szybko weszła do środka i zamknąwszy je za sobą, z powrotem włączyła alarm.

Hol rozjaśniało tylko światło padające z ulicznej lampy. Amanda przycisnęła się plecami do ściany tak, by niewidoczna z zewnątrz, mogła sprawdzić przez okno, czy nikt za nią nie szedł, a teraz nie obserwuje jej poczynąń, i szukała ręką wokół siebie jakiejś szczeliny sygnalizującej ukryte przejście. Za każdym razem, gdy przejeżdżał samochód i ciemną kryjówkę omiatało jaskrawe światło reflektorów, wstrzymywała oddech i jeszcze mocniej przyciskała się do tapety. Wreszcie natrafiła dłonią na wyraźny rowek.

Ostrożnie napierała łokciem, aż drzwi się otworzyły, ukazując następny korytarz, pograżony w atramentowych ciemnościach. Odszukała w plecaku małą latarkę i skierowała wąską strugę światła na podłogę. Trzymając się poręczy, powoli wchodziła po stromych schodach, stopień po stopniu, nadal znajdując się blisko ściany.

Zanim doszła na górę, jej oczy zdążyły się przyzwyczaić do ciemności. Oświetliła przestrzeń przed sobą - szukała klamki od drzwi prowadzących do biblioteki. Na poziomie oczu zobaczyła niewielką klapkę z małą gałką pośrodku i sięgnęła po nią ostrożnie. Jak przypuszczała, za klapką znajdował się otwór służący jako wizjer. Uniosła osłonę powoli, na wypiek gdyby z drugiej strony ktoś celował w sam środek twor. Na szczęście nikt stamtąd nie patrzył. W zalanym światłem pokoju nie zauważyła śladu niczyjej obecności, ale ograniczone pole widzenia nie pozwalało jej dostrzec biurka ani drzwi.

Włożyła latarkę do kieszeni, zsunęła plecak z ramienia i wepchnęła róg podestu, by nie zsunął się w dół. Wyjęła broń z kabury, a potem pchnęła stopą drzwi i z wyciągniętymi do przodu ramionami i z palcem na języku spustowym trzydziestkiósemki wpadła do środka. W ciągu zaledwie kilku sekund przesunęła ręce i oczy z lewej strony na prawo i w końcu sięgnęła wzrokiem biurka. Z przerażenia przez chwilę nie mogła oddychać. Ojciec siedział na krześle, odchylony do tyłu i wyglądał, jakby spał - tyle że brakowało mu górnej części głowy. Kawałki kości, strzępy skóry i szara substancja przywarły do sufitu i regałów za biurkiem. Ciemne plamy krwi upstrzyły okładki ulubionych książek Lionela, przeważnie pierwszych edycji, brudnobrązowe smugi ściekały z biurka na drogocenny dywan z Aubusson i tworzyły na nim kałużę u stóp zabitego; strugi krwi pokryły obity skórą blat biurka w stylu Ludwika XIV i pozasychały na koszuli zmarłego.

Amanda nawet nie przypuszczała, że zareaguje tak gwałtownie. Zachwiała się i, aby nie upaść, musiała przytrzymać się krzesła. Dłonią zakryła usta, by nie krzyknąć, i z całych sił starała się opanować, próbując ogarnąć myślą straszny obraz przed oczami. Widywała podobne sceny setki razy, jednak po raz pierwszy nie była pozbawioną emocji policjantką, lecz oszołomioną i wstrząśniętą córką nie mogącą powstrzymać rozpaczy na widok tak brutalnie potraktowanego ciała ojca.

Starła się nie zemdleć, oddychała głęboko i oparta o krzesło czekała, aż uspokoi się na tyle, by móc zrobić krok. Trzęsa się tak gwałtownie, że z obawy, by przypadkiem nie nacisnąć spustu, zabezpieczyła broń i schowała ją do kabury. Przewyciężyła ogarniające ją mdłości i opanowała się na tyle, by móc normalnie funkcjonować. Przez cały czas przelatowały jej przez głowę pytania, jedno po drugim. Wezwać policję? Karetkę? Porucznika Clarke'a? Beth? Sama? Jeżeli zadzwoni Pod 911, jakie ma podać nazwisko? I jak wyjaśni, skąd się tu wzięła, jak wytłumaczy swoją znajomość z Lionelem Bairdem? Szalała z przerażenia i niezdecydowania, lecz rozsądek odpowiedział jej, by na razie nie wzywać nikogo.

Ledwo trzymała się na nogach. Podeszła do biurka, dłonie odruchowo trzymając za plecami. Jej wzrok zasnuwały łzy. Popatrzyła na Lionela, na jego otwarte, zakrwawione usta, na straszliwie poranioną głowę, przypominającą rozłupany melon, i rozpaczliwie załkała. Ten człowiek to jej ojciec, jej elegancki, czarujący, wytworny, cudowny ojciec w spodniach pobrudzonych teraz zawartością pęcherza i jelit, w szyte' na zamówienie angielskiej koszuli i włoskim krawacie poplamionym własną krwią, z mózgiem rozprysniętym po ulubionym pokoju.

Krzesło stało przysunięte do biurka tak blisko, że lewe ramię Lionela spoczywało na blacie, niemal jak gdyby nic się nie stało. Prawe zwisało w dół, a piękny, wysadzany złotem rewolwer wysuwał się z bezwładnych, zakrwawionych palców. Nie trzeba było policjantki, by uznać tę scenę za typowe samobójstwo, jednak jakiś głos wciąż powtarzał Amandzie: nie, to niemożliwe. W środku aż krzyczała z niedowierzania, sprzeciwu, odrzucając racjonalne wnioski. Dlaczego miałyby to zrobić, przecież nic nie zapowiadało tragedii! Czy coś przeoczyła? Mogła temu zapobiec? Czy w jakiś sposób jest odpowiedzialna? Nie! Uszczęśliwiła go, właśnie to jej wciąż

powtarzał. Mówił tak jeszcze wczoraj wieczorem. Wniosła w jego życie radość, a nie śmierć. Sięgnęła dłonią, by pogłaskać ojca po policzku, ale kątem oka dostrzegła lateksową rękawiczkę i od razu zadziałał wieloletni nawyk. Cofnęła rękę, by nie zniszczyć żadnych śladów. Jej serce biło mocno, lecz umysł zaczynał coraz jaśniej funkcjonować. Lionel nie postąpiłby tak, przekonywała się w duchu. Nienawidził broni, przecież zawsze to mówił. Wystarczyło, by wziął pistolet do ręki i już czuł się nieswojo. Jakże mógłby włożyć w usta lufę i nacisnąć spust? Czy był to rezultat lat szkolenia i doświadczenia nabytego w pracy, czy też przekonanie o bezsensowności samobójstwa ojca - Amanda sama nie wiedziała. Zdołała się jednak w końcu opanować i spojrzeć na miejsce zbrodni oczami eksperta. Głęboko wciągnęła powietrze, otarła rękawem łzy i zabrała się do oględzin ciała - nie Lionela, nie ojca, ale ofiary.

Skóra była sinawa, koloru wosku, wargi i paznokcie blade, ciało wciąż ciepłe i tylko lekko sztywniejące powieki i szyja wskazywały na rigor mortis. Zgon musiał nastąpić nie później niż przed trzydziestoma minutami, a nie wcześniej niż przed dwoma godzinami. Trzymając się rutynowych działań, Amanda poszła do plecaka po aparat fotograficzny.

Nie zawracała sobie głowy siatką współrzędnych ani notatkami, nie miała na to czasu. Jeżeli ktoś z personelu był w domu, mógł widzieć, jak się tu zakradała i zawiadomić policję. Może poza głównym systemem alarmowym założono drugi, cichy - należało się pośpieszyć. Spoglądała przez obiektyw nikonu i postępowała zgodnie z procedurą, robiąc zdjęcie po zdjęciu, rolka po rolce; ujęcie całości, pod różnymi kątami, zbliżenia ran, rąk, biurka i najbliższego otoczenia.

Miała nadzieję, że przez obiektyw łatwiej będzie jej patrzeć na Lionela jak na anonimowe zwłoki, a nie bliską osobę, ale widok jego zmasakrowanego ciała zaciskał jej wnętrzności. Tym razem nie potrafiła wytworzyć w sobie dystansu; fale żalu napływały i groziły pochłonięciem - Choćby zrobiła tysiąc zdjęć, i to przez najdłuższy z możliwych obiektyw, ten człowiek pozostanie jej ojcem. A jego śmierć zawsze będzie jej osobistą tragedią.

Łzy zamazywały szybkę i po raz pierwszy pomyślała o rodzinach fotografowanych przez nią ofiar. Wykonując swą pracę, nie poświęcała tamtym zbyt wiele uwagi, nie zastanawiała się nigdy, czy

komuś robiło się słabo i czy krzyczał z bólu, ujrawszy zmasakrowane ciało ukochanej osoby.

A ci, których zawiadamiano? Co czuli później, po kolejnych dniach, tygodniach, miesiącach? Teraz poznała to wszystko: gniew, poczucie winy i mdłości. Tak jak jej teraz, im także robiło się niedobrze, drżeli roztrzęsieni, serca im krwawiły, a umysł zadawał miliony pytań, na które nikt nigdy nie da odpowiedzi. Teraz wiedziała, jak wyglądały owe koszmary.

Z nawyku rzuciła okiem na zegarek: jest tu od siedemnastu minut. Powinna czym prędzej odejść, inaczej ryzykuje, że zostanie odkryta. Szybko pozbierała sprzęt i schowała do plecaka. Jeszcze raz, pomimo dwustu pięćdziesięciu zrobionych zdjęć, zlustrowała wzrokiem pokój w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby podsunąć wytłumaczenie czynu Lionela - albo powodu, dla którego ktoś mu to zrobił.

Skoncentrowała się na okolicy biurka. Zawodowy instynkt podpowiadał Amandzie, że jeżeli pozostały jakieś ślady, znajdzie je właśnie tutaj. Pod lewą dłonią ojca leżała gazeta, Amanda poznała poranne wydanie „New York Timesa”. Obok prawej dłoni zauważyła plik dokumentów i podeszła bliżej - miały coś wspólnego z Hart Line Cosmetics Company. Na spodzie był jeszcze jakiś papier, nie mogła jednak dostrzec, co to takiego. Może coś ważnego, ale jeżeli poruszy cokolwiek, ekipa z kryminalnego, która dostanie tę sprawę, zauważy zmianę. Nie może ryzykować tego, że ktoś powiąże ją z Lionelem - choćby maitre z restauracji, w której mieli zjeść obiad - a nie odważyłaby się odpowiadać na pytania, jakie by padły. Później, już po zebraniu dowodów dowie się wszystkiego.

Zazwyczaj zamknięta szuflada, w której Lionel trzymał broń, teraz była otwarta. Gdzie podział się klucz? Amanda obrzuciła wzrokiem miejsce obok ciała, ale nie znalazła klucza ani na dywanie, ani na biurku, ani w ręce Lionela. Zajrzała do szuflady - mógł wpaść tam przypadkiem - i zauważyła aparat fotograficzny, który ojciec miał ze sobą poprzedniego wieczora. A jeżeli rolka wciąż tkwi w środku? Nie, aparat był pusty czy Lionel, jak planował, dał film do wywołania w New Jersey, czy też ktoś inny go zabrał? Amanda zaniepokoiła się poważnie. Cała rolka zawierała zdjęcia jej i Beth. Dlaczego Lionel Baird miałby je fotografować gdyby nic ich z nim nie łączyło? Jeżeli ktoś inny niż laboratorium Kodaka wszedł w posiadanie filmu, wkrótce domyśli się prawdy. Nawet nie może, jak kochająca córka,

pograćzyć się w rozpacz i choć na chwilę zapomnieć o sobie, pomyślała, przepełniona żalem i gniewem, ale tak właśnie wygląda życie zdominowane przez program ochrony świadka: własne bezpieczeństwo to priorytet numer jeden. Niezależnie od tego, co się wydarzyło - i komu - należało dalej udawać, że nie jest się tym, kim się jest, inaczej czyhający zewsząd wróg cię dopadnie.

Szumiało jej w głowie, serce biło jak młotem i wiedziała, że musi natychmiast stąd odejść. Uniosła dłoń do ust, pocałowała koniec wskazującego palca i dotknęła nim chłodnych, bladych warg Lionela.

- Żegnaj, tatusiu! - szepnęła. Żałowała, że nie mówiła tak do niego częściej. - Kocham cię.

Świeże łzy płynęły po jej policzkach, gdy wymykała się ukrytymi drzwiami, opuszczając zwłoki człowieka, który dał jej życie. Na palcach zbiegła po schodach. Wciąż zastanawiała się, dlaczego mógłby się zabić. To nie ma żadnego sensu, powtarzała kolejny raz. Czuł się szczęśliwy, mówił o przyszłości, o przyszłym zięciu, marzył o wnukach i o dniu, gdy wreszcie, nie kryjąc się, będą razem. Przypuszczała, że wyobrażał sobie zbliżenie z Beth, a może nawet powrót ich miłości. Kto włożył mu broń do ręki, kto zmusił do naciśnięcia na spust?

Przed wyjściem na ulicę zatrzymała się i popatrzyła wokół. Na zewnątrz panował spokój, jej wtargnięcie do domu Lionela najwyraźniej nie zwróciło niczyjej uwagi, chyba że ktoś wyglądał akurat przez okno z zaciemnionego pokoju. Pobiegnęła do budki telefonicznej na rogu Siedemdziesiątej Siódmej i Madison. Palcami wciąż chronionymi przez lateksowe rękawiczki wybrała numer 911. - Chyba coś się wydarzyło pod numerem 14 przy Wschodniej Siedemdziesiątej Siódmej - powiedziała, przysłaniając usta rękawem swetra. ktoś tam strzelał. Odwiesiła słuchawkę i niewiele brakowało, by osłabła i osunęła się ziemię - Nie powinna znajdować się w pobliżu w chwili, gdy nadjadą radiowozy na sygnale. Wysiłkiem woli zmusiła się, by pójść spokojnym krokiem w stronę restauracji przy Lexington Avenue, gdzie zostania Annie.

Nie, pomyślała z rozpaczą, nie mogę tam iść. Wybrała na komórce numer informacji, zapytała o telefon lokalu i zadzwoniła. Maitre ucieszył się na dźwięk jej głosu i zapytał, czy wszystko w porządku.

- W jak najlepszym - starała się mówić spokojnie. - Czy moja przyjaciółka jeszcze jest?

- Mais oui - ależ tak. - Poprosił, by poczekała i poszedł po Annie. Zanim wreszcie podniosła słuchawkę, minęła cała wieczność.

- Co się dzieje? - Głos przyjaciółki drżał z niepokoju.

- Spotkamy się po drugiej stronie ulicy.

- W porządku. Czy mam zająć się...

- Lionel z pewnością podał im numer karty kredytowej, po prostu wyjdź.

- Dobrze, zaraz będę.

Amanda czekała w bramie zamkniętej na noc apteki. Na widok przechodzącej przez ulicę Annie, wysunęła się z cienia, kiwnęła do niej dłonią i wmieszała się w tłum przechodniów. Ruszyła w stronę Trzeciej Alei, Annie poszła za nią. Gdy już nie dało się ich dostrzec z restauracji, Amanda zatrzymała się i zaczęła na przyjaciółkę.

- Coś się stało?

- Lionel nie żyje, wszystko wskazuje na samobójstwo. - Jeszcze nie skończyła, a już wiedziała, że w to nie wierzy.

- Co takiego?! - Tamta, choć oszołomiona, tak jak Amanda odrzuciła natychmiast możliwość, by mógł sam odebrać sobie życie. - Niemożliwe, nie zrobiłby tego, o Jezusie!

- Miał w dłoni broń. - Amanda wołała nie wdawać się w szczegóły, Annie i tak wyglądała na roztrzęsioną.

- No to co? On tego nie zrobił, nie miał powodu. Czy ktoś, mający takie życie, przerwałby je tak bezsensownie?

Rzeczywiście, pomyślała Amanda, to niemożliwe. Odczuła ulgę, widząc podobną do swojej reakcję przyjaciółki. A więc jej podejrzenia mają sens.

Obok nich przejechała karetka na sygnale; na jej widok Amanda nie potrafiła powstrzymać łez. Annie też zapłakała; objęła przyjaciółkę i próbowała ją podtrzymać na duchu. Na razie nie pozostało nic poza pociechą, nie było żadnej możliwości wyjaśnienia czy zrozumienia tego czynu. I obie dobrze o tym wiedziały.

- Wróc ze mną do domu - zaproponowała Annie - zostań u mnie na tę noc. Amanda potrząsnęła głową i spojrzała na zegarek.

- Za piętnaście dziesiąta, zaraz idę do pracy.

- Oszalałaś? Jesteś roztrzęsiona, powinnaś się uspokoić i odpocząć - Annie spojrzała przyjaciółce głęboko w oczy i aż

wzdrygnęła się na widok bólu, jaki w nich zobaczyła. - Daj sobie trochę czasu na żal.

Amanda potrząsnęła przecząco głową i odetchnęła głęboko, starając się powstrzymać łzy.

- Nie, najlepiej, jeśli będę robić to, co zwykle. Poza tym, w pracy nic mi nie grozi.

Annie przeszył zimny dreszcz. Nie przebywała w świecie Amandy zbyt długo, a już zdążyła go znienawidzić. Pomyślała o specyfice pracy przyjaciółki.

- Jak dasz sobie radę...

- Poradzę sobie. - Max nie dała się przekonać. Wciąż widziała zmienioną twarz Lionela i jego okropnie zmasakrowaną głowę. - Muszę. - Wróciła pamięcią do otwartej szuflady i pustego aparatu. - Jeżeli to nie samobójstwo, ktoś dowie się o naszych spotkaniach i zaraz wszystko odkryje.

- W takim razie powinnaś się ukryć. - W głosie Annie zabrzmiały nuty paniki.

- Wiem - zgodziła się Amanda - ale czasem najbezpieczniejszą kryjówką bywa najbardziej widoczne miejsce.

Pierwszą sprawą, jaką dostali Amanda i Pete, było podwójne zabójstwo na Lower East Side. Zastrzelono dwóch członków Blanca Muerte; ciała pozostawiono na szkolnym boisku i obsypano taką ilością propainy, że wyglądali jak oproszone cukrem francuskie rogaliki.

- Co się stało z klasycznymi egzekucjami? - spytał Pete, gdy okrążali zwłoki. Zamiast pojedynczych strzałów w głowę, ze zwykłej broni, ofiary zabito prawdopodobnie z AK - 47. Nie tylko z ich twarzy nie pozostało nic, co pozwoliłoby na identyfikację, także wnętrzności wylały się na zewnątrz, sięgając końcowej linii szkolnego boiska do koszykówki. Amanda zabrała się do robienia zdjęć - szybko, w milczeniu, metodycznie. Nastawiała obiektyw, naciskała migawkę, zapisywała dane w notesie i znów obiektyw, migawka, coraz więcej dodatkowych uwag. Pete zauważył, że zachowuje się ciszej niż zwykle, porusza się jak automat, ale uznawał prawo każdego do złego nastroju. Może to ten okres miesiąca?

Obserwując jej zwolnione ruchy, przypominał sobie tamtą noc, gdy ona i Jake jakby zatracili się w godowym tańcu. Źrenice jego

oczu zwięzły się na myśl, że ten facet mógłby ją zranić. Jeżeli tak się stało, lepiej niech się pilnuje; Pete Doyle potrafi bronić przyjaciół.

O wilku mowa, pomyślał na widok detektywa wysiadającego z taksówki i zbliżającego się do nich.

- Co z tobą, Fowler, ślepy jesteś? - Wskazał na żółtą taśmę ogradzającą miejsce zbrodni.

- Po prostu nie mogę wytrzymać bez ciebie, Doyle. To pewnie przez tę wodę kolońską o zapachu piżma, którą się zlewasz na potęgę.

- Jake przeszedł pod taśmą, nic sobie nie robiąc z morderczego spojrzenia tamtego. - Możesz wierzyć lub nie, ważniaku, jestem tu oficjalnie.

- Aha. A ja to Brad Pitt uczący się roli.

- Doyle, Doyle, Doyle! Ależ z ciebie niedowiarek! - Jake zwracał się do Pete, patrzył jednak na Amandę. - Gdybyś przypadkiem zapomniał szczegóły mojego wspaniałego życiorysu, wiem trochę o sposobach walki członków mafii, w końcu pomagałem sporządzić przeciwko nim akty oskarżenia. A jako prywatny detektyw śledziłem ich dość długo i dowiedziałem się wystarczająco dużo, by móc stwierdzić, kto i kiedy wpada w szal. - Popatrzył na ciała. - Wojna rozgorzała na dobre, detektywie. I nasi, tam na górze, doskonale rozumieją, że potrzebne im teraz wszystkie siły, każdy zdolny do boju żołnierz. - Wykrzywił się do Pete'a w uśmiechu. - A gdybyś przypadkiem nie widział różnicy - wskazał na siebie, potem zaś na obwisły brzuch tamtego - jak myślisz, który żołnierz bardziej się przyda? Pete prychnął pogardliwie i wrócił do pracy; wciąż bacznie obserwował Amandę.

- Hej! - zawołał Jake. - Jak leci?

Bała się odwrócić głowę. Jak na razie zdołała opanować emocje, ale nie na tyle, by jakiś drobiazg nie mógł wyprowadzić jej z równowagi.

- Świetnie - wymamrotała zza aparatu. Modliła się, by się nie rozplakać. Jeżeli nawet Jake'owi wydała się dziwnie chłodna i daleka, nie zareagował.

- Witaj w nowym krwawym epizodzie rodzinnej wendety! - Cofnął się, by zrobić Amandzie miejsce, nie spuszczać wzroku z ciał chłopców, którzy nie zdążyli stać się mężczyznami. - Broń szturmowa, no no, konflikt najwyraźniej przybrał na sile.

Zanim Max zdążyła odpowiedzieć, nadjechał wóz medycyny sądowej, zabrano się więc do ostatniej rundy zdjęć, by zdążyć, zanim zabiorą ciała. Skończyła, ale znów nie mieli czasu porozmawiać, bo podszedł do nich najwyraźniej zaniepokojony Pete.

- Właśnie dzwonił Cleland - oświadczył. - Znasz tego ważniaka z Wall Street, którego podejrzewano o pranie pieniędzy? No, jak mu tam, Lionela Bairda. Znaleziono go dzisiaj martwego. Wygląda na samobójstwo.

Amanda zeszywniała.

- Lionel Baird? - Jake wydawał się oszołomiony, lecz gdy przetrawiał tę informację, patrząc jak najświeższe ofiary narkotykowej wojny znikają w plastikowych workach, jego mózg zaczął analizować biuletyny informacyjne i nagłówki gazet. - Czy to nie on został ostatnio oskarżony o powiązania z klanem Saviano?

- Zdaje się - potwierdził Pete - chyba tak. Jake przypominał sobie następne informacje.

- Chisolm oskarżył go o pranie pieniędzy dla jakiegoś faceta o nazwisku Delia Robbia, a ten, jak się okazało, pracował dla rodziny Saviano. Jak myślicie? - zwrócił się do Pete'a i Amandy, która z całej siły starała się sprawiać wrażenie, że o wszystkim właśnie się dowiadywała. - Czy jego śmierć może mieć coś wspólnego z tą sprawą? - Wskazał na odjeżdżający ambulans.

Myśl, że śmierć Lionela mogłaby być powiązana z czymś tak ohydny jak wojna gangów narkotykowych, przyprawiła dziewczynę o mdłości. Nie chciała zwracać na siebie uwagi, ale jeżeli zaraz nie usiądzie, to albo zwymiotuje, albo zemdleje. Podeszła do taśmy ogradzającej miejsce zabójstwa i usiadła na ziemi. Podciągnęła kolana pod brodę i głęboko oddychała. Pete i Jake podbiegli do niej natychmiast, zwłaszcza partner okazywał zaniepokojenie. To niepodobne do Max! Nigdy nie widział jej równie poruszonej na miejscu choćby najokropniejszych zbrodni. Ta dziewczyna zawsze była niczym skała, dlatego faceci uwielbiali z nią pracować. Pochylił się i spojrzał na jej oczy na kolor białek. Przycisnął nadgarstek do jej czoła, sprawdzając, czy nie ma gorączki.

- Co jest, Max? - zapytał łagodnie. - Źle się czujesz?

- Sama nie wiem. - Trzymała się za głowę i mocno zaciskała powieki, by powstrzymać łzy. - Jakoś mi dziwnie. Daj mi trochę czasu, zaraz się pozbieram.

- Co dzisiaj jadłaś? - spytał Pete i zbadał jej puls.

Amanda przypomniała sobie, że od południa nie miała nic w ustach.

- Nic - odrzekła - nie byłam głodna. - Wiedziała, że to wyjaśnienie wystarczy w przypadku Jake'a, Pete to co innego. Dla niego tylko ktoś całkiem martwy mógł opuścić posiłek.

- Fowler, zrób no coś pożytecznego. Znajdź sklep spożywczy i przynieś dla mojej partnerki coś do jedzenia.

- Robi się, kapitanie - rzucił energicznie tamten i strzelił obcasami, ale kiwnął do Pete'a głową, jakby chciał powiedzieć: „Dobre posunięcie!”. Odszedł w kierunku Houston Street, gdzie można było znaleźć restaurację lub sklepik spożywczy. Pete upewnił się, że z Amandą nie dzieje się nic złego i wrócił do pracy. Po kilku minutach podeszła do niego nieśmiało.

- Wybacz, Doyle, nie chciałam nawalić.

- Nie przepraszaj, Max, lepiej okaż wdzięczność. - Rozśmieszył ją swym dwuznacznym spojrzeniem - i o to mu właśnie chodziło.

Jake wrócił z pojemniczką ciepłej zupy minestrone i połówką włoskiego chleba, ale przyniósł też informację, która nie dodała Amandzie apetytu.

- Wszystkie gazety piszą o śmierci Bairda. Jak dotąd, podano wyłącznie fakty, lecz już zaczynają się spekulacje, czy przypadkiem w owych rewelacjach umieszczających tego faceta w jednym worku z baronami narkotykowymi nie ma trochę prawdy.

- Nie uwierzę w to, ani przez chwilę - ostro zareagowała Amanda. - Te artykuły to niczym nieuzasadnione pomówienia, nagłaśniane jedynie po to, by dostarczyć darmowej reklamy zdesperowanemu politykowi i pomóc pozbawionej skrupułów reporterce zdobyć ogólnokrajowy rozgłos.

- Dziewczyno, uspokój się! - Pete nie krył zaskoczenia; co ugryzło? zawsze opanowaną i traktującą wszystkie wydarzenia z dystansem Max!

Jake'a także zdziwiła jej gwałtowna reakcja.

I No tak. pewnie masz rację. Zresztą na razie to tylko domysły, do - y sposób na wypełnienie szpalt. Ale poczekaj, jak tylko pismaki dorwą się do tego, co tu się wydarzyło, zaczną główkować, tak jak ja, czy przypadkiem coś nie łączy ataku na ludzi Saviana z samobójstwem Bairda

- A niby co? - spytała.

- Nie potrafię tego odgadnąć, ale w końcu te tytuły w prasie nie wzięły się znikąd, a w plotkach o Bairdzie musi być nieco prawdy - może nawet sporo - jeżeli „Times” i inne gazety podjęły tę historię.

A więc Lionel miał rację! Serce Amandy krwawiło. Starła się opanować, wciąż jednak widziała przed sobą zalaną krwią twarz ojca.

- To możliwe - przyznała. Pragnęła protestować, bronić nazwiska i czci Lionela, ale zabrakło jej sił.

Zaniepokojony Jake, nie zważając na obecność Pete'a i zły humor Max, objął ją ramieniem i zapytał, czy nic jej nie jest. Na szczęście Pete umiał się znaleźć.

- Właściwie jesteśmy gotowi. - Zręcznie podsunął Amandzie pretekst do oddalenia się z miejsca zbrodni. - Możesz posiedzieć sobie z Fowlerem w samochodzie i zjeść zupę, a ja tymczasem coś jeszcze dokończę. Naprawdę, moja droga, nie wyglądasz najlepiej. Uśmiechnęła się, wdzięczna za okazaną jej przyjaźń i zrozumienie.

- Dobrze, zrobię, jak radzisz - zgodziła się potulnie. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Amanda jadła, Jake patrzył na nią zamyślony. Gdy kolory powróciły na jej twarz i poczuła się lepiej, podziękowała za zupę i zaproszenie na lunch do jego matki.

- Czułam się wśród twoich bliskich wspaniale.

- Cieszę się.

Oparł się o drzwiczki samochodu i pochylił, by lepiej widzieć jej twarz. Wyglądała na zmęczoną i czymś bardzo przybitą. Jeszcze kilka godzin temu, przy pożegnaniu, piękna i wesoła, promieniowała energią. Co się wydarzyło w tak krótkim czasie?

- Masz u Grace otwarte zaproszenie. Ja zaś chyba będę musiał złożyć podanie o miejsce przy stole. I nie powtarzaj nikomu, że ci to mówiłem, ale nie jestem pewien, czy zdobędę wystarczającą ilość głosów. Amanda usiłowała się uśmiechnąć.

- Na Barry'ego i Brendę możesz chyba liczyć.

- Być może, ale już co do Jocelyn i Brada nie mam pewności. Może mi nie wystarczy zwolenników. - Pełen uroku uśmiech znów wypłynął na jego usta. - No więc jak, będziesz głosować za mną czy przeciw?

- To zależy od mojego humoru.

- Prawdziwa kobieta! Amanda pociągnęła nosem - Coś za bardzo się kręcisz koło Pete'a. Jake sięgnął po jej dłoń. - Wolałbym spędzić ten czas z tobą.

Wyrwała rękę z uścisku. Nie mogła mu powiedzieć, że to nieodpowiednia pora na flirt ani czułości. Jej ojciec leżał w kostnicy z przyczepioną do palca u nogi kartką. Nie miała prawa go zidentyfikować, nie mogła odebrać jego ciała. Ten obowiązek prawdopodobnie przypadnie ;ego chorej z miłości sekretarce, Freddie MacDougall. Amandę ogarnęła fala mdłości, gdy wyobraziła sobie Freddie spoglądającą na zniekształconą twarz Lionela. Nie chciała, by ktokolwiek oglądał go w takim stanie. Sama żałowała, że musiała go zobaczyć.

O wiele bardziej niż tym oschłym gestem, Jake przejął się wyrazem twarzy dziewczyny. Robiła wrażenie smutnej i zagubionej.

- Wybacz mi - powiedział - lecz nie mogę się powstrzymać. Jesteś najcudowniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Taka mądra i twarda, delikatna i odważna, miła dla przesadnie dociekliwych, nadopiekuńczych matek, wyrozumiała dla kochanych wprawdzie, ale nieznośnych dzieciaków. I gdybyś ostatnio nie patrzyła do lustra, pozwolę sobie przypomnieć, że jesteś równie piękna, gdy leżysz obok mnie, jak teraz, w mundurze, siedząc w policyjnym wozie. Do głębi wzruszona, bezskutecznie szukała słów odpowiedzi, a wreszcie się rozplakała. Nie pytając o nic, Jake wziął ją w ramiona i przytulił. Daremnie usiłowała powstrzymać potok łez opadających na jego pierś. Burza, jaka rozpętała się w jej duszy, niszczyła i przerażała. Znow ta dobrze znana walka instynktu samozachowawczego z potrzebami serca. Doświadczenie, nawyk, lata funkcjonowania zgodnie z zasadami programu ochrony świadka ostrzegały, wręcz błagały, by wysiadła z auta i odeszła - sama; by sama przeżywała żalobę w swoim mieszkaniu; by uciekła od tego mężczyzny, zanim wyzna mu za dużo. Ale program nie przygotował jej, jak ma postąpić, gdy znajdzie ciało ojca i ujrzy tę koszmarną ranę - przypuszczalnie dzieło jego własnej ręki; i nikt nie nauczył, jak opanować rozpacz tak głęboką, ukryć ból tak ostry. W tej chwili serce, chore i skrwawione, przemawiało do niej głośniejszym niż rozsądek, być może dlatego, że żal był tak dotkliwy. Serce podpowiadało by nie uciekała, by została i z ufnością wtuliła się w przynoszące pociechę ramiona. Jake był czuły i kochający zarówno wobec niej jak i całej swej rodziny. Widziała to

przecież dzisiejszego przedpołudnia. I on także wiedział, co to znaczy stracić ojca.

Więc choć rozum wciąż wysyłał ostrzeżenia, Amanda przytuliła się do Jake'a i posłuchała serca.

W końcu udało jej się jako tako pozbierać i mimo protestów żarów - no Fowlera jak i Pete'a, pozostała na służbie do końca dyżuru. Detektyw się oddalił, gdy Amandę i jej partnera wezwano na miejsce włamania, które przebiegło nie całkiem według planu. Obiecała zadzwonić do niego następnego dnia. Po skończonej pracy Pete uparł się odwieźć ją pod sam dom. Na miejscu znaleźli się o dziewiątej.

- Nawet nie myśl o wychodzeniu, dopóki się porządnie nie wypiszesz. Wyglądasz okropnie, Max. Amanda pocałowała go w policzek.

- Dzięki, Doyle. - Wsiadła z auta i jak mogła najdyskretniej popatrzyła wzdłuż ulicy.

- Nie ma za co, cześć! - zawołał za nią Pete.

Nie uszło jego uwagi nerwowe, jakby wystraszone spojrzenie, jakim omiotła budynek. Nie odjechał, póki bezpiecznie nie znikła w środku. Potem jeszcze zatrzymał samochód przy końcu uliczki i pewien czas patrzył, czy nikt podejrzany nie zbliża się do domu Amandy.

W mieszkaniu jak zwykle zaczęła od sprawdzenia, czy nie założono jej podsłuchu, czy nie było nieproszonych gości. Broni nie odłożyła, lecz trzymała ją przy sobie. Rozsunęła zamek plecaka i z głęboko ukrytej torebki wyjęła plastikowy woreczek z czarnymi rolkami filmu. Ich ilość zaskoczyła ją: jak udało jej się zrobić tyle zdjęć czegoś tak potwornego? Doświadczenie, szok, ciekawość, a może bunt - cokolwiek nią kierowało, wiedziała, że na tych fotografiach znajdzie wytłumaczenie tego, co przytrafiło się jej ojcu. Trzymając woreczek z filmami ostrożnie, z dala od siebie, jakby niosła wyjątkowo zjadliwe bakterie, które wypuszczone wywołają zarazę, weszła do ciemni.

Zaraz po wprowadzeniu się przerobiła na ciemnię wielką garderobę, wbudowaną w ścianę saloniku. Pomieszczenie było na tyle głębokie, że mogła pracować przy zamkniętych drzwiach i wystarczająco szerokie, by pomieścić cały potrzebny sprzęt - był to zresztą jeden z powodów, dla których wynajęła to mieszkanie. Zanim pomyślała o kanapie czy komodzie, kupiła i zainstalowała we wnęce

specjalną szafkę z wysuwającym blatem, półki i stolik, na którym mogła ustawić powiększalnik - całość wymalowała na czarno, by wyeliminować odbicia światła. Nie było tu tylko możliwości moczenia odbitek, ale do kuchni miała dwa kroki. Kusilo ją, by wywołać filmy od razu, nie czuła się jednak na siłach. Zamknęła drzwi od ciemni, poszła korytarzem do szafki z brudną bielizną i włożyła woreczek do pustego pojemnika a proszek do prania.

W saloniku zwróciło jej uwagę migające światełko automatycznej sekretarki, wzywające do odebrania wiadomości. Trzy razy dzwoniła Annie; telefonowała też Beth, używając pseudonimu - wydawała się bardzo zdenerwowana, pewnie już słyszała o Lionelu. Odezwał się Ty - jer Grayson, też najwyraźniej zaniepokojony. Prosił, by odpowiedziała, postanowiła zrobić to później, po gorącym prysznicu, mocnym drinku i kilku godzinach jakże potrzebnego jej snu. Jake także odsłuchiwał wiadomości ze sekretarki. Matka i siostra koniecznie chciały dowiedzieć się czegoś więcej o Amandzie; prokurator okręgowy organizował spotkanie, by ustalić zadania Jake'a w biurze prasowym burmistrza. Hallie Brendel dopytywała się, czemu nie otrzymała od niego żadnej wiadomości, aż się zdziwił - czegoż ta kobieta oczekuje po tak długim czasie? Ale najbardziej zaintrygowało go wyrażone stanowczym głosem żądanie Pameli Baird, która natychmiast chciała się z nim widzieć.

Z oddali rozległ się monotony odgłos, przypominający brzęczenie owada powracającego do wybranego miejsca na ciele człowieka. Dźwięk rozbrzmiewał coraz donośniej i gwałtowniej. Nagle przebudzona Amanda usiadła i chwyciła ręką Angtona strzegącego jej łóżka. Odbezpieczyła broń i wycelowała przed siebie, zdecydowana strzelać do każdej istoty i w ogóle wszystkiego, co ośmieliłoby się przekroczyć próg jej sypialni. Oddychała pośpiesznie, nerwowo, ale oczy, zwrócone w kierunku, z którego mógł nadejść wróg, nawet nie drgnęły. Sekundy dłużyły się jak godziny, wejście z korytarza dalej pozostało puste. Amanda usiłowała zebrać myśli. Drażniący hałas stawał się coraz bardziej natarczywy. Pojęła wreszcie, że to dzwonek domofonu i odetchnęła z ulgą. Wstała z łóżka i, nie wypuszczając broni z ręki, podeszła do interkomu.

- Kto to? - spytała.
- Tyler, muszę z tobą porozmawiać.
- Daj mi trochę czasu.

- Oczywiście. Jeżeli wolisz, zaczekam na dole.

- Dobrze.

Amanda pobiegła do łazienki, umyła się, wciągnęła cienkie getry i podkoszulek, wsunęła remingtona pod łóżko i wpuściła Graysona do budynku. W czasie gdy pokonywał trzy piętra, przygotowała kawę. Kiedy stanął w drzwiach i zobaczyła, że oczy ma podpuchnięte, a jego cera przypominała barwę surowe ciasto. Jemu też nie zaszkodzi filiżanka kawy, pomyślała.

- Słyszałaś o Lionelu Bairdzie?

Minął ją i wszedł do mieszkania, zupełnie jakby byli w połowie rozmowy, a nie dopiero ją zaczynali. Wyraźnie poruszony, przemierzał salon tam i z powrotem, jak gdyby wybór miejsca, w którym usiądzie, stanowił poważny dylemat. Mierzył wzrokiem kanapę i krzesła, oceniał je i badał spojrzeniem. Czyżby oczekiwał, że jakiś mebel sam złoży mu propozycję? Wreszcie usadowił się na kanapie, lecz wciąż nie mogąc opanować niepokoju, uniósł jedną poduszkę i podłożył sobie pod plecy, a na drugiej oparł ramię; po chwili znów zmienił ich położenie.

Amanda nie mogła oprzeć się odruchowi współczucia. Poza szokiem na wiadomość, że ktoś, kogo się znało, właśnie się zastrzelił, Lionel to Baird, Nathanson & Spelling. Pracownicy pewnie odchodzili od zmysłów z niepokoju, kto przejmie ster, i jak zmiana odbije się na firmie, klientach, poszczególnych pracownikach, działalności całego przedsiębiorstwa. A co dopiero ci, którzy startowali w wyścigu do prezesury? Większość, jak Tyler, kręciła się wokół Lionela, prawiąc mu komplementy przy każdej okazji lecz za plecami nie szczędziła mu niepocholebnych opinii. Teraz Bairde nie żyje, a tamtych nurtuje zażenowanie, a może nawet żal i poczuje winy. Jednak równocześnie stanęli wobec niesłychanej szansy.

- Dowiedziałam się w nocy od ekipy, której dostała się ta sprawa - powiedziała Amanda obojętnym tonem.

- Zastrzelił się. - Twarz Tylera wyrażała niedowierzenie. - Dlaczego, z jakiego powodu?

- Nie mam pojęcia.

- Ani ja - mruknął pod nosem, najwyraźniej zbity z tropu.

Przeprosiła go i wycofała się do kuchni. Wołała prowadzić tę rozmowę z pewnej odległości. Gość, pochłonięty własnymi myślami, nawet nie zauważył jej nieobecności.

- Kiedyś słyszałem, że ludzie, którzy popełniają samobójstwo, wcale nie chcą umrzeć, jedynie pragną przestać odczuwać ból. Jak sądzisz, co aż tak dręczyło Bairda?

Amanda pochyliła się na zlewem i próbowała oddychać głęboko. Musi się opanować, wypracować sposób kontrolowania emocji, przecież teraz wszyscy będą mówili o Lionelu.

- Ten człowiek miał wszystko. Co mogło go załamać?

Jakże by chciała znać odpowiedź! Postawiła kawę na tacy i zaniósła do saloniku. Tyler, jak zawsze pełen galanterii, poderwał się, wziął od niej tacę i postawił na stoliku cocktailowym.

Amanda naląła do filiżanek parujący, czarny płyn i zaproponowała gościowi grzankę z gruboziarnistego chleba z dżemem. Odmówił, ona jednak musiała choć trochę się wzmocnić.

- Masz wspaniałe mieszkanie... - Grayson starał się zachować pozory towarzyskiej konwersacji.

- Dziękuję. - Obejrzała się przez ramię na bukiet, który jej przysłał - Twoje kwiaty z pewnością pomagają rozjaśnić to wnętrze.

Skinął głowę i uśmiechnął się lekko, ale jego myśli wciąż krążyły gdzie indziej. Tak jak i jej. Kwiaty Tylera natychmiast przypomniały Amandzie o różowych kameliach przy łóżku. Spojrzała na gościa siedzącego na kanapie naprzeciw niej i widziała Lionela popijającego wino, żartującego z jej chłopaków, chwającego przygotowane przez nią jedzenie. W obawie przed pytaniami, na które nie chciałyby odpowiadać, spuściła wzrok i zajęła się piciem kawy.

- To krańcowy egoizm! - zapalał się Tyler. - Bach! - i masz spokój, a ktoś musi po tobie posprzątać.

Amanda zamarła. Chciała bronić ojca, nie mogła jednak wydobyć z siebie głosu. Zresztą, pomyślała, Grayson wcale nie czeka na odpowiedź.

- Miał wszystko, czego człowiek w życiu potrzebuje - ciągnął.

- Z tego, co wiesz. - Zwróciła mu uwagę, jakby także wierząc, że Lionel odebrał sobie życie. A tak naprawdę, sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

- To prawda, znałem go tylko z pracy, o całej reszcie czytywałem w kronikach towarzyskich.

- Raczej trudno je nazwać godnym zaufania źródłem.

Tyler miał niepewną minę, jak gdyby został przyłapany na czytaniu gazetek z supermarketu.

- Sądziś, że wiadomości o Delia Robbii mogły aż tak go załamać? - spytała Amanda.

Postanowiła przejąć inicjatywę i otrzymać odpowiedzi na pytania, które sama zada, jeżeli w żaden sposób nie może wykręcić się od tej rozmowy.

- Być może. Ludzie czasem zabijają się pod wpływem impulsu. - Zrobiła minę pełną zwątpienia. - Coś ich zadrecza, coś, co grozi kompromitacją i upokorzeniem. Śmierć wydaje się jedynym możliwym wyjściem, więc odbierają sobie życie.

- Czy dowody były aż tak obciążające?

- Tylko dla tych, którzy nie mają pojęcia o naszym zawodzie.

- To znaczy tacy jak ja, czyż nie? Tyler uśmiechnął się przeproszająco.

- Z całym szacunkiem, tak, tacy jak ty. Słuchaj, żyjemy w gorących zaś, inwestorzy podejmują duże ryzyko, licząc na wielkie zyski. Obecnie przez Street przepływają całe tony pieniędzy. Kto może wiedzieć, jaka ich część jest prana?

- Świadomie czy nie? - Jedno i drugie.

Amanda zastanawiała się, czy on też kiedykolwiek maczał palce w takim procederze.

- Jak myślisz, skąd Hallie Brendel dostaje informacje? Wzruszył ramionami.

- Możliwości jest wiele, nie zapominaj, Lionela Bairda trudno byłoby określić mianem „anielski”. Pnąc się po szczeblach drabiny korporacyjnej, musiał przysporzyć sobie niemało wrogów.

Amanda drgnęła. Za życia ojca lepiej sobie radziła z podobnymi uwagami. Jeżeli Tyler zauważył jej niezadowoloną minę, nie dał po sobie niczego poznać.

- Kto wie? Może miał rację przyjmując, że informacje przeciekły do Chisolma od mafii. To by miało sens. Z pewnością tamci życzyliby sobie, aby uwaga prasy skierowała się na Lionela Bairda, nie zaś na wyczyny Little Raya Saviano. Amanda pomyślała o dwóch martwych chłopakach na szkolnym boisku. Wyobraziła sobie grozę malującą się na twarzach ich matek, gdy dowiedziały się, co spotkało synów. Mogli być handlarzami narkotyków, a nawet mordercami, dla matek jednak pozostali dziećmi.

- Dobrze się czujesz? - Tyler dostrzegł w końcu maskę bólu, jakby przyklejoną do twarzy dziewczyny. Potarła palcami brwi.

- Od czasu do czasu dopada mnie moja praca - westchnęła - tyle w niej śmierci.

- Nie chciałem cię przygnębić - tłumaczył się szybko. - Tylko... ta wiadomość wyprowadziła mnie z równowagi. Musiałem z kimś porozmawiać i pomyślałem o tobie. - Uśmiechnął się niewyraźnie. Próbowała odwzajemnić uśmiech. - Wiesz, dużo o tobie myślę - wyznał, nie spuszczać z niej spojrzenia bladoszarych oczu. - Na wypadek, gdybyś się nie domyślała: znów zakochuję się w tobie, Amando Maxwell.

Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. To chyba jakaś kpina Pana Boga. Świat się rozpada, a oto dwóch cudownych mężczyzn wyznaje jej swe uczucia.

- Jestem wzruszona, naprawdę, lecz to nie najlepsza pora. Nie mogę wyjaśnić dlaczego, ale jestem... Szukała właściwych słów, a w tym czasie Tyler sam wyciągnął wnioski.

- Jesteś z kimś związana?

Choć nie było jej ani trochę do śmiechu, wyraźne przygnębienie Graysona sprawiło jej iście po kobiecemu przyjemność, a nawet jej schlebiało.

- Nie o to chodzi - wykręcała się, by go nie zniechęcać. Chciała pozostawić go w odwodzie, przeczekać, aż burza minie i nadal utrzymać ich dotychczasową znajomość. - Mam powody, których wolałabym nie wyjawiać, mogę cię jednak zapewnić, że ostatnio jedyną osobą, która mnie interesuje, jestem ja sama i to starcza mi aż nadto.

- W porządku, nie nalegam, pamiętaj jednak, łatwo się nie poddaję.

- Liczę na to. Spojrzał na zegarek, prawdopodobnie szukając eleganckiego pretekstu do wyjścia.

- Wracam do biura, nie muszę chyba ci wyjaśniać, co się tam dzieje.

- Mogę sobie wyobrazić. - Przypomniała coś sobie. - Jak ta Freeda MacDougall daje sobie ze wszystkim radę? - Celowo przekręciła imię sekretarki i miała nadzieję, że pytanie zabrzmie całkiem naturalnie.

- Fredda - poprawił. - Skąd o niej wiesz?

- Oglądałam w telewizji przeprowadzany z nią wywiad. Jakaś historia o jej romansie z urzędnikiem, który wolał popełnić samobójstwo niż iść do więzienia.

- Douglas Welch.

- Robiła wrażenie, jakby to Lionel Baird, nie Douglas Welch, był miłością jej życia.

- Prawdopodobnie sama wymyśliła całą tę historię.

- Naprawdę, dlaczego tak sądzisz?

- Spójrz na nią! - W głosie Tylera zabrzmiało coś jakby wstręt. - Wygląda okropnie i musi sobie zdawać z tego sprawę. Może chce, by myślano, że nie zawsze była nieatrakcyjną starą panną, że kiedyś, jako kobieta budząca pożądanie, przeżyła namiętny romans. Kto to może wiedzieć? I kogo to wszakże obchodzi? - Nagle jakby zaczęło mu się śpieszyć i nie mógł doczekać się chwili wyjścia. - Muszę iść. Przepraszam, jeżeli zakłóciłem ci odpoczynek. Amanda ujęła w dłonie twarz Tylera, przyciągnęła jego usta do swoich i pocałowała go z czułością.

- Niczego mi nie zakłóciłeś, z przyjemnością napiłam się z tobą kawy.

- To było miłe. - Odwzajemnił pocałunek, a potem odsunął się niechętnie - Odprowadziła go wzrokiem, zamknęła drzwi na zasuwę, posprzątała ze stołu i wróciła do sypialni. Zmęczona i przygnębiona leżała, nie mogąc zasnąć. Odpoczynek w tym różowobiałym schronieniu miał dodać jej otuchy i siły. Zwróciła twarz w stronę nocnej szafki, popatrzyła na różowe kamelie i palcami pogładziła płatki jednego z kwiatów. Ich aksamitny dotyk wywołał tak ściskające za serce wspomnienia, że oczy Amandy napełniły się łzami. Starła się przywołać obraz Lionela żywego, jednak śmiertelny wizerunek okazywał się zbyt mocny. Choć walczyła z wyobraźnią, nie udawało jej się wymazać z pamięci widoku jego ciała, bezwładnego na krześle, zabrudzonego własnymi odchodami, obsypanego odpryskami własnego mózgu. Ów koszmar widok, wciąż tak samo wyraźny, uporczywie powracał. Ponoć mechanizmy podświadomości mają spychać takie obrazy w zapomnienie, by chronić psychikę przed zbyt wielkim bólem. Czemu więc wciąż widziała martwe ciało ojca wyraźniej niż wszystko inne?

Pamela Baird nie posiadała się z żalu. Poprzedniego wieczora, dręczona bezsennością, oglądała jakiś stary film, który przerwano, by

podać wiadomość z ostatniej chwili. Na ekranie pojawiła się twarz Lionela, i wtedy serce zabiło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi; trudno było przypuszczać, by o tej porze nadawano wiadomość mogącą dotyczyć którejś z jego operacji handlowych. Chwyliła za brzegi narzuty i przyciągnęła ją ciasno do siebie, jakby zimny dreszcz, który ją przeszył, mógł ustąpić pod ciepłem ozdobnej narzutki. Gdy komentator oznajmił: „Śmierć Lionela Bairda najwyraźniej nastąpiła w wyniku rany postrzałowej, którą sobie zadał sam” - Pamela usłyszała przeraźliwy krzyk. Przycisnęła dłonie do uszu, ale nie ucichł. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to ona sama tak krzyczy. Gdy atak hysterii minął, zadzwoniła do Johna i przekazała mu okropną wiadomość. Po półgodzinie przyjechał wraz z lekarzem, który dał jej coś na uspokojenie.

- Czy to my pchnęliśmy go do tego? - dopytywała się roztrzęsiona.

- Nie, kochanie. - Pocieszał ją, równocześnie przekonując także samego siebie, że naprawdę są bez winy. Nie lubił Lionela, ale nigdy nie życzył mu śmierci. Utraty majątku owszem. - Lionela prześladowało wiele koszmarów.

Pamela z łkaniem przyznała mu rację. Nie stanowiło tajemnicy, że Lionel zdręczał się śmiercią pierwszej żony i córki. Oczywiście tylko Pamela знаła głębokość owej rany - przepastnej, nieuleczalnej, determinującej całe jego życie. Nawet w okresie najgorętszych uniesień wyczuwała w łóżku obecność tej trzeciej - Cynthii Stanton Baird.

Lionel twierdził, że to po prostu żal, ale Pamela wyczuwała w nim pewne poczucie winy. Jeżeli udałoby jej się poznać przyczynę, zdołałaby uśmierzyć jego ból i wyeliminować z ich małżeństwa zmory przeszłości, a mąż w końcu pozwoliłby ukochanej, przedwcześnie zmarłej Cynthii spoczywać w spokoju i dojrzałby w niej, Pameli, największą miłość swego życia. Ów właśnie ambitny cel miała na względzie, gdy zaprzyjaźniła się z tą beznadziejną Freddą MacDougall. Sekretarka, jak można się było spodziewać, z największą przyjemnością dostarczała Pameli informacji o działalności Lionela w tamtym okresie, przeplatając je plotkami na temat powiązań szefa z kochankiem Freddy, Douglasem Welchem.

Przez dłuższy czas Pamela przechowywała te informacje w ukryciu z podpisem: „W sytuacji nagłej potrzeby”. Zagrożona i

zraniona, wręcz paliła się, by sięgnąć do swych zbiorów i przekazać nieco plotek Hallie Brendel, co zaowocowało serią artykułów w „Telegraphie”. A te z kolei przyspieszyły śmierć Lionela. Pamela rozplakała się gwałtownie.

- To my wcisnęliśmy mu broń do ręki - łkała. Nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez Lionela, ani przezwyciężyć poczucia winy za jego śmierć. - Nigdy sobie nie wybaczę. Ani tobie.

John się nastroszył.

- Lionel podjął decyzję sam, Pamelu, nie mieliśmy nic wspólnego z jego śmiercią, rozumiesz?

Pamela rozumiała jedynie, że mężczyzna, którego kochała, odszedł na zawsze, a tego, z którym jest, niewiele to wszystko razem obchodzi.

Chisolm został przy niej, dopóki nie zasnęła, i dopiero wtedy odszedł. Wolał uniknąć spotkania z hordą reporterów, którzy na pewno od rana będą koczować pod domem Pameli. Po przebudzeniu nie będzie się czuła najlepiej, ale cóż, on musiał myśleć przede wszystkim o swojej kampanii. Obrzucanie błotem żywego Lionela się opłacało, rozpowszechnianie tej samej historii o martwym zostałoby uznane za wielce naganne. Jeżeli nie ma się do powiedzenia o zmarłym niczego dobrego... należy mówić jak najmniej.

Pomimo lekarstwa na uspokojenie Pamela spała źle. Przyjemne sny zmieniały się w koszmar, gdy tylko jej podświadomość zaczynała krążyć wokół kwestii śmierci Lionela. Dlaczego...? Sen stworzył fikcję, w której grała rolę heroiny pokonującej wrogów, kładącej trupem zbrodniarzy czyhających na jej bohatera. Od czasu do czasu morderca odsłaniał twarz - czasami należała do niej. Pamela kręciła się i przewracała z boku na bok, jakby usiłowała uciec przed krytyką i potępieniem. W poszukiwaniu rozgrzeszenia jej myśli sięgały samego dna podświadomości, aż w którymś momencie ukazało się oblicze diabła. Pamela usiłowała pochwycić obraz owej kwitnącej młodością zmory, chciała wygnać ją ze swego snu, lecz tamta czarownica bez twarzy nie przestawała jej dręczyć swą obecnością. Kim była? Czyżby opętała Lionela tylko swą młodością? A może jeszcze czymś o wiele bardziej podstępny? Gdy wreszcie się obudziła, pławiła się w strugach triumfu, i to nie tylko dlatego, że udało jej się przechytrzyć wroga - oczyściła także siebie z winy. „To nie przeze mnie” - stało się jej powtarzaną bez końca mantrą. Umyła ręce od wszelkiej

odpowiedzialności, obciążając grzechem tamtą młodą kobietę, która, jak twierdziła Fredda, zaczarowała Lionela.

Popijała rumianek z nadzieją, że napój uspokoi jej rozdygotane nerwy i coraz mocniej przekonywała samą siebie, że to ta dziewczyna jest winna śmierci Lionela. Prawda, przez ostatnie sześć miesięcy walczyli ze sobą, ale to nic nowego, Lionel zawsze był trudny we współżyciu. Jego nieprzyjemne zachowanie w ostatnim okresie Pamela składała na karb toczącego się postępowania rozwodowego: wściekał się, bo choć dokładał wszelkich starań, by ją zranić, nie mogła uwierzyć, że naprawdę chce z nią zerwać. Była przekonana, że tylko karze ją za romans z Chisolmem. Gdy już by dostatecznie odpokutowała, zażądałby zerwania z Johnem - co uczyniłaby bez wahania - i przyjąłby ją z powrotem do swego życia i łóżka.

Nagle ich spotkania stały się nie do zniesienia. Przestał odpowiadać na jej telefony i przy każdej okazji brutalnie ucinał rozmowę. Stał się niecierpliwy, złośliwy, a czasem nawet okrutny, jak choćby tego wieczora w galerii. Zachował się tak obrzydliwie, że Pameli nie pozostało nic innego, jak ukarać go, przekazując Hallie Brendel wszystko, o czym wiedziała.

Teraz zaczynała widzieć sytuację w innym świetle. Mniej więcej w tym czasie, gdy owa Max pojawiła się w jego życiu, stał się niezwykle jak na niego tajemniczy, krył się z tym, co i z kim robi. Jak na mężczyznę, który nigdy nie przywiązywał wagi do dyskrecji w sprawach damsko - męskich, zachowywał się w sposób tak dalece odbiegający od normy, że powinno to zwrócić uwagę Pameli. Fredde, która wiedziała o tej jego dziwce, powinna była także zaniepokoić przesadną skrytość szefa Pamela, dowiedziawszy się o ostatnim podboju męża, mogła przecież uświadomić sobie, że w jego przypadku takie absolutne wstrzymywanie się od przechwałek może oznaczać tylko, że coś jest nie tak. Obie powinny były wzmocnić czujność, bardziej zainteresować się ową Max.

Tymczasem, poza załamywaniem rąk, nie zrobiły niczego, a ta kobieta rzuciła nań urok, całkowicie pozbawiła go rozsądku i sprawiła, że stał się słaby i nieodporny na ciosy. Z pewnością przez nią wdał się w sprawy, z którymi potem nie umiał żyć; przez nią ranił ludzi, bez których nie chciał żyć - jak choćby żonę. To Max dręczyła go tak bardzo, że w końcu nie widział innego wyboru niż lufa rewolweru w ustach. Pamela doszła do jedyne go możliwego dla niej

do przyjęcia wniosku: ta diablica pchnęła go do samobójstwa. Roztrzęsiona, zwinęła się w kłębek pod kołdrą, jakby tu mogła znaleźć schronienie... i odpowiedzi. Nadaremnie. Myśli jak oszalałe znów przebiegały przez jej głowę; dręczyły niepokoje ostatnich miesięcy: wątpliwe finanse, poczucie braku bezpieczeństwa, zazdrość, wreszcie nieodwzajemniona miłość, która pchnęła ją do okropnych rzeczy, jedynie z chęci zemsty. Gniew na Lionela przesłonił Pameli poczucie żalu i winy. To przez niego upadła tak nisko! Przez Lionela zwróciła się do tej wiedźmy Brendel i związała z jego największym wrogiem; przez niego, zdesperowana, nie cofnęła się przed publicznym praniem brudów, z jego winy nastąpił ich rozwód...

Poderwała się, jakby ktoś podłożył jej ogień pod stopy. Oczy prawie wyszły jej z orbit, przez chwilę nie mogła oddychać. „Ich rozwód”. Żrenice obwiedzione zieloną barwą zwężyły się, na policzki powrócił rumieniec, a usta wykrzywił uśmiech jak u kota z Cheshire. Ona i Lionel nie byli rozwiedzeni. A więc została wdową. A także spadkobierczynią...

Chwyciła za słuchawkę i skontaktowała się ze swym prawnikiem. Słyszał już, co się wydarzyło i oczekiwał telefonu klientki. Tak, ona i Lionel wciąż pozostawali małżeństwem, a to daje prawo pani Baird do poważnej części majątku zmarłego, niezależnie od tego, czy wymienił ją w testamencie. Naturalnie, Pamela Richardson Baird dostanie to, co jej się należy.

Potem zadzwoniła do Jake'a Fowlera, aby owa Max również dostała to, na co sobie zasłużyła.

Beth wydawało się, że oszaleje. Sama nie było w mieście, Amanda okazała się nieosiągalna. A Lionel nie żył. Wiedziała, że w żadnym wypadku nie powinna odstępować od codziennej rutyny, nie była jednak w stanie prowadzić lekcji. Zadzwoniła, że jest chora, co zresztą nie odbiegało od prawdy. Od momentu, gdy usłyszała o jego śmierci, nie odrywała oczu od ekranu telewizora. Przeskakiwała z kanału na kanał w poszukiwaniu wiadomości i komentarzy, słuchała wszystkiego i wszystkich, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia o samobójstwie Lionela. Może wreszcie ktoś wyjaśni jej, dlaczego ten człowiek odebrał sobie życie. Jak wszyscy, zupełnie nie mogła tego zrozumieć.

Tamten Lionel Baird, którego żoną kiedyś była, nigdy nie popełniłby samobójstwa - zbyt egocentryczny, by uwierzyć, że świat

mógłby istnieć dalej bez niego. Lionel, którego poznała ostatnio, wydawał się łagodniejszy, bardziej zadowolony z życia; cieszył się z jeszcze jednej szansy, jaką mu dano, i z nadzieją patrzył w przyszłość. W niczym nie przypominał postawionego pod murem nieszczęśnika, rozpaczliwie szukającego wyjścia z potrzasku. Amanda nie wiedziała o tym, ale od czasu spotkania w Wisconsin Lionel regularnie pisywał do Beth - przez biuro szeryfa, oczywiście. Większość listów dotyczyła Amandy - albo wychwalał córkę pod niebiosa, opisując, jaka to z niej cudowna, młoda kobieta, albo interesował się jej dzieciństwem. Nie ukrywał dumy z artystycznych dokonań Amandy, a także, choć z pewną rezerwą, przyznawał, że jest dobra podczas wykonywania „tych okropnych czynności, które nazywa swoją pracą”. Opisał wystawę w galerii i posłał Beth reprodukcje fotografii tych „Bez nadziei”, które kupił, oraz wycinki z recenzji w gazetach. Podzielił się z nią wrażeniami ze spotkania z Annie Hart, nie kryjąc swych wątpliwości. I na bieżąco informował o rozmowach, jakie odbywał z córką na temat jej adoratorów. Wiele tygodni przed tamtą rozmową dziewczyny z matką, gdy padło owo porównanie do kurantów i dzwonów, Lionel podzielił się z Beth własną opinią o obu mężczyznach. Jego zdaniem żaden z nich nie nadawał się na męża dla Amandy. Beth wiedziała jednak: Lionel nie może znieść myśli, by jego córka związała się z kimś na stałe - chciał mieć ją tylko dla siebie. Często wypytywał Beth o nią samą, starając się nie przekraczać gra - nicy oddzielającej pustą ciekawość od prawdziwego zainteresowania. Znając go, Beth zdawała sobie sprawę, ile wysiłku kosztowało go prze - chęci okazywania poczucia własności. Musiała przyznać, że mu się to udało i dlatego odpowiadała na wszystkie jego pytania, po, za tym jednym, które pozostawił niewypowiedziane: „Czy mogłabyś pokochać mnie na nowo?”.

Choć nikomu, nie wyłączając Amandy, nie przyznałaby się do tego jego listy sprawiały, że czuła się jak nastolatka. Lionel był romantykiem i jego ukryte między wierszami zaloty wydawały się gorące i szczere Sam poczuł się dotknięty. Przekazywał jej listy, więc wiedział o ich istnieniu. Ale ponieważ Beth oświadczyła, że są przeznaczone tylko dla niej, nie znał ich treści. Według obowiązującej procedury powinna odsyłać je do biura szeryfa. Zastosowała się do tego tylko w pewnych granicach: czytała listy tak długo, aż zapamiętała każde słowo, a potem, w obecności Sama, darła je na

strzępy - wolała nie narażać go na pokusę przeczytania. Sam nie krył niepokoju, ale Beth nie zamierzała dzielić się z nim marzeniami Lionela. Nie naciskał. On i jego koledzy nauczyli ją, jak nie poddawać się emocjom, unikać sytuacji, które mogłyby grozić niebezpieczeństwem; jak iść do przodu, bez oglądania się na przeszłość. Dlatego też, jeżeli Sam miał jakieś wątpliwości, pozostawił je dla siebie.

Lata ukrywania się nie były dla Beth łatwe, zahartowały ją jednak. Wieczne ukrywanie wszystkiego stanowiło olbrzymi ciężar. W końcu stała obawa i trudy życia połączyły się, tworząc twardą, niemożliwą do przebicia skorupę. Niczym żółw, Beth wysuwała głowę i pełzła od dnia do dnia. Ale gdy światło stawało się zbyt jaskrawe, gdy wyczuwała przed sobą niebezpieczeństwo lub zwyczajnie miała dość rozwiązywania skomplikowanej szarady swego życia, wycofywała się w ciemne, ciche miejsce, w którym mogła być sama. I być sobą.

Listy Lionela zapraszały do wysunięcia się spod tego ogromnego ciężaru, sprawiając, że choć przez kilka chwil znów czuła się wolna; pozwalały wrócić do czasów, gdy żyli rodzice i brat, gdy była szczęśliwą żoną, a największy problem stanowiło równoczesne niesienie teczki, dziecka i torby z zakupami. Mogła swobodnie wędrować myślami po zapisanych kartkach, pozwalać sobie na marzenia o normalnym życiu, o sprawach normalnych dla zwyczajnych rodzin, jak opowiadanie sobie o przeszłości, pokazywanie zdjęć krewnych i szczerze rozmowy z przyjaciółmi.

Kochała Sama i nie sądziła, by mogła go zostawić dla Lionela, ale jak powiedziała Amandzie: Sam stanowił jedyny możliwy wybór w tym życiu. Gdyby coś się zmieniło, mogłaby dokonać innego wyboru i podjąć inne decyzje. Teraz jednak Lionel nie żyje i Beth już nigdy nie będzie miała szansy zdecydować inaczej.

W zakładzie wywołującym ekspresowo zdjęcia panował duży ruch. Ubliżała się godzina zamknięcia i pracownik przy kontuarze, najwyraźniej zmęczony, niecierpliwie oczekiwał końca dnia. Odbierał kwity, wyszukiwał zdjęcia, inkasował należność i zwracał się do następnego klienta, pragnąc jak najprędzej obsłużyć wszystkich, by móc pójść wreszcie do domu. Mężczyzna, który zapłacił za wywołanie filmu i odbitki, odsunął się od lady, by sprawdzić, jak wyszły zdjęcia. Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo nic w jego

zachowaniu nie odbiegało od normy. Większość klientów sprawdza zdjęcia przed wyjściem z zakładu, nie mogąc się doczekać zobaczenia tego, co uwiecznili na kliszy.

Ale ten mężczyzna nie miał nic wspólnego z większością, a fotografie nie należały do niego.

Przestępcze środowisko Nowego Jorku musiało chyba wziąć sobie dzisiaj wolne, bo na posterunku dzień upływał wyjątkowo spokojnie. Zaraz rano, po przyjeździe do pracy, Amandę poinformowano, że o ile ona i Pete nie zostaną nagle wezwani w teren, mają pełnić dyżur na miejscu. Ucieszyło ją to polecenie, gdyż chciała przecież jak najwięcej dowiedzieć się o śmierci Lionela.

Jeszcze bardziej ucieszyła się, słysząc, że Cleland Jones i Harpo Foley, zwykle pracujący w terenie, także zostali wyznaczeni do pracy na posterunku. A ci dwaj mogli coś wiedzieć o tej sprawie. Gdy wróciła z bufetu, Cleland właśnie zaczynał raczyć kumpli szczegółami najgłośniejszego w ostatnim czasie samobójstwa.

Raport balistyczny wykazał, że pocisk, który utkwiał w suficie, został wystrzelony z rewolweru znajdującego się w dłoni Lionela. Na podniebieniu i palcach jego prawej dłoni dostrzeżono oparzenia od prochu, powstałe w wyniku bliskiego kontaktu z bronią przy strzale. Rana i droga kuli odpowiadały poziomowi ułożenia rewolweru. Wstępny test toksykologiczny wykluczył obecność w organizmie denata alkoholu, narkotyków czy trucizny. Przeprowadzenie badań bardziej szczegółowych wymagało specjalnych poleceń, a szef medycyny sądowej nie przewidział dodatkowego czasu na pracę laboratorium. Raport chłopców z kryminalnego, z dziewiętnastego posterunku, również potwierdzał wersję samobójstwa. Drzwi biblioteki zastano zamknięte na klucz, system alarmowy działał prawidłowo. Ofiara przebywała w domu sama. Według zeznań personelu, w niedzielę wszyscy, poza jednym z ochroniarzy, mieli wolne; tej nocy służbę pełnił Bruno Vitale.

- Czy to Vitale zadzwonił pod 911? - spytał Pete. Cleland sprawdził w raporcie.

- Nie, jakaś kobieta, która powiedziała, że mieszka w sąsiedztwie. a że nie znaleziono nikogo, kto przyznałby się do tego telefonu.

Harpo, młody człowiek, zawdzięczający przewisko czuprynie kręconych, brzoskwiniowoblond włosów, wrzucił ramionami.

- Nic dziwnego, kto by chciał być zamieszany w coś tak paskudnego, zwłaszcza w tamtej dzielnicy!

Zadowolona, że nikt nie drąży tego wątku, Amanda zapytała:

- Czy ochroniarz był w tym czasie w domu? - Wciąż ciekawiło ją włączone światło w sypialni na górze.

- Nie. Zjawił się dopiero po przyjeździe glin.

- A więc gdzie się włóczył ten Herkules do wynajęcia, w czasie gdy Baird rozwaliał sobie głowę? - Pete pogardzał dobrze opłacanymi gorylami, uważając ich za barowych wykidajłów, tyle że w eleganckich garniturach, i w swej opinii nie był odosobniony.

- Twierdzi, że tamtego wieczora starszy pan zamierzał pracować i wysłał go po coś do jedzenia.

To by się zgadzało, pomyślała Amanda, Lionel nigdy nie zabierał ochroniarza, gdy miał się z nią spotkać. Harry Benson, który dopiero co przyszedł, wyraził wątpliwości.

- To najwyżej piętnaście minut, nie więcej. A co robi Baird? Wysłała goryla po placek, wsadza sobie broń w usta, czeka na odgłos zamykanych drzwi i pociąga za spust. Cleland uniesieniem dłoni uciszył zebranych.

- Vitale udał się do śródmieścia, do restauracji w Little Italy.

- Little Italy? - Pete aż gwizdnął, uniósł brwi. - Czyżby wszystkie pizzerie na Upper East Side zostały pozamykane z powodu urlopu? A może Vitale zabiegał o podwyżkę? Cleland starał się zachować powagę.

- Poszedł po ulubione danie Bairda: kiełbasę z pepperoni, specjalność restauracji „Il Cortile”.

- A niech to!

- Zatkano cię, co, Doyle?

- Kto z Jeden - Dziewięć dostał tę sprawę? - spytała Amanda.

- Green i Moran - odpowiedział Harpo.

- Zeznanie Vitalego zostało potwierdzone? - Tak jakby. Co oznaczało, że nie wszędzie postawiono kropkę nad i.

- Kto robił zdjęcia? - Amanda modliła się w duchu, by głos jej zabrzmiał normalnie, jak w rozmowie między zawodowcami. I

- Masz ochotę wejść do ciemni i podziwiać mój talent? - Harpo rzucił jej pożądliwe spojrzenie.

Amanda spojrzała na niego tak, jakby właśnie zdjął mokry deszczowiec i ją opryskał.

- Jesteś załosny.

Jako jedna z niewielu kobiet w wydziale, uważała niektóre niskiego lotu uwagi i dwuznaczne spojrzenia za coś normalnego. Nie tolerowałyby podobnego zachowania u byle kogo, ale ci chłopcy to co innego Cleland, Harry Benson, Harpo, a zwłaszcza Pete, traktowali ją jak kolegę i szanowali. Istnieje różnica między żartami a napastowaniem i Amanda umiała ją dostrzec - oni także.

- Masz te zdjęcia tu czy w laboratorium? - Pete był równie ciekawy jak ona. Harpo oświadczył, że dostał je z powrotem z samego rana.

- Na Boga, Foley, potrzebujesz zaproszenia z tłoczonymi literami?

- Dobrze, dobrze. - Harpo wyciągnął grubą teczkę spomiędzy rozmaitych szpargałów zalegających biurko, zrobił miejsce i zaczął rozkładać fotografie. Amanda całym wysiłkiem woli starała się zapanować nad sobą. Przed oczami miała Lionela takiego, jakim go zobaczyła zaraz po wejściu, z pewnej odległości: ciało bezwładne, głowa roztrzaskana, wszędzie wokół fragmenty mózgu, ubranie zabrudzone krwią i ekskrementami. Stała razem z innymi i starała się nie okazywać więcej emocji niż w przypadku, gdyby patrzyła na anonimową ofiarę. Wydawało się to prawie niemożliwe, ale jej się udało.

Wiedziała, że jest zbyt mocno zaangażowana w śmierć ojca, by widzieć całość sprawy jasno, uważnie więc przysłuchiwała się przypuszczeniom innych. To zawodowcy, potrafiący ocenić zdarzenia obiektywnie. Niestety, doszli do tych samych wniosków co detektywi z kryminalnego: samobójstwo - brak listu, brak widocznej przyczyny. Nie dostrzeżono żadnych śladów bytności innej osoby. A jednak, jak powiedział Harpo, Caleb Green zamierzał jeszcze raz udać się na miejsce. Nie lubił takich jasnych, pozornie łatwych spraw, nawet samobójstw, jeżeli ofiarami padały znane osobistości, posiadające wszystko, dla czego warto żyć.

- Czego jeszcze Green tam szuka? - spytał Pete. - Zastanawia się nad morderstwem drugiego stopnia? Reputacja Bairda najwyraźniej została zagrożona, prasa dorwała się do niego niczym pies do kości. Jeżeli zrobił coś brzydkiego i wiedział, że to wyjdzie na jaw lada chwila... cóż, wystarczy chyba jako motyw.

- Ta Brendel oskarżyła go o wieloletnie pranie pieniędzy - zastanawiał się Harry Benson, jeden z bardziej roztargniętych detektywów jednostce od badania miejsca zbrodni. - Gdyby w tych historyjkach coś było, federalni już by go maglowali. A przecież nie zainteresowali się film w ogóle.

- Skąd wiesz, może właśnie go osaczali - zauważył Pete. Benson nie wyglądał na przekonanego.

- Według mnie ta Brendel w niczym nie przypomina Woodwarda czy Bernsteina, reporterów z prawdziwego zdarzenia, wnikliwie badających wszystkie fakty. To zwykła karierowiczka, manipulowana przez tego nadętego Chisolma.

- No dobrze, więc dlaczego facet, który ma wszystko, kończy ze sobą? Benson potarł podbródek i przyjrzał się zdjęciom.

- To nam się wydaje, że miał wszystko, może on tak nie uważał. Nie zapominajcie, że ten gość dwadzieścia lat temu stracił żonę i córkę w paskudnym wybuchu. Wystarczy, by zadrećcać się poczuciem winy. Przemnożyć to przez dwadzieścia lat, a naprawdę można zwariować. - Marszcząc czoło, zastanawiał się nad życiem zmarłego. - Choćby jego sprawy małżeńskie: dwa rozwody, a trzeci w toku. Nie wygląda, by wiódł szczęśliwe, beztrudne życie.

- Czy ktoś przesłuchał tę „prawie” byłą panią Baird? - Pete obrzucił spojrzeniem twarze zebranych. Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. Cleland sprawdził swoje notatki.

- Według Morana Pamela Richardson Baird znajdowała się ze zmarłym na wojennej ścieżce. Ich rozwód nie zapowiadał się na sielankę.

- Przyjemny czy nie, jeszcze się nie rozwiedli, więc została po nim wdową. Amanda również zainteresowała się osobą Pameli.

- A przy okazji, gdzie ona była w niedzielę wieczorem? Sądząc po twarzach kolegów, wszyscy pomyśleli o tym samym.

- Prawdopodobnie na jakimś ekskluzywnym balu, w obecności tysięcy świadków. Cleland zajrzał do notesu.

- Wyobraź sobie, Doyle, że ta kobieta akurat siedziała w domu...
- zrobił dramatyczną pauzę - sama.

Pete skrzyżował ramiona i popatrzył nań obojętnie.

- Dla mnie to stuprocentowe alibi.

- Czy ktoś odwiedzał pana Bairda tamtego wieczora? – Amanda chciała się dowiedzieć, czy przypadkiem jakiś wścibski sąsiad nie zauważył, jak wchodziła lub wychodziła.

Foley potrząsnął głową, aż loki opadły mu na czoło.

- Nie, według robiącego wywiad policjanta. Vitale też nikogo nie widział, ale twierdzi, że zaczął służbę dopiero o piątej.

- Caleb przesłuchuje kamerdynera i dwóch pozostałych ochroniarzy.

Amanda popijała kawę. Starła się nie zwracać na siebie uwagi, co przychodziło jej z trudem, bo chciałaby zadać tysiące pytań, a zwłaszcza to najważniejsze: czy Lionel mógł zostać zamordowany? Choć nikt nie powiedział tego głośno, cały ranek kręcili się wokół tej możliwości. Je - żeli nie znajdzie się przyczyna samobójstwa, trzeba wziąć pod uwagę zbrodnię.

Wszyscy zgadzali się co do jednego: artykuły w „Telegraphie” nie stanowiły dostatecznego powodu, żeby ktoś tak potężny jak Lionel Baird odebrał sobie życie. Ludzie tacy jak on w wypadku ujawnienia przestępstwa finansowego wiedzieli, jak uniknąć aresztowania i potrafili naprawić najmocniej nawet nadszarpniętą reputację. Zresztą, jak stwierdziła Amanda, już wcześniej gazety próbowały dobrać się do jego osoby.

Nikt z nich nie znał na tyle życia osobistego denata, by wyrokować, czy złamane serce mogło stać się wystarczającym powodem do strzelenia sobie w głowę, ale brali pod uwagę i tę możliwość. Zastanawiali się także nad tym, dlaczego ostatni rozwód Bairda włókł się w nieskończoność i co kryła w zanadrzu Pamela Baird. To doprowadziło do poruszenia sprawy ujawniających się teraz kochanek zmarłego i analizowania szczegółów życia erotycznego Bairda, przekazywanych żadnej plotek Hallie Brendel. Pete skwitował owe rewelacje filozoficzną uwagą: kochanki i skandale stanowią normę wśród ludzi na świeczniku.

Amanda przytaknęła skinieniem głowy, lecz wręcz gotowała się w środku, słysząc, że omawia się przypadek Lionela, jakby był to stereotypowy przykład wzięty z podręcznika psychologii. Nie wierzyła, by w jego śmierci można znaleźć cokolwiek podręcznikowego i dlatego chciała zaprzeczyć plotkom o kochankach i uciszyć wzmianki o jakichkolwiek banalnych skandalach. A nie mogła. Ani publicznie obnosić się ze swą żalobą; ani go bronić, czy

też wyjaśniać, że serce Lionela nie było złamane, lecz przepelnione miłością; że córka i pierwsza żona stały się integralną częścią jego życia, a nie bolesnym wspomnieniem. I z nadzieją patrzył w przyszłość, nie zadręczając się przeszłością.

Mogła jednak postąpić tylko tak jak inni: oglądać zdjęcia i zastana - Wiać się, dlaczego.

- To dość niezręczna sprawa. - Pamela delikatnie otarła kąciki oczu.

Jak na kobietę ostentacyjnie obnoszącą się z głęboką żalobą, nie zapomniała zrobić manicure i ufarbować włosów, pomyślał Jake zgryźliwie. Najwyraźniej z niektórych salonów piękności wysyłano do wdów pracowników z kondolencjami!

- Zresztą i moja sytuacja przedstawia się niezręcznie - dodała. Westchnęła i pochyliła się na tyle, by wesprzeć dłoń na kolanie Fowlera. - Wszystko, co panu teraz powiem, powinno zostać między nami, dobrze? Zapewnił ją o swej dyskrecji.

- Uważam, że mój mąż został zamordowany i chcę, by pan znalazł mordercę. Nie posiadał się z zdziwienia. Choć właściwie nie powinna go zaskoczyć. Nie jej jednej trudno przychodziło uwierzyć, by Lionel Baird mógł sam odebrać sobie życie.

- Policja prawie jako pewnik przyjęła wersję samobójstwa - zauważył. Przed przyjściem do Pameli wpadł do Jeden - Dziewięć i spędził kilka chwil na rozmowie z Calebem Greenem, który podzielił się z nim uwagami lekarza sądowego. Jednak Jake nie widział potrzeby przekazywania tych informacji wdowie.

- Nie znają Lionela tak dobrze jak ja. - Pociągnęła nosem, lecz jej oczy pozostały suche i chłodne. - Był zbyt próżny, by pozwolić, aby ktoś znalazł go w takim stanie, no cóż... nie najlepszym.

Rzeczywiście, tu miała rację. Jake przypomniał sobie wieczór w galerii Lloyda Franksa. Lionel Baird prezentował się bez zarzutu: elegancko ubrany, fryzura bez zarzutu, cera zdrowa i zadbana. Detektyw przypomniał sobie także, jak prowadząc niewiele znaczącą rozmowę z Pamela i Hallie Brendel, przysłuchiwał się konwersacji finansisty z Franksem. Baird dawał wręcz niewiarygodnie precyzyjne wskazówki co do kupionych portretów „Bez nadziei” Amandy. Gdzie mają zostać zawieszane - w jakiej odległości od sufitu, ile od rogu, kiedy dostarczone i przez kogo. Człowiek tak pedantyczny prawdopodobnie nie byłby zbyt uszczęśliwiony myślą, że znajdą go w

takim nieporządku. Ale czy samobójca przejmuje się, w jakim stanie zobaczą go inni.

- A poza tym - teraz jej usta ściągnął grymas wstydu i urazy na wspomnienie tego, jak ją odrzucił - nie ma mowy, by pozwolił mi wygrać.

- Słucham?

- Jak pan wie, byliśmy w trakcie rozwodu. - Wydęła wargi, jakby chciała pozbyć się smaku goryczy. Jake usiłował przypomnieć sobie szczegóły.

- Nie zgadzaliście się?

- Ani trochę.

- Niestety, nie przypominam sobie, by mi pani kiedykolwiek wspominała, co stanowiło meritum sporu.

- Podpisałam kontrakt przedślubny bez porady prawnika. Lionel upierał się przy jego ważności, ja zaś zdecydowanie się sprzeciwiałam. - Na chwilę sięgnęła pamięcią do jakiegoś mniej drażliwego szczegółu. - Nikt nie chce mi przyznać racji, czasami jednak miałam wrażenie, że przeciągał tak sprawę rozwodową, bo w istocie wcale nie pragnął naszego rozstania.

Dolna warga kobiety zadrżała; Pamela patrzyła na Jake'a, szukając u niego aprobaty. Współczuł jej. Wyglądała żałośnie: zadbana kobieta w średnim wieku, otoczona akcesoriami świadczącymi o zdobytej pozycji i sukcesie, a niepewna siebie jak pryszczata nastolatka.

- Proszę wybaczyć mi dołączenie do grona tych, którzy mają zdanie inne niż pani, ale wasz rozwód osiągnął punkt, w którym chodziło już wyłącznie o pieniądze. Rozpad małżeństwa był sprawą przesadzoną. Skinęła głową powoli, ze smutkiem.

- Kiedyś, dawno temu, mnie i Lionela łączyła prawdziwa namiętność. - Opuściła wzrok i okręcała wokół palców chusteczkę. - Gdy uczucie zbladło, mój świat stał się pustynią.

- Wtedy związała się pani z senatorem Chisolmem - przypomniał jej Jake. Niechętnie robił podobne uwagi, jednak czasem jego praca tego wymagała. Kobieta zareagowała natychmiast.

- To prawda, lecz Lionel był w równym stopniu zazdrosny i skory do rywalizacji, jak niegdyś namiętny. On mógł chodzić, gdzie chciał, robić co i z kim chciał, ja zaś nie miałam prawa się skarżyć. A gdy znalazłam miłość w ramionach innego mężczyzny, którego w

dodatku uważał za swego największego rywala, nie wyglądał na specjalnie szczęśliwego. - Wyraz triumfu na jej twarzy godny był uwiecznienia. - Nie zamierzał zwrócić mi wolności bez walki.

„ I walczyła pani?

- Honorowo. - Uniosła brodę i siedziała wyprostowana, jakby w oczekiwaniu, że jakiś fotograf uchwyci jej pełen królewskiej godności profil na okładkę „Time'a". Ale to aspirowanie do tytułu Kobiety Roku skończyło się natychmiast, gdy sobie coś przypomniała. - Mieliliśmy zaplanowaną następną rozprawę w przyszłym tygodniu.

- Doszlibyście do ugody?

- Bardzo wątpię.

- A więc co miała pani na myśli, mówiąc, że Lionel nie pozwoliłby jej wygrać?

- Nie byliśmy rozwiedzeni i jego śmierć czyni mnie wdową.

- A to - przerwał Jake, podążając tokiem jej myśli - uprawnia panią do dwóch trzecich majątku.

- O czym on nigdy by nie zapomniał. Proszę mi wierzyć, panie Fowler - powiedziała ze smutkiem - sądząc z jego zachowania podczas naszych ostatnich spotkań, nigdy by do tego nie dopuścił. - Wciąż jeszcze odczuwała afront, jaki spotkał ją ze strony męża w galerii Franksa. Pamiętała chłód w jego głosie i wyraz pogardy w oczach. - Choćby popadł w nie wiadomo jak głęboką depresję, zanim by włożył broń do ust, upewniłby się, że dokumenty rozwodowe zostały podpisane, opieczetowane i dostarczone!

Przez chwilę Pamela rozkoszowała się żalem nad samą sobą i poczuciem własnej ważności, bo skoro śmierć Lionela wydawała się trudna do wytłumaczenia, każdy szczegół mógł mieć znaczenie.

- Nawet gdyby w swym testamencie panią wykluczył - myślał na głos Jake - można by się odwoływać.

- No właśnie. Prawa nie obchodzi, jak małżonkowie ze sobą żyli, dobrze czy źle. - Zastanowiła się chwilę. - Nie miał dzieci, więc chyba mogłabym wystąpić o pozostałą jedną trzecią, choć to nie bardzo ma sens. - Jej głos ucichł, jakby się gdzieś oddaliła. - Lionel prawdopodobnie utopił większość swych pieniędzy w jakimś niemożliwym do ruszenia funduszu, przeznaczonym na budowę nowego skrzydła szpitala czy muzeum, czy innej wspamiętałości, mającej upamiętnić jego imię.

Jake'owi wydało się, że słyszy, jak kalkulator w głowie jego klientki włączył się, dodaje i odejmuje.

- Poza jego próżnością i pani przekonaniem, że nie pozostawiłby Majątku niewystarczająco obwarowanego rozmaitymi zastrzeżeniami - powiedział dyplomatycznie - co jeszcze pozwala wątpić w samobójstwo?

Popatrzyła na niego, jakby odznaczał się wrodzonym debilizmem albo chwilowo stracił rozum.

- Bo mnóstwo osób miało powody, by go zamordować. Nie wytaczając mnie. A Lionel nie miał żadnego, by pragnąć własnej śmierci!

- Pani Baird! Pan Baird włożył lufę rewolweru do ust, pociągnął za spust i odstrzelił sobie pół głowy. Nie znaleziono żadnych śladów, które wskazywałyby na obecność w pokoju innej osoby w momencie jego zgonu, a nawet gdyby ktoś tam wtargnął, pan Baird trzymał w dłoni naładowaną broń i mógł się bronić. Pamela skinęła głową i z niecierpliwością machnęła ręką. Już rozpatrywała te fakty i uznała je za mało istotne. Jake nie rozumiał dlaczego. Ciągnął dalej, starając się używać logicznych argumentów:

- Znaleziono tylko jeden pocisk. Według lekarza sądowego, zanim utkwiał w suficie, przeszedł przez mózg zmarłego. Został wystrzelony z broni znajdującej się w ręce pana Bairda. Jak pogodzić te fakty z pani teorią?

Pamela nie potrafiła na to odpowiedzieć, jednak zamiast się wycofać

- Jake przypuszczał, że ma kolejną wersję, której na razie nie wyjawiała - podsunęła mu bardziej ezoteryczną możliwość.

- Są inne sposoby popełnienia morderstwa.

Z trudem powstrzymał jęk. Czyżby teraz zaczynała pozować na nawiedzoną? Z czymś takim nie umiałby sobie radzić.

- Myślę, że ktoś wpędził Lionela w ślepy zaułek i mój mąż nie widział drogi wyjścia.

- Ktoś inny niż pani i senator Chisolm? - Nie potrafił się powstrzymać od złośliwości.

Temperatura w pokoju nagle opadła. Pomimo chłodu w oczach Pameli, Jake nie spuszczał z niej wzroku.

- Lionel rozumiał, że wystąpienia Johna miały podłoże polityczne, a nie osobiste.

- Proszę wybaczyć, pani Baird, oglądałem tę konferencję prasową i uważam, że zmarły przyjął te artykuły bardzo osobiście.

- No cóż, żałuję - wykrztusiła - lecz walka w tym nacechowanym rywalizacją środowisku to nic nowego i Lionel do niej przywykł. Żadna z tych rozgrywek nie doprowadziłaby nikogo do samobójstwa, raczej wzmocniłaby siły żywotne zaatakowanej osoby. - Potrząsnęła głową. - Jestem przekonana, że dręczono go z jakiegoś innego, o wiele ważniejszego powodu niż sprawy zawodowe.

Chyba zbliżali się do celu spotkania.

- Dowiem się, jakiego?

Jego męskości. - Uniosła brwi z nadzieją, że Fowler zrozumie, co jej chodzi. I miała rację. - Sądzę, że zniewalał go ktoś, kto grał na jego dumie... Jake obawiał się, że to jeszcze nie koniec rewelacji. - Lionel spotykał się z młodą kobietą, o wiele od niego młodszą. Jake westchnął. Pamela przypominała balon wypełniony helem, wory zerwał się z uwięzi i odlatuje gdzieś w przestrzeń. On ściąga ją dół, ona uwalnia się i odlatuje... Musi z powrotem sprowadzić tę kobietę na ziemię.

- Proszę tego nie lekceważyć! - rzuciła gniewnie, zirytowana jego sceptycyzmem. W końcu przecież ona mu płaci, powinien więc wierzyć we wszystko bez wahania. - Mówię panu, że w tej znajomości było coś dziwnego. Choćby to, że Lionel utrzymywał całą sprawę w sekrecie, a zazwyczaj nigdy nie krył się zbyt ze swoimi affaires de coeur. - Gorycz ściągnęła jej wargi w cienką kreskę. - Zbyt wiele radości czerpał z afiszowania się romansami przede mną. Zresztą obecna nimfa różniła się od jego innych kobiet. Była brzydsza i kompletnie pozbawiona szyku.

Jawna zazdrość tej kobiety aż go żenowała. Zapewne Pamela uświadomiła to sobie, bo szybko mówiła dalej:

- Odkąd się z nią związał, jakby przeszedł metamorfozę. Detektyw ukryty w Jake'u miał ochotę gryźć.

- Zmienił swe zwyczaje, co dotąd wydawało się nie do pomyślenia. Wyjeżdżał gdzieś i nie zlecał swej asystentce Freddzie, by dokonała rezerwacji. Proszę sobie to wyobrazić, latał zwykłymi liniami lotniczymi! Wychodził bez ochroniarza, wybierał się na długie przejażdżki samochodem i nie korzystał z usług szofera. Przestał bywać w swych ulubionych restauracjach. Potrafił przyjąć zaproszenie na imprezę charytatywną lub wieczorne przyjęcie i nie pokazać się w

ogóle. A Fredda mówiła jeszcze, że w ciągu kilku ostatnich tygodni o wiele częściej niż przedtem kontaktował się ze swymi prawnikami.

- Może pani nadzieje miały się spełnić.

- To miłe z pana strony, panie Fowler, ale według mego adwokata nie było mowy o jakiegokolwiek ugodzie.

Tak naprawdę, jej adwokat powiedział, iż po krótkiej rozmowie z prawnikiem Lionela odniósł wrażenie, że mąż nie zostawi jej ani centa.

- Wiem, nie zabrzmi to dla pani przyjemnie, ale z całym szacunkiem, pani Baird, pani małżonek był przystojnym, czarującym, kulturalnym i bogatym mężczyzną. Nic dziwnego w tym, że młoda kobieta zakocha się w bogatym, starszym facecie, który jej nadskakuje.

- Romanse łączą się z seksem, panie Fowler. - Łaskawie skinęła głową; założyła, że to dla Jake'a oczywiste. - Takie majowo - grudniowe miłostki z pełnymi temperamentu, młodymi kobietami prowadzą czasem starszych mężczyzn poza granice ich możliwości. - Na twarzy Pameli malowała się nadzieja. - Może Lionel nie był już w stanie sprostać jej wymaganiom.

Jake uważał, że młodość i temperament to dwa czynniki zdolne ożywić mężczyznę nawet w bardzo zaawansowanym wieku, wołał jednak te strony zagadnienia pozostawić w spokoju.

- A gdyby nie... mógł... podołać, co z tego? Jeżeli jej nie odpowiadał mogła go rzucić.

- Pochodziła z niższych kręgów społecznych - oświadczyła Pamela autorytatywnym tonem. - Tamte kobiety nie rzucają takich mężczyzn jak Lionel. Uwiodła go, odkryła jego słabości i dręczyła nimi.

- W jakim celu?

W pełnym żalu gościę wzruszyła ramionami.

- By zmusić go do sfinalizowania rozwodu i małżeństwa z nią. Albo wynegocjować okazałą odprawę finansową. Sama nie wiem. Dlatego właśnie chcę, aby pan się tym zajął.

Wyraz jej zdesperowanych oczu zaniepokoił Fowlera. Kimkolwiek jest ta druga, powinna się dobrze pilnować. Pamela Baird wkroczyła na wojenną ścieżkę i wytoczyła działa.

- Jeżeli nawet jedna czy druga z pani sugestii odpowiada prawdzie, to dlaczego owa dziewczyna miałaby pragnąć śmierci

Lionela? Z własnego punktu widzenia zawsze wyszłaby na swoje. Albo została by żoną bogatego człowieka i uzyskała nieograniczony dostęp do karty Amex, albo uzbierałaby niezłą sumkę na koncie.

- A jeżeli okazało się, że nie ma szans na jedno ani drugie - upierała się Pamela - jeżeli powiedział jej, że się rozwodzi, lecz nie zamierza się z nią ożenić? Ani dawać jej pieniędzy? Może chciał z nią zerwać? Mogła zagrozić sprzedaniem owej wstydlivej łóżkowej historyjki redakcji jakiegoś brukowca lub napisaniem książki, jak ten podły stajenny, który opowiedział dzieje swego związku z księżną Dianą. - Oczy Pameli zwilgotniały, lecz łzy nie ugasiły jej gniewu. - Jak mi pan z całą bezwzględnością przypomniał, Lionel aktualnie przechodził ciężki okres, musiał odpierać liczne zarzuty. Może nie umiał poradzić sobie z jeszcze jednym upokorzeniem - To jakiś trop, pomyślał Jake.

- No dobrze, ale pani opisuje ewentualne motywy samobójstwa, pani Baird, nie morderstwa.

W pewien sposób mogła włożyć mu broń do ręki. , Używając metafory, tak. - Choćby nawet! - Trzęsła się ze zdenerwowania. - Podobno jest n detektywem, a jako taki, powinien pan znaleźć narzędzie zbrodni, ustalić motyw i wykazać, kto miał możliwość jej dokonania. Broń należała do Lionela, trzymał ją w biurku. Ta kobieta miała dostęp do jego domu i dość okazji, by włożyć mu broń do ręki - oczywiście w sensie przenośnym. A co do motywu, za bardzo zawęży pan swoje pole widzenia. Wydaje się pan nie doceniać władzy, jaką mają nad niektórymi ludźmi pieniądze.

- Zwłaszcza nad tymi, którzy ich nie posiadają - wtrącił Jake.

- No właśnie! - odpowiedziała automatycznie. Gdy jednak zrozumiała sens własnych słów, okazała dość przyzwoitości, by oblać się rumieńcem, lecz zaraz dodała: - Chciwość prowokuje do popełniania najokropniejszych czynów.

Nie po raz pierwszy Jake zastanawiał się, czy Pamela przypadkiem nie mówi o sobie.

- Proszę posłuchać, pani Baird, śmierć męża była dla pani szokiem - zaczął mówić pełnym otuchy tonem. - Współczuję pani bardzo, bo wiem, że samobójstwo unieszczęśliwia także pozostałych przy życiu bliskich. Potrafię zrozumieć pani potrzebę uchwycenia się czegoś czy znalezienia przyczyny, dla której ten tryskający energią mężczyzna odebrał sobie życie. Ale to nierozsądne.

- Myli się pan. - Pamela potrząsnęła głową. - Ona jest w to zamieszana. Może nie pociągnęła za spust, lecz miała coś wspólnego z jego śmiercią. Jestem o tym przekonana!

- Skąd pani wie?

- Mam przeczucie.

On natomiast miał przeczucie, że bardziej chodzi tu o urażoną dumę odrzuconej kobiety niż o mężczyznę, który popełnił samobójstwo. Ale przecież nawet on, gdy po raz pierwszy usłyszał, że Lionel Baird się zastrzelił, zareagował właśnie w ten sposób: to niemożliwe!

- Dobrze, posprawdzam, co się da - obiecał. Chętnie zaspokoi jej przeczucia i własną ciekawość. - Czy wie pani, jak się nazywa tamta kobieta, gdzie pracuje i gdzie mieszka?

Pamela spojrzała na niego ostro, jakby mówiła: „To należy do ciebie”.

- Lionel nazywał ją Max. T

- Masz gościa - powiedziała Grace, podając synowi plik zapisanych na kartkach wiadomości.

Rozejrzał się, ale w małym, dobrze urządzonej pomieszczeniu recepcji nie zobaczył żadnego klienta. Grace wskazała głową w kierunku gabinetu i uśmiechnęła się niechętnie. Wtedy Jake natychmiast się domyślił, kim jest jego gość.

I nie omylił się: w rogu kanapy siedziała Hallie Brendel - oczy ukryła za ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi, a twarz przysłoniła dużym rondem kapelusza.

- Mata Hari, jak mniemam - powiedział na jej widok i zamknął za sobą drzwi.

- Gdzie, u diabła, się podziewałeś?

Jake przyjrzał się uważnie swej lewej dłoni, podszedł do biurka, otworzył górną szufladę i ostentacyjnie przekartkował kalendarz.

- Cóż, nie noszę obrączki, nie mam też żadnych zobowiązań. - Jego mina świadczyła o obojętności i znudzeniu. - Nie widzę powodu do zdawania komukolwiek relacji ze swych poczynań.

- Jestem zasypywana okropnymi pogrozkami. - Zdjęła okulary, by mógł w pełni ocenić ogrom jej przerażenia. Pod opuchniętymi oczami rysowały się sine kręgi.

- Są tacy, którzy obciążają mnie odpowiedzialnością za samobójstwo Lionela Bairda.

- A nie mają racji? - Opadł na obite skórą obrotowe krzesło i zaczął przeglądać korespondencję.

- Na Boga, jak możesz tak mówić? - Hallie zeskoczyła z kanapy i rzuciła się w stronę biurka. - Wszystko, co pisałam, było zgodne z prawdą.

- Według kogo?

- To nie fair, Jake. Sprawdziałam informacje, jakie otrzymywałam od Chisolma i Pameli.

- A potem rozdmuchiwałaś do rozmiarów przestępstwa, którego nie stwierdzono.

- No, może trochę przesadziłam.

- Jeżeli senator tak się palił do usunięcia z rynku narkotyków, dlaczego nie zajął się obecną wojną gangów o kontrolę nad dystrybucją? Dlaczego nie wszczął alarmu po pojawieniu się propainy, nie rozdzierał szat nad jej zgubnymi skutkami dla młodzieży naszego miasta? Dlaczego nie domagał się, by rząd wpłynął na Meksykanów, przysyłających nam to gówno? - Odchylił się na krzesło i spojrzał Hallie Brendel prosto w oczy. - Dlaczego jedynym winnym, przeciw któremu wystąpił Chisolm pozostał Lionel Baird, niezależnie od tego, czy prał czy nie, raz czy dwadzieścia lat temu?

Hallie nie znosiła, gdy miał rację.

- Gdybyś nie była tak zaślepią wielką misją wywindowania Chisolma, zajęłabyś się kwestią narkotyków, a nie zysków, jakie przynoszą - Jake popatrzył na nią z odrazą. - A ty zaatakowałaś Lionela Bairda i dałaś wolną rękę ludziom Saviana i tym szumowinom z gangów. Niezła robota, Brendel. Hallie zdjęła kapelusz i przygnębiona opadła na kanapę niczym szmaciana lalka.

- Ja tylko zainteresowałam się pewną historią. Skąd mogłam wiedzieć, że Baird zabije się z tego powodu?

W podświadomym geście szacunku dla zmarłego oboje milczeli przez chwilę. Lionel Baird był kimś. W przeciwieństwie do odejścia zwykłych śmiertelników, jego zgon nie tylko zapełnił tytułowe strony gazet, ale wywołał u wielu ludzi uczucie pustki. A że było to samobójstwo, nastąpiły spory dotyczące przyczyny. „Są inne sposoby zamordowania człowieka”. Pamela Baird może oceniała tę sytuację niewłaściwie, lecz nie do końca się myliła. Można zabić człowieka, nie pociągając za spust. Większość uważa, że przyczyną samobójstwa są przede wszystkim upiory, które nosimy w sobie. Choć taki pogląd

nieraz uspokaja sumienia bliskich ofiary, nie zawsze odpowiada prawdzie. Często ważną rolę odrywają demony zewnętrzne, pobudzające szatana w nas do tego stopnia, że ściany się zamykają i śmierć wydaje się jedynym sposobem, by w końcu mieć spokój. Jake zastanawiał się, jakie były demony Lionela i jakiego sposobu użyły, by wzniecić w nim płomień rozpacz.

- Kto głównie dostarczał ci informacji, Chisolm czy Pamela Baird?

- Oboje mieli powody do walki z Bairdem. Pamela przekazała mi historię Douglasa Welcha, a Chisolm naprowadził mnie na Delia Robbię.

- Czy nienawidzili Bairda wystarczająco mocno, by go zabić? Hallie usiadła i ze zdumieniem popatrzyła na Jake'a.

- Pytasz mnie, czy senator Chisolm lub Pamela Baird pociągnęli za spust broni, od której zginął Lionel?

Jake wzruszył ramionami.

- Są inne sposoby zamordowania człowieka. - Roześmiał się w duchu na myśl, że cytuje Pamelę, ale to stwierdzenie akurat nadawało się na taką okazję. - Mogli wszystko domyślić albo wynająć kogoś, by dręczył, albo też jedno z nich lub oboje grozili mu ujawnieniem czegoś czego nie umiemy sobie nawet wyobrazić.

Hallie sięgnęła do zakamarków pamięci, starając się dopasować ten teorię Jake'a do tego, co wiedziała o tamtych dwojgu.

- Nie wiem. Chisolm nie krył swej nienawiści do Bairda, ale myślę że chodziło mu głównie o fotel senatora. Ataki na Lionela miały służyć osiągnięciu tego celu.

- A Pamela?

- Lionel to miłość jej życia. Złamał jej serce, a to wystarczy, by wy. prowadzić z równowagi każdą kobietę. - Jake uśmiechnął się, że nie rozumie aluzji. - Jednak ona by go nie zabiła. Wciąż marzyła, że Baird przejrzy na oczy, zrozumie swój błąd i do niej wróci.

- Nigdy by do tego nie doszło. Hallie drgnęła - Jake mówił o nich.

- Dlaczego zadajesz te pytania? - Obudziła się w niej reporterska czujność. - Policja utrzymuje, że to samobójstwo. Wiesz coś, o czym oni nie mają pojęcia?

- Nie, po prostu jestem ciekawy.

- Aha, a ja jestem dziewczyną. O co chodzi, Jake?

- O nic. - Postukał ołówkiem w obity skórą blat biurka i patrzył przed siebie, w pustkę. Hallie czekała. - Co wiesz o prywatnym życiu Bairda? - zapytał po chwili.

- Według kronik towarzyskich był to bon vivant, który zwykle pokazywał się z jakąś piękną uwieszoną na ramieniu. Według Pameli to kobieciarz uganiający się za każdą spódniczką.

- Powiedziałaś: „zazwyczaj”. Spotykał się z kimś przez ostatnie kilka miesięcy? Hallie zastanowiła się przez moment.

- Chyba nie. Na pewno nie, bo ci od kolumny plotek towarzyskich nie byli uszczęśliwieni jego wstrzemięźliwością. Lionel Baird zawsze dostarczał sporo dobrych tematów.

- Może on i Pamela potajemnie planowali pogodzenie się?

- Ona z pewnością, ale chyba to tylko złudzenie.

- A gdyby jednak - rzuciłaby senatora?

- W jednej chwili!

- Wiedział o tym? - Posiadający władzę mężczyźni bardzo nie lubią, gdy się im przyprawia rogi. O takie sprawy walczone niegdyś w pojedynkach.

- Nie sądzę. Ona jest mistrzynią w oplataniu mężczyzn niczym winorośl.

- Więc o co chodziło Chisolmowi?

- Lionel stał mu na drodze do osiągnięcia celu.

- Chodziło o karierę?

- No właśnie.

W związku z teorią Pameli dotyczącą, jak je Fowler nazwał, „wywołanego nienawiścią samobójstwa”, Chisolm mógł mieć motyw, zależnie od tego, kto i iloma punktami prowadził w owej grze. Jake zamierzał to ustalić. Jednak Pamela pozostawała główną podejrzaną. Złamane serce i możliwość odziedziczenia olbrzymiego majątku to przecież iście modelowe motywy zabójstwa. Pomimo jej oświadczeń... i wskazania na Max.

Max. Jake przeszedł piechotą dwadzieścia przecznic dzielących mieszkanie Pameli od jego biura. Potrzebował czasu na przemyślenie jej słów, zwłaszcza tych dotyczących kobiety zwanej Max, mającej romans z Lionelem Bairdem.

Zamknął oczy i przycisnął powieki wnętrzem dłoni, pragnąc wymazać z pamięci obraz leżącej pod nim Amandy, nagiej i kochającej. Nie mogłaby oddawać mu się w ten sposób, gdyby łączyło

ją coś z kimś innym. Chyba że ten ktoś był bogatym facetem, którego pragnęła utrzymać przy sobie dla pieniędzy. Nie, to niemożliwe, powtarzał sobie. Czuł bliskość jej ciała. Pamiętał, jak tuliła się do niego w samochodzie i płakała mu na ramieniu... tej nocy, gdy umarł Lionel Baird!

- Jake, o co chodzi? Nie wyglądasz najlepiej.

- Zrobiło mi się niedobrze. - Patrzył na Hallie niewidzącym wzrokiem.

- Odwieźć cię do domu? Pokręcił głową.

- Nie, dzięki, nic mi nie będzie. A teraz, jakbyś mogła...

- Już dobrze, dobrze. - Zebrała swoje rzeczy, lecz zanim wyszła, podeszła do Jake'a, pogłaskała go po policzku i powiedziała: - Gdybyś Potrzebował przyjaciela, wiesz, gdzie mnie szukać.

Podziękował uśmiechem i skinął głową. - i vice versa.

Po wyjściu Hallie pogasił większość świateł i wyciągnął się na kanapie w pozie sprzyjającej rozmyślaniu: ręce z tyłu pod głową, oczy zamknięte, nogi skrzyżowane w kostkach i wsparte o poręcz. Wdychał i wydychał powietrze w sposób, jakiego nauczył go instruktor jogi, starając się oderwać od codziennego rozgardiaszu, aby myśleć jasno bez zakłóceń z zewnątrz.

Tak wiele miał pytań: czy możliwe, by Max, którą znał i ta, z którą - według Pameli związał się Lionel Baird, była jedną i tą samą osobą? W końcu jak dobrze znał Amandę? Trochę. Umawiali się zaledwie kilka razy. Poznali się na gruncie zawodowym, kilka spraw ich łączyło Spali ze sobą tylko raz, choć musiał przyznać, że spędzili wyjątkowa noc. Zabrał ją do domu, by poznała jego rodzinę; spodobali się je; a ona im. Sądził, że to coś znaczy. Może się mylił. Potem ta druga noc, gdy przywarła do niego w samochodzie i płakała. Jake sądził, że łzy wynikały ze zmęczenia pracą, ich miłosnych przeżyć i stresu – i radości z poznania Fowlerów. Albo że płakała jak zwyczajna dziewczyna, wzruszona okazaną jej czułością.

Teraz wszakże zastanawiał się, czy nie po śmierci kochanka.

Amanda skończyła dyżur o czwartej. O piątej weszła do swej ciemni, by poświęcić się obrazom związanym ze śmiercią Lionela. Zadzwoił telefon, ale go nie odebrała. Noc zapadła, a nawet tego nie zauważyła. W brzuchu burczało jej z głodu, lecz nie zawracała sobie głowy jedzeniem. Ponure zadanie pochłonęło ją bez reszty -

wywoływała film po filmie, tworzyła tuziny kolorowych arkuszy, zapisywała w notesie istotne dane dotyczące każdego negatywu.

Po wywołaniu wszystkich zdjęć, jakie zrobiła owej okropnej nocy, rozłożyła arkusze na cocktailowym stoliku. Z rewolwerem u boku, z remingtonem i dzbankiem świeżo parzonej kawy pod ręką, dzieliła zdjęcia na kategorie: ujęcia całości, zbliżenia, fotografie pomieszczenia. Z lupą w ręce dokładnie przeglądała każdą kupkę zdjęć, odkładając jedne, wybrane, do powiększenia, i drugie - które wymagały jeszcze dokładniejszego zbadania.

Na podstawie ujęć ogólnych zdołała ustalić, że po zamknięciu ukrytych drzwi nie da się umiejscowić, gdyż tak dobrze wkomponowały się w ścianę.

Przypomniała sobie wieczór, gdy Lionel o nich wspomniał - zaproponował, by spróbowała je odnaleźć. Nie udało jej się wtedy i teraz też nie potrafiłaby wskazać, gdzie się znajdują. Ojciec opowiedział jej, że stolarz, który robił regały w bibliotece, zadał sobie wiele wysiłku i z największą ostrożnością rozciął ozdobne, rzeźbione pilastry i listwy obramowujące półki. Gładkość mahoniowej powierzchni, precyzja cięć i zamontowane po mistrzowsku zawiasy, niewidoczne mocowania - wszystko wykonano tak doskonale, że gdyby nie pchnęła tych drzwi drugiej strony, nigdy nie domyśliłaby się ich istnienia. Sądząc z tego, go się dowiedziała w pracy, chłopcy z kryminalnego nie natrafili na nie a ponieważ drzwi do biblioteki można było zamknąć wyłącznie od wewnątrz, oznaczało to, że zabójca znał ukryte wejście.

Unikała oglądania zbliżeń głowy ojca. Nie mogła znieść tego widoku, zresztą przyczyna zgonu nie budziła wątpliwości. Rany trudno było nie zauważyć, a jej rozległość potwierdzała tezę o lufie w ustach denata.

Poświęciła natomiast sporo czasu dokładnemu obejrzeniu miejsca w bezpośredniej bliskości zwłok. W jakiej pozycji Lionel siedział na krześle, co znajdowało się obok niego na biurku, na podłodze, pod jego dłońmi i na kolanach. Badała szczegółowo każde zdjęcie, szukając wyjaśnienia. Żadne nie podsunęło odpowiedzi, wyłoniły się jednak pewne interesujące kwestie. W koszu na śmieci dostrzegła zmiętą kartkę papieru z bloczka znajdującego się na biurku Lionela. Jego papeteria i kartki do notatek miały ten sam wytłoczony znak: mały czerwony wagonik z zestawu kolejki elektrycznej - taki sam jak

ten, który Amanda przechowywała przez owe wszystkie lata. Co zapisano na tamtej kartce? Zanotowała sobie, że ma spróbować dowiedzieć się od Caleba Greena, Mickeya Morana albo, jeżeli okaże się to konieczne, pogrzebać w archiwum.

Jeszcze ta otwarta szuflada i pusty aparat fotograficzny. Sprawa brakującej rolki filmu wciąż ją niepokoiła.

No i krawat Lionela, wepchnięty pod koszulę między drugim a trzecim guzikiem. Amanda nigdy nie widziała, by ojciec tak go chował, nawet gdy jadł spaghetti z sosem pomidorowym. Dlaczego miałby wpychać krawat pod koszulę tuż przed strzałem w usta? Musiało to być celowe działanie... jeżeli nie Lionela, to kogoś innego.

Także dłoń Lionela spoczywająca na nagłówku gazety, insynuującym, że jest odpowiedzialny za pranie pieniędzy - dziwna sprawa. Palec wskazujący skierował na swoje nazwisko. Czyżby to coś w rodzaju listu pożegnającego? Czy tak chciał zawiadomić świat o przyczynach swej decyzji?

O dziesiątej przestała rozróżniać obrazy - oczy zmęczyły się przeglądaniem takiej ilości zdjęć i nie była już w stanie myśleć. Potrzebowała czasu, by powiązać ze sobą szczegóły, które zarejestrowała. Pozbierała zdjęcia, wsunęła do odpowiednich kopert i ukryła, wraz z notatkami, Pod fałszywym dnem, które wbudowała w jedną z kuchennych szafek.

Otworzyła drzwi od pustej lodówki i stanęła bezradnie. Zastanawiała się, czym zaspokoić głód, gdy odezwał się brzęczyk domofonu.

- Kto to? Jake.

Amanda uśmiechnęła się, ale, jak zawsze ostrożna, zapytała:

- Jesteś sam?

- Tak, a ty?

- Nie na długo, chodź na górę.

Pośpiesznie sprawdziła, czy nie pozostawiła na wierzchu niczego co mogłoby ją zdradzić, zniosła remingtona i rewolwer do sypialni. Rzuciła okiem do lustra, przyczesła włosy, przyglądała podkoszulek i czekała, aż gość pokona trzy piętra. Otworzyła drzwi: stał w progu z pudłem z pizzą, pod pachą trzymał butelkę czerwonego wina. On też wyglądał na wykończonego, twarz pokrywał mu jednodniowy zarost

- Zgłodniałem jak wilk, a nie chciałem jeść sam - oświadczył. Wpadł do mieszkania i od razu ruszył do kuchni. Położył pudło na stole. Wydawał się w nie najlepszym humorze.

- Bardzo się cieszę. - Roześmiana Amanda weszła za nim.

- Korkociąg! - zażądał.

Wyciągnął dłoń jak chirurg, czekający na skalpel. Poszukała w szufladzie, znalazła potrzebny przyrząd i podała mu.

- Talerze! - zakomenderował, wyciągając korek z butelki.

Amanda otworzyła szafkę, wyjęła dwa talerze i, uprzedziwszy następne polecenie, dwa kieliszki na wino. Jake podzielił placek, po trzy kawałki dla każdego, wręczył jej butelkę i kieliszki i zaniósł talerze do saloniku. Położył jedzenie na pierwszej wolnej powierzchni, na jaką natrafił, na cocktailowym stoliku.

- Czy coś jeszcze, sir? - spytała. Powstrzymał się od uśmiechu.

- Jeszcze nie teraz... - Usiadł ciężko na podłodze, sięgając nogami aż pod stół, plecami oparł się o kanapę. - Chodź do mnie, dobrze? Rozbawiona, spełniła jego życzenie. Nalał im wina.

- Jak się czujesz? - zapytał z pełnymi ustami pizzy. - Martwiłem się o ciebie wczorajszej nocy.

- O wiele mi lepiej, dzięki. - Nasunęła spadający kawałek sera z powrotem na ciasto i wbiła w nie zęby. - Och! Umierałam z głodu, a to moje ulubione jedzenie. Nie cię Bóg błogosławi, Jake'u Folwerze!

Uśmiechnął się, bo z podwiniętymi pod siebie nogami wyglądała jak mała dziewczynka. Włosy opadały jej swobodnie na ramiona, oczy błyszczały radością. Przełknął duży łyk wina, z nadzieją, że podziała jak środek uspokajający na burzę, która szalała w jego duszy. Przez prawie cały wieczór rozważał, czy powinien pójść do Amandy. Nie miał wyboru - musiał.

- Dlaczego nie jadłaś obiadu, przecież już późno?

- Straciłam poczucie czasu w ciemni - odpowiedziała, chowając twarz za kieliszkiem wina. Postanowiła powiedzieć mu prawdę, ale nie całą. - Wywoływałam zdjęcia, które zrobiłam w domu twojej matki, chcesz popatrzeć?

- No pewnie.

Sądziła, że Jake okaże większy entuzjazm. Wysunęła się spod stołu poszła do ciemni. Na plecach czuła wzrok mężczyzny. Włączyła światło i wyjęła z szuflady dużą, szarą kopertę. Wysypała z niej zdjęcia i odłożyła kopertę na miejsce. Zgasiła światło i zamykając

drzwi, dziękowała w myślach Bogu. Wywołała te zdjęcia zupełnie przypadkowo - gdy opróżniała plecak, nie zauważyła, że ta rolka zaplątała się wśród filmów zrobionych w rezydencji Lionela. Zdjęcia rodziny Fowlerów nie tylko dostarczyły jej chwili relaksu, miała teraz pod ręką coś, czym mogła rozproszyć niepokój swego towarzysza. Na samym wierzchu położyła to, które podobało jej się najbardziej - zbliżenie Jake'a, Barry'ego i Brendy. Radośnie uśmiechnięci, trzymali głowy blisko. Mimo że cała trójka wpatrywała się w obiektyw, portret emanował poczuciem związku emocjonalnego. Wyglądali tak uroczo, że postanowiła zachować odbitkę dla siebie.

- Ładne - pochwalił Jake - nawet bardzo.
- Fotografuję też śluby i bar micwy.
- Zapamiętam.

Amanda popijała wino, gdy Jake przeglądał zdjęcia. Nawet teraz była oczywista jego miłość do rodziny, owo uczucie przewyższało wszystko inne. Amanda, dziwnie zazdrosna, zdała sobie sprawę z tego, że część uroku tego mężczyzny polegała na emanowanej przezeń aurze opiekuńczości, którą wyraźnie dawał do zrozumienia: nic złego nie przydarzy się nigdy nikomu z moich bliskich.

- Przygotowałam dwa dodatkowe zestawy - powiedziała. Marzyła, by dołączyć ją do kręgu swych podopiecznych. - Dla Jocelyn i Grace.

- Ucieszą się, dzięki. - Napełnił kieliszki na nowo, upił trochę ze swojego i popatrzył na Amandę. - Co to za zamieszanie w wydziale Przy sprawie Bairda? . Zmiana tematu nastąpiła tak nagle, że zaskoczona Amanda na chwilę straciła oddech. Opanowała się szybko, lecz nie na tyle, by Jake nie zauważył jej reakcji. Oczy mu spochmurniały.

- To samobójstwo. Jedynym, co może sprawiać kłopot, jest w śnienie, dlaczego; dlaczego taki człowiek odebrał sobie życie.

- No właśnie, dlaczego. - Zaczął pukać palcem o blat stołu. - ja t go nie rozumiem, a ty, Max?

Amanda pokręciła głową. Coś ją zaniepokoiło w tonie, jakim wypowiedział jej imię.

- Z tego co wiem, miał wszystko, dla czego warto żyć. Łącznie z tobą?

- Czy Green i Moran zamykają już śledztwo, czy jeszcze trochę powęszą? Wzruszyła ramionami, udając, że nie ma pojęcia. Zastanawiała się skąd wiedział, że właśnie oni dostali tę sprawę.

- Nie byłam na posterunku.

Siedział nieswój; wstała i poskładała talerze. Odrzuciła zaproponowaną pomoc - poradzi sobie sama. Jake patrzył, jak Amanda idzie do kuchni i zastanawiał się, czy przypadkiem przed nim nie ucieka. Nie mógł powstrzymać się od pójścia za nią. Stała przy zlewie. Obrzucił spojrzeniem jej ciało, uwodzicielskie i pełne seksu nawet w tym prostym stroju. Dręczący go przez cały dzień problem powrócił; to, czego się dowiedział, zmagало się z tym, w co chciał wierzyć. Żałował, że w ogóle dzwonił do Pameli Baird. Nie powinien był do niej chodzić i wysłuchiwać jej skarg. Szybko, jakby fizyczna bliskość Amandy stanowiła wszystko, czego potrzebował, aby pozbyć się wątpliwości, otoczył ją w pasie ramieniem, przyciągnął do siebie, musnął ustami jej kark i zagubił się w cytrynowym zapachu włosów oraz rozkosznej woni skóry.

- Czuję się okropnie - wyznał. Pożądanie zatriumfowało nad podejrziwością. Amanda próbowała się odsunąć.

- Zapomniałem o deserze. - Pieścił ustami jej ucho, przyciskając się mocniej.

- Jak dasz mi chwilę na przeszukanie kredensu, może coś znajdę. Uwolnił ją z uścisku, lecz nadal stał blisko. Amanda odwróciła się - dzieliło ich kilka centymetrów i nie musiał sięgać daleko, by ją pocałować.

Tylko ich wargi się zetknęły, a jej wydawało się, że Jake bierze ją całą.

- Zostało jeszcze trochę wina?

- Aha. - Wsparł ręce na zlewozmywaku i zamknął ją w ramionach niczym w pułapce. Znów musnął wargami jej usta.

Odsunęła się, by złapać oddech. T

- Zajmij się winem, a ja poszukam deseru. Ociągając się, niechętnie wrócił do saloniku. Napełnił kieliszki winem, ale był zbyt spięty by usiąść. Kręcił się po pokoju, dopóki Amanda nie przyszła - Przyniosła talerz ciasteczek. - Daleko temu do vinsanto i biscotti - powiedziała. Zauważyła, jak przemierzał pokój. - Nic lepszego jednak nie znalazłam. Nie uprzedziłeś.. - Nie patrzył, co przyniosła.

- Świetne - mruknął.

Postawiła talerz na stoliku i czekała, aż Jake podejdzie bliżej. Gdy wreszcie stanął przed nią, zamoczyła ciasteczko w winie i wsunęła mu do ust. Podziękował uśmiechem. Gdyby tylko wiedział, jak działają na mnie te jego dołeczki, pomyślała Amanda, uśmiechałby się częściej. Ale humor mu się zmienił. Jake patrzył na nią teraz badawczo, posępnym wzrokiem, i zmarszczył czoło, jakby chciał zrozumieć treść skomplikowanej debaty. Po chwili porwał dziewczynę w ramiona i mocno tuląc do siebie, pocałował, aż straciła oddech.

- To właśnie nazywam deserem - powiedziała, gdy na chwilę odsunęli od siebie głowy.

- Sądzisz, że tyle wystarczy? - Jedną ręką wciąż tulił ją do siebie, drugą wsunął pod podkoszulek, powędrował w górę, na piersi, potem zawrócił w stronę talii.

- Sprawdzimy - odpowiedziała podniecona, lecz także zdenerwowana. Jego niebieskie oczy wpatrywały się w nią z intensywnością, która oznaczała coś więcej niż tylko pożądanie.

Językiem przesunął po dolnej wardze Amandy, sięgając dłonią do błyskawicznego zamka swych spodni. Topniała w jego ramionach. Podsunął jej do ust kieliszek, jakby prosząc, by wzięła udział w pewnym rytuale. Zgodziła się, bo mu ufała. Upiła łyk wina, w duszy rozkoszując się tym cudownym uczuciem w stosunku do drugiej osoby. Tak bardzo chciałaby móc zatelefonować do ojca i powiedzieć mu, że miał rację co do miłości i zaufania, i otwarcia się na oba te uczucia. Ale Lionel odszedł. Patrzyła na Jake'a, czując ucisk w krtani: po chwili miała łzy w oczach.

Wziął od niej kieliszek, dokończył wino i znów ją pocałował, mocno jakby rozpaczliwie.

- Gdzie twoja sypialnia? - spytał, chłonąc wargi Amandy. Rozpiął jej dzinsy; jęknęła pod dotykiem pieszczącej ją dłoni.

- O wiele za daleko. - Drżącymi palcami odpinała guziki jego koszuli, a potem zsunęła mu ją z ramion. Gdy natrafili na klamrę od paska, zajęli się nią wspólnie.

- Weź mnie tutaj - wydyszała Amanda, gdy rozpiął jej stanik. Dłonie Jake'a otoczyły jej piersi niczym płomień ogarniający zapałkę.

W jednej chwili leżeli nadzy na podłodze, pędząc ku pożądaniu jak iskra po luncie. Tych dwoje pragnęło się tak szaleńczo, że namiętność nie mogła długo w nich pozostawać, wystrzeliła na powierzchnię góra. ca niczym lawa. Osiągnęli orgazm szybko i

wybuchli, jakby dywan posypano łatwo palną substancją. Dłonie, wargi, piersi, uda się połączyły ciała reagowały na siebie jakby dźgnięte bólem. Pchani ku sobie, nie mogli się rozdzielić.

Amanda doznawała z Jakiem przeżyć tak pełnych, że seks stawał się czymś całkiem nowym. Każda pieszczota nadchodziła w blasku emocji tak mocnej, że nie tylko poruszała jej ciało, ale także zmieniała rytm serca. Nie wiedziała, czemu przed kochaniem się z nią prosi! o spełnienie owego rytualnego toastu ani czemu nastrój wciąż mu się zmieniał, z optymistycznego w ponury, jednak ta pełnia, to bogactwo miłosnych uniesień było niczym zbieranie plonów i nie przypominało aktu skruchy.

Dla Amandy, która jeszcze przed godziną oglądała obrazy śmierci, to, co się teraz działo, stanowiło potwierdzenie życia.

Dla Jake'a była to próba. Całe popołudnie zadreślał się słowami Pameli. „Lionel mówił do niej Max”. Opisała mu wygląd „owej młodszej kobiety, której Lionel Baird poświęcał pełną i całkowitą uwagę”. Może istnieje jakaś inna, przekonywał sam siebie. W końcu to miasto ma ponad osiem milionów mieszkańców. Ale rozsądek mówił mu, że jego Max, jej Max i Max Lionela to jedna i ta sama osoba. Serce Jake'a krzychało, że przecież to nie ma znaczenia. I nawet jeżeli Amanda знаła Lionela Bairda, nie musiała mieć z nim romansu - a tym bardziej czegokolwiek wspólnego z jego śmiercią.

Głaskał jej włosy, pozwalając, by przesywały się między jego palcami. Oczy miała zamknięte, na jej twarzy widniał pełen zadowolenia uśmiech. Jej wargi jeszcze lśniły od pocałunku; ich ciała wciąż stanowiły jedność. Pochylił się, by ją pocałować i natychmiast przyłgnęła do niego mocniej. Dlaczego nie może zwyczajnie wierzyć w to, co teraz czuje, dlaczego pozwala gorczy Pameli stanąć między nim a tą cudowną kobietą?

Bo coś nie dawało mu spokoju i sprawiało, że pragnął zapytać: spałaś z Lionelem Bairdem? Byłaś u niego tej nocy, kiedy zginął? Wiedziałś, co zamierza, mogłaś go powstrzymać? Czy możliwe, żebyś to była przyczyną? A najbardziej chciał wiedzieć: Zależy ci na mnie? Ale nie zapytał. Nie potrafił. Nie teraz. Przyszedł tu, bo za wszelką cenę potrzebował potwierdzenia, że niezależnie od jakichkolwiek powiązań Amandy Maxwell z Lionelem Bairdem, nikt inny się dla niej nie liczy. Dziś wieczorem właśnie w to wierzył. Jutro nadejdzie inny dzień.

Angel Rodriguez alias Jaime Bastido siedział przy końcu kontuaru w podłej kafejce przy Dziewiątej Alei. To miejsce, tuż za dworcem autobusowym zawsze roило się od podróżnych będących tu jedynie przejazdem, którzy siedzieli za stołem ze wzrokiem wbitym w gazetę lub bezmyślnie patrzyli na stojące przed nimi talerze. Rozmawiano niewiele. Najgłośniejszy dźwięk wydawały filiżanki odstawiane na podstawki albo skwierczący na patelni tłuszcz. Nikt nie przychodził tutaj z zamiarem nawiązania znajomości, nikt z pewnością nie szukał miłej atmosfery czy dobrego jedzenia; spędzało się tu tylko czas przed dalszą podróżą.

Jaime wbił zęby w przypaloną grzanekę, nie spuszczać wzroku z wejścia. Z powodu implantów nie mógł poruszać szczękami tak swobodnie jak dawniej. Zniecierpliwiony tą niedogodnością, popił suchy chleb kawą, która smakowała jak wywar ze śmieci. Miał wielką ochotę wypluć ją w twarz tej skwaszonej krowie, która go obsługiwała, powstrzymał się jednak - nie powinien ściągać na siebie uwagi. Zresztą, jako Kolumbijczyk i znawca tego napoju, pomyślał wsypując następną porcję cukru do obrzydliwego płynu, nie mogą oczekiwać od głupiej Amerykanki, by potrafiła odróżnić prawdziwą kawę od lury. Z niechęcią dziobał widelcem oślizgłe jajka sadzone i tłustą kielbasę, podawane wraz z górą tłuczonych ziemniaków - danie o szumnej nazwie „Specjalność zarządu dworca”. Jakiś mężczyzna usiadł na stołku obok i zamówił takie samo śniadanie.

- Dopilnuj, by dobrze wysmażyli jajka - poradził mu Jaime.

- Słyszałaś, co powiedział - zwrócił się obcy do kelnerki - mają być porządnie wysmażone.

Potęźnie zbudowana kobieta popatrzyła ze złością na intruza, pod nosem wymamrotała jakieś przekleństwo i niewyraźnie warknęła coś do spoconego kucharza, uwijającego się w małym pomieszczeniu za kontuarem. - Mógłbyś, koleś, popilnować mi gazety? - spytał nowo przybyły. Chciałem iść do wychodka.

- Oczywiście - odpowiedział Jaime - i nie musisz się śpieszyć. Mężczyzna wstał i ruszył w stronę toalet. Po kilku minutach krowa przyniosła jego zamówienie, ale jeszcze nie wrócił.

- Gdzie on się podział? - zapytała Bastida i kobietę zajmującą miejsce po drugiej stronie pustego stołka. Oboje wzruszyli ramionami. Mruczając coś o pasożytach, ze złością postawiła talerz na ladzie. Jak gość się pojawi, będzie miał zimne żarcie i dobrze mu tak, pomyślała.

Ktoś i drugiego końca zawołał o dolewkę kawy. Wciąż mrużąc pod nosem, kelnerka złapała dzbanek i ze złością ruszyła w tamtą stronę.

Gdy tylko odeszła, Jaime zajął się pozostawioną gazetą. Wsunął palce między złożone strony i wyciągnął kopertę, którą natychmiast wepchnął do kieszeni marynarki. Teraz, po odebraniu przesyłki, mógł się odprężyć i spokojnie dokończyć śniadanie. Gdy uniósł filiżankę, krople kawy zaplamiły pierwszą stronę gazety. Mniejsza z tym, pomyślał. W złośliwym grymasie ściągnął górną wargę: nikt po nią nie wróci.

Wytarł rozlaną kawę, spojrzął na „Telegraph” i prychnął z pogardą. Minęły już trzy dni od śmierci Lionela Bairda, a jego samobójstwo wciąż pozostawało sensacją dnia. Opowieści o potentacie finansowym zajmowały poczesne miejsce. Jaime bez specjalnego zainteresowania przebiegł wzrokiem kilka z nich. Cieszył się, że ten człowiek nie żyje, ale Lionel nie zajmował pierwszej pozycji na jego liście najbardziej poszukiwanych Bairdów.

Natomiast informacje zawarte na stronie dziesiątej przyciągnęły jego uwagę. Władze meksykańskie zatrzymały osławionego członka rodziny Espinosa. Przygotowywano akt oskarżenia, obejmujący narkotyki i inne przestępstwa. Zatrzymano go przy kontroli drogowej za nielegalne posiadanie broni. . ,

Jaime roześmiał się głośno. Telefon z Denver do granicznego patrolu odniósł pożądany skutek: Emilio Espinosa, najmłodszy z czterech braci, znalazł się w areszcie.

Dalej autor artykułu spekulował, iż wprawdzie jeszcze nie wiadomo nic konkretnego, ale meksykańscy agenci antynarkotykowi mają nadzieję zebrać dość dowodów, by postawić trzydziestodwuletniego Emilia Espinosa przed sądem za działalność w kartelu starszych braci, o którym pewien wyższy rangą urzędnik amerykański powiedział: „To organizacja handlująca narkotykami na światową skalę”. A wszystko dl go, że „Anioł - dobroczyńca” obiecał dostarczyć potrzebne dowody, by można było na dobre posadzić Emilia i pozostałych chłopców Espinosa Jaime sięgnął do kieszeni, wyjął ołówek i kartkę, na której wcześniej nagryzmolił kilka nazwisk. Zdecydowanym ruchem mocno przekreślił linijkę Emilia Espinosa. Uśmiechnął się tak szeroko, jak tylko pozwalała mu pozszywana szczęka: jeden załatwiony!

Wsunął papier i ołówek do kieszeni, potem zaś wyjął pozostawioną przez kuriera kopertę z fotografiami i dyskretnie przeglądał jedną po drugiej. Było ich zaledwie piętnaście. Najwyraźniej biedny Lionel zastrzelił się, nim miał okazję skończyć film. Jaime parsknął śmiechem ale zaraz spoważniał. Po odłożeniu kilku nieistotnych zdjęć, przedstawiających rozbawionych gości na przyjęciu, przeszedł do następnych. Z fotografii patrzyła na niego ta dziwka, Cynthia Stanton. Włosy miała krótsze i trochę się postarzała, ale rozpoznałby ją wszędzie. Jak mógłby zapomnieć! Całymi tygodniami, w czasie gdy obrońcy starali się nie dopuścić do jej zeznań, kolesie Jaimego grozili Cynthii i jej rodzinie - i to bynajmniej w niezawołowany sposób. Gdy nie poddała się i zjawiała w sądzie, wbił w nią wzrok, jakby mówił: „Tylko spróbuj!”. Podjęła wyzwanie, nie odwróciła oczu. No i załatwiła go!

Minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd w Miami stali twarzą w twarz, a w więzieniu czas mija powoli. Nienawiść wzbiera niczym ropiejąca rana. Nawet gdyby to miało potrwać następne dwadzieścia lat, on i Cynthia Stanton znów się spotkają, ale tym razem to on zatrzaśnie drzwiczki pułapki. Wykrzywił się do wizerunku swej nemezis i aż syknął, tak zaboląła go szczeka. Ukryta w jakimś miasteczku, pod ochroną potężnych służb ochrony biura szeryfa, uważa się za bezpieczną. Ale się myli! Gdziekolwiek jest, jak dobrze się ukryła, już on znajdzie sposób, by jej dopaść.

Czuł, jak drzemiąca w nim od lat wściekłość zaczyna wrzeć. Dalej przeglądał zdjęcia: Cynthia na kanapie, Cynthia obok kominka. Cynthia ciesząca się życiem, podczas gdy on walczył o przetrwanie każdego kolejnego dnia. Cynthia obejmująca jakąś młodą, rudą kobietę. Obie wykrzywiały się do obiektywu. Jaime podniósł zdjęcie do oczu i przyjrzał się uważnie. Nigdy wcześniej nie widział tamtej drugiej, coś jednak wydawało mu się w niej znajome. Myślał dłuższą chwilę, aż wreszcie zaskoczył i wiedział już, kim ona jest. - No, no - zamruczał zachwycony jak dziecko, które dostało nieoczekiwany prezent - wygląda na to, że Erica Baird jednak dorosła. Jake wysiadł z metra na Lexington i skręcił na wschód, w kierunku Sześćdziesiątej Siódmej. Gdzieś w środku, po północnej stronie ulicy, znajdował się dziewiętnasty posterunek. Nim wszedł do środka, zawahał się i przystanął. Czuł się winny, przychodząc tutaj po nocy spędzone; z Amandą. Jednak może właśnie te chwile bliskości zdopingowały go

do sprawdzenia, czy insynuacje Pameli to coś więcej niż pokrętnie sugestie kobiety pragnącej usprawiedliwić swą zazdrość.

Wyszedł od Amandy o drugiej w nocy, zmęczony i nasycony, jak tylko to możliwe w przypadku mężczyzny opętanego na punkcie kobiety. Kochali się w saloniku, potem przeszli do sypialni, cudownego zakątka prezentującego tę bardziej kobiecą część natury Amandy, jej miłość do kwiatów, słabość do różowego koloru, do falbanek i świec, delikatnie napełniających powietrze przyjemną wonią. Leżąc obok niej w tym przypominającym bombonierkę łóżku, żałował, że nie można przedłużyć nocy, powstrzymać nadejścia świtu i pozostać we dwoje w tej zawieszony w czasie kapsule. Jak zwykle, odezwała się rzeczywistość. Amanda miała ranną służbę, a przy nim nie mogłaby się wyspać. Jak zawsze rycerski, pocałował ją na dobranoc i wrócił do siebie, do mieszkania, które nagle wydało mu się puste i zimne.

On też spał, ale niespokojnie. Film w jego głowie przesuwiał się do przodu w przyśpieszonym tempie, podsuwając wnioski, a potem w tył, by przeanalizować wszystko jeszcze raz. Po przebudzeniu uświadomił sobie, że jak na razie dysponuje dużą ilością plotek, kilkoma nieprawdopodobnymi, prowadzącymi donikąd teoriami, ale niewielką liczbą faktów.

Tego dnia pierwsze kroki skierował do biura Lionela. Pamela uprzedziła telefonicznie Fredde, która wręczyła Fowlerowi kserokopie listy spotkań Lionela z ostatnich sześciu miesięcy i planowanych na następne tygodnie. Jake chciał dostać - i otrzymał - wykaz rozmów telefonicznych zmarłego, zarówno do biura jak i z gabinetu szefa, oraz wiadomości pozostawionych w tygodniu poprzedzającym śmierć Bairda. Posłuchał wskazówek Pameli i zachowywał się czarująco, prawił komplementy zapewniając niezwykle chętną do współpracy pannę McDougall, że nie omieszka informować jej o wynikach swego dochodzenia. Ponieważ się zaprzyjaźnili, uznała za swój obowiązek podzielić się z nim opinią o kobiecie znanej jako Max.

- Pan Baird nigdy o niej nie mówił - opowiadała. - Według opinii Pani Baird ta kobieta miała fatalny wpływ na jej męża, ale tak naprawdę uważam, że go uszczęśliwiła.

- Skąd pani wie?

- Jak matka miałaby nie wiedzieć, co czuje jej dziecko? - obruszył się Fredda. - Poza panią Baird byłam osobą najbliższą

Lionelowi i znałam jego nastroje chyba lepiej niż ktokolwiek inny, nie wyłączając samej Pameli. W końcu to ja spędzałam z szefem najwięcej czasu.

Gdyby nie chodziło tu o zmarłego w podejrzanych okolicznościach mężczyznę, i kobietę, w której sam się zakochał, Jake może by nawet uznał tę niesmaczną rywalizację między sekretarką a żoną - niedoszlą rozwódką za śmieszna.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytał. Zastanowiła się chwilę.

- Nie pamiętam dokładnie, kiedy owa Max pojawiła się w jego życiu, ale jakieś sześć miesięcy temu stał się wyraźnie pogodniejszy, jakby zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. Posłużę się takim banalnym porównaniem: Lionel zachowywał się jak „człowiek z teflonu”, nic nie mogło popsuć mu humoru. Proszę nie powtarzać pani Baird, że to powiedziałam; ale dobre samopoczucie jej męża miało najwyraźniej związek z nową miłością w jego życiu.

Jeżeli nawet miała urazę, że nie ona była ową wybranką, potrafiła dobrze się maskować, pomyślał z uznaniem Jake.

- Czy kiedykolwiek widziała ich pani razem?

- Raz, gdy przyprowadził ją tutaj. Powiedział, że ta Max jest ekspertem od dzieł sztuki i pomaga mu wyszukiwać nowe interesujące fotografie do zbiorów. - Zmarszczyła brwi; ta mina nie dodawała jej urody. - Wydawało się dziwne, że nie zostawiła firmowej wizytówki, a Lionel nie podał mi adresu ani telefonu, pod którymi można by ją znaleźć.

- Czy prosił panią o zarezerwowanie stolika w restauracji?

- Rzadko. To też było dziwne. Zazwyczaj załatwiałam dla pana Bairda tego typu sprawy.

- Ale od czasu do czasu coś pani zlecał? Skinęła głową, wciąż urażona, że ją pomijano.

- Pewnie chciałby pan wiedzieć, gdzie i kiedy.

- Przydałoby się. a co z wakacjami, weekendami spędzonymi za miastem, czy załatwiała pani coś podobnego?

Postukała palcem po brodzie, zastanawiając się chwilę.

- Rzeczywiście, kilka razy prosił mnie o zarezerwowanie hotelu w centrum. Ten człowiek mieszkał w najbardziej luksusowym domu w mieście, po co mu pokój w hotelu?

- Rzeczywiście, po co? - przyznał jej rację Jake. Panna MacDougall okazała się nieocenionym źródłem informacji. - Jeżeli

można, poproszę o daty i miejsca. Nie odpowiedziała, wciąż zamyślona.

- Wie pan, co jeszcze jest dziwne? Gdzieś na przełomie marca i kwietnia oświadczył mi, że wyjeżdża na weekend, ale nie poprosił o zarezerwowanie hotelu ani pokojów dla załogi samolotu. Nie wspomniał o samochodzie czy biletach do teatru. Nawet mi nie powiedział, dokąd się wybiera.

Kwiecień. Jake przypomniał sobie telefoniczną grę w chowanego z Amandą, właśnie gdzieś w tamtym okresie. Kilka razy dzwonił do jej mieszkania, próbując się umówić, lecz jej nie zastał. Zdenerwowany pognął do budynku, w którym mieścił się posterunek. Doyle ze złośliwą satysfakcją poinformował go, że Amandy nie ma w mieście. Musi odnaleźć dokładną datę we własnym wykazie telefonów. Jednak nawet jeżeli chodzi o ten sam weekend, Jake przestrzegał się w myślach przed pochopnym wyciągnięciem wniosków. Może zaistniał zwykły zbieg okoliczności?

Niestety, jakoś nie bardzo wierzył w zbiegi okoliczności. I dlatego znowu udał się na dziewiętnasty posterunek.

Sierżant w dyżurce zadzwonił na górę i spytał, czy detektywi Green i Moran są na miejscu.

- Detektyw Green prosi na górę.

Po drodze Jake pomachał ręką kilku mundurowym i detektywom. Często bywał tu w sprawach zawodowych, więc znał większość gliniarzy z posterunku. Okazywali demonstracyjną niechęć do dzielenia się z nim informacjami, lecz ponieważ mimo to pomagał im kiedy tylko mógł, oni też starali się zrewanżować przy każdej okazji. Właśnie na to liczył.

- Cześć! - Wyciągnął dłoń do Caleba Greena. - Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas. Detektyw cofnął się, jakby jakiś stwór z innej planety zjawił się w biurze.

- Jake Fowler dziękuje, zanim usiadł? Coś tu dziwnie wygląda!

- Chyba twoja twarz! - Jake wykrzywił się złośliwie i przysunął sobie krzesło. Green odetchnął głośno.

- Teraz czuję się lepiej. - Wrócił za biurko, wepchnął do ust kawałek obwarzanka i popił kawą. - Morana nie ma, kończy sprawę morderstwa, przy którym pracował z Maldonatem. O co chodzi, Fowler?

- Wynajęto mnie, bym trochę powęszył przy samobójstwie Bairda. Green położył ręce na karku, nogi oparł o biurko. Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Wdowa Baird?

- Trafiłeś.

- Co tu jest do węszenia? Gość rozwalił sobie łeb.

- Pewnie chce uezierać jak najwięcej atutów, nim testament trafi do sądu.

- Facet załatwił się własnoręcznie. Jeżeli ona wciąż jest legalną małżonką, dostanie lwią część majątku. Po co cię wynajęła? Jake wzruszył ramionami.

- Ma jakąś obsesję. Sądzi, że ktoś mający na zmarłego fatalny wpływ doprowadził go do samobójstwa.

- Chcesz, abym jeszcze raz wszystko sprawdził?

- Powiedziałem jej, że dowody wskazują na samobójstwo, ona jednak upiera się przy morderstwie. Jako kompromis, podsunąłem ów fatalny wpływ. Caleb, zanim odpowiedział, zastanowił się przez chwilę i za to właśnie Jake go lubił. Ten policjant nie wyciągał pochopnych wniosków, nawet jeżeli wydawały się oczywiste.

- Samobójstwo spowodowane fatalnym wpływem innej osoby - powtórzył kilka razy. Wreszcie powiedział: - Nie najgorzej, Fowler. - Uśmiechnął się przelotnie, lecz zaraz spoważniał. - Oficjalnie sprawa została zamknięta, wiesz o tym.

- A nieoficjalnie?

- Widziałem tego gościa tam, na miejscu. - Spojrzenie Caleba stało się jakby nieobecne, najwyraźniej przeniósł się myślami do biblioteki, w której Lionel Baird zakończył życie. - Wiem, co mówią spece od medycyny, ale mnie osobiście trudno uwierzyć w jego samobójstwo.

- Dlaczego?

- Ty i ja używamy broni palnej cały czas i dla nas to normalka. Ten facet jednak sam nawet nie prowadził samochodu, nie nalewał sobie kawy. Jeżeli zamierzał się wykończyć, dlaczego nie przedawkował barbituratów albo nie powiesił się na jednym z tych swoich eleganckich pasków? - Green wciąż wyglądał na się zaskoczonego przebiegiem owego wydarzenia. - Możesz sobie wyobrazić, że wkładasz taką armatę we własne usta i naciskasz spust?

- Wstrząsnął nim dreszcz. W okresie gdy jeszcze patrolował ulice, nieraz strzelał z podobnej broni i znał jej brutalną moc.

- Nie - przyznał Jake. - Ale samobójcę w ogóle trudno zrozumieć - słyszałem o przypadkach, gdy ludzie, sprawiający wrażenie w pełni szczęśliwych, nagle, bez uprzedzenia, szli do drugiego pokoju i strzelali sobie w łeb.

Caleb przytaknął ruchem głowy - on także znał podobne sprawy. - Ty i ja nie możemy zrozumieć, bo takim twardzielom jak my wydaje się nieprawdopodobne, żebyśmy nie znaleźli jakiegoś innego wyjścia. - Jake dotknął sygnetu, który Archie dał mu na czternaste urodziny. - Mówi się, że ludzie popełniający samobójstwo, nawet w gwałtowny sposób, przechodzą takie tortury psychiczne, że nie boją się ani sznura, ani ostrza brzytwy czy broni palnej. Dla nich to tylko przedmiot służący do przerwania bólu.

- Chyba tak. - Green wciąż się wahał. - •A co Moran o tym sądzi? Caleb się roześmiał.

- Znasz Morana. Bogaty gość kończy ze sobą, cóż, wielka szkoda. Następna sprawa.

- A ty?

- Wierz mi lub nie, Fowler, cieszę się, że przyszedłeś. - Specjalnością Jake'a były sprawy zamknięte przez wydział, ale takie, co do których istniały wątpliwości. - Według lekarza, Baird sam pociągnął za spust. Coś jednak w tej sprawie śmierdzi.

Jakby słyszał Pamelę - Jake nie sądził jednak, by uszczęśliwił Greena takim porównaniem.

- No więc co zamierzasz? - spytał.

- Nie mogę poświęcać tej sprawie służbowego czasu.

- Dobrze, Caleb - Jake ściszył głos - ja się tym zajmę, tylko podrzuć mi trochę danych. Będę cię informować na bieżąco.

- W porządku, bylebyś nie wtykał nosa, gdzie nie trzeba, i potem nie gadał, że to ja dałem ci zielone światło.

- Masz moje słowo. - Green skinął głową. To wystarczyło mu w zupełności. - Co zebrałeś na miejscu? - Jake'a interesowały wszelkie zapiski, nagrane rozmowy telefoniczne, wszystko, co mogłoby do tego stopnia wystraszyć czy upokorzyć Bairda, że postanowił ze sobą skończyć.

- Nie znaleźliśmy listu pożegnalnego ani żadnej wiadomości. Nagrań też nie - siedział w domu i pewnie sam odbierał telefony. Na

biurku leżały jakieś papiery handlowe, najwyraźniej je przeglądał. - Green się zamyślił. Caleb wyjął z akt zrobioną przez Harpo fotografię biurka Lionela podsunął Jake'owi.

- On już wcześniej widział to wydanie. - Fowler nie zauważył niczego szczególnego.

- Wiem, ale palec wskazuje na tytuł jak na planszy do wywoływania duchów. Jake uniósł zdjęcie i przyjrzał mu się jeszcze raz, z bliskiej odległości palec skierowany na nagłówek artykułu rzeczywiście sprawiał dziwne wrażenie, ale Fowler zwrócił uwagę na nazwisko widniejące na dokumentach. Wydało mu się znajome. No tak, Annie Hart to przyjaciółka Amandy.

- Co z tymi papierami? - spytał. - Jest tam coś, co mogłoby mu wepchnąć tego starego grzmota w dłoń?

- Nie sędzę. Dotyczą sfinansowania startującej pod kierownictwem Annie Hart firmy kosmetycznej. Jeżeli to nie jakiś dziwny sposób wybrany przez Bairda do poinformowania o swej decyzji, są chyba bez znaczenia.

Jake starał się odtworzyć w pamięci wygląd Annie. Amanda mu ją opisała i na wystawie rozglądał się za tą dziewczyną. Chyba mu nawet gdzieś mignęła, tak jednak pochłonęły go prace Amandy, że całkiem zapomniał o tamtej.

- Przesłuchałeś ją?

- Owszem, to specjalistka od charakteryzacji, pracuje przy mydlanych operach.

Miała się spotkać z Bairdem na późnym obiedzie, by podpisać ten kontrakt. Czekala w restauracji, ale nie przyszedł. Potem, po telefonie od kogoś, wyszła.

- Kto do niej dzwonił?

- Maitre powiedział, że kobieta, która przyszła do restauracji z panną Hart i miała towarzyszyć jej na obiedzie z Bairdem. - Green zastukał ołówkiem w blat biurka. Jake wstrzymał oddech. - Gdy Baird spóźniał się ponad godzinę, tamta wyszła i już nie wróciła.

- Czy wiemy, kto to? - Jake właściwie znał odpowiedź.

- Amanda Maxwell. Specjalistka od zdjęć z ekipy do zabezpieczania śladów. Przypominasz ją chyba sobie? Jake udał zaskoczonego.

- Max trudno by było zapomnieć. - Z wysiłkiem przełknął ślinę. - Co ona tam robiła? - Ważniejsze, gdzie Max poszła po opuszczeniu

restauracji i czemu nie wróciła. I dlaczego nic mu o tym wszystkim nie powiedziała?

- Hart twierdzi, że się przyjaźnią. Najwyraźniej to Max przedstawiła ją Bairdowi. - Sądząc po minie Caleba, też zaintrygowała go kwestia. - Gdzie, u licha, Amanda poznała tego Bairda? T Jake nie odpowiedział. Nie potrafił sobie wyobrazić.

- W każdym razie - ciągnął Green - ponieważ ten obiad miał przypieczętować zawarcie umowy, Max również została zaproszona.

Jake poczuł ukłucie w sercu. Annie Hart nie tylko lepiej orientowała się w sprawach Amandy, wiedziała także, że przyjaciółka zna Lionela na tyle dobrze, by interes doszedł do skutku. Max najwyraźniej nie trzymała tej znajomości w tajemnicy, wiedziała o niej także Fredda. Jedynym, który nie słyszał o kontaktach Amandy Maxwell z Lionelem Bairdem, był mężczyzna, który z nią sypiał.

- Maitre powiedział, że Baird polecił zamrozić lodu butelkę szampana, co wydaje się potwierdzać wersję o zamiarze świętowania... - Caleb urwał i dalej uderzał ołówkiem o biurko. - Wiedziałeś, że Max na boku zajmuje się fotografią artystyczną?

Jake nie zamierzał go informować o intymnych szczegółach swej znajomości z Amandą, ale gdyby wyszło na jaw, że się znają, kłamiąc teraz, straciłby wiarygodność. Inne naświetlenie faktów wydało mu się jednak dozwolone.

- Tak, poszedłem na wystawę do galerii w Chelsea, gdzie pokazano niektóre jej prace. Jest naprawdę dobra! Detektyw zmrużył oczy.

- Żartujesz! - Według niego sztuka i zbrodnia nie chadzały w parze.

- Robi te kostiumowe kompozycje, jak niektórzy sławni artyści, fotografuje siebie samą. Niesamowite, ale interesujące.

- Ta Hart twierdzi, że robiła makijaż Max do tych zdjęć.

- Czyżbyś miał jakieś wątpliwości co do jej osoby?

- Sam nie wiem. Jake złapał się za głowę.

- Co masz na myśli?

- Baird sprawdzał ją przez Biuro.

- Co takiego?

- Facet w końcu miał wyłożyć kupę szmalu na ten interes, więc po prostu był ostrożny.

- Chyba nie masz na myśli instytucji sprawdzającej zdolność kredytową!

- Mówię o federalnych, Fowler. - Caleb parsknął.

- Po co miałby ją sprawdzać przez FBI? Jest notowana?

- Czysta jak łza.

- No to czego szukał?

- Gdybym wiedział, nie potrzebowałbym ciebie, chyba jasne? Jake musiał się z nim zgodzić.

- Chciałbym dostać kopię tego raportu. - Pomyślał, że gdyby po - znał odpowiedzi, domyśliłby się przyczyny po zadanych pytaniach. Caleb obiecał przysłać faks. - Dlaczego Moran uparł się przy wersji samobójstwa? - spytał jeszcze Fowler.

- Dla niego zachowanie Bairda wygląda wystarczająco dziwnie, więc pasuje do samobójcy. Naprzód organizuje wieczór z szampanem, potem prosi ochroniarza, by przyniósł mu z Little Italy danie, którego nie zamierza zjeść. Raz tak, raz nie, raz tak, raz nie - waha się. Gdy wreszcie się zdecydował, szybko usunął goryla z domu, żeby się nie rozmyślić.

- Czy zeznania tego Vitale zostały potwierdzone?

- Tak. - Caleb poszukał w aktach. - Mamy go w „Il Cortile” około ósmej. Świadkowie widzieli go przy barze, zachowywał się głośno, podrywał jakąś babkę. - Przerzucił stronę. - O dziewiątej sześć ktoś zadzwonił na 911. Nasi chłopcy zjawili się na miejscu o dziewiątej dwanaście; Vitale wrócił do domu o dziewiątej dwadzieścia.

- Mówię to z niechęcią, Caleb, przyjacielu, ale Mickey może mieć w tym przypadku rację.

Green potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Baird wysyła ochroniarza z domu, by strzelić sobie w łeb? A co za różnica, czy Vitale jest na górze, czy w Little Italy? Jak włożysz sobie lufę w usta i pociągniesz za spust, nic cię nie uratuje.

- Samobójstwo nie jest czynem racjonalnym.

- Zgadza się. Ale zwykle istnieje jakiś powód, a tu nic. Sprawdziłem u lekarza. Baird nie cierpiał na nieuleczalną chorobę ani nie brał prozaku. - Caleb rozłożył ramiona w geście rezygnacji. - Poza atakami w prasie - dzieło tej Brendel i Chisolma - miał rozkoszne życie.

- A dawni wrogowie? Koledzy po fachu? Czy przypadkiem nie reorganizował Baird, Nathanson & Spelling?

- No tak. Ale jego wicedyrektorzy mieli nadzieję na awans. Gdyby jeden z nich chciał popełnić morderstwo, raczej wybrałby któregoś z rywali, nie Bairda.

- A kobiety? Może zanosił się na jakiś prawdziwy skandal? Green wzruszył ramionami.

- Być może. - Przypomniał coś sobie. - Znaleźliśmy notatkę w koszu pod biurkiem. - Sięgnął do teczki, wyjął kawałek pomiętej kartki, teraz rozprostowanej i zabezpieczonej w foliowym woreczku. Podał go Jake'owi. „Posłać kwiaty Beth. Telefon do Batesa - dowiedzieć się jak”.

- Co o tym myślisz?

- Sądzę, że ta Beth mogła być jego przyjaciółką. Pokłócili się i zamierzał załagodzić spór, posyłając jej kwiaty.

- Kamerdyner nazywa się Bates?

- Nie, Thompson. I nigdy nie słyszał o żadnej Beth ani o Batesie. Jake zainteresował się nową możliwością. Może Pamela z Freddą się mylą i to Beth dawała szczęście Lionelowi. Trzymał ją w ukryciu, dopóki nie dostanie rozwodu.

- Czy owa Beth mogła szantażować Bairda? - Podsunął detektywowi teorię Pameli, z tym tylko, że miejsce Max zajmowała teraz nieznajoma Beth. - Na przykład publicznym ujawnieniem czegoś naprawdę brzydkiego?

- Czemu nie? - zgodził się Caleb. - Nie byłaby pierwszą kobietą łapiącą nadzianego tatuśka i trzymającą go mocno.

- Sprawdziłeś jego notes z adresami, zapisy telefonów, skorowidz z nazwiskami...?

- Nie znalazłem nic o Beth ani o Batesie.

- A to napisał w dniu samobójstwa? Caleb skinął głową.

- Thompson powiedział, że kosz opróżniano co rano.

- Coś więcej?

- Jedna z szuflad komody była wysunięta.

- Mógł tam trzymać broń.

- Może. Miała zamek, jednak nie znaleźliśmy klucza.

- Brakuje jeszcze czegoś, co mogło się tam znajdować?

- Chyba nie. Ale w tej samej szufladzie leżał aparat fotograficzny, otwarty i pusty.

- Zazwyczaj ludzie wyjmują filmy i zatrząskują aparat z powrotem.

- Chyba że bardzo się śpieszą.

- Czy Thompson wspomniał o jakimś filmie oddanym ostatnio do wywołania?

- Nie, nawet nie wiedział, że Baird ma aparat.

Amanda nie jadła obiadu zeszłego wieczora, bo siedziała w ciemni. Wywoływanie zdjęć zrobionych u Grace nie mogło zabrać jej aż pięciu godzin. Jake znów zaczął się zastanawiać, dokąd poszła po opuszczeniu restauracji.

- Jak myślisz, Caleb, co było na tej rolce?

- Nie wiem, ale okazało się to wystarczająco ważne dla kogoś, kto k ukradł.

- Przed czy po tym, jak Baird się zastrzelił?

- Dobre pytanie. - Caleb wbił w Fowlera spojrzenie swych piwnych oczu. - Dowiedz się!

Jake skinął głową. Podniósł się i potrząsnął dłonią tamtego. Przygarbił się, a jego błękitne oczy pociemniały i stały się czujne.

- Wiesz, co mnie przeraża? Pamela Baird coraz mniej wygląda mi na wariatkę. Późnym wieczorem na oddział intensywnej terapii w Lenox Hill Hospital przywieziono pacjenta, mężczyznę około sześćdziesięciu kilku lat, dotkliwie pobitego, z obrażeniami okolic klatki piersiowej i głowy. Chwilami odzyskiwał przytomność i znów ją tracił. Miał trzy złamane żebra i krwotok wewnętrzny, wymagający natychmiastowej operacji, a jego serce biło niebezpiecznie szybko i nierówno. Poza rutynowym w takich przypadkach prześwietleniem dyżurny lekarz zlecił wykonanie EKG. Czekali na wyniki, gdy nagle mężczyzna zidentyfikowany jako Reid Thompson otworzył oczy i pociągnął za ubranie stojącą przy łóżku pielęgniarkę.

- Wezwijcie ją! - wychrypiał. Rozpaczliwie starał się mówić głośno pomimo urazu krtani. Kobieta pochyliła się niemal do samych ust chorego, by zaoszczędzić mu wysiłku.

- Wezwać, kogo?

Ranny podał personelowi swoje nazwisko, ale nie powiedział, kogo z rodziny czy przyjaciół mają zawiadomić. Biorąc pod uwagę jego stan, dobrze byłoby mieć przynajmniej jakiś telefon.

- Max, CSU. Proszę! - Wzrokiem błagał pielęgniarkę, by słuchała uważnie i nie zlekceważyła prośby jako majaczeń kogoś niezbyt

przytomnego. - Max! Nowojorski Wydział Kryminalistyki. Skontaktuj się z nią, proszę! Muszę się z nią zobaczyć.

- W porządku - obiecała siostra i wzięła go za rękę; ranny sprawiał wrażenie słabego i wystraszonego. Jak ktoś mógł tak pobić człowieka w tym wieku!

- Proszę!

- Zrobię to, proszę się nie martwić. Będzie tu, jak tylko obudzi się pan po operacji. Badał wzrokiem jej twarz, jakby szukając w niej prawdy.

- Obiecuję panu, panie Thompson, że kimkolwiek jest ta Max, odnajdę ją!

Na opuchniętych wargach rannego pojawił się uśmiech. Po chwili jednak mężczyzna znów stracił przytomność.

O czwartej rano Thompson wyjechał z sali operacyjnej, o piątej trzydzieści leżał już na oddziale. Powieki mu drżały, jakby wahał się, czy wpaść w letarg, czy wrócić do rzeczywistości. Wysokie dźwięki wydawane przez urządzenia medyczne tworzyły oprawę muzyczną; delikatna dłoń ujęła jego rękę, a głos, jakby znajomy, wzywał go do przebudzenia.

- Thompson, to ja, Max - usłyszał jak przez mgłę.

Usiłował się uśmiechnąć - bezskutecznie. Starał się otworzyć oczy, lecz to także okazało się za trudne. Zebrał siły, jakie jeszcze mu pozostały i uniośł powieki, by na nią popatrzeć.

- Witaj z powrotem - powiedziała i delikatnie pogładziła go po czole, jednym z nielicznych miejsc wolnym od bandażu i rurek.

Oczy mu zwilgotniały. Cieszył się, że żyje, odetchnął z ulgą, że Max też. Spróbował coś powiedzieć, jednak zapas energii już się wyczerpał. Max przytrzymała rannemu słomkę przy ustach i pomogła mu napić się wody, a pielęgniarka posprawdzała wskaźniki i zwiększyła przepływ glukozy w kroplówce.

- Lekarze mówią, że będzie dobrze. - Gdy Max dopytywała się, co się wydarzyło, mogli jej tylko powiedzieć, że obijano go jak worek treningowy przyciskiem do papieru.

Thompson znów na chwilę zasnął. Amanda nie wypuszczała dłoni kamerdynera i z przerażeniem patrzyła na jego twarz. Po przeczytaniu dostarczonej przez pielęgniarkę karty informacyjnej, w której wyszczególniono odniesione przez pacjenta obrażenia, wiedziała, że ktokolwiek potraktował staruszka tak okrutnie, był profesjonalistą.

Spoglądała na opuchnięte usta, rozciętą dolną wargę i głęboką ranę na brodzie. Pierwszy cios zadano, by pozbawić go możliwości obrony. Biorąc pod uwagę wiek Thompsona i siłę uderzenia, Max miała pewność, że napastnicy dopięli swego. Następne ciosy miały wymusić odpowiedź. Dla Max jednak atak na Thompsona stanowił odpowiedź na jakże istotne pytanie: a więc Lionel nie popełnił samobójstwa.

- Chciał wiedzieć, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz.

Mówił tak cicho, że w pierwszej chwili nie usłyszała. Wciąż zastanawiała się nad przyczynami tego napadu. Thompson ścisnął jej dłoń.

- Chciał wiedzieć, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz - powtórzył mężczyzna. W gardle mu zaschło i z trudem przełknął ślinę. Amanda Podała mu wodę. Następne ważne pytanie doczekało się odpowiedzi: zabójstwo Linela jest powiązane ze sprawą, która ją i Beth uwięziła w okowach programu ochrony świadka. Max zacisnęła zęby.

- Kto pytał o moje nazwisko, Thompson?

Otworzył szerzej oczy. Nie miał pojęcia i nie oczekiwała, by wiedział. Wróg bez twarzy przychodził znikąd i nie przypominał nikogo znajomego.

- Nie powiedziałem...

- Wiem - uspokoiła go, zdumiona odwagą, jaką wykazał. Był dżentelmenem nade wszystko; człowiekiem, który postawił sobie za cel życia obronę poczucia godności i honoru w świecie stającym się coraz prymitywniejszym i byle jakim. Poczuli się winni. To jej przeszłość sprawiła że tak go potraktowano. Zmusiła się do skoncentrowania na teraźniejszości i zastanowiła nad tym, co Thompson mógł, a czego nie mógł o niej wiedzieć. Jeżeli Lionel nie mówił mu o niej nic, o czym by nie wiedziała, starszek miał niewiele informacji. Imię i nazwisko - Amanda Maxwell, CSU; gdy zadzwoniła pielęgniarka z pogotowia, dyżurny detektyw wezwał Max i przekazał tę wiadomość. Kamerdyner nie znał numeru jej telefonu ani adresu; nigdy też nie przyjeżdżał po nią pod dom. Za każdym razem, gdy miał ją zawieźć do Lionela, czekał pod dużym hotelem albo przy ruchliwej restauracji, aby okazała limuzyna nie rzuciła się w oczy. Zadrzała na myśl, że biedak wycierpiał tyle bez powodu. Przez chwilę drzemał, a gdy się obudził, wyglądał na silniejszego.

- Kim jesteś? - zapytał. Amanda pomyślała, że oszołomiły go lekarstwa uspokajające. Cierpliwie wyjaśniła:

- To ja, Max, Amanda Maxwell. Mężczyzna potrząsnął głową.

- Chodzi mi o to, kim naprawdę jesteś. Serce Amandy zabiło mocniej.

- Nie rozumiem.

- Ależ wiesz. - Obliznął wargi, starając się zebrać siły. - Dlaczego pan Baird utrzymywał wszystko, co dotyczyło ciebie, w takiej tajemnicy? Zasługiwał na prawdę, ale żeby go chronić, musi milczeć.

- Lepiej, żebyś nie wiedział.

- Na razie - zgodził się - ale jak stąd wyjdę...

Amanda tylko się uśmiechnęła, wdzięczna za okazane zrozumienie. Jęknął i zaraz podeszła pielęgniarka z zastrzykiem. Gdy się oddaliła Amanda z powrotem postawiła krzesło przy łóżku i ujęła rannego za rękę - Strasznie mi przykro, Thompson. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Także żałuję, że nie mogłam temu zapobiec.

- Wiem. - Popatrzył na nią łagodnie. Nie oskarżał, jedynie pytał:

- A czy mogłaś zapobiec samobójstwu pana Bairda?

Pytanie uderzyło w nią jak kamień. Zapłakała i zakryła dłonią oczy. Teraz przyszła na niego kolej, by pocieszyć dziewczynę. Poklepał ją po ręce. Walczyła, by odzyskać panowanie nad sobą.

- Nie jestem przekonana, że to było samobójstwo - powiedziała, chcąc zobaczyć, jak Thompson zareaguje.

Lekarstwa zaczynały działać i musiał bardzo się starać, by zebrać myśli.

- Ja też. Wyglądał na szczęśliwego. - Znow poklepał ją po dłoni.

- Ty to sprawiłaś.

Max uśmiechnęła się; z tonu głosu kamerdynera wywnioskowała, że wiedział, iż nie była kochanką Lionela. Ciekawiło ją, za kogo ją uważa, ale to pytanie musiało poczekać.

- Thompson, czy jest coś, co powinnam wiedzieć o dniu, w którym umarł Lionel?

- Nie mogę sobie przypomnieć. - Przykro było patrzeć, jak się stara, pomimo lekarstw i bólu.

- Wiem. Nie śpiesz się. - Czekala, a ranny próbował odszukać coś we mgle wspomnień.

- Nie jestem pewien, ale poprzedniego dnia pan Baird miał się spotkać z Tylerem Graysonem. Pan Grayson nie przyszedł, może coś mu wypadło. Miałem wolne, więc nie wiem.

- Wspomniałeś o tym policji?

- Nie, dopiero teraz to do mnie wróciło.

Amanda przypominała sobie, jak bardzo Tyler był roztrzęsiony, gdy do niej przyszedł, jak wciąż powracał do samobójstwa Lionela. Czy możliwe, by powiedział ojcu coś, co skłoniłoby go do odebrania sobie życia? Popatrzyła na Thompsona - zasnął głębokim snem. Została przy nim do siódmej, a potem wstała, o ósmej musiała stawić się w pracy. Otworzył oczy; wyglądał, jakby nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Gdy Amanda odchodziła, zrobił wystraszoną minę.

- Wrócę później - obiecała.

- Nie! - Oczy miał pełne strachu, oddychał z trudem. - To niebezpieczne. Racja, szpital na pewno jest pod obserwacją. Uspokajająco pogłaskała staruszka po dłoni.

- Dobrze, ale zadzwonię i dowiem się, co z tobą.

Skinął głową. Wydawało jej się, że się uśmiechnął, lecz nie miała pewności. Pochyliła się, pocałowała go w czoło i na palcach wyszła z sali. Z zadowoleniem zauważyła, że w czasie gdy siedziała u Thompsona pod pokojem postawiono na straży policjanta. Poznała mundurowego z dziewiętnastki. Zdawała sobie sprawę, że ktoś może obserwować szpital z zewnątrz - na wtyczkę w środku nic nie mogłaby poradzić - i dlatego postanowiła wymknąć się wyjściem przez pogotowie. Jeszcze za wcześnie na odwiedzających i sprzedawców, więc główny hol będzie pusty. W pomieszczeniach pogotowia zazwyczaj roiło się od pacjentów. Upchnęła włosy pod czapczką Jankesów, służbową kurtkę wcisnęła do plecaka i schodami zeszła na główne piętro. Zaczekała do momentu, aż ekipa pogotowia wwiozła rannych, którzy ocaleli z wypadku drogowego na East River Drive. Wśród tego zamieszania ukradkiem przeszła przez drzwi i pobiegła do metra.

Jak słusznie podejrzewała, ktoś obserwował główne wejście, no i jej nie zobaczył. Ale zauważył ją drugi mężczyzna, który przechodził właśnie przez ulicę, śpiesząc do Reida Thompsona. Amanda mignęła mu w tłumie w momencie, gdy skręcała w stronę Lexington Avenue; wysoka i wiotka, poruszała się energicznym krokiem z przewieszonym przez lewe ramię wypchanym plecakiem z czarnego

plastiku. Rozpoznałby tę sylwetkę wszędzie, ale nawet gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości, rozwiązałyby je czapka Jankesów. W końcu sam ją dla niej kupił i uformował.

Słońce już zachodziło w Los Angeles, gdy Sam wchodził do mieszkania Beth. Pod adresem do korespondencji, w kawalerce po drugiej stronie miasta, przebywał tylko od czasu do czasu, większość ubrań oraz serce miał tutaj. Okna salonu wychodziły na zachód, więc przenikająca przez nie pomarańczowa mgiełka nadawała połysk ścianom koloru kawy, a także ciepły blask kremowym i beżowym barwom wystroju wnętrza. W pokoju panowała cisza tak głęboka, że z początku wydawało mu się, iż nie ma tu nikogo, lecz już po chwili wyczuł jej delikatny zapach paczuli. Beth siedziała w kącie, ukryta w cieniu, w fotelu z wysokim oparciem, przeznaczonym do wygodnego odpoczynku. Wydawać się mogło, że nie poruszyła się od wielu godzin i wpatrzona drzwi czekała, aż on stanie w progu.

- Gdzie byłeś? - zapytała chłodnym, oskarżycielskim tonem. - Słyszałem o Lionelu. - Pozostał przy drzwiach.

Beth nie reagowała, najwyraźniej nie miała zamiaru, dopóki nie usłyszy odpowiedzi.

- Odwiedzałem siostrę, Gail, jest chora. - Aż się skrzywił na banał własnych słów. - Ma raka jajników. Kilka tygodni temu przeszła operację, chciałem być przy niej.

Beth skinęła głową. Nigdy nie poznała siostry Sama. Wspomniał o niej może ze dwa razy przez te dwadzieścia lat. Ponieważ nigdy - do dzisiejszego dnia - nie wypytywała, gdzie chodzi i co robi, gdy nie jest z nią, nie miała pojęcia, jak często widywał Gail. A Sam nigdy jej nie okłamywał. Bezwzględna szczerłość to jedna z cech, jakie w nim kochała. Jeżeli powiedział, że jego siostra choruje, z pewnością była to prawda.

- Wyzdrowieje? - spytała.

- Mam nadzieję. - Przeszedł przez pokój i klęknął przy Beth. - Nic ci nie jest?

Potrząsnęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie, tylko tak mi okropnie smutno. Sam pogłaskał ją delikatnie po policzku. - Przykro mi, że nie było mnie przy tobie, gdy się dowiedziałaś.

- Mnie też.

Usłyszał w jej głosie wymówkę i poczuł żal, lecz niektórych spraw nie można było cofnąć.

- Kamerdyner Lionela, Thompson, został pobity - oznajmiła.

- Podawali w wiadomościach? - Bates jeszcze o tym nie słyszał.

- Nie, Amanda dzwoniła jakąś godzinę temu. Ten, kto to zrobił, chciał wyciągnąć od Thompsona jej nazwisko i adres. - Sam zacisnął zęby. - Staruszek nie wiedział, gdzie ona mieszka, a nazwiska nie zdradził. - Beth wyglądała na tak zmęczoną, jakby ona też została przemaglowana przez napastnika.

- Biuro nie zostało poinformowane, gdyż nowojorski wydział kryminalny pewnie nie wie, że ta sprawa może nas zainteresować.

Odkąd Amanda wróciła do Nowego Jorku i zrezygnowała z ochrony służb i programu, biuro szeryfa nie wysyłało agentów do pilnowania dziewczyny i nie kontrolowało działań jej prześladowców. Sam wiedział, że dla Beth nie był to żaden argument.

- Nie sądzisz, że ktoś powinien ich poinformować? - Jej oczy straciły blask i patrzyły teraz ostro.

- Beth, Lionel popełnił samobójstwo. Ci z kryminalnego nie widzą powodu, by łączyć napad na Thompsona ze śmiercią Lionela.

- A ty, jak sądzisz, istnieje między nimi jakiś związek?

- Sprawa z pewnością wygląda podejrzanie.

Beth zastanowiła się przez chwilę nad jego słowami, zanim zaczęła mówić dalej:

- Amanda prosi, żebyś opóźnił wydanie jego ciała. Sam nie był zachwycony prośbą i nie ukrywał tego.

- Czy to jakiś problem? - W głosie Beth znów pojawił się ostry ton

- O co jej chodzi?

- Dopóki się nie upewni, że Lionel poniósł śmierć z własnej ręki, nie chce, by go pochowano. Na wypadek, gdyby trzeba było powtórzyć sekcję.

- Co ona kombinuje?

Beth spiorunowała go wzrokiem.

- Robi dokładnie to, czego ją nauczono: chroni siebie.

Jej autentyczne wzburzenie wzruszyło Sama i przepełniło go poczuciem winy. Czasami zapominał, że Beth nie jest tylko zwykłą, przystojną profesorką z college'u i od kilkunastu lat jego kochanką. To

chroniony świadek, na życie jej i jej córki nastawiali wynajęci mordercy. Miała prawo się niepokoić.

- Porozmawiam z Amandą, a potem zadzwonię do szefów w Nowym Jorku - odpowiedział na pytanie zawarte w oczach Beth. - dopilnuję, by nikt nie łączył mojego telefonu z Max.

Skinęła głową. Potem jej oczy zasnuła mgła i Beth zamknęła się w sobie. Choć jej ciało tkwiło w fotelu, dusza powędrowała gdzie indziej.

- Zaczęło się - powiedziała cicho. - Wiedziałam, że to w końcu nadejdzie, że Ricki i ja nigdy się nie uwolnimy.

W jej głosie pojawiła się nutka kapitulacji, której wcześniej nie słyszał. Uważał, że ta kobieta przetrwała wszystkie trudy, bo od samego początku przyjęła zdecydowaną, twardą filozofię: nie da się zmienić przeszłości, ale można zaplanować przyszłość. Także przez cały czas nie traciła wiary w słuszność systemu prawa. Zeznawała i podjęła właściwą decyzję, sprawiedliwości stało się zadość i mimo koszmaru ciągłych przenosin, służby biura szeryfa opiekowały się nią i jej córką, by mogły wieść przyzwoite, nie najgorsze życie. Śmierć Bairda zaburzyła spokój, jaki zdołała sobie wypracować w ciągu tych lat. Dla Beth Lionel był kimś więcej niż tylko pierwszą miłością, pierwszym mężem. Reprezentował więzy z przeszłością, stanowił symbol życia, jakie wiodła kiedyś i kobiety, którą kiedyś była. Gdy odszedł, pozostała tylko Amanda; poza nią nikt nie mógł przypomnieć Beth, że Cynthia Stanton Baird kiedykolwiek istniała.

No i pamiętali ci, którzy chcieli ją zgładzić.

- Nic nie stanie się tobie ani Amandzie. - Musiał przypomnieć jej, że Ricki Baird już nie istnieje, a on jest tutaj, by chronić je obie. - Lionel miał przy sobie ochroniarzy dwadzieścia cztery godziny na dobę, a jednak coś mu się przydarzyło, dlaczego więc nie może także przytrafić się nam?

Patrzyła wprost na niego, jednak wyczuwał, że wciąż znajduje się w tamtym miejscu, w tym swoim piekle, które znały tylko ona i Amanda.

- Beth, samobójstwo Lionela jest tragedią. Wiem, jaka to dla ciebie i Max strata, ale proszę, nie rozpaczaj nad miarę. - Widział, jak narasta w niej gniew i natychmiast pośpieszył go uśmierzyć. - Może moje słowa zabrzmiały niefrasobliwie, lecz nie taką miałem intencję. Poznałem Lionela, Beth, a potem kilka razy z nim rozmawiałem. To

był niezwykle człowiek. Płomień zgasł, łzy posypały się na jej policzki smutną kaskadą rezygnacji.

- Ty i Lionel spotkaliście się znów ostatnio. Wiem, że odżyły wspomnienia. Oczywiście orientowałem się, że pisujecie do siebie i założę się, że te listy nie miały nic wspólnego z jego sprawami zawodowymi czy z senatorem Chisolmem, czy kimkolwiek innym poza Amandą i waszymi wzajemnymi uczuciami. - Otarł oczy Beth i uniósł jej podbródek tak, że patrzyła mu prosto w twarz. - Ale naprawdę, Beth, nie znałaś Lionela zbyt dobrze. Skąd możesz znać prawdę? Może sprawy zawodowe przybrały zły obrót, choroba...

- Lionel nie popełnił samobójstwa - przerwała mu ostro, głosem nie - dopuszczającym żadnego sprzeciwu. - Nie zrobiłby tego, zwłaszcza teraz. Sam zastanawiał się, czy to przekonanie płynie z czegoś, o czym Baird pisał jej w listach. A może przemawia przez nią bunt osoby dotkniętej stratą i pogrążonej w smutku? Niezależnie od przyczyny, powinien ją uspokoić.

- Wyznaczę kilku ludzi do ochrony Max. I przeniosę was do bezpiecznej kryjówki. Spodziewał się ujrzeć na twarzy Beth ulgę i nową wiarę w system ochrony. Jednak wciąż malowały się na niej tylko rezygnacja i brak nadziei.

- Mówiłam Amandzie, że proponujesz, aby biuro znowu nas ukryło. - Beth popatrzyła Samowi w oczy. Jej źrenice wydawały się bez życia. - Wiesz, co powiedziała?

Serce mu krwawiło. Zbyt wiele widział już takich sytuacji, by nie rozumieć, jak one się czują.

- Powiedziała: „Nie pozostało już miejsca, w którym mogłybyśmy się ukryć”. Beth pochwyciła Sama za rękę i przyciągnęła go tak blisko, że jej szept zabrzmiał jak krzyk:

- Powiedz prawdę, czy ona ma rację? Czy nie ma już dla nas schronienia? Chciał zaprzeczyć i zapewnić, że biuro zawsze może przenieść je do następnego miasta i zaoferować kolejną tożsamość. Ale jak dowodziła rzeczywistość, czasem, pomimo najlepszych chęci służb, świadkowie stawali się niezdolni do przywdziania jeszcze jednej skóry.

- Nie wiem - przyznał szczerze - ona może mieć rację.

Amanda po raz pierwszy spotkała Lupe Vazquez w czasach, gdy pracowała jeszcze w wydziale kryminalnym na trzydziestym drugim posterunku. W tej okolicy przemoc w rodzinie zdarzała się często, ale

mąż Lupe, Jesus, był prawdziwym bydlakiem. Nieustannie odczuwał głęboką potrzebę zmanifestowania swego machismo, znęcając się nad żoną. Lupe, mała kobietka, według przyjaciół kiedyś żywego ducha i wielkiego serca, teraz zamknęła się w sobie i drżała niczym gałązka osiki, nawet w czasie ciszy. Nim Jesus ją oszpecił, miała ładną twarz o ciemnych, figlarnie błyszczących oczach, mocno zaznaczonych kościach policzkowych i pełnych, wyrazistych ustach, przeważnie rozchylonych w uśmiechu. Dzięki mężowi przypominała teraz boksera, który stoczył zbyt wiele walk.

Amanda poznała Lupe w mieszkaniu na piątym piętrze, przy Sto Trzydziestej Piątej Ulicy. Znalazła ją skuloną w kącie, z nosem rozbitym i zakrwawionym, ze złamanym w trzech miejscach nadgarstkiem; na jej piersiach i szyi widniały ślady po oparzeniach papierosem. Sąsiadka Lupe usłyszała krzyki i wezwała policję. W drodze do szpitala Amanda łagodnie starała się przekonać kobietę, by zwróciła się o pomoc, ale ta, wystraszona do ostateczności, nawet nie chciała słuchać, a na sugestię, że powinna złożyć oskarżenie przeciw dręczycielowi, nie odważyła się wydobyć z siebie słowa. Zanim Amanda przeniosła się do sekcji zabezpieczania śladów na miejscu przestępstwa, trzykrotnie ratowała Lupe z opresji. Za każdym razem bicie przybierało drastyczniejszą formę, a obrażenia kobiety stawały się coraz dotkliwsze. Jednak na nic się zdało wszelkie przekonywanie - decyzja, by mężczyzna, który ją krzywdził, uniknął kary, zdawała się ostateczna. Lupe najwyraźniej postanowiła godzić się z tym, co wydawało się niemożliwe do przyjęcia. Amanda nie miała wątpliwości, że to nie miłość ani lojalność zmuszała do milczenia tę maltretowaną kobietę, lecz całkowite poddanie się losowi. Powtarzające się przez lata akty brutalnej przemocy złamały Lupe i pozbawiły ją wszelkiej na dzieci, pozostawiając bezwolną w rękach okrutnika. Amanda, do głębi przejęta, starała się obudzić w niej wolę oporu.

Zasięgnęła informacji i znalazła centrum dla maltretowanych kobiet, prowadzone przez doświadczony personel opieki społecznej oraz wolontariuszy przy kościele w Washington Heights. Ośrodek pod nazwą „The Bent Wing” oferował tymczasowe schronienie, jako że dysponował niewielkim budżetem i dobrymi intencjami. Odwołując się do samarytańskiego ducha wciąż, choć rzadko obecnego w świecie człowieka, namówiono do współpracy lekarzy, psychologa i

prawnika, zapewniono podopiecznym mieszkania oraz opiekę nad dziećmi. Przepelniony siostrzanym poczuciem wspólnoty dom „The Bent Wing” otwierał swe podwoje przed każdą ofiarą przemocy, która zastukała do drzwi. Przychodziło ich wiele. Niestety, jeszcze więcej pozostało tych, które powinny szukać tu opieki, a nie decydowały się na to. Ponieważ wiele kobiet okresowo zamieszkujących takie schroniska musiało w końcu wracać do swoich domów, Amanda wystąpiła z propozycją nauczania wszystkich chętnych dokumentowania okrucieństwa, którego ofiarą padały. Uczyła kobiety - a często ich dzieci - jak używać polaroidu, by uwiecznić skutki przemocy na kliszy. Choć obrażenia nadawały się do fotografowania w ciągu pięciu dni po ataku, lepiej jednak - przekonywała - robić zdjęcia od razu, tak szybko, jak się da. Jeżeli dręczyciel użył jakiegoś narzędzia, powinno ono zostać sfotografowane obok rany. Amanda wyjaśniła pokrzywdzonym, że obrażenia utrwalone na filmie stanowią mocny argument przy prowadzonym dochodzeniu i późniejszym akcie oskarżenia o maltretowanie rodziny.

- Jeżeli zdjęcia okażą się wystarczająco dokładne - mówiła, wzruszona przerażeniem, jakie na stałe zagościło w oczach tych kobiet - stan może wystąpić z oskarżeniem i uzyskać wyrok skazujący, nawet bez waszych zeznań. Dla kobiet obawiających się o życie ta kwestia miała podstawowe znaczenie; wysyłani do więzienia oprawcy wracali i najczęściej mścili się okrutnie, a czasem nawet zabijali swe ofiary.

Wiedziała, że jej wykłady bez stosownego sprzętu nie mają sensu. Ogłosiła więc zbiórkę na ten cel wśród nowojorskich policjantek i zebrała dość pieniędzy na kupno polaroidów i innych prostych w obsłudze aparatów fotograficznych do szybkiego zastosowania w nagłej potrzebie. Obiecała też reagować na wezwanie każdej kobiety potrzebującej pomocy.

Praca w „The Bent Wing” stała się jej obsesją. Gdy tylko miała kilka wolnych godzin, przychodziła do schroniska. Jeżeli nie prowadziła zajęć, wydawała w kantynie jedzenie albo opiekowała się wystraszonymi maluchami; opatrywała rany, myła podłogi, czy wreszcie zwyczajnie dodawała otuchy przerażonym kobietom. Po jakimś czasie Amanda zrozumiała, dlaczego tak mocno się zaangażowała - miała wiele wspólnego z mieszkankami schroniska. Podobnie jak ona, straciły swą tożsamość. Odizolowane od przyjaciół

i rodziny, wyobcowane ze społeczności i zamknięte w sobie, musiały, jak osoby podlegające programowi ochrony świadka, dotrzymywać sekretu. Z jedną wszakże różnicą: program zapewniał ochronę...

Trzy lata wcześniej Amanda odwiedziła schronisko właśnie w chwili gdy Lupe i jej syn Manuel pojawili się tam w poszukiwaniu pomocy. Oboje zostali okrutnie pobici. Lupe miała tak wiele połamanych kości, że ledwie mogła się poruszać, jednak na umieszczenie w szpitalu nie wyraziła zgody. Bała się, że służby zajmujące się opieką nad dziećmi odbiorą jej syna. Stracić Manuela i jeszcze spróbować przekonać Jesusa, że to nie jej wina? Pewnie by ją zabił. Lekarz - wolontariusz, regularnie pracujący w schronisku, poskładał jej rękę, obwiązał zebra i opatrzył oko - tak zapuchnięte, że nie mogła go otworzyć. Ponieważ istniało podejrzenie obrażeń wewnętrznych, doktor namawiał ranną, by udała się do szpitala. Odmówiła stanowczo. Dał więc jej środek przeciwbólowy i wyjaśnił czuwającym nad nią kobietom, na co mają zwracać uwagę. W przypadku ostrego bólu niech niezwłocznie wzywają karetkę. Z chorą nie będzie żadnego kłopotu, nie da rady protestować.

Manuel, z dwoma złamanymi palcami i bez trzech zębów, z wybitą szczęką, na krok nie odstępował matki. Szukanie pomocy w schronisku był to jego pomysł.

- Słyszałem o tym miejscu od przyjaciela - zwierzał się Max - mieszkała tu jego mamusia. Mówił, że moja też będzie tu bezpieczna.

Manuel miał dziesięć lat. W tym wrażliwym wieku wielu chłopców z sąsiedztwa już wybrało drogę życiową, niektórzy nawet figurowali w policyjnych aktach. Magia gangów pociągała, pobyt w grupie stwarzał poczucie przynależności i dawał przekonanie o bezpieczeństwie.

Gdy przywódcy „alternatywnych” rodzin żądali dokonania przestępczego czynu w inicjacyjnym rytuale, dzieci z łatwością się podporządkowywały; spragnione akceptacji, zrobiłyby wszystko, byle tylko na nią zasłużyć. Potem już tylko jeden krok - i lądowały w krainie narkotyków w świecie cieszącym się w tym środowisku coraz większym poważaniem. Młodzi chłopcy, by zdobyć uznanie, poddawali się narkotykowym eksperymentom, po których jakże łatwo przychodziło wykazać się odwagą. Dorastanie w tej okolicy podsuwało rozwiązania trudne do przyjęcia przez dorosłych. Każdego dnia dzieci musiały dokonywać wyboru między zadośćuczynieniem

bardzo niepewnym, na dodatek odległym w czasie, a natychmiastową nagrodą.

Amanda spędziła wiele czasu z Manuelem przy łóżku Lupe. Chłopiec marzył, by zostać architektem; chciał projektować piękne, obszerne domy na rodzinne mieszkania. Rozmawiali o jego matce, którą gorąco kochał - jej ochronę uważał za swój obowiązek. Mówili także o ojcu, wobec którego żywił ambiwalentne uczucia. Jesus był lokalną osobistością. Nieustraszony, miał posłuch u innych, imponował pełnymi pieniędzy kieszeniami, co tu przekładało się na władzę. Manuel przyznawał, że owszem, podoba mu się, iż jest księciem. Nienawidził jednak gwałtowności ojca. Usiłował składać jego straszne wybuchy gniewu na karb narkotyków, ale mąż Lupe i bez zażywania czegokolwiek często bywał okrutny. ' -

Amanda wyczuwała, że chłopiec znalazł się na rozdrożu. Albo pójdzie w ślady tamtego, podążając ku zbrodni, albo mocno stanie na ścieżce, prowadzącej ku wyjściu z pułapki. To drugie wymagało odwagi i mistrza. Dlatego zwróciła się do Pete Doyle'a i poprosiła, by zajął się Manuelem jak starszy brat. Nie zaskoczyło jej, gdy się zgodził - miał dla dzieci wiele serca.

Pete okazał się dla Manuela idealnym towarzyszem. Nie narzucał się z ojcowskim autorytetem i nie prawił kazań. Rozmawiali jak kumple, spędzając czas tak, jak obaj lubili - strzelali do rzutek, chodzili do kina, razem biegali nad brzegiem Hudsonu. Pracując w policji, Pete spotkał wielu takich jak Jesus i wiedział, że musi się go strzec. Gdyby tamten się dowiedział, że ktoś inny przejmuje opiekę nad jego synem, nie tylko Pete zostałby ukarany, lecz także Manuel zapłaciłby drogo za swą „zradę”. Każdego tygodnia w ciągu tych trzech miesięcy, gdy matka i syn mieszkali w schronisku, a i długo potem, chłopiec wpadał do komisariatu, żeby poznać rozkład dyżurów starszego przyjaciela. Spotykali się, kiedy tylko Manuel mógł się wyrwać z domu, a Pete miał wolne. Doyle często przyprawiał swoje dzieci. Pragnął, by poznały ludzi żyjących w innych warunkach, i rozumiały, jak wielki i skomplikowany jest ten świat. A Manuela chciał przekonać, że nawet rodzina żyjąca w separacji może być szczęśliwa.

Podczas pobytu Lupe w schronisku pracownice społeczne, wspierane przez Max i Pete'a, namawiały ją, by oskarżyła męża.

- Powinien ponieść konsekwencje swego postępowania - przekonywały zmalretowaną kobietę.

Psychiatra i prawnik zapewniali pokrzywdzoną, że wniesienie skargi to najlepsze, co może zrobić dla siebie i syna. Cóż, zapomniano o jednym: Lupe i Manuel żyli z pieniędzy Jesusa. Gdy wyleczyli rany i odzyskali siły, musieli i tak opuścić ośrodek i wrócić do domu. Jesusa wypuszczono z aresztu, a gdy jego sprawa trafiła do sądu, żona skorzystała z prawa do odmowy zeznań. Przez następne kilka lat, choć spotkania stały się rzadsze i coraz trudniejsze do zorganizowania, Pete nadal opiekował się Manuelem, a Amanda utrzymywała znajomość z Lupe. Ich kontakt okazał się zbawienny. Przed sześcioma miesiącami Manuel zadzwonił do Pete'a. Zrozpaczony, z płaczem krzyczał do słuchawki, błagając przyjaciela i Max o natychmiastową pomoc.

Bliską śmierci Lupe znaleźli w zaułku na tyłach domu. Miała pękniętą śledzionę, krwotok z macicy i uszkodzoną rzepekę prawego kolana; prawe oko było niewidoczne pod siną opuchlizną, na plecach widniały szerokie, czerwone pasy - Manuel powiedział, że to ślady po uderzeniach drewnianą nogą od stołu. Wskazał Doyle'owi pojemnik na śmieci, do którego Jesus wrzucił narzędzie tortur.

Amanda zrobiła kilka ujęć od razu na miejscu, by pokazać Lupe porzuconą jak śmieć, później zamierzała dokładnie i wyczerpująco utrwalić na zdjęciach obrażenia skatowanej. Gdy Lupe odzyska przytomność, przyprowadzi do niej pracownika z biura prokuratora okręgowego, zajmującego się niesieniem pomocy ofiarom przemocy, by ją przesłuchał. Potem sfotografuje każdy skrawek ciała dręczonej kobiety. Wraz z Pete'em postanowili zmusić ją do stawienia się w sądzie, choćby mieli ją tam zaciągnąć siłą. Amanda szybkim krokiem weszła do budynku sądu kryminalnego na Manhattanie.

Oczy ukryła za przeciwsłonecznymi okularami. Poruszała się energicznie, i pomimo wysokich obcasów, pewnym krokiem.

Pośpiesznie przebiegła spojrzeniem po tłumie wchodzących i wychodzących z budynku - od czasu ataku na Thompsona wzmogła czujność - i ruszyła w stronę wind. Jakże pragnęła mieć ten dzień już za sobą! Wezwano ją na świadka w sprawie „stan przeciwko Jesusowi Vazquezowi”, oskarżonemu o usiłowanie zabójstwa.

Pete czekał na nią w holu przed salą rozpraw. Podobnie jak Max miał na sobie ciemne ubranie. Oboje zachowywali powagę.

- Cieszę się, że prokurator nie dał temu draniowi szansy na układ - syknął Pete. Asystent z biura prokuratora zaprowadził ich na miejsce.

W sprawach o znęcanie się nad rodziną oskarżeni często przyznawali się do winy w nadziei, że po przejściu okresu resocjalizacji otrzymają wyrok w zawieszeniu. Tym razem, gdy prokurator zapoznał się z raportem lekarza, przekwalifikował zarzut na usiłowanie zabójstwa, wykluczając możliwość jakiegokolwiek układu - i tym samym uniknięcia przez sprawcę więzienia. W momencie pobicia Lupe była w piątym miesiącu ciąży. Jesus Vazquez zabił swe nienarodzone dziecko, a niewiele brakowało, by żonę spotkał ten sam los. Sąd zdecydował, że przy przestępstwie tej rangi nie ma mowy o zastosowaniu działań wychowawczych.

Manuel i Lupe nie stawili się w sądzie osobiście, ta rozprawa jednak miała zdecydować o ich przyszłości: ich życiu, fizycznym bezpieczeństwie i szansie na wydarcie obojga złemu losowi, który im się dostał. Od czasu aresztowania Jesusa mieszkali w tajnym schronisku w Queens. Manuela przeniesiono do innej szkoły i zapisano tam pod nowym nazwiskiem. Amanda porozmawiała z nim na osobności i wyjaśniła, jak na dłuższą metę udawać kogoś innego. W okresie rekonwalescencji Lupe odświeżyła swoje krawieckie umiejętności - dostawała drobne zlecenia z kilku okolicznych pralni. Po procesie znajdzie sobie mieszkanie, pracę i zaczną z Manuelem nowe życie. Przedtem jednak oboje muszą mieć pewność - Jesus nie może ich odnaleźć i skrzywdzić ponownie. Przechodząc na swoje miejsce między rzędami krzeseł, Max zauważyła w sali falujące morze białych kurtek: to Blanca Muerte demonstrowała swą siłę. Podczas przygotowań do procesu od zastępcy prokuratora okręgowego Mike'a Schwartza dowiedziała się, że Jesus prowadzi nowojorskiej filii gangu z LA - znała ich powiązania z rodziną Espinosa. Instynkt podpowiadał Amandzie, by się wycofała i powiedziała Schwartzowi, że nie może czy nie chce zeznawać. Znów powtarzał się schemat z przeszłości.

Sam Bats podzielał jej wątpliwości. Nie chciał, by występowała publicznie na rozprawie, która z pewnością przyciągnie prasę. I Espinos? - Wyjaśnię sytuację prokuratorowi okręgowemu - zaproponował - Jest znany z dyskrecji.

Amanda czuła się rozdarta między troską o własne bezpieczeństwo a obrazem zmalretowanej Lupe.

- Obiecałam, że ją poprę, jeżeli odważy się wystąpić. To samo przyrzekłam innym kobietom ze schroniska. Wycofując się, okażę nie mniejszą podłość niż mężczyźni, którzy je pobili.

- Twoja sytuacja jest specyficzna, musisz się chronić przed bardzo poważnym zagrożeniem! - zaprotestował Sam.

- Być może, ale dla tych kobiet będzie to oznaczało, że nikt o nich nie myśli. Nie mogę im tego zrobić.

- Wystawisz się na niebezpieczeństwo.

- One też ryzykują.

Po ostatnim barbarzyńskim pobiciu Lupe trzeba było usunąć macicę. Wiele tygodni spędziła unieruchomiona po operacji kontuzjowanego kręgosłupa. Rany na twarzy kobiety się zabiłiły, ale pozostały trwale ślady w jej duszy. Powoli zaczynała nabierać odwagi, wdzięczna Max i pozostałym kobietom ze schroniska za obudzenie w niej chęci życia: stanie przeciw Jesusowi i dostarczy Manuelowi przykładu godnego naśladowania.

- Podjęła tak ogromny wysiłek, okazuje tyle odwagi - tłumaczyła z uporem Amanda. - Jak mogę zawieść ją i Manuela!

- Co dla jednego jest odwagą, dla drugiego może się okazać co najmniej nierozsądne - ostrzegał ją Sam. - Niech zeznaje Doyle, był wtedy na miejscu, więc może potwierdzić jej zeznania.

- To ja zrobiłam zdjęcia, ja obiecałam jej pomóc. A poza tym - broniła swej decyzji - moi wrogowie nie wiedzą, jak wyglądam ani jak się nazywam. Wszystko to wydarzyło się przed trzema miesiącami, zanim Jaime Bastido został zwolniony z więzienia. Zanim Lionel się zabił. Zanim ktoś usiłował biciem wydobyć z Thompsona jej nazwisko i adres. I zanim ktoś zabrał tamtą rolkę filmu z szuflady.

- Co z tobą? - szepnął Pete. - Zupełnie jakby krew uderzyła ci do głowy. Czyżbyś była starsza, niż przypuszczałem?

Roześmiała się i chwyciła go za rękę.

- Trochę się denerwuję. Zeznawanie przeciwko przywódcy gangu w obecności jego zbirów zabijających cię wzrokiem to nie rozrywka, o jakiej marzę. Rozumiesz chyba.

- Faktycznie.

Rozprawa potoczyła się szybko. Schwartz przedstawił sprawę jako usiłowanie zabójstwa. Jesus był wielokrotnie karany za

stosowanie przemocy, ale tamtej nocy zamierzał zabić żonę. Bił ją tak okrutnie że w piątym miesiącu ciąży straciła dziecko, doznała poważnego uszkodzenia kręgosłupa i tak gwałtownego krwotoku wewnętrznego, iż nie umarła tylko dzięki pomocy wezwanej przez syna. Strategia obrońcy wyglądała prosto: Tak, Jesus bił żonę, a stracił panowanie, bo podejrzewał, że jest w ciąży z innym mężczyzną. Nigdy ani przez chwilę, nie zamierzał jej zabić. Będzie szczęśliwy, jeżeli sąd zaleci okres wychowawczy. Kocha żonę i syna, i chce utrzymać rodzinę w całości. Schwartz powiedział Pete'owi i Amandzie, że adwokat Vazqueza kilkakrotnie wysuwał propozycję zawarcia układu, ale prokuratura nie wyraziła zgody, uważając, iż zarzuty opierają się na mocnych dowodach. A sędzia Meyer miał opinię surowego, lecz sprawiedliwego.

Podczas wstępnych przemówień oskarżyciela i obrońcy, przedstawiających przed sędziami przysięgłymi swe argumenty, Amanda obserwowała Jesusa, który nieustannie błędził po sali spojrzeniem. Zastanawiała się, czy szuka Lupe. Jeżeli tak, to się rozczaruje. Zastępca prokuratora nie wezwie jej do składania zeznań.

Jako pierwsza zeznawała Sybil Whitehall z opieki społecznej, założycielka schroniska. Odpowiadała na pytania Schwartz, opisywała swe spotkanie z Lupe i Manuelem, mówiła o stanie fizycznym i psychicznym obojga w tamtym okresie. Powtórzyła treść rozmów, jakie przeprowadziła z Lupe w czasie jej trzymiesięcznego pobytu w ośrodku. Wspomniała także, iż kobieta obawiała się o życie.

- Dlaczego nie zabrała syna i nie opuściła pana Vazqueza?

- Bo zagroził, że jeżeli się odważy to zrobić, odnajdzie ją i zabije.

A przedtem każe jej patrzeć na śmierć syna.

- Sprzeciw! - Adwokat Jesusa poderwał się na równe nogi. - Niepotwierdzone! Schwartz podszedł do stołu obrony i pokazał kartkę papieru.

- Jeżeli sąd pozwoli, chciałbym dołączyć to do materiału dowodowego. Oto podpisane oświadczenie pani Vazquez, że jej dalsze przebywanie z mężem, a tym bardziej wszelkie próby opuszczenia go, stanowią dla niej zagrożenie zdrowia i życia.

Po Sybil występowali inni pracownicy opieki społecznej, którzy zajmowali się Lupe, leczyli jej obrażenia i podtrzymywali ją na duchu. Każdy kreślił wstrząsający obraz przewlekłych tortur, jakim była poddawana. Amanda przyjęła te zeznania głęboko wzruszona, na sali

jednak nie wywołały żadnego wrażenia. Twarze zebranych mówiły: „cokolwiek Jesus zrobił Lupe, zasłużyła na to”. Amandę bardziej interesowała reakcja sędziów przysięgłych; jak dotąd ich sympatia wydawała się całkowicie po stronie skrzywdzonej kobiety. A krzyki i kpiny publiczności z pewnością nie pomogą oskarżonemu, pomyślała.

Pojawienie się Pete'a na miejscu dla świadków wyraźnie zaostrzyło czujność Jesusa, co zmartwiło Amandę. Oboje wcześniej prosili Schwartza, by nie wspominał o przyjaźni Doyle'a i Manuela. Im mniej dojdzie do uszu innych o ojcowskiej opiece sprawowanej nad synem podsądnego przez policjanta, tym lepiej. Ale ktoś mógł widzieć ich razem. Lub Jesus zmusił Manuela do mówienia. Schwartz zwolnił teraz tempo i starał się wydobyć z zeznającego jak najdokładniejsze sprawozdanie z przerażających okoliczności, gdy znaleziono skatowaną Lupe w zaułku. Odpowiedzi Pete'a, choć zwięzłe i niewykraczające poza granice dozwolone dla świadka, poruszały wyobraźnię i wzbudzały niepokój. Nawet niektóre dziewczyny z Blanca Muerte poczuły się nieswojo i zaczęły kręcić się na krzesłach.

Po krzyżowym ogniu pytań obrońca, Jorge Ramos, spróbował podważyć wiarygodność Pete'a jako świadka.

- Czy utrzymuje pan kontakty z Manuelem Vazquezem? - zapytał pewnie i głośno.

- Sprzeciw - zaprotestował Schwartz - pytanie nie dotyczy sprawy. Tu nie sędzi się Manuela Vazqueza, wysoki sędzie.

Ramos spojrzał na sędziego.

- Możemy podejść?

Meyer skinął na obu prawników.

- Detektyw Doyle zaprzyjaźnił się z synem mojego klienta i, jak uważamy, nastawia go przeciw ojcu - powiedział Ramos.

Schwartz zrobił powątpiewającą minę.

- W jaki sposób?

- Chce przejąć opiekę nad chłopcem. Jeżeli pan Vazquez zostanie skazany i zamknięty w więzieniu, szansę pana Doyle'a wzrosną.

- Wysoki sędzie, to absurd, pan Ramos próbuje odejść od meritum, którym jest - Schwartz podniósł głos - usiłowanie zabójstwa Lupe Vazquez.

Sędzia skinął głową.

- Sprzeciw podtrzymany, proszę kontynuować, panie Ramos.

- Nie mam więcej pytań.

Adwokat wrócił na miejsce zadowolony z siebie, gdyż udało mu się choć na chwilę odwrócić uwagę przysięgłych od drastycznych opisów podanych przez policjanta, a także zadać pytanie, które, choć nieistotne, pozostawiono bez odpowiedzi. Liczył, że uda mu się zagmatwać sprawę i zaszczerpić wątpliwości w członkach ławy przysięgłych - choćby u jednego. Sędzia zarządził przerwę na lunch. Ramos wyszedł z sali przekonany że dzięki przesunięciu środka ciężkości w procesie, objął prowadzenie.

Zaraz po lunchu przyszła kolej na Amandę. Jakąkolwiek przewagę udało się zdobyć Ramosowi, teraz tracił ją w przyśpieszonym tempie. Schwartz rozłożył na stole plik fotografii - dużych powiększeń straszliwych obrażeń - miał także inne zdjęcia, mniejsze, które podał przysięgłym, by obejrzeły je z bliska. A na miejscu dla świadków zasiadła młoda kobieta, robiąca wrażenie swym spokojem i nieskazitelną reputacją.

Gdy złożyła przysięgę, Schwartz poprosił, by się przedstawiła.

- Amanda Maxwell, detektyw pierwszego stopnia, nowojorski wydział kryminalistyki.

- W czym się pani specjalizuje, detektywie Maxwell?

- W fotografii sądowej.

- Jak i kiedy poznała pani ofiarę, Lupe Vazquez?

Amanda podała krótką i zwięzłą odpowiedź: opisała ich pierwsze spotkania, gdy patrolowała dzielnicę, pracując jeszcze na trzydziestym drugim posterunku. Te informacje miały służyć tylko jako wprowadzenie. Na pytanie Schwartz, co zastała po przybyciu do alejki w noc przestępstwa, odpowiadała w sposób, który można by określić jako rzeczową, bezstronną relację, jednak w głosie Amandy wyraźnie brzmiało współczucie.

- I co pani zrobiła po znalezieniu pani Vazquez?

- Czekaając na karetkę, wykonałam wstępne zdjęcia.

- W jakim celu?

- By ukazać ogrom tych ran zaraz po ich zadaniu. I bezwzględność, z jaką porzucono ofiarę.

Amanda niemal czuła temperaturę gniewu Jesusa. Wyglądał, jakby chciał skoczyć ze swego miejsca i skrócić jej kark. Nie spuszczała wzroku z zastępcy prokuratora, który wybierał pierwszą fotografię, żeby zademonstrować ją zebranim, a potem dołączyć do

materiału dowodowego - Bez słowa wprowadzenia umieścił zdjęcie na olbrzymim stojaku, by każdy obecny w sali sądowej mógł zobaczyć: skatowana kobieta leżała wśród wysypujących się z rozerwanych worków śmieci. Resztki jedzenia, obgryzione kości po stekach, brudne pieluszki i inne nieczystości okrywały ciało Lupe, ale nic nie mogło przysłonić jej strasznych obrażeń. Dwie kobiety zasiadające w ławie przysięgłych nie powstrzymały westchnienia, a kilka dziewcząt na galerii odwróciło głowy. Nawet młode ogiery w swoich białych kurtkach najwyraźniej straciły trochę pewności siebie. Świadomy, że Ramos mógł swą sztuczką osłabić zeznania Pete'a, Schwartz postanowił wykorzystać sytuację. Zadawał pytania tak, by Max szczegółowo opisała obrażenia Lupe. Gdy już wystarczająco utrwalił w pamięci przysięgłych brutalność ataku, ruszył dalej.

- Czy widziała pani pokrzywdzoną już po przyjęciu jej do szpitala?

- Razem z moim partnerem pojechaliśmy za karetką. Widziałam ją bezpośrednio po tym, jak lekarze skończyli ją badać.

- Już po operacjach, jakie przeszła? - Ramos mógłby próbować wzbudzić u sędziów wątpliwości twierdzeniem, że wiele śladów na ciele Lupe to wynik działań służb medycznych.

- Nie, w sali przyjęć, zanim zastosowano jakiegokolwiek leczenie inwazyjne.

- Była pani z nią sama?

- Nie, pielęgniarka i jeden z sanitariuszy byli obecni przez cały czas.

- Cały czas czego?

- Pozwolono mi wezwać pracownika z działu pomocy ofiarom przy biurze prokuratora, by przeprowadził rozmowę z panią Vazquez.

- Czy robiła jej pani wtedy zdjęcia?

- Tak.

Postępując według wcześniej przygotowanego planu, Schwartz kierował zeznaniami swego świadka. On kładł fotograficzny dynamit na stojaku, ona wyjaśniała, jakie czynności wykonywała tamtej nocy i dlaczego.

Dla celów identyfikacyjnych pokazano kilka naturalnej wielkości zdjęć głowy i szyi Lupe, a także pleców i niższych partii jej ciała. Ustaliwszy, że to pokrzywdzona znajduje się na fotografiach, Mike przeszedł do zbliżeń. Pierwsze ukazywało ranę na ramieniu Lupe -

rozległy, fioletowy krwiak szpecił skórę górnej części ręki. Obok zranionego miejsca leżała prostokątna kartka szarego koloru.

- Ten prostokąt - wyjaśniła Max, dotykając kartki drewnianym patykiem - to osiemnastoprocentowy wskaźnik szarości. - Położyłam go obok ramienia pani Vazquez, by przy wywoływaniu filmu w laboratorium można było oznaczyć odpowiedni kolor.

- A więc ta sina barwa odpowiada rzeczywistości.

- Zgadza się.

Mike pokazał kilka innych zdjęć: zbliżenie prawego kolana i uda, drugiego ramienia, szyi - ekspozycja barbarzyństwa.

- Proszę opowiedzieć sądowi, jak zostały zrobione zdjęcia.

- Użyłam lustrzanki z makroobiektywem. W przypadkach przemocy w rodzinie stosuje się minimalną odległość, by wypełnić całość obrazu okolicą rany, co pozwala uniknąć zniekształceń.

Ze zdjęcia spoglądała poraniona twarz Lupe, choć było oczywiste że kobieta nie jest w stanie nic zobaczyć lewym okiem.

- Jeżeli popatrzyście na lewy policzek, tuż pod okiem, ujrzycie ślady obrażeń spowodowanych uderzeniem specjalnym typem broni, znanej pod nazwą kastetu. Mike zademonstrował miedziany kastet znaleziony w domu Vazqueza i przyłożył do fotografii. Ślady pokrywały się idealnie. Max zeznała także, że krew znaleziona na kastecie została zidentyfikowana jako należąca do Lupe. Gdy przeszła do opisu pręg na plecach ofiary, oskarżyciel wciągnął do materiału dowodowego zakrwawioną nogę od stołu.

- Rany odpowiadają kształtowi narzędzia - wyjaśniał - jeżeli przyłożycie ten kawałek drewna do ran - Mike natychmiast to uczynił - związek jednego z drugim staje się oczywisty i niepodważalny.

Po tym ostatnim oświadczeniu Amanda zwróciła się w stronę Jesusa z błyskiem triumfu w oczach. Na stołowej nodze znaleziono wiele odcisków jego palców i oboje świetnie o tym wiedzieli. Ten jedyny raz w ciągu całej rozprawy oskarżony spuścił oczy.

Gdy nadeszła kolej Ramosa, adwokat bardzo powoli podniósł się zza stołu obrony. Poruszając się, jak mniemał, groźnie, podszedł do świadka. Przez kilka chwil przechadzał się przed Amandą tam i z powrotem, obrzucał ją przeszywającym spojrzeniem i oceniał wzrokiem jej odporność psychiczną. Jeżeli chciał wprawić ją w zakłopotanie, poniósł klęskę. Podążała za nim oczami, w których tliło się rozbawienie. Ramos odegrał to przedstawienie na cześć swego

klienta oraz dla kogoś innego, kto siedział teraz na sali i być może zastąpi Jesusa w hierarchii organizacji, gdyby ława przysięgłych wydała werdykt inny niż „niewinny”. Amanda pokrzyżowała mu szyki. Wściekły na nią, zaatakował gwałtownie.

- Jest pani częstym gościem, wolontariuszką w schronisku „The Bent Wing”?

- Tak.

- Między innymi uczy tam pani kobiety i dzieci fotografowania, zgadza się?

- Tak.

- I to nie jakiegoś zwykłego robienia zdjęć. Uczy pani małe dzieci fotografować zadrapania i rany cięte. Czy nie tak, pani detektyw? - Zbliżył się do Amandy tak bardzo, że poczuła woń czosnku, którym przyprawiono mu obiad.

- Uczę dzieci, przerażone okrucieństwem, na które patrzą, dokumentowania przemocy rozgrywającej się w ich domach.

- Ale jeżeli nie widziały zdarzenia na własne oczy, pani Maxwell, czy wierzy pani, że dzieci odróżnią obrażenia spowodowane nieszczęśliwym wypadkiem od zadanych rozmyślnie?

Amanda odwróciła się na chwilę, by zwrócić uwagę przysięgłych na zdjęcie Lupe leżącej w zaułku.

- Tak, panie Ramos, wierzę.

Przeszedł na prawo i stając plecami do fotografii, zasłonił sędziom ów widok. Odwrócił się do ławy przysięgłych, starł z twarzy wszelki gniew i, niemal w przyjacielskim geście, wsparł ramię na listwie obramowującej pulpit świadka.

- Praca zmusza panią do oglądania na co dzień przemocy, prawda pani detektyw?

- Owszem.

- Oglądanie czegoś takiego każdego dnia musi wywoływać gniew. Nie było to pytanie, więc nie odpowiedziała.

- Z pewnością chciałaby pani zmienić świat na lepszy. Amanda milczała dalej.

- A ogólnie, czy uważa pani, że przemoc częściej spotyka kobiety niż mężczyzn?

- Tak.

- Czy niepokoi to panią?

- Owszem.

Skinął głową, jakby właśnie zdobył punkt.

- Zeznała pani, że zna Lupe Vazquez od kilku lat, tak?
- Zgadza się.
- Czy określiłaby pani waszą znajomość jako przyjaźń?
- W pewnym sensie.
- Tak lub nie, pani detektyw.

Wiedziała, co Ramos zamierza udowodnić: jest uprzedzona. Ale nie miała wyjścia, musiała odpowiedzieć.

- Tak.
- Czy zdarza się pani szukać pomocy u przyjaciół, zwłaszcza przyjaciółek?
- Sprzeciw.
- Podtrzymany. Panie Ramos, nie sądzę, by kierunek, w jakim zdążają pańskie pytania, miał coś wspólnego ze sprawą. Albo proszę to nam wyjaśnić, albo przejść do następnych.

- Dobrze, wysoki sędzie. - Pewny, że zaraz zada miazdzący cios stanął zwrócony twarzą do Amandy. - Czy to prawda, pani detektyw że użycie lampy błyskowej może zniekształcić obraz ran?

Mike Schwartz i Pete uśmiechnęli się pogardliwie. Ramos był znany z nagminnego niedoceniań kobiet. Przewidywali, że nie potraktuje Amandy z respektem, na jaki zasługiwała.

- To prawda, panie Ramos, dlatego do tych zdjęć wykorzystałam dostępne światło i użyłam filtru korekcyjnego Cokin A036. Prócz tego, pomieszczenie, w którym fotografowałam, rozświetlały fluoryzujące lampy, co również mogłoby pogorszyć jakość zdjęć. A ten filtr zapobiega właśnie takiej ewentualności. Fotografie, które pan widzi, wiernie oddają charakter obrażeń.

Na sali zaszumiało. Ramos poczerwieniał i z wściekłością popatrzył na Amandę. Nie przestraszyła się i odpowiedziała równie nieprzyjaznym spojrzeniem. Pokonany, wycofał się za swój stół i by zyskać na czasie, przerzucał jakieś notatki. Max rzuciła przez ramię spojrzenie kolegom: Pete w szybkim, ledwie widocznym geście uniósł kciuk w górę, Mike tylko lekko skinął głową. Zniweczyła zakusy Ramosa i praktycznie uzyskała wyrok skazujący. Na wargach Amandy pojawił się uśmiech, który jednak nagle zgasł.

Z tyłu sali siedział Little Ray Saviano. Ciało Amandy przeszył dreszcz. Kiedy on tu wszedł? Opanowała strach i patrzyła, jak jeden ze zbirów Jesusa trąca go łokciem w bok. Vazquez odwrócił się i wbił

wzrok w przybyłego. Od razu widać było, że tych dwóch nie darzy się miłością. Toczyli przecież okrutną wojnę. Ich organizacje miały wiele do stracenia - walczyły o kontrolę nad dystrybucją propainy. Dla tych mężczyzn była to kwestia zarówno dumy jak i dominacji.

Jesus parsknął pogardliwie i odrzucił głowę w tył, spoglądając w stronę sędziów. Little Ray wyciągnął się na krześle, oparł ramiona na barierce z tyłu i roześmiał się głośno. Jego wesołość nie spodobała się mężczyznom i kobietom w białych kurtkach. Prawie jak na komendę odwrócili się i popatrzyli na niego gniewnie. Little Ray śmiał się coraz głośniej. Sędzia zastukał w pulpit, przywołując zebranych do porządku. Członkowie gangu Muerte zastosowali się do polecenia.

Amanda zauważyła, że uśmiech na twarzy Little Raya zgasł nagle - Już poważny, młody szef mafijnej rodziny popatrzył w przeciwną stronę, na galerię, gdzie w rogu siedział starszy mężczyzna o latynoskich rysach. Jego też zauważyła dopiero teraz. Miał dziwny grymas na twarzy - jakby jego szczęki zostały zdrutowane po jakimś urazie. Tych dwóch mężczyzn wymieniało sygnały gestami dłoni i ruchami głowy. W pewnej chwili była niemal pewna, że człowiek o latynoskim wyglądem wskazał na nią ruchem głowy. Kim on jest, jaki ma związek z Little Rayem?

Amanda miała uczucie, jakby przebudziła się w samym środku koszmaru. Dwadzieścia lat wcześniej na miejscu dla świadków siedziała Cynthia Stanton Baird i zeznawała przeciwko członkom mafii i kartelu braci Espinosa. Tamta chwila na zawsze odmieniła życie jej i jej córki. Teraz Amanda znalazła się na sali sądowej, twarzą w twarz z drugim pokoleniem tych, których zeznania jej matki wysłały do więzienia. Modliła się, żeby to był tylko zbieg okoliczności, aby się okazało, że Little Ray, jak zwykle demonstrując swą arogancję, przyszedł tu zadrwić z gangu Muerte, a nie dla niej. Może po prostu cieszył się tą sytuacją: on bezkarnie morduje dwóch chłopców z gangu, a Jesus za bicie żony trafia do więzienia. Amanda miała nadzieję, że spotkanie ich wszystkich, w tej samej sali sądowej, o tym samym czasie, to zwykły przypadek, a nie powrót historii sprzed lat.

- Nie mam więcej pytań - powiedział Ramos, powoli godząc się z klęską. Amanda nie drgnęła, siedziała jak sparaliżowana.

- Detektywie Maxwell - ostro rzucił sędzia Meyer - jest pani wolna.

- Tak jest, dziękuję, wysoki sędzie. - Zmusiła się, by wstać i pójść na swoje miejsce.

Pete gratulował jej szeptem i klepał po dłoni, lecz nie słyszała ani nie dostrzegała niczego wokół. Czuła się jak porażona: potwór, utajony gdzieś głęboko w niej, wyrwał się ze swej klatki. Owo monstrum narodziło się dawno temu i czerpiąc siły z jej strachu, rosło, karmione latami ucieczki, ukrywania się i oglądania za siebie. Jednak w ciągu kilku ostatnich lat Amanda odzyskała pewność siebie, uspokoila się, a nawet zrelaksowała, przekonana, że potwór śpi mocnym snem. Zaczynała nawet wierzyć, że umarł.

Potem Lionel odebrał sobie życie, pobito Thompsona i znikła rolka z mogącymi ją zdradzić zdjęciami. Teraz zło wykreowane przez Big Raya Saviano i Raoula Espinose podniosło swój obmierzły łeb. Monstrum żyje. I czyha na nią!

Po niespełna godzinie ława przysięgłych ogłosiła werdykt: winny. Jesus Vazquez został odwieziony do więzienia w Rikers Island i tam miał oczekiwać na wyrok. Członkowie Blanca Muerte zareagowali, jak należało przewidywać: buczeli i sykali, potrząsali pięściami i rzucali pod adresem sędziów pogroźki, jakby nie chcieli dopuścić, by dwanaścioro mężczyzn i kobiet, którzy rozpatrywali sprawę, przypadkiem nie wzięło morza białych kurtek za rewię mody. Wyprowadzany z sali Jesus też nie skąpił gróźb, tyle że pod adresem Amandy i Pete'a.

Mike Schwartz uspokajał swoich świadków.

- Zapomnijcie o Jesusie, pójdzie siedzieć na długo. A jego kumple mają teraz na głowie ważniejsze rzeczy - bez urazy, oczywiście.

- Nie ma sprawy - odrzekł Pete. Patrzył, jak człowiek, o którym właśnie rozmawiali, wychodzi pod eskortą z sądu. Pete i Amanda zeznawali w tysiącach spraw i wiedzieli, czym to grozi. - Nie przejmuję się takimi śmieciami jak Vazquez i Muerte, inaczej musiałbym zmienić pracę, nie sądzisz, Max? Zgodziła się, lecz nie bardzo go słuchała. Rozmyślała o Little Rayu Saviano, który wyszedł pośpiesznie z sali, unikając przyjaciół Jesusa, o mocodawcach Vazqueza i mężczyźnie ze sztywną szczęką, który zniknął, jakby się rozpułnął w powietrzu. Wewnętrzny radar alarmował, że ten człowiek zapowiada kłopoty.

- Trochę wcześniej, ale może skoczylibyśmy gdzieś na obiad? - zaproponował Pete, gdy zjeżdżali na dół windą.

- Jestem wykończona.

- Ja też, jednak przecież trzeba coś zjeść. - Objął ją ramieniem, uściskał serdecznie i szepnął do ucha: - Nie będę się narzucał, obiecuję. Amanda wydeła usta:

- No to jak uda mi się wytrzymać przez cały wieczór?

- Cóż, skoro nalegasz...

- Zapomnij o tym! - uprzedziła go ze śmiechem. Pete zawsze wiedział, jak poprawić jej humor. Wyszli z budynku sądu w chłód wieczora.

Pete rozważał, czy wybrać Chinatown czy Little Italy, tymczasem radar Max znów się włączył. Tuż obok sądu stał tamten mężczyzna o dziwnym wyglądzie, zagłębiony w rozmowie z Little Rayem.

- Co to za gość rozmawia z Savianem? - Ruchem brody wskazała na prawo.

- Nie mam pojęcia. - Pete uważnie przyjrzał się obu. - Nigdy wcześniej go nie widziałem.

- Był na sali sądowej, a gdy zeznawałam, dawali sobie z Rayem jakieś znaki. Pete wziął ją pod ramię i przeszli na drugą stronę ulicy.

- Może przyjechał z LA, by przejąć interes po Vazquezie?

- Możliwe. Ale jak mi wiadomo, Saviano i Blanca Muerte są na wojennej stopie, a ci dwaj wyglądają na kumpli.

Doyle przypominał sobie dwóch młodziaków, których zabrali z baseballowego boiska.

- Może to ktoś ważny, wysłany przez tych Espinosa z misją wywiadowczą? - Pete parsknął śmiechem. - Nie przypuszczam, by tych czterech enchiladas sikało z radości na wieść, że ten ich chłoptaś, Jesus, został oskarżony o usiłowanie zabójstwa. Guzik ich obchodzi, czy zakatuje żonę na śmierć, ale przy przemyśle narkotyków na taką skalę woleliby nie mieć do czynienia z przedstawicielami prawa.

- Sądzisz, że Little Ray próbuje porozumieć się z braćmi Espinosa?

- Być może znajduje się w przymusowej sytuacji.

- Co masz na myśli?

- Według naszego bohatera w oddziałach burmistrza - miał na myśli Jake'a - Little Ray to rzadkiej klasy pozer. Jeśli akurat nie paraduje nadęty niczym paw, robiąc wszystko, by trafić do

telewizyjnych wiadomości, największą przyjemność sprawia mu rozbicie kilku głów.

- Typowe dla przywódców mafii.

- Masz rację, ale taki szpan tylko wtedy robi wrażenie, jeżeli jest poparty odpowiednio wysokim kontem w banku. Tymczasem mówi się, że jeśli ten chłoptaş nie zmieni sposobu prowadzenia interesów, doprowadzi rodzinę do bankructwa. Jeżeli spieprzy narkotykowy deal, Saviano przejdą do historii.

- Big Ray pewnie się wścieka. - Amanda miała taką nadzieję. Ten człowiek zniszczył jej rodzinę, więc ona także nie będzie płakać nad losem jego bliskich.

- Delikatnie powiedziane. - Pete zatrzymał taksówkę i rzucił adres na Mott Street. Rozmowa o mafii odebrała mu apetyt na włoskie jedzenie. - Kto wie, jeżeli sytuacja jeszcze się pogorszy, Big Ray może szukać pomocy na samej górze. Amanda rozważyła tę ewentualność i zaraz ją odrzuciła.

- Za długo przebywa za kratkami i to bez szans na wyjście. Dlaczego ktoś miałby go słuchać?

Taksówka zatrzymała się przed „Hunan Garden”. Pete zapłacił taksówkarzowi, wysiedli i skierowali się w stronę wejścia.

- Dlaczego? Bo Big Ray Saviano był donem nad donami. Mógłby odbywać karę więzienia w igloo pod Biegunem Północnym, a i tak zawsze znajdzie się ktoś skłonny go wysłuchać.

Jake wyjechał z Merritt Parkway, skręcił w prawo i ruszył w kierunku Banksville. Przez całą drogę za miasto na nowo analizował fakty, które do tej pory zgromadził, próbując zrobić z nich logiczną układankę. W pierwszy weekend kwietnia Lionel poleciał liniami Northwest do Madison w Wisconsin via Detroit. Tam wynajął samochód i zatrzymał się w apartamencie hotelu „Edgewater”. Jak wszyscy zapamiętali, był sam. Tego samego weekendu Amanda poleciała American West na Midway Airport w Chicago, w drodze do Madison w Wisconsin. Nic nie wskazywało, by zatrzymała się w jakimś hotelu.

Fredda poinformowała go, że w ciągu ostatniego półrocza wielokrotnie rezerwowała pokoje w „Pierre”, „Płazie” i „Waldorfie”. Kierownicy tych hoteli potwierdzili dokonanie rezerwacji, ale zgodnie twierdzili, że w pokojach nikt się nie zatrzymał.

- Czy możliwe, by pan Baird potrzebował ich tylko, dajmy na to, na godzinę? - Subtelność nie należała do mocnych stron Jake'a.

Wszyscy zgodnie zapewnili go, że pokoje pozostały nietknięte i nic nie wskazywało na używanie łóżka czy łazienki. W „Plaży” jeden z recepcjonistów przypomniał sobie młodą kobietę odpowiadającą rysopisowi Max, jak odbierała klucz od pokoju pana Bairda. Następnego dnia klucz znalazł się w pojemniku zwrotów, nikt jednak nie widział osoby, która go tam wrzuciła, a pokojówki nie zauważyły w pokoju śladów bytności. Jake wyraził zdziwienie, że recepcjonista w tak zapełnionym hotelu pamięta owe drobiazgi. T

- Właśnie miałem iść na przerwę - wyjaśnił pracownik „Plaży”. - podałem klucz tej młodej damie i patrzyłem, jak idzie do windy, akurat tej naprzeciw recepcji. Była jedyną osobą, która wsiadała. Sam nie wiem czemu, ale zagapiłem się na strzałkę wskazującą piętra - stanęła na drugim. Klucz miał numer piętnaście - jedenaście. Po najwyżej pięciu minutach zszedłem ze stanowiska. Gdy przechodziłem obok wind, ta sama kobieta akurat wysiadła i poszła do wyjścia na Piątą Aleję. Zdziwiło mnie to trochę, więc ją obserwowałem. Zbiegła po schodach i wsiadła do czekającej tam limuzyny.

- Widział pan kogoś w samochodzie?

- Było ciemno, więc nie widziałem, czy ktoś tam siedział. Ale wydało mi się dziwne, że wzięła klucz, a nie poszła do pokoju, i pewnie dlatego ją zapamiętałem.

Faktycznie, dziwne, pomyślał Jake. Czy Lionel miał romans? A może tylko wymyślił sprytny fortel, by kogoś nabrać, tylko kogo, Pamelę? Po co miałyby zadawać sobie tyle trudu, no i czemu Max brała w tym udział? Jake spróbował wyjaśnić kilka niewiadomych, wypytyując Thompsona, ale na próżno. Kamerdyner był wystarczająco przytomny, by stwierdzić, że nie ma nic do powiedzenia ani pani Pameli, ani jej wysłannikowi. Jediną rzeczą, jaka wydawała się pewna, to istnienie w ostatnich sześciu miesiącach życia Lionela kobiety, która mogłaby być sobowtórem Amandy.

W „La Cremaillere” właściciel gospody, Robert, wskazał Jake'owi miejsce za barem i zaproponował małe co nieco. Jak zwykle późnym popołudniem, salę przygotowywano dla gości przybywających tu tłumnie na obiad. Gdy Jake, już po raz któryś z rzędu, przedstawiał cel swej wizyty, kelner postawił przed nim gorący

pudding serowo - jabłkowy z bitą śmietaną i nalał parującej kawy do eleganckiej porcelanowej filiżanki. Roz - szedł się mocny aromat świeżo mielonej mieszanki z dodatkiem ciemnych, palonych we Francji ziaren kawy. Jake skosztował jednego i drugiego, nie kryjąc zachwytu.

- Powiedziano mi, że pan Baird należał do waszych stałych gości, teraz rozumiem, dlaczego.

Na twarzy jego rozmówcy pojawił się wyraz zadowolenia, nieco zmącony smutkiem.

- Z dumą mogę się pochwalić, że pan Baird był naszym długoletnim patronem i przyjacielem. - Robert wyprostował się i na chwilę szczerzy żal wziął górę nad jego towarzyską naturą.

- Często tu jadał?

- Jak na człowieka mieszkającego w mieście, owszem. - Jake nie miał wątpliwości, że tamten z przyjemnością wspomina spotkania z finansistą. - Kiedy tylko chciał wymknąć się na łono natury, przyjeżdżał do nas. Jake potrafił to zrozumieć. „La Cremaillere” stanowiła kwintesencję wiejskiej gospody: łąka sielankowa okolica, niskie sufity, olbrzymi kominek, małe salki, mnóstwo antyków. Powycierane płyty posadzki świadczyły o wielu latach istnienia restauracji, której szyk brał się głównie z jakości serwowanych tu dań, francuskiego akcentu personelu i, jak podejrzewał Jake, klienteli.

- Przyłączał się do gości z okolicy, czy przywoził kogoś ze sobą? Uśmiech Roberta wskazywał na spory zasób historyjek, jakie mógłby opowiedzieć.

- Pan Baird nigdy nie jadał sam ani nie siadał przy dużych stołach.

- Czy w ciągu kilku ostatnich miesięcy towarzyszyła mu młoda kobieta? Wysoka, zgrabna, włosy rudawe, niemal piękność? Używa imienia Max.

W oczach Roberta pojawił się błysk, świadczący, że rozpoznał opisywaną damę, do czego nie zamierzał łatwo się przyznać.

- Czemu pan pyta?

- Zatrudniła mnie wdowa po panu Bairdzie, bym zbadał okoliczności jego śmierci.

- Wdowa? Myślałem, że Bairdowie byli rozwiedzeni.

Pamela nieźle musiała dać się Robertowi we znaki, bo jego wargi wykrzywił niezamierzony, pogardliwy grymas.

- Chciałem tylko zadać tej drugiej kobiecie kilka pytań, to wszystko. Robert poddał się, choć niechętnie. Potwierdził, że Max i Lionel jedli tu obiad przynajmniej pięć razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Zawsze przyjeżdżali osobno, wychodzili jednak razem. Mieli ulubiony stolik, od czasu do czasu trzymali się za ręce, lecz nigdy zanadto się nie czulili. Robert nie znał nazwiska Max i nie wiedział, gdzie ona mieszka ani czym się zajmuje i nie miał najmniejszego pojęcia, jakie intencje kierowały Lionelem.

- Wydawał się całkowicie zauroczony i nic dziwnego. Jake dokończył ostatni kawałek puddingu.

- Najwyraźniej lubił ją pan.

- Bardzo. - Robert rozglądnął się, jakby ktoś, może Pamela, czaił się w kącie. - Nie zadzierała nosa. To raczej niezwykle, zwłaszcza u kobiet przestających z mężczyznami o pozycji pana Bairda.

Jake chciał powiedzieć: tak, wiem o tym, ale słowa zamarły mu na ustach. Zaczynał uświadamiać sobie, ile nie wie o Amandzie Maxwell. Po obiedzie Max odrzuciła propozycję Pete'a, że odwiezie ją do domu i udała się do Annie. Nie widziały się od nocy, której umarł Lionel i trochę martwiła się o przyjaciółkę.

- Umierałam z niepokoju! - wykrzyknęła Annie na jej widok. Wciągnęła Amandę do mieszkania i zaryglowała drzwi. Uściśnęły się serdecznie. - Wszystko u ciebie w porządku? No mów, co się dzieje.

- Zaraz. - Szybko, na palcach przeszła po poddaszu i wyjrzała przez każde okno, upewniając się, czyjej nie śledzono.

- Nie wiem, jak ty możesz tak żyć - powiedziała przyjaciółka. Wyciągnęła korek z butelki wina. - Ja czuję się jak wrak.

- Ja nie lepiej, tylko nauczyłam się z tym kryć. - Amanda nie mogła przeboleć wciągnięcia jej w swą koszmarną grę. Jednak, pomyślała z poczuciem winy, dobrze jest mieć komu się zwierzyć.

Usiadły na kanapie i Amanda przekazała Annie informacje zasłyszane w pracy, a potem powtórzyła treść rozmowy z Pete'em przy obiedzie. Oczy Annie z każdą chwilą ogromniały, aż osiągnęły karykaturalną wielkość.

- Przy tej niesamowitej historii moje mydlane opery przypominają przygody Kubusia Puchatka. Amanda się zachnęła.

- Nie ma w tym nic zmyślnego. Ci zbrodniarze noszą prawdziwą broń, a ich ofiary naprawdę umierają. Skarcona Annie zajęła się winem, ale wytrzymała tylko chwilę.

- Nie mogę uwierzyć, Little Ray Saviano obecny na sali sądowej w czasie twoich zeznań? Okropność! Ten łotr! - Annie nie kryła wstrętu. - Przyszedł z twojego powodu?

- Nie sądzę, wydawał się bardziej zainteresowany tym podejrzanym facetem o latynoskich rysach. Max opisała mężczyznę o sztywnej szczęce.

- Albo wszczepiono mu implanty, albo miał odrutowaną po wypadku szczękę lub też przeszedł jakąś poważną operację plastyczną - orzekła autorytatywnie Annie. Krew odpłynęła z twarzy Amandy.

- Operację plastyczną?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz? Co się stało? Domyślasz się, kto to?

- Jaime Bastido. - Nawet nie musiała się zastanawiać; nie miała wątpliwości.

- Jeden z tych, których twoja matka wysłała za kratki. - Amanda zdziwiła się, słysząc, że Annie bez wahania rozpoznała nazwisko. Tamta wyjaśniła pośpiesznie: - Gdy upewniłam się już, że na pewno cię rozpoznałam, spędziłam całe popołudnie w czytelni, zaznajamiając się ze szczegółami „Dnia Prania”. Nie mogłam ryzykować, że zdradzę się z czymś nieprzemyślanym przed niewłaściwą osobą i ściagnę na ciebie nieszczęście.

- Kocham cię - powiedziała Amanda i w jej oczach pokazały się łzy.

- Nie masz wyboru, jestem twoją jedyną przyjaciółką.

- Rzeczywiście!

Roześmiały się obie; Annie ta chwila cudownie przypominała dzieciństwo. Ona i Ricki Baird zawsze śmiały się tak beztrudnie - Amanda Maxwell natomiast nigdy nie okazywała wystarczającej swobody. Gdy śmiech ucichł, Annie popatrzyła uważnie na odważną, lecz w tym momencie nad wyraz spiętą kobietę siedzącą naprzeciw niej i, jak często jej się ostatnio zdarzało, zastanawiała się, na kogo wyrosłaby Ricki.

- No dobrze, o co więc chodzi z tym Jaimem Bastido? - spytała, odrzucając na bok niewesołe myśli.

Amanda spoważniała.

- Od kilku miesięcy przebywa na wolności. Sądziliśmy, że wyjechał do Meksyku, i może tak było, ale jeżeli to, co twierdzisz, jest prawdą, wrócił do Nowego Jorku i ma się całkiem nieźle. - Wstała z

kanapy i zaczęła przemierzać pokój, rozmyślając głośno. - Czułam, że na coś się zanosi. On i Little Ray Saviano dawali sobie znaki, a potem, na ulicy, też coś razem knuli.

- No to co? - spytała Annie. - Nie znają twojego ostatniego nazwiska i nie wiedzą, jak wyglądasz.

Amanda stanęła jak wryta.

- Film! A jeżeli widzieli zdjęcia?

- Jaki film? - spytała Annie, czując jak jej serce przyspiesza. - Jakie zdjęcia? Amanda opowiedziała przyjaciółce o aparacie fotograficznym w szufladzie, o zdjęciach, które Lionel uparł się zrobić jej i Beth, i wreszcie o brakującej rolce.

- Jeżeli człowiekiem na sali sądowej był Bastido i widział te zdjęcia... - Nie dokończyła, pozwalając, by niewypowiedziana myśl zawisła w powietrzu, zaraz jednak zebrała siły i przemierzyła pokój z impetem teksańskiej trąby powietrznej.

- Więc wie, jak wyglądasz i potrafi powiązać nazwisko z twarzą.

- No właśnie. - Zdesperowana, zataczała coraz większe koła. - I wie, jak wygląda moja matka!

Annie zadrżała. Jej dłonie zlodowaciały, ponure obrazy pojawiały się w myślach jeden po drugim.

- Nie zna jej adresu ani nazwiska, prawda? - Max nigdy nie powiedziała przyjaciółce, gdzie Cynthia mieszka ani jak się nazywa.

- Nie wyobrażam sobie, jak mógłby się dowiedzieć. - Pomyślała o papierach leżących na biurku Lionela; wtedy nie dostrzegła w nich nic, co mogłoby zdradzić miejsce pobytu Beth. Ale przecież nie знаła treści notatki znalezionej w koszu i nie miała pojęcia, co oprócz filmu mogło jeszcze zostać zabrane z biblioteki ojca.

- Czy on cię śledzi?

- Jeszcze nie. - Amanda z poczuciem winy pomyślała, że nie pamięta jego twarzy. - Mój partner uważa, że Bastido przyszedł do sądu, by porozumieć się z Savianem albo nawiązać kontakt z ludźmi Vazqueza. - Przez chwilę stała pośrodku pokoju Annie, bezradna i zagubiona. - Jeżeli Bastido widział te fotografie, moje pojawienie się w sądzie mogło być dla niego dodatkową nagrodą. - Ze złości aż fuknęła.

- W jaki sposób mogły wpaść mu w ręce?

- Chciałabym wiedzieć.

W tej samej minucie obie zaatakowała ta sama myśl. Annie poddała się pierwsza.

- Czy Bastido mógł zabić Lionela?

Amanda skinęła głową. Osaczona napierającymi zewsząd faktami, przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa.

- Możliwe - szepnęła w końcu.

- Jak? - Annie z niechęcią słuchała własnych słów. Już samobójstwo Lionela wystarczająco ją przygnębiało, morderstwo zaś otwierało wiele podejrzeń, a każde prowadziło do bardzo ciemnych zakamarków. - Mówiłaś o samobójstwie, nie miałaś wątpliwości.

Amanda wzruszyła ramionami.

- Wiem. Tak to widziałam. Takiego samego zdania zresztą byli ci z CSU i ci z wydziału zabójstw.

- A teraz już w to nie wierzysz?

Amanda usłyszała w głosie przyjaciółki nutę sceptycyzmu.

- Nigdy nie uwierzę - powiedziała, kładąc rękę na sercu - by mój ojciec zaplanował zjedzenie z nami obiadu, a potem, zamiast przyjść na spotkanie, odebrał sobie życie.

- A może to tylko żal nie pozwala ci myśleć logicznie? - spytała tamta cicho.

- Możliwe - przyznała Max i znów rozpoczęła wędrówkę po pokoju. - Nie mówię, że wszystko wskazuje na morderstwo, lecz jest już dość wątpliwości, by ponownie zbadać sprawę.

- Czego tak naprawdę szukasz?

- Na miejscu zrobiłam setki zdjęć. Gdzieś wśród nich znajduje się wskazówka, tylko muszę ją odnaleźć.

Annie nie mogła znieść widoku przyjaciółki w tak głębokiej rozpacz. Nagle coś sobie przypomniała.

- Może poprosiłabyś o pomoc Jake'a? Jest przecież prywatnym detektywem.

- I to bardzo dobrym.

- Ufasz mu chyba.

Annie nie miała pojęcia, jak skomplikowane pytanie zadała. Jak większość ludzi, traktowała kwestię zaufania jako coś oczywistego i nie rozumiała złożoności problemu. Podświadomie ocenia się zaufanie według konkretnych potrzeb: komu dać numer swojego telefonu, pożyczyć samochód, wyjawic nazwisko fryzjera; komu, bez wahania, powierzyć oszczędności; pod czyją opieką zostawić męża, żonę,

dzieci. Amanda miała dwie odpowiedzi na pytanie: „Komu ufasz?”. Nikomu lub tym kilku osobom, którym zawierzyła własne życie. Dla chronionych świadków nie istniały odpowiedzi pośrednie.

- Ufam mu, ale chyba nie chciałabym go w to mieszać.

- Jeżeli cię kocha, już jest zamieszany. - Annie wypowiedziała na głos to, co uważała za oczywiste.

- Tego nie wiem. - Amanda spłonęła rumieńcem.

- A co on mówi? - sondowała ją przyjaciółka. Rumieniec nabrał ciemniejszej barwy.

- Ani przez chwilę nie możemy być razem, żeby nie...

Annie roześmiała się na widok tej chłodnej, opanowanej policjantki, przebierającej nogami niczym dziewięciolatka na pierwszej lekcji tańca.

- W porządku, na początek wystarczy: pragnie cię!

- Powiedział, że traci dla mnie głowę.

- O rany! - Tamta aż jęknęła. - Na co czekasz? Zadzwoń do niego, porozmawiaj. Jak się dowie, że Lionel był twoim ojcem...

- Nie! - Jakby odezwał się dzwonek, sygnalizujący koniec czasu przeznaczanego na odpoczynek w ciepłej i wygodnej kryjówce. Wszelkie oznaki słabości znikły z twarzy Amandy. - Nikt nie może się dowiedzieć, co łączyło mnie z Lionelem.

- Masz rację, wybacz. - Przyjaciółka uniosła dłonie w przeproszającym geście.

- Za bardzo pragnę ci pomóc.

- Wiem! - zawołała nagle Amanda jakby nie słysząc jej słów. Patrzyła za plecy Annie, na długi stół pełen peruk i przyborów do charakteryzacji. - Chyba wiem, co możesz dla mnie zrobić. - Chwyła Annie za ramię i prawie zaciągnęła na drugi koniec pokoju. - Ktokolwiek ukradł te zdjęcia, wie teraz, jak wyglądam.

- No tak.

- Więc muszę zmienić wygląd.

Annie zrozumiała i natychmiast zapaliła się do pomysłu.

- Witaj w agencji „Zabawna Buzia” Annie Hart. - Wskazała jej krzesło przed lustrem. - Rozgość się, zaraz zafundujemy ci nową twarz, a jak zajdzie potrzeba, drugą, trzecią, a nawet i siedem!

Przez następne kilka godzin uczyła Amandę, jak dopasowywać peruki, zrobić teatralny makijaż, jak za pomocą kawałków miękkiej gumy zmieniać rysy twarzy. Ustaliły, co powinna nosić przy sobie,

aby móc dokonać szybkiej zmiany wyglądu w pracy lub w razie podejrzenia, że ją śledzą. Oprócz przyborów do charakteryzacji i peruk jej przyjaciółka potrzebowała ubrań i butów na zmianę. Annie wyszukała dwustronny żakiet i miękki kapelusz, który mógł okazać się użyteczny, do tego parę spodni i stary sweter ze sztucznego tworzywa, łatwy do upchnięcia w plecaku.

Amanda wyszła na ulicę w jasnej peruce na głowie, z dłuższym nosem, mocniejszym makijażem, w krótkiej, czarnej skórzanej spódnicy i w wysokich botkach, stroju określającym ją jako mieszkankę śródmieścia. Teraz nie rozpoznałaby jej nawet rodzona matka. j Jednakże to nie matka czekała na nią przed domem Annie. Amanda nie mogła wiedzieć, że skulony w przejściu bezdomny, którego minęła w drodze do metra, to Jaime Bastido.

Nawet brzmienie skrzypiec Itzhaka Perlmana nie wyciszyło narastającego w Jake'u złego przeczucia. Im bardziej zagłębiał się w okoliczności śmierci Lionela, tym wydawały mu się dziwniejsze. Poza tym, czego dowiedział się o związku Amandy z Bairdem, z sekretarki odsłuchał wiadomość Caleba: W kwietniu Lionel umieścił miliony dolarów na funduszu powierniczym East Gorham Associates. Policjant nie miał pojęcia, co to za firma, ale uznał, że warto bliżej jej się przyjrzeć.

W przefaksonym raporcie FBI o Annie Hart Jake nie znalazł nic godnego uwagi. Nie była notowana, nie miała żadnych zadłużeń, nie wykryto nic podejrzanego w historii rodziny ani żadnego powodu, by znalazła się w orbicie zainteresowania Biura. „Hart” nie było jej prawdziwym nazwiskiem, lecz do tej wiadomości Jake również nie przywiązywał wagi. Kiedyś zawarła związek małżeński - na bardzo krótko - i postanowiła zachować nazwisko męża. Jej rodzice wciąż mieszkali w skromnym domu w małej miejscowości na północ od Miami. Colonowie byli starszym małżeństwem kubańskiego pochodzenia. Ana - prawdziwe imię Annie - została przez nich adoptowana. Przez chwilę Fowler zastanawiał się, czy Lionel mógł być jej biologicznym ojcem, okazało się jednak, że ten był uciekinierem z Kuby i zmarł w drodze do USA.

- Więc skąd taka dokładność Lionela i sprawdzanie zwyczajnej młodej kobiety przy udziale wywiadu FBI? - pytał się sam siebie. Przekładał papiery, jakby w nich mógł znaleźć sensowną odpowiedź - Co, jeżeli w ogóle, przeszłość Annie Hart ma wspólnego ze śmiercią

Bairda? Kim, u diabła, są ci East Gorham Associates? - mrucał, nadaremnie próbując wyrzucić z myśli obraz Max. - i dlaczego w ogóle się tym przejmuję?

Amanda wróciła do domu dopiero o jedenastej. Na sekretarce mrugało światelko informujące o wiadomości. Miała nadzieję, że to Jake, zgłosił się jednak Carl Steinmetz, który powiedział, że może dzwonić do niego do północy.

- Twoje godziny pracy są równie fatalne jak moje - powitała go Amanda, uzyskawszy połączenie.

- To dlatego, że mili z nas chłopcy, ci niemili już od dawna leżą w łóżkach. Amanda się roześmiała. Wujek Sam lubił Carla Steinmetza - rozumiała teraz, dlaczego.

- No więc co znalazłeś?

Po dniu, jaki przeżyła, miała nadzieję na dobre wiadomości, choć w przypadku ojca Jake'a nie wiedziała, jaką można by uważać za pomyślną.

- Mam to, o co prosiłaś.

- Szybko pracujesz.

- , Wolałbym grać na zwłokę i zrobić na tobie wrażenie, ale pro - stu wiedziałem, do kogo się zwrócić.

- Dobra, mów.

- Archie Fowler nie żyje. Amanda drgnęła.

- Zmarł wtedy czy też niedawno?

- W siedemdziesiątym siódmym, to jego ciało znaleziono w bagażniku auta.

- Dlaczego nie potwierdzono tego od razu?

- Dostałem tę informację od „śpiewaka” z mafii, chronionego programem - wyjaśnił Carl. - Był kierowcą tej nocy, gdy Vito Albanese dokonał egzekucji Fowlera. Powiedział, że gdy Vito zastrzelił Archiego, wypalili mu opuszki palców kwasem, by uniemożliwić identyfikację. Ktoś inny natomiast zaprowadził wóz do Hoboken i porzucił na złomowisku.

- To pewne?

- O tyle, o ile można ufać zawodowemu kryminaliście. - Zamilkł, by dać Max czas na przemyślenie tego, co usłyszała. - Moim informatorem był facet złowiony w tę samą sieć, w którą wpadł Big Ray Saviano. Pracowałem w zespole wprowadzającym go do

programu ochrony świadka. Pamiętam, że pytano go o tamto morderstwo, ale wtedy nie wsypałby swego szefa.

- Saviano był grubszą rybą - zauważyła Amanda.

- No właśnie. Wydanie Albanese'go dawało mu szansę na łagodniejszy wyrok, ale wsypanie Raya pozwoliło dostać się pod opiekę programu.

Amanda z wielką niechęcią myślała o tym, że ona i matka w pewnym sensie znalazły się w towarzystwie morderców, handlarzy narkotyków, sprzedawców porno, alfonsów i im podobnych.

- Dziękuję, że zająłeś się tą sprawą, Carl. Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci wiele kłopotu.

- Absolutnie nie.

- Słyszę jakieś wahanie w twoim głosie, mów o co chodzi!

- Chciałaś tej informacji dla przyjaciela, czy tak?

- Pomyślałam, że chciałby poznać prawdę.

- Nie obraż się, ale muszę cię ostrzec: czasem przekazanie komuś prawdy oznacza pozbawienie go nadziei. Nie każdy przyjmuje to jako przyjacielski gest.

- Zrozumiałam. - Teraz, po potwierdzeniu śmierci Archiego, musiała postanowić jak, kiedy i czy w ogóle powie o tym Fowlerowi.

- A przy okazji, czy Sam już wrócił?

- Pojawił się kilka dni temu.

- Mogę prosić o przysługę?

- Mów.

- Poproś, by do mnie zadzwonił, powiedz mu, że to ważne.

Skazanie Jesusa Vazqueza usunęło jednego niebezpiecznego człowieka z naszych ulic, co wcale nie oznacza, że nasze dzieci są teraz bezpieczne. - Ekran wypełniła arystokratyczna twarz Johna Chisolma, jego zielone oczy płonęły oburzeniem, wysunięta broda miała przekonywać o bezkompromisowości w walce ze złem. - Blanca Muerte, której przewodził Vazquez, to zbrodniczy gang zajmujący się dystrybucją wyjątkowo groźnych narkotyków w naszym mieście. - Senator patrzył prosto w kamerę. - Chcą uzależnić nasze dzieci od propainy, narkotyku, który zabija niczym broń maszynowa: szybko, jak leci, na wielką skalę.

Senator zasiadł do dyskusji przy okrągłym stole wieczornych wiadomości. Normalnie Hallie Brendel nie dopuszczono by do udziału w ogólnokrajowym forum korespondentów, lecz John

Chisolm postawił jako warunek jej obecność. Był to winien Hallie: rozpoczęła jego antynarkotykową kampanię i dalej prowadziła z zapalem walkę, nie zważając na niechęć, z jaką spotykała się jej osoba. Z początku Hallie, onieśmielona wysokim statusem kolegów - dziennikarzy, trzymała się na uboczu, jednak, im dłużej przysłuchiwała się dyskusji, czuła coraz większe rozczarowanie i... irytację. Nie tylko wręcz demonstracyjnie ją lekceważono, uznając za niegodną przebywania w tak znakomitym towarzystwie, ale zadawano pytania mdłe, mało istotne i zrozumiałe jedynie dla wtajemniczonych; dotyczyły raczej dziejów rządowych zmagania z handlem narkotykami i filozofii, kryjących się za różnymi strategiami walki niż skutków, jakie narkotyki wywierają na amerykańskie społeczeństwo. Hallie nudziła się i przypuszczała, że słuchacze reagują Podobnie.

- Senatorze Chisolm! - Jej ostry głos przyciągnął uwagę zebranych. Patrzyli na Hallie, jakby dopiero teraz dostrzegli, że należy do grona dyskutantów. - W ciągu kilku ostatnich miesięcy otwarcie porusza pan kwestię roli, jaką ma Wall Street w zalewaniu naszego kraju narkotykami.

- To prawda - odrzekł, najwyraźniej zadowolony z okazji do zabrania głosu na ulubiony temat. Już miał wygłosić kilka akapitów swej mowy agitacyjnej, lecz Hallie pytała dalej:

- Wydaje się pan uważać, że to nie potrzeby mętów społecznych wpływają na wzrost użycia narkotyków, ale chciwość korporacji.

Żrenice senatora - a także jego możliwości podjęcia wyuczonych na pamięć wątków - zwężyły się nagle.

- Owszem, chciwość korporacji odgrywa tu pewną rolę, jednak to poszczególne jednostki odpowiadają za swe uzależnienie.

- Prawda, czy jednak rząd nie powinien powstrzymać przepływu narkotyków przez nasze granice?

John obrzucił reporterkę wściekłym spojrzeniem. Obrona celników i funkcjonariuszy straży granicznej nie przysporzy mu punktów.

- Całkowite uszczelnienie granicy to cel chwalebny, lecz nierealny.

- Być może. Ale czy zasypywani przez Waszyngton demagogicznymi argumentami, jak to o wiele lepiej żyłoby się w Ameryce wolnej od narkotyków, nie mamy prawa oczekiwać ze

strony władz zdecydowanych działań, powstrzymujących napływ tej trucizny do kraju?

- Działalność rządu bywa ograniczana wpływami grup specjalnych interesów - cierpliwie tłumaczył Chisolm z miną: „nie miejcie mi za złe, robię co mogę”.

- Jak wszechmocnego lobby finansowego?

Senator się zjeżył. Miał prawo oczekiwać od Hallie, że jako członek jego drużyny zada właściwe pytania, ale ta kobieta najwyraźniej postanowiła zadbać o własne interesy.

- Nikt nie chce się do tego przyznać - lecz owszem: świat finansów z pewnością odczułby mocno utratę narkodolarów.

- No więc powiedzmy wprost: gdy nasze dzieci umierają, bankierzy i brokerzy bogacą się na ich tragedii. - Twarz Hallie wyrażała szczere oburzenie. - A więc to prawda, że „ryba psuje się od głowy”.

Johns postanowił odzyskać utracony teren.

- Uważam, że obowiązkiem tak ludzi z Waszyngtonu jak i tych z Wall Street jest stać się wzorem do naśladowania i właśnie dlatego swą kampanię wyborczą skupiłem na zagadnieniu zerwania nici łączącej dochody korporacji z zyskami ze sprzedaży narkotyków.

Hallie przez chwilę pozwoliła mu wygłaszać komunały, zaraz jednak znów zaatakowała:

- W ostatnich miesiącach wciąż przedstawiał pan Lionela Bairda jako symbol korporacyjnej korupcji. - Zlekceważyła ostrzeżenie malujące się na twarzy senatora. - Czy w jakimkolwiek stopniu czuje się pan odpowiedzialny za samobójstwo pana Bairda?

Wśród zebranych rozległ szmer zdziwienia; Chisolm poczerwieniał ze złości.

- Absolutnie nie! - wykrzyknął.

Zanim inni reporterzy zdolali włączyć się do rozmowy i zagłuszyć Hallie, ta atakowała dalej:

- Czy według pana, senatorze, samobójstwo Lionela Bairda było formą przyznania się do winy? - Czy rzeczywiście prał narkotkowe pieniądze? Czy pańska komisja zamierzała opublikować obciążające go materiały?

Twarz Chisolma poczerwieniała, wyglądał jakby lada chwila miał dostać zawału.

- Samobójstwo to bardzo niepokojąca sprawa - syknął przez zaciśnięte zęby - bo rzadko można odpowiedzieć wtedy na pytanie „dlaczego?”.

- Według Amerykańskiej Fundacji do Spraw Samobójstw, częstą przyczyną jest wstyd, panie senatorze. - Hallie dzielnie wytrzymała jego przepełnione żądzą mordu spojrzenie. - Pan upokorzył publicznie Lionela Bairda, czy zatem w ten sposób nie mógł pan przyczynić się do jego śmierci?

Chisolm, jakby grożąc jej całym sobą, pochylił się do przodu.

- Myślę, że chce pani poprawić swój image, upokarzając teraz mnie, panno Brendel.

- Nic podobnego, panie senatorze, proszę tylko o odpowiedź na moje pytanie. Czy posiada pan dowody, że Lionel Baird prał pieniądze pochodzące z narkotykowego biznesu? A może rzucane przez pana oskarżenia są tylko pokarmem dla mediów i próbą zdobycia przewagi nad przeciwnikami politycznymi?

- Ten kraj od dawna boryka się z problemem narkotykowym. - John odzyskiwał grunt. - Tym poważniejszym, że wiele naszych największych finansowych instytucji czerpie zyski ze sprzedaży owych śmiertelnych substancji. - Odwrócił twarz od Hallie i patrzył prosto w kamerę. Z powagą przemawiał teraz do tych najważniejszych - do niewidocznego elektoratu. - Dzień, w którym amerykańskie batiki przestaną czyścić owe zdobyte w drodze przestępstwa pieniądze, będzie ostatnim dniem dla narkotykowego biznesu. Nie ma zysku, nie ma towaru - proste.

- Nic w tej kwestii nie przedstawia się prosto, senatorze Chisolm - przerwała mu Hallie akurat w chwili, gdy się rozkręcał. - Dwadzieścia lat temu kolumbijski kartel, zarządzany przez rodzinę Espinosa, był największym dostawcą narkotyków do Stanów Zjednoczonych. Żona Lionela Bairda, Cynthia, spowodowała podjęcie przeciwko tym ludziom dochodzenia, jej działania pomieszały także zyski przestępczej rodzinie Saviano. Cynthia Stanton Baird zapłaciła życiem za swą odwagę. Dzisiaj jednak klany Espinosa i Saviano dalej handlują narkotykami i nadal piorą swoje brudne pieniądze. A teraz Lionela Bairda znaleziono martwego. Jak może pan twierdzić, że nic nie łączy przeszłości z terażniejszością?

Chisolm, nieswój, wiercił się na krześle. Gdyby mógł natychmiast, tu, na miejscu, skrócić tej kobiecie kark, nie wahałby się ani chwili.

- To nieszczęśliwy zbieg okoliczności - zaprotestował. Postanowił przerwać reporterce, zasypując ją lawiną faktów. - Różnice są większe od podobieństw. Raoul Espinosa był wszechmocnym królem narkotykowym i trzymał cały rynek żelazną ręką. Dziś jest więcej narkotyków, więcej tych, którzy je biorą, i mamy też większą niż w latach siedemdziesiątych. Główne dostawy nadchodzą nie z Kolumbii, lecz z Meksyku, a więc i przerzucanie narkotyków przez granice stało się prostsze. Synowie Raoula Espinosy udali się w poszukiwaniu zysków do Juarez. Kontrolują większość dostaw i aby sprostać zapotrzebowaniu, nawiązali współpracę z tamtejszymi dystrybutorami. To oni opłacają gang Blanca Muerte z Los Angeles i gwarantują dostawy dla przestępczej rodziny Saviano, tu, w Nowym Jorku. Blanca Muerte to tylko jeden z wielu gangów gromadzących niezadowolonych młodych ludzi z centrów naszych miast. Jak długo przetrwa i jak wysoko wzejdzie na krwawym firmamencie, jeszcze się przekonamy. Członkowie rodziny Saviano to mafiosi, dobrze znani w swoim środowisku, jak również policji. Według doniesień prasy wciąż prowadzą wewnętrzne walki o terytoria. Nie zgadzam się z tą opinią. Prawdziwym powodem, dla którego przestępcze rodziny walczą ze sobą, są ich malejące wpływy i zyski. Podobnie jak gang Blanca Muerte i Espinosa, Saviano walczą o przetrwanie. A co do Bairdów, Cynthia Stanton Baird została zamordowana przez żądnych zemsty przestępców. Lionel Baird zaś sam sobie odebrał życie, z powodów osobistych. - Chisolm w szybkim, ledwo dostrzegalnym geście pochylił głowę jakby w pełnej szacunku zadumie. Potem, przekonany, że oczyścił się z błota, jakim obrzuciła go Hallie, odważnie spojrzął w przyjazne teraz oko kamery - Jako naród winniśmy wypowiedzieć wojnę tym wszystkim Espinosom, Savianom, Blanca Muerte, każdemu kto pomaga nosicielom zła. I winniśmy, panie i panowie, pozwolić Lionelowi Bairdowi spoczywać w pokoju.

Jake zastanawiał się, czy to możliwe. Wyłączył telewizor i rzucił okiem na stół w jadalni. Błat pokrywały w pośpiechu nagryzmołone notatki i wyglądające na urzędowe dokumenty, które, gdy połączyć ze sobą zawarte w nich informacje, nasuwały dość wątpliwości, by nie

pozwoić Lionelowi Bairdowi na wieczny odpoczynek w pokoju, czego tak szczerze życzył zmarłemu senator Chisolm. Także, co jeszcze pogarsza - po sprawę, kilka minut przed rozpoczęciem debaty zadzwonił Caleb z wiadomością, że lekarz sądowy otrzymał, bez żadnych wyjaśnień, polecenie, by wstrzymać wydanie ciała Lionela.

- Kto wydał to zarządzenie?

- Ktoś z Departamentu Sprawiedliwości.

- Sprawiedliwości? - Jake czuł się coraz bardziej zagubiony.

- Tak mi powiedziano. - Jego rozmówca najwyraźniej też nie wiedział, co o tym myśleć.

- Czy brak zgody na pogrzeb może mieć jakiś związek ze znalezionym na biurku Bairda raportem FBI o przeszłości Annie Hart? Jake niemal zobaczył, jak tamten wzrusza ramionami. - Ale jaki?

- Może federalni woleli nie dzwonić sami.

- Bo?

- Nie chcą oficjalnie mieszać się do spraw policji.

- Pewnie, nagle zrobili się tacy uważający! - Caleb aż się zachnął. Jake roześmiał się ironicznie. Rywalizacja tych dwóch służb przeszła już do legendy.

- Skąd możesz wiedzieć, mogli włączyć do swego programu indoktrynacji społeczeństwa ćwiczenia z wrażliwości.

- Tak, a John Chisolm stara się o posadę po to, by uszczęśliwić szarego człowieka!

- Jeżeli już mowa o Chisolmie - myślał na głos Jake - jest przewodniczącym senackiej komisji do spraw bankowości.

- No i co z tego?

- Podnosi wrzawę o pranie pieniędzy. Może jego drużyna znalazła jakieś paskudne materiały na Bairda i przekazała Departamentowi Sprawiedliwości?

- Gdyby nawet, to po co przetrzymywać zwłoki? - zastanawiał się policjant. - Żeby go pośmiertnie osądzić?

- Dobre pytanie - zgodził się Jake. Zazwyczaj lubił taką wymianę myśli z Calebem, bo zawsze wynikało z niej coś konstruktywnego. Tym razem jednak każdy trop, jaki podjęli, prowadził w ślepy zaułek.

- Czy koroner zarządził testy toksykologiczne?

- Tak.

Poza przeprowadzaniem prób na zawartość we krwi alkoholu, pospolitych narkotyków i środków uspokajających stosowano standardowy test na określenie stężenia tych środków, co przy samobójstwie pomagało odróżnić ich przypadkowe zażycie od świadomego przyjęcia.

- Znaleźli coś?

- Nic.

- A ślady po ukłuciu? - Podczas sekcji patolog zwykle dokonywał oględzin skóry denata w poszukiwaniu uszkodzeń.

- Dokąd zmierzasz? Sądzisz, że Lionel, zanim palnął sobie w łeb, naćpał się czegoś? To już chyba przesada, przyjacielu.

- Zgadza się. Skąd jednak cały ten szum wokół sprawy? Pieniądze z narkotyków, handlarze narkotyków, wojny narkotykowe. Kto wie? Może istnieje jakiś związek.

- Jeżeli ktoś w biurze lekarza sądowego rozumuje w ten sposób, przeprowadzą testy GC - MS. - Chromatografia i spektrometria masy była metodą stosowaną przez laboratoria kryminalistyczne do oznaczania narkotyków i toksyn pozastandardowych. - Będę cię informował na bieżąco - obiecał Caleb.

- Dzięki. Może kombinuję trochę na wyrost, ale wszystko w tej sprawie wygląda zbyt grzecznie, a to wydaje się dziwne.

- A ja zaczynam myśleć, że to z nami dwoma coś nie tak. - Caleb się roześmiał. - Koroner, Moran i większość w moim wydziale zgodnie twierdzi: samobójstwo. Także wszystkie dowody wydają się o tym przekonywać, a ty i ja wyłazimy ze skóry, by dowieść, że to morderstwo. Zauważyłeś coś dziwnego?

- Choćby to - odrzekł najwyraźniej poruszony Fowler - czemu, u diabła, federalnych interesuje, gdzie gnije Lionel Baird, w kostnicy czy w ziemi? Gdy tylko Jake odłożył słuchawkę, zadzwoniła Pamela Baird i podzieliła się z nim takimi samymi wątpliwościami.

- Nie pozwalają mi go pochować - skarżyła się głośno. Jej głos brzmiał, jakby była na krawędzi hysterii.

Narzekła, że wszyscy zmówili się, by przedłużyć w nieskończoność jej żałobę. Jake przypuszczał jednak, że owo niezadowolenie ma więcej wspólnego z uwierzytelnieniem testamentu Lionela niż ze spokojem jego duszy.

- Może to ona sprawiła, by nie wydawano mi ciała - jęczała Pamela.

- Wykluczone. - Jake pragnął odwrócić jej uwagę od Max, co niestety okazało się niemożliwe.

- Znalazłeś ją? Wiesz gdzie mieszka, można ją aresztować?

- Nie mamy podstaw do aresztowania kogokolwiek, pani Baird, do tego potrzebujemy...

- Motywu.

- Nie. Dowodu na poparcie prawdopodobnego motywu zbrodni.

- Tych mamy sporo - nalegała.

- Nie, tylko nasze życzenia. Policja nie wydaje nakazu aresztowania na podstawie czyichś życzeń.

- No to proszę je zdobyć, panie Fowler.

- Pracuję nad tym, pani Baird.

Pożegnał się i włączył telewizor w nadziei znalezienia jakiejś lekkiej rozrywki, trafił wszakże na polityczną bezpardonową walkę. Gdy Hallie i senator Chisolm skończyli krwawą rundę, wyłączył telewizor i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

Zastanawiał się, jaka całość powstanie z faktów, które obiecał dostarczyć Pameli Baird. Fakty to dziwna sprawa: są jak kawałki gliny - oderwane od podłoża, czasami wzbudzają zainteresowanie, ale zazwyczaj nikt się nimi nie przejmuje. Gdy jednak złożyć wszystko razem, można kształtować je według woli rzeźbiarza. Gdyby chciał, by wyglądało, że Lionel Baird naprawdę popełnił samobójstwo, z pewnością znalazłby wystarczającą ilość dowodów na potwierdzenie tej hipotezy, jeżeli jednak przeciwnie, pragnął wyniku wskazującego na morderstwo, zdołałby także bez trudu wyszukać argumenty na poparcie takiej teorii. Trudność polega na zebraniu wszystkich kawałków, złożeniu ich w logiczną całość i umiejętności odrzucenia lub zaakceptowania prawdy.

Jake kontynuował swój obchód, wpatrzony w karteluszeki zaśmiecające stół. Byłoby fajnie, pomyślał, gdyby wystarczyło tylko ułożyć strzępy informacji w jakąś sensowną całość. Ale wiedział jedno: pobożne życzenia nie gwarantują osiągnięcia celu - nauczył się tego już mając czternaście lat. Ogarnięty nagłą potrzebą działania, usiadł przy stole, odsunął stertę papierków na bok i sporządził listę czynności do wykonania: sprawdzić, kto kryje się za East Gorham Associates, kim są Bates i Beth i ja - ki mają związek z Lionelem, dlaczego pobito kamerdynera Thompsona i gdzie dokładnie

przebywała i co robiła Max w noc śmierci Bairda. I dlaczego nigdy o tym nie rozmawiali.

Ostatnie okazało się najtrudniejsze do przełknięcia. Jake zmuszał się, by nie interpretować milczenia Amandy jako dowodu winy. Powtarzał sobie, że może istnieć wiele powodów, dla których Max nie opowiedziała mu o znajomości z Lionelem Bairdem, ale bardzo pragnął znaleźć choć jeden, nadający się do zaakceptowania. Jeżeli tylko doradzała mu przy zakupie dzieł sztuki, dlaczego nie wyjawiała, że go znała, gdy dotarła do niej wiadomość samobójstwie? Temat numer jeden dla wszystkich, tylko nie dla niej.

Nawet jeżeli Pamela miała rację i Max była kochanką Lionela, Jake nie mógł zrozumieć powodów jej milczenia. Ten człowiek nie żył. Dlaczego nie miałyby się przyznać do łączącego ich związku, czemu nie okazała żalu czy gniewu? Dlaczego nie zasięgnęła opinii drugiej osoby co do przyczyny samobójstwa? Ponieważ, idioto, nie byłoby zbyt ładnie z jej strony, gdyby zaczęła roztrząsać śmierć jednego kochanka w ramionach drugiego. Jake prychnął, nie mogąc pozbyć się z myśli goryczy. Nalał sobie szklankę wina. Dręczony konfliktem wewnętrznym, zwrócił się ku przyjemniejszemu domysłom, które nie niszczyły jego poczucia własnej wartości i nie zagrażały uczuciu wypełniającemu serce.

Jeżeli tamten romans należał już do przeszłości, zapewne Max nie chciała ściągać na siebie uwagi. Zważywszy na komentarze prasowe, czy można się temu dziwić?

A może ich znajomość nie miała nigdy nic wspólnego z seksem i Amanda obawiała się, że z powodu tajemnicy, w jakiej ją utrzymywali, ludzie mogliby podejrzewać coś całkiem przeciwnego. Pamela właśnie tak pomyślała, Jake też. Może Lionel pomagał jej w karierze. Jake widział go na wystawie u Lloyda Franksa, Baird kupił nawet kilka prac Amandy. W biurze wielkiego finansisty też wisiał portret z cyklu „Bez nadziei”, Jake zauważył go, kiedy przyszedł porozmawiać z Freddą. Nie pierwszy raz Baird występowałby w roli mecenasa sztuki.

Być może ich znajomość tak właśnie się zaczęła, a z biegiem czasu rozwinęła się w czysto platoniczną, satysfakcjonującą obie strony przyjaźń - znał podobne przypadki. Lionel, rozdarty między żoną a kochankami, znalazł w Amandzie cudowną towarzyszkę. Jak Fowler powiedział Pali, Baird był mężczyzną interesującym,

przystojnym i bogatym. Okazywane Max zainteresowanie mogło ją oczarować, w końcu jest tylko pracownicą nowojorskiej policji i nie stać by jej było na obiady w „Le Cirque” lub „La Cote Basque”, czy też rozbijanie się limuzyną po mieście.

Słyszając o śmierci Lionela, Amanda mogła poczuć się zbyt zażenowana, by przyznać, że oszołomił ją swą pozycją i bogactwem - Jake miał okazję poznać wyjątkowe poczucie dumy i niezależności tej dziewczyny. Może w głębi duszy rozumiała, że w pewnym sensie się sprzedaje i nie chciała przed nikim się tłumaczyć, a zwłaszcza przed nim.

Padł na kanapę, popijając wino. Zdawał sobie sprawę, że za wszelką cenę próbuje ułożyć z całej masy niemiłych szczegółów jakąś dającą się zaakceptować całość. Ale, powtarzał sobie, podobnie jak fakty zebrane i niepołączone w logiczny ciąg, wilgotna glina, pozostawiona sama sobie, twardnieje i pęka - natomiast delikatnie ugniatana, może przybrać kształt pełen wyrazu.

Jake popijał wino nieustannie układał fakty. Rozmyślał nad informacjami zdobytymi od recepcjonisty z „Plaży” i od Roberta z „La Cremaillere”. Zastanawiał się nad spostrzeżeniami Freddy, podejrzeniami Pameli, nad odczuwanym przez siebie teraz niepokojem.

Zawsze chwalił się, że potrafi oddzielić uczucia osobiste od spraw zawodowych i podchodzić do problemu w sposób obiektywny, nieskażony nadmiernym optymizmem ani zbyt wąskim i ograniczonym polem widzenia. Teraz, choć starał się ze wszystkich sił, nie mógł przestać myśleć o swej miłości do Max. Uczucie kierowało każdym pytaniem, jakie sobie stawiał, wpływało na każdą odpowiedź.

Zamykało ścieżki myślowe, które powinny pozostać otwarte i nie pozwalało rozumowi wdzierać się do miejsc, które powinny go zainteresować. Bliski rozpaczy, odstawił szklankę, potrząsnął głową i głęboko wciągając powietrze, zmusił się do powrotu na właściwy szlak.

- Pozwól prowadzić się faktom - powtarzał - niech powiodą cię do prawdy. Ona gdzieś tam jest, musisz tylko podążać właściwym tropem.

Niczym trener napominający swą drużynę, Jake przywołał się do porządku i skarcił za emocjonalne lenistwo. Przypomniał sobie

rozmowę z Pamela Baird sprzed kilku godzin i powtórzył, tym razem sobie, ostrzeżenie, jakim ją uraczył: nie wolno naginać faktów do własnych potrzeb. Zbierz dowody, solidne i niepodważalne, takie jak te, przy których w sądzie nie wyszedłbyś na głupka. Przesunął wzrokiem po ciemnym ekranie telewizora i ni stąd, ni zowąd przyszła mu do głowy bardzo intrygująca myśl. Podczas słownego pojedynku w studiu Hallie postawiła ciekawe pytanie: Czy śmierć Lionela została spowodowana nieustającą publiczną nagonką na niego? A może to końcowy akt tragedii, która rozegrała się dwadzieścia jeden lat temu? Niechęć Chisolma do podjęcia owej kwestii także dawała wiele do myślenia. Może upiory procesu sprzed ponad dwudziestu lat powróciły, by dręczyć Lionela Bairda, aż chwycił za trzydziestkę - ósemkę.

A może, pomyślał Jake ze wstydem, w poszukiwaniu winnego czepiam się każdej nitki nadziei - duchów także - byle tylko wskazać kogokolwiek, kto mógłby być odpowiedzialny za śmierć Lionela Bairda.

Wszystko jedno, kto by to miał być - tylko nie Amanda Maxwell. Rozmowa telefoniczna z ojcem była stałym elementem niedzieli Little Raya Saviano, podobnie jak obiad u matki. Obydwie czynności należały do uświęconego tradycją rytuału, ale nawet gdyby wymazano je z listy synowskich obowiązków, Little Ray nie pozbawiłby się przyjemności zjedzenia obiadu w rodzinnym domu. Matka karmiła go, rozpieszczała i darzyła podziwem, zachowując niewzruszoną wiarę w dobroć syna, niezależnie od tego, co trąbiła prasa czy ktokolwiek mówił. Ojca trudniej przychodziło mu zadowolić.

Każdej niedzieli, dokładnie o siódmej, Little Ray wykręcał specjalny numer do więzienia Joliet. Po wstępnych powitaniach i najnowszych informacjach o krewnych, syn miał obowiązek zdawać uwięzionemu relację z interesów rodziny Saviano. A że rozmówcy przypuszczali, iż każda ich wypowiedź jest nagrywana, porozumiewali się za pomocą umówionego szyfru, co czyniło rozmowę jeszcze trudniejszą dla niezbyt elokwentnego Little Raya. Wynajdywanie słów, które nie groziłyby natychmiastową wpadką, wymagało od niego wiele wysiłku. Nic z tego, co zrobił, nie spotkało się jeszcze z aprobatą ojca. Big Ray bezustannie zanudzał syna opowieściami, jak wyglądały niegdyś sprawy rodzinne. Little Ray starał się wyjaśnić ojcu, jak jest obecnie, ale Saviano senior nie bardzo

przyjmował synowskie tłumaczenia. Oczywiście trochę więcej spektakularnych sukcesów wzmocniłoby argumenty Little Raya. I jak wciąż powtarzał ojcu, to on był na pierwszej linii, on prowadził nieustającą walkę. To on niósł sztandar Savianów.

A także, o czym przypominał mu ojciec każdej niedzieli: to on mógł zagrozić pozycji rodziny. Tym razem jednak syn miał dobre wiadomości.

- Ten głupek idzie do pierdła na dobre - oznajmił ojcu ze śmiechem, mocną gestykulacją podkreślając wagę tej wiadomości. - Człowieku! Jak on wymłócił swoją starą, powinienes zobaczyć te zdjęcia!

- Jesus Vazquez to zwierzę, zasłużył na karę.

Big Ray potępiał mężczyzn, którzy nie okazywali szacunku matkom swych dzieci, a jeszcze bardziej, gdy dali się na tym złapać i musieli pracować własne brudy publicznie, objawiając domowe kłopoty przed swymi wrogami.

- Sędzia mniej więcej powiedział to samo - prychnął Little Ray. - Nazwał tego głupka dziką bestią. Ja się wtedy zmyłem, ale jego koleś dostali szału.

- Dlaczego uważasz, że to dla nas korzystne? LA wymieni Vazqueza na kogoś innego i znów wszystko zacznie się od początku, synu.

- Już nawet kogoś przysłali i ja się z nim spotkałem - odpowiedział Little Ray zadowolony, że choć raz może posiedzieć ojcu o czymś, czego tamten jeszcze nie wie. - Angel Rodriguez, taki starszy już gość od Espinosy, przyjechał z Meksyku. Rozmawialiśmy przed budynkiem sądu. - No i?

- Możemy być spokojni, ten człowiek rozumie, że lepiej działać z nami niż przeciw nam. Big Ray w swojej celi skinął głową, na jego ustach ukazał się uśmiech.

- Świetnie, a jak interesy?

- Muszę ci przyznać, ojciec - już od dawna starszy Saviano nie słyszał w głosie syna tyle pokory i szacunku - miałeś rację: nie wolno zwracać na siebie zbytnej uwagi. Dyskrecja przede wszystkim, w ten sposób udało nam się już wyeliminować dwie rodziny.

- No to wreszcie skończyłeś tę wewnętrzną wojnę?

- Niezupełnie - przyznał Little Ray - ale działamy tak, jak radziłeś, wzmogliśmy ostrożność. Ciała wyrzucamy tam, gdzie zbyt

szybko nie zostaną odnalezione, nie zostawiamy glinom na widoku trupów.

- Żeby prasa o nich pisała - dokończył Saviano senior.

- Właśnie. - Dla Little Raya rezygnacja z rozgłosu w mediach stanowiła olbrzymie poświęcenie. - Teraz zresztą nikogo nie obchodzi, co robimy. Tak są zajęci samobójstwem tego rekina z Wall Street, że nikt nie zwróciłby uwagi, nawet gdybyśmy się wszyscy pozabijali, a nasze ciała zostały poukładane wzdłuż Piątej Alei!

- Szczęśliwie dla nas - odrzekł Big Ray.

- Aha - zgodził się bez entuzjazmu jego syn - rzeczywiście.

Amanda rozmawiała właśnie przez telefon z Thompsonem, gdy dźwięk pagera przypomniał jej, że miała zadzwonić do Beth. Ucieszona poprawą stanu zdrowia starego kamerdynera, odłożyła słuchawkę; po wypisaniu ze szpitala Thompson uda się, pod ochroną wyznaczonego przez policję anioła stróża, na rekonwalescencję do posiadłości Lionela w Hamptons. Wybrała numer podany przez matkę i po chwili połączyła się z budką telefoniczną w Beverly Wilshire Hotel.

- Przyjeżdżam do Nowego Jorku - bez żadnych wstępów oznajmiła Beth.

- Nie powinnaś. - Powracanie do strefy zagrożenia naruszało warunki programu.

- Jaime Bastido nie powinien był zapaść się pod ziemię, a Lionel umrzeć. Amanda nie zamierzała zwierzać się matce ze swej niemal stuprocentowej pewności co do pojawienia się Bastida w Nowym Jorku ani tym bardziej opowiadać, że ich śmiertelny wróg otrzymał nową twarz i teraz dzięki sztuce chirurgów plastycznych w doskonałej formie kręci się po mieście. Zamiast tego powiedziała cicho:

- Zajmuję się sprawą śmierci tatusia.

Użyte przez córkę zdrobnienie zaskoczyło Beth; słowo „tatuś” zabrzmiało w ustach Amandy jakoś dziwnie i smutno, a równocześnie cudownie.

- Nie wiedziałam, że mówiłaś do niego „tatusiu”.

- Od czasu do czasu, kiedy byliśmy sami.

- Z pewnością bardzo to lubił.

- Rzeczywiście. - Amanda z trudem powstrzymała wzbierający w jej piersi szloch. Zamilkły, każda zatopiona we własnym smutku.

- Tak bardzo się cieszę, że przyjechałam do Nowego Jorku i mogłam być znowu z nim razem. Żałuję tylko, że tak długo zwlekałam - przerwała milczenie Amanda.

- Nie dręcz się - upominała ją Beth. - Czas, jaki mieliście dla siebie, zatrzymaj niczym skarb, nie pomniejszaj go żalem.

- Znowu go pokochałam - szepnęła córka.

Chwile spędzone z ojcem przesuwały się przed oczami Amandy: spotkanie na pizzy u Rudy'ego, wręczenie jej złotego zegarka, podziw dla fotografii i krytyczny stosunek ojca do jej zawodu; no i ten ostatni obiad u niej w mieszkaniu. Spojrzała na mały flakon, w którym wciąż stały kamelie od Lionela. One też umarły.

- Okazywał mi wiele miłości. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Tak bardzo próbował nadrobić stracony czas, że myślę że najchętniej zabrałby mnie do Disneylandu. Beth uśmiechnęła się do słuchawki.

- Całkiem możliwe. On cię kochał, maleńka, dałby ci wszystko, o co byś tylko poprosiła, i zabrał na koniec świata, gdybyś tego chciała...

- Tak bardzo się starał, ale przecież wiesz, że mnie nie zależy na drogich prezentach ani eleganckich miejscach i doprowadzałam go tym do : szaleństwa. - Amanda zachichotała, lecz głos jej znów się załamał. - Chciałam tylko spędzać z nim czas i nie sprawiało mi różnicy, czy zamawialiśmy jedzenie na wynos w chińskiej restauracji, czy szliśmy gdzieś na wytworną ucztę. Był moim tatusiem i tęsknię za nim.

- Ja też. - Beth, która prawie nigdy niczego nie ukrywała przed córką, tym razem postanowiła zachować dla siebie marzenia o tym, jak mogło potoczyć się jej życie. - Dlatego przyjeżdżam do Nowego Jorku. Ty i ja musimy się spotkać i porozmawiać. Pewność w głosie matki nie zwiodła Amandy, rozpoznała w nim napięcie i strach.

- A co wujek Sam sądzi o tej podróży?

- Nie powiedziałałam mu.

- Dlaczego? - W głowie dziewczyny włączył się sygnał alarmowy.

- Nie spodobałby mu się ten pomysł, zresztą znów wyjechał z miasta. Prawdopodobnie odwiedza siostrę.

Gdy Amanda poprosiła Sama, by skontaktował się z biurem lekarza sądowego, Bates powiedział jej o chorobie Gail. Bardzo się starał, by uwierzyła, że jego wyjazd w niczym nie zagraża

bezpieczeństwu Beth. Zupełnie niepotrzebnie, bo Amanda świetnie wiedziała, że w okolicznościach takich jak ta, system ochrony działał automatycznie, jeśli żadna z zasad nie została złamana, program dawał gwarancję na całe życie.

- Nawet jeżeli Sama nie ma w mieście, w biurze dowiedzą się o twoich planach.

- Jeden z ważniejszych punktów programu stanowiło sprawdzanie rozmów telefonicznych i korespondencji chronionego

- Nie dzwonię do ciebie z domu, a twój aparat nie jest na podsłuchu.

- Twój przyjazd do Nowego Jorku może okazać się wielkim błędem. - Amanda nie chciała straszyć matki, ale jeżeli ją samą śledzono czego była pewna, najgorsze, co mogłyby zrobić, to dostarczyć wrogowi okazji do upolowania ich obu za jednym zamachem. - Nie powinniśmy przebywać razem w tym samym miejscu.

- Jestem śmiertelnie zmęczona tymi wszystkimi „nie powinniśmy”. Muszę cię przytulić i upewnić się, że wszystko w porządku, a żadnej z nas nic nie zagraża. W Amandzie głos rozsądku zmagał się z potrzebą serca.

- Dobrze - poddała się wreszcie. - Zarezerwuj lot na Newark Air - port. Spotkamy się w hotelu „Marriott”. Spędzimy razem kilka godzin, a potem wsadzę cię w samolot do Kalifornii, odpowiada ci to?

- Wyśmienicie - Beth ponownie uśmiechnęła się do słuchawki - zwłaszcza że mam już bilet na dzisiaj, na popołudniowy lot o drugiej trzydzieści. Przesiadę się w Dallas i ląduję na Newark o wpół do pierwszej w nocy.

Przez następne godziny Amanda wykonywała rutynowe czynności detektywistyczne. Po raz nie wiadomo który przestudiowała fotografie zrobione w domu Lionela. Jak zwykle przepełniały ją smutkiem, ale nie dawała jej spokoju świadomość, że to, czego szuka, wprost kłuje w oczy z jakiegoś zdjęcia, a ona wciąż porusza się po omacku. Zupełnie jakby otworzyła czytaną już kiedyś książkę, ale tym razem napisaną w języku, którego nie rozumiała. Zdenerwowana i zniechęcona, odłożyła zdjęcia do schowka.

Jako detektyw i specjalista w dziedzinie techniki kryminalnej, Amanda doceniała wagę cierpliwości, choć nie zawsze okazywała się najlepsza w tej sztuce. Gdyby tak każdy drobiazg znaleziony na

miejscu zbrodni dostarczał solidnych dowodów, wskazujących na podejrzanego, w dodatku nie do zakwestionowania na sali sądowej! Niestety, jakże często zabezpieczone ślady okazywały się bez znaczenia. Oczywiście nie wolno było ich pomijać podczas oględzin. Czynności dochodzeniowe obejmowały wszystko: zadawanie pytań, analizę odpowiedzi, rejestrowanie wszelkich wskazówek, rozpatrywanie różnych możliwości, stawianie hipotez, a wreszcie wyciąganie logicznych wniosków na podstawie łańcucha udokumentowanych przesłanek. Na szczęście nowoczesna technologia pozwalała wykonać sporą część tej pracy w domu, na komputerze.

Weszła do bazy danych nowojorskiej policji, otworzyła plik zawierający informacje o prywatnym życiu Lionela, a potem przeszukiwała wszelkie istotne ścieżki sieci Web, dostępne dla pracowników Departamentu Sprawiedliwości. Sprawdziła dane osób zatrudnionych w domu ojca. Jak się spodziewała, służba, przyjmowana do pracy i szkolona przez Thompsona, okazała się bez skazy. Nawet nadprogramowi kelnerzy i kelnerki, których kamerdyner zatrudniał dorywczo przy okazji większych przyjęć, pracowali u Lionela od lat i posiadali wyśmienite referencje.

Al Heflin, najnowszy członek ekipy ochroniarzy, był policjant, którego Lionel określił jako twardziela o wielkim sercu, przez dziesięć lat pracował w jednym z najniebezpieczniejszych obwodów Queens. Działał też jako wywiadowca w wydziale narkotykowym, ale po stracie drugiego partnera na jednej z najgorszych ulic Nowego Jorku nie wytrzymał. Po odejściu z policji Heflin przez trzy lata pracował jako szofer i ochroniarz u rozwiedzionego właśnie korporacyjnego bonzy, a następnie zatrudnił 'się u pewnej rodziny, gdzie zapewne pozostałby do tej pory, gdyby Lionel nie przedstawił mu wyjątkowo korzystnej propozycji. Poza hojnym wynagrodzeniem, obiecał przekazać kwotę w wysokości rocznej pensji Heflina na fundusz utworzony dla rodzin poległych policjantów.

Tony Calandra był w ekipie najstarszy. Czterdziestolatek, w świetnej formie, ekspert od broni, spędził dwadzieścia lat w armii. Po przejściu na emeryturę postanowił dorobić sobie jako ochroniarz. Złożył ofertę w Baird, Nathanson & Spelling i w ciągu dwóch lat pracy przekształcił pięćdziesięciosobowy personel ochroniarski przedsiębiorstwa w niezwykle efektywnie działający zespół. Gdy opracował rutynowe działania i przeszkolił personel w „agresywnej

czujności", Lionel zatrudnił go do ochrony własnej osoby. Amanda przypomniała sobie, jak ojciec mówił o nim: „Schwarzenegger bez akcentu”.

Bruno Vitale także służył w armii, o wiele krócej jednak niż Calendra. Wstąpił do marynarki zaraz po szkole i zanim został zwolniony, ukończył dwa okresy służby kontraktowej. Amanda próbowała dowiedzieć się o powody jego zwolnienia, lecz nie zdołała uzyskać dostępu do tej informacji. Z danych Lionela wynikało, że Vitale po opuszczeniu armii miał się rozmaitych zajęć: pracował jako bramkarz w nocnym barze, kierowca limuzyny, salowy i robotnik budowlany. Wreszcie odnalazł się jako ochroniarz. Zanim zatrudnił się u Lionela, pracował u kilku innych bogaczy. Z wymienionej trójki właśnie przy nim Baird czuł się najbezpieczniej.

- To zbir - powiedział kiedyś ojciec Amandzie. - Ale nie wie, co to strach, wykonuje rozkazy bez zbędnych pytań i jest lojalny jak nikt. Upewniwszy się, że nic w przeszłości służby nie budzi podejrzeń, zaczęła rozważać inne kierunki dociekań. Zastanawiały ją dwie sprawy: Thompson wspomniał o spotkaniu Lionela z Tylerem Graysonem; a ojciec powiedział jej, że utrwała na taśmie wszystkie swoje rozmowy.

Miał urządzenie do nagrywania także w rezydencji czy tylko w biurze? Podrapała się po głowie, jakby ten gest miał odświeżyć jej pamięć. Magnetofon włączał się na dźwięk głosu, tego była pewna. Lionel uważał, że jego goście, nie wiedząc o niczym, zachowywali się naturalniej, niż gdyby pamiętali, że muszą się starać, aby dobrze wypadli na playbacku. Ojciec pokazał jej magnetofon zainstalowany w biurze i wyjaśnił zasadę działania mikrofonu podłączonego zarówno do komputera jak i do zwykłego urządzenia nagrywającego. Jeżeli spotkanie nie było godne uwagi, Lionel wymazywał taśmę i kasował plik. Jeżeli jednak pragnął w przyszłości powrócić do nagranej rozmowy, przechowywał ją na tajnym pliku w komputerze, a taśmę kasował.

No tak, wspaniale! Amanda zaklęła i zacisnęła pięści - przecież nie zna hasła. Nie wiedziała także, czy w domu ojciec rejestrował rozmowy na komputerze. Nawet jeżeli tak, to ona nie potrafi otworzyć pliku.

Nagle oczy jej zabłyśły. W bibliotece nie widziała komputera. Jeżeli Lionel nagrywał rozmowy, to tylko na magnetofon.

Czy policja znalazła i zabezpieczyła jakąś taśmę? Amanda nie przypominała sobie, by ją widziała w archiwum dowodów. Co nie oznacza, że nie istnieje. Jeżeli magnetofon był równie dobrze ukryty jak tajne drzwi, policja po prostu go nie znalazła.

Musi wrócić do biblioteki i poszukać taśmy. Jeżeli ktoś zamordował Lionela, głos mordercy został nagrany. Jeżeli ojciec zabił się sam, może przed śmiercią wypowiedział jakieś słowa, które pozwolą zrozumieć, dlaczego to zrobił. To ryzykowna gra, moja droga, ostrzegęła sama siebie, ale zaraz zaczęła rozważać, jak i kiedy najlepiej tam się zakraść.

Miała jeszcze jeden powód, by dostać się ponownie do biblioteki. Choć nienawidziła Hallie Brendel, poprzedniego wieczora zwróciła uwagę na słowa, jakie reporterka wypowiedziała w programie, w którym występował Chisolm: Lionela Bairda zabiła przeszłość.

Ponieważ Amanda także podejrzewała upiory z przeszłości, postanowiła, choć z ciężkim sercem, przyjrzeć się im dokładniej.

Zanim i ją pociągną za sobą.

Nigdy jednak nie dotarła do biblioteki. Właśnie miała wyjść z mieszkania, gdy zadzwonił Tyler Grayson i zaproponował wspólny obiad.

Typowo wielkowiejska restauracja „March”, ekskluzywna, a przy tym niewielka i roztaczająca nastrój intymności, znajdowała się na East Side. Tyler poprosił o stół w głębi, od strony ogrodu. Gdy usiedli, zamówił butelkę wina.

- Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną przyjemność? - spytała Amanda. - Podziwiała jego przystojną twarz, świetnie skrojony, ciemnogrnatowy garnitur, jasnoniebieską koszulę w prążki i opalizujący głębokim błękitem krawat. Grayson wyglądał jak uosobienie sukcesu. Tylko cień w jego oczach mówił o zagubieniu.

- Ostatnim razem zachowałem się jak krety, chciałem więc zatrzeć tamto wrażenie.

Uśmiechnęła się, mile ujęta, gdyż wciąż zajmował pewien kącik w jej sercu, choć tym razem przyjemność przebywania w towarzystwie Gray - sona zakłócało Amandzie poczucie, że nie jest wobec niego całkiem szczerą. Dosłownie chwilę wcześniej, nim zadzwonił, uznała, że musi pociągnąć go za język. Może to zbieg okoliczności, może jakiś znak, a może po prostu potwierdziła się słuszność powiedzenia, że na wszystko przychodzi odpowiednia pora.

- Wyrażanie swych uczuć nie czyni z nikogo kretyna, Tyler. W porównaniu z takimi tchórzami jak ja, którzy unikają ostatecznych deklaracji, wypadłeś niczym emocjonalny Herkules. - Grayson skwitował komplement uśmiechem. - Poza tym - niby mimochodem włączyła do rozmowy interesującą ją kwestię - o ile pamiętam, byłeś wtedy mocno wzburzony tragiczną śmiercią szefa. Zanim zdążył coś odpowiedzieć, pojawił się kelner z winem i kartą. Amanda z niezadowoleniem przyjęła to chwilowe zakłócenie rozmowy, lecz Grayson nie zwrócił uwagi na jej rozczarowanie. Całkowicie pochłonął go rytuał oceny: zakręcił kieliszkiem, sprawdził bukiet, wziął odrobinę na język, a w końcu przełknął i kiwnięciem głowy wyraził aprobatę dla sauvignon blanc. Kelner napełnił kieliszek Amandy, dolał wina Graysonowi i oddalił się dyskretnie.

- Za duszę Lionela Bairda! - Tyler uniósł kieliszek. - Niech spoczywa w pokoju. Z trudem udało jej się nie okazać wzruszenia.

- To miło z twojej strony - zauważyła i upiła łyk wina. Jej towarzysz wzruszył ramionami i zmarszczył brwi.

- Wciąż nie mogę się z tym pogodzić. Śmierć Bairda wydaje się taka bezsensowna. - Przechylił kieliszek i obserwował ukośną powierzchnię jasnoprzeźroczystego płynu, jakby w winie mógł znaleźć odpowiedź na pytanie, na które nie ma odpowiedzi. - Tak pewnie ocenia się każde samobójstwo, zwłaszcza gdy ten, który odbiera sobie życie, nie pozostawia listu pożegnalnego. Skąd on o tym wie? - zastanowiła się Amanda.

- Znałście się - zaryzykowała. - Czy odniosłeś wrażenie, że ostatnio coś go dręczyło?

- Co masz na myśli? - odpowiedział pytaniem i niemal burkliwie, jakby zażenowany przeniesieniem rozmowy na zbyt osobisty grunt.

- Nic szczególnego. Tyle że pracowaliście razem i nie mogę sobie wyobrazić, by w takiej sytuacji nie dostrzec zmiany nastroju kogoś znajdującego się u progu samobójstwa.

- Rozmawialiśmy wyłącznie o sprawach zawodowych i nie miałem pojęcia, jak układało mu się życie osobiste.

- Lionel Baird zapewne nie był typem człowieka, który zwierza się współpracownikom.

- O nie. I chyba nie miał wielu przyjaciół.

Choć niechętnie, Amanda musiała przyznać Tylerowi rację, notes ojca z adresami nie był przepełniony. Przypuszczalnie większość

znajomości łączyła się z kontaktami zawodowymi; niektóre, jak przypuszczała, dotyczyły seksu.

- W każdym razie interesy na Wall Street kwitną, byłby zadowolony.

- Owszem, gdyby nie zagrożenie konsolidacją - oświadczył Tyler; Amanda zrobiła zaskoczoną minę.

- Lionel niepokoił ostatnio trend do wykupywania domów maklerskich przez większe banki, miały już miejsce ze dwa takie przypadki. Także w Baird, Nathanson & Spelling musieliśmy podjąć pewne kroki zaradcze, by nie połknęło nas owo bankowe monstrum.

Amanda przypomniła sobie którąś rozmowę z ojcem. Bał się wrogiego przejęcia. Czy na dzień lub dwa przed śmiercią dowiedział się o czymś zagrażającym jego firmie? Czy podobna wiadomość mogła skłonić go do samobójstwa? I czy to Tyler był dostarczycielem owych złych wieści?

- Tak naprawdę - ciągnął jej towarzysz, jak gdyby także próbując zrozumieć, co właściwie przytrafiło się Lionelowi - prawdziwą przyczynę konfliktu między Bairdem a senatorem Chisolmem stanowiła właśnie kwestia konsolidacji.

- Jak to? - Serce dziewczyny zabiło żywiej.

- Lionel i prezesi większości najpoważniejszych domów maklerskich chcieli, by Chisolm poparł ustawę powstrzymującą ten rodzaj działalności. Senator zgodził się, lecz kilka miesięcy temu dosłownie z dnia na dzień zmienił front.

- Z powodu kampanii wyborczej?

- Nie sądzę. Zresztą Chisolm ma przyjaciół w kręgach finansowych. Sam przecież wywodzi się ze Street i dobrze wie, jak groźna może się okazać nadmierna konsolidacja. Wie też, pomimo tej swojej całej bombastycznej retoryki, że większość jego dawnych kumpli - finansistów niezbyt przejmuje się kazaniem o brudnych pieniądzach; prawda jest taka, że wszystko skończy się na gadaniu i oni dobrze o tym wiedzą. On także. - Tyler potrząsnął głową, jakby wciąż dziwił się hipokryzji nieodłącznej stosunkom między światem polityki i biznesem. - Muszę przyznać Lionelowi rację w jednym: Chisolm zmienił zdanie wyłącznie z pobudek osobistych.

Amanda zacisnęła usta. Pamela Baird.

- Całkiem możliwe. Czy senator Chisolm nie był przypadkiem zaręczony z niedoszlą eks - żoną Bairda?

- Tak, a obecną z wdową Baird.

Ilekcio Amanda pomyślała o Pameli, paradującej w żałobnych szatach z wytwornego domu mody, aż coś ją skręcało w środku. Ta kobieta nie tylko dostarczyła nierzetelnych informacji Hallie Brendel, lecz najwyraźniej próbowała mieszać w sprawach Baird, Nathanson & Spelling. Nic dziwnego, że Lionel nie krył goryczy.

- Jak się nad tym zastanowić - ciągnęła, starając się choć na chwilę zapomnieć o swej niechęci do tamtej - kampania wyborcza Chisolma wydaje się zaplanowanym pasmem oszczerstw. Za każdym razem, kiedy senator otwierał usta, by coś powiedzieć, natychmiast obrażał pana Bairda. Czyżby w ten sposób chciał zdobywać punkty? Na mnie zrobił wrażenie człowieka małostkowego i mściwego.

- Masz całkowitą rację.

Tyler wypił wino do dna. Wydawał się czymś zaniepokojony. Dał znak kelnerowi, by ten ponownie napełnił kieliszki i przyjął zamówienie. Amanda odstawiła swój kieliszek. Na dzisiaj wystarczy. Chciała zachować jasność myśli. Gdy zostali sami, wróciła do poprzedniego tematu.

- Wydawać by się mogło, że po samobójstwie pana Bairda senator powinien zaprzestać dalszych obelg. Choćby ze zwykłego szacunku dla zmarłego, jeżeli nie z innego powodu.

Grayson prychnął z pogardą.

- To niemożliwe! Dla takich jak Chisolm liczy się tylko ich elektorat. Jeżeli kopanie martwego Lionela Bairda przysporzy mu głosów, senator wyciągnie ciało zmarłego na podium i nawet publicznie sprofanuje. Chisolm to świnia.

- A ta reporterka, Hallie Brendel, wygląda na niewiele lepszą. Chociażby wczoraj wieczorem oświadczyła w wiadomościach, że Bairda dopadły grzechy z przeszłości. Czy przypadkiem grubo nie przesadziła? Jak myślisz, czy „Dzień Prania” mógł w jakiś sposób przyczynić się do jego śmierci?

Zamilkła, by dopuścić Tylera do głosu, ale milczał. Kelner przyniósł zamówione dania i jej towarzysz z zapalem zajął się rybą na swym talerzu. Amanda bez przekonania dziobała jedzenie widelcem. Po chwili zapytała:

- Czy krytyka w prasie wpłynęła jakoś na interesy Baird, Nathan - son & Spelling?

- Może trochę, ale przy wahaniach na rynku trudno powiedzieć, czy spadek wynika z ogólnego trendu, czy też ma jakąś konkretną przyczynę.

- Jednak właśnie spadku życzył wam z pewnością Chisolm.

- Co masz na myśli? - Źrenice Tylera poszerzyły się lekko. Odstawił kieliszek.

- Byli rywalami. Dla mężczyzn, których władza opiera się na pieniądzu, piętą Achilleusa może się okazać stan konta bankowego. Naruszenie podstaw działalności handlowej Bairda dawało Chisolmowi przewagę. Lionel musiał odpowiedzieć kontratakiem.

- Odpowiedział na zarzuty Chisolma.

Amanda poczuła wielką satysfakcję, że choć Tyler wielokrotnie atakował Lionela, zawsze okazywał mu podziw, biorąc jego stronę.

- Nie - poprawiła go - on się bronił, a powinien zaatakować: dowiedzieć się, dlaczego tamten nie wywiązał się z obietnicy i wyciągnąć to na światło dzienne. Powinien był zmusić Chisolma do defensywy.

- Masz absolutną rację! - wykrzyknął jej towarzysz, odrzucając dotychczasową powściągliwość. - Dokładnie to samo radziłem mu tamtego popołudnia. Bingo!

- To znaczy kiedy?

Tyler poczerwieniał. Uświadomił sobie, że wyrwało mu się coś, o czym nie powinien był mówić, ale już nie mógł się cofnąć. Zmierzył Amandę wzrokiem, oceniając jej zdolność do dyskrecji. Gdy wreszcie się odezwał, mówił tak cicho, że aby go usłyszeć, musiała pochylić głowę.

- Spotkałem się z Lionelem na kilka godzin przed jego samobójstwem.

- Naprawdę? - Udawała zdziwioną i starała się zachować spokój.

- Byłeś tam, w jego miejskiej rezydencji?

Przytaknął kiwnięciem głowy, a jego szare, pełne niepokoju oczy pociemniały.

- O czym rozmawialiście?

- O problemach zawodowych, jak zwykle.

Akurat! Masz wypisane na twarzy, że tym razem chodziło o sprawy osobiste.

- Dostaliście wiadomość o konsolidacji, a może Lionel prosił cię o pomoc w powstrzymaniu tego procesu?

Grayson potrząsnął głową. Utkwił wzrok w kryształowej czarce, jakby zaczarowany obrazami, jakie dostrzegł we szkle.

- Chodziło o stanowisko prezesa? Och, Tyler, czyżbyś zwyciężył? - Szukała po omacku: jeden przycisk nie zadziałał, spróbuj nacisnąć następny. - Zaprosił cię do domu, by przekazać dobrą wiadomość, zanim powie innym? Wyprostował się i wysunął zaczepnie brodę; oczy, pociemniałe i twarde niczym granit, patrzyły gdzieś w pustkę.

- Nie, Amando, przegrałem. Zaprosił mnie, by mi zakomunikować, że nie zostanę prezesem. Zmienił zdanie, postanowił pozostać w firmie jeszcze długo. - Usta Graysona wykrzywiły się w krzywym uśmiechu. - Czuł się jak odmłodzony, miał nowe siły.

Amandzie huczało w głowie. Musiała przywołać na pomoc całe swe dotychczasowe doświadczenie, by zachować współczującą minę.

- Czy cię zwolnił lub zdegradował? - spytała ostrożnie.

Obawiała się odpowiedzi; rozpaczliwie pragnęła poznać prawdę, ale nie chciała, by Tyler okazał się w jakikolwiek sposób w to zamieszany.

- Nie, po prostu zwyczajnie zlekceważył mnie. Zachowywał się tak, jakby moje aspiracje i ambicje moich kolegów były wyłącznie naszą sprawą, jakbyśmy sami wymyślili tę rywalizację i teraz powinniśmy ponieść karę za nadmierne ambicje. Był szczęśliwy i nic więcej się dla niego nie liczyło. - Z gniewem spojrział w głąb kieliszka. - Lionela Bairda jak zwykle nie interesowały doznania innych. Nie czuł się w najmniejszym stopniu odpowiedzialny za nasze położenie i dalszy rozwój sytuacji, zachował się jak monarcha, który nie ma obowiązku tłumaczyć się przed nikim.

Amanda poczuła skurcz w żołądku. Żałowała, że rozpoczęła tę rozmowę, że w ogóle przyszła tu dziś wieczorem. Każda wypowiedź Tylera potwierdzała jej podejrzenia: śmierć Lionela nie była przypadkowa. Grayson sam się pogrążył, jego wrogość mogła stanowić motyw, a obecność w rezydencji na kilka godzin przed samobójstwem stworzyła okazję. Wystarczyło podczas owej wizyty dowiedzieć się, jak wejść i wyjść z biblioteki niepostrzeżenie. Pozostała tylko kwestia narzędzia zbrodni. Wiedzieć, gdzie Lionel przechowywał broń to jedna sprawa, ale jak zmusić kogoś do wzięcia rewolweru do ręki i pociągnięcia za spust?

- Powiedziałeś mu, co czujesz? Twarz Tylera pobladła.

- Tak.

- Zdenerwował się na ciebie? Ściągnął wargi i skubnął brodę.

- Bardzo. - Jego spojrzenie stało się nieobecne, jakby powrócił do biblioteki i na nowo przeżywał tamtą wizytę. - Kłóciliśmy się, powiedziałem rzeczy, które powinienem był zachować dla siebie.

- Na przykład?

Nagle jakby obudził się ze snu. Oczy mu pojaśniały, twarz odzyskała kolory, na ustach ukazał się uśmiech.

- Bez znaczenia. - Zabrał się ponownie do swojej ryby i całkowicie skupił się na jedzeniu.

- Ależ przeciwnie, Tyler. Krótco po waszym pożegnaniu Lionel Baird odebrał sobie życie.

Odłożył widelec i pochylił się ku niej.

- Wierz mi, Amando, nic, co mu powiedziałem, nie mogło popchnąć go do samobójstwa. Nie liczyłem się dla Lionela aż tak, żebym był w stanie wyprowadzić go z równowagi, nie mówiąc już o spowodowaniu tak strasznego czynu.

- Skąd wiesz?

- Sam mi powiedział. A teraz, proszę, zajmij się jedzeniem, obiad stygnie. Tyler odwiózł Amandę do domu o jedenastej, na szczęście nie wyraził ochoty na odprowadzenie jej na górę. Zadzwoiła na lotnisko i dowiedziała się, że samolot Beth przylatuje punktualnie. Szybko się rozebrała, włożyła spodnie i sweter, zapakowała do torby zmianę ubrania, perukę i przybory do charakteryzacji. Wezwała taksówkę i pojechała na lotnisko.

Wysiadła na poziomie odlotów, skierowała się do terminalu i ruszyła w kierunku wind wiozących podróżnych do wyjść do samolotów. Gdy upewniła się, że nikt jej nie śledzi, odwróciła się i wyszła z terminalu na poziomie przylotów. Wzięła taksówkę i kazała się wieźć do „Marriotta”, gdzie odebrała klucz od pokoju zarezerwowanego na nazwisko Jane Roberts. Pół godziny później Beth zapukała do drzwi.

Przywitały się bardzo serdecznie. Matka i córka przytuliły się mocno do siebie, jakby fizyczny kontakt mógł zapewnić im bezpieczeństwo. Żadna nie wierzyła, że to takie proste. Zaraz też zajęły się oceną sytuacji. Beth opisała swą podróż: nikt się koło niej nie kręcił, nie zauważyła, by ktoś pojawiał się, znikał i znów pokazywał w miejscach, gdzie nie miałyby powodu przebywać; nie

dostrzegła żadnych samochodów podążających za jej taksówką, nikt z pasażerów nie próbował nawiązać z nią rozmowy, żaden obcy na nią nie wpadł ani nie trzymał się zbyt blisko. Potem Amanda opowiedziała o sobie.

Ten szczegółowy opis sytuacji na pozór bez znaczenia stał się częścią rutyny ustanowionej przez niejako metoda wzajemnie sprawdzająca ich umiejętność obserwacji otoczenia i zapobiegania wypadkom. Jedną z pierwszych rzeczy, jakiej nauczyły się po wejściu do programu ochrony świadka, była konieczność nieustannego zachowywania ostrożności, by przeżyć. Śmierć nie miała nadejść z podniesioną przyłbicą. Raczej wypęzłaby z kąta lub wpadła przez okno czy eksplodowała im prosto w twarz. Dostrzeganie niewidzialnego niebezpieczeństwa nie było zadaniem łatwym, ale możliwym, jeżeli zachowało się wzmożoną czujność. Należało stale się pilnować, nie ufając nikomu i niczemu.

Możliwość bycia zupełnie szczerą wobec tylko jednej ludzkiej istoty wydawała się czymś nienaturalnym, ale i taka sytuacja miała pewne plusy. Choć Amanda okazywała matce należny jej od córki szacunek a Beth, jak każda matka, starała się zawsze chronić swe dziecko, od dnia ucieczki z Miami zrozumiały obie, że w jednym są sobie równe: podjęły takie samo ryzyko. Przez te wszystkie lata próbowały je zmniejszyć, sprawdzając się nawzajem, wymieniając metody i pomysły. Beth nauczyła dziewięcioletnią córkę dostrzegania pozornych drobiazgów, uważnego przyglądania się ludzkim twarzom, zapamiętywania ich charakterystycznych cech, zwracania uwagi na karnację czy też nawyki takie jak na przykład przechyłanie głowy w jedną stronę, zacieranie rąk czy przygryzanie wargi. Amanda nauczyła matkę, jak niepostrzeżenie sprawdzić otoczenie: od czasu do czasu należało niby przypadkiem przystanąć, wstrzymać oddech i wsłuchiwać się we wszystkie odgłosy, wyłapując te niezwykle i zauważając ruch tam, gdzie powinna panować cisza.

Teraz zamarły w bezruchu, twarzą w twarz, i rozmyślały o tragedii, która doprowadziła do ich spotkania. Wzięły się za ręce i rozmawiały o Lionelu; opłakiwały jego nagłe odejście, pozwoliły sobie nawet na jakże rzadkie w ich życiu chwile uzalania się nad sobą.

- Czy domagam się czegoś nadzwyczajnego? - pytała Beth. - Chcę nosić po nim żałobę, ubrać się na czarno, włożyć welon, usiąść w kaplicy i słuchać, jak wychwalają człowieka, którego nazwisko

kiedyś nosiłam. Pragnę w końcu przestać udawać, że go nie znałam, że nie obchodzi mnie jego przedwczesna śmierć. I nie musieć ukrywać żalu jak wtedy, gdy umierali moi rodzice.

Beth podniosła się z krzesła i podeszła do okna, z przyzwyczajenia wyjrzała przez zasłonę i uważnie omiotła wzrokiem ulicę.

- Ale nie mogę otwarcie okazywać smutku - ciągnęła, przyglądając się jakiemuś cieniowi na dole, pod oknami. - Jeżeli bym tak postąpiła, ustawiłabym się jako następna w kolejce. A wtedy - odwróciła się twarzą do córki - ty musiałabyś znaleźć jakiś sposób, by móc nosić żałobę po mnie. Amanda nie zamierzała rozważać takiej ewentualności i szybko zmieniła temat.

- Czy Sam załatwił opóźnienie pogrzebu Lionela? Beth wróciła na miejsce.

- Tak, urzędnik z Departamentu Sprawiedliwości zadzwonił do kogo trzeba. Dzięki temu nowojorski wydział policji nie dowie się, z której agencji wyszło polecenie. Najbardziej prawdopodobna wyda im się FBI.

- Mamusiu, czy ktoś o nazwisku Grayson był zamieszany w operację „Dzień Prania”? Przez długą chwilę Beth przeglądała w pamięci listę nazwisk i miejsc.

- Nie sądzę - stwierdziła w końcu.

- Nikt z banku na Florydzie? - Beth potrząsnęła głową. - Może to ktoś związany z rodziną Saviano? - naciskała Amanda, ale matka znów zaprzeczyła.

- Dlaczego pytasz?

- Przypominasz sobie mężczyznę, z którym się spotykałam, tego, którego poznałam we Włoszech? Beth niepewnie skinęła głową.

- Dzwony?

Amanda uśmiechnęła się na wspomnienie rady Lionela, by nie słuchała rady Beth. Powtórzyła matce ostatnią rozmowę z Graysonem, starając się nie pominąć niczego.

- Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie chodzi tu o jakieś sprawy z przeszłości.

- Nie mam pojęcia. Nikt o tym nazwisku nie zajął miejsca dla oskarżonych ani w jednym, ani w drugim procesie. - Beth skrzyżowała ramiona na piersiach i wpatrywała się w dywan. - Może

popróbuj w archiwum prasy albo zdobądź dostęp do akt prokuratury. Może Grayson jest krewnym któregoś z oskarżonych?

- Chyba nie - odrzekła rozczarowana Amanda. Logika sygnalizowała następny ślepy zaułek. - Poza urzędnikami z Hudson National, większość oskarżonych nosiło hiszpańskie lub włoskie nazwiska, Grayson tu nie pasuje.

- Czego jeszcze się dowiedziałaś, o czym nie wiem? - spytała Beth. Od ich ostatniej telefonicznej rozmowy czuła, że Amanda wie więcej, niż chce jej powiedzieć.

- Że ty i Sam macie jakieś kłopoty.

Beth westchnęła. Niektóre sprawy były zbyt skomplikowane, by móc wyjaśnić je w kilku słowach. Spróbowała jak najprościej:

- Ja nie jestem sobą z powodu śmierci twego ojca, a Sam martwi się o siostrę. I tym, że ja martwię się odejściem Lionela.

- W porządku. - Córka przyjęła to tłumaczenie. Śmierć Lionela skomplikowała także jej życie.

- Co jeszcze ukrywasz? Amanda udała, że nie rozumie, o co chodzi, ale Beth nie dała się nabrać.

- No mów!

- Bastido jest chyba w Nowym Jorku. Jeżeli oczekiwała, że Beth z wrażenia straci oddech, zasłabnie czy się wystraszy, spotkało ją rozczarowanie. Jej matka tylko skinęła głową i zacisnęła usta.

- Przypuszczałam, że się pojawi.

- Nie jestem pewna na sto procent. - Opowiedziała Beth o starszym mężczyźnie na procesie Vazqueza i o pewności Annie, że tamten przeszedł operację plastyczną. - Poza zwróceniem uwagi na ten jego jakby sztywny uśmiech, nie przyglądałam mu się za dobrze. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, na kogo patrzę. - Była na siebie zła i nie kryła tego.

- Nie obwiniaj się, to tylko niepotrzebna strata energii - powiedziała Beth, praktyczna matematyczka. Uważała, że każdy ma określony zapas emocjonalnych zasobów i nie warto go pomniejszać, trapiąc się sprawami, na które nie mamy wpływu, jest bowiem dość okazji, by właściwie spożytkować owe siły. - Jakie kroki podjęłaś, by się ochronić, poza uzbrojeniem po zęby?

- Bawię się w przebierankę - oświadczyła jej córka z figlarną miną.

- Słucham?

Amanda podeszła do swej torby i wyjęła przybornik z kosmetykami, które wybrały razem z Annie.

- Nauczyła mnie, jak stosować klej i cienkie warstwy plastiku do zmiany rysów twarzy. Dała mi z tuzin różnych peruk, wkładek i innych użytecznych rzeczy. Mogę stać się tłustą, starą kobietą, hożą blondynką, brunetką w ciąży, a nawet pryszczatym nastolatkiem. - Matka patrzyła na nią rozbawiona, minę miała jednak sceptyczną. - Wiem, że to nie rozwiązuje problemu - ciągnęła Amanda - ale dopóki nie zdobędę rozeznania, co się dzieje, muszę mieć możliwość swobodnego poruszania się po mieście. Nie mogę bez przerwy oglądać się za siebie.

- Ależ możesz - powiedziała surowo Beth - i powinnaś.

- Masz rację i robię to, chciałam tylko powiedzieć...

- Wiem, ale to nie szkolna zabawa - zaprotestowała ostro matka.

- Makijaż, wkładki i kostiumy na długo nie zawiodą Bastida i jego koleśków.

- Oczywiście, ale nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. Jeżeli pójdę na policję, będę musiała powiedzieć, kim jestem, a tego mi nie wolno. Przy całej tej wrzawie w prasie wokół śmierci ojca, moja osoba stałaby się zbyt łakomym kąskiem dla mediów, a dla tamtych jeszcze lepszym celem niż teraz.

- Być może FBI zajmuje się już tą sprawą, podobnie jak biuro stanowe. - Beth miała znużony wyraz twarzy; wszystko powtarzało się od nowa. - Choć wiele nam to nie pomoże.

- Dlaczego tak mówisz? - spytała Amanda, zaniepokojona nutą cynizmu w jej głosie. - Nie sądzisz, że chcą dorwać Bastida? Jeżeli rzeczywiście widziałam przed budynkiem sądu tego łotra, musiał wrócić do swoich sztuczek. Pracuje dla rodziny Espinosa, działa w narkotykach i kombinuje z Savianem. FBI i DEA zrobią wszystko, by wyłączyć go z gry.

- Ale jak, rzucą nas na przynętę?

- Niewykluczone - odrzekła Amanda. Zaciśnęła zęby, powoli tracąc cierpliwość.

- Ja jednak wolałabym być tam, na ulicy i robić co tylko się da, by ten koszmar raz na zawsze się skończył niż rezygnować z życia i wiecznie uciekać, i jak dziecko oczekiwać, kiedy przyjdą i mnie dopadną!

Beth i Amanda stały naprzeciwko siebie pośrodku pokoju, wykrzykując swoje racje. Beth przez dłuższą chwilę patrzyła na swą nierozsądną córkę i wzrok jej złagodniał. Pogłaskała Amandę po policzku.

- Miło to słyszeć - powiedziała z uśmiechem. - Co takiego? - Córka nie kryła zaskoczenia.

- Najwyraźniej znalazłaś kogoś, z kim chciałabyś spędzić życie... niech zgadnę, chodzi o „kuranty”, mam rację? On się nazywa... Jake...

- Fowler. - Amanda oblała się rumieńcem. - Nie wiem, czy jesteśmy dla siebie stworzeni, ale nie mogę nawet spróbować, dopóki siedzą mi na plecach te krwiożercze wampiry.

- Powiedziałaś mu, kim jesteś?

- Jeszcze nie. - Amanda potrząsnęła głową.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę go zranić. - Spojrzała matce głęboko w oczy. - Dopóki nie zatrzasnę drzwi, przez które wdziera się przeszłość, nie ma przyszłości dla mnie i Jake'a Fowlera, mamó.

- Łatwo powiedzieć - ostrzegła ją Beth.

- O nie! - zaprotestowała Amanda, znużona, ale zdecydowana. - Nie ma nic trudniejszego niż całe to kłamstwo, które ja i ty nazywamy życiem. Oczy Beth zwilgotniały.

- Masz rację - szepnęła. Przez chwilę milczała, potem otarła łzy i zwróciła się do córki: - No więc co zrobimy? Amanda ujęła dłonie matki i uścisnęła je lekko.

- Teraz utniemy sobie drzemkę. Potem odprowadzę cię na samolot do LA. Zamierzam się dowiedzieć, kto zabił mojego ojca. - Broda jej zadrżała, lecz tylko przez chwilę. - Jak już poznamy sprawcę, pójdziemy na policję, ale do tego czasu jesteśmy zdane tylko na siebie.

- Od dwudziestu lat musiałyśmy polegać na sobie, kochanie i dzięki temu, mimo wysiłków tych wszystkich Espinosów, Savianów i im podobnych, życzących nam śmierci, wciąż żyjemy. - Beth uściskała córkę. - Uda nam się i teraz, jestem tego pewna.

- Będzie nawet lepiej! - obiecała Amanda. - Nie tylko przeżyjemy, ale znajdziemy sposób na skończenie z przeszłością! Beth dotknęła palcem warg córki, pocałowała go i uniosła w górę.

- Amen.

Po odprowadzeniu matki pod samo wejście do samolotu Max poszła do pracy. Była zmęczona, spała tylko dwie godziny, nie pierwszy raz jednak miała dwa dyżury z rzędu. Przy odrobinie szczęścia może nie czeka jej zbyt wiele roboty, a kawa w ekspresie będzie świeża i gorąca. Tylko to drugie okazało się prawdą. Amanda chwyciła duży kubek, wzięła obwarzanek i jabłko i ruszyła schodami na górę. W pudle na pocztę znalazła kilka szarych kopert, które przysłano jej z laboratorium w mieście - wywołane filmy z kilku spraw. Położyła je na biurku, odsunęła na bok i delectowała się kawą. Ledwie zdążyła szerzej otworzyć oczy, a już Doyle krzyknął do niej:

- Zbieraj się, partnerko, mamy nielichą jatkę, jak w diabelskiej kuchni. Przez najbliższe siedem godzin Amanda i Pete opisywali zmasakrowane szczątki: czworo dzieci, ich babcia i matka przy Dziesiątej, cios nożem na Washington Heights i troje nastolatków poniżej osiemnastu lat po przedawkowaniu propainy w opuszczonym budynku przy Avenue B. Na posterunek wrócili kompletnie wyczerpani. Pete padł na krzesło i zaczął przedstawiać swój pomysł na cudowny wieczór: piwo, pizza, a w ręce pilot do przeskakiwania z jednego kanału sportowego na drugi.

- Chcesz się przyłączyć? - mrugnął i podwinął nieistniejący wąs.

- Musiałbyś zdobyć nakaz sądowy - odrzekła Amanda, kryjąc się za biurkiem. Wysypała zdjęcia z pierwszej koperty i zaczęła je przeglądać. Pete aż jęknął.

- Skąd bierzesz na to siły?

Padła wprost ze zmęczenia, chciała jednak, by jej partner poszedł do domu, zanim ona wejdzie do toalety i tam się przebierze.

- Jeszcze trochę posiedzę, idź już. - Rzuciła mu zachęcający uśmiech.

- Na pewno nie zmienisz zdania? Mógłbym dorzucić trochę czekoladowych ciasteczek, by wieczór nabrał barw. - Poczłapał do drzwi.

- Dzięki, ale nie.

- Są gusta i guściki... - Potrząsnął głową.

Posłał jej ręką pocałunek i wyszedł. Amanda pośpiesznie przerzuciła pozostałe koperty i obejrzała fotografie. Rano, gdy odpocznie, zajmie się nimi dokładniej. Ostatnia przesyłka wyglądała jakoś dziwnie i dziewczyna nie przypominała sobie, by widziała ją w stercie, która nadeszła poranną pocztą. Bardziej płaska od innych,

zaadresowana do detektywa Amandy Maxwell - na pewno nie dostarczono jej kanałami policyjnymi. Amanda patrzyła na kopertę z uwagą. Była cienka, bez niepokojących wypukłości, mogących wskazywać na eksplodującą przesyłkę. Przesunęła po wierzchu palcami. Upewniwszy się, że nic nie wybuchnie jej prosto w twarz, Max otworzyła kopertę i wysypała jej zawartość na biurko, uważając na ewentualne odciski palców.

Patrzyła jak oniemiała na koszmarny, namacalny dowód nienawiści, zbyt przerażona, by krzyczeć. Spoglądały na nią twarz Beth i jej własna, w olbrzymim powiększeniu. Zdjęcie zrobił Lionel w Wisconsin: zbliżenie matki i córki, objętych ramionami, z głowami blisko przy sobie, uśmiechających się do aparatu.

Tyle że ta fotografia została zmieniona: w środku czoła każdej z kobiet ział otwór powstały od prawdziwej kuli.

Roztrzęsiona Amanda z przerażeniem pobiegła do damskiej toalety. ; Zamknęła się w ciasnej kabinie z przyborami do charakteryzacji, położyła torbę na klozecie i objęła się ramionami, by zapanować nad drzeniem. Wystraszona, że ktoś może ją usłyszeć, przycisnęła dłoń do ust i tłumiała szloch, którego nie mogła powstrzymać.

Płacz odbijał się od zimnych, wyłożonych kafelkami ścian; echo powtarzało żaloszny dźwięk rozpadającego się jej kruchego świata. Jak nierozsądna była wierząc, że kiedykolwiek zdoła wieść normalne życie, być •córką Lionela, mieć przyjaciół i ukochanego mężczyznę, marzyć o przyszłości. Jak mogła pomyśleć, że uda jej się funkcjonować jak inne kobiety, chodzące do pracy i wracające do domu, które kładą się spać bez obawy, czy obudzą się następnego ranka. Drżącymi rękami wyciągnęła zmasakrowaną fotografię i przyglądała się koszmarnemu przesłaniu.

Widok własnej głowy przebitej kulą wyprowadzał z równowagi; obrazu matki ze śmiertelną raną wręcz nie mogła znieść.

Odtwarzała w pamięci każdą sekundę spotkania z Beth, zmuszała się do przeanalizowania jeszcze raz każdej czynności, jaką wykonała. Była niemal pewna, że nikt jej nie śledził w drodze na lotnisko, a nawet jeżeli, zgubiła ogon, zanim dotarła do hotelu. A przynajmniej tak jej się wydawało. Beth zapewniła, że o ile jej wiadomo, nikt nie śledził jej podczas podróży do Nowego Jorku. Ale co z drogą powrotną? Opracowały plan, zgodnie z którym matka miała się udać

do San Francisco, spędzić tam noc, pojechać samochodem do Sacramento i stamtąd dopiero polecieć do Los Angeles.

Czy w bibliotece Lionela mogło znajdować się coś, co wskazywałoby miejsce zamieszkania Beth? Ojciec nie mógł mieć jej numeru telefonu ani adresu - matka nigdy nie podała mu takich informacji, niezależnie od tego, jak bardzo się do siebie zbliżyli. Amanda także nigdy o niczym mu nie wspomniała; w tej sprawie obie postępowały jednakowo.

Czy Lionel miał numer telefonu Sama? Znajac szeryfa, z pewnością wypracował jakiś sposób kontaktu w razie nagłej potrzeby. Czy ojciec zostawiłby tak niebezpieczną informację na widocznym miejscu?

Amanda potarła skronie. Próbowwała myśleć, lecz nie mogła się skupić. Wątpliwości rosły jedna po drugiej i niczym ciemne chmury przesłaniały jej horyzont. Daremnie próbowała odwołać się do rozsądku. Nie była już pewna niczego. Co Lionel mógł myśleć czy zrobić; jakie polecenia mógł wydać Sam; co wiadano o niej i Beth, śledzono ją czy też nie; samobójstwo czy morderstwo. Jediną pewną rzeczą było jej nazwisko na liście osób, które miały umrzeć, a także to, że zabójcy wiedzieli, gdzie pracuje. Jeżeli dotąd nie poznali jej adresu, to i tak krążą w pobliżu komisariatu i czekają, aż zaprowadzi ich do swojego domu.

Nagle zaczęła się dusić. Otworzyła drzwi i sprawdziła, czy jest w łazience sama. Gdy była tego pewna, podbiegła do umywalki i spryskała twarz zimną wodą. Powoli uniosła głowę i popatrzyła wokoło, jakby się spodziewała, że Jaime Bastido stoi za jej plecami. Ale nie zobaczyła nikogo; otaczała ją cisza, nabrzmiała zapowiedzią przemocy.

Łazienka była mała i stara, wyłożona szarymi kafelkami, które wydawały się brudne natychmiast po umyciu. Obok umywalki znajdowało się małe, zakratowane okienko, wychodzące na parking. Zrozpaczonej Amandzie krata przypominała o jej smutnej egzystencji.

Przez większość życia Max uważała się za ofiarę okoliczności, zdominowaną przez los, na który nie miała wpływu. Wielokrotnie obwiniała matkę za skazanie obu na owo więzienie, jakim było ich życie. Ale gniew nigdy nie trwał zbyt długo, wiedziała przecież, że jeszcze pogarsza sytuację. Ona i Beth i tak żyły w izolacji od reszty świata. Jakiegokolwiek nieporozumienia, choćby trwały tylko godzinę,

tworzyły taką pustkę, że nic nie było ważniejsze od pogodzenia się natychmiast.

Teraz też Amanda czuła się obco: rozdzielona z matką, daleka od wszystkiego, co symbolizowało bezpieczeństwo i przynależność do drugiego człowieka. Raz jeszcze obmyła twarz, uspokajając się pod chłodną pieszczotą wody. Znowu chwycił ją spazm przerażenia. Złapała za brzeg umywalki, zamknęła oczy i całą siłą woli przeganiała czarne myśli. Gdy znowu otworzyła oczy, w lustrze zobaczyła kogoś obcego: młodą kobietę o ziemistej cerze, rzadkich włosach i opuchniętych oczach. Pochyliła się bliżej. Coś w tej obcej twarzy wydawało się niepokojąco znajome. Amanda zadrżała.

Twarz w lustrze należała do Eriki Baird, oglądającej na ekranie telewizora, jak jej dom wylatuje w powietrze.

Do Molly Taylor, gdy musiała przyznać się matce do wypapłania dzieciom w szkole, że mieszkała w okolicy, gdzie nigdy nie pada śnieg.

Do Julie Stark wyznającej, że zapomniała się i użyła imienia Erica.

Do Laury Cooper, która powiedziała głośno, że kiedyś miała psa.

Twarz w lustrze należała do dziewczynki o tuzinie innych imion, która bardzo starała się zapamiętać, kim jest, niezależnie od tego, kogo udawała. Do dziewczynki, której kłamstwo przychodziło z wielkim trudem, która jednak rozumiała, że prawda może okazać się zabójcza.

Twarz w lustrze należała do Amandy Maxwell, dorosłej kobiety, która, jak tamta dziewczynka, popełniała błędy tak wiele razy, że w głębi serca uwierzyła: jeżeli coś strasznego przydarzy się komuś, kogo kocha, tylko ona będzie temu winna.

Jaime Bastido sięgnął do pudełka z drobnymi, leżącego na rogu wózka, i podał resztę człowiekowi, który właśnie kupił słony obwarzanek. Klient marudził chwilę, przeliczając otrzymane monety, co rozzłościło Jaimego. Wypożyczył wózek tylko na to popołudnie i miał gdzieś, czy wydał temu nudziarzowi za mało, czy za dużo. Facet zasłaniał mu widok. Jak zdoła wypatrzeć swą ofiarę, jeżeli tacy idioci będą mu przeszkadzać.

- Chyba jest mi pan winien jeszcze pięć centów - upierał się kupujący. Bastido nie przeprosił za pomyłkę ani jej nie zakwestionował. Sięgnął do pudełka, wyjął pięciocentówkę i podał

klientowi. Oczekiwał, że gość natychmiast odejdzie zadowolony z tak chętnie spełnionego życzenia. Gdy jednak tamten wciąż się ociągał, Jaime huknął:

- Chodnik nie jest do wynajęcia, amigo, próbuję tu handlować. Nudziarz spojrział na niego z oburzeniem, ale odszedł, rzucając na pożegnanie przekleństwo. Jaime nie spuszczał oczu z drzwi. Kończyła dyżur o czwartej, a było już prawie piętnaście po piątej. Nawet jeżeli została dłużej, żeby przyjrzeć się jego dziełu, powinna już dawno wyjść. Miał pewność, że nie opuściła budynku niepostrzeżona i z pewnością znajduje się w środku. Obserwował, jak ona i jej partner Doyle wrócili po dniu spędzonym w terenie. Mężczyzna wyszedł krótko po czwartej.

Gdzie ona się, u diabła, podziewa? Jaime przytupywał nogą, jakby uruchamiał młot pneumatyczny i z nieustanną chłodną czujnością wpatrywał się w gmach naprzeciwko.

Młoda kobieta o latynoskim wyglądem wyłoniła się z bramy. Zbyt młoda. Fantastyczne ciało. Za niska.

Czterech mężczyzn, trzy kobiety, wszyscy czarni.

Kilka osób wyglądających na urzędników państwowych. Jaime już się niecierpliwił. Po dziesięciu minutach jeszcze dwie kobiety opuściły budynek. Jedna - stara i tłusta, pochylona pod ciężarem dwóch wypchanych toreb na zakupy, wyglądająca na sprzątaczkę; druga - szczupła i nerwowa niczym chart.

Jaime miał już dosyć czekania. O piątej trzydzieści na ulicy był już tłum, ale coraz mniej osób wchodziło do budynku i wychodziło na zewnątrz. Wymiana dyżurnych pracowników nastąpiła już dawno, a godziny zwykłej biurowej pracy się skończyły. Co jakiś czas pojawiały się 'grupki ludzi, jednak Amandy wśród nich nie było. Najwyraźniej jakimś sposobem ją przeoczył.

Twarz pociemniała mu z irytacji. Znalazł się już tak blisko zemsty za pata spędzone za kratkami, siedzenia w klatce, wykorzystywania przez mężczyzn ważniejszych od niego, o większych potrzebach. Aż zatrząsł! się z wściekłości. Ale doświadczenie wyniesione z więzienia nie poszło na marne. Nauczył się tam opanowywać gniew, rozpoznawać wrogów, a przyjaciół zatrzymywać przy sobie na dłużej. A co najistotniejsze, nauczył się, jak przetrwać. I czekać.

Starsza, utykająca kobieta weszła do budynku „The Bent Wing” i skierowała się do biura Sybil Whitehall. Zapukała delikatnie do drzwi i po usłyszeniu „proszę”, weszła do środka.

- Potrzebuję pomocy - powiedziała od progu - chodzi za mną morderca. Głos wydał się Sybil znajomy, ale postaci, do której należał, z nikim nie kojarzyła.

- Proszę usiąść - odrzekła. Jakieś złudzenie, pomyślała. Staruszka postawiła torby na podłodze i zajęła miejsce naprzeciwko Sybil. Zanim ta zdołała cokolwiek powiedzieć, pomarszczona kobieta zdjęła siwą perukę i okulary w metalowych oprawkach, a z twarzy zerwała warstwę lateksu, które czyniły ją starszą o czterdzieści lat. Zrzuciła półbuty o ściętych obcasach i zdjęła wełniane pończochy, potem jeszcze wyjęła wkładki pogrubiające jej smukłe łydki.

Zaskoczona, rozbawiona i trochę zaniepokojona Sybil bez słowa patrzyła, jak obca, tęga kobieta przeobraża się w jej przyjaciółkę.

- Max! Co, u licha, się dzieje?

Amanda długo wahała się, czy tu przyjść, w końcu jednak uznała, że nie ma wyjścia. To kryjówka, a ona właśnie potrzebuje schronienia, a także osoby, której mogłaby zaufać. Wiele razy widziała, jak Sybil naraża się dla kobiet, których nigdy wcześniej nie spotkała i więcej nie zobaczy. Jej także nie zdradzi.

- Śledzą mnie, nie mogę wrócić do domu. To jedyne miejsce, w którym mam szansę przeczekać niebezpieczeństwo. Sybil pobladła.

- Możesz tu zostać, jak długo zechcesz. - Wyszła zza biurka i uściskała Amandę. - Możesz także pójść do mnie do domu, jeżeli tam będzie ci wygodniej.

- Objęła serdecznie przyjaciółkę, chcąc dodać jej otuchy.

- Nie! - Max odepchnęła Sybil i cofnęła się, jakby w obawie, że zarazi ją śmiertelnośnym wirusem. Odpowiedziała odruchowo i, jak sobie uświadomiła, zbyt szorstko. - Dziękuję, ale nie mogłabym ci tego zrobić.

Sybil z zaskoczeniem dostrzegła, jak niepewna i bezbronna wydaje się jej Amanda. Detektyw Max, jaką znano w schronisku, zawsze okazywała spokój i opanowanie i zawsze umiała podejmować właściwe decyzje. Przez całe lata Sybil podziwiała przyjaciółkę, okazującą tak wielkie zrozumienie kobietom, którym doradzała i które uczyła rejestrować najbardziej bolesne przeżycia. Umiała dotrzeć do tych skrzywdzonych istot i okazać im współczucie wolne od litości.

Jak gdyby sama doświadczyła ich wstydu, rozumiała potrzebę utrzymania w sekrecie udręki; jakby także, jak tamte, czuła się odpowiedzialna za okropności zgotowane przez los. Posadziła Amandę na kanapie i poprosiła łagodnie:

- Opowiedz mi o wszystkim. Przyjaciółka szarpnęła skraj kurtki.
- Mogę wyjaśnić ci tylko trochę.
- Ile chcesz. - Sybil uniosła dłoń.

Z początku nieskładnie, Amanda opowiedziała historię swego życia, oczywiście w skrócie. Nie wyjawiając, kim jest naprawdę, przyznała się do wcześniejszego uczestnictwa w programie ochrony świadka. Wyznała, że sprawa, która zmusiła ją do szukania ochrony dotyczy narkotyków, ale nie wspomniała o „Dniu Prania”, Beth, wujku Kenie ani Lionel. Nie mówiła też, skąd pochodzi, w jakich miastach mieszkała, nie zdradziła imion przyjaciół. Czuła, że powinna poinformować przyjaciółkę o Bastidzie, dlatego opisała go najlepiej, jak umiała. Sybil podniosła się z kanapy i przeszła na drugi koniec gabinetu, jakby potrzebowała wolnej przestrzeni, by przemyśleć to, co usłyszała. Opowieść Amandy poruszyła ją do głębi. Wszystko, co wiedziała o programie ochrony świadka, znalazła w gazetach, albo obejrzała jakiś film w telewizji. Przypomniała sobie strzępy informacji: azyl dla kryminalistów; mafia; zamieszczone w prasie notatki biura szeryfa i Departamentu Sprawiedliwości; wojny narkotykowe; zorganizowana przestępczość. I oto kobieta podająca się za chronionego świadka siedzi w jej gabinecie, szukając bezpiecznej kryjówki. Przyznaje, że nosi fałszywe nazwisko, ma nieprawdziwe dokumenty i zmyślony życiorys. Sybil nie potrzebowała wiele czasu do podjęcia decyzji. Instynkt podpowiedział jej, a; że bez względu na wszystkie zafałszowania, Amanda Maxwell jest tą samą przyjaciółką, którą jeszcze wczoraj lubiła i podziwiała. To nie kryminalistka ani księżniczka mafii. Do programu weszła jako niewinne I dziecko. I mimo że przez owe wszystkie lata ponosiła niezасłużoną karę, nadal osaczają ją sownie wynagradzani zawodowi mordercy. Taka zapłata za spełnienie obowiązku, wieczna ucieczka przez całe życie, podczas gdy przestępcy i handlarze narkotyków są na wolności, wydała się Sybil wyjątkowo niesprawiedliwa i wywołała jej gniew.

Zamknęła oczy, zacisnęła pięści i zaczęła rozpamiętywać wspomnienia z własnego życia. Widziała jak, jej ojciec alkoholik bił noc w noc I matkę, aż biedna kobieta zmarła. Rozumiała, że był

winien jej śmierci, i wydała go policji. Miała wtedy dziesięć lat i uważała, że postąpiła właściwie. Ale zamiast w nagrodę dostać się pod troskliwą opiekę krewnych, została wepchnięta w tryby systemu rodzin zastępczych przechodziła z jednego okropnego miejsca w drugie. Dopiero w wieku, szesnastu lat znalazła się u Whitehallów. Gdyby nie oni, pewnie już by nie żyła.

Meg i Stan Whitehallowie swą prawdziwą miłością sprawili, że dziewczynka odzyskała psychiczną równowagę. Wychowywali Sybil, sami dając jej przykład innego życia. Stan Whitehall pokazał jej, że mężczyźni mogą być łagodni, opiekuńczy i okazywać najbliższemu szacunek. Nauczył swą podopieczną, by działała, a nie tylko reagowała biernością na problemy, by sięgała wzwyż, a nie poniżej własnych możliwości i walczyła o swoje, nie zadowolając się tym, co zostało jej dane. - Jeżeli nie odpowiada ci jedzenie na talerzu, wstań i przygotuj własne danie - powtarzał.

Meg skupiła się na odbudowie kruchego ego Sybil, chcąc, by ta i dziewczyna uważała siebie za wartościowy element świata, a nie zbędne brzemie, jak dotąd wierzyła. Zamiast używanej odzieży i szybkich postrzyżyn w domu, kupowała Sybil ubrania przeznaczone tylko dla niej, a do fryzjera chodziły do miejscowego salonu piękności. Obdarowała ją mnóstwem książek i zabierała do kina, uczyła znów śmiać się i płakać i nie wstydzić się okazywania uczuć.

W trudnych chwilach, gdy Sybil czuła się samotna, nie mając nikogo na całym świecie, komu mogłaby się pożalić, Meg przypominała jej o matce w niebie.

- Ona jest aniołem ze złamanym skrzydłem - zapewniała rozchwianą emocjonalnie dziewczynę. - I czuwa nad tobą, bo po to właśnie są matki.

Sybil przełknęła formującą się w gardle kulę. Jej obowiązkiem było chronić kobiety szukające azylu w schronisku. Nie powinna ryzykować ich bezpieczeństwa, ale także nie mogła rzucić Amandy na pożarcie wilkom czyhającym w mroku za bramą.

- Jesteś tu naprawdę mile widziana, Max, mam nadzieję, że wiesz o tym.

Tamta skinęła głową i otarła rękawem oczy. Bała się, że wybuchnie płaczem, gdy tylko otworzy usta.

- Chyba nie zaszkodziłaby nam obu filiżanka herbaty.

Sybil wyszła na chwilę do kuchni, w tym czasie Amanda zdążyła otrząsnąć się ze słabości.

- Nie wiedziałam, dokąd jeszcze mogłabym pójść - wyznała, popijając gorący płyn o pomarańczowym smaku.

- Po to właśnie tu jesteśmy - odrzekła Sybil. - Wiele ci zawdzięczamy i masz prawo oczekiwać tu pomocy.

Przyjaciółka potrząsnęła jednak przecząco głową i potarła oczy. Była wyczerpana, w ciągu ostatniej doby nie spała więcej niż trzy godziny.

- Prawdopodobnie głęboko w podświadomości zawsze wiedziałam, że prędzej czy później dojdzie do takiej sytuacji. Nie sądziłam jednak, że będę się bała wrócić do własnego domu.

- Nikt nie mógłby się spodziewać czegoś takiego.

Amanda nie powiedziała Sybil, że jej ostatnie mieszkanie to jedyne, jakie kiedykolwiek nazywała domem. Każde inne było po prostu miejscem w krainie zwanej Nigdzie, tymczasowym przytuliskiem, jak miała nadzieję, przejściowym okresie jej życia. Nie przyznała się, że mieszkanie w Nowym Jorku stanowiło początek radykalnych zmian, że znalazła mężczyznę, któremu zaufała, miała ojca, na którym mogła polegać i wiodła życie, w którym się realizowała i czuła bezpiecznie - a może pewnego dnia nawet byłaby szczęśliwa. Nie mówiła o tym, bo gdy patrzyła na podziurawione fotografie, zrozumiała, że mieszkanie, Jake, i praca i happy end to dziecinne mrzonki. Rzeczywistość to martwy Lionel przy biurku i Jaime Bastido, czyhający, aby ją zabić. Trzęsącymi się rękami uniosła filiżankę do ust. Sybil z niepokojem patrzyła na wzburzenie przyjaciółki. Nigdy nie widziała jej w takim stanie.

- Zamierzasz iść na policję?

- Nie mogę, a w każdym razie nie teraz. Sybil nie odważyła się zapytać, dlaczego.

- A co z pracą? - zapytała.

- To jedyne miejsce, w którym czuję się bezpieczna. - Chociaż po otrzymaniu tej przesyłki Amanda zastanawiała się, do jakiego stopnia chroni ją posterunek. . - Jak zamierzasz wchodzić i wychodzić niepostrzeżenie?

- Wchodzić mogę bez przebrania. W pracy otacza mnie zbyt wielu uzbrojonych ludzi, by Bastido i jego zbiry odważyli się na cokolwiek. Przed wyjściem będę się charakteryzować, a potem

kluczyć po mieście tak długo, aż upewnię się, że nie ciągnę za sobą ogona. - Położyła dłonie na kolanach i utkwiała wzrok w Sybil. - W najgorszym razie znajdę sobie jakieś miejsce do spania. Nie narażę ciebie ani twoich kobiet na niebezpieczeństwo, chyba wiesz.

- Oczywiście - zgodziła się przyjaciółka. - Ale ci, co cię śledzą, będą zwracać uwagę na powtarzające się zachowania.

- Trochę pozmieniam grafik, od czasu do czasu poprzesuвам dyżury. Przecież i tak pracuję o najrozmaitszych porach. Zresztą taka sytuacja nie potrwa wiecznie.

- Zarówno ze względu na ciebie, jak i na nas, mam nadzieję, że wyjaśni się szybko i będziesz mogła wyjść z ukrycia.

Amanda z uśmiechem kiwnęła głową, ale przypomniała sobie, jak w wieku dziewięciu lat spytała Samuela Batesa, urzędnika biura szeryfa federalnego, czy zawsze już będzie musiała się ukrywać, a ten odpowiedział jej twierdząco. Zastanawiała się teraz nad tym, co wtedy: jak długo trwa owo „zawsze”? Jake nie miał wielu przyjaciół na wysokich stanowiskach, ale zwykł mówić, że zna, kogo trzeba. Właśnie wychodził z biura, gdy zadzwoniła do niego pewna osoba, jeden z tych cennych kontaktów, kobieta pracująca w firmie telefonicznej - nie najmłodsza mężatka, wystarczająco znudzona, by uznać wyświadczenie od czasu do czasu przysługi prywatnemu detektywowi za coś szczególnie ekscytującego.

Poprosił ją o sprawdzenie telefonów do miejskiej rezydencji Lionela oraz przeprowadzanych stamtąd rozmów w noc samobójstwa. Według danych firmy, wczesnym popołudniem dzwoniło z domu Lionela do Annie Hart i do Max, a później przyjęto telefon z mieszkania Amandy.

Niemal równocześnie zadzwonił do Jake'a pracownik małego, ale cieszącego się doskonałą opinią banku, znanego z zajmowania się powiernictwem i obrotem nieruchomościami. Urzędnik zastrzegł sobie poufność przekazanych informacji.

- East Gorham Associates zarządza dwoma dużymi funduszami - usłyszał Jake. - Każdy jest wart miliony dolarów. Jako pełnomocnik figuruje Samuel Bates. Bates!

- Wiesz, kto to? - spytał Jake.

- Nie, wiem tylko, że kilka tygodni temu podjął sześćdziesiąt tysięcy dolarów, gotówką.

- Naprawdę?

- Naprawdę.
- Czy Baird dowiedział się o tym?
- Oczywiście. Poleciał informować się o podobnych operacjach.
- I jak zareagował?
- Wpadł w szal.
- Żartujesz.
- Lionel Baird nigdy nie żartował w kwestiach finansowych.
- Czy ten Bates to jakiś krewny albo jego wspólnik w interesach?
- O ile mi wiadomo ani jedno, ani drugie.
- No więc kim, u diabła, jest? Kim jest Beth? I kim byli ci dwoje dla Lionela?

- Ten gość to prawdopodobnie ktoś podstawiony, za kim się kryją prawdziwi beneficjanci. Dostaje niezłą sumkę za firmowanie interesu własnym nazwiskiem, ale tak naprawdę majątek nie należy do niego. Ma tylko pilnować forsy. Podobne sprawy są na porządku dziennym.

- Czemu?

- Tacy jak Lionel Baird nie życzą sobie, by tacy jak ty czy ja wiedzieli, komu dostanie się ich majątek.

Z pewnością też nie chciał, by dowiedziała się o tym Pamela, pomyślał Jake.

Podziękował przyjacielowi i odłożył słuchawkę. Z uznaniem pomyślał o swej klientce; miała rację, utrzymując, że Lionel ulokował większą część fortuny w niedostępnych funduszach powierniczych. Ale do kogo one należą? Pamela uważała, że jej mąż mógł planować obdarowanie Max. Czy East Gorham Associates to opakowanie prezentu? Jeżeli tak, kto miał otrzymać drugą część, Beth?

Otworzył szufladę biurka, wyjął teczkę zawierającą informacje o śmierci Bairda i popatrzył na kartkę znalezioną przez techników z kryminalnego na miejscu zdarzenia.

„Posłać Beth kwiaty. Zadzwoń do Batesa - dowiedzieć się jak”.

Jake położył foliowy woreczek z notatką na biurku i wbił w nią wzrok. Bates to ktoś więcej niż tylko figurant, miał co do tego niemal pewność. Położył nogi na biurku, a woreczek trzymał na kolanach, niczym talizman posiadający moc przekazywania informacji. Jeżeli będzie go miał przy sobie, otworzą się przed nim drzwi prowadzące do krainy podświadomości i wreszcie dostrzeże to, co jak dotąd mu

umykało. Odchylił się do tyłu, założył ręce za głowę i wpatrywał się w przestrzeń, rozważając wszystkie ewentualności.

Lionel dowiedział się o podjęciu pieniędzy i zrobił piekło. Pewnie zadzwonił do Batesa i go objechał. Ten przyszedł do Bairda, pokłócili się o pieniądze. Może Bates groził Lionelowi, fizycznie lub słownie. Jeżeli fizycznie, to jak?

A jeśli słownie, to czym, że tamten wolał wybrać śmierć?

Same tajemnice. Co Lionel starał się utrzymać w tajemnicy? Do cze - go mogłoby doprowadzić i komu zaszkodziłoby wyjawienie sekretu? Kto jeszcze go znał? Jake wrócił do rzeczywistości i spojrzał na notatkę. Nie wiedząc czemu, nagle bardziej skupił uwagę na papierze niż na słowach. Pośrodku u góry widniał delikatnie wytłoczony rysunek czerwonego wagonika, jakby ze składu elektrycznej kolejki Bairda. Przesunął palcem po wypukłym znaku, tak wyjątkowym i charakterystycznym.

Sprytne logo, pomyślał. Zawsze uważał Bairda za rzutkiego, ostrego biznesmena i nigdy nie kojarzyłby go z tak sentymentalnym wzorem.

Zadowolony uśmiech zniknął z warg Jake'a, gdy przypomniał sobie, gdzie widział wagonik dokładnie taki, jak ten z papeterii Bairda - i: na nocnym stoliku przy łóżku Amandy Maxwell.

- Jak śmiesz! - Gniew Pameli Baird sięgał przez słuchawkę i niemal spoliczkował Hallie Brendel, która aż poczerwieniała. - Miałaś popierać sprawę senatora, a znieważyłaś go!

- Nic podobnego - zaprotestowała dziennikarka, zadowolona, że nie znajdują się w tym samym pomieszczeniu. - Zadałam mu sensowne pytania i oczekiwałam rozsądnych odpowiedzi. Jeżeli wypadł niczym Gene Kelly, jego sprawa. To on wybrał metodę „stepowania” wokół najważniejszych spraw.

- Sprawa Lionela Bairda nie należała do tematów kampanii - zaprotestowała Pamela.

- No i mamy stepowanie - pogardliwie skomentowała Hallie. - Doprawdy, Pamelolo! To ty wplątałaś swojego męża w kłopoty, ty dostarczyłaś mi informacji o „Dniu Prania”, sugerując, że jeżeli prał pieniądze wtedy, powinniśmy założyć, że robi to nadal.

Po drugiej stronie zapanowała śmiertelna cisza. Hallie pomyślała, że gdyby przycisnęła słuchawkę mocniej do ucha, usłyszałaby tykanie bomby zegarowej. A jeżeli nie spuści z tonu, prawdopodobnie straci

cenne źródło informacji - jeżeli już tak się nie stało - i będzie mogła dopisać wpływową panią Baird do coraz dłuższej listy swych wrogów. Ale nie dbała o to. Wszystko ma swoje granice, nawet dla niej!

- Od kiedy to stałaś się taka wrażliwa w kwestii ranienia uczuć Lionela - ciągnęła Hallie - zanim rozwalił sobie mózg czy potem?

- Ty nędzna kurewko! - wrzasnęła Pamela. - Wykorzystałaś nas do promowania tej swojej nędznej kariery. Bawiłaś się z nami, a potem, gdy zdecydowałaś, że rachunki wyrównane, sprzedałaś nas!

- Jeżeli tak to widzisz, moja droga, nic nie poradzę, zapominasz wszakże o jednym: to ty się ze mną skontaktowałaś. Postępowałam zgodnie z planem, jaki do spółki przygotowaliście dla mnie ty i senator. Sama wręczyłaś mi teczkę z informacjami dotyczącymi Lionela Bairda i poleciłaś przedstawić go jako symbol zabójczej chciwości Wall Street. Zrobiłam, jak chcieliście. Teraz Lionel nie żyje, a ciebie gnębi poczucie winy.

- To ty powinnaś czuć się winna! - wybuchła tamta. - Zostałaś jedynie wynajęta, by zrobić tylko tyle, ile ci polecono, nic więcej! Zamiast zmontować wiarygodną historię, wytarzałaś go w smole i pierzu w tej swojej szmacie, którą śmiesz nazywać gazetą.

- Być może, nie zapominaj jednak, kto dostarczył mi owej smoły i pierza.

- Zamknij się! - wrzeszczała Pamela. - Przez ciebie mój mąż nie żyje. - Najwyraźniej puściły jej nerwy, bo głos przeszedł w przenikliwy pisk. - Przez ciebie i te twoje nędzne artykuły wziął do ręki rewolwer. Zapłacisz mi za wszystko, Hallie Brendel, i to drogo!

Trzask słuchawki. Hallie odłożyła swoją, ale zamiast czuć się wystraszona, zaniepokojona, czy przynajmniej trochę zdeprymowana, wybuchnęła śmiechem. Jeżeli Pamela sądzi, że do niej należy ostatnie słowo, spotka ją wielka niespodzianka.

Jake już od lat nie zajmował się osobiście obserwacją terenu, zwykle wysyłał w tym celu kogoś ze swych pracowników albo kogoś wynajmował. Ponieważ ta sprawa była poufna, nie mógł zatrudnić nikogo do pomocy, bo wtedy musiałby odpowiadać na pytania, a tego chciał uniknąć. Tylko Caleba Greena wtajemniczył w swoje plany, ale nawet tamten nie umiał przewidzieć, czy wynik zamierzonego przez Fowlera działania spowoduje przełom w śledztwie. Niemniej Jake miał przeczucie, że obserwacja domu Bairda może wnieść do sprawy coś nowego. Caleb się z nim zgodził.

- Spróbuj, może się czegoś dogrzebiesz.

Fowler już zapomniał, jak nużąca, nudna i monotonna może się okazać taka akcja. Wyposażony w termos z kawą, torbę obwarzanków i słój o szerokim otworze na wypadek naturalnej potrzeby, magnetofon, by wypełnić czas słuchaniem ulubionych nagrań, a także w lornetkę do obserwacji w mroku, zaparkował samochód na ulicy naprzeciw miejskiego domu Lionela i przygotował się na długą noc.

Sprawdził na zegarku godzinę: dochodziła ósma. W domu panowali ciemności. Wcześniej obszedł wokół rezydencję i upewnił się, że system alarmowy jest włączony. Według Caleba, Tony Calandra sprawdzał wszystkie pomieszczenia każdego dnia, ale obecnie nikt tam nie mieszkał. Jake otworzył notes i zapisał godzinę, o której Hallie miała się pojawić tego wieczora w telewizyjnych wiadomościach. Teraz! Obiecał, że będzie ją oglądał, jednak przed wyjściem zapomniał włączyć magnetowid. Nie szkodzi, pomyślał, Hallie z pewnością zatroszczy się o nagranie, może nawet zaopatrzy się w dwa lub trzy tuziny kaset!

Powiedziała Jake'owi, że zadzwoniono do niej bezpośrednio po 'owym konfrontacyjnym - czy kontrowersyjnym - wystąpieniu przy okrągłym stole. Redaktor programu „Newslines” zaprosił ją do wystąpienia w prestiżowym magazynie wiadomości, nadawanym trzy razy w tygodniu w formie przeprowadzanego w studiu wywiadu. Tym razem zajęto się sprawą śmierci Lionela Bairda i próbowano odpowiedzieć na zadawane powszechnie pytanie: Czy ktoś tak wielki jak on mógł odebrać sobie życie? Trey Gallagher, jeden z prowadzących program, był pod wrażeniem bezkompromisowości, z jaką Hallie potraktowała senatora Chisolma, i zaciekało go jej przekonanie o związku operacji „Dzień Prania” z tragiczną decyzją Lionela.

Jake uśmiechnął się pobłaźliwie. Hallie ostatnio żyła w ekstazie - złapała swą życiową szansę. Nie miał wątpliwości, że liczyła na właśnie taką okazję, dołączając do Pameli Baird i Johna Chisolma. Niestety wspólne przedsięwzięcie nie całkiem wypaliło. Pomimo serii żywych, przyciągających uwagę czytelników artykułów, Hallie wciąż uważano tylko za „tę reporterkę z «Telegraphu»”. Prawdopodobnie miała nadzieję na zmianę takiego wizerunku po dzisiejszej audycji.

Jake życzył jej tego z całego serca, pozostawał jednak sceptyczny. Jak dotąd nic, co się wiązało ze śmiercią Lionela, nie przyczyniło się do spełnienia niczyich pragnień.

Pracownicy „Newslina” oparli pierwszą część programu na nagraniach archiwalnych oraz wycinkach prasowych, upamiętniających tamte dwa procesy, eksponując zeznania Cynthii Stanton Baird i dramatyczne zakończenie tej tragicznej epopei. Potem przedstawiono plotki i oskarżenia, którymi dręczono

Lionela tygodniami i miesiącami przed śmiercią - wiele z nich pochodziło z artykułów prasowych autorstwa Hallie. W drugiej części, sama reporterka miała udzielić wywiadu na żywo redaktorowi Treyowi Gallagherowi.

Zajęła miejsce, a asystent reżysera wsunął jej od tyłu pod żakiet mały, czarny mikrofon i przypiął go do klapy. Ubrała się elegancko - granatowy kostium, jedwabna kremowa bluzka, złota broszka i kolczyki - upewniła się jeszcze, czy blond włosy zachowały swoją jedwabistą gładkość, a makijaż wystarczająco podkreśla jej oczy i usta. Spódniczkę włożyła w sam raz: na tyle krótką, by odsłaniała nogi, ale wystarczająco długą, by nie wyglądać frywolnie. Choć Gallagher został zaliczony przez magazyn „People” do pięćdziesiątki najbardziej seksownych mężczyzn, swą pracę traktował wyjątkowo poważnie. Hallie postanowiła dorównać mu, zarówno urodą jak i intelektem. Trey zajął miejsce obok niej na podium, pochwalił wygląd, i popatrzył na stojącą za jej plecami kamerę. Gdy zabłyśło czerwone światełko, zaczął mówić.

- Kilka tygodni temu w atmosferze przeróżnych plotek i pomówień, jakoby jego firma prała pieniądze potężnych karteli narkotykowych, odebrał sobie życie jeden z najbardziej wpływowych ludzi naszego kraju. Jest z nami Hallie Brendel, reporterka nowojorskiego dziennika „Telegraph”, która należała do osób kształtujących opinię o wielkim finansście. - Zwrócił się do Hallie i zasypał ją potokiem słów, nie dając szans na zaprotestowanie przeciwko przedstawianiu jej, choć mimochodem, jako dostarczycielki plotek. - Ostatnio wyraziła pani przekonanie I o związku między tym szokującym samobójstwem a operacją „Dzień Prania”, wielką akcją, która pod koniec lat siedemdziesiątych przerwana na jakiś czas proces prania pieniędzy na południu Florydy.

Dlaczego uważa pani, że sprawa sprzed dwudziestu lat ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią Lionela Bairda?

Wyraz twarzy Hallie ilustrował zatroskanie przemieszane z dziennikarskim profesjonalizmem - ćwiczyła tę minę ponad godzinę.

- Ponieważ jako główny świadek strony oskarżenia w tamtej sławnej sprawie wystąpiła największa miłość Lionela Bairda, jego pierwsza żona, Cynthia Stanton Baird. - Lekko zmarszczyła brwi, jakby opowiadanie tej historii sprawiało jej ból. Wyobraziła sobie wykrzywioną wściekłością twarz Pameli i roześmiała się w duchu. - Osób podobnych Cynthii Baird nie spotyka się często: wiedzioną szlachetną intencją spełnienia obywatelskiego obowiązku, poinformowała władze o przestępstwie. Zeznawała w Miami przeciwko potężnemu kartelowi kierowanemu przez Raoula Espinose, potem zaś w Nowym Jorku przeciwko t członkom groźnej rodziny przestępczej Saviano. W dniu, gdy skazano współników Espinosy, dom Cynthii w Miami uległ zniszczeniu w wyniku eksplozji - Hallie dramatycznie zawiesiła głos. - Dla świata, Cynthia i jej córka, Erica, nie żyły.

Trey Gallagher podchwycił trop i z miną wyrażającą oczekiwanie pochylił się ku Hallie.

- Sugeruje pani, że one nie zginęły w wybuchu?

Lepiej, żeby miała jakieś poważne dowody na poparcie swej teorii. - pomyślał Trey, albo następną rzeczą, jaka zginie w płomieniach, będzie jego kariera. Kamerę skierowano na twarz dziennikarki, pozwolił więc sobie na groźną minę, ale Hallie pozostała niewzruszona. '

- Sugeruję, że program ochrony świadka, dzieło Departamentu Sprawiedliwości, został utworzony dla osób takich jak Cynthia i Erica Baird.

Twarz gospodarza audycji znakomicie wyrażała: szok, a następnie pełne zazdrosnego zachwyty uznanie, zupełnie jakby zamienili się miejscami i to Hallie prowadziła wywiad.

- Władze mogły zainscenizować wybuch, to całkiem prawdopodobne - ciągnęła. Przedstawiła tok swego rozumowania: - Kolumbijskie 'kartele znane są z mściwości, mafia także. Być może jedynym sposobem na uratowanie Cynthii i jej córki stało się „zlikwidowanie” ich.

Nawet przez grubą warstwą makijażu można było dostrzec bladość twarzy Treya.

- Sądzi pani, że Lionel Baird znał prawdę? Hallie pozwoliła sobie na lekkie wzruszenie ramion.

- A jaka jest prawda? - Cała jej sylwetka wyrażała współczucie. - Jedni uważają, że żona i córka Lionela Bairda zostały rozerwane na kawałki, a on dwadzieścia lat później dalej prał pieniądze, kontynuując przestępstwo, które doprowadziło do ich śmierci. - Potrząsnęła głową.

- Zważywszy na uczucie, jakim obie darzył, oraz ich tragiczną śmierć, taka teoria wydaje się nie do przyjęcia.

- Przecież napisała pani serię artykułów sugerujących coś całkiem przeciwnego - ostro wtrącił Trey. - Powiedziałbym nawet, że atakowała go pani z wielką gwałtownością. Czy teraz twierdzi pani, że owe oskarżenia nie miały nic wspólnego z prawdą?

- Nie ja je wysunęłam. - Hallie zmieniła front i miała nadzieję, że ta wolta ujdzie jej na sucho. - Ja tylko relacjonowałam polityczną kampanię.

- Kampanię wyborczą senatora Chisolma - poinformował Trey widzów całego kraju.

- Zgadza się. - Dziennikarka skinęła głową. W tej chwili Pamela bliska jest pewnie apopleksji, ucieszyła się w duchu. - Ale poza wypowiedziami senatora Chisolma, w finansowym środowisku krążyły rozmaite historie, także o Lionelu Bairdzie. Ja tylko zebrałam i ogłosiłam te, które wydały się mi istotne.

- A co ze skandalem związanym z firmą handlową Delia Robii? - Trey przerwał na wystarczająco długą chwilę, by wzbudzić niepokój swej rozmówczyni. - A oświadczenie Lionela Bairda, że pani insynuacje, jakoby sankcjonował on pranie pieniędzy handlarzy narkotyków i zachęcał do tego innych finansistów, były... pozwolę sobie zacytować - spojrzał w notatki - „...godne pogardy, bezczelne, niemające nic wspólnego z dziennikarską rzetelnością i wysunięte w celu rozreklamowania własnej osoby”?

- Jestem dziennikarką, a moje zadanie polega na przekazywaniu czytelnikom gazety wiadomości, niezależnie od tego, czy ucieszą osobę, której dotyczą, czy nie, a także bez względu na korzyści, jakie wyniosę ja sama. - Hallie starała się zachować pewność siebie, ale wkroczyła na grząski grunt. - Co do nierzetelności wysuwanych

przeze mnie zarzutów: wszczęto w tej sprawie zakrojone na szeroką skalę śledztwo, właśnie na podstawie, przynajmniej częściowo, moich oskarżeń.

- Poznaliśmy wyniki?

- W momencie śmierci Lionela Bairda wysunięte przeciwko niemu oskarżenia nie zostały potwierdzone.

- Czy jego samobójstwo spowodowało zamknięcie dochodzenia?

- Nie, bo nie przerwało także handlu narkotykami, prania pieniędzy ani walk o terytoria, o czym świadczą dobitnie ciała znalezione na ulicach Nowego Jorku.

- A więc dlaczego nie poprowadzić śledztwa przeciwko winnym tych czynów? Jaki sens w spekulacjach, czy żona Bairda i jego córka naprawdę zginęły w wybuchu przed dwudziestoma laty?

Trey nie znosił zapuszczania się w ślepe zaułki, ale historie z Wall Street i opowieści o wojnach mafijnych już się przejadły. Ten nowy, bardziej osobisty punkt widzenia wiązał się ze sporym ryzykiem, jednak je podjęli. Szef programu uznał, że w ten sposób przyciągną przed telewizory rzesze kobiet i zwiększą oglądalność. Poza tym, jeżeli Hallie Brendel ma coś w zanadrzu, nastąpi ciąg dalszy.

- Śmierć Lionela Bairda nasuwa wiele pytań - oświadczyła dziennikarka z nadzieją, że nie słyhać w jej głosie tego, co czuła: chęci tłumaczenia się z własnych postępów.

- A co z odpowiedziami, czy przedstawi nam pani argumenty na poparcie swych tez? Hallie pociała się, mimo chłodu, jakim emanował Trey.

- Biuro szeryfa nie pali się do wyjawienia, kto podlega programowi ochrony świadka.

Najwyraźniej zdobyła punkt, bo przestał atakować. Wielki ekran za ich plecami nagle wypełniła podobizna Lionela Bairda.

- Podczas konferencji prasowej, o której rozmawialiśmy przez chwilę - powiedział Trey - pan Baird z ogromnym wzruszeniem wspominał swą byłą żonę i córkę. Proszę spojrzeć.

Przedstawiono część konferencji prasowej Lionela, gdy ten wspominał odwagę, jaką wykazała Cynthia. Hallie zeszywniała na widok oczu Bairda utkwionych w miejscu, na którym wtedy siedziała. Na jego twarzy pojawił się złośliwy grymas. Reporterka zadrżała, wiedząc, co zaraz nastąpi.

- „Postąpiła tak, ponieważ handlarze narkotyków zamordowali jej brata. W końcu zabili i ją, i moją dziewięcioletnią córeczkę”.

Zaświeciło się czerwone światelko kamery numer dwa. Hallie nie zorientowała się na czas, że obiektyw został skierowany na nią, bo utkwiała wzrok w Treyu, wyraźnie poruszonym oglądanym przed chwilą obrazem.

- Nawet po dwudziestu latach uczucia Lionela Bairda nie osłabły - powiedział tonem spokojnym i pełnym szacunku, jednak wyraźnie zaniepokojony. Teraz nadeszła wielka chwila; Hallie rzuciła się, by jej nie przegapić.

- Czy nie nasuwa się panu myśl, że owe najbliższe mu istoty żyją?

- Sądzę...

- Proszę tylko pomyśleć: jeżeli one nie zginęły, a Lionel wiedział, gdzie są, sam także stał się celem. - Znów dramatyczna pauza. - Dzięki Cynthii Baird skazano na długoletnie więzienie grupę przestępców, a także zadano straty kartelowi Espinosa, dostało się również rodzinie Saviano, zajmującej się dystrybucją narkotyków.

- Zamierzchła przeszłość - Gallagher nie był zachwycony tym, jaki obrót przybrał jego wywiad. - Raoul Espinosa nie żyje, a Big Ray Saviano stał się dożywotnim pensjonariuszem więzienia Joliet - trudno mścić się z za grobu.

- Ich potomkowie jednak żyją wśród nas i mają się całkiem nieźle - ripostowała Hallie. - Bracia Espinosa przenieśli się do Meksyku, Little Ray Saviano prowadzi rodzinny biznes tu, w Nowym Jorku. I obydwie grupy zbijają fortunę, faszerując nasze dzieci propainą.

- Więc jakie znaczenie miałyby dla nich Lionel Baird i dlaczego chcieliby wyrządzić mu krzywdę? Zwłaszcza jeżeli prął dla nich pieniądze.

- Bo zarówno ci z rodziny Saviano, jak i ci z kartelu Espinosa są mordercami i nie zapomną krzywdy, dopóki nie wyrównają rachunków - upierała się Hallie. Musi walczyć o swoje albo wyjdzie na idiotkę. - Wierzę, że Lionel Baird wolał się zabić, niż zdradzić miejsce pobytu swej żony i córki. Umarł, by one pozostały bezpieczne.

Jeżeli Hallie spodziewała się aplauzu czy jakiegokolwiek innej formy poparcia, rozczarowała się bardzo. Odpowiedź Treya w najlepszym wypadku można by uznać za protekcyjną.

- To bardzo odważna teoria, obawiam się jednak, że bez dowodów na jej poparcie, panno Brendel, brzmi jak bajka. I bynajmniej nie przekreśla tej drugiej, bardziej popularnej, którą, przypominam, sama pani pomogła rozpropagować: pan Baird wolał się zabić, niż znosić upokarzający proces.

- Sposobem, aby się dowiedzieć, która z hipotez jest prawdziwa - Hallie Brendel postawiła wszystko na jedną kartę - może być ujawnienie się Cynthii lub Eriki Baird. - Ignorując zaszokowaną minę Treya, zwróciła się wprost do kamery: - Gdziekolwiek jesteście, proszę, skontaktujcie się ze mną, zachowam dyskrecję. Tylko powiedzcie prawdę.

Pozwólcie mi oczyścić imię Lionela Bairda, by spoczywał w pokoju. I byście wy też mogły go zaznać.

Gallagher rozpaczliwie sygnalizował reżyserowi, żeby ją wyłączył. . Twarz Hallie zakrył mrok, głos zanikł. Trey pośpiesznie przystąpił do podsumowania.

- Jak zawsze, prawda jest ulotna. Możemy nigdy się nie dowiedzieć, co przydarzyło się Lionelowi Bairdowi, jego żonie i córce. Wiemy tylko, że Ameryka zaangażowała się w zdecydowaną walkę z narkotykami, w wojnę, którą niektórzy uważają za batalię z góry przegraną. Być może mają rację, ale dwadzieścia lat temu Cynthia Stanton Baird dowiodła swego bohaterstwa. Okazując niesłychaną odwagę, stanęła w pierwszej linii. I zapłaciła cenę, na jaką niewielu z nas by się zdecydowało. W imieniu narodu, dziękujemy jej za to. Światła przygasły, reżyser zawołał: „Koniec!”, a Gallagher i cały zespół „Newslina” skierowali wzrok na Hallie.

- Zwariowałaś, czy jesteś idiotką? - zawołał gospodarz programu, najwyraźniej zdegustowany. - Czy nie rozumiesz, że właśnie wyznaczyłaś nagrodę za głowy Cynthii Baird i jej córki?

- Niby jak? Naprawdę to zrobiłam? - Oskarżycielskie spojrzenia zebranych wkoło osób wyprowadziły Hallie z równowagi.

- Dałaś do zrozumienia, że one żyją. Do diabła, powinnaś jeszcze podać ich adres!

- Nieprawda. Ja tylko przedstawiłam pewną hipotezę, zgodnie z formułą waszego programu. A nawet ty przez chwilę uznałeś ją za możliwą do przyjęcia.

- Wywiad szedł na żywo - odparł, czując się winny. - A ja, głupi, sądziłem, że opierasz tę swoją absurdalną historię na jakichś solidnych przesłankach.

Hallie ani myślała ustąpić.

- Twoi współpracownicy nie pytali o fakty, więc żadnych nie przedstawiłam. A na wizji wcale nie wyraziłam przekonania, że któraś z tych kobiet żyje. Po prostu zaszczepiłam w telewizjach wątpliwości.

- Rozejrzała się wokół, jakby chcąc sprawdzić, czy przekonała zebranych. - W końcu program ochrony świadka nie jest czymś nowym, a jego istnienie przestało być ściśle chronioną tajemnicą. Trey pozwolił trochę się ułagodzić.

- W porządku, wprawdzie nie dałem się nabrać na tę bajkę, że Baird popełnił samobójstwo w ich obronie, ale rzeczywiście mogli zostać chronionym świadkami. Reporterka milczała.

- Jeżeli jednak jakimś cudem żyją, właśnie sprowokowałaś do działania bandę zbirów narkotykowych i zabójców z mafii. Jeśli któraś teraz zginie, sam siebie znienawidzę za to, że dopuściłem cię do głosu. A ciebie - przysunął twarz blisko jej twarzy - jeszcze bardziej.

Hallie opuściła studio i ruszyła do domu. Po drodze rozmyślała nad słowami Treya. Po raz drugi tego wieczora obwiniano ją o czyjąś śmierć. Poczula się nieswojo. Zaczęła obawiać się o los Cynthii i Eriki Baird, jeżeli oczywiście żyły.

I o siebie.

Amanda i Sybil siedziały przy herbacie w gabinecie Sybil, pogrążone w rozmowie, i zupełnie przypadkiem któraś z nich włączyła telewizor. Już po kilku minutach oglądania programu „Newslin” Sybil zrozumiała, widząc przerażenie na twarzy przyjaciółki, kim naprawdę jest Max. Zanim jednak zdążyła ją uspokoić i zapewnić o swoim milczeniu, ta wybiegła ze schroniska. Sybil nie miała pojęcia, dokąd pognąła Amanda, ale w duchu zaklinała ją na wszystko, co najświętsze, aby wróciła...

Amanda rozglądała się wkoło, szukając budki telefonicznej. Przede wszystkim musi zadzwonić do Annie. Już późno, a ona potrzebuje ubrań na zmianę i zdjęć, jakie zrobiła w domu Lionela. Postanowiły spotkać się w jakimś publicznym miejscu, ale niezbyt

zatłoczonym - wybrały toaletę dla kobiet na stacji metra przy Sto Siedemdziesiątej Piątej.

Annie dotarła na miejsce już po północy. Na peronie stało niewielu pasażerów, w toalecie nie było nikogo. Przyniosła z domu kilka ciuchów potrzebnych do przetrwania nocy i poranka. Amanda dała przyjaciółce klucz od swego mieszkania i wytłumaczyła, gdzie schowała fotografie. Annie miała udać się tam następnego ranka, zmieniwszy swój wygląd i w czyimś towarzystwie.

- Przerażasz mnie - powiedziała Amandzie. Ta chwyciła ją za ramię i spojrzała jej twardo w oczy.

- Chcę, byś się bała, abyś w każdej minucie dnia rozglądała się w prawo i w lewo, a także za siebie. Jesteś moją przyjaciółką i niestety właśnie dlatego znalazłaś się w niebezpieczeństwie. Proszę, potraktuj sytuację poważnie. Annie skinęła głową.

- Oczywiście. - Objęła Amandę, lecz uścisk nie rozluźnił napięcia, jakie w niej wyczuwała. Sama ze strachu czuła się jak sparaliżowana, śmiała się ale i pełna determinacji. - Czy wystąpienie tej Brendel pogorszyło jeszcze sprawę? - spytała.

- No pewnie! Równie dobrze mogłaby wyznaczyć nagrodę za nasze głowy. - Amanda mocno zacisnęła usta, jej oczy błysnęły gniewem. - Udusiłabym tę kobietę własnymi rękami.

- Nic z tego, jeżeli dorwę ją pierwsza. - Annie była nie mniej wściekła, lecz przede wszystkim martwiła się o przyjaciółkę. Hallie Brendel zajmie się później.

Jakaś kobieta weszła do toalety i zamknęła się w kabinie. Max odwróciła głowę i kręciła wodę i umyła ręce. Annie zaczęła poprawiać makijaż. Obie milczały. Gdy tamta wyszła, Annie zwróciła się do Amandy.

- Powiedz mi, gdzie się zatrzymałaś, co robisz, jak mogę się z tobą kontaktować. Amanda potrząsnęła głową.

- Lepiej, jeśli nie wiesz, gdzie jestem. Zresztą nie zatrzymam się na dłużej w jednym miejscu. Muszę się dowiedzieć, kto zamordował Lionela. Obie dziewczyny usłyszały niedopowiedziane: „Zanim zabije mnie i moją matkę”. Zabrały się do roboty. Przebranie i twarz Amandy zmieniały się szybko i Annie wyszła. Amanda pozostała w toalecie jeszcze godzinę, stojąc na brzegu muszli tak, by z zewnątrz pomieszczenie wyglądało na puste. Gdy minęło dość czasu, by zniechęcić ewentualny „ogon”, wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do wujka Sama. Zamiast zostawić wiadomość i swój

numer, jak zostało umówione, poprosiła, by odebrał osobiście. Po chwili usłyszała głos Batesa. - Musisz odszukać mamę - powiedziała szybko, nie zamierzając wysłuchiwać kazań na temat przestrzegania procedury. Krótko poinformowała go o potajemnej podróży Beth do Nowego Jorku, o skradzionej rolce filmu, o Jaimem i występie Hallie Brendel w „Newslinie”. - Miała na wszelki wypadek przeczekać kilka godzin w San Francisco, a potem polecieć do domu. Nie podoba mi się, że jest sama, bez żadnej ochrony. Bastido może nie wie, gdzie ona mieszka, lecz zna jej wygląd. A jeżeli ktoś szedł za mną do hotelu... - Bała się dokończyć myśl. Podała mu numer lotu. - Proszę, wujku Samie, wyjdź po nią na lotnisko. Obiecał, że zajmie się Beth i skontaktuje się później z Amanda. Opanowawszy strach, Max wymknęła się z toalety i wsiadła do metra w kierunku śródmieścia. Wsiadła na rogu Siedemdziesiątej Siódmej i Lexington i przeszła kilka przecznic w stronę dzielnicy willowej, potem skręciła na zachód, w stronę Piątej Alei. Panował tu tłok, więc mogła zgubić się w tłumie. Wciąż na baczności, wsłuchiwała się w kroki za sobą, obserwowała cienie na chodniku. Zatrzymała się przed wystawą sklepu i zaraz poszła dalej, wciąż czujna. Jak dotąd nikt jej nie śledził, więc skręciła w prawo, minęła kilka przecznic i dotarła do ulicy, przy której mieszkał Lionel. Szła powoli, starając się nie rzucać w oczy; bacznie obserwowała jednak oświetlone okna i ciemne bramy.

Upewniwszy się, że nie zwróciła niczyjej uwagi, wciągnęła lateksowe rękawiczki i pchnęła furtkę z kutego żelaza. Szybko wystukała kod, otworzyła drzwi, zamknęła i na nowo włączyła system alarmowy. Ostrożnie, tak by nie było jej widać z ulicy, oświetliła latarką drogę przed sobą. Odnalazła ukryte wejście i ruszyła po schodach prowadzących do biblioteki.

Dłuższą chwilę stała przed drzwiami pokoju, w którym umarł jej ojciec. Sięgnęła do gałki i natychmiast cofnęła rękę, ogarnięta żalem. Pochyliła głowę i zapłakała; tkwiła w miejscu, niezdolna do najmniejszego ruchu. W pełni świadoma irracjonalności swego zachowania bała się, że jeżeli otworzy te drzwi, znajdzie zwłoki ojca wciąż na krześle, w rozkładzie, zniekształcone i zredukowane do szczątków zwisających ze ścięgien i kości. Ten przerażająco realny obraz sprawił, że musiała złapać się poręczy. Zebrała wszystkie siły, wciągnęła głęboki haust powietrza i pchnęła drzwi.

W pokoju panowała ciemność i czuło się woń stęchlizny. Blask ulicznej latarni wdzierał się przez okna, łagodząc mrok, nie zdołał jednak rozproszyć gęstej szarości. Było zimno, a jednak zapach śmierci, trudny do usunięcia niczym woń tandetnych perfum, wciąż unosił się w powietrzu. Po chwili oczy Amandy przyzwyczały się do ciemności i zobaczyła, że większość mebli stoi na swoim miejscu, przesunięto tylko biurko i krzesło przy nim. Pokrywały je rdzawe plamy zaschniętej krwi i proszek użyty do zabezpieczania odcisków palców. Odwróciła głowę i przeniosła wzrok na prawo. Oświetliła latarką rzędy półek z książkami. Jeszcze podczas jazdy metrem zmusiła się do przywołania w pamięci zdjęć, które zrobiła tamtej okropnej nocy. Jeżeli w tym pokoju jest schowany magnetofon, z pewnością znajdzie go za książkami, prawdopodobnie przy tej ścianie, po której biegną przewody telefonu. Tam, gdzie raz przygotowano miejsce do podłączenia kabli, wsunięcie następnym nie nastroczało trudności. Przesunęła dłonią po pierwszym rzędzie książek i wyjmowała je kolejno, by sprawdzić, czy nie zasłaniają magnetofonu. Nie odkryła niczego, więc zabrała się do drugiego, a potem trzeciego rzędu. Gdzieś w środku jej palce napotkały opór. Poświeciła latarką na połączone tomy wyglądające na wybór poezji Roberta Browninga, Elizabeth Barrett Browning, Byrona i Keatsa. Znów spróbowała wyjąć książki oddzielnie, a gdy nie drgnęły, przytrzymała latarkę pod pachą i spróbowała wysunąć całość.

W końcu jej się udało. Z tyłu odkryła magnetofon, ale nie było w nim żadnej kasy. Poświeciła bliżej i za głowicą dostrzegła maleńki kawałek taśmy. Ktokolwiek wyciągnął kasetę, śpieszył się i wyrwał ją z urządzenia. Nie zależało mu na nagraniach, lecz pragnął ją zniszczyć. Sięgnęła do kieszeni po foliowy woreczek i pincetkę, ostrożnie włożyła strzęp do środka, a potem schowała torebkę do kieszeni. Teraz ustawiła na poprzednim miejscu maskującą paczkę książek.

Znalazła to, czego szukała. Musi jak najszybciej stąd wyjść, zanim ktoś ją zauważy.

Niewiele brakowało, a Jake nie zauważyłby tego światełka. Obserwował dom od tak długiego czasu, że oczy zaczynały mu łzawić. Zresztą plamka światła pojawiła się i natychmiast znikła, wziął ją więc za przywidzenie. Po chwili jednak ukazała się

ponownie. Ktoś najwyraźniej był w środku - co ważniejsze, w bibliotece Lionela.

Jake głębiej zsunął się w fotelu. Oparł lornetkę na desce rozdzielczej, obok kierownicy, i teraz obejmował nią cały dom i ulicę.

Czekał, a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Zdawały się upłynąć całe wieki, choć zegarek wskazywał, że nie minęło nawet dziesięć minut. Zobaczył jakąś postać wyłaniającą się z wejścia do przyziemia.

Ten ktoś był wysoki i długonogi, ale ubranie - czarne - uniemożliwiało rozpoznanie płci oraz wyłowienie charakterystycznych cech tamtego. Jake skierował lornetkę na twarz intruza. Była okrągła, nieco nalana. Pewnie jakiś alkoholik albo ktoś, kto gwałtownie schudł. Tylko ruchy ma pewne, żwawe, pomyślał. Rozpoznał skórzaną kurtkę, spodnie przypominające czarne dżinsy, sweter i czapkę gazeciarza na głowie. Więcej nie zdołał dostrzec. Tajemniczy gość szybko oddalał się chodnikiem.

Jake odczekał, aż tamten dojdzie do rogu ulicy i wyskoczył z samochodu. Drzwi zostawił otwarte, by odgłos zatraskiwania nie zwrócił uwagi. Ale nie okazał się dość szybki - chodnik po obu stronach Piątej Alei był pusty. Podejrzany musiał popędzić do Central Parku. Jake się spóźnił.

Rozczarowany i zły wrócił do samochodu i wahał się, czy odjechać. Może tamten zapomniał o czymś i jeszcze wróci? Może ktoś go śledził i teraz ponownie zechce wejść do domu? Może... Sygnał telefonu komórkowego przerwał jego rozmyślenia.

- Jake, kto mówi?

Serce zabiło mu szybciej: usłyszał łamiący się ze zdenerwowania głos Amandy.

- Właśnie coś załatwiałem. Co się stało? - zapytał.

- Muszę się z tobą zobaczyć, mogę przyjść?

- Oczywiście, za piętnaście minut będę w domu. Telefon umilkł.

Jake żałował, że nie może tak samo szybko uciszyć własnych myśli. I serca.

Po wyjściu z domu Lionela Amanda znalazła schronienie w Central Parku. Zapadła w ciemności panujące tu wszędzie poza chodnikami, ścieżkami rowerowymi i alejkami, które wiodły przez tę oazę zieleni. Niełatwo wpadała w panikę, ale teraz, pewna, że jej ojca zamordowano i świadoma zaginięcia rolki filmu, zdradzającej twarz

jej i matki, wiedziała jedno: złe siły zaczynają je osaczać. Potrzebowała czasu na zastanowienie się, gdzie szukać następnej bezpiecznej kryjówki.

Ruszyła na północ od Siedemdziesiątej Dziewiątej, którą weszła do parku. Trzymała się z daleka od mocno uczęszczanej East Drive, zmierzając w stronę terenów wokół Belvedere Lake. O tej porze powinno być tam pusto i cicho. Większość uprawiających jogging unikała zapędzania się po zmroku w głąb parku i raczej trzymała się oświetlonych ścieżek. Na szczęście teraz, wiosną, bujna zieleń stwarzała wiele możliwości, aby tam się ukryć. Amanda przystanęła przy kępie drzew, odwróciła się plecami do jeziora, twarzą w stronę obelisku i oparła o pień starego dębu.

Gdzieś niedaleko usłyszała odgłosy szybkich kroków po trawie. Wciągnęła powietrze i wstrzymała na chwilę oddech - jacyś ludzie biegli w jej stronę. Słuchała uważnie. Dwie, może trzy osoby, rytm kroków nierówny, z pewnością nie byli to trenujący biegacze. Przycisnęła się mocniej do pnia, jakby próbowała się weń wtopić i modliła się, by nikt z tamtych nie odbiegł w bok. Teraz odgłosy dochodziły z całkiem bliska. Położyła dłoń na broni, palec na spuście. Gdy biegnący znaleźli się obok niej, usłyszała śmiech nastolatków, prawdopodobnie śpieszących do domu, by zdążyć przed wyznaczoną godziną. Amanda zamknęła oczy i oddychała równo; z ulgi aż osłabła. Niestety, nie miała czasu na rozkoszowanie się chwilą. Samolot Beth z pewnością już wylądował. Drżącymi ze strachu palcami wybrała na komórce numer w mieszkaniu matki. Nikt nie odpowiadał, zadzwoniła więc do wujka Sama. Znowu nikt nie podnosił słuchawki. Teraz zatelefonowała do Carla

Steinmetza i zapytała, czy wie coś o Beth. Zawahał się chwilę. Amanda przymknęła oczy; serce w jej piersi biło jak szalone.

- Twoja matka została postrzelona przed lotniskiem w Los Angeles - powiedział. Takiej wiadomości nie mógł przekazać delikatniej.

Bez tchu, osunęła się po pniu na ziemię.

- Żyje?

- Tak. Jest w Cedarssinai, na chirurgii. - Z tonu głosu Carla domyśliła się, że życie Beth zawisło na włosku.

- Gdzie był Sam?

- Samolot przyleciał wcześniej, niż powinien. Sam z kilkoma innymi ludźmi dojechali na lotnisko akurat w momencie, gdy Beth wychodziła z terminalu. Zanim zdążył do niej podbiec, jakiś samochód przejechał pędem obok i...

- Ilu strzelało?

- Jeden.

- Poważnie ranna?

- Jest w stanie krytycznym. Max, lekarze robią wszystko, co w ich mocy. Amanda była zbyt wyczerpana i zrozpaczona, by stłumić szloch. Na myśl, że matka może nie przeżyć, cała się trzęsła. Do głowy przyszła jej druga straszna myśl: to moja wina! Nie powinna była pozwolić Beth na przyjazd do Nowego Jorku. Przecież jest policyjnym detektywem i zna się na tym wszystkim lepiej niż mama. Widziała Bastida i nie ulegało wątpliwości, że on ją także rozpoznał. Jak mogła się zgodzić na coś tak nierozsądnego, uwierzyć, że nie śledzono jej w drodze do hotelu, a potem nie obserwowano Beth?

- Nie obwiniaj się, Max - uspokajał ją Steinmetz. Domyślał się kierunku, w jakim powędrowały myśli dziewczyny. - Szkoda cennego czasu i energii. Słuchaj no, w ten sposób nie pomożesz matce, a możesz jeszcze ściągnąć nieszczęście na siebie. Powinnaś teraz natychmiast udać się do naszego biura w Nowym Jorku, wiesz gdzie. Idź tam, pozwól, byśmy cię chronili. Proszę!

- Zadzwoń, by się dowiedzieć, co z moją matką, a wy nie próbujcie się ze mną kontaktować.

Rozłączyła się, by nie słuchać protestów Carla. Ale miał rację: musi zniknąć z ulicy... I potrzebuje pomocy. Właśnie wtedy zadzwoniła do Jake'a.

Zanim wyruszyła w kierunku jego mieszkania, znalazła publiczną toaletę, w której mogła się umyć, zmienić kurtkę na sweter i... wziąć się w garść. To ostatnie nie do końca się udało. W mieszkaniu Fowlera zjawiała się już bez przebrania, ale bezbronna i blada jak widmo, z pustką w oczach, zupełnie bez życia. Jej twarz okalały włosy pozbawione połysku, wargi miała suche i spękane. Była tak znużona, że nawet nie mogła zsunąć plecaka.

- Rany boskie! - Jake zabrał plecak i wprowadził ją do środka. - Co ci się stało?

Zdumiony wyglądem Amandy, zamknął drzwi i poprowadził ją na kanapę, przekonany, że jeszcze chwila, a Max zemdleje.

Odruchowo obrzucił ją wzrokiem w poszukiwaniu plam krwi, bo wyglądała na ciężko ranną.

Posadził dziewczynę i zbadał jej puls - był mocno przyśpieszony. Chciał, żeby wypła trochę brandy, ale nawet nie potrafiła unieść kieliszka do ust, tak drżały jej ręce; Jake wręcz wmusił w nią alkohol. Po chwili wyglądała trochę lepiej, wtedy wyszedł do kuchni i nastawił wodę na herbatę. Zapomniał już o wcześniejszych podejrzaniach i złych myślach, teraz była dla niego tylko potrzebującą pomocy, nieszczęśliwą istotą.

Usiadł obok i utulił ją w ramionach, głaskał po włosach i nie wypuszczał z objęć, aż drzenie ustało. Gdy Amanda się nieco uspokoiła, przyniósł herbatę i kromkę chleba. Parujący napój wypła bez słowa, chleba nie tknęła.

- Dzięki - szepnęła.

- Nie ma za co. - Pogłaskał ją po policzku.

- Mam ci bardzo dużo do opowiedzenia - zaczęła. W jej oczach wciąż tliło się przerażenie, drewniany głos brzmiała martwo. - Łącznie ze sprawami, o których powinnam powiedzieć ci już dawno temu.

Zamierzała wyznać mu wszystko, opowiedzieć o programie ochrony świadka, o swych związkach z Lionelem, o tym, jak doszła do wniosku, że go zamordowano, a zabójca dopadł Beth i teraz szuka jej samej - ale wcześniej powinna przekazać mu wiadomości od Carla Steinmetza - sprawa Archiego była dla niego nie mniej ważna niż śmierć Lionela dla niej.

Chciała wytłumaczyć się ze swej tajemniczości i powodów, dla których musiała ukrywać prawdę, i miała nadzieję, że Jake potraktuje to tak: skoro Amanda pomogła mu dowiedzieć się prawdy o ojcu, on pomoże jej w wyjaśnieniu zabójstwa Lionela.

- Kilka tygodni temu zadzwoniłam do przyjaciela i poprosiłam o informacje w sprawie twego ojca. - Ze wszystkich rzeczy, jakich się mógł po niej spodziewać - a listę miał długą - ta jedna nigdy nie przyszłaby mu do głowy. Cofnął się i patrzył na Max nieufnie. Czy zauważyła go przed rezydencją? Czy to jakaś sztuczka, żeby odwrócić uwagę od siebie? A jeżeli nie ma do powiedzenia nic więcej, dlaczego wygląda na tak udręczoną?

- Archie nie żyje, Jake, to jego ciało znaleziono w bagażniku.

- A ty skąd wiesz?

Zesztywniał i Amanda niemal słyszała, jak tyka jego mechanizm obronny. Przypuszczał, że tak było, spodziewał się tego od lat, a jednak nie mógł się pogodzić ze śmiercią ojca.

- Informatorem mojego przyjaciela był człowiek, który prowadził samochód Vita Albanese tej nocy, kiedy zginął twój ojciec. - Amanda sięgnęła po jego dłoń, ale odsunął jej rękę.

- Ci z medycyny sądowej nigdy nie zidentyfikowali ciała z całą pewnością.

- Ten gość przy tym był, Jake. Twierdzi, że zwłoki w bagażniku to na pewno Archie Fowler. A egzekucję zarządził Big Ray po odkryciu machinacji Archiego. Z wolna potrząsnął głową.

- Nie wierzę ci.

Amanda daremnie szukała słów mogących złagodzić jej opowieść. Odrzuciła włosy z twarzy. Do rozpacz doprowadzało ją to, że nie mogła oszczędzić Jake'owi bólu. Wbił w nią twardy wzrok. Nie tylko nie mógł uwierzyć w jej słowa, ale nie wierzył także własnym oczom: dokładnie na linii włosów do skóry Max przywarła cienka warstwa lateksu. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Wiem, że moje słowa niweczą twoje nadzieje - powiedziała łagodnie.

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie.

- Nie robię tego. - Czemu tak dziwnie na nią patrzył? - Pewnie nie najlepiej dobieram słowa, ale to prawda, Jake.

- Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

- Bo mój informator nie ma powodu kłamać. Ani ja. Popatrzył na nią z wściekłością. Gniew rósł w nim niczym rtęć w termometrze, podnosząca się błyskawicznie do punktu wrzenia.

- Okłamujesz mnie od dnia, w którym cię poznałem.

- W czym? - spytała zdziwiona. Gwałtowność reakcji, tak nietypowa dla Jake'a, przeraziła Amandę.

- We wszystkim! - Wstał z kanapy, podszedł do plecaka i szarpnął go, niemal rozrywając. Wyciągnął pożyczoną od Annie skórzaną kurtkę i triumfalnie nią wymachiwał, jakby zdobył niepodważalny dowód winy Max. - Gdzie byłaś dzisiaj wieczorem?

Serce w niej zamarło. Zrozpaczona zamknęła oczy i przyciskała palcami powieki. Gdy je otworzyła, zamiast mężczyzny, którego kochała i do którego przyszła po pomoc, ujrzała kogoś obcego.

- Zadałem ci pytanie, Max. Gdzie, u licha, się podziewałaś? - Rzucił kurtkę na dywan, jakby go parzyła.

- Co chcesz wiedzieć?

- Byłaś w domu Lionela Bairda! - Nie pytał, lecz stwierdzał fakt.

- Śledziłeś mnie?

- Nie, ale cię widziałem i pomimo przebrania wiem, że to byłaś ty. Uniosła dłoń ku czołu. Jej palce natrafiły na resztki zaschniętego lateksu.

- Zakradłaś się do tamtego domu i chcę wiedzieć, po co. Czegoś szukałaś? Zostawiłaś tam coś przy innej okazji?

Jego niebieskie oczy pociemniały, zapowiadając burzę; ani śladu dołeczków, które tak kochała. Jake wysunął szczękę i zacisnął zęby. Powoli zbliżał się do niej z groźną miną, osaczał jak zwierzę schwytane w pułapkę. Najwyraźniej wiedział więcej, niż Amanda przypuszczała. Ale co? Nie miała pojęcia, nie wiedziała więc, co ujawnić, a co może zataić.

- Dlaczego tak sądzisz? I co robiłeś przed domem Bairda? - Zamiast odpowiedzieć na jego pytania, zadała własne.

- Pamela Baird uważa, że miałaś coś wspólnego ze śmiercią jej męża.

- Naprawdę? - Słowa Fowlera wyprowadziły Amandę z równowagi i potrzebowała chwili na zebranie myśli. Najwyraźniej zgadywał, nie znając prawdy o jej związku z Lionelem. Potem doznała olśnienia: Pamela Baird wynajęła Jake'a, aby ją rozpracował. - Ciekawa, czego się dogrzebał i dlaczego przyjął tę sprawę, spytała: - A ty? Jak myślisz? Pochylił się i zbliżył twarz do jej twarzy, lecz jego głos zabrzmiał zimno:

- Znałaś Lionela Bairda o wiele lepiej, niż mówiłaś.

- To prawda. - Przyszedł czas, by mu powiedzieć. - Znałam go. Mimo że sam wydusił z Max to wyznanie, gdy teraz padło, jego twarz wyrażała całą gamę emocji: od wstrętu do rozpacz. Stał i wpatrywał się w nią oskarżycielskim wzrokiem'

- Lionel był...

Zadzwonił telefon, aż obydwójce drgnęli. Amanda zamilkła, spodziewając się, że Jake podniesie słuchawkę. Nie ruszył się jednak. Już chciała kontynuować, ale telefon dzwonił natarczywie i głośno. A ten mężczyzna patrzył na nią ostro, jak wróg. Spuściła oczy i obciągnęła dół swetra.

- Lionel i ja byliśmy... to trudno wytłumaczyć. My... Znowż zabręczał telefon. Zirytowany Fowler chwycił za słuchawkę - Tak!

- Dobry wieczór! - zaszcebiotała Hallie. Poczłł się, jakby usłyszalł głos z innej planety, jakby na pogrzebie rozległ się śmiech. - Oglądałś mój show, czyż nie wypadłam wspaniale?

- Miałem akurat robotę. - Nie spuszczał wzroku z Amandy, prowokując, by nań spojrzala. W końcu uniosła głowę.

- Nagrałś chociaż? - dopytywała się Hallie.

- Nie, zapomniałem.

- No wiesz, Jake, czy tak często proszę cię o coś? - Zachichotała.

- No, zdarzało się... Ale jak mogłś przegapić takie wydarzenie, poszło mi niesamowicie.

- Nie wątpię.

- No cóż, okazujesz wyjątkowy entuzjazm, ale ci wybaczam. Mam kasetę - nawet kilka - na wypadek, gdybyś chciał włączyć ją do swej prywatnej filmoteki. I butelkę szampana. Wpadniesz pooglądać ze mną? - Znowż zachichotała. Bez zwracania sobie głowy odpowiedzią odłożył słuchawkę i zażądał, by Max dokończyła zdanie, które zaczęła, zanim przeszkodził im telefon.

- Ty i Lionel byliście kim? - atakował. - Nie rozumiem, czemu ci tak trudno wyrzucić to z siebie. Nie miałaś najmniejszego kłopotu z oznajmieniem mi, że mój ojciec nie żyje. Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć: Lionel był moim kochankiem.

- Co takiego?!

- Ty i Lionel Baird. Kochankowie. Kochasie. Gołąbki. Partnerzy w łóżku. Jak jeszcze mam was określić? Byliście kochankami!

- To absurd, nie wiesz, co mówisz!

- Ależ wiem doskonale. Zostawiliście za sobą długi ślad w postaci rezerwacji hotelowych pokoiów i stolików w restauracjach. Amanda jęknęła; sama się w to wpakowała! Usiadła sztywno wyprostowana.

- Nawet trzymałaś przy swoim łóżku czerwony wagonik, jak z pociągu Lionela. Taki jest dla ciebie cenny? - Jake przestał myśleć rozsądnie. - Czy przypominał ci o nim, kiedy się ze mną kochałaś?

- Nie! Och Jake, jakże się mylisz.

Wstała z kanapy i chciała do niego podejść, cofnął się jednak i uniosł ostrzegawczo dłoń. Uszanowała owo nieme życzenie, by

trzymać się z daleka, ale nie zgodziła się milczeć. Niestety miała mu aż tyle do wyjaśnienia, że się zaplątała.

- Lionel i ja nie mogliśmy być kochankami. Wszystko, co odkryłeś, to tylko maskujące pozory, nie rzeczywistość. Było inaczej, niż myślisz, tak trudno to wytłumaczyć... Dlatego przyszłam tu dzisiaj, aby ci powiedzieć...

- Wiem. Że mój ojciec nie żyje, słyszałem. - Otworzył szafę i chwycił płaszcz.

- Jake! - zawołała. Rozpaczliwie starała się znaleźć właściwe słowa, by do niego dotrzeć! - Powinieneś wiedzieć, jak się czuję!

- Jak przyłapaną na kłamstwie i oszustwie? Otworzył drzwi; Amanda podbiegła i chwyciła go za ramiona.

- Jake, ja...

Otrząsnął się jak gdyby chcąc się pozbyć natrętnej muchy i warknął:

- Cokolwiek masz mi jeszcze do powiedzenia, nie chcę słuchać. I nie chcę cię tu zastać po powrocie. Wybiegł i trzasnął drzwiami, zostawiając ją samą. I zagubioną.

- Jake - rzuciła szeptem w otaczającą ją pustkę - kocham cię!

Nie powinien był tu przychodzić, ale coś przygnało go pod drzwi Hallie Brendel. Cześć - powiedziała zaskoczona i zarazem zachwycona jego widokiem. Ale mina jej zrzędła, bo nie zwracając na nią uwagi wszedł do pokoju, zrzucił płaszcz i nalał sobie czystej szkockiej. Wypił do dna. znowu napełnił szklanki.

- Ach, jaka niespodzianka, Jake, miło że wpadłeś. Napijesz się? oczywiście, nalej sobie. A tak przy okazji - kpiła - przepraszam za rozłączenie się bez słowa. Nic nie szkodzi, kochany, uwielbiam takie traktowanie. No więc, jak ci leci, Hallie? Jak wypadł występ w „Newslinie”, fantastycznie, prawda? Miło słyszeć.

Stała podparta pod boki i paplała, postukując stopą w podłogę. Jake wypił spory haust już drugiej porcji whisky i wreszcie spojrzał na dziewczynę. Miała na sobie kusą koszulę nocną z białego atłasu, na wierzch narzuciła równie krótki szlafrok. Zastanawiał się, czy spodziewała się jego wizyty. Wtem dostrzegł butelkę szampana w wiaderku z resztką lodu.

- Przykro mi - powiedział, wskazując głową na butelkę. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolę swoją. - Uniósł szklankę ze szkocką i wypił do dna. - A tak przy okazji, wyglądasz cudownie.

Padł na sofę, w miękkie gniazdko miłosne o grubych, zaokrąglonych poręczach i wysokim oparciu, gęsto obszytą frędzlami przypominającymi nylonową słomę, tyle że białą, jak zresztą wszystkie sprzęty znajdujące się w mieszkaniu. Dywan, meble, zasłony, draperie, kwiaty, poduszki, świece - pomieszczenie stanowiło bogaty wzornik odcieni bieli: alabaster, barwa kości słoniowej, kreda, lila, łabędź, mleko, ostryga, papier, perła, skorupka jajka, śmietanka, śnieg, wełna. Tło w swej kolorystycznej prostocie idealne dla Hallie.

- Dzięki - przyjrzała mu się uważnie - i szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie.

Nalała sobie do szklanki wina - naturalnie białego - i przysiadła na pucha tej kanapie.

- Żałuję, że nie udało mi się zobaczyć twojego wywiadu. Jak ci poszło? Słowa dobrał odpowiednie, tylko głos brzmiał niewłaściwie - obojętnie, bez śladu zainteresowania, jakby czytał z kartki.

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Z pewnością wypadłaś wspaniale!

Podkreślił komplement skinieniem głowy i znów podszedł do barku. Gdy już nalał sobie następną porcję whisky, zaczął krążyć po pokoju. Najwyraźniej pragnął „zachodzić” albo wyciszyć alkoholem jakieś dręczące myśli. Choć Hallie była bardzo ciekawa, co aż tak wyprowadziło jej gościa z równowagi, wołała nie pytać. Cokolwiek się wydarzyło, u niej szukał zapomnienia i w tej chwili nic więcej się dla niej nie liczyło.

- Nagrałam wywiad na taśmę, jakby cię interesował.

- Oczywiście, świetnie - mruknął. Nie patrzył na nią ani nie przestawał chodzić. - Nie mogę się doczekać.

- Aha, z pewnością.

Była rozbawiona i równocześnie zaciekawiona. I taktowna. Nie naciskała; popijała wino, obserwując nerwowe ruchy Jake'a. Stawiał długie, gwałtowne kroki, a przy każdym materiał spodni ciasno przylegał do jego ud i pośladków. Oczy zaczynały mu zachodzić alkoholową mgłą, lecz nadal płonął w nich ogień wściekłości.

- Chcesz obejrzeć teraz? - zapytała.

Wstała i podeszła bliżej. Nie odpowiadała, więc stanęła naprzeciw niego, zmuszając, by na nią spojrzał. Wyraz twarzy Jake'a zaniepokoił

Hallie. Ujrzała wręcz niewyobrażalną rozpacz. Położyła mu ręce na ramionach i delikatnie przytrzymała.

- Powiesz mi, co tak cię dręczy?

Zadzwoiła do niego, bo czuła się nieswojo. Potrzebowała przyjaciela i przyszedł jej do głowy Fowler - on powie jej szczerze, czy rzeczywiście ściągnęła na kogoś niebezpieczeństwo, czy po prostu tylko oznajmiła głośno to, o czym nikt inny nie odważył się mówić. Teraz tamto już minęło, teraz on znalazł się w potrzebie.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytała. Milczał, ale też nie odsunął się od niej.

- Możemy porozmawiać - zaproponowała. W odpowiedzi zdjął tylko jej dłonie z ramion. Znów nalał sobie whisky. - Niekoniecznie - westchnęła.

Mimo oszołomienia, usłyszał w jej głosie urazę.

- Nie ma o czym - odrzekł po prostu.

- To może wolisz robić coś innego?

Jake odwrócił się i popatrzył na nią, niepewny, o co chodzi. W ramach wyjaśnienia odwiązała pasek szlafroka, zsunęła białą mgielkę z ramion i pozwoliła jej opaść na podłogę. Podązał wzrokiem za frunącym w powietrzu materiałem, a potem przeniósł spojrzenie na ciało Hallie. Widział białe stopy, gołe ramiona i... całą resztę. Przez chwilę pożerał ją wzrokiem. Postanowiła zapomnieć, że jest pijany, wzburzony i reaguje bardziej na bodźce fizyczne niż na prawdziwe pożądanie. W końcu mógł zostać w domu albo szukać pociechy w pierwszym lepszym barze, czy u kogoś mieszkającego w sąsiedztwie. Znalazł się jednak u niej, bo potrzebował właśnie jej.

Podeszła z wolna, pozostawiając mu możliwość wycofania się. Nie powiedział ani słowa, patrzył tylko na nią, z ustami wykrzywionymi w uśmiechu aprobaty. Stała na palcach i pocałowała go. Język Jake'a smakował whisky.

- Dokończ drinka - powiedziała ochryłym nagle głosem i ruszyła korytarzem do sypialni. - Jeżeli zechcesz, przyjdiesz do mnie.

Jake stał pośrodku śnieżnobiałego pałacu Hallie, pośpiesznie przetykając whisky. W głowie mu się kręciło. Wiedział, że wypił za dużo, ale nie potrafił się powstrzymać. Chciał wyrzucić z głowy obraz Max na progu jego mieszkania, zmęczonej i bezradnej. Próbował zagłuszyć jej głos, mówiący mu o śmierci Archiego. W jednej chwili wszystkie jego chłopiące marzenia i nadzieja na odnalezienie ojca

runęły. Przede wszystkim jednak chciał znieczulić ból, jakiego doznał, gdy powiedziała, że ona i Baird byli dla siebie kimś więcej niż mecenasem sztuki i artystką, że łączyło ją z Lionelem coś więcej niż z kimkolwiek innym, a zwłaszcza, jak wierzył, z nim, Jakiem.

Gdzieś w głębi, gdzie jeszcze ostały się resztki świadomości, wiedział, że nie powinien tu przychodzić. Ale ciało miał słabe, a potrzeby silne.

Odstawił szklanę i poszedł korytarzem. Powitał go las świec. Gdziekolwiek spojrzeł, wszędzie stały grupki białych kolumnienek, od których bił delikatny, żółtawy blask. W powietrzu unosiły się znajome zapachy, ale jego nos nie mógł teraz odróżnić woni frezji od tuberozy czy wanilii. Niezdecydowany stanął w drzwiach, poruszony pięknem tej scenerii, ale także ogarnięty wyrzutami sumienia.

- W porządku, w końcu nie pierwszy raz będziemy to robić. - Głos Hallie przepłynął do niego przez pokój, jakby niesiony pachnącą bryzą. Siedziała na łóżku, oparta o poduszki, które przypominały olbrzymie, różowe galaretki. Była całkiem naga, ale dziwnie skromnym gestem przytrzymała pod szyją prześcieradło.

Jake starał się zebrać w sobie, aby rozproszyć alkoholową mgłę. Musiał jednak przytrzymać się drzwi, bo gdy zrobił krok, oszołomiony mocnym zapachem świec i kwiatów na stoliku, zachwiał się nagle.

Hallie podniosła się z łóżka. Wbiła wzrok w Jake'a i nie spuściła oczu, podchodząc do niego niczym sylfida. Wciąż weń wpatrzona, wzięła go za rękę i położyła je na swych piersiach, przycisnęła i przytrzymała. Pochylił się, by ją pocałować, ale nie pozwoliła, przesunęła jego dłonie niżej, zmusiła, by jej dotykał i poczuł podniecenie, jakie w niej budził. Wciąż trzymając go za rękę, spowodowała, że sam także stał się gotowy.

W milczeniu pociągnęła go do łóżka. Usiadła na krawędzi i przyciągnęła jego twarz ku swojej. Gdy się całowali, rozpięła mu koszulę, a po chwili spodnie. Zrzucił ubranie... pozbył się wszelkich wahań. Pchnął ją na łóżko i wziął, ledwo zdążywszy się zabezpieczyć.

Hallie rozkoszowała się na nowo odkrywaną bliskością, znajomym zapachem i dotykiem; czując cudowną obecność mężczyzny, który potrafił rozpalić ją jednym spojrzeniem i doprowadzić do szaleństwa pocałunkiem. Dla niej wszystko było jak

dawniej: namiętność, gwałtowna, dzika i pełna inwencji, rapsodia niepohamowanej żądzy, czystego seksu.

I tak jak dawniej, gdy skończył, tylko ona pozostała zakochana.

Beżowa ciężarówka zatrzymała się przed skromnym budynkiem z brązowego piaskowca na Osiemdziesiątej Dziewiątej, tuż za skrzyżowaniem z Columbus. Kierowca zaparkował na pustym miejscu - wolnym z powodu napisu „zakaz parkowania” i, by odstraszyć jakąś nadmiernie gorliwą funkcjonariuszkę zbierającą mandaty, na przedniej szybie wystawił tabliczkę „awaria”. Ten potężny mężczyzna o mocno rozwiniętej muskulaturze wyciągnął pudło z narzędziami z tyłu samochodu, potem zatrzasnął drzwiczki i zamknął je na klucz. Jego kolega był drobniejszy, ale sądząc z tego, jak wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, poruszał się żwawiej. Według napisu umieszczonego na plecach ich kombinezonów, byli pracownikami Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodno - Kanalizacyjnego.

I Z drugiej strony ulicy, zza muru otaczającego inną, większą kamienicę, jakiś człowiek obserwował, jak ci dwaj stoją chwilę, a potem otwierają drzwi do budynku. Pewnie wezwano ich do naprawienia cieknącej rury albo przetkania wychodka, pomyślał. W wejściu, w którym zniknęli, wisiała kotara, nie widział więc, czy zostali na dole, czy poszli na wyższe piętro. Dla niego nie miało to znaczenia. On czekał na szczupłą kobietę ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, o kasztanowatych włosach, a żaden z hydraulików nie odpowiadał temu rysopisowi. Znużony i zły, że musi tu tkwić przez następne kilka godzin, rozpiął zamek rozporka, oddał mocz i ruszył za róg po pączki i kawę. Tu nic interesującego się nie zapowiadało. Bastido mówił, że babka, na którą czeka, to policjantka. Czy gliniara byłaby taka głupia, by wracać do własnego domu? Według niego ta zasadzka to tylko strata czasu. Na trzecim piętrze Annie Hart otworzyła drzwi od mieszkania Amandy. Jej przyjaciel Jimbo, kamerzysta, z którym pracowała przy mydlanych operach, i zapalony kulturysta - ubezpieczał ją z korytarza. Włączyła światło i omal nie zemdląca. W mieszkaniu panował kosmiczny wprost bałagan: przewracane meble, opróżnione szuflady i szafki. Ciemnię Amandy z premedytacją zdemolowano: drzwiczki szafek wyrwano z zawiasów, wszędzie poniewierały się kawałki rozbitego powiększalnika i innego wyposażenia. Podłogę, na podobieństwo jesiennych liści, pokrywały fotografie.

Annie ostrożnie przeszła przez hol, przerażona myślą, co zastanie dalej. Sypialnia Amandy, jej piękny, prywatny azyl, także została zbezczeszczona. Pled pocięty, prześcieradła ściągnięte z łóżka, poduszki wypatroszone. Garderoba, co do jednej sztuki wyrzucona z szafy i komody, leżała w nieładzie jak przed wielką wyprzedazą.

Annie stała pośrodku tego bałaganu, sparaliżowana strachem. Spojrzała na swego towarzysza, tak samo zaszokowanego. Co gorsza, mieli przeczucie, że nie widzieli jeszcze wszystkiego.

Amanda poprosiła przyjaciółkę o przyniesienie czegoś do ubrania i fotografii, jakie zrobiła w domu Lionela, a także karabinu, który powinni znaleźć schowany pod łóżkiem. Zastanowili się chwilę i zdecydowali, że lepiej będzie, jeśli Jimbo wyjmie broń.

Położył się na podłodze, sięgnął pod łóżko i przeciągnął dłonią po sprężynach pod materacem.

- Jest - powiedział i ostrożnie, powoli, ściągnął remingtona z zaczepu. Amanda ostrzegła Annie, że broń jest załadowana.

Wyposażeni w narzędzie śmierci, którego z pewnością nie chcieliby użyć, Jimbo i Annie, wyczuleni na wszystko, co mogłoby wskazywać, że nie są sami, wrócili do holu. Mężczyzna ruchem głowy wskazał w lewo, na zamknięte drzwi łazienki. Annie zagryzła wargi i zamknęła oczy - za tymi drzwiami spodziewała się czegoś okropnego. Jimbo wycelował karabin w sam ich środek. Stojąca z boku dziewczyna wyciągnęła drżącą dłoń, przekręciła gałkę i pchnęła drzwi. Równocześnie przywarła plecami do ściany, jakby spodziewała się kanonady. Powitały ich śmiertelna cisza i woń rozkładu. Jimbo gwałtownie odwrócił głowę, co jeszcze bardziej wystraszyło Annie.

Tylko nie Amanda! - modliła się w myślach. Musiała zdobyć się na odwagę, by zajrzeć do środka. Zamknęła oczy i zacisnęła zęby, by nie zemdleć. Wzięła głęboki oddech, policzyła do trzech i wpadła do pomieszczenia.

- Och, Boże!

W wannie pływał trup psa, czarno - białego cocker spaniela. Do wbitego w brzuch na podobieństwo masztu patyka przyczepiono mu kartkę z napisem: „Szach - mat”.

Dziewczyna zaczęła histerycznie szlochać. Jimbo zabrał ją z łazienki, zaprowadził do pokoju, postawił wywróconą kanapę i posadził na niej Annie. Sprawdził, czy zamknęli drzwi wejściowe, a potem, czy broń jest nabita. Teraz rozumiał, czemu dziewczyna wzięła

go ze sobą. Jimbo, olbrzym pochodzący ze wzgórz Kentucky, znał się na broni, co w tym wypadku mogło mieć wielkie znaczenie. Poznał Annie kilka lat wcześniej, zaprzyjaźnili się i pomogła znaleźć mu pracę; był jej dłużnikiem. Pomyślał, że po dzisiejszej przygodzie chyba już spłacił dług.

- Musimy się wynosić. - Annie załamała ręce. - i zabrać ze sobą to biedne zwierzę.

- Może kogoś wezwać?

Potrząsnęła głową. Amanda mówiła wyraźnie - tylko nie policja.

- Dobrze - zgodził się olbrzym. - Zabiorę psa, a ty zajmij się tym, po co przyszedliśmy.

Dziewczyna, pełna wdzięczności, wstała i pocałowała go w policzek.

- Nigdy nie sądziłam...

- W porządku, kochana. Twoja przyjaciółka na pewno nie podejrzewała, że zastaniemy tu coś podobnego.

Annie była pewna, że Amandę nawiedzają właśnie takie koszmary. Jimbo przeszukał kuchnię i znalazł kilka obszernych worków na śmieci. Zniknął w łazience, by zająć się swym ponurym zadaniem, Annie zaś poszła do kuchni wykonać swoje.

Serce biło jej mocno, gdy schylała się do szafki obok zlewu. Zawartość leżała wyrzucona na podłogę, ale nie to ją martwiło. Po opróżnieniu szuflady, ktoś mógł zajrzeć do środka i zauważyć, że dno znajduje się za wysoko.

- Dzięki Ci, Boże, o dzięki Ci, dzięki - szeptała do Wszechmogącego - Wszystko znalazła na swoim miejscu. Kierując się wskazówkami przyjaciółki, sięgnęła do tyłu szafki i wyczuła pod palcami niewielkie zagłębienie. Włożyła palec i uniosła ruchomy element. Pośpiesznie opróżniła prowizoryczną skrytkę, w duchu gratulując Amandzie pomysowości i stolarskich uzdolnień. Wepchnęła teczki z dokumentami do pustej torby na narzędzia, którą ze sobą przynieśli, i wróciła do sypialni. Przechodząc obok łazienki, w której krzątał się Jimbo, zamknęła oczy. W ukochanym gniazdku przyjaciółki starała się nie zwracać uwagi na panujący tu bałagan i zabrała się do pracy. Przejrzała porozrzucane ubrania i spakowała trochę bielizny, kilka podkoszulków, dżinsy, czarny sweter na każdą okazję, a także, ponieważ sukienka akurat wpadła jej w ręce, „małą czarną” Amandy. Upchnęła wszystko do torby i jeszcze raz popatrzyła

wokół siebie, aby sprawdzić, czy nie pozostało coś, co mogłoby się przydać Max.

Już wcześniej kupiła nowy telefon komórkowy; Amanda była przekonana, że Bastido wytropił ten, którego zwykle używała.

- Gotowa? - rozległ się z holu głos jej towarzysza.

- W zupełności.

Rozejrzała się po raz ostatni, z strachem myśląc, co powie przyjaciółce.

Chwyliła spakowaną torbę i wyszła, Jimbo także, ze swym smutnym pakunkiem. Kartkę z napisem włożył do foliowego woreczka, który Annie trzymała teraz w kieszeni kombinezonu. Gdy zeszli na parter, rozładował broń, włożył remingtona pod bluzę i szybkim krokiem ruszył do ciężarówki.

Odjechali dwie minuty później, niemal w ostatniej chwili unikając spotkania z człowiekiem, który właśnie przechodził przez ulicę z kubkiem kawy w jednej i pączkiem w drugiej ręce.

Dźwięk telefonu wyrwał Hallie ze snu. Sięgnęła ręką w stronę Jake'a, ale już go nie było. Pewnie od dawna, pomyślała. Skierowała dłoń w drugą stronę i chwyciła za słuchawkę.

- Widziałem cię w „Newslinie” - odezwał się męski głos. Rozmówca nie przedstawił się, mówił z obcym akcentem. Chyba to hiszpański, pomyślała. - Ten gość zrobił z ciebie idiotkę. Ja mam coś naprawdę dobrego. Chcesz?

Hallie właśnie miała rzucić słuchawkę, gdy nieznajomy powiedział, co ma do zaoferowania.

- Jeszcze jak! - zawołała.

W jednej chwili przebudziła się całkiem. A po Jake'u zostało jej tylko przyjemne wspomnienie.

On natomiast wlewał w siebie kawę, by choć trochę złagodzić kaca. Wiedząc, że nie zdobędzie się na więcej wypraw do kuchni niż ta jedna, przyniósł ze sobą do sypialni dzbanek i sporych rozmiarów kubek. Zanim wrócił do łóżka, włożył nagranie Hallie do magnetowidu - przynajmniej obejrzy sobie ten wywiad. Czuł się podle, wychodząc bez pożegnania, z kasetą zabraną bez zgody właścicielki, ale myśl o przebudzeniu się rano obok tej dziewczyny, po ich nuit d'amour, dokuczała mu bardziej niż ból głowy.

Z namaszczeniem popijał jawajską mokkę, jakby miała pomóc mu dojść do siebie. Po opróżnieniu zawartości sporego w końcu

kubka, nalał sobie następny i przycisnął klawisz „play”, pewny że teraz może patrzeć, rozumiejąc, co ogląda. Prawie nie zwracał uwagi na wstęp - wszystko już słyszał wcześniej. Podświadomie zarejestrował urodę Cynthii Stanton Baird i słodki wygląd małej Eriki.

Podobna do niego, pomyślał Jake. Wypił jeszcze kawę i połknął trzy tabletki tylenolu.

Przebiegł szybko reklamy i zwolnił taśmę dopiero w momencie, gdy Trey przedstawiał Hallie. Wyglądała świetnie - jak dojrzała, poważna dziennikarka, a nie jakiś seksowny kociak z popołudniówki. W głowie mu zaszumiało, pewnie to kara za zlekceważenie jej, pomyślał. Zeszłej nocy nie przeszkadzała mu owa seksowna jej osoby, przyznał z dużym poczuciem winy.

Zmusił się do uwagi. Reporterka uzasadniała właśnie swe ataki na Lionela Bairda. Na dźwięk nazwiska zmarłego Jake poczuł się niedobrze. Już miał zatrzymać taśmę, gdy usłyszał, jak Hallie sugeruje, że matka i córka nie zginęły w wybuchu. Trey naciskał. Czemu nie? Stara telewizyjna sztuczka - Fowler o tym wiedział, Trey także, Hallie z pewnością również. Popijał kawę i czekał, co jeszcze wymyśli Gallagher. I wtedy usłyszał, jak Hallie przekonuje słuchaczy: Lionel Baird zabił się, by nie ujawnić adresu żony i córki.

W obolałym od alkoholu mózgu detektywa włączył się alarm. Przewinął taśmę z powrotem i jeszcze raz wysłuchał spekulacji Hallie na temat, czy Cynthia i Erica naprawdę zginęły w eksplozji. A potem jej rozważań, czy Lionel Baird odebrał sobie życie, by chronić żonę i córkę. Fowler zamknął oczy i przypominał sobie, jak Max starała się mu wytłumaczyć swój związek z Lionelem. „Lionel i ja nie mogliśmy być kochankami. Było inaczej, niż myślisz, tak trudno to wytłumaczyć...”.

Znów widział rozpacz na jej twarzy. Przypomniawszy sobie, jak przerażona przyszła pod jego drzwi. I skąd miała wiadomość o Archiem? Który z jej przyjaciół mógł znać kierowcę Vita Albanese? Szeryf federalny! Tylko funkcjonariusz związany z programem ochrony świadka byłby w stanie zdobyć podobną informację. Kierowca Albanese go zeznawał przeciwko Big Rayowi Saviano i od tamtej pory słuch o nim zaginął. Bo on też jest w programie, podobnie jak Erica Baird alias Amanda I Maxwell.

Jake wyskoczył z łóżka i chwycił za słuchawkę. Taśma wciąż się przesuwiała. Słuchał jednym uchem i wystukiwał numer telefonu Max,

; modląc się, by odebrała. Trzy dzwonki, cztery, siedem - nic! Nawet nie włączyła się sekretarka. Zadzwoił na jej komórkę - również brak odpowiedzi. Ból rozsadzał mu czaszkę, ale nie dorównywał temu, jaki czuł w sercu. Przyszła do niego po pomoc, Jake teraz to rozumiał, a on wyszedł i zostawił ją samą. Zauważył wyraz twarzy Treya Gallaghera, gdy Hallie zaapelowała do Cynthii i Eriki, by się ujawniły.

Zobaczył przerażenie w oczach Amandy, gdy wchodziła do jego mieszkania. I nic dziwnego, jest Ericą Baird, Lionel był jej ojcem. Jeżeli ktoś zamordował Lionela, następna na liście to Max. Przerażony, zadzwonił do wydziału kryminalistyki.

- Detektyw Maxwell nie ma - odpowiedziała dyżurna w centrali.

- W takim razie chciałbym mówić z Pete'em Doyle'em.

- Proszę zaczekać.

- Doyle.

- Tu Jake Fowler, jest Max?

Zazwyczaj Pete nie przegapiłby okazji, by się z nim podrażnić, ale jakiś ton w głosie Fowlera ostrzegł, że nie pora na żarty.

- Nie, zachorowała. O co chodzi?

- Wiesz, gdzie jest?

- Chyba w domu.

- Dzwoniłem.

- Może śpi albo nie chce z tobą gadać.

- Całkiem możliwe - przyznał Jake z żalem.

- Co ty jej zrobiłeś, Fowler? Przysięgam, że skręcę ci ten twój pieprzony kark, jeżeli ją skrzywdziłeś.

- Wyświadczy mi przysługę, Doyle. Jedź do niej do domu i sprawdź, co się dzieje. Zaraz!

- Niepokoisz mnie, Jake.

- Sam się niepokoję. Proszę, Doyle, zrób, o co proszę. Nie mów nikomu, dokąd idziesz ani dlaczego, ale jedź tam. Spotkamy się na miejscu za pół godziny.

- Jezu! A tu co się stało? - Pete ostrożnie, by nie zdeptać śladów, krążył po pobojowisku, ręce założył do tyłu.

- Nie mam pojęcia, ale dobrze się złożyło, że kolano pana Zieglera znów się odezwało.

Gdy Pete zapukał do mieszkania Aarona Zieglera i poprosił o klucz od apartamentu Max, administrator zainteresował się, o co chodzi. Pete pokazał odznakę i wyjaśnił, że jest partnerem Amandy, a

Jake to jego kolega. Max wyjechała służbowo z miasta i zostawiła w domu jakieś ważne zdjęcia, Pete ma je zabrać i wysłać koleżance. Zaproponował, by pan Ziegler poszedł z nimi na górę, lecz starszy mężczyzna wymówił się atakiem reumatyzmu. Kazał im tylko obiecać, że nie zrobią bałaganu, a po skończonej wizycie oddadzą klucz. Pete obiecał spełnić obydwa żądania.

- Spodziewałeś się czegoś podobnego? - spytał Fowler i podniósł przewrócone krzesło. W jego głosie zabrzmiało zaskoczenie połączone z podejrzliwością.

- Chyba tak.

Nie wyjawiał tamtemu prawdziwej tożsamości Max, bo sam nie do końca był pewien. Podał tylko skróconą wersję prawdy: zeszłej nocy przyszła do jego mieszkania w okropnym stanie, kompletnie załamana. Miała mu coś do powiedzenia. Zaczęła od informacji o śmierci jego ojca i wtedy się pokłócili. Wybiegł z mieszkania wściekły, a gdy wrócił, już nie zastał Amandy. Jej zachowanie wydało mu się jednak dziwne i dlatego zaczął się niepokoić.

Pete przypominał sobie, jak nerwowo zachowywała się na rozprawie Jesusa Vazqueza i jak bardzo wyprowadził ją z równowagi widok jakiegoś Latynosa o ściągniętej twarzy, który w najlepszej komitywie rozprawiał o czymś z Little Rayem Saviano. Swymi spostrzeżeniami podzielił się teraz z Fowlerem. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie groził jej ktoś z gangu Blanca Muerte; Jake stwierdził, że nie lekceważyłby Saviana.

- Po zamknięciu Vazqueza chłopaki potrzebowały trochę czasu na przeorganizowanie interesu. A czas to pieniądz. Jeżeli to, co słyszałem o ich finansowych kłopotach, jest prawdą, Little Ray nie ma czasu do stracenia. Obaj poruszali się po mieszkaniu z najwyższą ostrożnością. Nie tylko obawiali się tego, co jeszcze mogą odkryć, także zawodowy nawyk dyktował im sposób postępowania na miejscu przestępstwa. Wyciągnęli broń i jeden za drugim ruszyli holem. Doyle zatrzymał się przy łazience.

- Idź sprawdzić sypialnię.

Ton Pete'a sprawił, że Jake poczuł dreszcz. Szybko zastosował się do polecenia. Widok, jaki zastał, kazał mu się cofnąć. Max kochała ten pokój. Pamiętał, jak ucieszyła się, że nie przeszkadza mu ten świat kobiecych drobiazgów. Później, gdy leżał w jej ramionach, spytała, czy nie przeszkadzają mu kwiaty. W tamtej chwili nie zwróciłby

uwagi nawet na hodowlę kaktusów. Poszedł zawiadomić swego towarzysza o tym, co zastał w sypialni, ale ulga, że nie było tam Max, trwała krótko. Pete zbierał z wanny próbki. Za pomocą zakraplacza do oczu wciągał wodę, która pozostała wokół odpływu, i wkraplał ją do fiolki. Skrobakiem startł brud z suchej obwódki wewnątrz wanny. To także powędrowało do pojemnika i zostało opisane.

- Co znalazłeś? - Jake z przerażeniem czekał na odpowiedź. Twarz policjanta, ściągnięta i surowa, wydawała się pozbawiona barwy.

- W tej wodzie jest krew, a sądząc z tego, jak tu śmierdzi, ten, kto leżał w wannie, nie żyje. Pytanie: kto to i gdzie jest ciało?

Po niespokojnej nocy spędzonej w hotelu obok dworca autobusowego Amanda umówiła się z Annie na obiad w restauracji znajdującej się w alei naprzeciw moła na Hudsonie. W porcie akurat nie było większych statków turystycznych, przyjaciółki miały więc lokal niemal w całości dla siebie. Usiadły przy stoliku w głębi sali, z widokiem na ulicę, z dala od okna. Zamówiły jajecznicę i grzanki. Annie opowiedziała Amandzie o poranku spędzonym z Jimbo. Wiadomość o włamaniu niespecjalnie zaskoczyła Max, jednak gdy usłyszała o psie, zrobiło jej się niedobrze.

- Dokąd go zabraliście? - spytała, odsuwając talerz z jajecznicą. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie w stanie znów zamieszkać w swoim mieszkaniu. Annie przełknęła łyżę.

- Wyrzuciliśmy biedaka na wysypisku w pobliżu rzeźni. Kartkę zachowałam na wypadek, gdybyś chciała sprawdzić odciski palców.

- Dobrze. - Amanda z aprobatą skinęła głową, wątpiła jednak, czy da się cokolwiek znaleźć. Ktoś na tyle sprytny, by wtargnąć do jej mieszkania, nie wzbudzając podejrzeń, na pewno zadbał o to, by nie pozostawić odcisków palców.

- Przyniosłam ci trochę rzeczy. - Annie się skrzywiła. - Chciałam resztę poskładać, ale, no wiesz, po tym...

- Nie martw się. - Zmusiła się do uśmiechu i poklepała ją po ręce. - Zresztą nie będzie kłopotu z wymianą moich ciuchów. Nie noszę nic specjalnie wytwornego, sama wiesz.

Spodziewała się śmiechu lub sarkastycznej uwagi na temat swej ubogiej garderoby i braku gustu. Ale Annie milczała.

- Co się dzieje, Max? Martwię się o ciebie. - W ochrypłym szepcie przyjaciółki brzmiał strach. Pomyślała przez chwilę i

poprawiła się: - Tak, martwię się, ale prawdę mówiąc, jestem nieprzytomna z przerażenia.

- I nie bez powodu. - Amanda opuściła wzrok i bawiła się rozłożoną na kolanach serwetką. Nie podnosząc wzroku, powiedziała: - Postrzelili mamę.

- Co takiego! - Annie zasłoniła dłonią usta, by stłumić krzyk. Nic nie mogło powstrzymać jej łez.

- Z przejeżdżającego samochodu. Jest już po operacji, ale ciągle w stanie krytycznym.

- A gdzie podziewał się wtedy ten gość, którego nazywasz wujkiem Samem? Pomyślała, że to dobre pytanie.

- Sądziłam, iż ma ją chronić - oburzała się Annie.

- Ja też.

Jednym z ostatnich telefonów Amandy z komórki, zanim dziewczyna ją wyrzuciła, była rozmowa z Danem Connorem. Przeprosiwszy go, że nie zdołała powstrzymać matki od złamania zasad bezpieczeństwa, zapytała o kroki, jakie przedsięwzięto w szpitalu i co, jeżeli w ogóle, zrobiono w sprawie zatrzymania Jaimego Bastido. No i dlaczego ona straciła kontakt z Samem. Dan zapewnił ją, że w Cedarssinai umieszczono grupę strażników i że zarówno biuro szeryfa jak i FBI zajmują się tą sprawą, policja w Los Angeles już zatrzymała dwóch podejrzanych o strzelanie do Beth. Nikogo nie zaskoczyło, gdy okazali się członkami Blanca Muerte. Co do szeryfa Batesa, miał stanąć do raportu za niedopełnienie obowiązków. Amanda spytała, czy ostatnie nieobecności Sama mają związek z tym zarzutem, ale Dan wolał nie komentować. Powtórzył prośbę Carla, by Amanda pozwoliła się chronić pracownikom służb, dopóki Bastido nie zostanie ujęty. Odpowiedziała mu dokładnie to samo co Steinmetzowi.

- Najwyższy czas poprosić o pomoc! - nalegała Annie, Max jednak wciąż nie podnosiła głowy. Annie czuła, że przyjaciółka kryje się za coraz wyższym murem. - Na Boga, jesteś przecież policjantką, masz kumpli. Powiedz im, co się dzieje. - Nie było odpowiedzi. - Przynajmniej zawiadom Pete'a. - Milczenie. - Albo Jake'a.

Powoli, jakby z ociąganiem Amanda spojrzała na przyjaciółkę. Nie płakała, ale całą swą postacią wyrażała tak niewypowiedziany smutek, że na łzy zabrakłoby już miejsca.

- Jake nie chce mieć ze mną nic wspólnego - powiedziała zwyczajnie.

Annie nie mogła uwierzyć i nie kryła tego, lecz z tonu przyjaciółki wyczuła, że między tymi dwojgiem wydarzyło się coś okropnego, co, przynajmniej Amandzie, wydaje się nieodwracalne.

- W żadnym wypadku nie dzwoń do niego - uprzedziła ją Max. - A jeżeli on do ciebie zatelefonuje, nie widziałas mnie ani ze mną nie rozmawiałaś. - Annie zaczęła kruszyć bułkę na małe kawałeczki. - Chcę, żebyś mi to obiecała. - Tamta dalej zajmowała się bułką. Amanda, by zmusić przyjaciółkę do słuchania, wyjęła jej pieczywo z ręki. - Między nami koniec, on mnie rozpracowywał.

- Nie!

- Na zlecenie Pameli Baird.

- Co za drań! - Na twarzy Annie ukazał się wyraz pogardy. Max wiedziała, że sprawa ma się nieco inaczej, jednak odpowiadało jej, by przyjaciółka osądziła Jake'a jak najgorzej.

- No to co teraz? - spytała Annie. W myślach umieściła Fowlera na tym samym wysypisku, na którym zostawili trupa psa.

- Obejrzę te fotografie, przebiorę się i...

- Co do przebrania - przerwała jej Annie - Jimbo kazał ci to dać. - Wręczyła Amandzie klucze. - Uważa, że potrzebna ci kryjówka. Ma kawalerkę na rogu Osiemdziesiątej Szóstej i Pierwszej. Max, wyraźnie wzruszona, wzięła klucze. Nawet nie знаła tego mężczyzny.

- Naprawdę miło z jego strony, ale gdzie on się podzieje? Annie się zarumieniła.

- Zamieszka u mnie. - Spojrzała na Amandę i pośpieszyła wyprowadzić przyjaciółkę z błędu. - Nie, nie jesteśmy parą. Cóż, dzisiaj rano wpadłam w panikę. Pomyślał, że poczuję się bezpieczniej z takim osiłkiem pod ręką. Amanda się uśmiechnęła.

- Nie wiem jak ty, ale ja czuję się spokojniejsza, wiedząc, że masz obstawę. - W tej samej jednak chwili uśmiech zniknął z jej twarzy: Lionel miał ochroniarza i nie ocaliło mu to życia.

- Jasne, to miły facet. No więc, co planujesz?

- Wybieram się do czytelnii.

Annie odchyliła się na krzesło, podrapała po brodzie i skinęła głową z miną wyrażającą całkowite zaskoczenie.

- No pewnie, nic normalniejszego. Gangsterzy włamują ci się do mieszkania, zostawiają w wannie martwe psy, śledzą każdy twój ruch,

a ty, zamiast na policję, idziesz sobie do biblioteki. Świetny plan, szkoda, że sama o czymś takim nie pomyślałam - zakończyła sarkastycznym tonem. Amanda roześmiała się i od razu poczuła lepiej.

- Idę do biblioteki dowiedzieć się jak najwięcej o operacji „Dzień Prania” - wyjaśniła. - Jeżeli właśnie dogoniła mnie przeszłość, powinnam ją lepiej poznać. Może wtedy - wzruszyła ramionami - będę umiała ją przechytrzyć. Hallie spędziła dzień dręczona niepewnością, jak postąpić. Dzięki dziwnemu zrządzeniu losu wpadło jej w ręce coś niesłychanego. Jeśli nie podejmie właściwych kroków, zmarnuje życiową szansę. Jej telefoniczny rozmówca - „zainteresowana” - twierdził, że posiada informacje o kapitalnym znaczeniu dotyczące zatrzymania w ostatnich dniach pozostałych trzech braci Espinosa. Meksykańskie władze aresztowały ich dwa dni temu pod zarzutem zabójstwa chirurga plastycznego z Acapulco, Jorge Veleza. Fakt zatrzymania osławionych braci sam dostarczy dość sensacji - Hallie zastanawiała się, dlaczego nic o tym nie słyszała - ale powód, dla którego ów mężczyzna do niej zadzwonił, przedstawiał się następująco: Velez był chirurgiem, który zmienił wygląd Jaimego Bastido, głównego specjalisty od prania pieniędzy, pracującego dla Raoula Espinosa, jednego z przestępców, których Cynthia Baird wysłała do więzienia w 1978 roku. Po zwolnieniu z więzienia Bastido zniknął. Na jakiś czas wypłynął w Juarez i ponownie jakby zapadł się pod ziemię. Poszukiwały go amerykańskie służby od DEA po CIA. Rozmówca dziennikarki twierdził, że jest w posiadaniu fotografii Bastida, zrobionych przed operacją i po zabiegu.

Oglądał Hallie w „Newslinie” i zgadzał się z jej teorią: program ochrony świadka został utworzony również dla takich jak Cynthia i Erica Baird. Nie tylko uważał, że mogą żyć, ale jego zdaniem Jaime Bastido z pewnością ich szuka i chce zabić. Obie kobiety i władze powinny więc się dowiedzieć, jak teraz wygląda ten przestępca.

Hallie zapytała swego rozmówcę o nazwisko. Sądząc po głosie wydawał się młody i mocno wystraszony, co świetnie rozumiała, ale tłumaczyła, że niezależnie od tego, jak interesujący materiał zaprezentuje, nie pozwolą na opublikowanie go bez wystarczających dowodów. Mężczyzna dalej nie chciał podać nazwiska, dostarczył jednak szczegółów potwierdzających jego wiarygodność: poznał Bastida w siedzibie Espinosa; był księgowym.

- W Juarez nie ma pracy poza narkotykami. Albo z nich żyjesz, albo jesteś bezrobotny.

Pochodził z tamtych okolic, a że okazał się bystry, zwłaszcza w matematyce, został wybrany do pomocy Jaimemu. Wnet zorientował się, że ten starszy już człowiek jest bardzo rozżalony, czuje się upokarzany przez synów dawnego przyjaciela i znużyła go codzienna harówka bez szansy na osiągnięcie znaczącej pozycji w kartelu. Pewnego wieczora, po wielu kolejkach tequili pochwalił się, że ma zamiar opuścić Meksyk. Wspomniał o planie, który pewnego dnia pozwoli mu wrócić i urządzić się o wiele lepiej. Mówił o przyjacielu z więzienia, o kontaktach, jakie zdobył w Stanach. Zanim jednak tam dotrze i zacznie działać, musiał się oddać w ręce chirurga plastycznego.

- Moja dziewczyna pracowała u doktora Veleza.

Nawet Hallie o nim słyszała. Młody, przystojny i ambitny lekarz znany był w ekskluzywnych kręgach jako ten, który poprawiał twarze gwiazdom Hollywoodu i, jak szeptano, przestępcom.

- Byłem wtedy pijany i popełniłem błąd: zaproponowałem Bastidowi, że skontaktuję go z doktorem Velezem. Trzy tygodnie później wraz z Jaimem uciekłem z Juarez.

Gdyby tego nie zrobił, wyjaśniał Hallie, bracia Espinosa by go zabili. Wiedział, że Jaime zamierza dokonać zemsty. Gdyby przydarzyło się coś któremuś z braci, zaginęła przesyłka albo ktoś zawiadomił policję i biznes w jakimkolwiek stopniu doznałby uszczerbku, tamci nigdy nie uwierzyliby w przypadek i o zdradę podejrzewaliby właśnie jego.

- Po aresztowania pierwszego z braci - opowiadał informator - Amalita i ja przyjechaliśmy do Stanów.

- Dlaczego Amalita zrobiła te zdjęcia?

- Jako formę zabezpieczenia.

- Przed kim?

- Przed braćmi Espinosa. I Bastidem.

- Gdzie znajdują się obecnie fotografie? - Jeżeli ich szybko nie dostanie, pomyślała, ktoś inny ją ubiegnie.

- Kurier dostarczy je do twojego biura piętnaście minut po naszej rozmowie - obiecał głos w słuchawce.

I tak też się stało. Teraz Hallie zastanawiała się, w jaki sposób wyciągnąć z tej historii jak najwięcej. Na pewno „Telegraph”

wydrukowałyby te rewelacje, ona jednak musi zadbać o swój ogólnokrajowy wizerunek. I pamiętać o maleńkim rewanzu.

Do Treya Gallaghery dzwoniła dwukrotnie i za każdym razem sekretarka odpowiadała, że redaktor jest na zebraniu i później się z nią skontaktuje. Za trzecim razem Hallie nie dała się zbyć.

- Albo podniesie słuchawkę, albo zobaczy mnie na wizji u konkurencji. Powieki Beth zadrżały, odzyskiwała przytomność. Pielęgniarka z intensywnej terapii pochyliła się i sprawdziła, czy wszystkie rurki i igły wchodzące i wychodzące z ciała pacjentki są na swoim miejscu. Urządzenia monitorujące procesy życiowe, począwszy od oddechu, a na poziomie wydalanych płynów skończywszy, brzęczały i piszczały w makabrycznym akompaniamencie do oscylujących wykresów i kropek pojawiających się na ekranach. Demonstrowały widowisko „światło i dźwięk” oddziału intensywnej terapii, elektroniczne odgłosy przypominały o zawiłości funkcjonowania ludzkiej anatomii i o kruchości życia.

Sam Bates stał obok łóżka Beth, trzymając ją za rękę. Wepchnięty między monitor serca a respirator, nie miał miejsca, żeby usiąść czy się poruszyć, ale nie chciał odejść. Przyjechał z nią karetką, przez siedem godzin czekał na wynik operacji, a potem drugie tyle spędził na oddziale. Nawet gdy Dan Connor nalegał na spotkanie, Sam nie zgodził się wyjść poza poczekalnię przed intensywną terapią.

Normalnie ciężko by przeżył tę godzinę konfrontacji z przełożonym, teraz jednak, wobec groźby utraty Beth, zawieszenie w służbie wydawało mu się niewielką karą za popełniony czyn. Gdy Dan zapytał, dlaczego ostatnio zachowywał się tak dziwnie, Bates opowiedział o chorobie Gail i na tym mógłby poprzestać - szef okazał się wyrozumiały - lecz dusza Sama domagała się oczyszczenia. Przyznał się więc do podjęcia sześćdziesięciu tysięcy dolarów z kont ustanowionych przez Lionela dla Beth i Amandy. Nie próbował się usprawiedliwiać - wzięcie pieniędzy z powierzonych mu funduszy to czyn godny pogardy z każdego punktu widzenia. Wykorzystał poufne informacje i nadużył zaufania osób pozostających pod jego opieką, które w dodatku bardzo kochał. Wtedy wydawało mu się, że nie ma innego wyjścia.

- Zamierzałem oddać wszystko co do centa - zapewniał Dana. Postanowił zaciągnąć pożyczki i zrzekł się wynagrodzenia za firmowanie funduszy. Na pytanie Dana:

- Czy sądzisz, że Baird o tym wiedział? - Bates wzruszył ramionami, pochylony pod brzemieniem winy.

- Zaproponował mi pożyczkę, cóż za ironia losu! Powiedziałem mu, że już ją zaciągnąłem.

Sam potrząsnął głową. Patrzył na obandażowane ciało i zastanawiał się, jak zmusi się, by wyznać Beth - a także Max - co zrobił. I jak im to wynagrodzi. Pielęgniarka wyprosiła go z pokoju. Chciała sprawdzić, czy Beth zdoła oddychać samodzielnie; jeżeli tak, lekarze odłączą pacjentkę od respiratora. Sam, ociągając się, wyszedł do poczekalni.

Nie spotkał tu nikogo. Usiadł i dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Od wielu godzin był na nogach, stał obok łóżka Beth, a w czasie operacji wędrował po korytarzach. Nie pamiętał, kiedy miał w ustach coś innego niż kawa z automatu. W poczekalni działał telewizor, ale głos wyciszono. Sama nie obchodziło teraz nic, co działo się poza budynkiem szpitala, więc chociaż patrzył na ekran, właściwie nie odbierał obrazu. By nie zasnąć, poszukał pilota do zdalnego sterowania i włączył głos.

Akurat w tym momencie padło z ekranu nazwisko: „Jaime Bastido”. Bates, w jednej chwili całkowicie przytomny, poderwał się na nogi. Na ekranie pokazała się młoda, atrakcyjna kobieta, przedstawiona jako Hallie Brendel. Szeryf rozpoznał to nazwisko: wróg publiczny numer jeden dla Beth. Szybko podkręcił głos. Patrzył, jak obraz zmienia się w kilka wizerunków. W jednej chwili rozpoznał człowieka na lewo; ten po prawej stronie to, według słów dziennikarki, też Bastido, tylko z nową, poprawioną przez chirurga plastycznego twarzą.

Zanim Bates zdążył cokolwiek pomyśleć, w poczekalni zjawiono się trzech inspektorów, jeden rozmawiał przez telefon komórkowy. Sam usłyszał jego słowa: „Dan Connor”... Inspektor podał szeryfowi komórkę.

- Ogląda pan, szefie? - zapytał z wzrokiem wbitym w ekran.

- Tak, Sam. - Ton Dana przywołał go do porządku.

- Szeryf Bates przy telefonie.

- Nie wolno ci opuszczać szpitala.

- Tak jest.

Nie rozumiał dlaczego, ale Dan Connor był jego zwierzchnikiem i Sam nie miał prawa kwestionować poleceń. Szef i tak okazał

wyrozumiałość: zawieszenie w obowiązkach zamiast wniosku o zwolnienie.

- Steinmetz leci do Nowego Jorku. Wygląda na to, że nawiązał kontakt z Max. Mam nadzieję, że zdołają tu przywieźć.

- Byłoby wspaniale. - Batesa przerażała myśl, że musiałby zakomunikować Beth o nieszczęściu, jakie spotkało jej córkę.

- Jak nazywa się ten prywatny detektyw, z którym, jak mówiłeś, coś ją łączy?

- Fowler, Jake Fowler.

- A jej partner z wydziału kryminalistyki?

- Pete Doyle.

- Sprawdziłeś obojgu?

- Dokładnie. Będą współpracować, skontaktowałem się też z Annie Hart.

- Już próbowaliśmy. Nie odpowiada na telefony ani w pracy, ani w domu. Wysyłamy do niej kogoś, może bezpośrednia rozmowa da więcej. - Dan przerwał. Żałował, że musiał potraktować Sama tak ostro i zawiesić go w obowiązkach. Uważał go prawie za syna. No cóż, nieposłuszne dzieci należy karać. - Zajmij się Beth - polecił - my zaopiekujemy się Max.

Sam się rozłączył. Wiedział, równie dobrze jak Dan i każdy inspektor biura, że dopóki ktoś skutecznie nie zajmie się Bastidem, Beth i Max pozostaną celem zabójcy.

Jake pochylił się nad kontuarem, popijając kawę. Choć jego umysł domagał się znieczulenia w postaci szkockiej, zdecydował się na espresso. Czekał na Pete'a, który pojechał z zebranymi próbkami do policyjnego laboratorium i obiecał nie wracać bez wyników analiz.

Fowler przez cały dzień próbował odszukać Max, jednak bez powodzenia. Za każdym razem, gdy przypominał sobie, jak ją odtrącił, czuł w sercu ból. Niby przekonał sam siebie, że żadnym sposobem nie mógł się domyślić, kim jest naprawdę Amanda, ale w duchu nie godził się z tym: zbyt wiele elementów układanki dało się złożyć.

Choćby telefon z Departamentu Sprawiedliwości z poleceniem wstrzymania pogrzebu Lionela. Program ochrony świadka funkcjonował przecież pod patronatem tego departamentu. Czyżby prośba wyszła od Max albo jej matki? Może chciały go pochować po

swojemu i nie godziły się, by tę smutną uroczystość pozostawiono komuś takiemu jak Pamela Baird.

Wszystkie owe skomplikowane rezerwacje w rozmaitych hotelach w mieście, nieużywane pokoje, stoliki zamawiane w restauracjach za miastem, dziwne podróże - zwłaszcza ta, pozornie bez sensu, do Madison City w Wisconsin - stanowiły kamuflaż, Max mówiła prawdę.

A co do notatki w koszu na papiery w bibliotece Lionela, Jake'owi wydawało się, że rozwiązał zagadkę. Beth jest prawdopodobnie matką Max. Lionel chciał się dowiedzieć od Batesa, w jaki sposób przesłać jej kwiaty - widocznie ten był inspektorem programu, opiekującym się nimi.

Annie Hart stanowiła następny element układanki, który wreszcie zdołał umiejscowić. Z raportu FBI znalezionej na biurko Lionela wynikało, że jej rodzina mieszkała w Miami, w pobliżu domu Cynthii i Eriki Baird. Annie i Max były zapewne przyjaciółkami z czasów dzieciństwa. Czy Max orientowała się, kim jest tamta, przed raportem FBI? Czy w ogóle coś wie?

I to jej trzymanie się na uboczu w pracy! Nawet Pete'a nie wtajemniczyła w swoje sprawy osobiste. Jake sam słyszał, jak szeptano o niej, że nigdy nie bierze udziału w towarzyskich spotkaniach z kolegami po fachu i nic nie wiadomo o jej życiu prywatnym.

Jeszcze ten brak zdjęć w jej mieszkaniu. W końcu była fotografem, można by więc spodziewać się u niej całej masy albumów i najrozmaitszych rodzinnych pamiątek. A jednak nie odkrył nic takiego. I zaraz pomyślał o niechęci Amandy do pozwania. A jeżeli nawet już się zdecydowała - przypomniał sobie portrety w galerii - to ucharakteryzowana nie do poznania. Wszystko ma swój sens! Przecież ta kobieta się ukrywa i jej życie zależy od tego, czy nikt nie zauważy za dużo i za bardzo się do niej zbliży. A jej najlepsze fotografie, te z cyklu „Bez nadziei”, robiły tak silne wrażenie, bo wyrażały wewnętrzny niepokój autorki.

Jake zamknął oczy i mocno zacisnął powieki. Nic z tego! Żal i ból dopadały go, gdy tylko pomyślał o Amandzie; jak wiele musiało ją kosztować wpuszczenie go do swego domu i serca. Nie potrafił wyobrazić sobie piekła, przez jakie musiała przejść, nim pojawiła się tamtej nocy u jego drzwi. Prawda, chciała powiedzieć mu o Archiem -

jeszcze nie mógł się uporać z tą wiadomością. Ale chciała też wyjawić Jake'owi tajemnicę jej związku z Lionelem i, jeżeli trafnie ocenił nerwowe zachowanie i okropny wygląd Amandy, zapewne przyszła prosić go o pomoc. Może również zamierzała mu wyjaśnić, czemu zakradła się do biblioteki Bairda - gdyby tylko dał jej szansę!

- To nie ona!

Z rozmyślań wyrwał go głos Pete'a. Doyle opadł na barowy stół obok i zamówił whisky. Wyglądał na wykończonego.

- Laboratoryjne testy wskazują na zwierzę, prawdopodobnie psa.

Zresztą mam to gdzieś, jeżeli tylko krew w wannie nie jest ludzka. - Pociągnął potężny haust whisky, aż zapiekło go w gardle. Popił wodą i zwrócił się do Fowlera: - To nie Max i tylko tyle mnie obchodzi. Jake skinał głową, z trudem udało mu się wyjąkać:

- Mnie też.

- No więc gdzie ona się podziewa?

- Chciałbym wiedzieć.

Już któryś raz Fowler czuł pokusę, by opowiedzieć Pete'owi o swych podejrzeniach. I wprawdzie nie sądził, by tamten okazał się kimś innym i nie wątpił w jego lojalność oraz przyjaźń w stosunku do Amandy, lecz jakiś wewnętrzny głos nalegał, by uszanować jej życzenie. Gdyby chciała, żeby Pete coś wiedział, zwierzyłaby mu się sama. Jake nie sądził, by Max zdradziła się z czymkolwiek, gdyby Lionel żył, a ona nie czuła się zagrożona. Może jak sam się dowie, skąd ma nadejść niebezpieczeństwo, poczuje się zwolniony z obowiązku zachowania dyskrecji i zwróci się do Pete'a o pomoc.

- Daj głośniej! - Doyle trącił Jake'a i wskazał na zawieszony nad barem telewizor. - To ta Brendel.

Obaj w skupionym milczeniu patrzyli, jak Hallie przedstawiła historię aresztowania braci Espinosa. Ledwie skończyła, a już Gallagher przedstawiał swego kolegę z Los Angeles, który miał wyjaśnić związek gangu Blanca Muerte z kartelem Espinosa.

Rodzina Espinosa bez ograniczeń przerzucała do Stanów śmiertelny towar. Produkowano go w pobliżu Juarez, a prawdę mówiąc w całym Meksyku. Do przetransportowania narkotyków przez granicę do Teksasu i Kalifornii zatrudniano setki poganiaczy mułów. Gang Muerte rozprowadzał propainę w Los Angeles, w Nowym Jorku to samo robi ich filia. Aby zwiększyć zyski, bracia

Espinosa dostarczali towar również potężnej rodzinie Saviano, handlującej narkotykami w Nowym Jorku, Chicago i Bostonie.

Gallagher próbował włączyć się do opowiadania, podając listę morderstw popełnionych w stylu gangu, uważanych powszechnie za część wojny o prawa dystrybucji, ale Hallie zastopowała go oświadczeniem, że bracia Espinosa zostali aresztowani pod innym zarzutem niż handel narkotykami.

- Zatrzymano ich i oskarżono o zabójstwo wybitnego chirurga plastycznego, doktora Jorge Veleza. Trey, najwyraźniej spychany na drugi plan, zadał frapujące wszystkich pytanie:

- Dlaczego jednak grupa królów narkotykowych miałyby zlecić mordowanie chirurga plastycznego?

- By ukarać go za pomoc i współdziałanie w ucieczce człowieka, który wydał ich brata, Emilia, i który, jak podejrzewali, zamierzał przejąć kontrolę nad kartelem: Jaimego Bastido. Jeżeli to nazwisko brzmi znajomo, nic dziwnego, powinno. Tego samego osławionego przestępcę, specjalistę od prania brudnych pieniędzy, posłały za kratki zeznania Cyntii Stanton Baird. Jake zamówił szkocką, Pete kawę.

- Według mojego informatora, Jaime poddał się poważnej operacji plastycznej, by móc przedostać się do Stanów i swobodnie działać w naszych miastach. Choć nieznane są jego dokładne plany, nieraz słyszano, jak wspominał o jakichś „rachunkach do wyrównania”. Te fotografie pomogą chociaż trochę zwiększyć szansę jego ewentualnych ofiar.

- To ten sam gość, który przed budynkiem sądu tak wyprowadził Max z równowagi! - syknął Pete, wskazując na podobiznę Bastida. - Dostrzegła go, jak w pełnej komitywie rozprawiał z Little Rayem Saviano i bardzo się wystraszyła. Jake studiował zdjęcie, starając się zapamiętać każdą charakterystyczną cechę tej wymodelowanej twarzy - tak na wszelki wypadek. Przedstawiony przez Doyle'a opis zachowania Max poważnie go zaniepokoił. Jej matka doprowadziła do skazania Bastido i sporej grupy zbirów Big Raya, ale przecież Amandy nie wystraszyłby aż tak widok tych dwóch razem. Na to jest zbyt opanowana. Chyba że sądziła, iż jeden z nich, lub obydwaj, rozpoznali ją w sądzie. Aparat w szufladzie Lionela. Musiał znajdować się w nim film ze zdjęciami jej, a może również jej matki. Nic dziwnego, że wyglądała jak sparaliżowana ze strachu. Zerwano z jej twarzy maskę.

- Być może to Bastido urządził demolkę u Max - zauważył Pete.

- Nie sądzę, czego by szukał? - Jake potrząsnął głową.

- Może Max?

- Nie. Ten, kto włamał się do mieszkania, wiedział, że jej tam nie zastanie. Czegoś jednak szukał. A gdy nie znalazł, jako ostrzeżenie zostawił martwego psa. Pete dokończył kawę i spojrzął na zegarek.

- Cholera, muszę lecieć do roboty! Żeby nie zmoczył tyłka za ranną nieobecność, wzięłem podwójny dyżur.

- Chyba wcale nie spałeś, koleś!

- Nie pierwszy raz. - Zsunął się ze stołka i klepnął detektywa po plecach. - Daj mi znać, jeśli się czegoś dowiesz, ja też się postaram. Jake obiecał, jednak w jego głosie nie było przesadnej nadziei.

- Hej, Fowler - Pete obejrzał się z uśmiechem - nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale jej naprawdę na tobie zależy.

Jake się rozchmurzył, lecz nie na długo. Potwierdzenie przez Pete'a uczuć, jakimi darzyła go Max, sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej. Była sama w tym wielkim mieście, samiutka, w dodatku przekonana, że on jej nie kocha; przecież uciekł i chował się przed Bóg wie czym. Rzucił kilka banknotów na kontuar i ruszył w noc. Nie bardzo wiedział, dokąd idzie, nie mógł jednak znieść bezczynności. Musi koniecznie odszukać Max. A jeżeli Hallie mówiła prawdę, musi znaleźć tę dziewczynę natychmiast.

Amanda przez wiele godzin siedziała w czytelni. Sama w kabinie, przeglądała kilometry mikrofilmów w poszukiwaniu wszystkiego, co łączyło się z operacją „Dzień Prania”. Jako była studentka akademii Johna Jaya, skorzystała z ich biblioteki. Znalazła policyjne raporty i analizy wykonane przez profesorów uczelni, a także wiele artykułów prasowych, nad którymi właśnie teraz ślęczała. Od samego początku, gdy po raz pierwszy patrzyła na fotografie zrobione w rezydencji Lionela, jakiś głos ukryty głęboko w podświadomości mówił jej, że już kiedyś oglądała podobny widok.

To dręczące déjà vu nie dawało jej spokoju i w końcu przygnało ją dzisiaj do czytelni. Postanowiła dowiedzieć się wreszcie, co takiego na owych zdjęciach sugerowało jej, że w domu Lionela zastała scenę zbrodni, a nie samobójstwa. W relacjach prasowych nie doszukała się niczego, wróciła więc do katalogu, postanawiając zabrać się do tej sprawy od innej strony. Operacji „Dzień Prania” i innym podobnym akcjom poświęcono tuziny książek. Niektóre skupiały się na

zagadnieniu prania pieniędzy, analizując to zjawisko od jego zaistnienia po chwilę obecną. W kilku opracowaniach przedstawiono materiał tak, by zafascynować społeczeństwo i wzbudzić jego zainteresowanie światem zorganizowanej zbrodni. Dwaj prokuratorzy, oskarżający w tamtych procesach, jeden w Miami, drugi w Nowym Jorku, spisali swoje spostrzeżenia dotyczące obydwu spraw, zaprezentowania materiału dowodowego oraz reakcji opinii publicznej na postawienie w stan oskarżenia przedstawicieli zorganizowanych grup przestępczych.

Pewnego dnia, pomyślała Amanda, jeżeli dane jej będzie przeżyć jeszcze rok czy dwa, przeczytam uważnie to wszystko. Teraz potrzebowała czegoś mniej szczegółowego, a bardziej dotyczącego istoty sprawy. Skoncentrowała się i nagle doznała olśnienia: większość materiałów zgromadzonych w bibliotece poświęcono policyjnym procedurom. Jeżeli jakaś wartościowa informacja tkwiła gdzieś głęboko w jej mózgu, jedynym sposobem, aby ją wydobyć, było zawężenie pola poszukiwań.

Pośpiesznie, niemal gorączkowo, przejrzała wszystko, co dotyczyło operacji „Dzień Prania”, sięgając do wszelkich źródeł informacji, od raportów o wyczynach gangów po opisy akcji policyjnych grup do zadań specjalnych. Wreszcie trafiła na album z fotografiami zrobionymi podczas interesującego ją procesu.

- Trafiony! - wykrzyknęła nagle z radością. Tu znajdzie odpowiedź, czuła to. Wbiegła po schodach, a potem rzuciła się między regały - chciała odszukać upragnione źródło przed zamknięciem czytelnicy. Gdy znalazła album, wycofała się w zacisze kabiny.

Przez chwilę łapała oddech, opanowując emocje. Położyła książkę przed sobą i zajrzała pod tylną okładkę, na kartę biblioteczną. Kierowała się naturalną dla fotografa z dziedziny kryminalistyki ciekawością, jak często zaglądano do tej pracy. Niezbyt: 1986, 1989, 1993, 1995 i kwiecień tego roku. Zaintrygowała ją zwłaszcza ostatnia data.

Odwróciła książkę i zaczęła swoje żmudne badania. Unosiła każdą stronę powoli i przeglądała uważnie, czekając, aż włączy się jej wewnętrzny alarm. Dopiero pod sam koniec znalazła to, czego szukała, a wtedy jej serce zatrzymało się na chwilę: przed sobą miała wykonane przez fotografa - technika kryminalistyki zdjęcie Douglasa

Welcha, jedną z wielu fotografii zrobionych na miejscu jego samobójstwa. Siedział przy biurku, w dłoni trzymał broń. Druga ręka leżała na blacie, obok gazety. Serce Amandy, wyrwane ze stanu uśpienia, przyspieszyło gwałtownie, jakby miało wyskoczyć jej z piersi. Wskazujący palec mężczyzny spoczywał na słowie: WINNY!

Ale nie to przeraziło ją najbardziej. Krawat Douglasa Welcha tkwił, wsunięty z obsesyjną niemal pedanterią, pod koszulą między drugim a trzecim guzikiem. Położyła głowę na książce i uderzała pięścią w pulpit; płakała i przeklinała winnego śmierci ojca. Zmusiła się do ponownego spojrzenia na fotografię. Od samego początku podejrzewała, że ułożenie zwłok Lionela to okrutna inscenizacja, sposób na przesłanie wiadomości - teraz nie mogła już w to wątpić: jego śmierć to wynik czyjejś zemsty. Tylko czyjej? Człowieka, który nosił w sercu urazę przez wiele lat, i udało mu się zdobyć tak duże zaufanie ofiary, że miał dostęp do biblioteki Bairda. Owego kogoś Lionel uważał za przyjaciela albo kolegę.

Ścigając się z czasem, wróciła do mikrofilmów i poszukała informacji o pogrzebie Welcha. Potrzebowała nazwisk członków rodziny: brata, wujka, siostrzeńca, kogokolwiek, kto mógł obwinać Lionela o śmierć Welcha. Gdy wreszcie informacja ukazała się na ekranie, Amanda wstrzymała oddech. Zamknęła oczy z nadzieją, że gdy znów je otworzy, wszystko okaże się pomyłką. Ale nie: „Zmarły Welch Douglas pozostawił żonę Emmę Grayson Welch i syna Tylera”.

Tyler Grayson!

Przewinęła mikrofilm do miejsca ukazującego artykuł z gazety, który ukazał się tamtego dnia, opisując tragiczny kres historii urzędnika, który kradł certyfikaty bankowe, by spłacić zaciągnięte u mafii długi. Następny akapit... jeszcze jeden. O, jest tu: „Ciało znalazł kilkunastoletni syn Welcha, Tyler”.

Nagle w małym pomieszczeniu zrobiło jej się ciasno i duszno, oddychała z trudem. Przytrzymując się ściany, wyszła z kabiny i głęboko wciągnęła powietrze. Tlen, tego potrzebowała. Siedziała w tej dziurze za długo, chyba zaczyna dostawać przywidzeń. Tyler! Niemożliwe. Nie on...

- Nie! - szepnęła. Nie mogła powstrzymać drżenia ciała ani skupić się na tym, co oczywiste. - Nie - nadal nie wierzyła.

Zostawiła wszystko na biurku i wybiegła, uciekając od prawdy zbyt strasznej, by ją przyjąć. Kochała się z tym mężczyzną; powiedział, że mu na niej zależy. Nie mógłby zabić jej ojca. Tyler Grayson, którego znała, nie byłby w stanie zabić nikogo. Ale jego ojciec odebrał sobie życie, a zabójca Lionela odtworzył scenę tamtego samobójstwa. Wypadła z biblioteki, zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i kazała się wieźć do mieszkania Jimbo. Teraz musi pobyć sama, przemyśleć to wszystko.

Przez całą drogę jej myśli obijały się między przypuszczeniami i całkowitą ich negacją, między jednym wspomnieniem, które dowodziło niewiarygodnego wręcz prawdopodobieństwa, że Tyler miał związek ze śmiercią Lionela, a innym, które kwestionowało najmniejszą nawet szansę, by w jakikolwiek sposób był zamieszany w tę zbrodnię. Gdy wreszcie Amanda dotarła do drzwi niewielkiego mieszkania, jej ciałem wstrząsały dreszcze, jakby dostała wysokiej gorączki. Weszła do środka, drżącymi palcami włączyła światło, zaryglowała drzwi, wsunęła poręcz krzesła pod klamkę, schowała broń do kabury i padła na kanapę jak nieżywa.

Na stole przed sobą zobaczyła bukiet kwiatów z kartką od Annie: „Nie zapominaj, że mamy siebie!”.

Uśmiechnęła się, pozwalając płynąć wspomnieniom. Dwie małe dziewczynki, przebrane za włóczków, śpiewają piosenkę, ich hymn: „Dwie zagubione dusze”. Jako jedynaczki - jedna, córka rozwiedzionych rodziców, i druga, adoptowana - tak właśnie często się czuły. Tak też czuła się w tej chwili; zagubiona i samotna, ma tylko Annie. Otarła oczy; uśmiech zniknął z jej twarzy. Dotknęła róży i z goryczą pomyślała o kwiatkach, które przysłał Tyler. Stały w jej mieszkaniu tego dnia, gdy Lionel przyszedł na obiad. I gdy tamten odwiedził ją po rzekomym samobójstwie Bairda. Był tak przygnębiony owego ranka, taki wzburzony! Szczerze? Czy mógł tak świetnie grać? Zachowywał się dziwnie - a może pod wpływem strasznych skojarzeń? Znalezienie ciała ojca musiało wstrząsnąć nim do głębi; w to nie wątpiła. Taki koszmar pozostaje na zawsze, wyraźny jak pierwszego dnia, i nigdy nie może zniknąć. Ale ciało jej ojca ułożono na podobieństwo tamtego, a krawat wepchnięto mu za koszulę zupełnie jak Douglasowi Welchowi. I Tyler tamtego dnia odwiedził Lionela; kilka godzin przed śmiercią był u niego.

Przyznał się przy obiedzie, że pokłócili się z szefem i nie chciał powiedzieć, o co. Przy innej okazji narzekał, że Lionel nie zamierza odpowiadać za swoje winy i uniknął kary, podczas gdy inni cierpieli przez niego. Kilka razy wspominał o odpowiedzialności, jaką Baird powinien ponieść za swoje postęпки. Welch przyznał się wtedy do kradzieży - może gniew Tylera brał się stąd, że Lionel nie wstawił się za jego ojcem i nie próbował go bronić. Czyżby syn postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość?

Nawet jeżeli tak - Amanda wciąż nie chciała przyjąć tego do wiadomości - w jaki sposób udało mu się zmusić ojca do wzięcia do ręki rewolweru i pociągnięcia za spust?

Taksówka Jake'a zbliżała się właśnie do centrum, gdy odezwał się jego komórkowy telefon. Zanim zdążył nabrać nadziei, rozległ się głos Doyle'a.

- Mamy coś, o czym powinieneś wiedzieć. - Po dochodzących odgłosach Jake zorientował się, że Pete dzwoni z budki. - Egzekucja. Mężczyzna, dwie kule w tył głowy, ręce i nogi związane, poderżnięte gardło. Ciało porzucono na nabrzeżu East River, w pobliżu Willis Avenue Bridge. Pierwsze testy identyfikacyjne wskazują na Jaimego Bastido.

Jake ze zdumienia aż gwizdnął.

- Długo tam leżał?

- Nie sądzę, by zdążył obejrzeć program o sobie w telewizji, jeżeli o to chodzi.

- Myślę, że w tym czasie był zajęty czym innym.

- Nie wiem, jak to potraktować, jako dobrą czy złą wiadomość.

- A w naszej sprawie? - Nic.

- Będziemy w kontakcie, trzymaj się, Pete!

- Spróbuję.

Prawdę mówiąc, Jake nie miał zbyt wiele nadziei. W poszukiwaniu Max objechał już całe miasto. Wstąpił do rezydencji Bairda, sprawdził jej mieszkanie, w końcu przypomniał sobie o sprawie Lupe Vazquez i zaszedł do schroniska.

Wiele kosztowało go wysiłku, by Sybil Whitehall w ogóle chciała z nim rozmawiać, nie mówiąc już o wyduszeniu z niej czegokolwiek o Amandzie. W końcu siła perswazji Fowlera i obawa o bezpieczeństwo przyjaciółki przebiły się przez barierę niechęci Sybil. Opowiedziała mu, jak Amanda zareagowała na rewelacje Hallie Brendel w

„Newslina”, nie potrafiła jednak pomóc detektywowi w odszukaniu Maxa.

Po wyczerpaniu wszelkich możliwości postanowił uderzyć do jedynej, jak sądził osoby, która mogła mieć pojęcie, gdzie jest Amanda. Wsiadł z taksówki przy skrzyżowaniu West Houston i Broadway i przeszedł jeszcze pięć czy sześć przecznic do budynku Annie. Nie odpowiadała na telefony, ale coś mówiło mu, że zastanie ją w domu. Tak czy inaczej, musi z nią porozmawiać.

Nacisnął dzwonek domofonu. Nie zareagowała, ale nie przejął się tym, zamierzał dzwonić, aż ta dziewczyna zwariuje albo się podda.

- Co jest? - Usłyszał donośny, poirytowany męski głos.

- Muszę zobaczyć się z Annie - odrzekł, zastanawiając się gorączkowo, czy rozmawia z przyjacielem, czy z wrogiem.

- Jesteśmy zajęci, chyba wiesz, co mam na myśli.

- Szczęściarz! Ale i tak muszę zobaczyć się z Annie. Powiedz jej, że przynoszę wiadomość o dawno utraconej przyjaciółce z dzieciństwa.

Szczęknął zamek i brama się otworzyła. Jake wsiadł do windy i wjechał na trzecie piętro. Wyszedł z bronią w ręce. Powitał go znajomy Annie, olbrzym, ale nieuzbrojony.

- Jake Fowler. - Detektyw schował pistolet.

- W porządku, Jimbo, znam go. - Annie niechętnie wpuściła Jake'a do środka. - Czego chcesz? - Głos jej zabrzmiał niespodziewanie ostro.

Wie od Max o moim okropnym zachowaniu poprzedniego wieczora, pomyślał. Co miało także swe dobre strony, bo świadczyło, że niedawno się widziały. Popatrzył na Jimba. Ktoś musiał wynieść tego biednego psa z mieszkania Amandy, a taki osiłek zniósłby konia trzy piętra w dół i nawet by się nie spocił.

- Muszę odnaleźć Max - powiedział, zdecydowany na szczerłość.

- Podobno przynosisz o niej wiadomość.

- Kłamałem. - Szczerłość nie na wiele się zdała. - Telefonowałem do ciebie przez cały dzień. Pomyślałem, że tylko pod takim pretekstem zgodzisz się ze mną zobaczyć, więc powiedziałem, że coś wiem.

Stała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, nogą wybijała o krzesło rytm marsza. Gdyby wzrok mógł zabijać, Jake leżałby już w trumnie, z bukietem lilii na piersiach.

- No dobrze - znów postawił na szczerość, tyle że przyprawioną pokorą - pewnie słyszałaś o wczorajszym wieczorze. Przyznaję, nie zachowałem się jak Pan Bardzo Miły. Nie jestem z siebie dumny, ale to, że okazałem się osłem, nie znaczy, iż jest mi obojętna. Kocham ją!

Annie prychnęła z niedowierzaniem. Jimbo stał oparty o ścianę, wprawdzie w pewnej od nich odległości, gotowy jednak do działania na wypadek, gdyby Jake wykonał jakiś zaskakujący ruch.

- Powiedziała mi coś, czego nie chciałem słuchać. - Przerwał, zastanawiając się, czy spokój, jaki teraz czuje, oznacza rezygnację, czy zdecydowanie. - Wściekłem się tak bardzo, że nie słyszałem, co jeszcze chciała mi powiedzieć. Annie przytupywała w coraz wolniejszym rytmie, jednak nadal spoglądała na niego nieufnie.

- Sytuacja się skomplikowała. Chciałbym wyjaśnić, o co chodzi, ale czas ucieka. Max ma kłopoty. Jeżeli ją znajdę, pomogę jej.

- Pomożesz, a w czym? - Dziewczyna jakby złagodniała, lecz tylko trochę.

- Słuchaj - powiedział wprost - oboje wiecie, co wydarzyło się u niej w mieszkaniu.

Nie zdołała powstrzymać westchnienia.

- Byliście tam, administrator widział dwóch hydraulików, wchodzących do apartamentu Max. - Przerwał, by miała czas na przetrawienie jego słów. - Chociaż rzeczywiście z wanną było coś nie tak.

Jimbo odsunął się od ściany, gotów zgnieść Jake'a niczym orzech włoski.

- Sądzę, że to ty wyniosłeś z domu Max nieproszonego gościa - ciągnął detektyw, wskazując palcem na wyraźnie zdenerwowanego olbrzyma. Wiedział, że facet jest wystraszony. - Postąpiłeś naprawdę po rycersku i w imieniu Max dziękuję, ale policja mogłaby potraktować wasz wyczyn jako zacieranie śladów. Odwrócił się do Annie, zadowolony z wrażenia, jakie jego słowa zrobiły na osiłku.

- Mam nieoficjalną wiadomość, że Jaime Bastido nie żyje.

- Poważnie? - wyrwało się Annie

- Morderstwo to zawsze poważna sprawa.

- Właśnie oglądaliśmy wiadomości... - zaczął Jimbo.

- To już przeszłość. A przy okazji, masz jakieś nazwisko oprócz „Jimbo”? Nie przepadam za przezwiskami.

- Nie mów...

- Beauford.

Annie spóźniła się z protestem, Jake dostał, co chciał.

- Nie denerwuj się - uspokajał ją - nie zamierzam wydać jego ani cię policji. - Oczy Annie zogromniały, taka ewentualność nawet nie przyszła jej do głowy. - Ale jeżeli wiesz, gdzie jest Max, dobrze by było, gdybyś mi powiedziała.

- Nie wiem.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Teraz pozostało mu tylko jedno: wydarł z notesu kartkę, napisał numer swojej komórki i podał wciąż naburmuszonej dziewczynie.

- Na wypadek, gdyby minęła ci ta chwilowa amnezja...

- Miło mi było - otworzyła drzwi od windy - ale nie przychodź tu więcej.

Strażnik podszedł pod drzwi celi Big Raya.

- Masz telefon.

Ray spojrzał na zegarek. O tej porze tylko morderstwo albo aresztowanie kogoś z rodziny mogłoby usprawiedliwić wywołanie więźnia z celi. Okazało się, że chodzi o jedno i drugie.

Dzwonił adwokat rodziny Saviano, Dan Crocetti. Little Ray został zatrzymany pod zarzutem wymuszeń i współudziału w zabójstwie Jaimego Bastida. Nie zgodzono się na poręczenie, ale Crocetti spodziewał się uzyskać zwolnienie za kaucją w ciągu najpóźniej dwóch dni. Zarzut o wymuszenie nie miał zbyt mocnych podstaw i można się było z niego wykręcić, gorzej wyglądała sprawa współudziału w zabójstwie - znalazł się naoczny świadek.

- Bracia Espinosa wyznaczili nagrodę za głowę Bastida - powiedział Crocetti - i wrobili nas, przyduszając jednego z chłopaków Little Raya.

Crocetti przekazał także, że federalnym wpadł w łapy notes z nazwiskami przyjaciół rodziny. Ci ludzie przy jakiejś okazji skorzystali z wpływów rodziny Saviano i pozostawali ich dłużnikami, zawsze gotowymi do odwzajemnienia przysługi.

- Sprawa może wywołać perturbacje - mówił adwokat.

- Niekoniecznie, jeżeli wykonasz swoją robotę jak należy - usłyszał z drugiej strony.

Crocetti się wzdrygnął. Wiedział, co oznaczają te słowa. Bezdenna głupota Little Raya i nieposkromiona arogancja chłopaka uniemożliwiały skuteczne chronienie jego samego oraz koleśków.

- Złożyliśmy oświadczenie, że jest niewinny i wnieśliśmy o zwolnienie za kaucją, wyjdzie pojutrze. - Gdyby to zależało od Crocettiego, zostawiłby młodego Saviana za kratkami na zawsze. - Jak do ciebie zadzwoni, a z pewnością to zrobi, możesz powiedzieć mu coś do słuchu, Ray. Ta sprawa z Bastidem może się źle skończyć.

- Nie posłuchał mnie - zamruczał Ray i rzucił ze złością słuchawkę. Twarz poczerwieniała mu z furii. - Uprzedzałem, żeby pilnował tyłka, ale nie słuchał. Crocetti zastanawiał się, o którego chodziło: Little Raya Saviano czy Jaimego Bastido.

Jake wyszedł z budynku Annie i poszukał najbliższej budki telefonicznej. Zrobiło się późno, ale musiał zapomnieć o dobrych manierach. Wybrał numer znajomej z centrali telefonicznej i modlił się, by była w domu.

- Cześć! - Pośpieszył z przeprosinami za zakłócanie wieczora. Powiedziała, że ogląda stary film, nic szczególnego. - Potrzebuję numer telefonu i adres Jima Beauforda. Natychmiast, sprawa życia i śmierci.

- W porządku, ale będziesz winien mi przysługę, Jake.

- Świetnie! Niczego nie lubię bardziej od spłacania długów pięknym kobietom.

- Kłamczuch!

Musiała zadzwonić do koleżanki z firmy; Jake podał numer do budki i powiedział, że zaczeka. Dziesięć minut dłużyło się nieskończenie. Gdy wreszcie oddzwoniła, pobiegł za róg i złapał taksówkę.

Był tak podekscytowany, że nie zauważył człowieka, który zaparkował przed domem Annie. Ani samochodu, który odprowadził go do kawalerki Beauforda.

Amanda wzięła prysznic, umyła włosy, włożyła dres, który przyniosła jej Annie, i przygotowała sobie talerz makaronu. Nie była głodna, lecz czuła się wyczerpana, uznała więc, że rozsądniej będzie coś zjeść. Dwa razy dzwoniła do Kalifornii, by dowiedzieć się, co z Beth. Za pierwszym razem rozmawiała z pielęgniarką z oddziału intensywnej terapii. Stan matki nadal określano jako krytyczny, ale poprawiał się powoli. Za drugim razem telefon odebrał wujek Sam.

- Wyjdzie z tego - powiedział. - Oboje bardzo się o ciebie niepokoiśmy. Dan mówił, że nie wyraziłaś zgody, aby biuro wzięło cię pod ochronę.

- Lepiej nie wspominaj mi o ochronie. Sam.

- Zrobiłem, co mogłem, Amando. Wyjechałem po nią, jak tylko dałaś mi znać, ale samolot przyleciał wcześniej.

Wiele mogłaby mu zarzucić, jednak teraz nie pora na to, pomyślała, zresztą sama też czuła się winna.

- Beth nie powinna była jechać do Nowego Jorku, ale wy postanowiłyście inaczej - tłumaczył się Bates. Odpowiedziała milczeniem.

- Gdzie jesteś? - dopytywał się z uporem.

- Wolałabym nie mówić. Niewiele mógł zdziałać, bo rozmawiała z telefonu komórkowego.

- Oglądałaś ostatnio telewizję?

- Nie.

Opowiedział jej o kolejnym występie Hallie Brendel w „Newline” i o zdjęciach Jaimego po operacji.

- Musisz zachować nadzwyczajną ostrożność, Amando. Teraz, gdy jego nową twarz pokazano w wiadomościach, Bastido może stracić głowę. Przynajmniej czuje się osaczony podobnie jak ja, pomyślała.

- Carl Steinmetz leci właśnie do Nowego Jorku, a może już tam jest. Proszę, zgłoś się do biura. - Szeryf otarł łzy napływające mu do oczu. Męczyła go świadomość, że zawiódł je obie, Beth i Amandę. - Wiem, straciłaś do mnie zaufanie, ale proszę, bądź rozsądna, pozwól, żeby Carl ci pomógł. Lub ktokolwiek inny, Max. Zrób to przez wzgląd na twoją matkę.

Amanda się rozłączyła. Kilka minut później wybierała następny numer, tym razem dzwoniła w sprawie ojca. Nie wiedziała, czy Pete ma dyżur, postanowiła sprawdzić. Na dźwięk jego głosu aż krzyknęła z radości.

- Potrzebuję twojej pomocy - mówiła szybko, by nie usłyszał wzruszenia w jej głosie.

- Najpierw ty zrób coś dla mnie - powiedział głosem przypominającym pomruk lwa. - Powiedz mi, do cholery, gdzie jesteś!

- Nie mogę. - Spodziewała się następnego ataku, ale usłyszała w słuchawce jakieś głosy. Pete natychmiast zaprzestał indagacji, gdyż najwyraźniej nie zamierzał jej zdradzić. Kochała go za to.

- No dobrze, o co chodzi?

Amanda przełknęła ślinę. Decyzja, by komuś zaufać, nigdy nie przychodziło jej łatwo, ostatnio coraz trudniej. Znalazła się w potrzebie, musi więc zrobić wyjątek.

- Chcę, byś zadzwonił do koronera.

- I?

- Niech sprawdzi ślady na skórze głowy Lionela i wzdłuż linii włosów. Powiedz, by przeprowadził test chemiczny.

- Czego szukasz?

- Środka paraliżującego.

Pod prysznicem rozmyślała o tym wszystkim i przyszło jej do głowy, że jedynym sposobem, aby włożyć broń do ust ojca, było doprowadzenie go do takiego stanu, że nie mógł się bronić. Pewne możliwości stwarzało użycie kurary lub innego narkotyku używanego podczas operacji do zablokowania mięśni. Wtedy Lionel zostałby nie tylko obojętny, lecz nawet sparaliżowany.

- Nie prosiłabym cię o tę przysługę, Pete, gdyby to nie było takie ważne.

- Wiem. - Nastąpiła chwila milczenia. Jej partner usiłował zrozumieć, czemu Max nagle przypomniała sobie o Bairdzie. - A przy okazji, wczoraj spotkaliśmy się z Jakiem Fowlerem.

- Naprawdę? - Tak, poszliśmy odwiedzić znajomą. Powinniśmy byli jednak ją uprzedzić.

- A to dlaczego?

- Bo w jej mieszkaniu panował nieziemski bałagan. Wszędzie porozrzucane ubrania, wybebeszone szafki. I straszny brud w wannie.

- Przycisnął słuchawkę do ucha i czekał na reakcję Max.

- Zatelefonujesz do biura koronera, dobrze? - poprosiła, z trudem panując nad sobą.

- Jak cię łapać?

- Odezwe się. - Już miała się rozłączyć, gdy usłyszała przyciszony głos Pete'a.

- Jake zupełnie oszalał, dziecinko, szuka cię po całym mieście. Strasznie się denerwuje.

- Jak wszyscy - burknęła i przerwała rozmowę.

Dźwięk telefonu zaskoczył Jake'a. Wyciągnął z kieszeni elektroniczną zabawkę, włączył i przyłożył do ucha.

- Fowler.

- Doyle.

- Coś nowego? - Jake odchylił się w tył i mocniej zaparł w kącie taksówki, przygotowany na złe wiadomości.

Pete powiedział mu o telefonie Amandy i zastanawiał się, o co jej chodzi. Fowlera aż korciło, by go oświecić, lecz mógł go usłyszeć kierowca.

- Nie dzwoń tam - powiedział. Zdawał sobie sprawę, że podobna prośba ze strony Pete'a wzbudziłaby podejrzenia. - Poproszę Greena, by to załatwił. - i tak musi wyjawic Calebowi, do czego doszedł. - W jakim ona jest humorze?

- Okropnym. Jake się uśmiechnął. Nic nowego.

- Dobrze chociaż, że się do ciebie odezwała, Doyle.

- Zachowuje się jak świecący punkt na ekranie radaru. Nadlatuje, a potem znika. Ma problemy z zaufaniem.

Dlatego że tacy jak ja wciąż ją zdradzają, pomyślał Jake. Dojeżdżali do Osiemdziesiątej Szóstej. Zanim wszedł do kamienicy, w której mieszkał Jimbo, zadzwonił do Caleba Greena. Potem wyrwał z łóżka jednego ze swych pracowników.

- Potrzebne mi wszystko, co tylko można znaleźć o Jaimem Bastido i operacji „Dzień Prania”. Na jutro, z samego rana.

Po załatwieniu tej sprawy popędził do budynku, po drodze układając sobie w myślach rozmaite historyjki, dzięki którym wpuszczono by go na górę. Okazały się jednak niepotrzebne. Nie spotkał portiera, tylko przed windą stał zmęczony chłopak, który najwyraźniej nie mógł doczekać się końca dyżuru. Jak dwaj ciężko pracujący mężczyźni wymienili kilka uwag i już dojeżdżali na ósme piętro.

- To tu, w korytarzu, ostatnie po lewej.

Jake położył pięciodolarowy banknot na dłoni windziarza i życzył mu dobrej nocy. Byłoby fajnie, gdyby Max okazała się wyrozumiała, ale na to nie mógł liczyć. Zamiast nacisnąć dzwonek, zapukał delikatnie. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, więc zastukał jeszcze raz, mocniej.

- To ja, Jake - powiedział na tyle głośno, by usłyszała, lecz wystarczająco cicho, żeby nie zwrócić uwagi sąsiadów. - Wiem, że

tam jesteś, daj spokój. - Stukał grzbietem dłoni w metalowe drzwi. - Przyszedłem tu, bijąc się w piersi. Chcesz, uklęknę i będę prosił o wybaczenie. Tylko wtedy zobaczysz ten zaskakujący fakt, jeżeli otworzysz drzwi.

Usłyszał zgrzyt zamków, chyba czterech. A więc Jimbo wcale nie był taki głupi. Na widok Max Jake poczuł ucisk w żołądku. Błada, napięta do ostatnich granic, trzymała go na muszce, gdy wchodził do środka. Wyjrzała na korytarz, - a potem zamknęła drzwi na wszystkie zamki. Przez chwilę zastanawiała się, zanim schowała broń. To wahanie zabolowało Fowlera najbardziej.

- Czego chcesz? - Zostawiła mu zaledwie malusieńki kawałek miejsca, nie więcej.

- Przeprosić, że okazałem się takim kretynem, nie powinienem był tak się na ciebie wściekać. Po prostu...

- Przeprosiny przyjęte. A teraz już idź. - Jej oczy, zimne i ciemne, kłuły jak dwa kawałki czarnego lodu.

- Wykluczone. Czy ci się podoba czy nie, kocham cię. - Jake skrzywił się komicznie i rozłożył ramiona, jakby chciał powiedzieć: no spójrz, cały jestem twój! - i nie przejmując się nieustępliwą miną Amandy, kontynuował: - Nie zamierzam pozwolić, by spotkało cię coś złego.

- Nic mi się nie przytrafi, ale dziękuję za troskę.

- Brrrrr! - Zadrzał, by zademonstrować, jak podziało na niego tak chłodne przyjęcie. - Gdzie się podziało całe twoje ciepło?

- Już późno. Może znajdziesz sobie jakąś inną widownię.

- Jak Hallie Brendel? - prowokował Jake.

Drgnęła. Nie wiedział, dlaczego - czy Max podejrzewała, że po zostawieniu jej poszedł pocieszyć się do Hallie, czy też dlatego, że tamta publicznie opowiedziała historię jej rodziny. Może chodziło o jedno i drugie.

- Pewnie widziałaś reportaż o zatrzymaniu braci Espinosa? - nie ustępował Jake. Nie odpowiedziała, tylko w wyrazie zdziwienia uniosła brwi.

- Zostali oskarżeni o zamordowanie chirurga plastycznego, który przerobił twarz Jaimego Bastido. Ani drgnęła. Może zleją ocenił, może wcale nie jest tą, za którą ją uważa.

- Był człowiekiem Raoula Espinosa od prania pieniędzy w Miami. Pamiętasz Raoula Espinosę? Znany handlarz narkotyków z lat

siedemdziesiątych. Federalni rozbili jego organizację dzięki zeznaniom wyjątkowo odważnego świadka i wysłali Bastida do więzienia.

Wyraz twarzy Amandy nie zmienił się, ale dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę. Dobry znak.

- Gdy wyszedł na wolność, wyjechał do Meksyku i pracował dla synów Raoula, lecz najwyraźniej okazał się chciwym draniem i chciał przejąć kontrolę nad interesem. Tamci jednak ani myśleli się zgodzić. Jaime uznał, że musi się ukryć, więc zafundował sobie korektę twarzy. Po obejrzeniu jego nowego wizerunku nie polecałbym usług tego Veleza. Po operacji nie wygląda zbyt przyjemnie. Ściągnięte usta, sztywna szczęka, jakby wytrzeszczone oczy. - Żeby chociaż drgnęła, pomyślał. Ten spokój zawdzięczała wielu latom ukrywania emocji. - Ale to nie ma już znaczenia... - zawiesił głos - Jaime Bastido nie żyje. Zareagowała inaczej, niż oczekiwał. - No i?

- No i przeszedł do historii. - Popatrzyła na niego z powątpiewaniem. - Sprawę dostał wczoraj Doyle. Dwa strzały w głowę i poderżnięte gardło. Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do niego.

- Och, nie muszę nigdzie telefonować, wierzę ci. - W jej głosie znów usłyszał sarkazm.

- Zasługuję na twoją niechęć, zachowałem się okropnie, wręcz okrutnie. Aleja...

- Wiesz co, Jake, nie chcę tego słuchać. Nic więcej nie mam ci do powiedzenia.

- Niezupełnie, wyszedłem, zanim skończyłaś.

- Skończyliśmy obydwój. - Amanda potrząsnęła głową i ruszyła do drzwi. - Z nami też koniec, Jake.

- Słuchaj, wreszcie zrozumiałem całą tę sprawę. Hallie mówiła w wiadomościach o możliwości ukrycia Cynthii i Eryki Baird dzięki włączeniu ich do programu ochrony świadka. Jej zdaniem Lionel zabił się, by ocalić żonę i córkę. Dodałem dwa plus dwa...

- I wyszło ci pięć. A teraz wybacz, czekam na kogoś.

- Nieprawda! - Zdenerwowany Jake zamachał rękami. - Nie mieszkasz w domu, bo ktoś tam się włamał i zostawił w wannie martwego psa. Ukryłaś się w dziupli należącej do osiłka, który trzyma kamerę na planie w mydlanych operach Annie. Na miłość boską, Max, nie masz powodu mi ufać, chciałbym jednak, żebyś spróbowała.

Pete i ja staramy się ci pomóc. Nie możesz wysunąć koniuszka nosa zza tego muru?

- Dobranoc, Jake. - Stała przy drzwiach, niczym ubrana w dres góra lodowa. Poczucił się odrzucony, ale wiedział, że sam jest sobie winien. Rozumiał, że w tej chwili niczym już nie przekona Amandy, lecz nie zamierzał zostawić jej samej.

Podobnie jak mężczyzna w samochodzie przed domem.

Grace Fowler poszła do kuchni, by wziąć coś do picia z lodówki. Otworzywszy drzwi, cofnęła się przestraszona. Przy stole siedział Jake, patrząc pustym wzrokiem w okno.

Wskazał ręką ekspres stojący na blacie.

- Kawa świeżo zaparzona - rzucił obojętnym tonem, zupełnie jakby jego obecność tu o tej porze była zupełnie normalna.

Grace popatrzyła na zegarek - szósta rano - a potem na syna. Widoczny jednodniowy zarost na twarzy nie poprawiał mu wyglądu, bardziej jednak zaniepokoiły ją podkrążone oczy Jake'a. Gdyby go nie знаła, pomyślałaby, że siedzi tu po ciemku i płacze. Nie powiedziała nic, naląła sobie kawy i usiadła obok przy stole syna. Przez chwilę oboje milczeli.

Gdy Grace dzięki kawie się przebudziła i mogła już trzeźwo myśleć, a także uznała w duchu, że Jake miał już dość czasu na uzalanie się nad sobą, zapytała:

- Czemu zawdzięczam tę niecodzienną przyjemność?

- Archie nie żyje.

- Wiem o tym od dawna, kochanie.

- No cóż, teraz i ja się przekonałem - powiedział łamiącym się głosem. Przetarł oczy, opuścił głowę, jakby w żałobie po ojcu, który umarł przed laty, ale i po marzeniu rozwianym zaledwie przed godzinami.

Grace przeczesiała palcami jego czuprynę, jak to robiła, gdy był chłopcem.

- Co się stało? - spytała. - Dlaczego nagle postanowiłeś pogodzić się z prawdą?

- Nie miałem wyboru. Ktoś, komu ufam, udowodnił mi ponad wszelką wątpliwość, że ojciec nie wróci. Ale - dodał z uśmiechem dezaprobaty wobec samego siebie - porzucenie tej nadziei nie przyszło mi łatwo.

Grace uśmiechnęła się łagodnie i pogłaskała syna po policzku.

- Rozumiem cię. - Pragnęła go pocieszyć, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że pocałunek matki nie zdoła ukoić aż takiego bólu. - Kto i kiedy ci powiedział? Powtórzył jej opowieść Max. Nie zmartwiła się, bo niczym jej nie zaskoczył. Zaniepokoił ją dopiero wyraz twarzy Jake'a, gdy wymawiał imię Amandy. Mogła zrozumieć, że ma kłopoty miłosne, lecz skąd ten strach?

- Jak otrzymała tę informację? I dlaczego masz taką nieszczęśliwą minę? Wtedy powiedział jej o Steinmetzu i o swojej gwałtownej reakcji na słowa dziewczyny. Nie zataił przed matką prawie niczego, opowiedział, jak wściekły wypadł z mieszkania, nie przyznał się jedynie do szukania pociechy w ramionach Hallie Brendel. Swą opinią o tożsamości Amandy Maxwell vel Eriki Baird zaskoczył Grace całkowicie. Opowiadał jej o wszystkim, również o swoich podejrzeniach i o tym, co wraz z Pete'em zastali u Amandy w mieszkaniu, a także nad czym pracował z Calebem - i wreszcie o klęsce, jaką poniósł.

- Przegrałem - oznajmił. Najwyraźniej nie mógł pojąć, jak do tego doszło i jak wyjaśnić sytuację. - Znalazłem ją, powiedziałem, że ją kocham, przeprosiłem. - Zmusił się do uśmiechu. - Ofiarowałem się jako zbawca - i zostałem wyrzucony na zbity pysk. Wyobrażasz to sobie?

Grace roześmiała się, bo czuła, że syn spodziewa się po niej takiej reakcji, jednak wcale nie było jej do śmiechu.

- Teraz nie tylko nie chce mnie na kochanka, lecz postanowiła jeszcze walczyć w pojedynkę z tymi bandziorami. - Oczy mu pociemniały. - i wiesz co, mamó? Ona wcale nie zwariowała. Ci gangsterzy rzeczywiście chcą ją zabić.

- Dlaczego nie poprosi o pomoc policji? - zdziwiła się Grace. - Caleb przecież nie ma już wątpliwości, że Lionel Baird padł ofiarą morderstwa. Nawet jeżeli do końca nie jest przekonany, czy Max to Erica Baird, włamanie do jej mieszkania powinno wystarczyć jako argument, aby zapewnić tej dziewczynie ochronę policyjną.

Jake zgodził się z opinią matki. Przez całą noc próbował dociec, dlaczego Amanda nie zwróciła się do policji, nie zaalarmowała FBI czy biura szeryfa. Dlaczego zamknęła się w sobie?

- Myślę, że Max widzi w swoim zagrożeniu analogię do hydry o wielu łbach - obetniesz jeden, zaraz wyrasta następny - i chce ustalić

oraz zniszczyć źródło owych pełnych nienawiści rozkazów. Jeżeli tego nie zrobi, nigdy nie poczuje się wolna...

- I nigdy nie będziecie razem - dokończyła za niego Grace, rozumiejąc główny powód jego rozpacz.

- Prawdopodobnie nie.

- No to pomóż jej, za wszelką cenę. - Wzięła głowę syna w dłoń i głęboko zajrzała mu w oczy. - Jest tego warta.

Jake skinął głową, pocałował matkę w rękę, wdzięczny za miłość i wsparcie.

- Masz rację, teraz muszę tylko pomyśleć, co i jak zrobić.

- Uda się, wierzę w ciebie - powiedziała Grace. Wstała od stołu i podeszła do lodówki. - Zanim jednak cokolwiek zaczniesz, musisz zjeść śniadanie.

Amanda była całkowicie wyczerpana. Wizyta Jake'a wepchnęła ją w emocjonalny wir - w jednej chwili wszystko stawało się jasne i zaraz pojawiały się nowe wątpliwości, na powrót wtrącając ją w mgłę. Poza zaskakującą wiadomością o śmierci Bastida, musiała jeszcze poradzić sobie z miłosnym wyznaniem Jake'a i wyraźną aluzją, że wie, kim ona jest, i że mu to nie przeszkadza. Samotna i osaczona, bardzo gorąco pragnęła przyznać mu rację, byle tylko zdobyć obrońcę, ale oparła się tej pokusie. Jeszcze niedawno wierzyła mu bez reszty, teraz, dręczona licznymi wątpliwościami, nie ufała nikomu, nawet sobie. I przecież kiedyś zaufała już Tylerowi...

Po odejściu Jake'a popłakała sobie, potem włączyła telewizor i przeskakiwała z programu na program, aż znalazła stację na okrągło nadającą wiadomości. Tu bez końca powtarzano wywiady Hallie - jeden i drugi - aż Amanda miała serdecznie dość widoku reporterki. Po obejrzeniu pierwszej rozmowy zrozumiała, że Jake połączył w jedną całość to, czego się dowiedziała dziennikarka, ze swymi przypuszczeniami - i stąd wyszła sprawa Eriki Baird. W każdej innej sytuacji Amanda zamartwiałaby się myślą, komu o niej powiedział, kto jeszcze wie, kim ona jest - wszakże teraz obchodziło ją tylko jedno: kto zamordował Lionela. Wczesnym rankiem, następnego dnia po sprawdzeniu, jak czuje się Beth - jej stan szybko się poprawiał - wyszła z mieszkania Jimba, zdecydowana działać. Gdyby w ciągu ostatniej nocy udało jej się zasnąć choćby na dwadzieścia minut, zachowałaby wzmożoną czujność, ale głowę miała pełną rozmaitych „jeżeli” i „czy” i nie zauważyła beżowego samochodu zaparkowanego

po drugiej stronie ulicy. Ani mężczyzny za kierownicą, popijającego drożdżówkę kawą, z twarzą ukrytą za ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi.

Jej plan wymagał jeszcze drobnych korekt. Zamiast wsiadać do metra, wybrała podróż autobusem. Wskoczyła do piętnastki i zadowolona usiadła na wolnym miejscu z tyłu. Gdyby tylko się obejrzała, dostrzegłaby duży, beżowy samochód, trzymający się w pobliżu, z tyłu całą uwagę jednak skupiła na zaplanowanym przedsięwzięciu.

Przy Czterdziestej Drugiej wysiadła i ruszyła na zachód. Szła do budynku „Telegraphu”, a konkretnie do gabinetu Hallie Brendel. Weszła do holu. Wstępu do wind bronił recepcjonista, siedzący za wielkim biurkiem, i kilku strażników, wyglądających na ludzi traktujących poważnie swoje obowiązki.

- Chciałam rozmawiać z Hallie Brendel - oświadczyła Amanda.

- Jest pani umówiona?

- Nie, ale mam bardzo ważną sprawę.

- Zadzwonimy na górę i zapytamy, czy jest wolna.

Człowiek za biurkiem wystukał kilka cyfr i czekał na odpowiedź. Już chciał zbyć przybyłą jakimś „wyszła służbowo”, gdy wyprzedziła go i poprosiła o słuchawkę.

- Proszę. - Nie miał nic przeciwko temu. Odwróciła się do niego plecami i zbliżyła mikrofon do ust.

- Tu Erica Baird - powiedziała spokojnie.

Cisza aż załomotała jej w uszach, nim Hallie odpowiedziała.

- Skąd mam wiedzieć, że jest pani osobą, za którą się podaje?

- Musi mi pani uwierzyć na słowo, tak jak oczekuje tego pani od widzów.

- Proszę wejść na górę, porozmawiamy, jestem na dwudziestym siódmym piętrze.

- A ja w holu, na parterze. Lepiej porozmawiajmy w kawiarni. - Oddała słuchawkę recepcjoniście. - Dziękuję - powiedziała z uśmiechem.

Odeszła w kąt, stanęła twarzą do wind i czekała. Po kilku długich minutach Hallie wysiadła i obrzuciła wzrokiem kobiety w holu. Prawie natychmiast dostrzegła Amandę. Na jej twarzy ukazał się wyraz zaskoczenia - poznała ją natychmiast.

- Spotkałam panią...

- Na schodach kamienicy Jake'a Fowlera. - Amanda nie zamierzała wdawać się w wyjaśnienia. - Nie przyszłam tu rozmawiać o panu Fowlerze.

- Rozumiem.

- Uparła się pani, aby wydobyć mnie i moją matkę z naszej z takim wysiłkiem osiągniętej anonimowości. Z podobną determinacją próbowała pani zniszczyć mego ojca - mówiła ostrym tonem.

Hallie poczerwieniała, słysząc te słuszne zarzuty. Próbowwała się tłumaczyć:

- Ja tylko usiłowałam znaleźć w tej tragedii jakiś sens. Amanda, chcąc jej przerwać, uniosła dłoń.

- Proszę mnie nie obrażać takimi komunałami, panno Brendel. Jedyną rzeczą, o jakiej pani myślała, była własna kariera. - Nie kryła pogardy. - Cóż, to chyba pani szczęśliwy dzień, bo przyszłam zaproponować wam prawdziwy hit: wywiad ze zmarłą Ericą Baird.

- Kiedy tylko pani zechce...

- Chcę, byśmy poszły do jakiejś uczęszczanej kawiarni, gdzie nie czatują pani kamerzyści, a ja nie zostanę nagrana przez ukryty mikrofon. Dopóki nie będę gotowa się ujawnić, załatwimy sprawę tak, jak ja sobie tego życzę albo wcale.

- Zgoda!

Wyszły na ulicę. Było tuż po dziewiątej i zaczęła się godzina szczytu. Najbliższa kawiarnia znajdowała się przy Czterdziestej Pierwszej, zaraz za skrzyżowaniem. Minęły jedną przecznicę, skręciły w prawo, przeszły następną i skręciły. Wejście było nie dalej niż dziesięć metrów od nich. Nagle Amanda usłyszała pisk opon. Obejrzała się: beżowy samochód wypadł zza rogu, przejechał po krawężniku i pędził prosto na nie. Wyciągnęła rękę i chwyciła Hallie, by pociągnąć ją w stronę budynku, ale ta nie zrozumiała jej gestu, szarpnęła się i odskoczyła prosto pod rozpędzony wóz. Max z przerażeniem patrzyła, jak góra metalu uderza w reporterkę i wyrzuca ją w powietrze niczym szmacianą lalkę. Impet uderzenia przewrócił Amandę na chodnik, uderzyła głową w kamienną płytę i skręciła nogę. Samochód popędził ulicą i zniknął, zanim zdążyła dostrzec numery.

Ludzie na ulicy usłyszeli hałas i zaraz utworzyło się zbiegowisko. Amanda, nie zwracając uwagi na ból kostki, przepchnęła się do nieruchomej Hallie, przycisnęła palce do jej szyi i sprawdziła puls:

ledwo wyczuwalny. Jej ciało leżało skręcone, jakby doznała licznych złamań i urazów. Była blada i nieprzytomna. Amanda obawiała się, że reporterka jest w stanie śpiączki, o innej ewentualności wolała nie myśleć.

Uniosła głowę, by poprosić o zatelefonowanie pod 911, lecz akurat wtedy zjawili się dwóch policjantów. Wstała i pośpiesznie ukryła się w tłumie. Jeden z nich zapytał gapiów, co się wydarzyło. Pięć osób naraz zaczęło mu opowiadać, dzięki czemu Max mogła zachować milczenie. Gdy pojawiła się karetka, Amanda wiedziała, że ranna znajdzie się pod właściwą opieką. Wtedy, wykorzystując zamieszanie, zebrała wszystkie siły i pokuśtykała w kierunku stacji metra; nie mogła ryzykować przesłuchania.

Od Grand Central Station dzieliło ją zaledwie kilka przecznic. By nie zwracać na siebie uwagi, wmieszała się w tłum i szła tak szybko, jak na to pozwalał ruch na ulicy i obolała kostka. Przy domu mody Glorii Vanderbilt przeszła na drugą stronę i wraz z podróżnymi skierowała się do olbrzymiego budynku dworca. Pełna napięcia przedzierała się schodami w dół. Jak to w Nowym Jorku - wpadali na Amandę i popychali ją śpieszący gdzieś ludzie. Morderca mógłby pchnąć ją nożem w plecy i uciec, nim ktokolwiek by zauważył, co się stało.

Gdy dotarła do głównej hali, obrzuciła wzrokiem olbrzymią przestrzeń Grand Central Station. Wciąż czujna przyglądała się mężczyźnie pijącemu kawę i kobiecie, która kupowała obok gazetę. Rozum przestrzegał Amandę przed nadmierną podejrzliwością, ale ostatecznie wydarzenie zdawało się przekonywać o czym innym. Anonimowy wróg, który polował na nią całe życie, stał się teraz realnym zagrożeniem.

Dokładnie zapamiętała, gdzie znajdują się wyjścia, schody i wejście do metra. Przy kiosku z jedzeniem przystanęła, poprosiła o litrową butelkę wody i wzięła dużą ilość lodu. W drogerii kupiła advil, a w stoisku z pamiątkami wełnianą, kwadratową chustkę z obrazkami przedstawiającymi Nowy Jork i długi, jedwabny szalik. Popatrzyła, gdzie jest damska toaleta.

Wpadła do kabiny w samym rogu, zdjęła but i obwiązała skręconą kostkę najmocniej jak się dało, w nadziei, że w ten sposób powstrzyma dalsze jej puchnięcie. Potem zawinęła trochę lodu w wełnianą chustę i zrobiła woreczek. W ciasnym pomieszczeniu

okładanie stopy lodem nastęczało nie lada trudności, ale Amanda musiała sobie jakoś radzić.

Usiadła na desce, wyciągnęła nogę w górę, wsparła o ścianę i przyłożyła prowizoryczny kompres z lodem na obolałe miejsce. Przełknęła trochę advilu, a resztę wody zużyła do opłukania mocno startych i brudnych dłoni. Trzeba za wszelką cenę opanować nerwy, pomyślała, tylko jak? Była poruszona, pełna obaw i zdenerwowana. Najpierw Lionel, potem Beth, teraz zaś Hallie Brendel. A nawet Jaime Bastido. Ogniwa śmiertelnoścno łańcucha. Kiedy nadejdzie jej kolej? I w jaki sposób? Przejadają, zastrzelą, otrują? A może śmiertelnie przerażą?

- Nie! - i syknęła do otaczających ją demonów. - Nie!

Za wszelką cenę musi znaleźć siły! Zamknawszy oczy, odcięła się od szmeru rozmów prowadzonych przez kobiety wchodzące i wychodzące z toalety. Czas przestać myśleć o śmierci, trzeba zająć się życiem!

Znajdź miłe wspomnienie. Zmusiła mózg do przywołania obrazów z minionej rzeczywistości. Strzępy chwil pojawiały się i odchodziły, wspomnienia szczęśliwych dni błyskały jak płomyki; najdłużej zatrzymała w myślach ów wieczór w Wisconsin, gdy we trójkę, ona, Lionel i Beth, siedzieli przy obiedzie, a życie wydawało się tak rozkosznie normalne, jakby stanowili rodzinę. Starła się oddychać równo i utrwalić ten obraz, by służył jej za sztandar, pod którym ruszy do boju, bo z pewnością zbliżał się moment ostatecznej walki. Gdzieś tam, ktoś wpisał jej imię na listę niepokornych, których należy ukarać. Znalazła się na niej, mając dziewięć lat.

Powoli Amandę ogarnęło znajome uczucie gniewu i otworzyła oczy. Czekwała, aż łzy obeschną i zapłonie w niej ogień. Z nim pojawi się plan i nadejdzie determinacja, by doprowadzić batalię do końca.

Uśmiercili jej ojca, próbowali zabić matkę, a dziś rano uderzyli w nią - ale Amanda nie podda się tak łatwo i nie będzie sama.

Wysiadła z metra i poszukała bankomatu. Czekając, aż maszyna wyrzuci pieniądze, zmartwiła się, gdyż stan jej konta zmniejszył się zastraszająco. Musi wrócić do pracy albo straci posadę. Pocieszała się jednak, że wkrótce jej kłopoty dobiegną kresu. Weszła do budynku, w którym mieściła się firma Lionela. Gdy wysiadła z windy na piętrze dyrektorskim, podszedł do niej strażnik, zapytał, kim jest, do kogo

idzie i w jakiej sprawie. Wiedziała, że postępuje wbrew regulaminowi, ale wyciągnęła odznakę.

- Muszę porozmawiać z panną MacDougall o śmierci pana Lionela Bairda - powiedziała zgodnie z prawdą, nie wspomniała tylko, że nie przychodzi służbowo.

- Zawiadomię ją o pani przyjściu. - Strażnik ruszył w stronę telefonu.

- Proszę tego nie robić. - Amanda postanowiła zaskoczyć Fredde. Nie może pozwolić, aby ta porozumiała się z Pamelą Baird czy policją. - Chcę, by zachowywała się spontanicznie - wyjaśniła jak przedstawiciel prawa osobie urzędowej. Po chwili zastanowienia przystał na jej prośbę. Amanda zaszalowała mu żartobliwie. - Znam drogę.

Poszła korytarzem prosto przed siebie, starając się, by nie dostrzegł jej ktoś, kto mógł ją tu wcześniej widzieć i zapamiętać. Pod drzwiami gabinetu Lionela zatrzymała się i upewniła, czy Fredda jest sama. Telefonowała. Amanda poczekała, aż sekretarka skończy, a potem weszła do środka.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła stanowczym tonem. Fredda nie mogła wyjść ze zdumienia.

- Co, u licha, pani tu robi? - spytała z irytacją w głosie.

Sięgnęła do telefonu, lecz Amanda odebrała jej słuchawkę i odłożyła z powrotem. Kobieta wyglądała tak, jakby zaraz miała krzyknąć, a wtedy Amanda odchyliła połą żakietu i pokazała rewolwer.

- Nie rób niczego głupiego - ostrzegła. Tamta potulnie kiwnęła głową. - A teraz pójdziemy do gabinetu Lionela i porozmawiamy.

Panna MacDougall odsunęła krzesło od biurka, wstała i powoli ruszyła do drzwi. Amanda szła tuż za nią i gdy tylko znalazły się w środku, przekręciła klucz.

- Siadaj, Freddo. - Pewność siebie w głosie przybyłej denerwowała starszą kobietę. Najwyraźniej uważała gabinet szefa za swoje królestwo, Amandę zaś za intruza.

- Czy moja wizyta cię niepokoi?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo nie masz prawa tu przychodzić.

- Kto tak powiedział, Pamela Baird?

- Jest wdową po panu Bairdzie, chyba wiesz.
- Czyli kimś ważniejszym niż kochanka?
- No... tak!
- Ty byłaś kochanką Douglasa Welcha. Czyżbyśmy nie były sobie równe? Fredda zaczerwieniła się po cebulki włosów. Dłonie zacisnęła w pięści
- Czego chcesz? - spytała.
- Zadać ci kilka pytań.
- A jeżeli nie odpowiem?
- Słuchaj, Fredda, dość tej zabawy w chowanego. Miałaś rację, nie wierząc w tę historyjkę z handlem dziełami sztuki. - Na twarzy sekretarki ukazał się wyraz triumfu. Amandzie zrobiło się jej żal. Najwyraźniej dla tej kobiety esencją życia stanowiło to, że zawsze miała rację. - Pracuję w policji nowojorskiej. - Amanda błysnęła odznaką.

Fredda wyraźnie straciła rezon, a całe jej zadowolenie z siebie gdzieś znikło. Powróciło wcześniejsze zdenerwowanie.

- Jestem tu, bo Lionel nie popełnił samobójstwa, lecz został zamordowany. Pete już wcześniej zawiadomił Amandę, że w organizmie zmarłego wykryto obecność succinylcholiny i znaleziono także ślady po ukłuciu na karku, tuż poniżej linii włosów.

- Co takiego! To niemożliwe! Jak... - Sekretarka nie mogła złapać oddechu, przycisnęła dłonie do piersi i gwałtownie łapała powietrze. - Nie sądzisz chyba, że ja...

- Nie, nie sądzę. - Amanda pośpiesznie zapewniła Fredde, że nikt jej nie podejrzewa, ani nie zamierza aresztować. - Ale potrzebuję twojej pomocy, by się dowiedzieć, kto go zabił.

- A jeżeli odmówię?

Interesujące. Kogo ona chce chronić? Kobietę, która podaje się za wdowę po Lionelu i przyjaciółkę Freddy? A może syna dawnego kochanka?

- Nie postąpisz tak, Fredda, a wiesz dlaczego? Bo kochałaś Lionela i smutno ci z powodu jego śmierci. I nie możesz pojąć, dlaczego miałby się zabić.

Amanda trafiła w sedno. Oczy sekretarki wypełniły się łzami. Kochała Lionela i bardzo jej go brakowało, ale ukryła swój ból przed Amanda. Dla niej ta kobieta pozostawała intruzem, a nawet awanturnicą, i Fredda nie widziała powodu, aby zmienić swoją opinię.

- Nie masz prawa tu przychodzić! - Ze złością przetarła oczy.

- Ależ przeciwnie. - Amanda oparła się o drzwi i skrzyżowała na piersiach ramiona. - Jestem córką Lionela, Ericą Baird.

Przez chwilę wydawało się, że starsza kobieta dostanie ataku serca; twarz jej posiniała. Amanda modliła się, by nie trzeba było wzywać pogotowia, drugi raz tego dnia. Na szczęście, po kilku sekundach policzki Freddy odzyskały swą naturalną bladość.

- Udowodnij! - powiedziała krótko sekretarka. Uważała się za ostatnią instancję w rozstrzygnięciu wszelkich wątpliwości.

Amanda nie przejęła się jej reakcją. Trudno było oczekiwać od Freddy, by przyjął takie oświadczenie na wiarę.

- Mój pies nazywał się Checkers; ojciec mówił do mnie Ricki; obchodzę urodziny 16 stycznia i każdego roku posyłałaś na mój grób bukiet różowych róż, a Lionel, dla uczczenia tego dnia, kazał ci wstawiać do wazonu na swoim biurku różowe kamelie. Urodziny mojej mamy wypadają 14 listopada, ojciec posyłał jej konwalie.

- O Boże! - Twarz Freddy znów przybrała kolor się do purpurowy. Oszołomiona, krzyknęła wręcz histerycznie: - Wiedziałam! Mówiłam Pameli, że w ciągu tych kilku miesięcy nieprzytomnie wręcz uszczęśliwiłaś Lionela. Słuchała o tym z niechęcią, jednak z chwilą gdy weszłaś w jego życie, zmienił się nie do poznania. Wiedziałam!

Zerwała się z krzesła i uściskała Amandę, jakby była jej odnalezioną po latach córką, jednak cofnęła się nagle.

- Naprawdę uważasz, że Lionela zabito? Chciałam powiedzieć, twojego ojca. - Poczerwieniała, niepewna, jak się zachować.

- Może być Lionel. I właśnie tak sędzę.

- Jak mogę ci pomóc? Amanda uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Po pierwsze odpowiedz mi na jedno, bardzo osobiste pytanie. Twarz Freddy przybrała jeszcze ciemniejszą barwę. Amanda wystraszyła się, że zaraz usłyszy z ust tamtej opowieść o wielkiej miłości, jaką darzyła swego szefa. By temu zapobiec, pośpieszyła z pytaniem:

- Czy spotkałaś kiedykolwiek syna Douglasa Welcha? Sekretarka zebrała myśli.

- Nie, chłopiec nigdy nie przychodził do biura, a ja, sama rozumiesz, nie byłabym mile widziana na pogrzebie.

Interesujące, pomyślała Amanda. Sądząc z reakcji Freddy, tamta nie miała pojęcia, kim jest Tyler Grayson. Najwyraźniej potrafił równie dobrze jak ona ukrywać swą tożsamość.

- A Lionel?

- Czemu pytasz?

- Jeżeli syn Welcha uważał, że Lionel powinien być stanąć w obronie jego ojca i starać się nie dopuścić do wyroku skazującego, mógł przez te wszystkie lata nagromadzić w sobie wiele nienawiści. - Fredda spuściła oczy i pokręciła głową. - Czy Lionel powinien był bronić Douglasa Welcha? - spytała Amanda.

- Douglas naprawdę wierzył, że twój ojciec wiedział o praniu pieniędzy w banku. Być może, pomyślała Amanda.

- Według niego Lionela to nie obchodziło, bo chciał zostać współnikiem w firmie. A im lepsze wyniki osiągał, tym większe miał szansę.

Amanda przypomniała sobie słowa Graysona, który mówił niemal to samo na temat swych starań o wyższe stanowisko.

- Ojciec sprawiał wrażenie wyjątkowo wyczulonego na sprawy bezpieczeństwa. Cała postawa sekretarki świadczyła o uldze, z jaką przyjęła zmianę tematu.

- Zupełnie oszalał po tym, jak ty i matka... myślał, że zginęłyście.

- Wciąż trudno jej było przyjąć do wiadomości, że stoi przed nią Erica Baird. Amanda nie zamierzała rozwodzić się nad przeszłością.

- Powiedział mi, że jego biuro i biblioteka w domu w mieście są wyposażone w urządzenia do nagrywania.

- Zgadza się.

- Możesz mi je pokazać?

- Magnetofon znajduje się w komputerze. - Fredda, z chytrym uśmiechem na twarzy, podeszła do biurka Lionela. - Mikrofon jest tutaj. - Wskazała na jeden z dwóch bliźniaczych długopisów Alfreda Dunhilla, stojących na biurku. Amanda uśmiechnęła się z aprobatą.

- Sprytne!

- Też tak uważał. Nagle Amandzie przyszła do głowy myśl.

- Jeżeli miewał spotkania u siebie, w rezydencji, czy tamten magnetofon był połączony z tym komputerem?

- Tak. - Fredda od razu zrozumiała, o co chodzi.

- Pewnie znasz hasło. Tamtej zrzęda mina.

- Nie, Lionel zawsze, gdy chciał, by przepisać mu jakiś tekst z tych spotkań, przynosił mi taśmę magnetofonową.

- Możesz coś dla mnie zrobić?

- Co tylko zechcesz.

- Nie wpuszczaj nikogo do gabinetu, a ja w tym czasie spróbuję dobrać się do tych plików.

- Myślisz, że wywnioskujemy z nich, co się przydarzyło twojemu ojcu?

- Morderca mógł zostać nagrany, Freddo. - Amanda siadła przed komputerem. - Nim skończy się dzień, przysięgam, że dowiemy się, kim on jest.

- Jak zwykle, Fowler, łamiesz wszelkie zasady - gderał Caleb. Usadowił się na kanapie w gabinecie Jake'a. - Cokolwiek wiesz, powinieneś przyjść z tym na komisariat. A mnie oficjalnie tu nie ma.

- Moje biuro jest przyjemniejsze od twojego, u ciebie kręci się za dużo ciekawskich. A Grace robi lepszą kawę niż Moran.

Drzwi otworzyły się i wszedł Pete. Rozejrzył się i zagwizdał z podziwem.

- Miła dziupla. Najwyraźniej robota prywatnego łapsa bardziej się opłaca niż łapanie zboczeńców. - Wziął podaną mu przez Jake'a filiżankę, wymienili z Calebem uścisk dłoni. - Och, jeszcze jeden koleś po fachu. Jake umie wydawać przyjęcia, nie sądzicie?

Usiadł obok Greena na kanapie i czekali, aż Fowler zacznie. Żaden nie rozumiał, czemu Jake nalegał, aby ich spotkanie miało poufny charakter, dopóki nie wybuchła bomba.

- Nasza wspólna przyjaciółka, Amanda Maxwell, to Erica Baird.

Upłynął przynajmniej kwadrans, nim zrelacjonował im całą historię, ale uznał, że najwyższa pora, by obaj dowiedzieli się wszystkiego. Najbardziej tymi rewelacjami przejął się Pete: Max ma prawo do zachowania w tajemnicy swej tożsamości. Nie mógł pogodzić się z myślą o osaczeniu jej przez zabójców. Ale to, że była objęta programem ochrony świadka, wiele wyjaśniało. Nasuwało się także mnóstwo pytań, lecz zwłaszcza jedno: dlaczego Fowler nie chce włączyć do sprawy więcej jednostek policyjnych.

- Nadmiar glin może okazać się zgubny. - Według Jake'a zbyt wiele czasu pochłonęłaby koordynacja poczynań policji, FBI i biura szeryfa. - Max nie ma chwili do stracenia.

- Bastido stanął przed Stwórcą wcześniej, niż ktokolwiek mógłby się tego spodziewać - powiedział Pete, popierając Jake'a. - A stąd prosty wniosek, że ktoś inny poluje teraz na naszą dziewczynkę.

- Właśnie - zgodził się Jake.

- No dobrze - poddał się Caleb. - Jak myślisz, kto?

- Nie jestem pewien, ale mam pewne podejrzenia.

- Może nam powiesz - domagał się Caleb, pomny na wcześniejsze doświadczenia ze współpracy z Fowlerem - czy też mamy iść z tobą na słowo.

- Daj spokój, jestem dzisiejszy, dzielimy się wszystkim. - Jake uśmiechnął się i mówił dalej: - Gdy w 1978 roku Bastido został skazany, wysłano go do federalnego więzienia w północnej Florydzie. W połowie lat osiemdziesiątych dołączyło do niego kilku koleśków po fachu i trochę mu dokuczało, więc przeniesiono go - popatrzył po twarzach kolegów - do Joliet, gdzie, według moich informacji, zaprzyjaźnił się z ni mniej, ni więcej tylko z samym Big Rayem Saviano.

- Przecież Wielki Człowiek miał siedzieć w pojedynce! - zdziwił się Pete.

- To się zdarzyło, zanim został pobity i trzeba go było odizolować. Gdy się o tym dowiedziałem, zadzwoniłem do wiarygodnego kapusia, który spędził jakiś czas w Joliet. Opowiedział mi ze szczegółami historię przyjaźni Ray'a i Jaimego. Saviano wciąż narzekał, że z jego syna taki bęcwał. Bastido służył mu radą i nie wiadomo czym jeszcze. W każdym razie, pokumali się na dobre. Wspólna nienawiść do Cynthii Baird zapewne dodatkowo scementowała jeszcze ową przyjaźń. Nieprzypadkowo Jaime i Little Ray ucięli sobie pogawędkę przed budynkiem sądu. Może Big Ray wysłał swego kumpla Bastida do Nowego Jorku, by przemówił chłoptasiowi do rozumu, a może przyrzekł, że jeśli Jaime poprawi sytuację finansową rodziny Saviano, zrobią go szefem.

Caleb pochylił się, wsparł ramiona na udach i skonfrontował usłyszane informacje z własnymi:

- Wczoraj zatrzymano Little Raya, między innymi pod zarzutem współudziału w zabójstwie Bastida.

Pete wzruszył ramionami.

- Nie sędzę, by Little Ray skakał z radości na wieść, że jakiś obcy ma zająć jego miejsce. Potrafię sobie wyobrazić, jak eliminuje konkurenta.

Caleb częściowo zgodził się z Pete'em.

- Jednak wstępne ustalenia wskazują na dobrze obmyśloną pułapkę...

- Niewiele mnie to obchodzi, jeżeli nie ma nic wspólnego z Max czy z Lionelem - zauważył Jake.

- Może pozornie nie ma - zgodził się Pete. - Ale to klasyczny przykład: dwóch zbirów nienawidzących tego samego wroga.

- Rozumiem, czemu Bastido czy Saviano chcieliby dopaść Amandy - rozmyślał na głos Caleb - ale po co by mieli zabijać Lionela Bairda?

- Może Baird mówił prawdę, że nie zgodził się na pranie pieniędzy. A tacy źli chłopcy nie lubią, gdy się im odmawia.

- Poza tym samobójstwo Bairda usunęło z pierwszych stron gazet temat krwawej wojny o dystrybucję tej gównianej propainy - wtrącił Pete. - Bogaty facet strzelający sobie w łeb to lepszy kęsek dla pismaków niż biedni narkomani, którym chciwi dealerzy i ćpuny na głodzie patroszą bebechy na ulicach.

- Może chodziło o jedno i drugie. - Zniecierpliwiony Jake wzruszył ramionami.

- Teraz to bez znaczenia. Z całym szacunkiem, ale Lionelowi Bairdowi już nie pomożemy, a mnie zależy na uratowaniu życia jego córce.

Peter usłyszał wzruszenie w głosie Fowlera. Podchwycił jego spojrzenie i kiwnął głową, jakby dawał znak: choćby nie wiem co się działo, ochronimy ją.

- Gdy chłopcy z Brooklynu zatrzymali Little Raya, skonfiskowali „złotą listę” rodziny. - Z tonu głosu Caleba wyczuli, że zdradza im poufne informacje, ale w końcu sam wprowadził Jake'a na tę ścieżkę i teraz nie mógł go zostawić w niewiedzy.

- W porządku, będę udawał głuchego - powiedział Pete. - Zaczynaj.

- Czyń innym to, co chciałbyś, by tamci uczynili tobie. - Caleb uważał światek zorganizowanej zbrodni za plagę społeczną. Takie listy wyjaśniały, dlaczego tak było. - W tym spisie widnieje mnóstwo nazwisk zwykłych ludzi, którzy wpadli w kłopoty, a wtedy mafia

oddała im przysługę. Oczywiście, nie za darmo, kiedyś nadejdzie czas na rewanż.

- Mógłbyś skrócić kopię? - spytał Jake. Caleb wyjął z kieszeni marynarki arkusz papieru i podał go Fowlerowi.

- Na co jeszcze wpadłeś? - zapytał.

- Jeden z moich pracowników spędził dzisiejszy ranek w bibliotece nad materiałami o operacji „Dzień Prania”. Po połączeniu nazwisk głównych bohaterów tamtej afery z danymi, jakie mamy w komputerze, odkrył, że jednym z zastępców Lionela Bairda był, teraz uważajcie, syn Douglasa Welcha: Tyler Grayson! Pete i Caleb nie kryli ciekawości.

- Mój człowiek pobiegł z powrotem do biblioteki i wygrzebał, co się dało o Welchu. Wrócił z albumem policyjnych fotografii. - Pracownik powiedział Jake'owi, że bibliotekarka gderała, bo ktoś zostawił album w kabinie do przeglądania przezroczy, razem ze stertą książek na ten sam temat. Jake domyślił się, że chodzi o Max. - Spójrzcie - zwrócił się do kolegów. Otworzył album na stronie ze zdjęciem martwego Welcha. Obydwaj policjanci zauważyli natychmiast podobieństwo między ułożeniem jego ciała i pozycją, w jakiej znaleziono Bairda. Obaj też z miejsca pomyśleli o Tylerze Graysonie.

- Niektórzy z moich informatorów twierdzą, że to Baird wydał Welcha - odezwał się Caleb. Uznała, że przyszła pora na podanie tej wiadomości. - Thompson, przesłuchiwany po wyjściu ze szpitala, wspomniał o wizycie Graysona u jego chlebodawcy po południu w dniu samobójstwa Lionela. Trzeba zatrzymać tego gościa, Jake.

- Zgadza się, ale jeżeli go zamkniesz, wyjdzie za kaucją. A jeśli rzeczywiście to on zabił Bairda, nie spocznie, póki nie zabije Max. Może lepiej po prostu go śledzić?

Caleb potrząsnął głową. Za długo pracował w policji, by pozostawić na wolności głównego podejrzanego o zabójstwo.

- Dwadzieścia cztery godziny - prosił Jake. - Daj nam tylko tyle, a potem, jeżeli go nie dopadniemy, weźmiesz go sobie.

- Dlaczego sądzisz, że wnet zakończymy sprawę? Ból, jaki odczuwał w sercu Jake, stawał się nie do zniesienia.

- Bo Amanda dłużej tego nie wytrzyma, ona ma już dosyć ucieczki, ukrywania się i ciągłego spoglądania za siebie.

- Jak myślisz, co Max teraz zrobi? - Pete denerwował się nie mniej od Fowlera.

- Jedyne, co może, wystawi się na cel.

Amanda od ponad dwóch godzin usiłowała otworzyć plik, jednak bez skutku.

Próbowała najrozmaitszych haseł: imion członków rodziny, nazw miejsc, określeń związanych z ulubionymi rozrywkami Lionela jak „golf i „narciarstwo”, ze sztuką, markami win. Pomyślała też o niecodziennych pomysłach, jakie mogła podsunąć mu wyobraźnia: imionach królów angielskich czy nazwiskach ważnych dla Ameryki prezydentów jak Jefferson, Lincoln czy Roosevelt. Nic z tego. Spędziła wiele lat z dala od ojca, toteż nie знаła wydarzeń i postaci, które mogły wywrzeć na Lionelu szczególne wrażenie. Często opowiadali sobie nawzajem o różnych ważnych sprawach, jednak komputerowe hasła zazwyczaj mają mniej istotną, za to specyficzną motywację i nie upamiętniają świętowania osiągnięcia pełnoletności czy fuzji korporacyjnej.

Fredda zamieniła się w prawdziwego Cerbera i strzegła drzwi gabinetu Lionela ze wzmożoną czujnością. Od czasu do czasu przynosiła Amandzie kawę lub kanapkę i wykorzystywała okazję do zerknięcia jej przez ramię i służenia radą. Raz, gdy Amanda prawie traciła już nadzieję, sekretarka dodała jej otuchy, po macierzyńsku poklepując dziewczynę po ramieniu.

- Nieczęsto mówił o tobie, ale każdy, kto z nim choć raz rozmawiał, nie mógł mieć wątpliwości, że wasze... odejście było najgorszym momentem jego życia i nigdy nie pogodził się ze swą stratą. Nigdy.

Opowieść Freddy skierowała myśli Amandy w całkiem inną stronę. Może to słowo - klucz jest związane z jej osobą? Z nadzieją wystukała: ERICA. Nic. RICKI. Brak reakcji. CZERWONY WAGONIK BREKOWEGO. RÓŻOWA KAMELIA. DZIEWCZYNNKA. CHECKERS. Za każdym razem pojawiał się napis: „Niewłaściwe hasło, spróbuj ponownie”. Zupełnie jakby ktoś testował jej wiarygodność, chcąc zobaczyć, jak sprawdzi się jako córka. Wstała, by rozruszać nogi i... pamięć. Krew spłynęła jej do stóp i zaraz odezwał się ból w kostce. Dotychczas trzymała nogę wysoko i, dzięki nowej przyjaciółce, porządnie obłożoną lodem, ale ból nie ustawał, jakby przypominając, że czas ucieka. Dokuśtykała do drzwi,

by poprosić Freddie o następny worek z lodem i wtedy usłyszała znajomy głos.

- Muszę dostać się do komputera pana Bairda - mówił Tyler. - Jutro odbędzie się spotkanie wszystkich wicedyrektorów. Lionel trzymał w swoim komputerze dane naszych najpoważniejszych klientów. Szukam informacji, które umożliwiłyby przekonanie ich do dalszej współpracy z naszą firmą. Potrzebuję ich przed zebraniem.

- Przykro mi, panie Tylerze, ale nie może pan tam wejść.

- To nie mauzoleum, Freddo, tylko gabinet.

Mówił tonem pełnym potępienia, jakby chciał ukarać sekretarkę za związek ze swoim ojcem. Amanda zastanawiała się, dlaczego Grayson nigdy nie wyjawiał Freddie, kim jest. W najgorszym przypadku znalazłby kogoś, kto kochał Douglasa Welcha i wyrażał się o nim z szacunkiem, w najlepszym, zyskałby w niej przyjaciela.

- Przykro mi, że Lionel Baird nie żyje, ale firma Baird, Nathanson & Spelling działa dalej. To biznes i jeżeli mamy utrzymać się na rynku, muszę dostać te dane.

Amanda usłyszała za drzwiami jakiś ruch, pewnie sekretarka zastawiła Tylerowi wejście.

- Policja nie pozwoliła nikogo tam wpuszczać, zakaz dotyczy także pana. - Kobieta ani myślała ustąpić.

- Szkoda czasu na kłótnie, uszanuję twoje życzenie, Freddo, przynajmniej na razie. Jeszcze tu wrócę, a wtedy zamierzam dostać się do gabinetu i do komputera!

- Jeżeli przyniesie pan pozwolenie od sędziego lub z policji.

Nic dziwnego, że Lionel zatrudniał ją przez tyle lat, pomyślała Amanda. Próbując nie stawać na bolącej nodze, wróciła do biurka. Niecierpliwość w głosie Graysona pobudziła ją do pośpiechu. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Tyler mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią jej ojca, ale musi zyskać pewność. Zaczęła od nowa.

ERICABAIRD, RBAIRD, ESB. ACIRE.

Nagle coś sobie przypomniała. Ojciec nazywał ją Ricki. Gdy zaczynała mówić, starała się go naśladować, ale nie umiała wymówić „r” i wychodziło „lcki”. Przez lata Lionel żartował z niej sobie, nawet ostatnio nazywał ją tym zdrobnieniem.

Wystukała ICKI i wstrzymała oddech. Na ekranie ukazała się długa lista plików, każdy z datą i godziną. Przesunęła kursor na dzień

samobójstwa i nacisnęła klawisz „play”. Najpierw usłyszała głos Brunona.

- Przyszedł pan Grayson.

- Świetnie, wprowadź.

- Czy będzie mnie pan potrzebował dziś wieczorem?

- Nie, dziękuję, Bruno, jem obiad poza domem.

Urządzenie wyłączyło się i znów zaczęło nagrywać po wejściu gościa.

Przez następne pół godziny Amanda w napięciu słuchała rozmowy Tylera z jej ojcem. Grayson przyszedł upomnieć się o awans. Lionel wyjaśniał, że nie zamierza promować nikogo, bo wstrzymał swoje przejście na emeryturę - i to na długo.

To samo Tyler opowiedział jej przy obiedzie. Może zbyt szybko puściła wodze fantazji? W końcu powinna brać pod uwagę i inne teorie i nie przejmując się zwykłym zbiegiem okoliczności.

Rozmowa przybierała coraz bardziej burzliwą formę. Tyler oświadczył, że zasługuje na awans bez względu na to, czy Lionel się wycofa się, czy nie.

- A to niby dlaczego? - W głosie ojca nie usłyszała gniewu, raczej rozbawienie. Lecz nie na długo.

- Bo mi się to od pana należy - upierał się przybyły.

- Zapytam powtórnie, niby dlaczego?

- Jestem synem Douglasa Welcha, to chyba wystarczający powód.

Przez chwilę Lionel nie odpowiadał. Jakże Amanda chciałaby zobaczyć jego twarz, czytać w jego myślach. Czyżby już wcześniej o tym wiedział?

- Nie, Grayson, nawet twoje pochodzenie nie jest powodem do mianowania cię jednym z dyrektorów Baird, Nathanson & Spelling.

- Pan o tym wiedział, prawda? - spytał Tyler.

- O czym?

- Kim jestem.

- Skąd, u licha, jeżeli wcześniej mi nie powiedziałeś? Amanda zgodziła się z ojcem.

- Gdy zacząłem pracować w Baird, Nathanson & Spelling, zadzwonił do mnie Big Ray Saviano, bezpośrednio z Joliet. Chciał, bym zajął się praniem pieniędzy dla mafii. Odmówiłem.

Jakże musiał rozzłościć się Big Ray! Czy zagroził Tylerowi, że wyda Lionelowi prawdę o jego pochodzeniu? A może próbował dobrać się do niego w inny sposób?

- Tak należało postąpić, słusznie, Grayson.

Amanda wyczuła, że ojciec nie był zachwycony związkiem Tylera seniorem Saviano, nawet tak powierzchownym.

- Postąpiłem tak, by nikt nie mógł powiedzieć: jaki ojciec, taki syn. Nastąpiła przerwa. Amanda głęboko współczuła Tylerowi; wiedziała jak to jest, gdy czyny rodziców kładą się cieniem na życiu dziecka. Niezależnie jednak od tego, co zrobił mój ojciec, powinien był pan stanąć w jego obronie. Nie kiwnął pan palcem, więc odebrał sobie życie.

- Douglas Welch był nałogowym hazardzistą, Grayson, zabił się, nie mógł znieść wstydu. Przykro mi z tego powodu i współczuję ci, straciłeś ojca, ale nie mogę odpowiadać za jego hazardowe długi.

- Wiedział pan, że mafia na niego naciska. A także o praniu pieniędzy do jakiego dochodziło w Nathanson & Spelling. Ale nie przejmował się pan tym wszystkim, byle tylko zyski firmy rosły!

- Do czego zmierzasz?

Amanda drgnęła - Lionel nie zaprzeczył owym zarzutom.

- Mianowano pana współnikiem Nathanson & Spelling dzięki ludziom takim jak mój ojciec!

- On został skazany za kradzież papierów wartości setek tysięcy dolarów.

- A pan przymykał na to oczy.!

- Nie byłem jego stróżem, Tyler, a nawet nie bezpośrednim przełożonym. Nie do mnie należało śledzenie jego postępów. Wiem, że to boli, ale okazał się złodziejem.

Rozmawiali w tym samym tonie jeszcze kilka minut. Tyler mówił teraz głośniejszym i gwałtowniejszym głosem, upierając się, iż Lionel powinien zrekompensować mu jakoś zmarnowane życie ojca.

- Daję panu szansę spłacenia tego długu! - wykrzyczał z desperacją głosem. Po chwili milczenia odezwał się Lionel. Amanda wyczuwała, że ojciec stara się opanować, by nie prowokować następnych wybuchów swego gościa.

- Na pocieszenie mogę ci powiedzieć, że zanim zmieniłem decyzję, byłeś jednym z dwóch, których brałem pod uwagę.

- Proszę nie rzucać mi ochłapów - burknął z urazą Tyler.

- Taki właśnie miałem zamiar, mówię poważnie. Masz talent, Grayson, jesteś zdolny i szybko podejmujesz decyzje. Zrobisz karierę bez niczyjej pomocy, niepotrzebnie starasz się wyrzucić na mnie nacisk. Ale muszę cię ostrzec, jeżeli znowu spróbujesz, twoja przyszłość w Baird, Nathanson & and Spelling zakończy się niezbyt przyjemnie.

Tyler wściekał się dalej, aż Lionel wezwał ochroniarza i kazał go wyprowadzić. Amanda siedziała przy komputerze znużona i mocno zaniepokojona słowami, które usłyszała. Jeżeli Tyler był zdolny popełnić morderstwo, a niektórzy uważają, że okoliczności każdego z nas mogą pchnąć do naruszenia piątego przykazania, Lionel właśnie dostarczył tamtemu powodu.

Z ciężkim sercem przeszła do ostatniego fragmentu nagrania, zarejestrowanego dwie godziny po rozmowie Lionela z Tylerem. Nacisnęła „play” i przygotowała się na wysłuchanie tego, co działo się w ostatnich chwilach życia jej ojca. Godzinę później wyszła z gabinetu Lionela. Przesłuchiwała taśmę kilkakrotnie, wracając do słów, które już słyszała, i planując następne posunięcie. Zrobiła kopię, zamknęła plik i obserwowała, jak Fredda wkłada taśmę do sejfu.

- Chcesz poznać kombinację zamka? - spytała sekretarka.

- Lepiej nie. Czy masz się gdzie schronić, Freddo, zanim sprawa zostanie do końca wyjaśniona?

- Mam zaległy urlop - odpowiedziała tamta z bojową miną.

- Daj się ponieść fantazji - poradziła jej Amanda. - Jedź w jakieś egzotyczne strony!

Fredda uściskała serdecznie dziewczynę.

- Uważaj na siebie - poprosiła.

- Postaram się. - Amanda odwzajemniła uścisk.

Uzgodniły kilka drobiazgow i Max ruszyła do windy. Myśląc o czekającym ją zadaniu, nie zauważyła ukrytego za rogiem korytarza Tylera.

Grace Fowler miała wbudowany w szafkę obok biurka mały telewizor. Uwielbiała oglądać wiadomości, by wiedzieć o wszystkim, co właśnie się działo. Zazwyczaj całkowicie wyciszała dźwięk - biuletyn informacyjny trudno byłoby przegapić, bowiem każda stacja telewizyjna nadawała dość natarczywą zapowiedź dziennika. Około szesnastej trzydzieści dwunastocalowy ekran przybrał niebie - :ą

barwę i ukazał się pulsujący czerwienią, przyciągający uwagę nasi „Z ostatniej chwili”. Grace włączyła głos.

- Przerwywamy program, by podać informacje z ostatniej chwili.

- Dobry wieczór, panie i panowie. Mówi do was Trey Gallagher ze studia wiadomości w Nowym Jorku. Dzisiaj, wczesnym rankiem, reporterka „Telegraphu”, Hallie Brendel, została potrącona przez samochód. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Właśnie opuściła salę operacyjną; według lekarzy z New York Hospital stan rannej określany jest ko krytyczny. Kilka dni temu przeprowadzałem z panną Brendel wywiad o zmarłym niedawno Lionelu Bairdzie. Usłyszeliśmy wtedy, jakoby pierwsza żona i córka pana Bairda nie zginęły podczas eksplozji, który zniszczyła ich dom, tylko zostały objęte programem ochrony świadków. Przyznaję, że nie zgodziłem się z tą opinią. Teraz okazało się, panna Brendel miała jednak rację. Grace wezwała Jake'a przez interkom.

- Chodź zaraz, mówią o Max! - On i pozostali pracownicy przybiegli do recepcji. Okazało się nagle, że wszyscy w biurze stoją wpatrzeni ekran telewizora.

- W studio jest ze mną Erica Baird, która była z panną Brendel chwili wypadku. Kamera skierowała się na bladą i niezwykle skupioną Max. Jake przyjrzał się jej dokładnie. Dzielną dziewczyna! - pomyślał. Amanda nie dała się wypacykować charakteryzatorowi. Na twarzy, poza jej ulubioną brązoworóżową szminką do ust, kreskami wokół oczu i lekkim cieniem na powiekach, nie widać było makijażu. Za to siedzący obok Gallagher mienił się wszystkimi kolorami pomarańczy.

- Czy to prawda, panno Baird, że pani i matka byłyście chronionymi świadkami?

- Przyjeżdżając do Nowego Jorku - świadomie zignorowała część pytania dotyczącą matki - straciłam prawo do tej ochrony.

- Dlaczego więc teraz ujawniła się pani?

Trey miał w zanadrzu wiele pytań, ale Amanda zapowiedziała, że jedno odstępstwo od scenariusza, a wyjdzie ze studia i zaskarży go - całe konsorcjum - o narażenie jej na niebezpieczeństwo.

- Mój ojciec, Lionel Baird, nie popełnił samobójstwa, lecz został zamordowany. Moim zdaniem, człowiek odpowiedzialny za tę zbrodnię powodował także wypadek, który omal nie spowodował śmierci Hallie Brendel, a jak przypuszczam, chodziło o mnie.

- Stawia pani poważny zarzut, panno Baird. Czy ma pani dowody na to, że Lionel Baird został zamordowany?

- Tak.

- Czy podejrzewa pani konkretną osobę?

- Tak.

- Podała pani nazwisko policji?

- Zamierzam właśnie zdobyć ostateczny dowód. Wtedy pójde na policję. Detektyw natychmiast zadzwonił do dziewiątego komisariatu. Caleb potwierdził jego obawy.

- Nie mam pojęcia, o czym ona mówi, ani kogo i czego szuka! - denerwował się policjant. Jake domyślał się, że tamten żałuje, iż wybrał nieoficjalną drogę działania. - Miałeś rację, Fowler. Przypięła sobie na piersi wielką tarczę strzelniczą i prowokuje mordercę.

- Wiem - odpowiedział Jake i odruchowo poprawił pistolet w kaburze. - Musimy ją znaleźć wcześniej.

Amanda skończyła nagrywanie wywiadu o trzeciej trzydzieści i opuściła studio o czwartej, pół godziny przed emisją. Opóźnienie wynikało z umowy z Gallagherem. Potrzebowała czasu, by dotrzeć do domu, nim zaczną nadawać jej historię. Sama nie wiedziała, dlaczego zdecydowała się na powrót do własnego mieszkania. Może po prostu, niezależnie od tego, w jakim było stanie, należało do niej, mogła tu zobaczyć i wziąć do ręki przedmioty, z którymi czuła się emocjonalnie związana, i choć na chwilę odzyskać, jakże potrzebne jej teraz, poczucie stabilności.

Weszła, jak jej się wydawało, przygotowana na najgorsze; myliła się jednak. Widok poprzewracanych mebli i porzrzuconych drobiazgów zasmucił ją i rozżłościł. Poza materialnym zniszczeniem, które mocno dotknęło Amandę, czuła się, jakby ktoś wtargnął do jej intymnego świata i pozbawił ją prywatności. Do długiej listy krzywd doszedł jeszcze jeden punkt. Chodziła po mieszkaniu, odkładała porzrzucone rzeczy na miejsce, przysięgając sobie w duchu, że to, co ją spotkało, więcej się nie powtórzy.

Odebrano jej imię, rodzinę, przyjaciół, prawo do bliskich związków z ludźmi, do posiadania własnej tożsamości. Dzisiejsze popołudnie zmieniło ów stan: wystąpiła i ogłosiła światu: to ja! Ostatnim razem przedstawiła się jako Erica Baird, córka Lionela Bairda. w czwartej klasie szkoły podstawowej.

Teraz stała, sama w swym pokoju dziennym, i dobitnie powtarzała te słowa.

Jestem Erica Baird, córka Lionela Bairda.

Przeczytała wiele artykułów i oglądała liczne wywiady z kobietami skarżącymi się na ciągłe łączenie ich z kimś innym: funkcjonowały jako żony, córki czy matki, zupełnie pozbawione własnej indywidualności. Amanda rozumiała je, ale jej życie stanowiło całkowite tego przeciwieństwo. Była znana wyłącznie z własnego nazwiska, zawodu i osiągnięć. Nikt nie oceniał jej przez pryzmat pochodzenia czy związku małżeńskiego, bo te jakby nie istniały lub pozostawały nieznane. Inne kobiety miały szafę pełną kapeluszy i mogły w nich przebierać. Dla kogoś takiego jak Max, której jedyne oparcie stanowiła Beth, posiadanie czegokolwiek własnego wydawało się czymś cudownym.

Przed pójściem do studia zadzwoniła do matki i rozmawiały ze sobą po raz pierwszy od strzelaniny. Amanda chciała przygotować Beth na to, co zamierza zrobić i ewentualne skutki swego działania. Beth uważnie wysłuchiwała relacji z ostatnich wydarzeń i motywów postępowania córki.

- Jeżeli teraz się nie zdecyduję, będziemy musiały zaczynać wszystko od nowa - tłumaczyła Amanda - a tego bym już nie zniosła.

Beth czuła się jeszcze słabo, lecz jej duch pozostał silny.

- Zrób, co uważasz za konieczne - powiedziała córce - tylko błagam, zachowaj ostrożność.

- Przysięgam. - Obie zdawały sobie sprawę z tego, jak łatwo składać takie obietnice.

Amanda weszła do sypialni i zobaczyła, że tutaj bałagan został uprzątnięty.

Łóżko było pościelone, ubrania powkładano do szafek i szuflad, a bukiet z mieszkania Jimba stał na toaletce. W pierwszej chwili się zaniepokoiła, znalazła jednak kartkę z wiadomością:

„Nie mieliśmy czasu posprzątać całego mieszkania, ale zrobiliśmy, co się dało. Zwróciliśmy też twoją zabawkę. XXXX”.

Amanda pochyliła się i ręką sprawdziła pod łóżkiem: remington znajdował się na swoim miejscu. Kusilo ją, by zabrać karabin ze sobą, lecz za bardzo rzucałby się w oczy i, być może, zniechęciłby wroga, a tego nie chciała. Podeszła do szafki, w której przechowywała amunicję i wsunęła pełny magazynek do glocka.

Przeładowała i zabezpieczyła broń, a potem schowała ją do kabury. Pogrzebała ręką w szufladzie, wyciągnęła następną kaburę i przymocowała nad kostką. Przeładowała i zabezpieczyła także chiefa - była należycie przygotowana.

Zadzwoił telefon; Amanda pośpieszyła do pokoju dziennego. Wróciła do swego mieszkania także po to, by sprawdzić, kto się odezwie po jej telewizyjnym wystąpieniu. Nie pragnęła z nikim rozmawiać, chciała tylko usłyszeć, kto zadzwoni i jaką zostawi wiadomość. Nie oczekiwała żadnych wygłupów. By się przed nimi uchronić, nie pozwoliła Gallagherowi wyjawić jej obecnego nazwiska. Każdy, kto zatelefonuje, musiał znać prawdziwą tożsamość i numer domowego telefonu Amandy Maxwell już wcześniej.

Pierwszy odezwał się Jake.

- Całkiem oszalałaś, a teraz ja wariuję ze strachu o ciebie. Ale kocham cię i wkrótce odnajdę. Poradzimy sobie ze wszystkim. Do zobaczenia.

- Ja też cię kocham - szepnęła.

Dwie minuty później zadzwoniła Pamela Baird, czym zaskoczyła Max.

- Jestem kompletnie oszołomiona! Nie miałam pojęcia, że córka Lionela żyje. Jak cudownie!

Co za bzdura, pomyślała Amanda. Chciało jej się śmiać, gdy słuchała fałszywych deklaracji wdowy.

- Skąd się wzięłaś tak nagle i dlaczego nic nie wiedziałam? Czy twoja matka też żyje? Naprawdę musimy się spotkać i porozmawiać. Oczywiście o Lionelu.

I oczywiście o testamencie.

John Chisolm zadzwonił, by wyrazić swe zaskoczenie i przekazać Amandzie wyrazy współczucia. On także chciał poznać jedyną córkę Lionela.

I dowiedzieć się, jakie odkryła sekrety.

- Jeśli przeżyjesz, będziesz musiała kupić mnóstwo „małych czarnych” - powiedziała do siebie Amanda i wróciła do sypialni. Wciągnęła czarny golf, włosy związała w koński ogon. - Będziesz wręcz rozrywana.

Włożyła czarne dżinsy, stopy wsunęła w mokasyny o miękkich podszwach. Wolałaby sportowe buty, ale były za wysokie i urzały obolałą kostkę. Jedyne ulepszenie opatrunku stanowiła wymiana

pięknej chustki z rysunkiem Empire State Building na zwykły, lecz skuteczny bandaż elastyczny.

Zadzwoił wujek Sam. Miała odebrać, ale w ostatniej chwili zmieniła decyzję, obawiając się jego przesadnej troskliwości - prawdopodobnie postawił już na nogi wszystkie trzy agencje i armia uzbrojonych profesjonalistów tylko czekała na sygnał. Amanda nie mogła ryzykować. Zresztą będzie w pobliżu telefonu i gdy już opanuje sytuację, zadzwoni po posiłki.

- Czy już zapomniałaś wszystko, czego cię uczyłem o konieczności trzymania się w cieniu? - W głosie szeryfa brzmiały zdenerwowanie i troska. - Nie wiem, co zamierzasz zrobić, ale zapewne coś ryzykownego i nierozsądnego. Proszę, kochanie, zgłoś się do biura i pozwól sobie pomóc. Dopadniemy go, kimkolwiek jest, obiecuję.

Następna obietnica bez gwarancji.

Głos z sekretarki ucichł, taśma przestała się obracać. Wokół Amandy cisza aż krzyczała prośbą Sama o zachowanie rozsądku oraz perswazją, by Max jeszcze raz przemyślała swój plan i zastanowiła się nad pobudkami, jakimi się kieruje. Czy bardziej chodziło jej o to, by zostać bohaterką, czy o ujęcie mordercy? Jeżeli o to drugie, miała przecież nieograniczony dostęp do pomocy wyszkolonych zawodowców. Dlaczego więc nie chce dopuścić nikogo do współdziałania, czyżby odezwała się w niej duma? Gdy patrolowała ulice, nigdy nie kierowała się fałszywą ambicją i w potrzebie prosiła o wsparcie. Dlaczego nagle teraz zmieniła reguły? Czy chodzi o zemstę na człowieku, który zamordował jej ojca, czy też o odegranie roli samotnego obrońcy prawa w starciu z anonimowym wrogiem, który gnębił ją przez całe życie?

Usiłowała nie myśleć o krytycznych uwagach Batesa, ale gdziekolwiek poszła, w którymkolwiek kącie mieszkania przystanąła, próbując się czymś zająć, słowa wujka opadały na nią jak nitki pajęczyny. Znów rozważała możliwość skorzystania z pomocy szeryfów, Caleba Greena lub Pete'a. Albo Jake'a. Pomyślała o wiadomości z taśmy i zbesztła się w duchu: pójdzie za głosem instynktu. Zawsze ostrzegał ją o nadchodzącym nieszczęściu. Uprzedzała Lionela, lecz ojciec nie chciał jej słuchać i teraz nie żyje. Sama też nie posłuchała wewnętrznego ostrzeżenia, nie powstrzymała

matki od przyjazdu do Nowego Jorku - i teraz Beth leży na oddziale intensywnej terapii. Nie powinna więcej ignorować głosu instynktu.

Żeby nie spędzić następnych kilku godzin na zadreczaniu się, zaczęła robić porządek w mieszkaniu. O szóstej trzydzieści pokój dzienny odzyskał dawny wygląd, kuchnia też nadawała się do użytku. Na końcu Amanda uprzątnęła ciemnię, a potem zapakowała do torby wszystko, co mogło jej się przydać. Była gotowa do wyjścia, już czas. Słońce kryło się za smutnym, szarym zmrokiem, nieprzyjemne cienie zaczynały zakradać się do środka - nie włączyła lamp - przemieniając znajome przedmioty w obce kształty, a przyjemne dotychczas otoczenie w złowieszczą przestrzeń. Wsunęła chiefa do kabury na nodze. Zastanawiała ją, dlaczego nie odezwał się Tyler.

Zabrzączał telefon. Zamarła i ledwie oddychała, jakby w obawie, że dzwoniący może ją zobaczyć i usłyszeć. Jeszcze jeden sygnał i włączyła się sekretarka.

- Cześć, to ja. Nie ma mnie w domu, ale jak zostawisz nazwisko i numer, oddzwonię.

Sekretarka wyłączyła się, nie było żadnej wiadomości. Amanda pokiwała głową z uśmiechem; tak jak myślała - sprawdzał, czy jest w domu. Mogłaby się założyć, że zatelefonuje jeszcze raz, później, żeby się upewnić. Chcąc zwiększyć swe szansę, odłożyła słuchawkę. Jak zadzwoni, usłyszy sygnał: „zajęty” i uzna, że Amanda wróciła do domu. W rezydencji Lionela Bairda spotka go niespodzianka.

Jake porozumiał się Calebem: Grayson topił smutki w barze przy Drugiej Alei. Siedzący go trzymał się w pobliżu, na wypadek, gdyby Pan Wstawiony właśnie wlewał w siebie kolejną porcję ciekłej odwagi przed następnym zamachem na Amandę. Pete siedział w laboratorium kryminalistycznym i przeglądał wyniki analiz ze sprawy Lionela z nadzieją, że trafi na jakiś nowy ślad, który potwierdziłby hipotezę o wstrzyknięciu Bairdowi paraliżującej substancji, wepchnięciu mu lufy rewolweru do ust i zmuszeniu do naciśnięcia spustu.

Jake nie był taki skory do zaaprobowania teorii typującej na zabójcę Graysona. Materiał dowodowy prezentował się wprawdzie zachęcająco, ale za bardzo jednoznacznie. Jake nie lubił zbiegów okoliczności ani zbyt oczywistych dowodów. Na papierze sprawa została rozwiązana, powinien więc czuć ulgę. Syn Welcha został

wzięty pod stałą obserwację i nie mógł zrobić nic, co nie spowodowałoby natychmiastowej reakcji policji.

Ale Amanda poszła do studia wiadomości i wystawiła się na cel. Powinna była zatelefonować do Graysona, zaprosić go na drinka i przyjść na spotkanie asekurowana przez cały dziewiąty komisariat. Albo pójść do mieszkania podejrzanego w towarzystwie uzbrojonego po zęby oddziału kryminalnego. Nie zrobiła tak, bo to nie Tyler jest zabójcą.

Czas naglił. Jake zamknął się w swym gabinecie z komputerem i „złotą listą”. Nie zamierzał wyeliminować tego faceta z grona podejrzanych - policyjne zdjęcia Douglasa Welcha wskazywały na związek jego syna z tą sprawą - ale zachowanie Amandy sugerowało, by winnego szukać gdzie indziej, a osobista niechęć Fowlera do klanu Saviana - nakazywała zająć się w pierwszej kolejności tymi ludźmi.

Wystukał na komputerze nazwiska z listy, porównał je z własnymi danymi o postaciach ze świata zorganizowanej zbrodni - zebrał ich wiele - i z wykazem osób w jakikolwiek sposób powiązanych z Lionelem. Ponieważ dużo wskazywało na Big Raya jako inspiratora zbrodni, Jake upił się na jego compadres, starych wygach, którzy albo wyginęli w mafijnych wojnach, albo trafili za kratki. Potem przeszukał dane ich synów, wnuków, bratanków, sprawdzając, gdzie aktualnie przebywają - i porównując z listą zatrudnionych w Baird, Nathanson & Spelling.

- No, ruszaj się! - poganiał komputer. - No jazda, dalej!

Ktoś z jednej z tych list musiał bardzo nienawidzić Lionela Bairda bo Big Ray miał wyjątkowo przekonujące argumenty.

Nazwisko. Sprawdzeni. „Złota lista”. Porównywanie. Nowa lista, nowy plik. Wystukiwał nazwisko, szukał wśród danych i nie mógł uwierzyć, że nie dokopie się do niczego. Wreszcie mu się udało. Nic nadzwyczajnego, do skazania potrzebne były poważniejsze dowody, ale Fowlerowi wystarczyło.

Teraz musi się domyślić, i to szybko, gdzie Max zaplanowała rendez - vous z mordercą ojca.

Wybiła dziewiąta trzydzieści, gdy wchodził do rezydencji Lionela. Plecami opierając się o ścianę, z bronią w dłoni, włączył w holu światło szybko zatoczył w powietrzu półkole długą, czarną lufą czterdziestkąpiątki. Ostrożnie wszedł po schodach, z bronią wciąż gotową do strzału rozglądał się we wszystkie strony. Nie spodziewał

się zastać tu nikogo, jednak po występie Amandy w telewizji musiał się liczyć obecnością policji na miejscu zabójstwa.

Mniejsza o to, miał w pogotowiu z tuzin historyjek, aby wytłumaczyć swą obecność tutaj.

Tak naprawdę, gdyby córka Bairda nie wyprowadziła go z równowagi stwierdzeniem, że zdobyła dowód, nigdy by tu nie wrócił, bo nie chciał przeżywać tamtego koszmaru na nowo. Ale co ona wywahała czego jeszcze szuka? Wszedł na najwyższe piętro i zatrzymał się nagle. Wejście do łazienki zagradała żółta policyjna taśma. Tamtej nocy, gdy było już po wszystkim, umył się od stóp do głów i wyczyścił chodnik na schodach, ale przecież krew mogła zaschnąć między kafelkami albo zmieszać się z wodą pozostałą przy odpływie. Zaniepokojony przekręcił gałkę i pchnął drzwi. Przeniknął go dreszcz przerażenia; poczuł się, jakby bańka powietrza powędrowała jego żyłami, powodując szum w głowie, a w sercu głucho uderzenia. Pomieszczenie świeciło w mroku plamami i punktami; zdawać się mogło, że to kolorowe widma przybyły, by go straszyć. Przypomniawszy sobie, jak wbiegł tu ogarnięty obrzydzeniem i miotany torsjami. W pośpiechu, by jak najszybciej stanąć pod prysznicem, gwałtownie zdarł z siebie ubranie, tym rozpaczliwym gestem pragnąc pozbyć się dowodów popełnionego czynu. Potem zmył ze ścian wszelkie plamy, jakie tylko dostrzegł, ale zapomniał o luminolu, środku chemicznym zdolnym do ujawnienia zastarzałych śladów krwi.

Nieprzytomny z przerażenia, odwrócił się od opalizującego horroru i potykając się, zbiegł schodami na dół. Musi dostać się do biblioteki. Przez cały czas zastanawiał się, co wie Amanda i jakie znalazła dowody. Przecież włożył rękawiczki i z pewnością nie zostawił żadnych odcisków palców. Ukradł taśmę. Czy w bibliotece była zainstalowana kamera, a może jest w sekretnym przejściu? Żółta taśma broniła także dostępu do drzwi od biblioteki. Pomyślał o wykorzystaniu tajnego przejścia, zaraz jednak zrezygnował. Jeżeli zostanie go tu policja, musiałby wyjaśnić, którędy dostał się do środka. Zdjął taśmę, otworzył drzwi i wszedł do biblioteki. Tak jak tamtej nocy, zamknął się na klucz.

Włączył światło. Tu nie trzeba było luminolu. Krew, która wyciekła z głowy Lionela Bairda, nie znikła, lecz zaschła w ohydne, ciemnobrązowe plamy. W ciągu tygodni, jakie minęły od tamtej nocy,

starał się myśleć o tym, co tu się wydarzyło, jak o rytuale, przejściu z jednego świata w drugi. Ale teraz widział przed sobą tylko miejsce krwawej zbrodni.

Pamiętał, jak wszedł, z rękami założonymi do tyłu, ukrywając w dłoniach strzykawkę z succinylcholiną. Lionel nie zdążył nawet zauważyć, co się stało. Przytrzymał go za głowę i przyciągnął do siebie, równocześnie wbijając igłę. Tamten, przerażony, szarpał się i wrywał - nadaremnie. Po chwili znieruchomiał, sparaliżowany, lecz w pełni świadomy broni wpychanej mu do ust. Widok był upiorny. Oczy Bairda wpatrywały się weń do ostatniej chwili z niemym pytaniem, dlaczego. Lionel z przerażeniem patrzył na lufę, z której zaraz wyleci pocisk, by odebrać mu życie. Zamknął oczy i ciężko oddychał, struchlały na wspomnienie swego czynu.

- Przypominasz sobie, jak się czułeś po dokonaniu zabójstwa, Bruno? Zaskoczony, odwrócił się błyskawicznie. Wcześniej Amanda obserwowała go przez dziurkę od klucza, czekając, żeby minął ukryte drzwi, aby mogła niezauważona wśliznąć się do biblioteki za jego plecami. Teraz celowała mu prosto w serce.

- On ci ufał i wierzył. Wiele razy ostrzegałam go, że nie wolno nikomu zaufać, że każdy ma swoją cenę. Jaka była twoja, Bruno? Sięgnął po broń.

- Zabiję cię - uprzedziła spokojnie. - Jeden ruch, a bez wahania rozwalę ci głowę. Ty nie miałeś skrupułów.

Stał nieruchomo niczym posąg, Amanda jednak nie dała się oszukać. Jak dzikie zwierzę, szykował się do skoku.

- Big Ray nie zdoła cię z tego wyciągnąć - powiedziała drwiącym tonem. - Mam cię na taśmie, Bruno, ten twój dźwięczny baryton rozbrzmiewa donośnie i wyraźnie.

- Kłamiesz! - krzyknął, ruszając w jej stronę. - Nie powiedziałem ani słowa!

- Właśnie się przyznałeś.

Rzucił się w przód, chwycił ją za ramię, i wytrącił z ręki rewolwer. Gdy ją popchnął, dała o sobie znać zwichnięta kostka i Amanda upadła. Sięgnął po jej broń. Pochylił się, a wtedy zdrową nogą kopnęła go z całej siły w brzuch. Zgiął się wpół. Poderwała się, nie zwracając uwagi na kolejną falę bólu i skoczyła na mordercę. Kopała go, a równocześnie starała się trafić w szyję kantem dłoni.

Kierowała następne uderzenia pod żebra, rękami zadawała mocne ciosy po całym ciele, jednak Bruno, potężnie zbudowany mężczyzna, wytrzymał atak. Jego pięść wylądowała na podbródku Amandy, rzucając dziewczynę na dywan. Skoczył za nią, ale wtedy podstawiła mu nogę. Wpadł na ścianę i niechcący uderzył ręką w kontakt. Pokój ogarnęła ciemność, rozjaśniana jedynie światłem ulicznej lampy. Amanda podniosła się, rozpaczliwie próbując odzyskać broń. Zanim jednak zdołała odnaleźć chiefa, zabójca już przy niej był. Sięgnęła mu do twarzy paznokciami, a potem wcisnęła łokieć w żebra. Wściekły, złapał ją za szyję, ale gdy się pochylił i wzmocnił uchwyt, kolanem uderzyła go w krocze. Krzyknął i zwinął się z bólu. Amanda wykorzystwała sytuację i z powrotem poderwała się na nogi, przygotowana na kolejny atak. Zbierała siły, by odeprzeć następne ciosy.

Zaatakował niczym grizzly, uniósł nad nią ręce z palcami zakrzywionymi w szpony. Nie miała czasu na wahanie i zareagowała wiedzona instynktem. Zapomniawszy o kostce, oparła się o ścianę, podniosła nogę, skoczyła w górę i z całej siły kopnęła go w ramię, aż wrzasnął z bólu. Amanda opadła na podłogę. Cios zadała z takim impetem, że noga nie wytrzymała i kość pękła. Wijąc się z bólu, przesuwiała wokoło dłonią, szukając swej trzydziestkiósemki. Koniuszkami palców już wyczuwała chłodną lufę, wróg jednak okazał się szybszy i chwycił rewolwer.

W tym momencie drzwi biblioteki niespodziewanie runęły na ziemię z potężnym hukiem. Bruno na moment odwrócił głowę, a wtedy Amanda zacisnęła zęby, nabrała powietrza i wyrwała mu chiefa z dłoni, równocześnie przyciskając ramię mordercy do podłogi. Nie musiała robić nic więcej. Jake leżał już na nim i okładał go pięściami z taką siłą, że w kilka chwil uczynił mężczyznę niezdolnym do stawiania oporu.

Położył go twarzą do ziemi i dla pewności przystawił mu rewolwer do karku. Odszukał wzrokiem Amandę. W mroku nie mógł dostrzec, jak poważnie jest ranna.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Czemu tak się guzdrałeś? - wycodziła przez zęby, walcząc z koszmarnym bólem.

- Za mało zostawiłaś okruszków, Małgosiu, z trudem odnalazłem w lesie drogę. Na wargach Amandy ukazał się słaby uśmiech.

- Następnym razem zostawię ci mapę, Jasiu. Nagle zabłysło światło.

- Na Boga, Max! - Pete trzema susami znalazł się przy niej. - Odwaliłaś niesamowitą robotę, kobieta cud. Tygodniami nie zejdziesz z wizji.

- Nie gniewaj się, Pete.

- Ależ skąd, uwielbiam, jak utrudniasz mi życie. - Delikatnie pogłaskała ją po policzku. Przytrzymała jego dłoń i uściśniła.

Po chwili w pokoju zaroilo się od policjantów i pracowników pogotowia. Moran odczytał mordercy jego prawa, zakuł go w kajdanki i zabrał do aresztu. Caleb ukląkł obok Amandy.

- Nie musiałaś robić tego solo - powiedział cicho - pomogliśmy.

- Wiem. - Zadrżała, gdy pielęgniarz uniósł jej nogę i oparł na poduszce, unieruchamiając kostkę paskami. Przez chwilę przeszywający ból nie pozwalał jej mówić. W końcu wyszeptała: - Potrzebowałam jego zeznania na taśmie.

- W porządku, panowie - przerwał im kierownik ekipy pogotowia. - Tę panią trzeba zabrać do szpitala. Odwiedziny od dwunastej do drugiej i od szóstej do ósmej. Do zobaczenia.

Położyli ją na noszach i znieśli do karetki. Gdy wsuwali nosze do sanitarki, Jake wskoczył do środka i usiadł obok. Kierowca już miał protestować, ale detektyw zmierzył go groźnym wzrokiem.

- Nawet nie próbuj mi zabronić.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? - spytała Max, krzywiąc się z bólu. Karetka ruszyła w stronę szpitala.

- Niezawodny nos detektywa - oświadczył z uśmiechem Jake, przytrzymując jej dłoń w swojej.

Nagrodziła go słabym grymasem ust; widać było, że cierpi. Jake odsunął z twarzy Amandy pasmo włosów, ostrożnie, by nie urazić jej brody, która już siniała.

- A także - dodał z powagą - kierowało mną przemożne pragnienie chronienia cię. Bo, na wypadek, gdybyś ostatnim razem uważnie nie słuchała: kocham cię, Amando Maxwell vel Erica Baird.

- Ja ciebie też.

Pokonana wyczerpaniem i bólem, usnęła. Dopiero wtedy Jake pozwolił sobie na zrzućcenie maski i otarł łzę wzruszenia.

Ponownie otworzyła oczy późnym rankiem następnego dnia. Leżała osłabiona po operacji kostki, z nogą w gipsie, na wyciągu, nafaszerowana solidną dawką środków uspokajających. Pielęgniarka umyła ją gąbką, pomogła włożyć świeżą koszulę i zadzwoniła do kuchni po kawę i grzankę. Wraz ze śniadaniem do Sali wjechało kilka barwnych bukietów.

Amanda uśmiechnęła się na widok kwiatów i baloników, ale apetytu nie miała.

- Będą ci potrzebne siły, kochana - pielęgniarka przekonywała ją do przełknięcia choćby kęsa. - W poczekalni aż roi się od osób, które palą się, by cię odwiedzić.

Usłyszeć moje oświadczenie, pomyślała Amanda. Podała się, skubnęła grzankę i wypila pełną filiżankę kawy. Musi mieć jasną głowę, by odpowiadać na te wszystkie: jak, kiedy, dlaczego.

Zjadła szybko, by goście nie czekali długo i już po chwili opadli ją niczym rój pszczół. W nogach łóżka stanął Jake, na nowo zajmując miejsce, którego - jak powiedziała pielęgniarka - nie opuszczał przez całą noc. Towarzystwa dotrzymywał mu Pete; ten wszedł przed Moranem i Greenem i zanim inni się przywitani, pocałował Amandę.

- Wally i chłopcy zjawią się później - oświadczył.

- Annie jest w poczekalni z moją mamą - dorzucił Jake. - Samolot Batesa ląduje za około godziny. Rozmawiałem już z twoją matką i uspokoiłem ją, że nic ci nie będzie.

Amandzie zadrzały wargi: tyle osób martwiło się o nią! Nie przywykła do tego, by poświęcano jej tak wiele uwagi i okazywano tyle sympatii.

Do łóżka Max podszedł Caleb i odezwał się przyjacielskim tonem, minę miał jednak oficjalną.

- Z wielką niechęcią muszę zadać ci kilka pytań.

- Wal!

- Pamiętam, że gdy ja i Moran dostaliśmy tę sprawę, nie widzieliśmy potrzeby posypywania luminolem łazienki na piętrze. Ani opieczętowania drzwi. Czy to twoja robota?

- Musiałam go podejść, by uwierzył, że któryś z was albo ja, wrócił tam i coś znalazł.

- Zrobilibyśmy to, gdybyśmy nie uwierzyli w samobójstwo - przyznał Moran, podążając za tokiem jej myśli.

- I gdybyście szukali winnego tej zbrodni. Po ujawnieniu, że jestem córką Lionela, miałam prawo wejść do rezydencji i przewrócić wszystko do góry nogami w poszukiwaniu śladów.

- Pan Goryl sądził, że mu się upiekło - zauważył się Moran ze złośliwym uśmiechem. - Twoje pojawienie się w telewizji musiało nieźle go zdenerwować.

- Wiedziałaś, że tak się stanie - dodał Jake, nie mogąc wyjść z podziwu dla jej odwagi. Amanda nie zaprzeczyła.

Caleb zajrzał do notatek; chciał wyjaśnić jeszcze kilka szczegółów.

- Wczoraj w nocy powiedziałaś, że zwabiłaś Vitalego, bo potrzebne ci było nagrane na taśmie jego przyznanie się do winy.

- By mieć pewność, że uzyskamy wyrok skazujący.

Jake pokiwał głową z uśmiechem. Była wspaniała policjantką. Jeżeli już dokonywała zatrzymania, to z dowodami pozwalającymi na skazanie winnego.

- Rozmawialiśmy z Freddą MacDougall - kontynuował Caleb. - Twierdzi, że całe popołudnie siedziałaś w biurze Bairda, przesłuchując nagrania zarejestrowane w dniu morderstwa. Jej zdaniem, gdy wychodziłaś z gabinetu Lionela, znałaś już nazwisko zabójcy.

- To prawda, nie dlatego jednak, że znalazłam na taśmie jego głos - Bruno wiedział, kiedy włącza się magnetofon, dlatego w czasie pobytu w bibliotece milczał.

- Skąd miałaś pewność, że chodzi o Vitalego, a nie o Tylera Graysona? - spytał Moran.

- Na taśmie zarejestrowane zostały słowa Lionela: „Po co wróciłeś?”.

- Równie dobrze mógł to być Grayson.

- Zgadza się, ale wcześniej Lionel powiedział Brunonowi, że wychodzi na obiad, i dał mu wolne. To sam Vitale zeznał na policji coś innego. Ponadto w czytelnicy odkryłam, że ktoś przeglądał niedawno album zdjęć policyjnych.

Jake wyjaśnił jej, że oni też widzieli zdjęcie Douglasa Welcha.

- Tyler Grayson nie potrzebowałby fotografii, by wiedzieć, jak wyglądał jego ojciec tuż po śmierci, bo to on znalazł ciało. Czegoś takiego nigdy się nie zapomina!

- Ale po co było układać ciało Lionela... pana Bairda w pozycji, w jakiej znaleziono Welcha? - Pete, teraz, gdy wiedział, że Max jest córką Lionela, uważał za stosowne okazywać zmarłemu więcej szacunku.

- Żeby zrobić Tylera w morderstwo mojego ojca.

Po raz pierwszy Amanda wypowiedziała na głos tę myśl. Bolało ją, że kiedykolwiek mogła go podejrzewać. Wolą nie zastanawiać się nad samopoczuciem Tylera, gdy cała ta sprawa wyjdzie na jaw.

- Big Ray Saviano zwrócił się do Tylera z propozycją prania pieniędzy dla organizacji. Ten odmówił. Jak przypuszczam, Saviano naciskał, grożąc, że zdradzi Lionelowi tożsamość Graysona. Tyler dalej nie ustępował, więc Saviano umieścił go na liście swych wrogów.

- A jak już przy tym jesteśmy - wtrącił Jake - to właśnie „złota lista” Little Raya zdradziła Vitalego. Jego ojciec, Carlo, był kiedyś przybocznym Big Raya. Podczas zamachu na życie dona zasłonił Saviana własnym ciałem, przez co seria z broni maszynowej dosięgnęła go zamiast szefa.

Big Ray, jak zawsze szczodry, zaopiekował się rodziną Carla. Co miesiąc posyłał wdowie pieniądze, opłacił wesele jej córki i szkołę dwóch synów, a przy każdej okazji wyciągał chłopców z kłopotów. W przypadku Brunona dotyczyło to karnego zwolnienia z wojska, co spotykało skazanych za drobniejsze przestępstwa. Przewinienia tego łotra zawsze miały związek z jego licznymi bójkami.

- Lionel nazwał go zbirem - wspomniała z uśmiechem Amanda.

- Wyciągnąłem jego dane - powiedział Moran. - Za każdym razem skazywano go za pobicia.

- Chciał wykorzystać doświadczenia wyniesione z armii i zatrudnić się jako felczer, ale szybko się na nim poznano - dodał Jake.

Nikt nie odważył się podnieść oczu na Amandę. Właśnie medyczne umiejętności ochroniarza podsunęły mu pomysł użycia do zabójstwa środka paraliżującego.

- Czy to Big Ray posłał go do pracy u mojego ojca?

- Nie - wyjaśnił Caleb. - Najwyraźniej zaistniał nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Jak nam powiedział, przyjął tę pracę, bo uznał ją za godną szacunku i sądził, że sprawi tym przyjemność matce.

- I pewnego dnia zadzwonił Big Ray.

Tyler przyszedł po południu, zmartwiony i zdenerwowany tym, że Amanda mogła go podejrzewać o zabójstwo Lionela! Przesłuchiwany przez Caleba, zrozumiał, po co poszła do biura Baird, Nathanson & Spelling i wstydził się swoich słów, wypowiedzianych tamtego dnia. Nie chciał, by sądziła, że nie lubił Lionela. Baird budził w nim wielce ambiwalentne uczucia, także szacunek i podziw. Najbardziej jednak martwił się teraz o Amandę. Pytał ją o zdrowie i prosił o wybaczenie. Poprosiła Tylera, by ponownie ją odwiedził i zapewniła go o nieustającej przyjaźni. Z wdzięcznością przyjął jedno i drugie. Już po wyjściu wszystkich gości powrócił Jake. Amanda drzemała. Po przebudzeniu zobaczyła, jak wkłada do flakonu różowe kamelie.

- Wiedziałem, że mają dla ciebie wyjątkowe znaczenie. Przyniosłem je, bo ty też jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. - Pochylił się i pocałował ją w czoło. Brodę miała opuchniętą i paskudnie posiniaczoną. - Jak się czujesz?

- Kochana - odpowiedziała, rozkoszując się tym uczuciem - i nie tylko przez ciebie.

- Chyba jestem zazdrosny. - Udał, że zrobiło mu się smutno.

- Niepotrzebnie, na liście moich ulubieńców znajdujesz się w czołówce.

- Byle nie na drugim miejscu!

- Zdaję sobie z tego sprawę - stłumiła chichot. - Była u mnie twoja mama i opowiadała, że pragnęła, by pierwsza przyszła na świat Jocelyn, ale ty postawiłeś na swoim.

- Muszę poważnie porozmawiać z Grace o tym, jakie tajemnice zdradza i komu.

- Twoja matka jest cudowną kobietą.

- Gdy mowa o mamach - twoja właśnie zaprosiła mnie do Kalifornii. Nieśmiałość nie należy do głównych cech jego charakteru, pomyślała Amanda.

- Jak poczujesz się lepiej, wybierzemy się tam razem.

- Kuszący plan.

- A co do planów, co zamierzasz uczynić ze swoim nazwiskiem, zostaniesz przy Amandzie Maxwell, czy wrócisz do Eriki Baird?

Zastanawiała się nad tym od dawna. O wiele dłużej, niż Jake mógł sobie wyobrazić, niemal od dnia, gdy ponownie spotkała się z Lionelem.

- Nie mogę stać się Ericą Baird, bo ona już od dawna nie istnieje. Jako Amanda Maxwell mam pewne osiągnięcia i nawet polubiłam. A także jej kolegów i przyjaciół. I mam fioła na punkcie faceta, który dla niej oszalał.

Jake poczerwieniał nagle.

- W takim razie może zmieniłabyś adres? I może, pewnego dnia - zademonstrował te swoje niesamowite dołeczki - także nazwisko? - zaatakował.

Nad tym też długo się zastanawiała.

- Zmieniałam nazwisko zbyt wiele razy. - Zrobił zawiedzioną minę. - A co sądzisz o zmianie swojego?

Był kompletnie zaskoczony, bał się otworzyć usta, aby nie powiedzieć czegoś niestosownego. Wyraz malujący się na jego twarzy rozbawił Amandę.

- No dobrze, pójdziemy na kompromis, połączymy obydwa, jak myślisz?

- Fowler - Maxwell?

- Albo Maxwell - Fowler, możemy to negocjować.

- Mam nadzieję - uśmiechnął się Jake.

Oboje jednak wiedzieli, że nie ma takiej potrzeby. Godził się z każdą ewentualnością.

- A co z adresem? - chciał wiedzieć. - Co byś pomyślała o zmianie? Oczy jej zwilgotniały. Zbyt długo żyła w przekonaniu, że szczęście jest dla niej nieosiągalne.

- Tutaj, tam, gdziekolwiek, w każdym miejscu będzie mi cudownie, byle z tobą! Roześmiała się radośnie. Jak wspaniale było móc uwolnić się od przeszłości i robić plany na przyszłość!

- Wszędzie, byle nie w samym środku pustki - powiedziała cicho. Tam spędziła już zbyt wiele czasu.